C. W. GORTNER

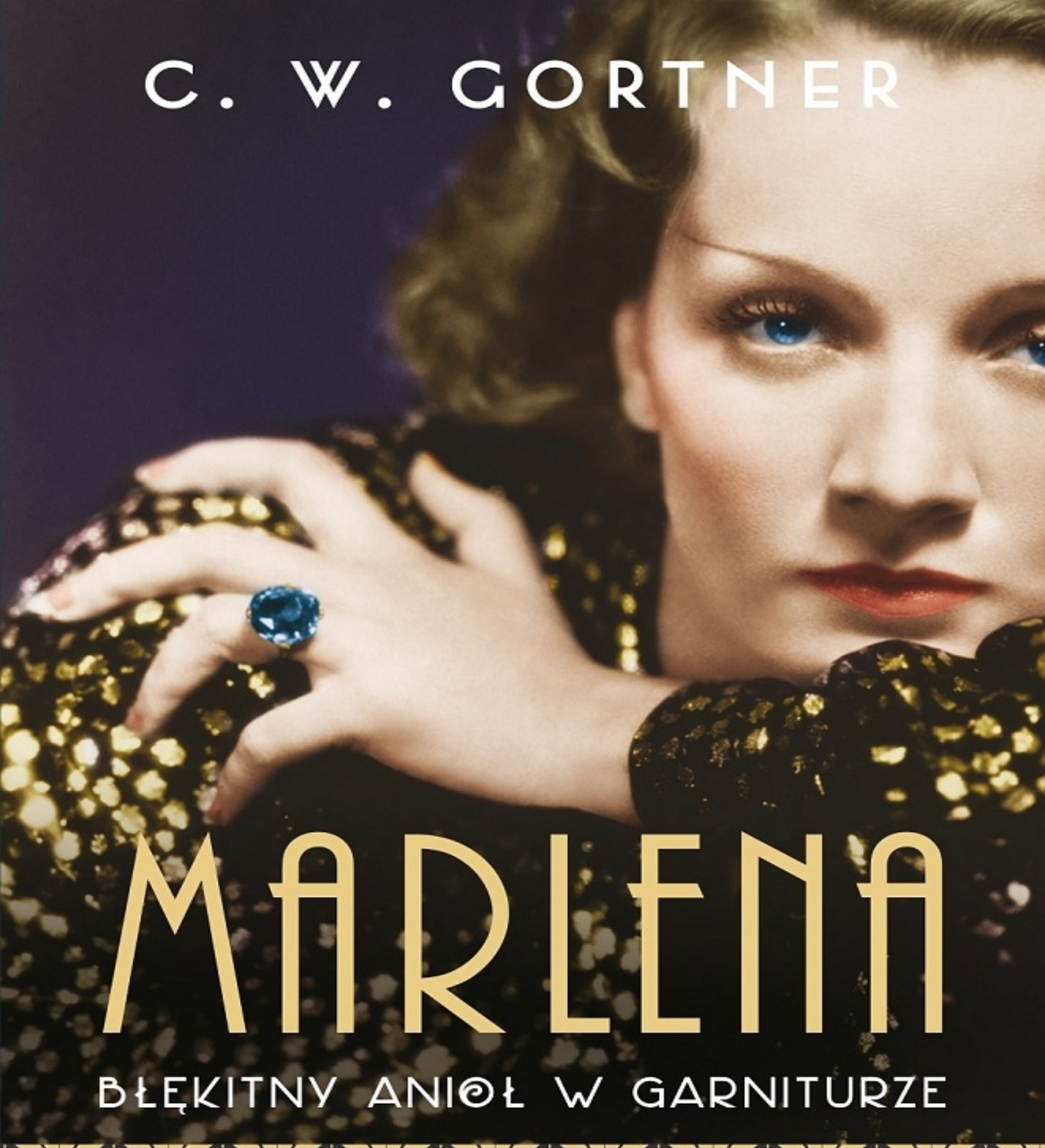

MARLENA

BŁĘKITNY ANIOŁ W GARNITURZE

Barwna powieść o Marlenie Dietrich – jednej z największych legend złotej ery Hollywoodu.
Historia kobiety o silnym charakterze, wielkich ambicjach i marzeniach,
która odrzucała konwenanse, uwodziła świat i szła przez życie na swoich warunkach.

C.W. Gortner

Marlena

Błękitny anioł w garniturze

Tłumaczenie:
Maria Zawadzka

Mojemu ojcu

W głębi serca jestem dżentelmenem.
MARLENA DIETRICH

SCENA PIERWSZA

UCZENNICA

1914-1918

„ZE SWOIMI NARODZINAMI NIE MIAŁAM NIC WSPÓLNEGO”

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Po raz pierwszy zakochałam się w wieku dwunastu lat.

Wydarzyło się to w Auguste-Viktoria-Schule, w podmiejskiej dzielnicy Schöneberg, na południowym zachodzie Berlina. W budynku znajdującym się za bramą z kutego żelaza, którego ekstrawagancka fasada skrywała labirynt lodowatych sal lekcyjnych, uczyłam się gramatyki, arytmetyki, historii oraz podstawowych zasad prowadzenia domu. Następnie czekały mnie trwające godzinę zajęcia z rytmiki, a na koniec długiego dnia zawsze przychodził czas na lekcję francuskiego.

Nie lubiłam szkoły – ale nie chodziło tu o niedostatki mojego intelektu. W dzieciństwie naszą edukację nadzorował cały orszak guwernantek, choć skupiały się głównie na mojej wątłej siostrze Elisabeth, którą na co dzień nazywaliśmy Liesel. Angielski, francuski, taniec i muzyka – tak wyglądała nasza codzienność. Matka wymagała we wszystkim absolutnej perfekcji. Nie lubiłam szkoły, mimo że byłam przygotowana do rygorów instytucjonalnego nauczania lepiej niż większość rówieśników. Nie pasowałam do pozostałych uczennic, do ich sekretów i wysmarowanych dżemem palców. Znały się od dziecka i wymyśliły mi przezwisko *Maus*. Twierdziły, że jestem nieśmiała, ale nie zdawały sobie sprawy, że „nieśmiała” to ostatnie określenie, jakim opisałaby mnie matka.

Mutti nie pozwoliłaby zresztą na jakiekolwiek skargi czy narzekania. Nasz papa zmarł na atak serca, kiedy miałam sześć lat. W chwili jego śmierci na naszą rodzinę spadła konieczność znalezienia sposobu na samodzielne utrzymywanie się w tej nowej sytuacji. Skutkiem tego zabrakło czasu na długą żałobę. Josephine Dietrich musiała pozostać niewzruszona, nie mogła okazać słabości. Pochodziła przecież z powszechnie szanowanej rodziny Felsingów, znanych producentów zegarów. Po odejściu męża Mutti nie przyjęła pomocy krewnych, choć musiała mieć świadomość, że niewielka odprawa pośmiertna papy – prowincjonalnego porucznika policji – nie wystarczy na długo. Guwernantki zniknęły tuż po jego pogrzebie: zostały uznane za zbędny luksus, zbytek, na który nie mogłyśmy sobie pozwolić. Liesel cierpiała z powodu słabego zdrowia i choć nikt nie potrafił dokładnie określić, co jej właściwie dolega, Mutti postanowiła, że moja siostra będzie kontynuowała naukę w domu. Sama zatrudniła się jako gosposia, a mnie wcisnęła w szary, wykrochmalony mundurek, zaplotła moje jasnorude włosy w warkocze i ozdobiła je taftowymi kokardami. Dopełnieniem całego stroju okazały się niewygodne lakierki. Po tych wszystkich przygotowaniach zaprowadziła mnie do *Schule*, gdzie dystyngowane stare panny miały zająć się formowaniem mojego charakteru.

– Zachowuj się, jak należy – nakazała Mutti. – I rób, co ci każą. Czy wyrażam się jasno? Nie chcę się dowiedzieć, że zadzierasz nosa. Byłaś bardziej uprzywilejowana od

większości tych dziewcząt, ale nie pozwolę, żeby moje córki popadły w pychę.

Niepotrzebnie się martwiła. W domu często karcono mnie za skłonność do rywalizacji i za to, że wiecznie usiłowałam prześcignąć we wszystkim Liesel, ale gdy tylko wkroczyłam na szkolne podwórko i zobaczyłam podejrzliwe spojrzenia rzucane ukradkiem przez uczennice stojące w niewielkich grupkach – zrozumiałam, że lepiej się nie wychylać i nie ujawniać z tym, co wiem. Nikt nie mógł się domyślić, że opanowałam coś więcej niż podstawy jakiegokolwiek przedmiotu, włącznie z francuskim, językiem, którego musiała się uczyć każda dziewczyna z dobrego domu, ale którego nie powinna znać zbyt dobrze żadna niemiecka dziewczyna z dobrego domu. Dzięki swojemu ostremu „r” i uwodzicielskiemu „s” kojarzył się on z tym, co zakazane. Postanowiłam za wszelką cenę nie zwracać na siebie uwagi i zajęłam najdalsze miejsce w ostatniej ławce na tyłach klasy. Zamierzałam wtopić się w otoczenie.

Do czasu, aż pojawiła się nowa nauczycielka francuskiego.

Miała kasztanowe włosy niedbale upięte w kok. Jej policzki wydawały się zaróżowione – chyba spóźniła się na lekcję i była zmuszona biec szkolnym korytarzem. Chwilę wcześniej zadzwonił dzwonek, a dziewczęta szeptały coś między sobą i podawały sobie karteczki wyrwane z zeszytów.

Niespodziewanie wkroczyła do sali. Długo czekałyśmy, aż ktoś zastąpi Madame Servine, która ze względu na

poważny wypadek została zmuszona do wcześniejszego przejścia na emeryturę. Nowa nauczycielka, której czoło pokrywały krople potu – był wyjątkowo upalny lipiec – rzuciła książki na biurko, a huk, który się rozległ, sprawił, że wszystkie dziewczęta gwałtownie się wyprostowały.

Madame Servine nie znosiła opieszałości. Wiele dziewcząt miało okazję poczuć na kolanach lub rękach ostrą krawędź jej linijki: chętnie karała za przewiny, nieposłuszeństwo lub bezczelność. Młoda, rozczochrana i taszcząca górę książek kobieta, które weszła teraz do klasy, mogła się okazać dużym zaskoczeniem.

Siedziałam jak zwykle w ostatniej ławce. Wychyliłam się z zaciekawieniem i spojrzałam w jej stronę. Właśnie wycierała twarz chusteczką.

– *Mon Dieu* – westchęła. – *Il fait si chaud.* Nie sądziłam, że w Niemczech panują takie upały.

Poczułam, że przez mój żołądek przebiega dreszcz emocji.

Żadna z nas nie odezwała się nawet słowem. Młoda kobieta machnęła ręką i schowała wilgotną chusteczkę do szmizjerki.

– *Bonjour, mesdemoiselles*. Nazywam się Mademoiselle Bréguand. Mam was uczyć francuskiego do końca tego semestru.

To wprowadzenie było niepotrzebne. Doskonale wiedziałyśmy, kim jest. Czekałyśmy na nią od wielu tygodni. Podczas gdy szkoła szukała zastępstwa za Madame Servine, musiałyśmy spędzać tę godzinę na ciągnących się w nieskończoność lekcjach nadzorowanych przez kostyczną

Frau Becker. Czysty, śpiewny akcent nowej nauczycielki sprawił, że w pomieszczeniu zapanowała cisza. W jej głosie rozbrzmiewała charakterystyczna melodia Paryża, a ja poczułam, jak siedzące wokół mnie dziewczęta gwałtownie się wzdrygnęły. Madame Servine nazywały *l'Ancien Régime* ze względu na jej lornion, klekot sztucznej szczęki towarzyszący wymawianiu *accents graves* beznamiętnym, pełnym poczucia wyższości tonem – oraz czarną, sięgającą pod szyję suknię z przełomu wieków. Kobieta, która stała przed nami, miała na sobie bluzkę z kołnierzykiem ozdobioną koronką, a jej zgrabną figurę podkreślała modna spódnica do kostek, odsłaniająca eleganckie trzewiki. Była dużo młodsza od Madame Servine, wydawała się też zdecydowanie bardziej energiczna i pełna życia.

Powoli się wyprostowałam.

– *Allez* – oznajmiła. – *Ouvrez vos livres, s'il vous plaît*.

Dziewczęta siedziały nieruchomo. Sięgnęłam po podręcznik, a Mademoiselle westchnęła i przetłumaczyła swoje słowa na niemiecki:

– Poprosiłam, żebyście otworzyły podręczniki.

Starałam się ukryć uśmiech.

– Będziemy dziś odmieniać czasowniki. Dobrze? – zapytała, rozglądając się po sali.

Panowała martwa cisza. Pozostałe dziewczęta nie zaglądały do podręczników od wypadku Madame. Nauka francuskiego kompletnie ich nie obchodziła. Z kilku rozmów, które podsłuchałam, wynikało, że marzyły jedynie o tym, by wyjść za mąż i uciec z domu rodzinnego, gdy

tylko nadarzy się taka sposobność. *Kinder, Küche, Kirche:* dzieci, kuchnia, kościół. Takie ambicje rozbudzano w każdej niemieckiej dziewczynie, tak jak dawniej wpajano je naszym matkom i babkom. Do czego w takim razie miała nam się przydać znajomość francuskiego, o ile, nieszczęśliwym zrządzeniem losu, nie wyszłybyśmy za obcokrajowca?

Rozległ się szelest kartek. Mademoiselle Bréguand rozejrzała się po sali, nie zauważając – albo udając, że nie zauważa – nerwowych ruchów swoich uczennic. Nieodrobienie pracy domowej stanowiło w naszej szkole poważne, surowo karane wykroczenie. Przyłapawszy którąś z uczennic na tej przewinie, Madame Servine kazała jej zwykle siedzieć w klasie do zmroku, tak długo, aż skończy zadanie albo padnie z wyczerpania.

Nagle jednak, ku mojemu zdziwieniu, Mademoiselle figlarnie się uśmiechnęła. W tym naznaczonym niezliczonymi zakazami i ograniczeniami miejscu, w którym nauczyciele wisieli nad nami jak kruki, było to zachowanie tak niespodziewane i zaskakujące, że po moim ciele natychmiast rozlała się fala ciepła. Czułam się tak, jakby skręcony z nerwów żołądek wypełniła miękka warstwa bitej śmietany.

– Zacznijmy od czasownika „być”. *Être: je suis, je serai, j’étais. Tu es, tu seras, tu étais. Il est, il sera, il était. Nous sommes, nous serons, nous étions*... – Krążyła między rzędami, lekko przechylając głowę, i słuchała kolejnych uczennic kaleczących francuskie słowa.

To był żałosny spektakl: dowód lenistwa i skrajnego braku poszanowania dla języka. Ona jednak, zamiast karcić i poprawiać, powtarzała cierpliwie prawidłową odmianę. Nagle stanęła obok mnie. Uniosła rękę, a dziewczęta zamilkły. Utkwiła we mnie swoje bursztynowo-zielone oczy i poprosiła:

– *Répétez, s'il vous plaît?*

Nie chciałam zwracać na siebie uwagi. Zamierzałam wykonać to ćwiczenie równie źle, co pozostałe uczennice, ale tym razem język odmówił mi posłuszeństwa. Powiedziałam niepewnie:

– *Vous êtes. Vous serez. Vous étiez.*

Stłumiony chichot siedzącej niedaleko dziewczyny odebrałam jako siarczysty policzek.

Na twarzy Mademoiselle pojawił się ciepły uśmiech. Z konsternacją, a zarazem radością odnotowałam, że skierowała go do mnie.

– A reszta?

– *Vous soyez. Vous seriez. Vous fûtes. Vous fussiez.*

– A teraz użyj tego czasownika w zdaniu.

Przygryzłam dolną wargę, zastanawiając się przez chwilę, po czym wyrzuciłam z siebie:

– *Je voudrais être connue comme personne qui vous plaise.* – Natychmiast zaczęłam żałować swoich słów. Co mnie opętało? Dlaczego powiedziałam coś tak... tak szczerego i bezpośredniego? Coś tak niepodobnego do mnie?

Choć nie odważyłam się podnieść wzroku, czułam, że pozostałe dziewczęta bacznie mi się przyglądają. Nie rozumiały, co powiedziałam, ale wystarczył sposób, w jaki to zrobiłam.

Zdemaskowałam się.

– *Oui* – odezwała się łagodnie Mademoiselle. – *Parfait*.

Ruszyła przed siebie. Krążąc między rzędami, wyśpiewywała swój refren i dawała do zrozumienia, żebyśmy powtarzały za nią. Siedziałam nieruchomo do czasu, aż czyjś palec dźgnął mnie w żebra. Odwróciłam się i zobaczyłam szczupłą dziewczynę o ciemnych włosach i pociągłej twarzy. Mrugnęła do mnie.

– *Parfait* – wyszeptała. – Doskonale.

Nie takiej reakcji się spodziewałam. Myślałam, że dziewczęta odczekają do ostatniego dzwonka, a potem, kiedy wyjdę ze szkoły i ruszę do domu, zaczną mnie zaczepiać. Byłam przekonana, że spiorą mnie na kwaśne jabłko, mszcząc się za to, że je oszukałam i podlizywałam się nowej nauczycielce. Na twarzy siedzącej obok mnie dziewczyny zobaczyłam jednak coś innego niż wściekłość czy niechęć. Zobaczyłam... podziw.

Kiedy już Mademoiselle zadała nam pracę domową, a uczennice zaczęły się pakować i wychodzić z klasy, postanowiłam dyskretnie przemknąć się do wyjścia. Już myślałam, że uda mi się dotrzeć do drzwi, ale nagle nauczycielka się odezwała:

– Mademoiselle. Chwileczkę.

Zatrzymałam się i niepewnie zerknęłam przez ramię. Pozostałe dziewczęta przeciskały się obok mnie, a jedna z nich rzuciła szyderczo:

– No proszę, Myszka Maria doczekała się swojej pierwszej złotej gwiazdy.

Po chwili klasa całkowicie opustoszała, a ja stałam przy biurku nauczycielki, czując na sobie jej spojrzenie. W promieniach popołudniowego słońca, wlewających się do sali przez zakurzone okno, jej upięte w kok włosy nabrały miedzianych refleksów. Miała delikatną skórę i lekko zaróżowione policzki. Ugięły się pode mną nogi. Nie potrafiłam sobie wytłumaczyć, dlaczego zdecydowałam się wypowiedzieć właśnie to zdanie, ale jednocześnie czułam, że nowa nauczycielka mnie rozumie.

– Maria? – zapytała. – Tak masz na imię?

– Tak. Maria Magdalena. – Z trudem wydusiłam z siebie te słowa. – Maria Magdalena Dietrich. Ale wolę... wszyscy w rodzinie mówią do mnie Marlena. Albo krócej: Lena.

– Śliczne imię. Bardzo dobrze znasz francuski. Nauczyłaś się go w szkole? – Zanim zdążyłam odpowiedzieć, roześmiała się. – Ależ oczywiście, że nie. Pozostałe uczennice... *C'est terrible, combien peu ils savent.* Powinnaś zmienić klasę: jesteś na zdecydowanie wyższym poziomie.

– Mademoiselle, proszę... – Przycisnęłam torbę do piersi. – Jeżeli dyrektorka się o tym dowie...

– To co zrobi? – Przechyliła głowę. – Co takiego zrobi? Przecież znajomość języka obcego to nie grzech. Tracisz

w tej klasie czas. Nie wolałabyś przez tę godzinę rzeczywiście się czegoś nauczyć?

– Nie. – Czułam, że zaraz się rozpłaczę. – Ja... lubię uczyć się francuskiego.

– Rozumiem. No cóż... W takim razie spróbujemy znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie martw się, nikomu nie zdradzę twojej tajemnicy, ale nie mogę ręczyć za inne uczennice. Są nieprzygotowane, ale na pewno nie głuche.

– *Merci*, Mademoiselle. Będę naprawdę ciężko pracowała, zobaczy pani. Zależy mi tylko na tym, żeby sprawić pani przyjemność.

Niezdarnie dygnęłam, tak jak kazała mi to robić mama, ilekroć po kościele składałyśmy wizyty innym szanowanym wdowom, które częstowały nas gorącą czekoladą i strudlem. Ruszyłam do drzwi, chcąc jak najszybciej zapomnieć o rozbawionym spojrzeniu nauczycielki i własnej impulsywności.

Kiedy wychodziłam, usłyszałam jej słowa:

– Marleno, sprawiasz mi przyjemność. Sprawiasz mi wielką przyjemność.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ruszyłam do domu, radośnie podskakując i kołysząc torbą. Przeszłam przez tory tramwajowe i zaczęłam wymijać ulicznych handlarzy, którzy zachwalali swoje towary, głośno wykrzykując ich ceny. Na nic nie zważałam, a w mojej głowie rozbrzmiewał głos Mademoiselle. Był jak echo pośród cichego szumu zielonych lip rosnących wzdłuż alei.

„Sprawiasz mi przyjemność. Sprawiasz mi wielką przyjemność”.

Wbiegając po popękanych marmurowych schodach, które prowadziły do naszego mieszkania przy Tauentzienstrasse 13, nuciłam pod nosem. Rzuciłam torbę na stolik w przedpokoju i wkroczyłam do nieskazitelnego salonu, gdzie moja siostra Liesel siedziała przygarbiona nad książkami. Podniosła wzrok. Wydawała się wyczerpana i wyglądała tak, jakby tkwiła tam od wielu tygodni.

– A gdzie *Der Gouverneur*? – zapytałam, sięgając po talerzyk z porzuconym kawałkiem strudla.

Liesel spojrzała na mnie z dezaprobatą.

– Nie nazywaj tak Mutti, to bardzo niegrzeczne. Poza tym dobrze wiesz, że w czwartki pracuje do późna w rezydencji Loschów. Wróci o siódmej. Leno, jedz proszę nad talerzykiem. Strasznie kruszysz, a służąca przed chwilą wyszła.

Pochyliłam się nad dywanem i zebrałam kilka okruchów.

– I po sprawie. – Oblizałam palec.

– Lepiej użyj szczotki.

Przyjęłam tę wskazówkę, choć wiedziałam, że nic wielkiego by się nie stało, gdybym ją pominęła – kiedy my już dawno będziemy spały, Mutti raz jeszcze zamiecie dywan, a potem wyszoruje wszystkie podłogi. Mimo że całymi dniami sprzątała w cudzych domach, nigdy nie uchylała się od tego obowiązku. W ciągu czterech miesięcy zwolniła cztery służące, ponieważ jej zdaniem były zbyt niechlujne. Do tych zmian dochodziło z taką częstotliwością, że nawet nie zadawałyśmy sobie z Liesel trudu, by uczyć się imion nowo zatrudnianych.

Nucąc pod nosem, podeszłam do fortepianu i skrzypiec, które znajdowały się w salonie. Oba te instrumenty należało pilnie nastroić. Skrzypce dostałam na ósme urodziny od Omy, mojej babci, po tym, jak nauczyciel muzyki przekonał Mutti, że mam talent. Nauczyciel skończył co prawda tak samo jak guwernantki, ale ja nie zrezygnowałam z ćwiczeń. Kochałam muzykę. Była to jedna z niewielu rzeczy, które łączyły mnie z Mutti – grała wspaniale i w dzieciństwie przez wiele lat doskonaliła te umiejętności. Często muzykowałyśmy razem po kolacji.

Na wieku fortepianu znalazłam etiudę Bacha, którą dla mnie zostawiła.

Sięgnęłam po skrzypce, a Liesel powiedziała:

– Rzadko widuję cię w tak dobrym humorze. W szkole wydarzyło się dziś coś szczególnego?

– Nie, nic się nie wydarzyło. – Naciągałam wysłużone struny kołkami, mając nadzieję, że nie pękną. Wiedziałam, że Mutti kupi mi nowe na urodziny, ale do grudnia te musiały mi wystarczyć. Musnęłam smyczkiem mostek i dało się słyszeć fałszywy dźwięk.

– Nic? – zapytała Liesel. – Nigdy nie wracasz do domu uśmiechnięta. I nigdy nie zaczynasz ćwiczyć tak wcześnie. Coś jednak musiało się wydarzyć.

Zaczęłam grać sonatę, krzywiąc się i zmagając ze zdartymi strunami.

– Mam nową nauczycielkę francuskiego. Nazywa się Mademoiselle Bréguand.

Liesel przyglądała mi się w milczeniu. Zerknęłam na nią znad nut tylko raz czy dwa. Choć miałam do dyspozycji struny godne pożałowania, zdołałam zachować melodię i rytm utworu. Mutti byłaby ze mnie dumna.

– Jesteś taka zadowolona, bo masz nową nauczycielkę? – odezwała się moja siostra. – Nie wierzę. Wiem, że nie znosisz szkoły. W kółko powtarzasz, że nauczycielki są koszmarne, a dziewczęta nudne i głupie. Natychmiast powiedz mi prawdę. Poznałaś jakiegoś chłopca?

Smyczek ześlizgnął się ze struny, a ja spojrzałam na Liesel z niedowierzaniem, po czym prychnęłam:

– Gdzie niby miałabym poznać chłopca? Przecież chodzę do szkoły dla dziewcząt.

– Ale codziennie wracasz ze szkoły do domu. Widujesz chłopców na ulicach, prawda? – Spoważniała i wydawała się rozgniewana.

– Na ulicach spotykam tylko tych chłopców, którzy kopią bezpańskie psy i zachowują się jak chuligani. Staram się ich unikać.

Miałam ochotę dodać, że skoro tak interesuje się chłopcami, to powinna częściej wychodzić, ale ugryzłam się w język. Przecież to nie wina Liesel, że ma słabe płuca, zajęte oskrzela albo cokolwiek innego, co jej akurat dolegało. Mutti nieustannie zamartwiała się jej zdrowiem, co moim zdaniem dodatkowo pogarszało sprawę. Nie ulegało jednak wątpliwości, że moja siostra była „wątła” – i z ogromnym zaangażowaniem wywiązywała się z tej roli.

– Pytam, bo się o ciebie martwię – zaznaczyła. – Nie chcę się wtrącać, ale kończysz w tym roku trzynaście lat, jesteś już prawie kobietą, a chłopcy... no cóż, mają skłonność do...

Zamilkła, wyraźnie skrępowana. Skupiłam się na grze i zaczęłam zastanawiać się nad tym, co powiedziała – i, co ważniejsze, czego nie powiedziała.

Doświadczenia Liesel z płcią przeciwną pozostawały równie ograniczone, co moje. Nie miałyśmy styczności z żadnymi mężczyznami: od śmierci ojca regularnie widywałyśmy tylko wujka Williego z Berlina. Postanowiłam jednak nie zwracać jej na to uwagi, bo nie byłyśmy ze sobą zżyte. Nie czułyśmy wobec siebie wrogości, dzieliłyśmy pokój i rzadko się kłóciłyśmy, ale miałyśmy tak różne temperamenty, że nawet Mutti to zauważała. Dzielące nas różnice dotyczyły również wyglądu. Liesel była chuda i blada, odziedziczyła po ojcu ziemistą cerę. Ja natomiast przejęłam pełniejszą budowę Mutti, jej niebieskie oczy,

zadarty nos i jasną, niemal przezroczystą skórę, która robiła się czerwona jak burak, kiedy za długo siedziałam na słońcu. Natura tego podziału wydawała się jednak zdecydowanie głębsza. Z wiekiem zaczęło do mnie docierać, że moja powściągliwość stanowiła konsekwencję tego, co z uporem wtłaczała mi do głowy Mutti: jej zdaniem właśnie tak powinny zachowywać się porządne dziewczęta. Nie musiała o tym przypominać Liesel, której przychodziło to całkowicie naturalnie. Zwracanie na siebie uwagi przerażało moją siostrę. Właśnie dlatego prawie nie wychodziła z domu – jedyny wyjątek stanowiły niedzielne wizyty, zakupy na targu i comiesięczne wyjazdy do Berlina.

– Uważasz, że chłopcy mogliby mi dokuczać? – zapytałam, podnosząc wzrok.

Siedząca w fotelu Liesel znieruchomiała, natychmiast potwierdzając tym moje przypuszczenia.

– A robią to? – zapytała.

– Nie. A przynajmniej niczego takiego nie zauważyłam. – Zamilkłam na chwilę. – Czyli powinnam zwracać na to uwagę?

– W żadnym wypadku! – zawołała z przerażeniem. – Gdyby ci dokuczali albo mówili coś niewłaściwego, ignoruj ich, a potem od razu powiedz o wszystkim Mutti.

– Tak zrobię. – Delikatnie musnęłam struny smyczkiem. – Obiecuję.

Nie kłamałam. Żaden chłopiec nie okazywał mi nigdy zainteresowania. Dzisiaj jednak pewna osoba wreszcie mnie

zauważyła. A ja wiedziałam, że nie powinnam się nikomu przyznawać do uczuć, jakie we mnie rozbudziła.

„Nikomu nie zdradzę twojej tajemnicy”.

Nigdy dotąd nie miałam tajemnicy. Zamierzałam jej pilnie strzec.

Mutti wróciła dokładnie pięć po siódmej. Zdążyłyśmy już zebrać ze stołu wszystkie zeszyty i podręczniki Liesel oraz rozstawiłyśmy naszą wyszczerbioną zastawę – miśnieńska porcelana była zarezerwowana na specjalne okazje. Podgrzewałam właśnie *weisse Bohnensuppe*, gęstą zupę z białej fasoli, którą zrobiłam dzień wcześniej. Mutti nie wpuszczała służącej do kuchni i to właśnie ja odpowiadałam za kolacje. Lubiłam gotować i nie ulegało wątpliwości, że wychodziło mi to zdecydowanie lepiej niż Liesel, która zawsze przypalała sos albo podawała niedopieczone mięso. Podobnie jak w przypadku muzyki, w szczegółowym układaniu przepisów, łączeniu składników i tworzeniu z nich dań odnajdywałam pewien rodzaj ukojenia. Mutti sama nauczyła mnie gotować, ale podobnie jak we wszystkich innych sferach, tak naprawdę ufała tylko sobie. I właśnie dlatego także i tego wieczoru, zanim jeszcze zdążyła zdjąć kapelusz i rękawiczki, wkroczyła do kuchni, po czym zajrzała do garnka.

– Dodaj więcej soli – oznajmiła. – I zmniejsz ogień. Inaczej wszystko się rozgotuje. – Odwróciła się i ruszyła do sypialni. Po kilku minutach wyszła z niej w domowej sukience i fartuchu. Włosy jak zwykle upięła: nigdy ich nie

rozpuszczała, nawet gdy szła do łazienki. Najwyraźniej uważała, że taka fryzura nie przystoi wdowie.

– Jak było w szkole? – zapytała, dając mi znak, żebym zaniosła zupę na stół.

– Dobrze – odpowiedziałam.

Pokiwała głową. Zastanawiałam się, czy w ogóle by się zorientowała, gdybym nagle oznajmiła, że szkoła spłonęła. Wydawało mi się, że nie. Codziennie zadawała mi to pytanie, bo uważała, że tak nakazują zasady dobrego wychowania. Moja reakcja nie miała żadnego znaczenia.

Jadłyśmy w milczeniu: mama uznawała swobodne, niezobowiązujące rozmowy przy stole za całkowicie zbędne. Kiedy wytarłam talerz chlebem (miałam wilczy apetyt), Mutti zganiła mnie:

– Leno, co ci mówiłam?

Umiałabym bez trudu wyrecytować jej litanię: „Dobrze wychowane dziewczęta nie jedzą jak chłopki. Jeżeli chcesz dokładkę, poproś o nią”.

Nigdy nie prosiłam. Gdybym to zrobiła, oznajmiłaby zapewne, że dobrze wychowane dziewczęta nie domagają się dokładek. Niepohamowany apetyt im przecież nie przystoi.

Zmyłyśmy naczynia, wytarłyśmy je i schowałyśmy do szafki. Przed śmiercią papy o tej porze ruszałyśmy zwykle z Liesel do pokoju, a rodzice kierowali się do salonu, gdzie Mutti grała na fortepianie, podczas gdy on palił fajkę i sączył wieczorny *Weinbrand*. Ale tata odszedł, a ponieważ

byłyśmy już starsze, moja siostra ułożyła się na sofie, a ja zaczęłam pod czujnym okiem Mutti grać sonatę Bacha.

Jak zwykle nie zdołałam zapanować nad nerwami. Mutti nie grała na skrzypcach, ale miała doskonałe ucho, a ja chciałam za wszelką cenę udowodnić, że stosując się do jej poleceń, pilnie ćwiczyłam każdego popołudnia. Nie dyscyplinowała mnie w ścisłym znaczeniu tego słowa. Tylko raz w życiu mnie spoliczkowała. Miałam wtedy dziesięć lat i nie chciałam, żeby podczas lekcji tańca moim partnerem został chłopiec, któremu cuchnęło z ust cebulą. Nigdy nie zapomnę, jak Mutti podeszła do mnie, a następnie – na oczach wszystkich dzieci i ich rodziców – wymierzyła mi ten upokarzający policzek, po czym oznajmiła surowo: „W towarzystwie nie okazujemy uczuć. To nie przystoi”. Od tamtego czasu robiłam wszystko, żeby nigdy więcej nie wyprowadzić jej z równowagi. Ale chociaż taka sytuacja już się nie powtórzyła, ostry język Mutti potrafił ranić równie mocno. Nie tolerowała lenistwa jeszcze bardziej niż nieporządku i braku ogłady. „*Tu etwas*”: tak brzmiało jej motto. „Zrób coś”. Wiedziałyśmy, że próżniactwo to najpoważniejszy z grzechów i że należy go za wszelką cenę unikać.

Wykonałam sonatę bezbłędnie. Mutti oparła się na ławeczce stojącej przed fortepianem i powiedziała:

– Doskonale, Leno.

W jej głosie wychwyciłam czułość, którą bardzo rzadko okazywała. Działo się to w chwilach, kiedy zdołałam przewyższyć jej oczekiwania.

Odetchnęłam z ulgą. Prawie nigdy mnie nie chwaliła i czułam się tak, jakbym dokonała czegoś niezwykłego.

– Ćwiczyłaś – mówiła dalej Mutti. – Od razu widać. Nie przestawaj. Niedługo czeka cię przesłuchanie w weimarskim konserwatorium. Komisja zdecyduje, czy zostanie ci przyznane stypendium.

– Tak, Mutti – odpowiedziałam. Prestiżowe konserwatorium w Weimarze: to było jej marzenie. Nie moje. Wierzyła, że talent może utorować mi drogę do kariery solistki, i nigdy nie zapytała mnie, czy tego pragnę. Przecież dziewczęta z dobrych domów, które odebrały odpowiednie wychowanie, zawsze wypełniały wolę własnych matek.

– A ty, kochanie? – Przeniosła wzrok na Liesel, która nagrodziła mój występ oklaskami. – Zagrasz nam coś na fortepianie?

Poczułam ukłucie zazdrości. Najwyraźniej mama liczyła się z opinią mojej siostry, bo kiedy ta oznajmiła:

– Wybacz, ale boli mnie głowa – Mutti westchnęła i zatrzasnęła wieko fortepianu, mówiąc:

– W takim razie idźcie do łóżek. Robi się późno, a jutro trzeba wcześnie wstać.

Jeszcze wcześniej niż zwykle? Aż westchnęłam w myślach. To oznaczało, że miała dla nas jakieś dodatkowe zadania, z którymi musiałyśmy się uporać przed wyjściem do szkoły. Chowając skrzypce do futerału, zaczęłam się zastanawiać, po co w ogóle zatrudniałyśmy służącą. Miałyśmy w domu niezliczone obowiązki, a Mutti co

wieczór oddawała się swojemu rytuałowi. Wiedziałam, że czeka, aż się położymy, żeby spokojnie zająć się podłogą w korytarzu. W tej sytuacji służąca wydawała się jeszcze jednym zbędnym wydatkiem.

Nagle Mutti oznajmiła:

– Zanim pójdziecie spać, chciałabym wam przekazać ważną nowinę.

Zamarłam. Nowinę?

Czekałyśmy w milczeniu, a ona spuściła wzrok i spojrzała na swoje spierzchnięte dłonie. Stanowiły ostateczny dowód na to, że pozycja Wilhelminy Josephine Felsing, powszechnie znanej jako Wdowa Dietrich, załamała się. Mutti nadal nosiła złotą obrączkę uciskającą opuchnięty palec. Dotknęła jej. W tym geście było coś, co sprawiło, że poczułam się nieswojo.

– Wychodzę za mąż.

Liesel zamarła, a ja zapytałam z niedowierzaniem:

– Za mąż? Za kogo?

Zmarszczyła brwi. Spodziewałam się, że pouczy mnie, iż dzieci nie powinny zadawać takich pytań dorosłym, ale zamiast tego odparła:

– Za Herr von Loscha. Jak wiecie, jest wdowcem i nie ma dzieci. Długo się nad tym zastanawiałam i ostatecznie postanowiłam przyjąć oświadczyny.

– Herr von Losch? – Nie potrafiłam ukryć zdziwienia. – To ten człowiek, w którego domu sprzątasz?

– Nie sprzątam go. – Choć nie podniosła głosu, jej ton stał się ostrzejszy. – Owszem, zajmuję się jego domem. Jestem

jego *Haushälterin*. Nadzoruję pracę służących, to one odpowiadają za sprzątanie. Skończyłaś już z tymi pytaniami, Leno?

Przychodziły mi do głowy setki pytań, ale skinęłam tylko głową.

– Tak, Mutti. – Ruszyłam w kierunku siostry, myśląc, że zapracowałam właśnie na drugi w życiu policzek.

– Ślub odbędzie się w przyszłym roku. – Mutti wstała i wygładziła fartuch. – Poprosiłam, by Herr von Losch dał mi czas na przygotowania. Przystał na to. W pierwszej kolejności chcę oczywiście poinformować o tym waszą babcię oraz wujka Williego. Muszą dać nam swoje błogosławieństwo i poprowadzić mnie do ołtarza. Właśnie dlatego wstajemy jutro wcześniej. Zaprosiłam ich, przyjadą z wizytą. Mamy wiele do zrobienia, trzeba doprowadzić mieszkanie do porządku.

Nie wiedziałam, co jeszcze można tu zmienić – pozostawało już chyba tylko przestawianie mebli. Co sobotę po wizycie na targu szorowałyśmy każdy kąt i sprzątałyśmy wszystkie zakamarki pominięte przez służącą. Niezależnie od tego, jak się starałyśmy, dla każdego było jasne, że w przeciwieństwie do tego, czego na co dzień doświadczali Oma i wujek Willi, nasze wynajęte mieszkanie – choć niebrzydkie – nie mogło zostać uznane za luksusowe. Nie śmiałam jednak protestować. Byłam kompletnie zaskoczona nowiną, którą przekazała nam Mutti.

A więc wyjdzie ponownie za mąż. Będziemy miały z Liesel ojczyma, mężczyznę, którego nawet nie znałyśmy –

i któremu będziemy musiały okazywać posłuszeństwo oraz szacunek.

– Jeszcze nie podjęliśmy żadnych konkretnych decyzji, ale przypuszczam, że po ślubie przeniesiemy się do jego domu w Dessau. Wybieram się tam w przyszłym tygodniu, żeby sprawdzić, czy to dla nas odpowiednie miejsce. Na razie nikomu o tym wszystkim nie wspominajcie. Nie chcę, żeby sąsiedzi zaczęli plotkować na nasz temat albo powiadomili właściciela, że zamierzamy się wyprowadzić. Zrozumiano?

– Tak, Mutti – potwierdziłyśmy z Liesel jednym głosem.

– Dobrze. – Próbowała się uśmiechnąć, ale zdarzało jej się to tak rzadko, że na jej twarzy pojawił się grymas. – A teraz umyjcie twarze i zmówcie pacierz. – Ruszyłyśmy do drzwi, a ona zawołała za mną: – Leno, nie zapomnij umyć uszu!

Po kolei brałyśmy kąpiel w ciasnej łazience, a potem przebrałyśmy się i wcisnęłyśmy do wąskich łóżek. Liesel przez cały ten czas nie odezwała się ani słowem. Leżałyśmy bardzo blisko siebie, dzielił nas tylko nocny stolik. Mogłam bez trudu wyciągnąć rękę i jej dotknąć, ale nie zrobiłam tego. Patrzyłam w sufit. Kiedy usłyszałam, jak Mutti szoruje podłogę w korytarzu, wyszeptałam:

– Dlaczego ona się na to decyduje? W tym wieku?

Moja siostra westchnęła.

– Ma dopiero trzydzieści osiem lat. Nie jest taka stara. Herr von Losch jest pułkownikiem grenadierów, podobnie jak papa. To na pewno uczciwy człowiek.

– Trzydzieści osiem lat to dużo – odparłam. – I skąd pewność, że jest uczciwy? Mutti nadzoruje jego służące. Co

może o nim wiedzieć, poza tym, ile krochmalu dawać do jego koszul? – Po chwili dodałam nieco ostrzej: – Poza tym Dessau jest daleko stąd i będę musiała opuścić szkołę.

– Leno. – Liesel odwróciła się w moją stronę. Jej oczy wyglądały w ciemności jak dwa niewielkie otwory. – Nie nadużywaj jej cierpliwości. Ona robi to, co dla nas najlepsze.

Nie byłam tego taka pewna. Ślub z nieznajomym i przewrócenie naszego dotychczasowego życia do góry nogami – takie rozwiązanie wydawało się najlepsze wyłącznie dla Mutti i Herr von Loscha.

– Samotność jest dla kobiety czymś strasznym – mówiła dalej Liesel. – Nawet nie wiesz, jak trudno żyje się wdowie z dwiema córkami. To prawdziwa próba wytrwałości. – Odwróciła się do mnie plecami i podciągnęła kołdrę pod brodę. Po kilku minutach chrapała już w najlepsze. Oczywiście. Liesel nie zamierzała protestować. Przyjmowała posłusznie wszystko, co mówiła i robiła Mutti. Zresztą, jaka to dla niej różnica, w którym salonie będzie spędzała całe dnie?

Ja jednak miałam inne sprawy na głowie. Miałam swoją tajemnicę.

Zacisnęłam pięści na kołdrze i jeszcze długo nie mogłam zasnąć.

ROZDZIAŁ TRZECI

Z trudem przetrwałam weekend. Oczywiście Mutti zauważyła, że jestem w złym humorze, wychwyciła też szept Liesel: „Przestań patrzeć spode łba!”. Z jakiegoś powodu postanowiła mnie jednak nie karcić. Posprzątałyśmy całe mieszkanie, umyłyśmy wszystkie podłogi i okna – a na koniec okazało się, że wujek Willi nie zdoła nas odwiedzić. Ku mojej radości Mutti oznajmiła, że w takim razie to my pojedziemy do Berlina.

Uwielbiałam Unter den Linden, wspaniałą aleję pełną eleganckich sklepów. Wujek Willi zabrał nas do *confiserie* na ciastka z wanilią i marcepanem, a potem na gorącą czekoladę do Café Bauer przy Friedrichstrasse. Uwielbiałam słodycze, a Mutti – mimo wszystkich swoich zasad – pozwalała mi sobie dogadzać, ponieważ uważała, że odrobina krągłości świadczy o dobrym pochodzeniu. Kiedy już zjadłam swoją porcję, a wujek Willi zajął się rachunkiem, ukradkiem owinęłam kilka marcepanów w chusteczkę i schowałam je do kieszeni. Moja siostra patrzyła na to z przerażeniem.

Mutti nie wspominała już więcej o swoim ślubie, a przynajmniej nie robiła tego w naszej obecności, choć zakładałam, że musiała w którymś momencie poinformować o wszystkim wujka Williego. Nie uważała, że powinna omawiać z nami swoje decyzje, a my oczywiście nie mogłyśmy ich kwestionować ani w żaden sposób

protestować. Ja jednak gotowałam się ze złości. Z każdym dniem narastał we mnie bunt. Na myśl o wielkiej zmianie, która miała wkrótce nadejść, czułam taką bezradność, że przestałam w szkole dbać o pozory i otwarcie zabiegałam o uwagę Mademoiselle. Jako pierwsza oddawałam bezbłędnie odrobione prace domowe, jako pierwsza podnosiłam rękę i odpowiadałam na pytania – i kompletnie nie zważałam na wściekłe spojrzenia, które rzucały mi pozostałe dziewczęta, kiedy nauczycielka chwaliła moją pracowitość.

Któregoś dnia Mademoiselle posłała mi ciepły uśmiech i zwróciła się do dziewcząt słowami:

– Maria jest doskonałym przykładem na to, że przy odrobinie wysiłku i staranności każdy może nauczyć się francuskiego.

Ponieważ wszystkie uczennice podejrzewały, że swoją pozycję zawdzięczałam przywilejom, których one nie miały, zaczęły mi okazywać jeszcze większą niechęć. Mnie to jednak nie obchodziło. Zależało mi tylko na tym, by zaskarbić sobie sympatię Mademoiselle. Kawałki marcepanu, które przywiozłam z Berlina, stały się drobnymi prezentami, które owijałam w koronkę i ozdabiałam makiem. Ilekroć wychodziłam z klasy, spuszczałam wzrok i kładłam je na biurku nauczycielki, która wołała: „Ach, jak to miło z twojej strony!”. W odpowiedzi mamrotałam tylko: „*De rien*, Mademoiselle”. To, że marcepan był trochę zgnieciony i nieco rozpuszczony po długich godzinach,

podczas których transportowałam go w kieszeni, to wszystko nie miało żadnego znaczenia. Liczył się sam gest.

W kolejnym tygodniu, kiedy Mutti pojechała do Dessau, żeby upewnić się, że możemy zamieszkać w domu Herr von Loscha, Mademoiselle zaprosiła mnie po szkole na spacer. Choć obiecałam, że od razu wrócę do domu, żeby pomóc Liesel z kolacją – tak jak się spodziewałyśmy, mama zwolniła kolejną służącą – postanowiłam przyjąć zaproszenie. Wiedziałam, że Mutti wróci później niż zwykle.

Zdecydowałam się zaczekać na Mademoiselle przed szkołą. Wyszła z budynku z torbą pełną książek, a na głowie miała kanotier.

– Idziemy? – zapytała.

Ruszyłam w ślad za nią i wkrótce znalazłyśmy się na bulwarze. Mijałyśmy eleganckie damy w strojach ozdobionych koronką, trzymające parasolki i prowadzące na smyczy psy. Obok kobiet szli dżentelmeni w melonikach, zerkający co pewien czas na kieszonkowe zegarki. Parom towarzyszyły zmęczone guwernantki, zajmujące się ich kapryśnymi dziećmi. Każda z tych osób mogła znać Mutti. Choć Schöneberg znajdował się blisko Berlina, pozostawał miastem garnizonowym, w którym stacjonowały cesarskie wojska. Wszyscy się tu znali. Ilekroć ktoś przechodził obok nas, starałam się spuszczać głowę i patrzeć w ziemię. Miałam nadzieję, że nikt nie rozpozna mnie w mundurku. Ku mojej uldze wkrótce okazało się, że nikt nie zwraca na nas szczególnej uwagi. Mężczyźni uchylali przed nami kapelusza, a damy mamrotały *guten Tag*.

– Napijmy się kawy – zaproponowała Mademoiselle.

Zatrzymała się przed kawiarnią i usiadła przy jednym z marmurowych stolików. Zajęłam miejsce obok niej i zdałam sobie sprawę, że w promieniach słońca wygląda jeszcze ładniej niż w klasie. W brązowych oczach nauczycielki dostrzegłam zielone plamki, a różowe usta miały ten sam odcień co wstążka kapelusza. Do policzków przykleiło jej się kilka kosmyków, które wysunęły się z koka. Musiałam mocno zacisnąć pięści, żeby nie wyciągnąć ręki i nie odgarnąć jej włosów.

Po chwili podszedł do nas kelner. Mademoiselle złożyła zamówienie, a mężczyzna zmarszczył brwi.

– Kawa dla Fräulein?

– Och, przepraszam. – Roześmiała się. – Marleno, może wolisz gorącą czekoladę albo lemoniadę?

– Nie, dziękuję. – Wyprostowałam się. – Poproszę kawę.

Nigdy dotąd nie piłam kawy. Mutti uważała, że porządne dziewczęta z dobrych rodzin powinny pić herbatę – kawa, choć popularna, była jej zdaniem obcym wynalazkiem, który sprawiał, że oddech stawał się kwaśny.

Kiedy kelner odszedł od stolika, Mademoiselle westchnęła i zdjęła kapelusz, po czym zanurzyła palce we włosach, uwalniając przy tym kolejne kosmyki. Nagle, bez ostrzeżenia, oznajmiła:

– Musisz mi powiedzieć, czym się tak martwisz.

Byłam kompletnie zaskoczona.

– Martwię? Niczym się nie martwię, Mademoiselle.

Niczym oprócz tego, że siedziałam z nią w kawiarni przy bulwarze i w każdej chwili mógł nas zobaczyć jakiś znajomy Mutti.

– Och, nie. – Pogroziła mi palcem. – Mam wystarczająco dużo doświadczenia, by widzieć, że uczennica coś ukrywa.

– Doświadczenia?

– Tak. – Kiwnęła głową, kiedy kelner postawił przed nami dwie filiżanki z ciemnym płynem. Mademoiselle nalała sobie śmietanki, a następnie podała mi dzbanuszek. – Dzięki temu jest mniej gorzka. – Zrobiłam, jak radziła, a ona mówiła dalej: – Zanim tu trafiłam, pracowałam jako guwernantka. Miałam trzy podopieczne i naprawdę umiem rozpoznać, kiedy dziewczyna czymś się zamartwia.

Przez jedną przerażającą chwilę myślałam, że przejrzała mnie na wylot, że zdradziły mnie prezenty i sposób, w jaki zabiegałam o jej uwagę. Ale nagle zdałam sobie sprawę, że nie wydawała się zła ani zdenerwowana. Utkwiła we mnie wzrok i zapewniła:

– Obiecuję, że wszystko, co powiesz, zostanie między nami.

– To będzie... nasza tajemnica? – Sączyłam kawę. Jej smak przypominał słodki, płynny aksamit.

– Jeżeli tego chcesz. *Un secret entre nous.*

Mówiłam po francusku całkiem dobrze, ale nie na tyle dobrze, by opisać gwałtowną falę emocji, która we mnie wezbrała. Mimo cudownej, ekscytującej bezpośredniości Mademoiselle nie chciałam jej się nadmiernie narzucać. Nikt nigdy nie pytał mnie, jak się czułam, nie interesował

się moimi najskrytszymi myślami. Miałam wrażenie, że Mutti stoi nade mną i szepcze mi do ucha swój refren: „Nie należy okazywać uczuć w towarzystwie”.

Odwróciłam wzrok.

– To naprawdę nic takiego – wymamrotałam.

Nauczycielka dotknęła mojej dłoni. Ciepło jej palców rozlało się po całym moim ciele, aż po koniuszki stóp.

– Proszę. Chciałabym ci jakoś pomóc.

Czy naprawdę tak łatwo mnie przejrzeć? A może po prostu nikt nie widział we mnie do tej pory osoby, która ma uczucia i nad którą warto się pochylić?

– Chodzi o... moją matkę. Zamierza ponownie wyjść za mąż.

– To wszystko? Wydawało mi się, że trapi cię coś innego.

– Jak to? – Z przerażeniem myślałam o tym, co jeszcze mogła odgadnąć. Wiedziałam, co zaraz powie: uczucie, którym ją darzyłam, choć jej pochlebiało, było między uczennicą a nauczycielką absolutnie niestosowne.

Zamiast tego Mademoiselle oznajmiła:

– Wydawało mi się, że może chodzić o jakiegoś chłopca, który ci się podoba. Albo o kobiece problemy?

Zrozumiałam, co miała na myśli, i potrząsnęłam głową. Pierwszą miesiączkę dostałam trzy miesiące temu.

– Czyli chodzi tylko o ślub twojej matki? Ale dlaczego się tym martwisz? Nie lubisz jej przyszłego męża?

– Nie znam go. Mój ojciec zmarł, kiedy miałam sześć lat. Do tej pory byłyśmy tylko my: Mutti, moja siostra i ja... – Po chwili opowiadałam jej już w najlepsze o Herr von Loschu,

przeprowadzce do Dessau, mojej grze na skrzypcach i o tym, że Mutti chce mnie posłać do konserwatorium. Opanowałam się dopiero wtedy, gdy byłam o krok od wyznania, że Mademoiselle także stanowiła powód moich niepokojów. Nie potrafiłam jednak nazwać uczuć, które we mnie rozbudziła, i nie chciałam jej do siebie zrazić.

Wypiła łyk kawy i powiedziała:

– Rozumiem, że zmiany budzą często przerażenie. *Mon Dieu*, doskonale to rozumiem. Ale sądzę, że nie masz powodów do obaw. Twoja matka wydaje się rozsądną, porządną kobietą, która po prostu znalazła sobie męża. Pragniesz, żeby była szczęśliwa i żeby ktoś się nią opiekował, prawda? Poza tym Dessau nie jest wcale tak daleko. Na pewno są tam szkoły, w których uczą się inne dziewczęta. – Zamilkła na chwilę. – Z nikim się tu nie zaprzyjaźniłaś. Ta ciemnowłosa dziewczyna, która siedzi obok ciebie, Hilde... Wiecznie próbuje zwrócić na siebie twoją uwagę, ale zachowujesz się tak, jakby była niewidzialna.

Naprawdę? Nic nie zauważyłam. Ale z drugiej strony w ostatnim czasie nie zauważałam w szkole niczego – poza Mademoiselle.

– Dziewczyna tak ładna i tak inteligentna jak ty mogłaby mieć setki przyjaciółek, gdyby tylko chciała. Ale nawet nie próbujesz. Prawda?

Ta rozmowa zmierzała w dziwnym kierunku. Nie chciałam rozmawiać o braku przyjaciółek. Chciałam...

Wskazała moją filiżankę.

– Powinnaś wypić kawę, zanim całkowicie wystygnie.

Jednym ruchem opróżniłam filiżankę, a Mademoiselle przyglądała mi się z taką uwagą, jakby czytała mi w myślach.

– Byłaś kiedyś w *cinématographe*? – zapytała niespodziewanie.

– Gdzie? – Nie miałam pojęcia, o czym mówi.

– Chodzi mi o ruchome obrazy. Kinematograf.

Znałam ten termin, ale nigdy nie odwiedziłam takiego miejsca. Mutti by tego nie pochwalała.

– Nie byłaś. Doskonale! Znam jeden niedaleko stąd. Może nie tak wspaniały jak te w Berlinie, ale za to jest od nich znacznie tańszy. Znajduje się w sali kabaretu. W czasie weekendów wieczorami wyświetlają tam filmy. Miałabyś ochotę towarzyszyć mi podczas takiego seansu? Uwielbiam kino. Uważam, że to najlepsza rozrywka współczesności, która sprawi, że nawet teatr przejdzie do historii. Pokazują dziś *Der Untergang der Titanic*. Wiesz, o czym to jest?

Pokiwałam głową.

– Titanic zderzył się z górą lodową i zatonął. – Dwa lata wcześniej, kiedy do tego doszło, wszyscy sprzedawcy gazet wykrzykiwali ten tytuł przez wiele dni.

– Zgadza się. Zginęło mnóstwo ludzi. Słyszałam, że to niesamowity film. Produkcji Continental-Kunstfilm. – Przywołała kelnera i poprosiła o rachunek. – Jeżeli się pospieszymy, zdążymy na pierwszy seans.

Wiedziałam, że powinnam odmówić, podziękować za kawę i wrócić do domu, zanim będzie za późno.

W przeciwnym razie Liesel zacznie się o mnie martwić, a potem powie Mutti, że zjawiłam się dużo później, niż miałam...

Mademoiselle położyła monety na tacy z rachunkiem i wstała, po czym wyciągnęła do mnie rękę.

– Szybko, Marleno. Bo przegapimy *Stadtbahn*!

Jak mogłam odmówić? Wzięłam Mademoiselle Bréguand za rękę i pozwoliłam jej się prowadzić.

Płakałam rzewnymi łzami.

Kompletnie straciłam nad sobą panowanie. Ziarniste obrazy na nierównym ekranie nagle ożyły, a naszym oczom ukazał się zagubiony na oceanie tytan, opuszczeni ludzie czekający na ratunek na pokładzie, orkiestra grająca ostatni utwór i ściśnięte na łodziach ratunkowych kobiety, które z przerażeniem patrzyły na to straszliwe widowisko. Ogarnęły mnie smutek i zachwyt. W pewnym momencie z wrażenia ścisnęłam nawet kolano Mademoiselle: byłam tak poruszona, że na nic nie zwracałam uwagi. Znajdowałyśmy się co prawda w miejscu publicznym, ale na sali panowała ciemność. Cuchnęło piwem i papierosami, a pozostali widzowie byli bez reszty pochłonięci filmem: co pewien czas wydawali stłumione okrzyki i coś do siebie szeptali.

Po filmie jeszcze długo nie mogłam się otrząsnąć.

– Czyż to nie wspaniałe? – zapytała Mademoiselle z zachwytem. – Pewnego dnia chciałabym się tam znaleźć.

– Na Titanicu? – zapytałam ze zdziwieniem. Nie potrafiłam sobie wyobrazić tego koszmaru: jestem

uwięziona w łodzi ratunkowej na oceanie i muszę patrzeć, jak moi bliscy toną, powoli zanurzając się w czarnej toni.

– Nie, głuptasie. Na ekranie. Chcę zostać aktorką. Właśnie dlatego przyjechałam tu z Paryża. Pracuję jako nauczycielka, bo muszę zebrać dość pieniędzy, żeby wynająć pokój w Berlinie. Życie w Berlinie jest niesamowicie drogie: to obecnie najszybsze miasto świata, a ja muszę jeszcze opłacić zajęcia aktorskie. – Znowu wzięła mnie za rękę. Stałyśmy na przystanku i czekałyśmy na tramwaj. – Teraz obie znamy swoje tajemnice. Właśnie powierzyłam ci swoją.

Bardzo pragnęłam ją zapytać, czy kogoś kocha albo za kimś tęskni, czy wyruszając w pogoń za marzeniami, zostawiła we Francji bliskiego sercu człowieka. Nie mogłam jednak wydusić z siebie ani słowa. Wkrótce dotarłyśmy na bulwar. Wzdłuż ulicy, w świetle nowych, elektrycznych latarni, ludzie gromadzili się w ogródkach piwnych i kawiarniach.

Ruszyłyśmy szybkim krokiem w stronę budynku szkoły.

Mademoiselle zatrzymała się przy bramie.

– Mieszkam tam – oznajmiła, wskazując boczną uliczkę biegnącą wzdłuż starych, rozpadających się budynków. – Ale mogę cię odprowadzić do domu i wytłumaczyć, dlaczego się spóźniłaś. – Na jej twarzy pojawił się figlarny uśmiech. – Powiemy, że nie zdążyłaś wykonać zadania na czas. Możliwe, że twoja mama będzie niezadowolona.

– Nie trzeba. Mama pracuje dziś do późna. Przypuszczam, że nie wróciła jeszcze do domu. – Choć czułam się tak,

jakby minęła cała wieczność, film trwał tylko czterdzieści minut. Nie wątpiłam, że dostanę burę od Liesel, ale przypuszczałam, że Mutti zjawi się najwcześniej o dziewiątej.

– Ach, no tak. Zapomniałam. Pojechała do Dessau. No cóż, jesteś pewna, że wszystko będzie w porządku?

– Tak. – Zamierzałam dygnąć, ale ona wyciągnęła rękę w moją stronę i mocno mnie objęła. Pachniała potem, choć wyczuwałam też na jej ubraniach delikatną woń lawendy, aromat kawy i ostry zapach kabaretu. Rozpłynęłam się w jej ramionach. – *Merci*, Mademoiselle.

– *Mais non, ma fille*. – Ujęła mój podbródek i pocałowała mnie w oba policzki. – Kiedy jesteśmy same, mów mi Marguerite. Kobiety, które znają swoje tajemnice, muszą też być przyjaciółkami, *oui*?

Obróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie. Zanim zniknęła w cieniu pobliskich budynków, lekko się odwróciła i uniosła rękę.

– *À bientôt, mon amie Marlena!*

Nie chciałam się z nią rozstawać. Postanowiłam się nie kąpać, żeby nie zmyć z dłoni jej zapachu. W drodze do domu nieustannie przykładałam palce do nosa i mocno wciągałam powietrze, nie zważając na panujący chłód.

Ciepły lipiec nas opuścił.

To był ostatni raz, kiedy widziałam Marguerite Bréguand.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Odeszła – oznajmiła Hilde. Siedziałyśmy na podwórku, niedługo po tym, jak Frau Becker poinformowała nas, że lekcja francuskiego nie odbędzie się ani dzisiaj, ani w najbliższej przyszłości. – Nie wiem dlaczego.

Zaniepokojona nieobecnością Mademoiselle, zdecydowałam się zaczepić Hilde, szczupłą, ciemnowłosą dziewczynę, która powiedziała mi tamtego dnia, że *parfait* znaczy „doskonale”, i starała się zwrócić moją uwagę. Natychmiast skorzystała z okazji, by stać się moją powiernicą, ale ku mojemu niezadowoleniu nie wiedziała o niczym, co mogłoby wyjaśnić ten niespodziewany bieg zdarzeń.

Usiadłyśmy obok siebie. Pozostałe dziewczęta – zachwycone tym, że mają wolne popołudnie – skakały na skakance. Wyjęłam z kieszeni ostatni marcepan i dałam go Hilde.

– Proszę.

– Och. – Przyjęła go ode mnie z takim namaszczeniem, jakbym wręczyła jej perłę. – Dziękuję, Mario.

– Marleno – poprawiłam ją, wciąż rozglądając się za Mademoiselle. – Mam na imię Marlena.

– Naprawdę? Myślałam, że Maria... Marlena to bardzo dziwne imię, chociaż też ładnie brzmi. – Wzruszyła ramionami, przeżuwając marcepan.

– Naprawdę o niczym nie słyszałaś? – zapytałam ponownie. – Jak mogła tak po prostu wyjechać? Miała przecież zastępować Madame. Od dawna szukano nowej nauczycielki, a Mademoiselle spędziła u nas tylko kilka tygodni.

Hilde rozważała przez chwilę moje słowa.

– Może to ma związek z wojną.

– Z wojną? – Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. – Przecież nie ma wojny.

– Jeszcze nie. – Widać było, że Hilde chce przekazać mi coś ważnego, coś, o czym jej nowa przyjaciółka nie wiedziała. – Ale mówi się, że kajzer zamierza wypowiedzieć wojnę... – Zmarszczyła brwi. – No cóż, nie wiem do końca komu, ale mój ojciec jest w piechocie i napisał w zeszłym tygodniu do mojej matki. Jego pułk postawiono w stan gotowości bojowej. Wojna może wybuchnąć w każdej chwili.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – oznajmiłam. Pewny siebie ton, z jakim to powiedziałam, nie do końca odzwierciedlał moje uczucia. Dlaczego miałabym cokolwiek słyszeć? Nawet gdyby wojna wybuchła na naszej ulicy, tuż pod naszym domem, to Mutti pozostałaby niewzruszona – o ile siły wroga nie zaczęłyby dobijać się do naszych drzwi.

Z przerażeniem pomyślałam, że ktoś mógł nas zobaczyć i donieść na Mademoiselle naszej *Schulleiterin*, dyrektorce szkoły. Zatrzymanie uczennicy po lekcji i nadrabianie z nią zaległości to jedno – ale zabranie jej na kawę i seans w kinematografie to już zupełnie inna sprawa. Powód do

zwolnienia. Czyżbym stała się niechcący przyczyną tajemniczego zniknięcia Mademoiselle?

Jeżeli tak, nie mogłam siedzieć bezczynnie. *Tu etwas!* – zawołałam w myślach, po czym zerwałam się na równe nogi i chwyciłam torbę.

Hilde spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Na brodzie miała kawałki marcepana.

– Dokąd się wybierasz?

– Wychodzę ze szkoły. – Zamierzałam ruszyć przez podwórko, ale Hilde złapała pasek mojej torby.

– Marleno, nie możesz tego zrobić. Jeszcze nie było ostatniego dzwonka. Brama jest zamknięta.

– *Dumme Kühe* – zaklęłam. – Głupie krowy. To szkoła czy więzienie?

– Jedno i drugie – oznajmiła Hilde. Uśmiechnęłam się. Choć wydawała się niepozorna, okazała się całkiem dowcipna. – Ale nigdy nie zamykają tylnej bramy. Strażacy powiedzieli, że musi być otwarta na wypadek niebezpieczeństwa. A ponieważ wszyscy są tutaj... – Wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Przemknęłyśmy przez opustoszały budynek i skierowałyśmy się do tylnej bramy, która wychodziła na błotnistą ścieżkę graniczącą z pastwiskami, będącymi do niedawna jedną z głównych atrakcji Schönebergu. Teraz jednak w miejscu upraw ziemniaków i sałaty wyrastały kolejne domy – tanie budynki, które miały pomieścić ludność napływającą tu z Berlina. Przypomniałam sobie to, co Mademoiselle opowiadała mi o swoich marzeniach.

Czyżby nasza wizyta w kinematografie skłoniła ją do zmiany planów i wyjazdu do miasta, które nazwała „najszybszym na świecie”?

Ścieżka skręcała w boczną uliczkę, przy której mieszkała Mademoiselle. Kiedy jednak wyszłyśmy na nierówny bruk, po którym krążyły bezpańskie psy i snuły się grające w kulki rachityczne dzieci, uświadomiłam sobie, że nie widziałam, do którego budynku weszła nauczycielka. Nie miałam pojęcia, w której z tych ruder mieszkała.

– I co? – zapytała Hilde. Podziwiałam jej odwagę. Nie wahała się ani chwili i natychmiast opuściła razem ze mną teren szkoły, choć jej też groziła przecież kara.

Westchnęłam.

– Poszła tędy, ale... – Moje słowa zagłuszyło dochodzące z oddali dudnienie. Po chwili rozległ się dźwięk maszerujących stóp i okrzyki. Odwróciłam się ze zdziwieniem, a Hilde zawołała:

– Zaczęło się!

Pobiegła w stronę głównej alei, a ja nie miałam wyboru i musiałam ruszyć w ślad za nią. Zerknęłam przez ramię, licząc na to, że panujące na ulicy zamieszanie skłoni mieszkańców do opuszczenia budynków, ale zareagowały jedynie psy, które nadstawiły uszu. W oknach, do których nikt nie podszedł, jakby nigdy nic suszyło się pranie.

W końcu, zdyszana, dogoniłam Hilde, która zatrzymała się na rogu. Przechodnie gromadzili się na chodnikach i patrzyli na maszerujących ulicą ludzi, którzy machali sztandarami oraz flagami z cesarskim czarnym orłem.

W demonstracji uczestniczyli głównie młodzi ludzie. Mieli podwinięte rękawy i wyglądali na robotników z pobliskich fabryk – Mutti skwitowałaby to jednym słowem: „motłoch”. Śpiewali następujące słowa: „Święty płomieniu, płoń! Płoń i nigdy nie gaśnij. Bronimy dzielnie Ojczyzny, walcząc o nasze cesarstwo!”.

– To *Chwała Ci, w wieńcu zwycięzcy*! – krzyknęła mi do ucha Hilde. – Widzisz? Wybuchła wojna!

Nie mogłam w to uwierzyć. Rozejrzałam się wkoło. Na ulicy gromadził się coraz większy tłum. Damy z parasolkami i małymi pieskami na smyczach, dżentelmeni w melonikach i guwernantki, które trzymały za ręce dzieci z szeroko otwartymi ustami – wszyscy ci ludzie klaskali i unosili w górę pięści, salutując i krzycząc z radości, tak jakby do miasta przyjechał cyrk.

– Czy oni oszaleli? – zapytałam.

Nikt mnie jednak nie słuchał. Hałas stał się ogłuszający, rozbrzmiewał echem po całej alei i unosił się w górę, ku niebu. Ledwo usłyszałyśmy w oddali szkolny dzwonek.

– Zwalniają nas z lekcji przed czasem! – zawołała Hilde ze zdziwieniem. – Szybko!

Zaczęła przeciskać się przez tłum, popychając mnie i szturchając tak długo, aż w końcu dotarłyśmy do szeroko otwartej bramy szkoły. Dziewczęta zbiły się tam w ciasną gromadkę i z przerażeniem obserwowały manifestację.

Nagle zauważyła nas Frau Becker.

– Hilde, Mario – warknęła. – Chodźcie tu natychmiast.

Przecisnęłyśmy się obok dziewcząt i podeszłyśmy do nauczycielki, która chwyciła nas za uszy.

– Jak śmiecie wymykać się ze szkoły? – zapytała Frau Becker. – Co wyście sobie, na Boga, myślały?

Hilde rzuciła mi porozumiewawcze spojrzenie. Najwyraźniej nauczycielka myślała, że wybiegłyśmy przed szkołę, kiedy otworzono bramę. Szybko wykorzystałam tę okazję.

– Chciałyśmy sprawdzić, co się dzieje. Nie odeszłyśmy daleko.

– Odeszłyście zdecydowanie za daleko – skarciła nas Frau Becker. – Poinformuję o tym dyrektorkę. Macie tupet. Wymykacie się ze szkoły w chwili, w której świat stanął w płomieniach.

– W płomieniach? – Nagle ta odległa wojna, o której mówiła Hilde, zaczęła mi się wydawać przerażająco realna.

– Tak. Jego cesarska mość poprzysiągł, że pomści zabójstwo księcia Franciszka Ferdynanda. Niemcy muszą bronić honoru Austrii. Ale niezależnie od wojny, uczennicom nie można pozwolić na taką niesubordynację.

Zaprowadziła nas prosto do biura dyrektorki. Podczas gdy słuchałyśmy z Hilde jej napomnień, po których miałyśmy przez tydzień dostawać dodatkowe prace domowe i nie wychodzić na podwórko, tuż za bramą szkoły cały nasz naród pędził na oślep ku katastrofie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Naprawdę muszę to robić? – Kostniały mi palce. Spuściłam wzrok i spojrzałam na kosz pełen wełny ze sprutych starych swetrów. Miałam z niej robić mitenki, czapki i szaliki. Mój wiecznie pusty żołądek zalała fala rozpaczy.

– Wolisz, żeby dzielni mężczyźni walczący na froncie doznali odmrożeń tylko dlatego, że jesteś zmęczona? – zapytała Mutti. – Musimy im pomóc, musimy odwdzięczyć im się za te wszystkie poświęcenia. Przestań narzekać i skończ ten szalik. Powinnam przekazać te rzeczy zmierzającym na front pielęgniarkom z oddziałów pomocniczych.

Ledwo się powstrzymałam, żeby nie spojrzeć na Liesel i nie przewrócić oczami. Ona też siedziała z nami w olbrzymim salonie rezydencji von Loscha w Dessau, gdzie przeprowadziłyśmy się po wybuchu wojny.

Ku mojemu zadowoleniu nie miałyśmy zbyt wielu okazji do poznania pułkownika: niedługo po naszym przyjeździe musiał ruszać na front. Z tego, co zdążyłyśmy zaobserwować, wynikało, że był sztywnym, pozbawionym poczucia humoru mężczyzną, który zwracał się do Mutti per „Frau” i ledwo nas zauważał, traktując jak dwie dodatkowe walizki. W czasie tych pierwszych tygodni starałyśmy się nie wchodzić mu w drogę. Trzymałyśmy się wyznaczonych pór posiłków, a kiedy zasiadałyśmy przy stole, w milczeniu

słuchałyśmy, jak peroruje o pruskim honorze i konieczności jego obrony. Z kolei Mutti spełniała każdą zachciankę von Loscha i zachowywała się tak, jakby nadal była jego służącą, a nie kobietą, z którą zamierzał się ożenić. Ku mojemu zaskoczeniu przed jego wyjazdem przyszli małżonkowie nie zadbali o to, żeby zdążyć ze ślubem. Zastanawiałam się, dlaczego Mutti nalegała na przeprowadzkę – bałam się jednak o to pytać. Jak Josephine Felsing mogła mieszkać z mężczyzną przed złożeniem przysięgi małżeńskiej i otrzymaniem błogosławieństwa kościelnego? Ale przecież tak naprawdę z nim nie mieszkała, prawda? Wyruszył na front, by walczyć za Cesarstwo, a dla zewnętrznych obserwatorów Mutti była nadal jego gospodynią, tyle że obecnie nadzorowała dom w Dessau. Przypuszczałam, że wszystkie te decyzje zostały wymuszone przez naszą sytuację finansową, choć mama prędzej by umarła, niż się do tego przyznała. Nie mogłybyśmy utrzymać mieszkania bez jej pracy, więc musiałyśmy żyć tam, gdzie kazał nam żyć Herr von Losch. Nie podobało mi się to. Posępna uległość Mutti budziła mój niepokój. Zaczęłam wreszcie rozumieć, co Liesel miała na myśli, mówiąc o sytuacji samotnej kobiety: choć mama z taką siłą podkreślała znaczenie naszego nazwiska, to wcale nie zajmowałyśmy uprzywilejowanej pozycji. W zasadzie zależałyśmy wyłącznie od zachcianek jej pracodawcy.

W rzeczywistości Mutti nie miała w Dessau zbyt wiele zadań. Oprócz zrzędliwego katolickiego kucharza

pracowała tam tylko jedna przerażona codziennymi inspekcjami służąca oraz kulawy stangret, który – jak wynikało z tego, co zdążyłam zaobserwować – pozostawał kompletnie bezczynny, bo stajnie były puste. Wszystkie konie zostały zabrane do działań frontowych i jeśli chciało się dawać wiarę plotkom, ich mięso wykorzystywano teraz do gotowania zup.

W Dessau było nudno i ponuro. Tęskniłam za Schönebergiem – tęskniłam nawet za szkołą. Żyłyśmy jak w więzieniu, całymi dniami szyłyśmy, robiłyśmy na drutach i przygotowywałyśmy paczki dla żołnierzy, podczas gdy nasze własne racje żywnościowe stopniowo się kurczyły. Kupienie mięsa, mleka i mąki graniczyło z cudem, więc jadałyśmy chleb z trocin i niezliczone dania z brukwi. Dzięki temu, że zostałam zapisana do szkoły parafialnej w Dessau, udawało mi się przynajmniej wydostawać codziennie z domu; oprócz obowiązkowych lekcji wykonywałyśmy tam te same zadania: wspierałyśmy żołnierzy potem i krwawiącymi palcami, a do tego co tydzień śpiewałyśmy w ratuszu patriotyczne pieśni, podczas gdy burmistrz odczytywał niekończące się listy poległych.

– Kiedy przyjadą wujek Willi i Oma? – odważyłam się w końcu zapytać. Minęło kolejne pół godziny, a brzęk szydełek doprowadzał mnie do szału. – Mieli nas niedługo odwiedzić.

Ostatnimi czasy jedynym wytchnieniem od straszliwej monotonii naszych dni stały się spotkania z krewnymi. Młodszy brat Mutti, Max, zginął na froncie – choć ledwo go

znałam, po tej tragedii modliłyśmy się przez wiele dni. Bardziej ekscytujący wydawał mi się jednak fakt, że jeden z wujków ze strony ojca uczestniczył w nalocie zeppelinów na Londyn, a informacja o tym śmiałym wyczynie trafiła nawet do gazet. Tymczasem wujek Willi nie został powołany do wojska: nadzorował interesy Felsingów, a kajzer zażądał, by przekształcił naszą fabrykę zegarków w zakład zbrojeniowy. Wujek Willi wynajął też górne piętro głównego berlińskiego sklepu człowiekowi, który wynalazł nowe, rewolucyjne urządzenie optyczne służące do projekcji dokumentujących wojnę filmów zamawianych przez cesarza. Nie mogłam się doczekać, aż dowiem się więcej o działaniach wujka, i niecierpliwie wyczekiwałam jego wizyt. Towarzyszyła mu zwykle Oma, która mieszkała z Willim w ich berlińskim domu. Niezależnie od zawieruchy wojennej, zawsze roztaczali wokół siebie pełen wyrafinowania urok: wokół wujka unosił się obłok dymu z rosyjskich papierosów – z tego luksusu nie chciał i nie potrafił zrezygnować – a babcia była w swoich sobolach i perłach równie elegancka co zwykle. Na ich widok zawsze uświadamiałam sobie z niemałym zdziwieniem, że gdyby tylko Mutti zdecydowała się poprosić o pomoc, mogłybyśmy zamieszkać z nimi w Berlinie, zamiast przeprowadzać się do domu nieznajomego mężczyzny.

– Ciężko się teraz podróżuje. Zdecydowałam, że zatrzymacie się u nich, kiedy wyruszę na front – oznajmiła Mutti, posyłając mi surowe spojrzenie.

– My... zamieszkamy u nich w Berlinie? – zapytałam, starając się ukryć podekscytowanie.

– Oczywiście. – W głosie Mutti usłyszałam napięcie. Nie miałam odwagi dopytywać o szczegóły, ale mama zdawała sobie sprawę, że rozumiem zdecydowanie więcej, niżby chciała. – Nie mogę zostawić was tu samych, prawda? No dobrze – dodała, lekko podnosząc głos, żeby uprzedzić moje pytania o termin wyjazdu i inne szczegóły – skończyłaś już swoją pracę? Nie, widzę, że masz jeszcze wiele do zrobienia. Leno, twoje lenistwo jest nie do przyjęcia i wystawia nam bardzo złe świadectwo. Toczy się wojna. No już, *tu etwas*.

Zacisnęłam zęby i wróciłam do robótki. Nie mogłam się doczekać, aż Mutti wyjedzie na front, gdziekolwiek się on teraz znajdował. Liczyłam na to, że wreszcie przestanie przypominać nam o wojnie, która trwała już cztery lata i pochłaniała absolutnie wszystko, każdą sferę życia. O wojnie wiedziałam bardzo niewiele, z wyjątkiem tego, że podczas gdy w ostrzałach artyleryjskich i w okopach ginęły tysiące ludzi, Mutti wierzyła, że przesyłanie pudeł z rękawiczkami w jakiś sposób doprowadzi do jej zakończenia. Rękawiczki! Tak jakby kajzer zamierzał w ramach rozmów pokojowych przekazać naszym wrogom całe ich ciężarówki.

Zaburczało mi w brzuchu. Byłam wiecznie zmęczona i głodna, nie wiedziałam nawet, co powinnam czuć. Zdawałam sobie sprawę, że wojna zbiera obfite żniwo i że w tej sytuacji należy odczuwać żal. Tego od nas

oczekiwano. Listy poległych z każdym dniem stawały się coraz dłuższe, a wielu młodych mężczyzn – takich jak ci, którzy maszerowali tamtego dnia aleją w Schönebergu – zginęło w straszliwych okolicznościach. Aby podkreślić powagę i dramatyzm sytuacji, w której znalazł się nasz kraj, Mutti wyhaftowała nawet słowa wiersza Freiligratha, które następnie oprawiła i powiesiła nad kominkiem w naszym salonie:

Och, kochaj, póki możesz jeszcze kochać!
Och, kochaj, póki na miłość możesz liczyć!
Nadejdzie godzina, nadejdzie godzina,
Gdy staniesz nad grobami i zapłaczesz.

Mamrotała te słowa pod nosem i odmawiała niczym litanię, powtarzając je w nieskończoność – tak samo jak kucharka, która nieustannie recytowała swoje modlitwy i która ilekroć zakradałam się do kuchni po coś do jedzenia, trzymała w ręku różaniec. Gdybym nie znała Mutti, mogłabym pomyśleć, że zawierucha, która wywróciła świat do góry nogami i rzuciła Niemcy na kolana – sprawiała jej przyjemność.

Wiedziałam, że podobnie jak Mutti, powinnam głęboko wierzyć, że nasz kraj odniesie zwycięstwo. Powinnam być dumna z ponoszonych przez nas ofiar i z wytrwałości, z jaką broniliśmy swojego honoru. Ale kiedy już zdołałam się skupić, potrafiłam myśleć tylko o Mademoiselle. Zastanawiałam się, dokąd wyjechała. Przypuszczałam, że

nie mogąc dłużej marzyć o karierze aktorskiej, postanowiła wrócić do domu, do Francji.

O zmroku musiałyśmy przerywać pracę. Ponieważ coraz trudniej było o naftę, jadłyśmy skromną kolację przy lampach zasilanych cuchnącym łojem, po czym kładłyśmy się do łóżek – jedynego miejsca, w którym znajdowałyśmy schronienie podczas długich zimowych nocy.

Liesel spała jak kamień. Jej hart ducha i wytrzymałość mnie zadziwiały. Nie mogłam uwierzyć, że ta siedemnastoletnia dziewczyna, zbyt krucha i delikatna, by chodzić do szkoły, potrafiła spędzać przy pracy długie godziny, ani razu się nie krzywiąc i dzierżąc igłę tak wytrwale, jakby zależało od tego jej życie. Uszyła dwa razy więcej rękawiczek i czapek ode mnie – i nie poskarżyła się przy tym ani razu.

Ja natomiast byłam tak zmęczona, że nie mogłam spać. Zamknęłam oczy i próbowałam sobie przypomnieć tamten magiczny wieczór, kiedy siedziałam obok Mademoiselle, a na moich oczach rozgrywała się zupełnie inna tragedia. Rozpaczliwie usiłowałam przywołać wspomnienie zapachu dawnej nauczycielki, zobaczyć w myślach jej uśmiech i usłyszeć chichot, który towarzyszył jej, kiedy zwierzała mi się ze swoich marzeń.

„Kobiety, które znają swoje tajemnice, muszą też być przyjaciółkami, *oui*?”.

A jednak ten obraz zdążył już wyblaknąć w mojej pamięci i stał się odległym, nieruchomym zdjęciem utrwalonym w sepii. Równie martwym co bursztyn.

Straciłam ją.

Pozostała mi tylko niekończąca się orka, codzienny strach i wątła nadzieja, że pewnego dnia wojna wreszcie dobiegnie końca i zaczniemy życie od nowa.

Mutti wyjechała na front na początku 1918 roku, wkrótce po tym, jak przyszła do nas pilna wiadomość, że pułkownik von Losch został ranny. Zgodnie z obietnicą po drodze zawiozła mnie i Liesel do Berlina.

Wreszcie udało mi się wrócić do miasta, które tak kochałam – choć znałam je tylko z krótkich wizyt w towarzystwie Mutti. Ku mojemu zaskoczeniu Berlin nie tętnił życiem. Nie był już najszybszym miastem na świecie. Stał się szary i ponury. Ulice opustoszały i pojawiali się na nich tylko starzy ludzie oraz ubrane w czerń wdowy, które kurczowo ściskały postrzępione szale i przeszukiwały stosy śmieci.

Na szczęście to cierpienie zostało oszczędzone Omie. Wujek Willi nadal czerpał spore zyski ze swojego zakładu zbrojeniowego, utrzymywanego przez samego kajzera, a wytworna rezydencja Felsingów, pełna żyrandoli i aksamitnych zasłon, niewiele zmieniła się od czasów mojego dzieciństwa. Nawet teraz, pośród wojennej zawieruchy, pozostawała pomnikiem naszej rodzinnej przedsiębiorczości.

– Wyrosłaś na śliczną dziewczynę – powiedziała babcia, poprawiając okulary i uważnie mi się przyglądając. – Nie jesteś podobna do nikogo z naszej rodziny, *mein Lieber*.

– Jestem podobna do Mutti – zauważyłam. Poszłyśmy na górę, do jej buduaru. Oczywiście nadal używała słowa „buduar” oraz wielu innych francuskich wyrazów i sformułowań, choć kazano nam nienawidzić Francji i każdego innego kraju, który nie był naszym sojusznikiem. – Odziedziczyłam po niej włosy i oczy...

– Nie, oczy nie. – Oma szeroko się uśmiechnęła, a bransoletki zagrzechotały na jej kościstych nadgarstkach. – Twoje oczy wyglądają zupełnie inaczej niż nasze. Są szerzej rozstawione i mają cięższe powieki. Nie, muszę przyznać, choć niechętnie, że oczy odziedziczyłaś po ojcu. I czoło. Był przystojnym mężczyzną. Pewnie go nie pamiętasz, ale cechowała go jakaś krzepka, pełna witalności atrakcyjność. Choć pozostawał Dietrichem... – Wydęła wargi. – To nazwisko mówi samo za siebie. Przypominał klucz uniwersalny. Pasował do każdego zamka, a nie otwierał żadnych drzwi. Nie nadawał się dla Josephine. Staraliśmy się jej to wytłumaczyć, ale pomoc i rady to dwie rzeczy, których nigdy nie potrafiła przyjąć.

Niechętnie rozmawiałam o ojcu. Pozostawał dla mnie cieniem, odległą postacią, ikoną, którą Mutti umieściła na piedestale. Jego oprawione w złotą ramę zdjęcie wisiało na honorowym miejscu w naszym mieszkaniu, ale na fotografii widziałam tylko nieznajomego rumianego mężczyznę. Zamiast go wspominać, wolałam zwiedzić pokój Omy, pełen buteleczek perfum, błyskotek i sztucznych jajek Fabergé. W rogu stało długie, sięgające do podłogi lustro obwieszone szalami i kapeluszami. Ostatnimi czasy rzadko miałam

okazję patrzeć na swoje odbicie. W Dessau Mutti odwróciła wszystkie lustra do ściany, żeby w ten sposób oddać cześć poległym.

Spojrzałam teraz na swoje odbicie: byłam chuda, wyższa, niż pamiętałam, sukienka wisiała na mnie jak worek, a do tego...

Zbliżyłam się do lustra.

Czy byłam piękna? Zobaczyłam twarz, którą znałam od zawsze, odmienioną za sprawą ostatnich wydarzeń: zapadłe policzki, blada skóra, spierzchnięte usta. Odkąd wybuchła wojna, chodziłam po domu ze spiętymi włosami – kolejna oznaka szacunku dla poległych, na którą nalegała Mutti – a wieczorami byłam zwykle zbyt zmęczona, by je rozpuszczać. Teraz jednak uniosłam dłoń i to zrobiłam, pozwalając, by włosy opadły mi na ramiona. Pilnie potrzebowały mycia i wydawały się nieco zniszczone, ale nabrały zdecydowanie wyraźniejszego miedzianego odcienia niż w dzieciństwie.

– Naprawdę uważasz, że jestem...? – Spojrzałam babci w oczy.

Kiedyś uchodziła za prawdziwą piękność. Wszyscy tak mówili. Dowodziły tego portrety wiszące nad schodami. Uznawano ją za jedną z najpiękniejszych kobiet w Berlinie. Na jej twarzy nadal można było zauważyć echo dawnej urody: miała delikatną skórę, lśniące oczy w kolorze śliwek i nienaganną fryzurę, teraz przyprószoną siwizną. Kiedy byłam dzieckiem, Oma wydawała mi się najcudowniejszą istotą na świecie. Podziwiałam jej elegancję: nosiła płaszcze

i sukienki z Paryża, kapelusze z piórami z Wiednia oraz szyte na miarę włoskie rękawiczki z maleńkimi perłowymi guzikami. Otaczała ją mgiełka liliowego *parfum*.

– Tak – odpowiedziała. – Jesteś piękną dziewczyną. Unieś spódnicę. – Ta prośba nieco mnie zaskoczyła. Ale właściwie... dlaczego nie? Przecież byłyśmy same. Przyjrzała mi się z uwagą. – Masz moje nogi. – Zachichotała. – A w każdym razie te z czasów mojej młodości. Na nogach takich jak nasze można zbić fortunę, *Liebchen*.

– Przecież nigdy nie odsłaniałaś nóg!

– Nie w miejscach, w których zobaczyłby je ktokolwiek poza moimi adoratorami – odpowiedziała. – Chyba nadszedł czas, żebyś przekonała się, jak mogłabyś wyglądać, gdyby poczciwa Josephine nie skupiała się wyłącznie na konwenansach, żałobie i tej uciążliwej wojnie.

Liesel drzemała. Odkąd zamieszkałyśmy u babci, moja siostra gwałtownie opadła z sił. Nie ulegało wątpliwości, że dotychczas okazywała taki hart ducha wyłącznie ze względu na Mutti. Chyba nic złego się nie stanie, jeśli pozwolimy sobie na odrobinę przyjemności? – pomyślałam.

– Zajrzyj do mojej garderoby. – Babcia wskazała na przestrzeń przylegającą do jej sypialni: nad komodami pełnymi halek, gorsetów i pończoch z koronki brukselskiej wisiały stroje z satyny, aksamitu, wełny i złotogłowiu. – Śmiało – dodała, widząc, że się waham. – Wybierz coś sobie. W twoich żyłach płynie krew Felsingów. Jesteś niemal tego

samego wzrostu i ważysz tyle samo co ja, kiedy miałam szesnaście lat.

– Nie ważę tyle samo – zaprotestowałam. – Bardzo schudłam.

– Schudłaś tyle, ile trzeba. – Pociągnęła nosem. – Robiłaś się, o ile dobrze pamiętam, dość pulchna. To przez te wszystkie ciastka z *confiserie*. Nowa dieta złożona z trocin i brukwi może się okazać idealnym lekarstwem dla wszystkich niemieckich matron zmagających się z nadwagą. Spójrz tylko na mnie. Niedługo skończę sześćdziesiąt trzy lata, a nie przytyłam ani grama.

– Ale nie dlatego, że żywisz się brukwią. – Roześmiałam się.

Zdecydowałam się na wieczorową suknię z szarego szyfonu i niebieskiego jedwabiu. Jej górna część była obcisła, rękawy plisowane, a spódnica wyszywana koralikami. Kiedy po nią sięgnęłam i odwróciłam się do babci, Oma westchnęła.

– Ach. Worth. Osobiście zdejmował ze mnie miarę w swoim atelier w Paryżu. Cóż za perfekcjonista. Nadzorował każdy szczegół. I wziął za to niemałe pieniądze. Przymierz ją.

Odwróciłam się do Omy plecami, ona jednak natychmiast mnie skarciła:

– Co to za pruderia? Mieszkasz u mnie czy u Josephine? Twoje ciało jest darem od Boga, a nie czymś, czego powinnaś się wstydzić.

Ponieważ rozbierałam się na oczach siostry przez całe życie, uznałam, że to podobna sytuacja. Rozpięłam guziki starej, przetartej sukienki i pozwoliłam, by opadła mi do kostek.

– Co ty na sobie masz? – Oma nosiła co prawda okulary, ale jej przerażenie nie było udawane. – Cóż to za... paskudztwo?

Spuściłam wzrok i spojrzałam na swoją bieliznę.

– Reformy – oznajmiłam.

Babcia zadrżała.

– Nie, nie. To wygląda upiornie. Nie możesz włożyć swojej pierwszej sukni Wortha na coś takiego. Będzie fatalnie leżała. Wyjmij z szuflady halkę, gorset i pończochy.

Kiedy już się przebrałam, musiałam podejść do kanapy i stać spokojnie, podczas gdy Oma wiązała mi gorset. Zrobiła to tak mocno, że ledwo mogłam oddychać.

– Nie jestem pewna, czy...

– Jeżeli czujesz się tak, jakbyś miała zaraz zemdleć, to znaczy, że jest idealnie – oznajmiła. – A teraz przynieś suknię.

Przechodząc przez pokój, zobaczyłam w lustrze swoje odbicie: smukła sylwetka, kredowa cera, satynowy gorset w różyczki podnoszący piersi tak wysoko, że lekko wystawały sutki. Moje nogi przypominały pilastry okryte jedwabnymi pończochami, których zwieńczenie stanowiły niebieskie podwiązki.

– Widzisz? – powiedziała Oma. – Proszę bardzo. Próżność, *mein Lieber*. Musisz z nią uważać. Sprawia, że ponętne

staje się nawet własne odbicie.

Ruszyłam pospiesznie po sukienkę. Babcia lekko się kołysała, czekając, aż wrócę. Ciężko jej się stało i nogi odmawiały jej posłuszeństwa: miała problemy z krążeniem i, jak przypuszczałam, nosiła gorsety przez całe życie. Po chwili zapięła mi suknię, wygładziła ją po bokach, po czym cmoknęła z dezaprobatą i oznajmiła:

– Jest zbyt luźna. O tutaj, w tym miejscu. Masz długie nogi i krótką talię, Marleno. Pamiętaj o tym podczas przymiarek. – Położyła na moich nagich ramionach pełne pierścionków palce, po czym odwróciła mnie do lustra. – *Voilà*! Nareszcie widać, że płynie w tobie krew Felsingów.

Nie wierzyłam własnym oczom. Nie patrzyłam już na wynędzniałą, mizerną dziewczynę. Stała przede mną zupełnie inna osoba. Ponętna i dojrzała. Elegancka.

Niebezpieczna.

Babcia musiała zauważyć, że się wzdrygnęłam, bo poklepała mnie po ramieniu.

– Nie ma czego się bać. Piękno jest ulotne. Powinnyśmy się nim cieszyć, dopóki czas nam go nie odbierze. Mówiłam ci, że jesteś piękna. A teraz możesz się sama o tym przekonać.

Łzy napłynęły mi do oczu.

– Ja... nie znam tej dziewczyny.

– Owszem, znasz. To ty jesteś tą dziewczyną. Tyle że ona ma do dyspozycji nieco lepszą garderobę. – Oma uśmiechnęła się, odsłaniając pokryte plamami zęby: była prawdziwą damą i piła wyłącznie herbatę. – Kiedy umrę,

zostawię ci swoje stroje. Możesz ich używać, jak tylko zechcesz, albo przerobić w taki sposób, żeby mieściły się w kanonach współczesnej mody. Nigdy już nie włożę żadnej z tych rzeczy. Suknia zawsze przeżywa właścicielkę. Czasem traci swoją atrakcyjność, ale ten proces nigdy nie zachodzi tak szybko, jak w przypadku ludzi.

– Oma. – Przytuliłam ją. – *Ich liebe dich*. – Te słowa po prostu ze mnie wypłynęły. To było szczere, spontaniczne wyznanie, sprzeczne z naukami Mutti, która uważała, że nie należy okazywać emocji.

– Ja też cię kocham. – Pocałowała mnie, po czym się cofnęła. – Musisz pojawić się w tym stroju podczas kolacji. Obie ubierzemy się elegancko, dobrze? Zejdziemy na dół jak królowe. Willi będzie zachwycony. Lubi patrzeć na zadbane kobiety. Od wielu miesięcy narzeka, że z powodu wojny każda kobieta w Berlinie wygląda jak pospolita *Hausfrau*. – Zamilkła na chwilę, po czym posłała mi szelmowski uśmiech. – No i wyobraź sobie, jak zareaguje twoja siostra.

Wyobrażałam sobie. I nie potrafiłam oprzeć się tej pokusie.

Tamtego wieczoru wkroczyłyśmy do jadalni w pełnym rynsztunku. We włosy wpięłyśmy diademy, które znalazłyśmy w szkatułce z biżuterią babci. Nałożyłyśmy róż na policzki, umalowałyśmy usta i wcisnęłyśmy na nogi satynowe pantofle. Strasznie bolały mnie w nich stopy, ale byłam zdeterminowana: zamierzałam to wszystko znieść, choćbym nawet musiała drobić kroki jak gejsza.

Wujek Willi, jak zwykle elegancki, w surducie, miał nawoskowane wąsy i trzymał między palcami jeden ze swoich nieskończenie długich czarnych papierosów. Kiedy się zjawiłyśmy, wykrzyknął z podziwem:

– *Les dames sont arrivées*!

Liesel szeroko otworzyła usta, a ja uśmiechnęłam się, skinęłam głową i powiedziałam:

– *Merci*, monsieur.

Poprosiłam o papierosa. Zachichotał, ale nie protestował. Nie zaciągałam się, bo nie umiałam tego robić, a dym delikatnie łaskotał mnie w nozdrza i drażnił moje gardło. Starałam się stłumić kaszel. Po chwili ruszyłam przez salon ku sofie, na której siedziała nieruchomo moja siostra.

– Co... co ty wyprawiasz? – zapytała Liesel. Patrzyła na mnie tak, jakbym postradała zmysły.

– To pomysł Omy. Czemu pytasz? Podoba ci się? Czy suknia nie jest przepiękna? – Zakręciłam się, żeby zademonstrować wspaniały tren, ale pantofle wbiły mi się w palce i lekko się zachwiałam. Niewiele brakowało, żebym upadła.

– To... to niemoralne. – Liesel zaczęła dygotać. – Mutti jest na froncie. Herr von Losch może właśnie umierać, a ty... bawisz się w przebieranki. Zachowujesz się jak idiotka.

Stojąca przy wujku Oma głośno westchnęła.

– Zaraz, spokojnie. Nie zachowuj się niegrzecznie, Liesel. Chciałyśmy tylko nieco ożywić ten posępny wieczór.

– „Ożywić”? – Liesel zerwała się z kanapy. – „Posępny”? – Nagle wybuchnęła płaczem, wybiegła z salonu i pomknęła

na górę. Po chwili rozległ się huk zatrzaskiwanych drzwi, który rozbrzmiał echem w całym domu.

– No cóż. – Oma uniosła starannie wyskubane brwi.

Dostrzegłam dezorientację malującą się na twarzy wujka Williego. Nie miałam siły dłużej zmagać się z niewygodnymi butami, więc po prostu je zdjęłam i chwiejnym krokiem ruszyłam w jego stronę.

– Co jej się stało?

Wujek spojrzał na mnie ze smutkiem.

– Kiedy byłyście na górze, przyszedł telegram. Niestety drzwi otworzyła Liesel i to ona przeczytała go jako pierwsza. Nie chciałem od razu psuć wieczoru, tym bardziej że obie wyglądałyście tak wspaniale, ale w tych okolicznościach...

– Co? W jakich okolicznościach? – Zrobiło mi się niedobrze. Nie tylko mężczyźni ginęli przecież na froncie. Ofiarami wojny padały też pielęgniarki i ochotniczki pracujące w szpitalach polowych.

– Nie, nie chodzi o twoją Mutti – zapewnił pospiesznie wujek, a ja opadłam z ulgą na kanapę. – Ale obawiam się, że dzielnego pułkownika nie ma już wśród nas. – Wujek wyjął z kieszeni surduta pomiętą kartkę.

Trzymałam w dłoniach buty, więc przejęła ją Oma, która poprawiwszy okulary, przystąpiła do czytania telegramu.

– Wygląda na to, że nie jesteśmy jedynymi głupimi dziewczynami w tej rodzinie – oznajmiła po chwili, unosząc wzrok. – Josephine wyszła za swojego pułkownika na rosyjskim froncie, w czasie, gdy przyjmował on ostatnie

namaszczenie. Moja córka wyruszyła na front jako wdowa i wróci stamtąd, nie zmieniając swojego statusu: jako wdowa von Losch.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mutti wróciła z frontu z ciałem pułkownika. Jego pośmiertna odprawa pozwoliła nam zamieszkać w wynajętym mieszkaniu w pobliżu rezydencji Felsingów. Matka powróciła do swojego dawnego zajęcia – znów trudniła się prowadzeniem domów. Z pewnym zdziwieniem i niezadowoleniem zdałam sobie sprawę, że ją podziwiam. Oma mogła twierdzić, że jest głupia, ale ślub Mutti przyniósł przecież pewne korzyści: odzyskała dzięki niemu niezależność i mogła zamieszkać w Berlinie.

Wojna zakończyła się w listopadzie 1918 roku. Przypieczętowały ją upokarzający rozejm oraz traktat pokojowy przygotowany w Paryżu przez aliantów. Kajzer został skazany na wygnanie, a Niemcy poddano izolacji. Wybuchły zamieszki, ludzie wyszli na ulice, by protestować przeciw niemal każdemu przejawowi ówczesnego życia, od braku żywności aż po gwałtownie rosnące inflację i bezrobocie. Nie mieliśmy już ani cesarza, ani cesarstwa, a w czasie, gdy rząd tymczasowy starał się opanować sytuację, Berlin pogrążał się w chaosie i anarchii. Wujek Willi stracił zamówienia od cesarskiej armii i musiał prosić bankierów o pożyczki, by utrzymać firmę. Szabrownicy wybijali okna i łupili sklepy wzdłuż Unter den Linden, a policja biła ich, zatrzymywała i wtrącała do przepełnionych więzień.

Po konsultacjach z Omą Mutti zdecydowała, że powinnyśmy z Liesel kontynuować edukację w nieco spokojniejszej okolicy: w Weimarze. Oczywiście nikt nie zapytał o zdanie ani mojej siostry, ani mnie. Mimo to, ku mojemu zaskoczeniu, kiedy poinformowano nas o wyjeździe, Liesel stanowczo zaprotestowała.

– Chcę zostać w Berlinie i zdobyć dyplom nauczycielki – oznajmiła mamie i babci. Siedziałam obok i słuchałam tego w osłupieniu. – W konserwatorium trzeba się uczyć muzyki, a ja nie chcę zostać muzykiem i brakuje mi talentu. To byłyby pieniądze wyrzucone w błoto.

Miała rację. Podczas gdy ja wróciłam do publicznej szkoły, a Oma opłacała mi prywatne lekcje gry na skrzypcach, Liesel siedziała w domu z nową guwernantką. Najwyraźniej to właśnie ona znowu rozbudziła w niej marzenia i ambicje.

– Chcesz zostać nauczycielką? Przecież należysz do rodziny Felsingów. Powinnaś mierzyć zdecydowanie wyżej... – zaprotestowała Mutti.

Oma przerwała jej, unosząc rękę władczym gestem. Ilekroć widziałam, jak matka okazuje jej posłuszeństwo, dreszcz przebiegał mi po plecach.

– To wrażliwe dziecko – powiedziała. – W obecnej sytuacji praca nauczycielki to bardzo dobre zajęcie. Chyba nie muszę ci przypominać, Josephine, że twoje córki powinny zacząć samodzielnie się utrzymywać. Pora porzucić dumę. Nazwisko Felsingów niewiele już znaczy. W naszej rodzinie talent muzyczny ma Marlena. Jeszcze będziemy z niej dumne.

Mimo pewności w głosie babci miałam ochotę pójść za przykładem Liesel. Przyzwyczaiłam się do tego, że po szkole pędziłam do Omy na lekcję skrzypiec, a potem zostawałam na kolacji. Niezależnie od sytuacji panującej na ulicach Berlina, wieczory w rezydencji Felsingów zawsze były radosne i pełne życia. Co prawda brakowało jedzenia i innych dóbr, ale za to zawsze znajdowały się tematy do ciekawych rozmów. Wujek Willi miał wielu znajomych – część z nich pracowała w teatrze – i zawsze przynosił niezliczone plotki o niefortunnych wypadkach, do których dochodziło za kulisami, a także krytyczne uwagi dotyczące naszego kraju, w którym plaster wołowiny kosztował teraz więcej niż bilet na spektakl. Najczęściej poruszanym tematem stała się powszechna konieczność zerwania z przeszłością i budowania nowych Niemiec, odrodzenia naszego wyniszczonego narodu. Słuchałam tego wszystkiego z szeroko otwartymi ustami. W salonie Omy gromadzili się dramatopisarze, aktorzy i artyści, którzy lekko zarumienieni po tanim winie, rozprawiali o tym, że pośród tych wszystkich kataklizmów sztuka musi dalej kwitnąć. To wszystko niewiarygodnie mnie ekscytowało, nawet jeśli nie rozumiałam większości wywodów. Poruszał mnie ich entuzjazm. Czułam, że na moich oczach dzieje się coś niezwykłego i że znajdę dla siebie miejsce w Berlinie, tak żeby móc pewnego dnia stać się częścią śmiałej wizji, którą roztaczali.

W pewnej chwili Oma utkwiła we mnie wzrok.

– To ty jesteś przyszłością. Ty i wszyscy młodzi ludzie, którzy przeżyli tę katastrofę. Przetrwanie Niemiec zależy właśnie od was.

Babcia w ostatnim czasie coraz bardziej słabła. Nie miała już nawet siły podnieść się z kanapy. Nie chciałam jej zawieść, ale odważyłam się zapytać:

– Czy nie możemy znaleźć akademii muzycznej tutaj, na miejscu?

Mutti natychmiast mnie skarciła:

– Pod tym względem Berlin nie może się równać z Weimarem. Tamtejsze konserwatorium słynie z doskonałego poziomu.

Po wielu tygodniach wyczerpujących ćwiczeń pojechałam z Mutti do Weimaru, gdzie miałam wziąć udział w przesłuchaniu i ubiegać się o stypendium w konserwatorium. Zagrałam wybraną przez komisję sonatę Bacha. Byłam zdenerwowana i choć przygotowałam ten utwór, nie wykonałam go tak, jak bym tego chciała. Nie dostałam stypendium. Członkowie komisji poinformowali mnie z żalem, że zgłosiło się zbyt wielu kandydatów, ale że chętnie mnie przyjmą, jeżeli będę opłacać czesne. Miałam zacząć zajęcia w przyszłym roku, kiedy skończę siedemnaście lat.

W drodze powrotnej do Berlina Mutti westchnęła:

– Jak zdołamy pokryć koszty twojej nauki w konserwatorium?

Przełknęłam ślinę. Choć byłam zawiedziona, w głębi duszy czułam też rodzaj ulgi. Nie musiałam wyjeżdżać

z Berlina. Czekał mnie ostatni rok szkoły, a ja tak bardzo przyzwyczaiłam się do myśli, że pójdę drogą muzyki, że nie widziałam dla siebie żadnej alternatywy.

W końcu powiedziałam:

– Może nie powinnyśmy tego robić, skoro nie jestem wystarczająco utalentowana?

– Nie jesteś wystarczająco utalentowana? – powtórzyła Mutti. – Dlaczego tak mówisz? Grasz na skrzypcach przez całe swoje życie. Otrzymałaś dar od Boga. Komisja wybrała trudną sonatę i stanęłaś przed prawdziwym wyzwaniem. To jasne, że popełniłaś błędy. Ale nie powiedziano ci, że nie masz talentu: konserwatorium nie może po prostu sfinansować nauki wszystkich uczniów. Po wojnie wielu instytucjom brakuje środków. Musimy znaleźć inne rozwiązanie.

Spojrzałam jej w oczy.

– Czy nie znaleźliby rozwiązania, gdyby Bóg dał mi prawdziwy talent?

Myślałam, że mnie skarci, ale ona spojrzała na mnie tak, jakby niepewność była grzechem, po czym powiedziała cicho i zaskakująco szczerze:

– W młodości każdego nachodzą wątpliwości. Po co wybierać trudniejszą ścieżkę, skoro można iść prosto przed siebie, drogą, która nie wymaga wysiłku? Ale musimy porzucić takie myśli, bo bez ciężkiej pracy niczego wartościowego nie da się na tym świecie osiągnąć. – Odwzajemniła moje spojrzenie. – Jeszcze niewiele wiesz o życiu. Ale mając talent, możesz przetrwać niemal każdy

kataklizm. Nie popełnij błędu i nie odrzuć tego wszystkiego tylko dlatego, że wymaga od ciebie wysiłku. Czy pragniesz życia, które sama sobie wybierzesz, czy raczej takiego, które zostanie wybrane za ciebie? Tylko ty możesz podjąć tę decyzję.

Przypomniałam sobie gotowość matki do zaangażowania się w pozbawiony miłości związek z pułkownikiem von Loschem i uświadomiłam sobie, co próbowała mi przekazać. Sama nie spełniła swoich marzeń i ambicji, nie zrealizowała planów. Jako uzdolniona pianistka wyrzekła się talentu, żeby zrobić to, czego oczekiwano od kobiety z dobrego domu: wzięła ślub. Wychodząc za mojego ojca, liczyła na to, że zadowoli ją rola żony i matki. On jednak przedwcześnie zmarł, a Mutti musiała zostać gospodynią i pracować dla obcych ludzi. Nie miała wyboru – a w każdym razie nie widziała innego wyjścia. Chciała zadbać o to, żebym nie znalazła się w podobnej sytuacji. Choć przez cały czas rozpieszczała Liesel, to właśnie we mnie pokładała nadzieje: to ja musiałam potwierdzić sens wszystkich jej wyrzeczeń. I dlatego nie chciała zaakceptować porażki.

Milczałam przez resztę podróży, ale w kolejnych dniach przyszedł czas na rozmyślania. Czy rzeczywiście muzyka to najlepsza dla mnie droga? Przecież grałam na skrzypcach dlatego, że pragnęła tego Mutti. Owszem, czerpałam z tego wielką przyjemność, ale czy to wystarczający powód, żeby podporządkować muzyce całe życie? Przerażała mnie świadomość, że nie znam odpowiedzi na to pytanie i że

nagle nadszedł kres mojego dzieciństwa: czekała mnie ważna decyzja, której nie potrafiłam podjąć.

Niedługo przed Bożym Narodzeniem ta decyzja została podjęta, choć sama nie miałam na to żadnego wpływu.

Oma odeszła we śnie. Byłam zrozpaczona, choć babcia chorowała już od dłuższego czasu i wszyscy spodziewaliśmy się jej śmierci. Jej spore udziały w rodzinnym interesie odziedziczyła Mutti – ale wiele zależało od tego, czy wujkowi Willemu uda się przywrócić sklepowi dawną świetność. Oma zostawiła też na osobnym koncie środki, które miały pokryć koszty mojego czesnego za pierwszy rok nauki w weimarskim konserwatorium. Po pogrzebie, kiedy płatki śniegu wirowały nad Berlinem, Mutti oznajmiła mi, że muszę wypełnić ostatnią wolę babci.

– Na pewno dasz sobie radę – zapewniła. – Jeżeli będziesz ciężko pracowała, konserwatorium zapewni ci karierę. Będziemy z ciebie dumne, tak jak obiecywała Oma.

Zerknęłam na wujka Williego, który posłał mi znaczący uśmiech.

– Na pewno właśnie tego pragniesz, Leno? – zapytał. Mutti wydęła wargi, dając do zrozumienia, że moje zdanie absolutnie się nie liczy. – Jeżeli masz zostać skrzypaczką, musisz być przekonana, że chcesz to robić.

Zaskoczyło mnie, że wujek zdołał wyczuć moją niepewność. To prawda, Oma wspierała mnie z całych sił, a wiara Mutti pozostawała jak zawsze niezachwiana, ale do tej pory jeszcze nikt nie zapytał mnie o zdanie. Starałam się tłumić wątpliwości, które zaczęły mnie nachodzić po

przesłuchaniu w konserwatorium, ale nie potrafiłam o nich całkowicie zapomnieć. Matka nauczyła mnie jednego: pełna pasji wiara we własne siły jest w życiu absolutnie niezbędna. I choć bardzo chciałam ją w sobie rozbudzić, choćby dla Mutti, nie miałam pewności, czy jestem do tego zdolna.

– Myślę, że mogę spróbować. – Tylko tyle zdołałam z siebie wydusić. – W przeciwnym razie nigdy nie poznam odpowiedzi na to pytanie.

Wujek Willi pokiwał głową. Zanim zdążył się odezwać, Mutti oznajmiła:

– Nie próbuj. Pracuj, Leno. Pracuj, a odniesiesz sukces. – Dała mi znak. – A teraz chodź ze mną na górę. Musimy przejrzeć rzeczy Omy i sprawdzić, co możesz ze sobą zabrać.

Zgodnie z obietnicą Oma zostawiła mi w spadku zawartość swojej garderoby. Mutti włożyła do mojej walizki najmniej ekstrawaganckie i ostentacyjne stroje (dokładnie przez nią wyselekcjonowane, sprawdzone i przerobione), a następnie zawiozła mnie do Weimaru. Miałam zamieszkać w internacie dla dziewcząt uczących się w konserwatorium, prowadzonym przez budzącą postrach matronę, niejaką Frau Arnoldi. Internat cieszył się bardzo dobrą opinią, a w XVIII wieku mieszkała tam platoniczna miłość Goethego, niemieckiego pisarza i męża stanu, którego dzieła stanowiły podstawę mojej dotychczasowej edukacji. Mutti kazała mi zachowywać się nienagannie i nie zapominać o myciu uszu. Wręczyła mi kopertę z pieniędzmi,

które miały pokryć koszt pierwszego miesiąca nauki, a kiedy już pocałowałam ją w policzek na pożegnanie, ścisnęła mi rękę i powiedziała:

– Żadnych skandali. Ucz się pilnie i znajdź sobie przyjaciół, ale nie dawaj mi powodów do wstydu. Pamiętaj, kim jesteś. Felsingowie muszą zachowywać się bez zarzutu. Rozumiesz?

Wzdrygnęłam się, widząc surowość malującą się na jej twarzy.

– Tak, Mutti – wyszeptałam.

Jej palce zacisnęły się na moim ramieniu.

– Jesteś bardzo ładną dziewczyną. Nadejdą pokusy. Ale chłopcy potrafią zniszczyć reputację – dodała. – A niektórych decyzji nie da się już cofnąć.

– Tak, Mutti – powtórzyłam. Jej słowa zaczynały mnie przerażać. – Obiecuję.

Rozluźniła uścisk. Raz jeszcze uważnie mi się przyjrzała, mrużąc przy tym oczy, po czym pokiwała głową i ruszyła na stację, by stamtąd udać się w drogę powrotną do Berlina.

Po raz pierwszy w życiu zostałam zupełnie sama.

SCENA DRUGA

GRA NA SKRZYPCACH

1919-1921

„NIGDY NIE MYŚLĘ O PRZYSZŁOŚCI”

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Marleno, zagraj jeszcze raz niewolnicę z haremu. To takie zabawne!

Dziewczęta siedziały w pokoju, który dzieliłam z Berthą, moją współlokatorką. Byłyśmy wszystkie w koszulach nocnych, miałyśmy rozpuszczone włosy, a wokół nas leżały porozrzucane puste pudełka – dowody naszej niedozwolonej uczty. W powietrzu unosił się dym. Kilka dziewcząt paliło, ja też zaczęłam to robić. Zarówno papierosy, jak słodycze, były absolutnie *verboten* w internacie, ale wymyśliłam pewien plan: każda z nas odkładała część swojej tygodniówki, a kiedy już udawało nam się zebrać odpowiednią sumę, ruszałam do pobliskiego sklepu. Zdołałam w ten sposób przemycić do internatu pudełko ciastek, kapciuch na tytoń i papierki do skręcania papierosów – dzięki temu mogłyśmy sobie dogadzać w moim pokoju, kiedy Frau Arnoldi dawno już spała.

Zdjęłam koszulę nocną – moja figura lepiej prezentowała się bez niej – i przyjęłam odpowiednią pozę, stając nago za prześcieradłem, które powiesiłyśmy na sznurze do bielizny przed lampą. Rozłożyłam ręce, udając tancerkę, a następnie zaczęłam wirować, jednocześnie wydając odgłosy imitujące dźwięki bębna.

Pozostałe dziewczęta zasłoniły usta dłońmi, żeby stłumić śmiech, i zaczęły piszczeć z radości.

Podczas pierwszego roku nauki w weimarskim konserwatorium sumiennie się uczyłam. Ciężko pracowałam, a mimo to pierwsza informacja, która dotarła do Mutti, nie pozostawiała złudzeń: nie widziano we mnie wielkiego talentu. Matka była jednak innego zdania i w żadnym wypadku nie zamierzała składać broni. Zdecydowała, że profesor Reitz zacznie mi dawać prywatne lekcje w każdy czwartek. Oznaczało to dodatkowy koszt, na który, jak wiedziałam, Mutti ledwo mogła sobie pozwolić – starałam się więc regularnie i gorliwie ćwiczyć, licząc na to, że wreszcie poczynię postępy. Ale dni nie wypełniała wyłącznie praca. W internacie odkryłam coś, czego nigdy nie miałam: przyjaciółki. Podobnie jak ja, większość z mieszkających tam dziewcząt pochodziła z dobrych rodzin, które musiały zdecydować się na wiele wyrzeczeń, by móc umieścić je w konserwatorium. Żadna z nich nie dostała stypendium, ale wszystkie marzyły o karierze muzycznej – a przynajmniej tak twierdziły. Już na pierwszym roku kilka się poddało: powodem takich decyzji była nuda albo brak zaangażowania. Wróciły do domów i wyszły za znajomych chłopców. Moja popularność zdecydowanie wzrosła, kiedy koleżanki zobaczyły odziedziczone przeze mnie sukienki Omy. Co prawda Mutti dopilnowała, żeby zostały mocno przerobione, ale nawet po tych zmianach były to wspaniałe kreacje, które umiałam sprawnie łączyć i dobierać. Dziewczęta błagały, żebym je im czasem pożyczała, a ja chętnie to robiłam. Dzieliłam się ubraniami z Liesel przez całe życie i nie byłam zaborcza.

Pewnego wieczoru, kiedy nie miałyśmy ochoty recytować poezji ani grać na instrumentach, postanowiłyśmy zagrać w grę, która polegała na odgrywaniu różnych scen. Zaimprowizowałam harem (wtedy jeszcze miałam na sobie koszulę nocną), a dziewczęta uznały, że jestem naturalnym talentem. Szybko przekonałam się, że naprawdę mnie lubiły – nie chodziło tylko o moje ubrania czy o fakt, że miałam prywatnego nauczyciela, choć oczywiście mi tego zazdrościły. Lubiły mnie, bo ja je lubiłam.

Bertha, moja współlokatorka – pulchna dziewczyna grająca na klarnecie – zaczęła klaskać z zachwytu.

– Jeszcze, jeszcze. Teraz Henny Porten!

Miałyśmy obsesję na punkcie Henny Porten. Była największą niemiecką gwiazdą, a filmy, w których grała, wyświetlano we wszystkich miejscowych kinach. Zachwycałyśmy się idealnym owalem jej twarzy, nieskazitelną cerą i dużymi, wprost stworzonymi do ról dramatycznych oczami. Ze względu na to, że cechował ją szczególny, uwodzicielski urok, często przyjmowała role kobiet cierpiących z powodu nieszczęśliwej miłości. Ta postać stała się dla nas prawdziwym źródłem inspiracji. Wzorując się na niej, układałyśmy włosy w taki sposób, żeby całymi kaskadami opadały nam na ramiona, malowałyśmy usta czerwoną szminką i opierałyśmy dłonie na piersiach, przyjmując charakterystyczne dla niej cierpiętnicze pozy. Widziałyśmy każdy jej film, który dotarł do Weimaru: zasiadałyśmy w salach kinowych w weekendy, z zakazanymi słodyczami na kolanach, i wzdychałyśmy

z zachwytu, podczas gdy Henny usychała z tęsknoty, mdlała i walczyła o miłość swoich wiarołomnych kochanków.

Zwinęłam prześcieradło w turban, po czym położyłam sobie dłoń na obojczyku, a drugą rękę wyciągnęłam w górę, wołając rozpaczliwie:

– Dlaczego mnie opuszczasz, Curcie?! Czy nie widzisz, że oczarował mnie baron?

– *Uwięziona dusza*! – zawołała jedna z dziewcząt, uprzedzając Berthę, która znała wszystkie moje sztuczki.

Rozwinęłam prześcieradło i zamieniłam je w całun, po czym przybrałam pełen rozpaczy wyraz twarzy.

– Muszę zginąć, by bronić swego honoru.

– *Anna Boleyn* – oznajmiła Bertha, zerkając na mnie z ukosa. – To było zbyt proste, Marleno. Pokaż coś innego, tym razem mniej oczywistego.

Zaczęłam owijać się prześcieradłem wokół pasa, rozważając, którego z kochanków Porten powinnam teraz przywołać. Dobiegające z korytarza kroki usłyszałam dopiero w chwili, gdy zatrzymały się pod drzwiami.

– *Hausmutter!* – syknęłam.

Dziewczęta zerwały się na równe nogi i zaczęły gorączkowo machać rękami, żeby pozbyć się dymu. Następnie popędziły w stronę szafy. Tak bardzo spieszyłyśmy się, żeby zjeść ciastka, że zapomniałyśmy zastawić nią drzwi, tak jak to zwykle robiłyśmy.

– Co tu się, na Boga, dzieje? Co to za harmider?! – huknęła Frau Arnoldi. Była tak gruba, że zwykle słyszałyśmy ją z daleka, ale tym razem musiała zmienić

taktykę i wyjątkowo cicho pokonała schody. Drzwi uchyliły się dokładnie w chwili, w której moje koleżanki przesunęły szafę tak, by uniemożliwić jej wejście do środka. W szparze pojawiły się oczy i czubek nosa Frau Arnoldi. – Natychmiast zabierzcie stąd ten mebel. Widzę cię, Marleno Dietrich. Przynosisz hańbę mojemu internatowi.

Te słowa zabrzmiały tak absurdalnie, że wybuchnęłam śmiechem.

Bertha też zarechotała. Słysząc to, Frau Arnoldi krzyknęła:

– A ty, Bertho Schiller, też zachowujesz się skandalicznie! – Zaczęła walić do drzwi. – Wpuśćcie mnie w tej chwili!

Przestałam się śmiać. Pozostałe dziewczęta wyglądały na przerażone. Dyrektorka internatu słynęła z tego, że podczas lekcji w konserwatorium przeszukiwała nasze pokoje, konfiskowała przemycone przez nas słodycze i papierosy oraz wszystko, co było zakazane – nigdy jednak nie przyłapała nas na gorącym uczynku.

Podciągnęłam prześcieradło i sięgnęłam po koszulę nocną, którą wcześniej rzuciłam na podłogę. Dziewczęta przesunęły tymczasem szafę na miejsce, odsłaniając stojącą w progu Frau Arnoldi, której liczne podbródki drżały z wściekłości, a wydatny biust unosił się i opadał.

– A więc to tak. – Zmierzyła mnie wzrokiem. – W ten sposób odpłacasz matce za ciężką pracę i troskę, za prywatnego nauczyciela, którego ci wynajęła, za wszystkie nadzieje i marzenia związane z twoją przyszłością: paradujesz po pokoju na oczach wszystkich jak... jak...

– Henny Porten – wymamrotała Bertha. – Marlena odgrywała sceny z filmów, w których grała Henny Porten – powiedziała, starając się stłumić nerwowy chichot. Bezskutecznie.

Frau Arnoldi posłała jej gniewne spojrzenie.

– Nie pozwolę na to. – Pogroziła nam palcem. – Napiszę do waszych matek. A nawet zadzwonię do nich, jeśli zajdzie taka konieczność. – Przeniosła na mnie wzrok. – Myślisz, że jesteś taka mądra? Taka sprytna? O wszystkim wiem. A teraz dowie się również Frau von Losch. Zbyt długo trzymałam język za zębami.

Dziewczęta cofnęły się ze strachu, a Bertha posłała mi niepewne spojrzenie. Zrzuciłam prześcieradło na podłogę i nie zważając na stłumiony okrzyk Frau Arnoldi, która nie mogła uwierzyć, że stoję przed nią całkiem naga, wciągnęłam na siebie koszulę nocną.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi – oznajmiłam, zapinając guziki.

– Nie? – zapytała Frau Arnoldi lodowatym tonem.

Od chwili, w której pojawiłam się w konserwatorium, zapałała do mnie trudną do wytłumaczenia niechęcią. Któregoś dnia, kiedy mijałam ją, idąc na lekcję, usłyszałam, jak zwraca się do innej kobiety słowami: „To ta. Proszę spojrzeć na jej oczy. T a k i e oczy. Bardziej bezwstydna od samej Salome”.

Ale Mutti pokrywała koszty mojego wykształcenia i mieszkania w internacie. Byłam pełnoprawną uczennicą

konserwatorium i nie miało żadnego znaczenia, co o tym myśli Frau Arnoldi. Aż do tej chwili.

Zmusiłam się, by zachować spokój. Z mojego doświadczenia wynikało, że opiekunka lubiła nas straszyć, ale rzadko szły za tym jakiekolwiek działania. Często wpadała w szał i wygłaszała płomienne tyrady, kiedy na śniadanie podano zbyt dużo masła – było wtedy drogie i trudno dostępne, a łajanie służącej nigdy jej się nie nudziło – ale nie mogła sobie pozwolić na ciągłe besztanie uczennic. Była całkowicie zależna od dochodów, które przynosił jej internat. Bez nas nie miałaby ani masła, które dałoby się marnować, ani służącej, która mogłaby je podawać.

– Jeżeli źle postąpiłam, proszę pozwolić mi to naprawić – powiedziałam po dłuższej chwili, przerywając pełną napięcia ciszę. – Nie warto mieszać mojej matki w zwykłe nieporozumienie...

Frau Arnoldi prychnęła.

– Śmiem twierdzić, że Frau Reitz tak by tego nie określiła.

Zamarłam.

– Frau Reitz? A co ona ma z tym wspólnego? Nigdy jej nawet nie poznałam.

– Pewnie chciałaby móc to samo powiedzieć o tobie i swoim mężu. – Frau Arnoldi wyglądała na bardzo zadowoloną z tej riposty.

Zaniepokoiły mnie jej insynuacje.

– O czym pani mówi? – zapytałam.

Roześmiała się.

– Nie udawaj niewiniątka. Widziałam te dobre oceny na twoim ostatnim świadectwie! Masz nas za idiotów? Czy myślisz, że mieszkańcy tego miasta są ślepi? Nie tylko ja zauważam, że wychodzisz z internatu w szyfonowych, zbyt krótkich sukienkach i z taką ilością różu na policzkach, że zawstydziłabyś nawet Henny Porten. Widywałam setki dziewcząt takich jak ty, Fräulein. I zapewniam cię, że takie dziewczęta nigdy niczego nie osiągają.

Ogarnęła mnie taka wściekłość, jakby właśnie wymierzyła mi siarczysty policzek. Owszem, zwracałam uwagę innych, ale tylko dlatego, że miałam lepsze ubrania od większości dziewcząt. A mój nauczyciel? Czy ona oszalała? Miał przecież żonę i dzieci, a do tego był przynajmniej dwadzieścia lat starszy ode mnie. Dawał mi dobre oceny, bo ciężko pracowałam. Ani razu nie...

„To ta. Proszę spojrzeć na jej oczy. T a k i e oczy!”.

Na twarzy Frau Arnoldi pojawił się uśmiech.

– Wygląda na to, że nie jesteś całkowicie pozbawiona wstydu. Mężczyźni mogą robić, co tylko chcą, kiedy ich żony odwracają wzrok, ale kiedy w ten sam sposób postępuje niezamężna dziewczyna, to zupełnie co innego.

Ruszyłam z wściekłością w jej stronę, a Bertha syknęła:

– Marleno, nie.

Odwzajemniłam gniewne spojrzenie Frau Arnoldi.

– Proszę nie kłopotać mojej matki. Pomyśli, że nie wywiązuje się pani z obowiązków spoczywających na

Hausmutter. Albo że opowiada pani kłamstwa. Tak czy inaczej, zażąda od konserwatorium zadośćuczynienia.

Te słowa przyniosły zamierzony skutek. Ostatnią rzeczą, jakiej chciała Frau Arnoldi, była kontrola w jej internacie. Poza cotygodniowymi opłatami, które regulowali rodzice, otrzymywała dodatkowe pieniądze od konserwatorium.

Zacisnęła szczęki.

– Słodycze – wycedziła przez zęby. – Wnosisz tu słodycze. I tytoń. I Bóg wie, co jeszcze. To zabronione.

– W takim razie więcej tego nie zrobię.

– Nie. Nie zrobisz tego. – Odwróciła się i krzyknęła na pozostałe dziewczęta: – Proszę stąd wyjść! Natychmiast! – Wyprowadzając je, posłała mi jeszcze jedno gniewne spojrzenie. Nie miałam wątpliwości, że niezależnie od spraw dotyczących finansów, znalazłam się na cenzurowanym.

Doprowadziłyśmy z Berthą pokój do porządku, po czym usiadłyśmy naprzeciw siebie na łóżkach. Powinnyśmy się roześmiać. Frau Arnoldi nie mogła nam przecież zaszkodzić – musiała dalej przyjmować pieniądze od naszych rodziców, żeby utrzymać internat. Mimo to wcale nie było nam do śmiechu. Nie mogłam zapomnieć słów *Hausmutter* i zapytałam po chwili:

– To prawda? Rzeczywiście krążą jakieś plotki o mnie i o profesorze Reitzu?

Bertha westchnęła.

– Oczywiście, że tak. Tylko ty nie zdajesz sobie z tego sprawy.

– Z czego nie zdaję sobie sprawy?

Zamilkła i zaczęła nerwowo bawić się rękoma.

– Z tego, jaka jesteś. Jak wyglądasz. Jak się poruszasz. Masz w sobie to coś, Marleno. Różnisz się od pozostałych dziewcząt.

– Nieprawda – zaprotestowałam. Natychmiast się najeżyłam. „Różna” to tyle, co zła: tak twierdziła Mutti. Oznaczało to, że nie zachowywałam się, jak przystało na dobrze wychowaną pannę z porządnej rodziny... a przecież się starałam. – Jak możesz tak mówić? Niczym się od was nie różnię. Jestem dokładnie taka jak wy.

– Tak ci się tylko wydaje. – Bertha usiłowała się uśmiechnąć. – Niektóre dziewczęta po prostu mają w sobie coś niezwykłego: jakiś wewnętrzny ogień. To nie twoja wina, nic na to nie poradzisz. Skupiasz na sobie uwagę. – Zamilkła na chwilę, po czym dodała nieco głośniej: – Czy naprawdę nigdy...

Nie wiedziałam, jak zareagować. Przypomniałam sobie uczucia, które rozbudziła we mnie Mademoiselle. Ona też mówiła, że różnię się od innych dziewcząt, i choć byłam wtedy za młoda, żeby to rozumieć, zaczęłam się zastanawiać, czy nie wolę kobiet. Nie uważałam się za ignorantkę w tej dziedzinie. Mutti nigdy nie rozmawiała ze mną o seksie ani niczego mnie nie uczyła, ale pamiętałam o jej ostrzeżeniach, a życie w internacie zapewniło mi solidną edukację. Słyszałam opowieści o okrytych hańbą dziewczętach odsyłanych do domów. Zdawałam sobie też sprawę, że część z moich koleżanek łączyło coś więcej niż

przyjaźń. Ich chichoty i pożyczanie sobie ubrań stanowiły tylko pierwszy etap, prowadzący do dużo śmielszych poszukiwań. Nie przeszkadzało mi to, choć nie odczuwałam pokusy, by do nich dołączyć. Och, oczywiście lubiłam się stroić i kołysać biodrami. Lubiłam obserwować swoje ciało i patrzeć na własne odbicie w lustrze. Podtrzymywałam wtedy piersi i stawałam na palcach w taki sposób, żeby moje nogi wydawały się dłuższe. Wiedziałam, że jestem ładna. Ale nie zamierzałam się w nic angażować: wolałam unikać problemów.

– Zdajesz sobie sprawę, w jaki sposób patrzą na ciebie chłopcy? – naciskała Bertha. – Masz prawie dziewiętnaście lat, Leno. A większość uczniów z konserwatorium marzy o tym, by zabrać cię na randkę.

Widziałam, jak na mnie patrzyli. Chłopcy uczący się w konserwatorium nie należeli do nieśmiałych. Pozwalali sobie na mało dyskretne gwizdy i wielokrotnie zapraszali mnie na potańcówki.

– Chłopcy marzą o randkach z każdą dziewczyną – odpowiedziałam. – Nie zwracam na nich uwagi. Nie chcę... komplikacji. – Zawahałam się. – A czy ty... kiedyś to robiłaś?

Bertha potrząsnęła głową.

– To nie takie proste. Jak mamy się chronić? Niektórzy chłopcy używają prezerwatyw, o ile są w stanie je zdobyć, lecz to zbyt ryzykowne. Ale jestem ciekawa. A ty nie?

Nie miałam pewności, a w każdym razie nie spotkałam jeszcze chłopca, który podobałby mi się na tyle, by rozważać takie kroki. Może rzeczywiście pociągały mnie

kobiety? Lubiłam zabawiać się palcami, kiedy Bertha już spała. Ale takie rzeczy zdarzają się przecież dość często. Nasza rozmowa rozbudziła we mnie jednak wątpliwości. Czy coś było ze mną nie tak? Dlaczego różniłam się od innych dziewcząt?

– Chyba też jestem ciekawa – odpowiedziałam niepewnie.

– No cóż. Frau Arnoldi uważa, że to coś więcej niż zwykła ciekawość: myśli, że sypiasz z profesorem Reitzem. Ma cię za bezwstydnicę. A twój wygląd wcale nie pomaga.

– Bezwstydnicę? Nigdy nie miałam chłopaka!

Bertha spojrzała na mnie z ukosa.

– Widzisz? Flirtujesz, nosisz ekstrawaganckie stroje, ale nie zadajesz się z chłopcami. A to oznacza jedno: romans ze starszym mężczyzną.

– Ale to nieprawda. Moja matka płaci profesorowi Reitzowi za prywatne lekcje. Nigdy nie postąpiłabym tak nierozważnie. Musisz mi uwierzyć. Nigdy nie wykonał niestosownego gestu ani nie pozwolił sobie na jakąkolwiek niedopuszczalną uwagę.

– Och, wierzę ci. Wierzę, że tego nie zauważasz. Ale jeżeli Frau Arnoldi tak powiedziała, to coś w tym musi być. Nauczyciel stawia ci dobre oceny. Robisz aż tak duże postępy? Może następnym razem powinnaś zachować większą czujność?

– O ile w ogóle będzie jakiś następny raz – wymamrotałam. – Jeżeli Frau Arnoldi postawi na swoim, wątpię, żebym miała okazję to sprawdzić.

Bertha westchnęła.

– Będzie następny raz. Jestem o tym przekonana.

ROZDZIAŁ DRUGI

Każdego dnia chodziłam na zajęcia, a wieczorami intensywnie ćwiczyłam. Unikałam hałaśliwych imprez w internacie, a papierosy paliłam ukradkiem, wychylając się przez okno naszego pokoju. W czwartek ubrałam się na tyle skromnie, że z powodzeniem ktoś mógłby mnie wziąć za zakonnicę, i nie zważając na nienawistne spojrzenia Frau Arnoldi, ruszyłam do konserwatorium, gdzie w części sal wieczorami odbywały się prywatne lekcje.

Mijając innych uczniów, po raz kolejny pomyślałam o absurdalnych oskarżeniach sformułowanych przez dyrektorkę internatu, przekonaną, że wdałam się w romans z zatrudnionym przez Mutti nauczycielem. Kiedy jednak weszłam do pomieszczenia i spojrzałam na czekającego na mnie szczupłego mężczyznę o zmierzwionych ciemnych włosach, delikatnych rysach twarzy i przejrzystych oczach – wstrzymałam nagle oddech. Teraz, kiedy już wiedziałam, co o nas mówiono, nie mogłam przestać myśleć o jego rękach, długich i żylastych, o smukłych dłoniach i delikatnych jak łodygi palcach. Zaczęłam wykonywać sonatę Abla, której kazał mi się nauczyć, a on, nie odrywając ode mnie wzroku, wystukiwał rytm na nodze. Krążył w tę i z powrotem za moimi plecami i przechylał głowę, starając się wychwycić potencjalne błędy.

– Nie – rozległ się jego ochrypły od papierosów głos. – Palec zsuwa ci się na złą strunę. Jeszcze raz. Wolniej. Nie

musisz się spieszyć.

Zaczęłam od nowa, z trudem biorąc pierwsze akordy. Po chwili opanowałam się i usłyszałam w głowie dźwięki sonaty, a moje dłonie zaczęły posłusznie mknąć po strunach.

Tym razem Reitz mi nie przerywał. Kiedy skończyłam i opuściłam skrzypce, czekając na uwagi, przez dłużą chwilę milczał.

– Od jak dawna uczysz się w konserwatorium, Fräulein? – zapytał.

– Już prawie rok. Grałam przez cały ten czas, z przerwą na ferie bożonarodzeniowe i wielkanocne.

– Tak długo? Bardzo mi przykro, ale nie robisz wystarczających postępów.

Poczułam gwałtowny skurcz żołądka.

– Ale przecież codziennie ćwiczę.

– Wiem. I dobrze ci idzie. Jeżeli będziesz nadal pracowała, może kiedyś znajdziesz miejsce w orkiestrze. Ale jeżeli chodzi o karierę solistki... No cóż, obawiam się, że to wykluczone.

Utkwił we mnie wzrok. Z trudem powstrzymałam łzy, które cisnęły mi się do oczu. Spodziewałam się wielu rzeczy, ale takiego obrotu spraw nie przewidziałam. Przyjechałam do Weimaru, nie wiedząc, czy odniosę sukces, ale ostatecznie chęć udowodnienia własnej wartości wzięła górę i przezwyciężyła wątpliwości. Zależało mi na tym, by mieć wpływ na własne życie – tak jak radziła Mutti – i nie mogłam znieść myśli, że wrócę do Berlina z niczym. Matka

nigdy by mi tego nie wybaczyła. Nie zapomniałaby mi tej porażki, zwłaszcza po wszystkich wyrzeczeniach, na które musiała się decydować, żeby opłacić moje czesne.

– Czy nie może pan sprawić, żebym szybciej robiła postępy? – zapytałam. – Moja matka chce, żebym została skrzypaczką i...

Przerwał mi.

– Wiem, że twoja Mutti pokłada w tobie duże nadzieje i że nie chcesz jej zawieść. Uważam jednak, że postępowałbym nieuczciwie, zachęcając cię do dalszych lekcji. Tak naprawdę w ogóle nie powinienem przyjmować od ciebie pieniędzy. Ćwiczenia nie zastąpią talentu. Jesteś dobrą skrzypaczką – ale nie wybitną. I nigdy nią nie zostaniesz.

Ku mojemu przerażeniu po policzku spłynęła mi łza. Odłożyłam skrzypce i odwróciłam się, po czym zaczęłam nerwowo szukać chusteczki w kieszeni.

– Proszę – powiedział nauczyciel.

Ocierając oczy, wyczułam na chustce, którą mi podał, silny zapach tytoniu, zmieszany z tweedem i czymś trudnym do nazwania, przypominającym piżmo. Czy właśnie w ten sposób pachnieli dojrzali mężczyźni?

– Ale przecież... stawiał mi pan dobre oceny – odezwałam się wreszcie drżącym głosem. – Mówił pan, że robię postępy. Dlaczego?

– Ja... myślałem... – Gwałtownie zamilkł. I wtedy to zobaczyłam: spojrzenie, przed którym ostrzegała mnie Bertha. Oczy Reitza na chwilę się na mnie zatrzymały, ale zaraz pospiesznie odwrócił wzrok, tak jakby się oparzył. –

Wiesz dlaczego – powiedział i stanął naprzeciw mnie, po drugiej stronie pokoju.

„Frau Arnoldi uważa, że sypiasz z profesorem Reitzem. Ma cię za bezwstydnicę”.

Ogarnął mnie gniew.

– Nie rozumiem, dlaczego pan kłamał. Skoro nie mogę zarabiać na życie, grając na skrzypcach, nie mogę tu przecież zostać. Szkoła jest zbyt droga: to strata pieniędzy. Muszę wracać do domu, do Berlina.

Nauczyciel zgarbił się tak, jakby przygotowywał się na cios. Kiedy wstałam i ruszyłam w jego stronę, wyszeptał:

– Nie chcę cię stracić. To dlatego kłamałem.

Znieruchomiałam, a on zaśmiał się ochrypłym głosem.

– Jestem głupcem. Wydaje mi się... że się w tobie zakochałem.

Te słowa sprawiły, że coś się we mnie zatrzasnęło, a podmuch, który w ten sposób powstał, otworzył jakieś inne drzwi. Nie wierzyłam w to – nie do końca. Zawyżył moją ocenę na świadectwie tylko po to, żeby zatrzymać mnie w Weimarze. Miał żonę i dzieci. Po wojnie w Niemczech panowała bieda i nawet szanowani profesorowie musieli ciężko pracować, żeby zarobić na życie. Jeżeli Reitz uważał, że się we mnie zakochał, to postępował tchórzliwie. Byłam jego uczennicą, dziewczyną o połowę młodszą od niego, która mogła doprowadzić go do ruiny. Na pewno słyszał krążące o nas plotki. Starał się zadać im kłam, ukrywając pożądanie za fałszywymi pochwałami, jednocześnie przyjmując pieniądze od mojej

matki. Dopuścił się okropnego, tchórzliwego czynu – a ja postanowiłam nagle sprawdzić szczerość jego intencji.

– Zakochał się pan we mnie, więc postanowił pan skłamać – powiedziałam, oddając mu chustkę. – To okrutne.

Cofnął się.

– Wiem. Na pewno mnie nienawidzisz.

Powinnam go nienawidzić. Powinnam nienawidzić go na tyle, by pójść prosto do dziekana i powiedzieć, co się wydarzyło. Nie był człowiekiem honoru. Nie ruszyłam się jednak z miejsca: nagle zrozumiałam, że mam nad nim niezwykłą władzę, że przez cały ten czas tkwiła we mnie ta wyjątkowa moc. Reitz uzmysłowił mi, że nie zdołam spełnić swoich marzeń, ale ja w odwecie potajemnie zawładnęłam jego marzeniami. W tamtej chwili postanowiłam zrezygnować z ostrożności, złożyć ją na stosie, na który trafiły przed chwilą moje marzenia i aspiracje. Chciałam zadać nauczycielowi ból, uczynić w jego psychice tak silne spustoszenia, żeby nigdy nie zdołał o mnie zapomnieć. Skoro nie mogłam zostać wielką skrzypaczką, skoro odebrał mi tę nadzieję – ja też zamierzałam mu coś odebrać.

Wzięłam go za rękę i wcisnęłam mu w dłoń chusteczkę.

– Nie czuję nienawiści – powiedziałam, nadal dotykając jego palców. – Nie wiem dlaczego, ale jej nie czuję.

Znieruchomiał.

– Czy... myślisz, że mogłabyś coś do mnie poczuć?

Spojrzałam mu w oczy.

– Niech mnie pan pocałuje i może się o tym przekonajmy?

Zamknął drzwi na klucz i doskoczył do mnie, natychmiast wpił się ustami w moje usta. Jęczał i wydawał gardłowe odgłosy, a jego dłonie, te żylaste dłonie o smukłych palcach, wsunęły się pod moją sukienkę i odnalazły zakazane miejsce. Ciężko dyszałam, z trudem łapiąc oddech. To uczucie nie przypominało niczego, co dotychczas znałam. Kiedy poczułam w sobie te nieznajome palce i zaczęło we mnie narastać pragnienie samokontroli, jęknęłam i wygięłam biodra. A potem nagle wzięły nade mną górę zwierzęce instynkty. Robiłam dokładnie to, o co mnie niedawno oskarżano.

Reitz położył mnie na podłodze, obok mojego futerału na skrzypce. Nie zdjął marynarki, koszuli ani krawata. Był tak rozgorączkowany, że tylko zsunął lekko spodnie, a potem przez chwilę bawił się czymś, co wyjął z kieszeni – gumowym przedmiotem, który wsunął na swojego nabrzmiałego penisa.

– Nie chcę cię skrzywdzić – wymamrotał.

– Nie zrobisz tego – odpowiedziałam.

Wbił się we mnie, a gwałtowny ból przeszył całe moje ciało. Zaparło mi dech w piersiach i czułam się tak, jakbym stanęła w płomieniach – ale przyjęłam to uczucie z zadowoleniem. To była moja kara i nagroda. Właśnie na to zasługiwałam. Reitz poruszał się coraz szybciej, głośno przy tym dysząc. Nagle zadrżał, a ja zacisnęłam zęby, tłumiąc płacz. Gwałtownie ze mnie wyszedł i zaczął zdejmować prezerwatywę, wylewając mi nasienie na udo.

Po chwili jęknął:

– *Gott mich retten*, byłaś dziewicą.

– Nie. – Dotknęłam jego twarzy. – Bóg nie ma z tym nic wspólnego. Sama tego chciałam.

Przygryzł wargę i spojrzał na moje rozłożone nogi.

– Skąd mogłaś wiedzieć, czego chcesz? Do niedawna byłaś jeszcze dzieckiem. – Powiedziawszy to, pocałował mnie delikatnie w usta. Poczułam na języku smak soli i dymu.

– Nie wiedziałam – wymamrotałam.

– Myślałem, że jesteś... bardziej doświadczona.

Czy robił to już wcześniej? Chciałam wierzyć, że nie, ale zaskoczenie malujące się na jego twarzy kazało mi przypuszczać, że już mu się to zdarzało. Może i byłam jego pierwszą dziewicą, ale raczej nie pierwszą zdobyczą. Mimo to czułam się tak, jakbym to ja go uwiodła – i sprawiało mi to przyjemność. Nie brakowało mi talentu w tej materii. Reitz podniósł się, wepchnął sobie wymiętą koszulę do spodni i zapiął pasek. Unikał mojego spojrzenia. Usiadłam i doprowadziłam się do porządku, a kiedy wstałam, zrobiło mi się niedobrze. Poczułam krew w majtkach i wiedziałam, że ból nie minie jeszcze przez kilka dni.

– To niewybaczalne – powiedział. Wyjął papierosa z marynarki i zapalił go drżącymi rękami, mimo że w budynku konserwatorium było to zakazane. – To, co zrobiłem, jest niewybaczalne.

Spojrzałam na niego w zamyśleniu. To ja powinnam mu to powiedzieć, choć najwyraźniej Reitza dręczyło tak olbrzymie poczucie winy, że z powodzeniem mógł martwić

się za nas oboje. Prawdę mówiąc, choć odczuwałam ból, to, co przeżyłam, trudno było określić mianem nieprzyjemnego. Gdybym miała więcej czasu i porządne łóżko, mogłabym to nawet polubić. Poza tym Reitzowi, w przeciwieństwie do niedojrzałych chłopaków, nie zależało na chwaleniu się podbojami. Nasze zbliżenie mogło mu bardziej zaszkodzić niż mnie. Połączyła nas zatem wspólna tajemnica. A ja wreszcie miałam coś, po co sięgnęłam z własnej, nieprzymuszonej woli. Przede wszystkim zaś mogłam zostać w Weimarze i nadal doskonalić grę na skrzypcach pod kierunkiem Reitza. Wiedziałam, że nie przestanie zawyżać mi ocen, a ja dzięki temu nie będę musiała wracać do domu, przyznawać się Mutti do porażki ani stawiać czoła niepewnej przyszłości.

– Nie miałabym nic przeciwko powtórzeniu tego przy następnej okazji – powiedziałam, kiedy sięgnął po mój futerał. Reitz znieruchomiał, wyraźnie zaskoczony, a potem w milczeniu odprowadził mnie wzrokiem. Jego wyraz twarzy wskazywał na to, że spodziewał się zupełnie innej reakcji.

Po chwili odezwał się głosem, w którym pobrzmiewało cierpienie człowieka pragnącego czegoś, czego nie może dostać:

– Zrezygnuję z posady. Powiem, że choruję i że nie mogę dłużej uczyć.

Zatrzymałam się, kładąc dłoń na klamce.

– Dlaczego?

– Bo tak właśnie muszę postąpić – zapłakał. Wyglądał na zdesperowanego i przerażonego, tak jakby dopiero teraz pomyślał o konsekwencjach zdeflorowania dziewczyny na podłodze sali lekcyjnej. Miałam ochotę roześmiać mu się w twarz. Co za głupiec. Okłamywał mnie, moją matkę, swoją żonę i instytucję, w której pracował – a kiedy dostał to, czego pragnął, potrafił czuć jedynie skruchę i wyrzuty sumienia. Pomyślałam, że jest jak dziecko, które żałuje, że zniszczyło ukochaną zabawkę po zbyt gwałtownej zabawie.

– Nie rezygnuj ze względu na mnie. – Otworzyłam drzwi. – Nikomu o tym nie powiem.

I tak to się zaczęło.

Poczucie winy nie dawało Reitzowi spokoju, ale pożądanie okazało się silniejsze. Dalej udzielał mi prywatnych lekcji, a ilekroć jego żona wyjeżdżała w odwiedziny do krewnych, przyjmował mnie u siebie w domu i ze mną sypiał. Grał na mnie tak, jakby pod moją skórą wibrowały niewidzialne struny, i nauczył mnie więcej niż podczas naszych lekcji. Przekonałam się, że wcale nie jestem inna od pozostałych dziewcząt. Miałam te same potrzeby, powodował mną ten sam głód doznań. Nie zdając sobie z tego nawet sprawy, zaczęłam stopniowo dostrzegać kruchość mojego kochanka, która tkwiła w nim jak dawno powstała rana.

Pewnego razu pochylił się i wyjął z futerału moje skrzypce. Matka zapłaciła za nie dwa i pół tysiąca marek, prawdziwą fortunę, która była dla mnie jak wyrzut sumienia, ilekroć przerywałam ćwiczenia i szłam z Reitzem

do łóżka. Sięgnął teraz po instrument i zagrał sonatę tak poruszającą, tak idealną, że do oczu napłynęły mi łzy.

– Jesteś prawdziwym mistrzem – powiedziałam, krzyżując ręce na piersiach.

Westchnął.

– Nie. Mogłem nim zostać. Kochałem muzykę ponad wszystko, ale zrezygnowałem z niej: dla małżeństwa, szacunku, stałego zatrudnienia i regularnych dochodów. Wyrzekłem się swojej duszy.

Mój kochanek kojarzył mi się z wierszami Goethego, z melancholią, którą staraliśmy się tłumić, bo byliśmy Niemcami i nie mogliśmy okazywać słabości. Jego gęste ciemne włosy, w których lśniły gdzieniegdzie pojedyncze srebrne nitki, opadały na poprzecinane zmarszczkami czoło, a smutne oczy i pełne usta, którymi wsysał się we mnie jak mały, karmiony przez matkę chłopiec, całkowicie mnie rozbrajały. Był tak piękny, tak udręczony, że mimo woli się w nim zakochałam.

A przynajmniej brałam to uczucie za miłość.

W jednym na pewno się nie mylił: do niedawna byłam jeszcze dzieckiem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Bertha zaczęła coś podejrzewać i nie dawała mi spokoju, aż w końcu wyznałam jej prawdę. Romans dodał mi odwagi i pewności siebie. Podcięłam włosy, zaczęłam nosić bardziej obcisłe swetry, krótsze spódnice i podwinięte pończochy. Nie wystarczyły mi już zakazane słodycze i papierosy. Chciałam doświadczać życia poza internatem i konserwatorium, poznawać Weimar, pozornie stateczne miasto, które w rzeczywistości kipiało swobodą i niefrasobliwością.

Za moją namową często chodziłyśmy z Berthą na wagary i wymykałyśmy się z chłopcami do ogródków piwnych, kawiarni i miejscowych kin. W czasie seansów, w salach o lepkich siedzeniach, pozwalałam im wsuwać dłonie pod moją sukienkę i dotykać piersi – nigdy jednak nie zgadzałam się na nic więcej. Na swój sposób dochowywałam wierności Reitzowi. Mój kochanek wiedział, jak uniknąć ciąży, używał prezerwatyw i dbał o to, żeby nigdy nie dochodzić we mnie. Tymczasem rozgorączkowane błagania i niezdarne pieszczoty chłopców, z którymi się spotykałyśmy, kazały przypuszczać, że byli mniej doświadczeni ode mnie. Uczyłam się nowych amerykańskich tańców, szalejąc w obskurnych knajpkach przy dźwiękach saksofonów. A kiedy ja tańczyłam, paliłam i wlewałam w siebie sznapsa, świat przechodził głęboką transformację. Stary porządek runął wraz z nadejściem

rewolucyjnego ruchu artystycznego nazywanego Bauhausem. Nowa konstytucja dała początek Republice Weimarskiej. Mimo tych wszystkich zmian w kraju próżno było szukać oznak stabilizacji.

Pośród całego tego zamieszania starałam się zachowywać ostrożność. Wiedziałam, że wystarczy jeden błąd, żebym wpadła w tarapaty. Bertha wielokrotnie mnie ostrzegała, że romans z żonatym profesorem to ogromne ryzyko, ale ja zapewniałam, że się zabezpieczam. Nie miałam żadnych złudzeń. Choć Reitz nigdy nie wspominał o żonie – z wyjątkiem sytuacji, w których informował mnie, że wyszła z domu – samo jej istnienie stanowiło przeszkodę nie do pokonania. Oglądając zdjęcia stojące na kominku, przekonałam się, że miał też córkę i syna mniej więcej w moim wieku. Rzadko mówił o dzieciach, ale to milczenie wystarczyło. Nie wiedziałam, czy jest szczęśliwy w małżeństwie i czy nadal kocha żonę, wiedziałam jednak, że czegoś musi mu brakować. Jasno jednak dał do zrozumienia, żebym niczego nie oczekiwała.

Początkowo ta sytuacja mi odpowiadała. Ponieważ nie mogliśmy spotykać się codziennie, miałam mnóstwo czasu na inne zajęcia. Oczarowali mnie nowi znajomi, zachwycający się kolorowym życiem buzującym pod wyniszczoną przez wojnę skorupą Berlina. Kina, kabarety i teatry rewiowe wyrastały wszędzie spośród ruin. Dzieci umierały z głodu, szalała epidemia tyfusu, a okaleczeni weterani nie otrzymywali wsparcia od państwa i musieli żebrać. Kobiety, które straciły podczas wojny mężów

i synów, sprzedawały wszystko, co miały, a jeśli były wystarczająco gibkie, próbowały zostać tancerkami rewiowymi. W Niemczech panował chaos, dało się zauważyć wzrost przestępczości, ludzie żyli w biedzie, a mimo to każdy chłopiec, z którym się całowałam, i każda dziewczyna, którą poznawałam, marzyli o wyjeździe do Berlina. Nie po to, żeby upajać się Händlem, Schillerem czy Goethem – nie, oni chcieli tworzyć sztukę abstrakcyjną, pisać satyry, maszerować ulicami i rozkoszować się wolnością. Przypominali mi przyjaciół wujka Williego, przekrzykujących się w jego salonie ludzi pełnych energii i wiary w to, że sztuka może uleczyć każdą chorobę. Berlin jawił się jako iskierka nadziei, miasto nowej sztuki.

Wszyscy byli przekonani, że w Berlinie można zostać, kim tylko się chce.

Ale ja bałam się tam wracać.

Reitz nigdzie ze mną nie bywał. Nasz romans rozwijał się w takich samych okolicznościach, w jakich odbywały się lekcje gry na skrzypcach – zawsze w samotności i tak, jakby kolejne spotkanie wcale nie musiało się odbyć. Stopniowo traciłam cierpliwość. Chciałam czegoś więcej. Ale czego? Kończyłam trzeci rok w konserwatorium i choć starałam się odpychać od siebie tę myśl, wiedziałam, że nie mogę wiecznie studiować i że muszę zacząć planować swoją przyszłość.

– Myślisz, że powinnam wrócić do Berlina? – zadałam to pytanie pewnego wieczoru pod wpływem impulsu, paląc papierosa w łóżku. Właśnie skończyliśmy się kochać. Od

kiedy spotkania z Reitzem stały się częstsze, zaczęłam więcej palić. To był nasz rytuał po każdym zbliżeniu.

– Do Berlina? – Stał przy oknie, a koniuszek jego papierosa żarzył się w ciemności. – A co zamierzasz tam robić? – Nie wydawał się szczególnie zainteresowany i zachowywał się tak, jakby z grzeczności prowadził ze mną rozmowę. To tylko pogłębiło moje zniecierpliwienie. Naprawdę przestało go obchodzić, czy zostanę w Weimarze? Słowa te popchnęły mnie do przyjęcia bardziej przekornego tonu. Po tych wszystkich miesiącach nadal zachowywał się tak, jakbyśmy dopuszczali się grzechu, za który nigdy nie będzie mógł odpokutować.

– Nie wiem – odpowiedziałam, siląc się na nonszalancki ton. Chciałam za wszelką cenę wymusić na nim jakąś reakcję. – Nigdy nie zostanę solistką, ale dlaczego miałabym całkowicie porzucić skrzypce? Istnieje teraz tak wiele możliwości. Codziennie otwierane są nowe kabarety i teatry rewiowe. Mogłabym występować z kimś w duecie albo śpiewać. – Zgasiłam papierosa i przeczesałam zmierzwione włosy. Gardłowym głosem typowym dla śpiewaczek występujących w miejscowych spelunach zanuciłam: „Różnimy się od tych, którzy kochają moralnie, przemierzając sielskie krainy...”. – Zamilkłam, a on odwrócił się do mnie i lekko uśmiechnął. – Mam ładny głos, nie sądzisz? Moi przyjaciele twierdzą, że bardzo dobrze śpiewam.

– To prawda. Masz śliczny głos. Wiesz, o czym jest ta piosenka? – Kiedy wzruszyłam ramionami, wyjaśnił: – To

Das Lila Lied. Lawendowa piosenka. Hymn homoseksualistów.

– Tak? – Oczywiście, że o tym wiedziałam.

Widywałam homoseksualistów w kawiarniach: gibkich chłopców w obcisłych spodniach i zawadiackich czapeczkach, idących wolnym krokiem i kołyszących przy tym biodrami. Budzili moje zaciekawienie, ilekroć mnie mijali, zerkali na siebie przy barze albo znikali w alejce za kawiarnią. Któregoś dnia postanowiłam sprawdzić, co tam robią, i zaciągnęłam Berthę na dwór, nie zważając na jej protesty.

Stałyśmy w ciemności i patrzyłyśmy, jak jeden z chłopców oparł się o mur, a drugi przed nim uklęknął. I nagle, pod łuszczącymi się plakatami najnowszego filmu Henny Porten, klęczący chłopak wziął w usta penisa tego drugiego – a jego towarzysz spojrzał na nas i puścił do nas oko. Przerażona Bertha, z trudem łapiąc powietrze, wycofała się i wbiegła z powrotem do kawiarni. Ja jednak zastygłam w bezruchu i obserwowałam ich do samego końca, do chwili, w której stojący przy murze chłopak miał wytrysk, a jego towarzysz otarł usta. Podnieciła mnie ich przypadkowa, doświadczana w pośpiechu cielesność. Pomyślałam o kaprysach i dziwactwach pożądania realizowanego w ramach nowego porządku, który zapanował w naszym kraju. Jego materializacją byli ci chłopcy, którzy nie tylko swobodnie oddawali się swoim fantazjom, ale także w ogóle się ich nie wstydzili. Niemcy Mutti ostatecznie zniknęły: staroświeckie zasady ustąpiły miejsca pierwotnym instynktom.

– Mają własny hymn? – zapytałam. – To bardzo oryginalne.

– Tylko ty mogłabyś tak zareagować. Dla całej reszty to po prostu kolejny przejaw stopniowej deprawacji i demoralizacji naszego społeczeństwa. – Sięgnął po szlafrok. Zdążył już włożyć kalesony, tak jak robił to zawsze po seksie. Wyglądały jak bezkształtny biały worek, który sięgał mu niemal do kolan. Na ich widok zawsze przypominałam sobie okrzyk Omy: „Cóż to za paskudztwo?”.

Pomyślałam o chłopcach, których widziałam w bocznej alejce, i lekko ściągnęłam kołdrę, odsłaniając piersi.

– Chodź tu. Chodź, possij mnie, tatusiu.

Reitz lubił, kiedy nazywałam go tatusiem. Sam mówił do mnie *Liebling*, choć nigdy nie robił tego poza łóżkiem.

– Jest już późno – wymamrotał. – Nie powinnaś wracać do internatu, zanim Frau Arnoldi zacznie ci robić wymówki?

Ziewnęłam.

– Zawsze robi mi wymówki. Ale co miesiąc płacę czynsz, więc niewiele więcej jej pozostaje. – Wiedziałam, co próbował dać mi do zrozumienia. Reitz nigdy nie pozwalał mi zostać na noc, bo bał się, że mogłaby mnie rano zobaczyć służąca. Służąca, sąsiedzi albo zwykły przechodzień. Owszem, zawsze dbaliśmy o to, żeby zasłonić okna, ale trudno próbować się ukryć w biały dzień, przekraczając próg czyjegoś domu.

Zawiązał szlafrok.

– Co o tym myślisz? – Wyskoczyłam z łóżka i położyłam dłonie na jego kościstych ramionach. – Mógłbyś pojechać ze mną – szepnęłam mu do ucha. – Mówiłeś, że porzuciłeś muzykę i że żałowałeś tego przez całe życie. Powinieneś do niej wrócić. Gdybyśmy przeprowadzili się do Berlina, zmienili nazwiska, zaczęli nowe...

Cofnął się.

– Wystarczy. – Znieruchomiałam, słysząc jego chłodny, stanowczy ton. – Nigdy nie mówiłem, że tego żałuję. Mówiłem, że się temu podporządkowałem.

Zmarszczyłam brwi.

– Czy to nie to samo?

– Może tak było wtedy. Ale nie teraz. Berlin. – Roześmiał się. – Miałbym żyć pośród imigrantów, Żydów i dewiantów? W moim wieku... i to jeszcze z tobą? To niedorzeczne.

Trzęsąc się z wściekłości, chwyciłam sukienkę i pospiesznie się ubrałam. Kiedy włożyłam buty i zamierzałam ruszyć do drzwi, Reitz wyszeptał:

– Nie gniewaj się. Nie chodziło mi o to, że niedorzeczne byłoby związanie się z tobą, chciałem tylko powiedzieć...

– Co takiego? – Posłałam mu gniewne spojrzenie. – Że nie jestem wystarczająco wyrobiona? Albo utalentowana?

– Och, jesteś. Bardzo się zmieniłaś, odkąd cię poznałem. Ale nie zamierzam wywracać swojego życia do góry nogami, żeby robić... no cóż, cokolwiek zamierzasz robić w Berlinie.

Po raz pierwszy powiedział coś na temat naszej relacji i przyszłości, a gdy tylko się to stało, zrozumiałam, że

w jakimś sensie miał rację: zachowywałam się niedorzecznie. Oczywiście nie wierzyłam, że kiedykolwiek zechce porzucić żonę i się ze mną związać, ale kiedy usłyszałam, jak mówił to z takim chłodem i spokojem, tak jakby zwracał się do głupiutkiej, naiwnej dziewczyny – coś zamknęło się w moim sercu.

– Chodzi ci tak naprawdę o to, że nie zamierzasz porzucać rodziny – powiedziałam. Natychmiast przygasł. Nie odpowiedział, ale nawet nie musiał tego robić. Jego melancholia wydawała mi się kiedyś pociągająca. Ale te czasy bezpowrotnie minęły. Nagle jego smutne oczy i rezygnacja wzbudziły moje obrzydzenie. – Nie jestem pierwsza, prawda? – rzuciłam gwałtownie.

Wzdrygnął się.

– Dlaczego to mówisz?

– Takie mam przeczucie. Byłeś zrozpaczony, chciałeś zrezygnować z posady w konserwatorium. Ale teraz wydaje mi się, że wcale nie dręczyły cię takie wyrzuty sumienia, jak twierdziłeś. Dobrze to rozegrałeś. – Uśmiechnęłam się. – Wydaje mi się, że minąłeś się z powołaniem. Powinieneś zostać aktorem.

– Marleno, jak mogłem ci się oprzeć? Jak mógłby to zrobić jakikolwiek mężczyzna? Twoje oczy, sposób, w jaki zdajesz się nawet nie zauważać, że ktoś cię pożąda... Byłem całkowicie bezbronny.

– Sądzę, że twoja żona by się z tym nie zgodziła. Ani ona, ani ktokolwiek w konserwatorium.

Doskoczył do mnie i chwycił za nadgarstek.

– Nie groź mi. Jesteś wyraźnie znudzona. Czeka tam na ciebie wielki świat, więc po co miałabyś tu zostawać? Spodziewałem się tego. Wiedziałem, że do tego dojdzie. Ale tak naprawdę wcale nie chcesz, żebym porzucił dom, żonę i dzieci, żeby przeprowadzić się z tobą do Berlina. Gdybym powiedział, że cię kocham, uwierzyłabyś mi?

– Teraz już nie – odpowiedziałam. – Ale mimo to chciałabym usłyszeć, jak to mówisz.

– Dlaczego? Żebyś mogła dręczyć mnie jeszcze bardziej niż do tej pory? Przecież wiem – i ty też wiesz – że to nie będzie ciągnęło się w nieskończoność. Jesteś taka młoda. Nie rozumiesz, na czym polega miłość.

Spuściłam wzrok i spojrzałam na jego dłoń. Cofnął ją.

– Mylisz się – odparłam. – Rozumiem to. Doskonale.

Zanim zdążył się odezwać, ruszyłam do drzwi i wyszłam z jego domu.

Nie odwracałam się.

Miałam ochotę się rozpłakać. Pomyślałam, że tak właśnie powinna zachować się dziewczyna. Henny Porten by się rozpłakała. Zaczęłaby łkać i rozpaczać nad swoim losem. Tak to wyglądało na kinowym ekranie. Ja natomiast obcowałam z prawdziwym życiem.

Sypiałam z żonatym mężczyzną, wmawiając sobie, że go kocham, ale pomyliłam miłość z czymś ulotnym, czymś, co nie mogło przetrwać. Cierpiałam, ale wiedziałam, że ten ból wkrótce minie, bo tak naprawdę nie pragnęłam Reitza. Miał żonę, dzieci i stabilne, uporządkowane życie, do którego po prostu nie pasowałam. Wiedziałam, że zestarzeje się, ucząc

gry na skrzypcach i uwodząc mniej utalentowane dziewczęta. Zawsze wiedziałam, że jest słaby. Wiedziałam, ale zignorowałam to, bo tęskniłam za kimś albo za czymś, co byłoby tylko moje. Ale on nigdy nie był mój. Jak mogłam płakać nad iluzją?

Mimo to, kiedy ruszyłam w kierunku internatu, poczułam, jak do oczu napłynęły mi łzy.

Po zakończeniu romansu z Reitzem bez reszty oddałam się rozrywkom. Coraz mniej czasu poświęcałam nauce. Zgiełk na ulicach wlewał się przez mury konserwatorium, a studenci maszerowali korytarzami i domagali się socjalistycznej równości. W Weimarze wybuchła rewolucja. Ludzie protestowali przeciw astronomicznym cenom towarów, a policja używała gazu łzawiącego, usiłując rozpędzić demonstrantów. Bochenek chleba kosztował teraz więcej niż perfumy, a z gazet krzyczały dramatyczne nagłówki informujące o tym, jak w całych Niemczech robotnicy pozbywają się ostatnich oszczędności, żeby kupić główkę zgniłej sałaty. Nasz kraj powoli umierał i nikt nie wiedział, co przyniesie przyszłość.

Nie zwracałam na to wszystko uwagi. Tańczyłam, paliłam i pozwalałam, by kolejni chłopcy wsuwali mi dłonie pod bluzkę. Tym razem posuwałam się jednak dużo dalej niż dotychczas. Sama kupowałam prezerwatywy w aptece, wręczając pieniądze oburzonej żonie farmaceuty, a potem używałam ich z tymi chłopcami, którzy potrafili wytrzymać wystarczająco długo – choć większość z nich wytryskiwała mi na brzuch. Sypiałam, z kim popadnie, i na nic nie

zważałam. Starałam się robić to tak często, jak tylko mogłam: chciałam za wszelką cenę zapomnieć o smaku Reitza, który nadal czułam na języku.

Spodziewałam się jednak tego, co miało się wydarzyć. Bertha wielokrotnie mnie ostrzegała. Pewnego wieczoru, kiedy wróciłam do pokoju i rzuciłam się na łóżko, moja współlokatorka syknęła:

– Marleno, czyś ty oszalała? Opuściłaś w tym miesiącu wszystkie zajęcia! Nauczyciele ostrzegają, że zostaniesz zawieszona, a Frau Arnoldi bez przerwy powtarza, że jesteś bezwstydna. Odgraża się, że poinformuje o wszystkim twoją matkę.

– Do diabła z nią – wymamrotałam. Wypiłam za dużo piwa. Nie lubiłam pić alkoholu, bo zawsze uderzał mi do głowy, ale robiłam to mimo wszystko tak często, jak tylko mogłam. Dzięki temu chłopcy wsuwający mi dłonie pod bluzkę wydawali się nieco mniej prymitywni, a ja byłam bardziej skora do igraszek.

Po raz kolejny zaspałam i opuściłam poranne lekcje. Około południa obudziło mnie jednak głośne pukanie. Zanim zdążyłam otrzeć ślinę z brody, drzwi otworzyły się i na progu pojawiła się Mutti. Miała na sobie płaszcz oraz kapelusz, a za nią stała Frau Arnoldi. Na jej twarzy malował się triumfalny uśmiech.

– Widzi pani? – zwróciła się do mojej matki. – Pije i wagaruje. Co za wstyd. To hańba, Frau von Losch.

Matka odezwała się stanowczym, lodowatym tonem:

– Widzę. – Kolejne słowa skierowała do mnie: – Pakuj się. Jedziesz do domu. Natychmiast.

SCENA TRZECIA

ZDJĘCIA PRÓBNE

1922-1929

„PO PROSTU NIGDY NIE BYŁAM AMBITNA”

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mutti nie odzywała się do mnie przez całą drogę powrotną. Ja też nic nie mówiłam. Zastanawiałam się, czy Frau Arnoldi opowiedziała jej tylko o wagarowaniu i piciu, czy wspomniała też o swoich podejrzeniach dotyczących romansu z profesorem Reitzem. Jednak kiedy dotarłyśmy do Berlina, przekonałam się, że za decyzją Mutti kryły się zdecydowanie poważniejsze problemy.

Zgodnie z tym, co przekazała mi Liesel, matka przyjęła posadę gospodyni w wielu domach i w ten sposób próbowała zdobyć środki potrzebne na naszą edukację. Moja siostra natomiast zrobiła dyplom nauczycielski i szukała pracy w niepełnym wymiarze godzin w jednej z pobliskich szkół. Spadek pozostawiony nam przez Omę wyraźnie stopniał: winna była galopująca inflacja i fakt, że wujek Willi musiał inwestować w sklep mieszczący się przy Unter den Linden. Starał się poszerzyć ofertę i przyciągnąć nowych klientów. To zatem brak pieniędzy, nie zaś moja rozwiązłość i niesubordynacja, doprowadził do zakończenia nauki w konserwatorium. Matka była na tyle dumna, że nigdy by nie pozwoliła, żebym zalegała z czynszem i czesnym.

Mimo to szybko dała mi odczuć swoje niezadowolenie.

– Włączysz się teraz w pracę na rzecz tego domu – oznajmiła po śniadaniu. – Nie ma tu miejsca na bezczynność i lenistwo.

– Dobrze – odpowiedziałam kwaśno. – Będę sprzątać mieszkanie.

Mutti nie odzywała się do mnie przez tydzień, posyłając mi pełne dezaprobaty spojrzenia, a Liesel chodziła na palcach tak ostrożnie, jakby w każdej chwili mogła się pod nią zapaść podłoga. Zdołały sprawić, że poczułam się jak kryminalistka. Czekałam w napięciu, aż Mutti wybuchnie, aż wyrzuci z siebie to całe oburzenie i niedowierzanie, ale ona postanowiła trwać w pełnej chłodu ciszy. Przynajmniej do tej chwili.

– Owszem, będziesz sprzątać. – Zapięła guziki płaszcza. – Znalazłam ci nowego nauczyciela muzyki. Zgodził się udzielać lekcji w zamian za prowadzenie domu. – Zamilkła na chwilę. – To Austriak, ma ponad siedemdziesiąt lat, ale cieszy się ogromnym szacunkiem. Mam nadzieję, że pamiętasz, jak się woskuje podłogi?

– Chcesz... chcesz, żebym została jego służącą? – zapytałam z przerażeniem. – Na pewno zdołam znaleźć sobie jakieś inne zajęcie.

Siedząca obok mnie Liesel zapadała się coraz głębiej w fotelu, nie odrywając wzroku od pełnej grudek owsianki. Podczas mojego pobytu w Weimarze stała się jeszcze bardziej niepewna i nieśmiała – choć do tej pory wydawało mi się, że w jej przypadku nie może być gorzej.

– Ach tak? – odezwała się Mutti. – A co jeszcze umiesz robić?

– Grać na skrzypcach. – Nie kryłam oburzenia. – Uczyłam się w konserwatorium przez dwa lata! Wysłałaś mnie tam,

żebym zdobyła wykształcenie muzyczne – dodałam. – I tak się stało.

Matka prychnęła.

– Doskonale wiem, czego się tam uczyłaś. Wie o tym cały Weimar. Żałuję, że nie usłyszałam o tym wcześniej. Powinnam cię posłuchać i zapisać do akademii muzycznej tu, w Berlinie, gdzie miałabym na ciebie oko.

Zacisnęłam zęby. Nie mogłam zaprzeczyć wysuwanym przez nią oskarżeniom i nie zamierzałam tego robić. Irytowało mnie, że traktowała mnie tak, jakbym odbywała pokutę. Owszem, źle postąpiłam i zmarnowałam pieniądze, które przeznaczyła na moją naukę. Owszem, wdałam się w romans – ale nie ucierpiał przy tym nikt poza mną. Zresztą to już był koniec: opuściłam konserwatorium i wyjechałam z Weimaru. Straciłam głowę, popełniłam wiele głupstw, ale miałam za sobą prawie dwa lata nauki i odrobinę talentu. Nie zamierzałam sprzątać mieszkania jakiegoś starca.

– Mam dwadzieścia lat – powiedziałam. – W Berlinie znajdą się na pewno setki dziewcząt chętnych do woskowania podłóg u tego austriackiego profesora. Pozwól mi porozmawiać z wujkiem Willim. Na pewno słyszał...

– Wujek Willi nie szuka nikogo do pracy w sklepie, jeśli o to ci chodzi – oznajmiła Mutti. – Zresztą ma teraz dość spraw na głowie. Nie nachodź go i nie proś o pomoc.

Zastanawiałam się, dlaczego nadal mieszkały z Liesel w wynajętym mieszkaniu, skoro mogły się przenieść do rodzinnej rezydencji. Kiedy jednak o to zapytałam, moja

siostra odpowiedziała tylko: „U wujka ktoś mieszka”. Ta enigmatyczna uwaga rozbudziła moją ciekawość. Doświadczenia z Weimaru kazały mi przypuszczać, że wujek – który zawsze elegancko się ubierał, starannie przycinał wąsy i uwielbiał teatr – jest homoseksualistą. Nigdy się nie ożenił, choć miał już ponad pięćdziesiąt lat. Nie słyszałam o żadnych jego dziewczynach ani kochankach, dlatego tym bardziej chciałam poznać jego tajemniczego gościa. Mutti nie zgodziła się jednak na wizytę i zabroniła mi zbliżać się zarówno do sklepu przy Unter den Linden, jak do rodzinnej rezydencji.

– Nie zamierzam tam pracować – wyjaśniłam. – Wujek zna wielu ludzi ze środowiska teatralnego. W teatrach potrzebni są muzycy i mogłabym...

– To wykluczone. Dopóki mieszkasz tutaj, pod moim dachem, masz okazywać mi posłuszeństwo. Czy to jasne? Moja córka nie będzie pracowała w teatrze. To nie jest szanowany zawód. Nie pozwolę, żebyś się ośmieszała. Nie zamierzam tego tolerować. Czas wreszcie, żebyś zrozumiała, jak powinna się zachowywać dziewczyna z dobrego domu.

Miałam ochotę odpowiedzieć, że chcę w takim razie zamieszkać gdzieś indziej. Coraz bardziej się dusiłam. Co prawda nie chciałam wracać do konserwatorium, ale tęskniłam za wolnością, której zaznałam w Weimarze. Dlaczego Mutti bez przerwy rugała mnie jak małe dziecko, skoro zasady, w które tak kurczowo się wczepiała, już dawno odeszły w zapomnienie? Czy nie widziała wszystkich

tych demonstracji, głodu i wściekłości wokół nas? Pustej spiżarni w jej własnym domu, ubóstwa, które zmuszało nas do szukania pracy i walki o każdy grosz? Postanowiłam się jednak pohamować. Bez pieniędzy i perspektyw skończyłabym na ulicy, tak jak przewidywała Frau Arnoldi. Musiałam za wszelką cenę udowodnić własną wartość. Nie zamierzałam pozwolić, by matka czy ktokolwiek inny sprawił, że poczuję się bezużyteczna. Za sprawą Reitza przestałam wierzyć w swój talent muzyczny – teraz jednak postanowiłam odzyskać pewność siebie.

– Liesel. – Matka dała znak mojej siostrze. – Kończ owsiankę. Spóźnisz się na zajęcia.

– Tak, Mutti – wymamrotała Liesel.

Matka odwróciła się i znowu spojrzała na mnie.

– Zrobisz dziś pranie i pograsz na skrzypcach. A jutro zabiorę cię do profesora. – Nie czekając na odpowiedź, ruszyła do drzwi i wyszła z domu. Wiedziałam, że wróci dopiero wieczorem, kiedy już sama skończy robić pranie w cudzych domach.

– *Gott in Himmel* – wymamrotałam. – Ona jest straszna.

Liesel podniosła wzrok znad owsianki.

– A czego się spodziewałaś? Chyba nie sądziłaś, że będzie pochwalała to, co zrobiłaś w Weimarze? Wychodziła z siebie, kiedy dowiedziała się o twoich wyczynach. Co ty sobie myślałaś? Przecież nie zostałaś wychowana w taki sposób. Jak mogłaś zachować się tak...

– Jak? Jaką straszliwą zbrodnię popełniłam? – odparowałam.

– Profesor – oznajmiła Liesel, a ja wstrzymałam oddech, spodziewając się najgorszego. Po chwili jednak dodała: – Mutti wysłała mu pieniądze, ale on je odesłał i napisał, że już cię nie uczy. Skoro nie chodziłaś ani na prywatne lekcje, ani na zajęcia w konserwatorium, to co, na Boga, robiłaś w Weimarze, Leno?

– To, na co miałam ochotę – odpowiedziałam z wściekłością. Ulżyło mi, że moja siostra nie dowiedziała się o romansie z Reitzem. – Nadal potrafię grać na skrzypcach. Nie zapomniałam, jak się to robi.

Liesel spuściła wzrok.

– Mutti ma rację. Nie poznaję cię.

Ruszyła do kuchni, a po chwili usłyszałam, jak wkłada płaszcz i wychodzi.Rozejrzałam się. Spojrzałam na łuszczącą się tapetę, plamy pleśni na suficie, na idealnie czyste, ale porysowane i spłowiałe powierzchnie mebli przywiezionych z Schönebergu.

Wydawało mi się, że zaraz zacznę wyć.

Musiałam stąd za wszelką cenę uciec.

ROZDZIAŁ DRUGI

Postanowiłam odwiedzić sklep przy Unter den Linden. Wujek Willi powitał mnie z radością. Mimo że nadeszły ciężkie czasy, dobrze wyglądał i z dumą pokazał mi wszystkie towary, o które wzbogacił ofertę: oprócz zegarków i zegarów ściennych, sprzedawał teraz emaliowane ramki i sztuczne jajka Fabergé, malowaną porcelanę oraz pozłacane butelki perfum podobne do tych, które widywałam w pokoju Omy. Na antresoli znajdował się osobny dział z biżuterią: na niebieskim aksamicie leżały bransoletki, naszyjniki, kolczyki i broszki. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego moja matka, która dostała przecież w spadku udziały w rodzinnym interesie, ledwo wiązała koniec z końcem. Wolałam jednak o to nie pytać. Zamiast tego skupiłam się na wspaniałym szmaragdowym naszyjniku, który wujek wyjął z gabloty i pozwolił mi przymierzyć przed lustrem. Oplatał moją szyję jak migoczący zielony płomień.

– Niektóre z nich zaprojektowała moja Jolie – wyjaśnił wujek. – Czy nie są wspaniałe? A do tego cieszą się wielkim powodzeniem. Kobiety uwielbiają zakładać je do strojów wieczorowych.

Delikatnie dotknęłam kamieni.

– Pewnie są potwornie drogie. – Nie miałam pojęcia, ile kosztują szmaragdy, ale przypuszczałam, że mogą sobie na

nie pozwolić tylko najbogatsi. A ilu bogatych ludzi mieszkało teraz w Niemczech?

– Te rzeczywiście są drogie. – Wujek zamilkł na chwilę, a następnie szepnął mi do ucha: – Nikomu o tym nie mów, ale oprócz tego naszyjnika i kilku innych przedmiotów wystawionych głównie na pokaz, to wszystko podróbki. Moja Jolie jest taka sprytna... Mówiła, że to w Paryżu ostatni krzyk mody: używa się ich zamiast prawdziwych kamieni. Nikt się nie zorientuje, zresztą w Niemczech panuje teraz kryzys i mało kto mógłby sobie pozwolić na prawdziwe kamienie.

Ja też nie potrafiłabym ich odróżnić. Nie znałam się na takich sprawach. Zwróciłam jednak uwagę na coś innego: wujek Willi już po raz drugi wspomniał o „swojej Jolie”.

– Liesel mówiła, że ktoś u ciebie mieszka. Czy chodzi właśnie o Jolie?

– Tak. – Szeroko się uśmiechnął. – To moja żona. – Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, dodał: – Musisz ją poznać. Och, na pewno cię pokocha. Strasznie przypomina mi Omę. Jest taka elegancka i dystyngowana! Dokonała cudów: postawiła na nogi twojego starego, zmęczonego wujka i jego sklep.

– Bardzo chętnie ją poznam – powiedziałam, oddając mu naszyjnik.

Odłożył go do gabloty i westchnął.

– Zaprosiłbym cię od razu po twoim powrocie z Weimaru, ale Josephine nie chciała o tym słyszeć.

– No tak. Jest na mnie zła.

– Naprawdę? Nic na ten temat nie mówiła. Twierdziła tylko, że zakończyłaś już naukę w konserwatorium i nadszedł czas, żebyś wróciła do domu. – Po chwili dodał łagodnym tonem: – Powinienem się domyślić.

Pokiwałam głową, zawstydzona. Zawsze lubiłam wujka, ale nie chciałam opowiadać mu o szczegółach dotyczących mojego powrotu. Czułam jednak, że wszystko by zrozumiał.

Zupełnie jakby czytał mi w myślach, uśmiechnął się i powiedział:

– Nie martw się, *Liebchen*. Moja siostra nie należy do wyrozumiałych, ale to dobra kobieta. Zresztą świetnie cię rozumiem, bo znalazłem się w podobnej sytuacji. Josephine nie pochwala mojego związku z Jolie. Jest tak rozgniewana, że nie chce przyjąć ode mnie pieniędzy, choć interes kwitnie. Mimo to wpłacam należną twojej matce część zysków na jej konto. – Mrugnął do mnie. – Pomyślałem, że dzięki temu będzie mogła opłacać twoje czesne i prywatne lekcje.

Spuściłam wzrok, żeby nie widział, jak bardzo zrobiło mi się wstyd. Mutti w typowy dla siebie sposób odmawiała sobie wszystkiego, żeby zapewnić mi edukację. Uznałam jednak, że nie mogę pozwolić, by mnie to powstrzymało. Robiła to, bo uważała, że powinnam skończyć konserwatorium i rozpocząć karierę jako solistka. Nadal tego pragnęła i właśnie dlatego ustaliła z austriackim profesorem, że będę sprzątała mu mieszkanie. Wiedziałam, że poczuje do mnie jeszcze większy żal, kiedy okaże się, że jestem za mało uzdolniona, by zostać skrzypaczką.

Wujek Willi zabrał mnie na obiad do Café Bauer, gdzie zjadłam pierwszy porządny posiłek od powrotu do Berlina: kotlet schabowy z ziemniakami przybranymi miętą. Musiał kosztować fortunę. Wujek opowiedział mi, jak poznał Jolie podczas przyjęcia na cześć księcia Wilhelma, syna zmuszonego do emigracji cesarza. Książę przedstawił Madame Jolie wujkowi, który natychmiast się w niej zadurzył.

– Miała jeszcze wtedy męża – wyjaśnił. – Amerykańskiego wynalazcę, twórcę karnawałowej atrakcji nazywanej Diabelskim Młynem. Wyznała mi, że już go nie kocha, i oboje doszliśmy do wniosku, że to najlepsza chwila, by zacząć wspólne życie. Jest Polką. To bardzo mądra osoba, podróżowała po całym świecie. Nigdy byś się nie zorientowała.

Byłam ciekawa, czy nie zorientowałabym się, że jest Polką czy że dużo podróżowała, ale postanowiłam o to nie pytać. Doskonale wiedziałam, dlaczego Mutti nie pochwala tego związku. Cudzoziemka, w dodatku rozwódka, mieszkająca w naszej rodzinnej rezydencji jako nowa pani Felsing: Mutti uważała pewnie, że Oma przewraca się w grobie.

– To nietypowe imię – zauważyłam, wycierając chlebem pozostający na talerzu sos. To również sprawiłoby prawdopodobnie, że Oma przewracałaby się w grobie.

– To tylko przezwisko. Tak naprawdę nazywa się Marta Helena. Ale wszyscy mówią do niej Jolie.

– Wszyscy?

Wujek pokiwał głową i skinął na kelnera, prosząc o rachunek.

– Znowu organizujemy w domu wieczorki, jak w dawnych czasach. Oboje uwielbiamy teatr. Jolie bardzo odpowiada rola gospodyni. I choć po wojnie wszystko się zmieniło, ludzie nadal potrzebują rozrywki. Jolie nakłoniła mnie do zainwestowania w kilka produkcji – nie mów o tym matce – a poza tym dalej wynajmuję całą górę lokatorowi. Jego wynalazek robi furorę. Po wojnie studia filmowe postanowiły wykorzystać stworzony przez niego obiektyw w przemyśle kinematograficznym.

Wyprostowałam się, a na mojej twarzy musiało się pojawić zaciekawienie, bo wujek zapłacił rachunek i spojrzał na mnie porozumiewawczo.

– Masz ochotę przyjść do nas na herbatę?

– Och, tak. Bardzo chętnie.

– Świetnie. Jak powiedziałaby moja Jolie: nie odkładaj na jutro tego, co możesz zrobić dziś.

Okazała się rzeczywiście wyjątkowa.

Była drobną kobietą o pociągłej twarzy, nosiła długie kolczyki i miała wyskubane brwi oraz owinięte turbanem włosy. Nigdy nie widziałam tak długich i tak czerwonych paznokci. Pocałowała mnie na wzór francuski, w oba policzki, a kiedy się do mnie zbliżyła, zanurzyłam się w obłoku jej perfum. Pachniała inaczej niż Oma – piżmem, a nie kwiatami.

– Droga Marleno. – Mówiła płynnie po niemiecku, choć jej pochodzenie zdradzał dyskretny akcent. – Willi wiele

o tobie mówił. Usiądź przy mnie i o wszystkim opowiedz. Słyszałam, że jesteś skrzypaczką, absolwentką znanego konserwatorium. To wspaniale – dodała. – Na pewno cieszysz się, że wróciłaś do Berlina, gdzie przed muzykami otwiera się teraz tyle nowych możliwości.

Usiadłam na kanapie przykrytej wzorzystymi szalami, a Jolie zadzwoniła na służącą i poprosiła o herbatę. Rozejrzałam się ukradkiem po salonie. Widać było, że jej gust dominował w tym pomieszczeniu. Zastąpiła sztywne abażury kolorowymi, frędzlastymi ozdobami, usunęła też znad kominka portret mojego pradziadka Conrada Felsinga, założyciela rodzinnego interesu. Na jego miejscu wisiał teraz dziwny obraz przedstawiający brzydkiego arlekina o kwadratowej twarzy.

– Podoba ci się? – zapytała. – Namalował go Pablo Picasso. Kupiłam go w Paryżu za grosze. Ten artysta stanie się kiedyś bardzo sławny: to Katalończyk, doskonale zna się na kolorach i kształtach. I na kobietach. – Zachichotała. – Oraz na kobiecych figurach.

Służąca przyniosła herbatę, a do salonu wszedł wujek Willi, który pocałował Jolie w usta, mnie cmoknął w policzek, po czym oznajmił, że musi wracać do sklepu. Wychodząc, spojrzał na mnie i poprosił:

– Pamiętaj. Nie mów o tym Josephine.

Pokiwałam głową. Gdybym kiedykolwiek wspomniała o tym matce, to właśnie mnie zabiłaby w pierwszej kolejności.

Jolie odprawiła służącą i sama nalała herbatę, co wydawało mi się bardzo nietypowe. Oma nie podałaby osobiście herbaty nawet cesarzowi.

– Nie odezwałaś się dotąd ani słowem – zauważyła, podając mi filiżankę. – Rozczarowałaś się mną?

– Nie – zaprotestowałam. – W żadnym wypadku, Frau Felsing...

– Frau! – Zachichotała. – Proszę, mów do mnie Madame. Albo Jolie, jeśli wolisz. „Frau Felsing" strasznie mnie postarza. – Wypiła łyk herbaty. – Obawiałam się, że się mną rozczarujesz. Twoja matka nie pochwala naszego związku. Och, jak ona na mnie patrzyła, kiedy Willi nas sobie przedstawił... – Przewróciła oczami w tak teatralnym geście, że natychmiast przypomniała mi się Henny Porten. – Gdyby wzrok mógł zabijać, dawno już bym nie żyła. Masz siostrę, prawda? Elisabeth? Twoja Mutti absolutnie zakazała jej przychodzić do tego domu.

Herbata parzyła mnie w język.

– Jesteś szczęśliwa? Cieszysz się, że wróciłaś? – zapytała.

– Szczęśliwa, Madame? – powtórzyłam ze zdziwieniem.

– No tak. – Wzruszyła ramionami. – Twoja matka nie jest szczęśliwą kobietą, a kobieta nieszczęśliwa... no cóż, unieszczęśliwia też wszystkich wokół siebie. To nasze przekleństwo. Kiedy Ewa skosztowała zakazanego owocu, przekazała nam wszystkim moc wpływania na świat: zarówno w pozytywny, jak i w negatywny sposób.

– Mutti nie jest nieszczęśliwa – odpowiedziałam, uświadamiając sobie ze zdziwieniem, że bronię kobiety, od

której tak bardzo chciałam uciec. – Choć nie wykazuje się też zbyt dużą wyrozumiałością.

– Niestety ci, którzy potępiają innych, zawsze żyją w strachu. Tłumią porywy swojego serca, bo choć chcieliby postępować tak jak my, nie mają odwagi tego robić.

Zaskakiwała mnie coraz bardziej. Nie wyglądała na osobę, która wiele czasu poświęca rozważaniom. Miała w sobie jednak ukrytą głębię i rozumiałam już, dlaczego tak oczarowała wujka Williego. Zdecydowanie różniła się od niemieckich kobiet.

– A więc... – Uśmiechnęła się, odsłaniając zęby lekko pożółkłe od herbaty i poplamione czerwoną szminką. – O wszystkim mi opowiedz, kochanie. Chciałabym, żebyśmy zostały przyjaciółkami.

Jolie była ucieleśnieniem wszystkiego, czym gardziła Mutti: nowoczesną kobietą, mówiącą i zachowującą się z niezwykłą swobodą i nonszalancją. Porzuciła męża i bez wahania związała się z moim wujkiem. Nie potrafiłam niczego przed nią ukryć. Miała w sobie coś całkowicie nowego, coś, z czym nigdy się nie spotkałam. Uwaga, z jaką mnie słuchała, i szczerość, z jaką mówiła, ułatwiły mi zadanie i sprawiły, że o wszystkim jej opowiedziałam. Zrelacjonowałam swoje przygody w Weimarze i choć pominęłam szczegóły romansu z profesorem Reitzem, zwierzyłam się z obaw o to, że nigdy nie spełnię ambicji matki. Wspomniałam też, że Mutti kazała mi sprzątać w zamian za lekcje, których i tak nie potrzebowałam.

– Umiem grać na skrzypcach wystarczająco dobrze – dodałam. – Nie chcę dodatkowych zajęć.

Jolie siedziała przez pewien czas w milczeniu, zamyślona. A po chwili powiedziała:

– Może ten nowy nauczyciel jest rzeczywiście tak dobry, jak twierdzi twoja matka, i dzięki niemu staniesz się jeszcze lepszą skrzypaczką. – Zamilkła, uważnie mi się przyglądając. – Chociaż to oczywiście nieistotne, jeżeli nie chcesz się tym zajmować. Nie widzę powodu, dla którego nie miałabyś pójść własną drogą. Znamy różnych dyrektorów teatrów, którzy mogliby cię zatrudnić. Niestety – dodała – pensje są ostatnio tak niskie, że raczej nie zdołałabyś się wyprowadzić z domu i utrzymać. Ludzie teatru są biedni jak myszy kościelne. Przedstawienie musi trwać, jak zwykło się mawiać. Ale trzeba przyznać, że w Berlinie wygląda ono dość skromnie.

– To nie ma znaczenia. Jestem gotowa na wszystko.

– Z wyjątkiem woskowania podłóg. – Jolie znowu się uśmiechnęła. – Nie dziwię ci się. Masz odpowiednie wykształcenie, tyle że...

– Tyle że co? – Pochyliłam się w jej stronę. – Czego jeszcze mi brakuje?

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Kochanie, nie chcę być niedelikatna...

Zamarłam. I nagle domyśliłam się, co miała na myśli. Wygładziłam pomiętą wełnianą spódnicę i wymamrotałam:

– Mutti skonfiskowała wszystkie moje ubrania. Powiedziała, że robię z siebie pośmiewisko.

– I zamiast tego sama robi z ciebie pośmiewisko, ubierając cię jak wdowę. – Jolie odstawiła filiżankę na spodek. – Przecież nie możesz chodzić na przesłuchania w takim stroju. Chętnie pożyczę ci kilka swoich rzeczy. Poza tym twoja babcia zostawiła na strychu trochę sukienek, które dałoby się przerobić. – Pstryknęła palcami. – Nie odkładaj na jutro tego, co możesz zrobić dziś. *Allons-y!* Sprawdźmy, co uda nam się wymyślić.

ROZDZIAŁ TRZECI

Miałam nową tajemnicę.

Za radą Jolie zgodziłam się na lekcje u austriackiego profesora, który choć ceniony, okazał się nieznośny i zrzędliwy. Szorowałam u niego podłogi i starałam się jak najlepiej przygotować do przesłuchań.

Pierwszego dnia, po trzech godzinach lekcji i dwóch godzinach sprzątania zagraconego mieszkania, ruszyłam do domu wujka Williego, gdzie na prośbę Jolie zaczęłam mierzyć nowe sukienki, które kazała dla mnie uszyć.

Uznała, że stroje Omy są zbyt przestarzałe i nie da się ich przerobić, bo wyszły z mody jeszcze przed wojną. Zamiast tego nakłoniła wujka, który nie potrafił jej niczego odmówić, by dał jej pieniądze na nowe ubrania. Okazało się jednak, że ledwo mieściłam się w te niepokojąco krótkie, śliczne sukienki z głębokimi dekoltami.

– Jesteś za gruba – oznajmiła Jolie bez ogródek. – Nie wiem, czym karmi cię matka, ale powinnaś mniej jeść. Rubensowska figura nadaje się do muzeum, ale nie do świata mody. Kazałam uszyć te sukienki w odpowiednim dla ciebie rozmiarze. Musisz przejść na dietę, żeby je nosić.

Byłam przygnębiona, ale jednocześnie narodziła się we mnie determinacja. Jolie delikatnie przerzedziła mi pęsetą to, co nazwała „gąszczem brwi”, a potem zrobiła mi płukankę do włosów, która miała „podkreślić jasne tony, bo blondynki zawsze cieszą się powodzeniem”.

Zaczęłam się odchudzać. Prawie mdlałam, kiedy wodziłam smyczkiem po strunach, a stary profesor stukał laską w podłogę. „Nie, nie! – wołał. – Zamierzasz grać na skrzypcach czy kroić mięso? Trzymasz smyczek jak tasak. Delikatnie, delikatnie. To przedłużenie twojego nadgarstka, a nie nóż rzeźnicki”.

Wiele mnie nauczył – może nie tyle, ile bym chciała, ale nie ulegało wątpliwości, że zrobiłam ogromne postępy. Tymczasem Jolie udoskonalała mój wygląd, a ja konsekwentnie odmawiałam sobie jedzenia – aż wreszcie nadszedł dzień, w którym mogłam włożyć nowe stroje. Nawet Mutti mruknęła przy kolacji:

– Wyglądasz inaczej niż zwykle. Robiłaś coś z włosami?

– Trochę je przycięłam... – odpowiedziałam. – Nie chciałam, żeby wpadały mi do oczu w czasie gry na skrzypcach. – Opuściłam głowę, na wypadek gdyby matka zamierzała przyjrzeć się uważnie moim zdecydowanie szczuplejszym policzkom. Nie zrobiła tego: była zbyt zmęczona po pracy. Chodziła spać o zmierzchu, zupełnie jakby pracowała w gospodarstwie wiejskim, a mnie i Liesel pozostawiała zmywanie naczyń i sprzątanie.

Moja siostra okazała się bardziej spostrzegawcza.

– Spotykasz się z tą kobietą, prawda? – zapytała tak niespodziewanie, że prawie upuściłam talerz na podłogę. – Tą, która mieszka u wujka Williego. Widzę, że ma na ciebie duży wpływ. Jesz jak ptaszek i regulujesz sobie brwi. A poza tym wcale nie skróciłaś włosów, tylko je ufarbowałaś.

– Ona jest żoną wujka Williego. – Wyprostowałam ramiona. – Powiesz o tym mamie?

– Nie. – Liesel schowała suche naczynia do szafki. Mutti lubiła, kiedy panował porządek i wszystko znajdowało się na swoim miejscu. – Ale ona się prędzej czy później dowie, Leno. A kiedy to się stanie...

– Do tego czasu się wyprowadzę. Szukam pracy, zamierzam żyć z muzyki. Gdy tylko stanę na nogi, wynajmę sobie pokój.

Liesel posłała mi sceptyczne spojrzenie.

– Z pensji, którą dostaje muzyk?

Miała rację. Jolie mnie przed tym ostrzegała. Zaproponowała nawet, żebym wprowadziła się do niej i wujka Williego, ale wiedziałam, że nie mogę posunąć się tak daleko. Gdybym przeniosła się do nich, Mutti by mnie wydziedziczyła. Wpadłaby w szał, gdyby się dowiedziała, że chodziłam na przesłuchania, mijając luksusowy bulwar Kurfürstendamm i kierując się w okolice Behrenstrasse, gdzie na drzewach wisiały kandelabry, a eleganckie fasady domów handlowych ustępowały miejsca labiryntom uliczek pełnych tanich, obskurnych teatrów, kin i rozświetlonych neonami restauracyjek, a także hałaśliwych kabaretów, teatrów rewiowych i innych podejrzanych lokali.

Przesłuchania okazały się wyczerpujące. W Berlinie mieszkało więcej bezrobotnych muzyków, niż przypuszczałam, a dwa lata nauki w weimarskim konserwatorium oraz referencje wystawione przez wujka Williego okazały się bezwartościowe w obliczu setek osób

zjawiających się na każdej rozmowie o pracę. To ogromne, graniczące z desperacją zainteresowanie sprawiało, że dyrektorzy teatrów oferowali skrajnie niskie stawki. Mężczyźni, utalentowani czy nie, zawsze triumfowali. Kobiety rzadko grały w orkiestrach, chyba że chodziło o cieszące się złą sławą kabarety, w których kobiety występowały na scenie, w orkiestrze... i za kulisami po spektaklu. Ale tak jak postanowiłam nie przeprowadzać się do wujka Williego, tak też oparłam się pokusie kabaretu. Niełatwo było całkowicie porzucić zasady, które od zawsze wpajała mi Mutti. Muzyka – tak. Występy w spelunach – nigdy.

Odrzucano mnie raz za razem, przez wiele miesięcy. Widząc moją rozpacz, wujek Willi postanowił interweniować. Wybrał się na obiad z dyrektorem świetnie prosperującej sieci kin prowadzonych przez UFA – Universum Film Aktiengesellschaft – wytwórnię, która na początku produkowała krótkie metraże o tematyce wojennej, a potem zaczęła realizować pełnowymiarowe produkcje, w których występowała między innymi moja idolka z czasów weimarskich, Henny Porten. Kierownik szukał skrzypaczki do jednej z objazdowych orkiestr, które podróżowały po kraju, towarzysząc projekcjom filmowym. Wujek Willi zapewnił mnie, że ta posada jest już moja. Ponieważ orkiestra pozostawała w czasie seansów niewidoczna i ukryta w fosie, UFA była gotowa zatrudnić kobietę. Niestety, oferowana przez wytwórnię pensja okazała się jeszcze niższa od tej, którą proponowali

dyrektorzy teatrów. Ledwo starczyłoby mi na jedzenie – nie mówiąc już o wyprowadzeniu się od Mutti.

– Ostrzegałam cię. – Jolie westchnęła. – Zawsze możesz zamieszkać u nas. Chętnie cię przyjmiemy. Prawda, Willi? Co o tym sądzisz, kochanie?

Wujek nie wyglądał na zachwyconego. Podobnie jak ja, bał się furii smoka, jak nazywałam Mutti.

– Musiałbym omówić to z Josephine – odpowiedział. – Tak trzeba. Ma udziały w interesie i nie chcę, żeby to spowodowało dodatkowe konflikty.

– Oczywiście – odpowiedziałam pospiesznie, zanim Jolie zdążyła zaprotestować. – Nie ma takiej potrzeby. Ta praca będzie dobra na początek. – Posłałam im wymuszony uśmiech, choć wizja przekazania Mutti nowiny o nowej posadzie budziła we mnie przerażenie.

Matka nie podniosła głosu. Kiedy poinformowałam ją, że dostałam pracę w niewielkiej orkiestrze grającej podczas projekcji filmowych, powiedziała tylko: „Rozumiem”. A potem wyszła do pracy.

Wytrąciło mnie to z równowagi. Zaczęłam żałować, że nie powiedziałam jej też o planach przeprowadzenia się do domu Jolie i wujka Williego. Liesel zerknęła na mnie i poradziła:

– Lepiej zacznij się już rozglądać za tym nowym pokojem.

Westchnęłam. Wiedziałam, że tak właśnie powinnam zrobić. Nie miałam jednak pojęcia, jak zdołam się utrzymać.

Nowa praca okazała się żmudna i nużąca. Do każdego filmu mieliśmy przygotowany odpowiedni repertuar. Obraz

wyświetlano ponad naszymi głowami, a muzyka, którą musieliśmy grać, wydawała się równie banalna, co następujące po sobie tytuły. Nie rozumiałam swojej dawnej fascynacji Henny Porten. Przez sześć dni w tygodniu patrzyłam na to, jak z teatralną przesadą radzi sobie z kolejnymi zwrotami akcji i intrygami – aż doszłam do wniosku, że jest po prostu marną aktorką. Mimo to stała się sławna, podczas gdy ja tkwiłam w fosie razem z innymi muzykami, którzy w przerwach pożerali mnie wzrokiem. Wzięłam sobie do serca nauczkę, którą dostałam w Weimarze. Mimo licznych propozycji konsekwentnie odmawiałam. Potrzebowałam pracy i pensji, tym bardziej że Mutti oznajmiła chłodno, że powinnam zacząć dokładać się do czynszu. Chciała mnie w ten sposób ukarać za samowolne porzucenie kariery solistki. Ostatnią rzeczą, jakiej w tej sytuacji potrzebowałam, były romanse i nieudane związki.

Nawet gdybym znalazła w sobie odwagę, żeby wyznać jej, że nigdy nie zostanę wielką skrzypaczką, brakowało mi na to czasu i energii. Obecnie do moich obowiązków należały podróże do wielu należących do UFA kin w Berlinie, Frankfurcie i Monachium. Zmieniały się krajobrazy, ale ponure, obskurne pokoje hotelowe i nużący repertuar pozostawały te same. Znałam już wszystkie utwory na pamięć i potrafiłam recytować wszystkie filmowe kwestie. Nauczyłam się jednocześnie grać na skrzypcach, oglądać wyświetlany nad moją głową film i lekko podciągać

spódnicę, tak żeby wietrzyć pocące się z powodu pończoch nogi.

Po czterech spędzonych w ten sposób tygodniach, kiedy pewnego wieczoru włożyłam płaszcz, schowałam skrzypce do futerału i zamierzałam ruszyć do domu, kierownik wezwał mnie do swojego gabinetu. Wręczył mi kopertę i oznajmił:

– Proszę, to pani ostatnia pensja. Przykro mi, Fräulein Dietrich.

– Zwalnia mnie pan? – Byłam kompletnie zaskoczona. – Ale dlaczego? Mówił pan, że bardzo dobrze mi idzie.

– Zgadza się. Niestety pozostali członkowie orkiestry składali na panią skargi.

– Skargi? – Natychmiast domyśliłam się, o kogo chodziło: o wszystkich tych, których propozycje odrzuciłam. – Ale dlaczego? Zawsze wywiązuję się z zadań. To ja mogłabym się skarżyć, bo część muzyków zaczyna grać w niewłaściwych momentach albo nawet myli utwory.

– Chodzi o nogi. – Spojrzałam na niego ze zdziwieniem. – Twierdzą, że ich pani rozprasza, celowo podciągając wysoko spódnicę. Zatrudnienie kobiety było błędem.

Kipiąc z wściekłości, chwyciłam kopertę i wypadłam z gabinetu. Kiedy znalazłam się na ulicy, ledwo powstrzymywałam łzy. Zwolniono mnie za moje nogi, choć przecież próbowałam tylko doznać odrobiny ulgi i nie umrzeć z gorąca w tej piekielnej fosie orkiestrowej. A teraz straciłam pracę. Zrobiło mi się słabo na samą myśl o tym, co powie Mutti, kiedy triumfalnie przypomni, że powinnam

trzymać się sprzątania i lekcji u austriackiego profesora, dopóki nie nadarzy się w ł a ś c i w a okazja...

Wpadłam do najbliższej knajpki. Nigdy sobie na takie rzeczy nie pozwalałam, ale teraz zamierzałam przynajmniej zjeść porządny posiłek, który sama sobie kupię, zanim będę musiała oddać resztę pensji Frau Smok.

Nadszedł wieczór i wszyscy, którzy mogli sobie na to pozwolić, ruszyli na miasto. Zamówiłam najtańsze danie z wiszącego na ścianie menu, wzięłam w jedną rękę futerał ze skrzypcami, w drugą zaś kufel z piwem (tak, zamierzałam się go napić i pozwolić, by Mutti je ode mnie wyczuła) i zaczęłam się rozglądać po sali w poszukiwaniu wolnego miejsca. Po chwili zauważyłam jedno przy stoliku w kącie. Siedziała tam ciemnowłosa kobieta zapisująca coś w notatniku. Stała przy niej filiżanka kawy i wypełniona po brzegi popielniczka.

– Przepraszam panią, czy to miejsce jest wolne? – zapytałam.

Podniosła wzrok. Nie była żadną panią. A przynajmniej wydawała się tylko trochę starsza ode mnie. Miała brązowe oczy, zmęczoną twarz i opuszki palców poplamione atramentem.

– Tak. – Zdjęła wzorzystą torebkę z krzesła. – Proszę, dołącz do mnie.

Nie zamierzałam do niej dołączać. Szukałam tylko miejsca, w którym mogłabym w spokoju zjeść posiłek. Kiedy jednak usiadłam i się do niej uśmiechnęłam, wyciągnęła do mnie ubrudzoną atramentem rękę.

– Gerda Huber.

– Marlena. Marlena Dietrich. – Zawahałam się przez chwilę, po czym podałam jej dłoń. Miała suchą skórę, ale podobał mi się jej mocny uścisk. Do tej pory sądziłam, że w ten sposób witają się tylko mężczyźni.

Przyjrzałam jej się uważniej. Była ubrana w staromodną szmizjerkę z postrzępionym kołnierzykiem, do której dobrała czarny krawat, a czarne włosy upięła w mocno ściśnięty kok. Nie wydała mi się brzydka, ale sprawiała takie wrażenie, jakby dbała o to, by niechlujnym i mało kobiecym strojem nie zwracać na siebie uwagi.

– Wyglądasz na zmęczoną – powiedziała. – Zły dzień?

– Najgorszy, jaki można sobie wyobrazić. – Po chwili dodałam: – Właśnie zostałam zwolniona.

Skrzywiła się.

– I to w takiej sytuacji? Przecież w dzisiejszych czasach kobietom bardzo trudno znaleźć jakąkolwiek pracę.

– Właśnie dlatego mnie wyrzucili. – Przerwałam, bo do stolika podszedł kelner, który przyniósł moją kapustę kiszoną i zbyt długo gotowaną kiełbasę. Kiedy się oddalił, wskazałam swoją spódnicę i lekko ją uniosłam. – Za to, że jestem kobietą. Grałam na skrzypcach w orkiestrze objazdowej UFA. Pozostali muzycy złożyli na mnie skargę. Wyobrażasz to sobie? – Nie wiedziałam, dlaczego jej o tym opowiadam. Po prostu musiałam się komuś zwierzyć i przypuszczałam, że nigdy więcej jej nie spotkam. - Twierdzili, że za bardzo odsłaniam nogi i że ich rozpraszam. – Wypiłam łyk piwa. – Czy oni zwariowali? W tych

przeklętych fosach orkiestrowych jest naprawdę gorąco, a kierownik nalegał, żebym zawsze nosiła pończochy. I to przy obecnych cenach pończoch.

– Teraz nie masz na sobie pończoch – zauważyła.

Zamilkłam.

– Tak, no cóż. W mojej ostatniej parze było oczko, więc je zdjęłam.

– Przed tym czy po tym, jak zostałaś zwolniona? – Uśmiechnęła się. Miała nierówne zęby, pożółkłe od papierosów i taniej kawy. – Zresztą to nie ma znaczenia. Kobiet nigdy się nie szanuje. Żyjemy w epoce rozszalałej mizoginii.

– Mizo... czego?

– Mizoginii. Uprzedzeń w stosunku do kobiet. – Wskazała palcem mój talerz. – Powinnaś zabrać się do jedzenia. Zimna kapusta nie jest szczególnie apetyczna.

Jej słowa przypomniały mi o innej rozmowie w kawiarni: nauczycielka, którą uwielbiałam, poradziła mi wtedy, żebym wypiła kawę, zanim wystygnie. Dałam znak kelnerowi, który podszedł do nas, ze zniecierpliwieniem marszcząc brwi.

– Proszę to samo dla mojej znajomej.

Zamierzała zaprotestować, ale przerwałam jej:

– Ja zapraszam. To moja ostatnia wypłata i nie wiadomo, kiedy dostanę kolejną. Całą resztę będę musiała oddać na czynsz, więc równie dobrze możemy sobie trochę użyć.

Skinęła głową.

– *Danke*, Marleno.

Przy jedzeniu opowiedziałam jej o tym, jak zaczęłam grać na skrzypcach. Okazało się, że Gerda jest dziennikarką i pisuje artykuły do różnych gazet.

– Zwykle są to głupie historie o głupich ludziach – wyjaśniła, krzywiąc się. – Redaktorzy myślą, że kobiety potrafią pisać wyłącznie o ostatnich romansach Henny Porten albo o najnowszym spektaklu przy Behrenstrasse, z upiorną Anitą w roli głównej. „Jestem Anita Berber. Masz ochotę na kokainę, kochanie? Ja się w niej dosłownie kąpię. *Wilkommen* na moim tańcu potworności, pożądania i ekstazy”.

Roześmiałam się. Poczułam się wspaniale, bo nie robiłam tego od tygodni. Ja też widziałam plakaty przedstawiające Anitę Berber w pozie wampa o szkarłatnych ustach.

– To prawda, że występuje nago?

– Występuje na golasa – poprawiła mnie Gerda. – Nagość zakłada odrobinę dobrego smaku. A ona jest go pozbawiona. – Zapaliła papierosa, choć nie skończyła jeszcze posiłku, po czym wypuściła dym i podała mi paczkę. Postanowiłam pójść w jej ślady. Piwo, papierosy, kiełbasa. Mutti dostanie zawału.

– Chciałabym pisać o poważnych sprawach, o problemach, z którymi się teraz borykamy – powiedziała Gerda, rozglądając się z wściekłością po restauracji, w której panował zgiełk. – O naszej koszmarnej sytuacji gospodarczej, braku stabilności politycznej, emancypacji kobiet... To o takich sprawach ludzie powinni czytać, zamiast pochłaniać jarmarczne opowieści o przytępionych

kokainą dziwkach albo błazeństwach jakiejś przereklamowanej aktorki.

– To prawda, Porten jest przereklamowana – przyznałam. Trzymając w dłoni papierosa, pochłonęłam resztę jej kiełbasy. Nie miałam już przecież powodu, by dłużej się odchudzać. – Dawniej ją uwielbiałam. Oglądałam wszystkie filmy, w których występowała, zapamiętywałam każdą jej kwestię. Kiedy mieszkałam w Weimarze, nauczyłam się ją idealnie naśladować, ale teraz... Wydaje mi się koszmarnie sztuczna. Wcale nie pokazuje prawdziwego życia.

– Nie – powiedziała Gerda. – Ona imituje życie. Tylko to obchodzi ludzi: chcą uciec, pominąć katastrofę, którą na siebie sprowadziliśmy. Życie jest zbyt realne. Najlepiej udawać, że nie istnieje.

Teraz to ja rozejrzałam się wkoło. Wojna pozostawała niezabliźnioną raną. Każdy Niemiec kogoś stracił i nikt nie miał zapewne ochoty słyszeć, że do tej katastrofy doszło z naszej winy – oznaczałoby to bowiem, że można było tego dramatu uniknąć.

– Wytrąciłam cię z równowagi – zauważyła. – Mam niewyparzoną gębę. Redaktorzy wiecznie mi powtarzają, że za dużo gadam. I właśnie dlatego nigdy nie pozwolą mi napisać czegoś ważnego. Kobieta, która mówi prawdę: to też jest zbyt realne.

Było mi wstyd, że mnie przejrzała.

– Chodzi po prostu o to, że moja matka straciła w czasie wojny brata i męża... – Zaczęłam się jąkać, czując na sobie

jej wzrok. – Nauczono mnie, że porządny, uczciwy Niemiec powinien zawsze bronić sprawy.

– Za wszelką cenę. – Zgasiła papierosa. – Mnie też tego nauczono. Wojna odebrała mi dwóch braci. Od tamtej chwili postanowiłam zacząć myśleć samodzielnie. Jak pisał Goethe: „Nikt nie jest zniewolony w bardziej beznadziejny sposób niż ci, którzy fałszywie wierzą, że są wolni". – Wyciągnęła rękę, nie zwracając uwagi na to, że przejechała rękawem po talerzu. Chwyciła moją dłoń. – Lubię cię, Marleno. Jesteś odważna. Marks twierdzi, że mężczyźni sami tworzą swoją historię. Kobiety mogą robić to samo: musimy tylko dostać taką szansę. Wydajesz mi się kimś, kto chce samodzielnie tworzyć swoją historię.

Czy tak rzeczywiście było? W tamtej chwili wcale nie byłam co do tego przekonana. Odpowiedziałam tylko:

– Ja też cię lubię. – Mówiłam to szczerze. Mogłam trafić do wielu innych miejsc, ale postanowiłam wejść właśnie do tej jadłodajni i spotkałam właśnie Gerdę. Dzięki niej na ponad godzinę zapomniałam, że straciłam jedyne źródło dochodu i musiałam się pożegnać z marzeniami o niezależności. Jednak przypomniałam sobie o tym na nowo, a ta świadomość mnie przygniotła. Zaczęłam szukać w kieszeni koperty i odliczyłam odpowiednią sumę, która miała pokryć koszt naszego posiłku.

– Muszę wracać do domu, robi się późno.

– Musisz? A może sprawiłam, że poczułaś się nieswojo i uznałaś, że musisz już iść?

– Nie czuję się nieswojo. – Zaprzeczyłam zbyt szybko i zbyt energicznie. Tak naprawdę, choć polubiłam Gerdę, czułam się przy niej niepewnie. Nie była kobieca jak Mademoiselle, wyrafinowana jak Oma ani elegancka jak Jolie. Nie przypominała żadnej kobiety, którą znałam: mówiła, co myśli, z bezpośredniością właściwą mężczyznom.

Po chwili odezwała się cicho, takim tonem, jakby rzucała mi wyzwanie:

– A może zamiast tego wrócisz do domu ze mną?

Mieszkała w dzielnicy Wilmersdorf, w internacie znajdującym się w jednym z tych popadających w ruinę budynków, których czasy świetności przeminęły wraz z cesarstwem i które zamieniły się teraz w rudery na wynajem. Pokój Gerdy okazał się niewiele większy od tego, który zajmowałam w Weimarze, choć moja nowa znajoma miała jeszcze do dyspozycji niewielki aneks kuchenny. W pomieszczeniu piętrzyły się stosy książek: Goethego, Marksa, Zweiga, Manna i pisarzy, których nie znałam – prawdopodobnie Amerykanów i Anglików, o nazwiskach takich jak Fitzgerald i James. Kiedy weszłyśmy do środka, rozległo się głośne miauczenie i po chwili zobaczyłam dwa pręgowane koty. Zorientowałam się, że Gerda nie skończyła kiełbasy, bo oszczędzała ją właśnie dla nich. Otworzyła teraz torebkę i wyjęła z niej serwetkę z resztkami jedzenia. Patrzyłam, jak karmi koty, myśląc o tym, jak łakomie pożarłam kolację tych nieszczęsnych zwierząt.

– Dostają to, na co mnie stać – przyznała. – Resztki posiłków i śmietankę z mleka, które Trude daje mi w każdą niedzielę. Biedactwa. Nie wyglądają na głodne, prawda? Gdyby nie Trude, która je uwielbia i dokarmia, zostałaby z nich tylko skóra i kości. Lubisz koty?

– Tak. – Przykucnęłam. – Nigdy nie miałam kota. Czy nie mówi się, że przynoszą szczęście?

– Może tak się mówiło w starożytnym Egipcie. – Zdjęła szalik. – W Berlinie, przy obecnych cenach mięsa, stały się raczej pożywieniem.

Wydałam okrzyk zdumienia i spojrzałam na Gerdę z niedowierzaniem.

– Naprawdę? Ludzie jedzą...?

Zachichotała.

– Tak słyszałam. Sama nigdy nie próbowałam. Napijesz się kawy? – Ruszyła do kuchni.

Zaczęłam cmokać, a jeden z kotów ostrożnie się do mnie zbliżył i zaczął mruczeć.

– Lubi cię. To Oskar. Nazwałam go tak na cześć Oscara Wilde'a. Przystojniak z niego, prawda?

– A kim jest Trude? – zapytałam. Kot był niesamowicie miękki i delikatny, a jego futro marszczyło się pod moimi palcami jak jedwab.

– To właścicielka internatu. – Gerda wyszła z kuchni z tacą, na której stał dzbanek i dwie filiżanki. – Jest bardzo miła. Trochę zwariowana, ale to jedna z niewielu naprawdę życzliwych, porządnych osób, które poznałam w tym mieście. Wynajmuje pokoje wyłącznie kobietom, głównie

aspirującym chórzystkom i aktorkom z ambicjami. Kilka jej lokatorek uczy się w akademii Maxa Reinhardta. Słyszałaś o tej szkole?

Potrząsnęłam głową, po czym podniosłam Oskara z podłogi i zasiadłam z nim na fotelu.

– Trude uwielbia teatr. – Gerda podała kawę, która pachniała cykorią. – Sama chciała kiedyś zostać aktorką, ale w jej czasach to było bardzo trudne. Zresztą nadal jest. Większość z nas musi z czegoś żyć. Nie ma wielu możliwości oprócz kabaretu, pracy modelki albo aktorki. No i pozostaje oczywiście najstarszy zawód świata. Akademię Maxa Reinhardta uznaje się za najlepszą, a wielu jej absolwentów występuje w teatrach repertuarowych. – Spojrzała na mnie. – Lepiej próbować szczęścia na scenie niż na plecach. Konkurencja jest ostatnio równie duża w obu tych zawodach.

Jeżeli chciała mnie zszokować, to jej się nie udało. Widywałam dziesiątki prostytutek, kiedy biegałam z przesłuchania na przesłuchanie. Roiło się od nich – zarówno mężczyzn, jak i kobiet – w alejach i uliczkach za Kurfürstendamm, w bramach i w obskurnych knajpach.

– Trude stawia też tarota za pieniądze – mówiła dalej Gerda. – Jest całkiem niezła. Kiedyś przepowiedziała, że jedna z mieszkających tu dziewczyn dostanie rolę, i tydzień później tak się rzeczywiście stało.

– Wydaje się interesującą osobą. – Sięgnęłam po filiżankę, a Oskar zeskoczył mi z kolan, zostawiając kłębki futra na

mojej spódnicy. Uśmiechnęłam się i zaczęłam je strzepywać. – Mutti będzie wściekła. Kocia sierść w domu...

– Z tego, co mówisz, wynika, że twoja matka to straszna tyranka. Jak ty to wytrzymujesz?

Westchnęłam.

– Miałam nadzieję, że to już zbyt długo nie potrwa. Oszczędzałam każdy grosz, żeby wynająć mieszkanie albo pokój, ale teraz...

– Co teraz? – Utkwiła we mnie wzrok.

Niechętnie się do tego przyznawałam.

– Wygląda na to, że będę musiała sprzątać cudze domy.

– Dlaczego nie spróbujesz sił w aktorstwie?

Roześmiałam się.

– W aktorstwie? Nie mam za grosz talentu.

– Ale masz to. – Wskazała moje nogi. – Na nogach takich jak te...

– Można zbić fortunę. Tak powiedziała kiedyś moja Oma.

– Nie myliła się. – Gerda zapaliła papierosa. – Widywałam dziewczyny, które miały dużo mniej talentu od ciebie, a mimo to robiły kariery. Powinnaś się nad tym zastanowić.

Sączyłam kawę. Czuło się w niej głównie cykorię, której smak doskonale odzwierciedlał gorycz mojej porażki.

– Mówiłaś, że umiesz naśladować Henny Porten – powiedziała Gerda. – Pokaż.

– Teraz?

Pokiwała głową.

– Chciałabym to zobaczyć, jeśli nie masz nic przeciwko.

Przyjęłam odpowiednią pozę, rozłożyłam ramiona i uniosłam je, tak jak to robiłam dziesiątki razy w Weimarze, występując przed koleżankami – a następnie wyrecytowałam pełnym bólu głosem:

– Dlaczego mnie opuszczasz, Curcie? Czy nie widzisz, że oczarował mnie baron?

Gerda siedziała w milczeniu, a wokół niej unosił się obłok dymu papierosowego. Wzruszyłam ramionami.

– Widzisz? – powiedziałam. – Nie mam za grosz talentu.

– Udowodniłyśmy jedno: Porten jest zdecydowanie przereklamowana. Ale uważam, że jeśli zapiszesz się na lekcje gry aktorskiej i emisji głosu, możesz odnieść większy sukces od niej.

– Większy sukces od Porten? Ona jest sławna i uwielbiana, nie sądzę, żebym kiedykolwiek zdołała stać się taka jak ona.

– Nie chcesz tego, pamiętasz? Chcesz pójść własną drogą.

Zaciągnęła się papierosem, a następnie podała mi go nad stołem. Zaczęłam palić, lekko pokasłując – nie spodziewałam się takiego stężenia nikotyny – a Gerda odniosła tacę do kuchni. Koty natychmiast ruszyły w ślad za nią. Skończyłam papierosa i zaczęłam rozglądać się po pełnym bibelotów pokoju, szukając popielniczki.

– Na stole. Doniczka! – zawołała Gerda.

Nachyliłam się nad wyszczerbioną glinianą doniczką i zobaczyłam, że w brudnej wodzie pływają niedopałki.

– To trochę pomaga uporać się z tym zaduchem – powiedziała, podchodząc do stołu.

Zgasiłam papierosa. Rozwiązanie Gerdy wcale nie pomagało: całe pomieszczenie cuchnęło tytoniem. Sięgnęłam po płaszcz. Kiedy tu szłyśmy, poczułam chłód w powietrzu. Zbliżała się jesień, która zapowiadała kolejną mroźną zimę. Czekał mnie długi spacer: przypuszczałam, że o tej porze nie uda mi się już złapać tramwaju. Ale wcale nie chciałam wychodzić. Czułam się u niej bezpieczna, mile widziana. Pomyślałam, że mogłybyśmy zostać przyjaciółkami. Gerdzie najwyraźniej też przyszło to do głowy, bo zanim zdążyłam jej podziękować i życzyć dobrej nocy, powiedziała cicho:

– Jeżeli w domu będzie bardzo źle, zawsze możesz nocować tu na kanapie. Trude na pewno by to nie przeszkadzało, a mnie przyda się pomoc przy płaceniu czynszu. Oczywiście kiedy już uda ci się znaleźć pracę. Nie jest wysoki. Czasem wyjeżdżam, więc miałabyś wtedy pokój tylko dla siebie. W każdym razie dobrze czułabyś się w naszym towarzystwie.

Odwróciłam się do niej. Lśniły jej oczy.

– Towarzystwie? – powtórzyłam.

– No tak. – Dodała szybko: – Przedstawię cię reszcie mieszkających tu dziewczyn. Znają wielu nauczycieli emisji głosu i aktorstwa. Mogłabyś poszukać pracy w jakimś teatrze albo pójść na przesłuchania do akademii. Pomogę ci wybrać role. Mam tu mnóstwo dramatów.

Głos lekko jej zadrżał. W przyćmionym świetle samotnej lampy wyglądała inaczej niż w restauracyjce, w której ją poznałam. Wydawała się ładniejsza. Była zwykłą

dziewczyną, taką jak ja: próbowała po prostu przetrwać. Przypomniałam sobie Mademoiselle, kosmyki włosów, które tak bardzo chciałam odgarnąć jej z policzków, a potem Reitza, który mocno ścisnął moją dłoń. Czy to by się czymś różniło? Kobiety od zawsze mnie intrygowały. Czułam, że łączy mnie z Gerdą nieuchwytna, trudna do nazwania więź – inna od relacji z Liesel. Właśnie tak wyobrażałam sobie prawdziwe siostrzane uczucia.

– Mogłabym zostać już teraz – zaproponowałam, a ona pokiwała głową.

– Mogłabyś. A masz na to ochotę?

Uśmiechnęłam się.

– Mogę spróbować. Nigdy tego nie robiłam. Ale myślałam o tym. – Mówiąc to, wyciągnęłam ostrożnie rękę i dotknęłam jej policzka. Miała suchą skórę. Nie używała kremu ani nawet tych wszechobecnych tanich balsamów sprzedawanych w drogeriach. Moja ciekawość sprawiała, że czułam się naiwna, odsłonięta. Po chwili dodałam: – Pokażesz mi?

Źrenice rozszerzyły jej się jak kotu.

– Powiedz, czego chciałabyś się nauczyć.

Dotknęłam jej twarzy.

– Wszystkiego.

Rozbudziło się w niej pożądanie. Widziałam je już wcześniej, tamtego popołudnia, kiedy uwiodłam Reitza. Ale Gerda była inna: nie skrywała swoich potrzeb za zasłoną wstydu czy kłamstw. Miała je wypisane na twarzy. Płonęła tak, jakby miała się zaraz roztopić. Podnieciło mnie to.

Podbój i kapitulacja. Byłyśmy kobietami, równymi sobie, których nie dzieliło nic poza niepewnością.

Gwałtownie ją pocałowałam. Pachniała tytoniem, a kiedy odwzajemniła mój pocałunek, zadrżała. Podobało mi się to uczucie: bezbronność migotała pod jej skórą jak ukryta sadzawka.

Zaprowadziła mnie do maleńkiej sypialni. Coraz bardziej rozgrzewałam się pod jej dotykiem. Robiła to już wcześniej, może niezbyt często, ale wystarczająco, by jej pocałunki mnie rozpalały, a dłonie sprawnie przesuwały się po ubraniach, rozpinały, rozwiązywały – aż wreszcie stanęłam przed nią całkowicie naga.

– *Mein Gott* – wydyszała. – Jesteś przepiękna. Wyglądasz jak bogini.

Wiedziałam, że mówi to szczerze. Sama miała drobne piersi i mocne uda. Długa spódnica i szmizjerka skrywały ciało o kształcie gruszki, którego wyraźnie się wstydziła. Ta delikatność i wrażliwość jeszcze bardziej mnie ujęły. Gerda chciała, by traktowano ją poważnie jako dziennikarkę, chciała zmieniać świat i pisać o ważnych sprawach – ale jednocześnie, tak jak wszyscy, pragnęła miłości. Rozumiałam ją. Ja też tego pragnęłam. Kiedy uklękłam między jej nogami i mocno ją ścisnęłam, zaczęła ciężko dyszeć, a ja poczułam się tak, jakbym znalazła się w pędzącej w dół windzie. Gerda głośno jęczała, kiedy spływał na nią dotyk moich ust, a po chwili opadłyśmy na pokryte pomiętą pościelą łóżko. Nasze ciała i języki splotły się ze sobą. Zatonęłam w niej. Chciałam dać jej rozkosz,

a kiedy to zrobiłam, usłyszałam krzyk. Z trudem łapała oddech. Kiedy wreszcie doszła do siebie, wyszeptała z niedowierzaniem:

– Naprawdę nigdy tego nie robiłaś?

– Nigdy – potwierdziłam.

Podniosła się i zawisła nade mną, po czym zaczęła ssać moje sutki i niespiesznie przesuwać się w dół. Po chwili uniosła głowę, posłała mi szelmowski uśmiech i powiedziała:

– Jeżeli to zrobię, możliwe, że już nigdy cię nie puszczę.

– Zrób to. Proszę...

Wsysała się we mnie jak w delikatny, rzadki owoc, obierając mnie warstwa po warstwie, kawałek po kawałku. Dyszałam i jęczałam, a ona dotarła w miejsce, z którego istnienia nawet nie zdawałam sobie sprawy.

Myślałam, że miałam już kochanka. Jakże się myliłam.

Nazajutrz, w sobotę, czułam się lekka, beztroska i pachnąca niczym płatki oleandra. Wyruszyłam niespiesznie do domu, a potem spakowałam walizkę. Mutti siedziała przy stole z kamienną twarzą, a Liesel szeroko otworzyła usta, patrząc na mnie z niedowierzaniem.

– To przyzwoity, bardzo szanowany internat – wyjaśniłam. – Tylko dla dziewcząt. Prowadzi go Frau Trude, której zależy na tym, żeby lokatorki miały porządną pracę. Będę dzieliła pokój z pisarką.

Oczywiście mijałam się z prawdą. Straciłam pracę, a Frau Trude, którą spotkałyśmy, wychodząc z internatu, okazała się zaniedbaną kobietą w spranej podomce. Farbowała

włosy na rudo, ale bez trudu można było zauważyć siwe odrosty. Zgodnie z tym, co mówiła Gerda, moja nowa gospodyni wydała się urocza i roztargniona. Lekko się uśmiechnęła, kiedy uprzedziłam, że zamierzam się wprowadzić. „Och, wspaniale – powiedziała. – Znalazłaś sobie nową przyjaciółkę, Gerdo. Mam nadzieję, że lubi koty. Witaj, kochanie”.

Mutti o tym wszystkim nie wiedziała, ale bezbłędnie potrafiła wykryć fałsz.

– Frau Trude? – Zmarszczyła brwi. – Nie znasz nawet nazwiska właścicielki?

– Handelmann – odpowiedziałam. – A może Herbert. Nie mam pewności. Dopiero ją poznałam, ale jest bardzo surowa i wymagająca.

Nieustannie podkreślałam, jak szanowane jest to miejsce, ale wiedziałam, że nic, co powiem, nie przekona Mutti. Przed oczami stawała mi bez przerwy Gerda, leżąca obok mnie w łóżku i paląca papierosy. Niezamężne dziewczęta mieszkają w domach rodzinnych: tylko taki porządek akceptowała Mutti. Każde inne rozwiązanie odrzucała. Ja jednak miałam wkrótce skończyć dwadzieścia jeden lat. Nie mogła mnie powstrzymać, a nawet gdyby próbowała, nie zamierzałam na to pozwolić.

Nie próbowała. Pozwoliła pocałować się na pożegnanie, a Liesel odprowadziła mnie do drzwi. Kiedy zostałyśmy same, moja siostra oznajmiła niespodziewanie:

– Podziwiam cię, Marleno. Robisz to, na co masz ochotę.

To była najmilsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam z jej ust. Mój niepokój trochę osłabł. Wiedziałam, że Mutti zmieni zdanie. Nie wytrzyma: będzie chciała zobaczyć na własne oczy internat i moją współlokatorkę. Nawet jeśli nie mogła mnie już kontrolować, musiała się przecież upewnić, że nie zrobię z siebie pośmiewiska. Jak zareaguje, kiedy dowie się, że nie gram już na skrzypcach? Że mieszkam z lesbijką i zamierzam zostać aktorką? Nie chciałam tego roztrząsać.

Nie odkładaj na jutro tego, co możesz zrobić dziś.

Postanowiłam żyć chwilą i martwić się przyszłością dopiero wtedy, gdy nadejdzie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gerda, choć w łóżku była namiętna, potrafiła zachowywać się równie apodyktycznie, co moja matka. Dzięki swoim kontaktom w gazetach miała łatwy dostęp do wszystkich ogłoszeń o pracę i informacji o przesłuchaniach. Każdego ranka zaznaczała interesujące propozycje i zmuszała mnie do odwiedzania kolejnych cuchnących dymem papierosowym teatrów i kabaretów w poszukiwaniu pracy.

Nikt nie chciał mnie zatrudnić bez doświadczenia, ale kilka podrzędnych teatrów rewiowych zainteresowało się moimi nogami: musiałam tylko pokazać, że umiem śpiewać. Umiałam – i zawsze to lubiłam. Mutti zachęcała mnie do wykonywania piosenek w domu, przy fortepianie, ale zabraniała mi tego w miejscach publicznych. Uważała, że nie przystoi to dziewczętom z dobrych domów, o ile oczywiście nie chodzi o opery czy hymny w kościele. Mnie jednak śpiew przypominał grę na skrzypcach, tyle że był bardziej osobisty i intymny. Mogłam używać głosu jako instrumentu i osiągać efekty, których nigdy nie uzyskałabym, przesuwając smyczek po strunach. Zaczęłam pilnie ćwiczyć. Kupowałam śpiewniki w sklepach muzycznych i uczyłam się znanych piosenek, a Gerda zadbała o to, żeby jedna z naszych sąsiadek, niejaka Camilla Horn, skierowała mnie do swojego nauczyciela emisji głosu, profesora Danielsa. Gerda nalegała też, żebym nauczyła się angielskiego: uważała, że będę dzięki temu

lepiej wykonywać popularne amerykańskie szlagiery. Znalazła mi nauczycielkę gry aktorskiej, Elsie Grace, przerażającą staruchę, która używała zatrważających ilości kredki do oczu i mieszkała w budynku bez windy. Okazała się jednak dowcipna i bardzo brytyjska. Kazała mi powtarzać rymowanki, a potem, przy herbacie, zasypywała mnie opowieściami o swoich podbojach i seksualnych wyczynach z czasów młodości.

– To na pewno skuteczna metoda nauki języka. – Gerda roześmiała się, kiedy zademonstrowałam jej, jak pięknie recytuję słowa: „Cipa przeleciała nad księżycem”.

Mimo moich protestów Gerda opłacała te lekcje. Żeby spłacić dług, złożyłam wizytę Jolie i opisałam jej swoją sytuację. Żona wujka Williego uznała, że aktorstwo to wspaniały pomysł – mówiła o tym tak swobodnie, jakbym postanowiła zacząć robić na drutach – i pożyczyła mi etolę z lisiego futra oraz pieniądze, które obiecałam oddać. Opłaciłam czynsz za kolejny miesiąc i zrobiłam zakupy, biorąc z Gerdy przykład i nie zważając na jej protesty.

– Siedzimy w tym razem – oznajmiłam. – Ja też chcę ponosić część wydatków.

– Tak, ale nie da się wykluczyć, że nigdy nie zdołam spełnić swoich marzeń, a ty masz na to szansę – odpowiedziała. – Możesz coś osiągnąć. Wierzę w ciebie.

I rzeczywiście wierzyła – bardziej niż w siebie. Herr Daniels był jednym z najlepszych nauczycieli w Berlinie. Przed wojną szkolił śpiewaków operowych, później jednak problemy finansowe zmusiły go do przyjęcia większej liczby

uczniów. Miał niekonwencjonalną metodę rozluźniania głosu: kazał nam skakać po pokoju, gdakać i machać ramionami. Po takiej rozgrzewce ćwiczyliśmy gamy i intonacje przy fortepianie tak długo, aż zabrakło nam tchu.

– Twój głos wydaje mi się całkiem interesujący – powiedział pewnego razu. – Nie jest może zbyt mocny, dlatego nie zostaniesz nigdy wielką śpiewaczką, ale ma w sobie coś szczególnego. Powinnaś starać się śpiewać w niższej tonacji. Nie próbuj wydobywać dźwięków, które znajdują się poza twoim rejestrem. To niepotrzebne. Lepiej doskonal to, co zostało ci dane.

Wieczorami prezentowałam Gerdzie wszystko, czego się nauczyłam. Wykonywałam popularne, wywołujące zgorszenie piosenki Brechta tak długo, aż zaczynała mruczeć i przyciągać mnie do siebie.

– Dłużej tego nie zniosę! Jesteś olśniewająca.

Dla niej może byłam – ale nie dla tych, którzy oceniali mnie na przesłuchaniach i podczas rozmów o pracę. Usłyszałam słowa „Nie. Następna” nieskończenie wiele razy i dziwiłam się, że wciąż próbuję. Gerda jednak nie zamierzała się poddać.

– Takie rzeczy zawsze trwają. Spójrz. – Pokazała mi gazetę. – Teatr rewiowy Rudolfa Nelsona organizuje przesłuchanie. Idź tam koniecznie. Umiesz śpiewać, a poza tym... – spojrzała na mnie znacząco – w ogłoszeniu napisali, że kandydatki muszą mieć ładne nogi.

– No cóż. – Wypuściłam dym. Zdawałam sobie sprawę, że za dużo palę. Gerda oraz stan naszego budżetu wymuszały na mnie ścisłą dietę, a papierosy pomagały zwykle opanować głód. – Skoro chcą nóg, to właśnie to im dam.

Nie spodziewałam się, że zostanę zatrudniona, ale włożyłam na wszelki wypadek krótką spódnicę, do niej dobrałam czarne pończochy, a na ramiona narzuciłam etolę, którą znalazłam w sklepie z używaną odzieżą. Na przesłuchaniu wykonałam piosenkę, przy której musiałam podskakiwać, wymachiwać nogami i wirować. Nie uważałam się za szczególnie dobrą tancerkę, ale dałam z siebie wszystko. Każdej z kandydatek przypisano numer, tak jak to się robi podczas loterii. W chwili gdy przyszedł czas na ogłoszenie wyników, usłyszałam, że dyrektor teatru wyczytuje mój numer. Dostałam pracę.

Postanowiłyśmy z Gerdą uczcić ten sukces tanim szampanem – żeby go kupić, musiałyśmy na tydzień zrezygnować z mięsa.

– Widzisz? – powiedziała, unosząc kieliszek. – Mówiłam ci. Wszystko przed tobą.

– To tylko zespół rewiowy. – Sączyłam wygazowanego szampana. – A pensja jest skandaliczna. Najwyraźniej według Rudolfa Nelsona dziewczyny nie muszą jeść.

– Ale to mimo wszystko praca. – Gerda na chwilę zamilkła. – Dostałam nowe zlecenie. Mam zająć się konfliktem pracowniczym w Hanowerze. Zaczynam w przyszłym tygodniu.

– Och, to wspaniale!

Zamierzałam ją pocałować, ale odwróciła głowę.

– Wyjeżdżam na miesiąc – oznajmiła. – Od teraz masz cały pokój dla siebie.

– Będę za tobą tęskniła. – Dlaczego zachowywała się tak dziwnie? – Jeżeli martwisz się o koty, to obiecuję, że się nimi zaopiekuję. – Oskar mnie uwielbiał i co noc kładł się u mojego boku, w przeciwieństwie do Fannie, która wtulała się w Gerdę i niechętnie mnie tolerowała, zachowując dystans. – Szykuje się w tym czasie mnóstwo roboty w teatrze. Mamy jedenaście spektakli tygodniowo, włącznie z popołudniówkami. Ale będę do ciebie dzwoniła, kiedy tylko się da.

– Dzwoniła? – Gerda prychnęła. – To zbyt drogie. Poza tym ten telefon w salonie Trude zwykle nie działa. Skuteczniej skontaktowałabyś się ze mną, korzystając z usług gołębia pocztowego.

– Wydajesz się poirytowana. Nie cieszysz się z nowego zlecenia? Konflikt pracowniczy to przecież idealny temat dla ciebie.

– Wszystkie te dziewczyny z zespołu rewiowego... – oznajmiła sucho. – Na pewno będziesz miała mnóstwo roboty.

Zamarłam. Jej ponury wyraz twarzy uzmysłowił mi, że zaborczość nie cechuje jedynie kotów.

– Chyba nie sądzisz, że mogłabym...? Gerdo, to jakiś absurd.

– Czyżby? – Odstawiła kieliszek. – Nigdy nie myślisz o innych dziewczynach? Wiem, że byłaś też z mężczyzną.

O nich także powinnam się martwić?

– Nie myślę teraz ani o innych dziewczynach, ani o mężczyznach. Nawet jeszcze nie wiem, czy któraś z płci bardziej mi odpowiada, czy chodzi po prostu o konkretne osoby. Tak czy inaczej, związałam się z tobą. Ale nie uważam, że powinnyśmy mieć siebie na wyłączność. Niewykluczone, że poznasz kogoś w Hanowerze. Gdyby tak się stało, nie przeszkadzałoby mi to.

Spojrzała na mnie z niepokojem.

– Nie przeszkadzałoby?

– Nie. A jeśli ja zainteresuję się kimś innym, na pewno ci o tym powiem.

– Mam nadzieję – wymamrotała. – Nie jestem zazdrosna, po prostu patrzę na to realistycznie.

Jednak jej zachowanie nie pozostawiało wątpliwości: była zazdrosna. Intuicja podpowiadała mi, że powinnam ją pocieszyć. Jeszcze nigdy nie rozstawałyśmy się na tak długo, a ja przekonałam się, że Gerda wcale nie czuła się pewnie. Dziennikarka, która na każdym kroku podkreślała swoją pogardę dla tradycyjnych wartości wyznawanych przez nasze społeczeństwo, okazała się bardziej do tych wartości przywiązana, niż mogła przypuszczać. I choć nigdy nie wyznałyśmy sobie miłości ani nie obiecywałyśmy całkowitej wierności, widziałam jej niepokój. Ja jednak zdążyłam się już nauczyć, że pożądanie stopniowo przemija, a zaborczość i próby kontrolowania partnera nigdy nie kończą się dobrze. Lepiej dawać sobie wolność i cieszyć się

miłością, dopóki trwa, niż rościć sobie prawa do drugiej osoby i próbować ją ograniczać.

– Nie ufasz mi? – zapytałam. – Ja ci ufam. Jestem z tobą szczęśliwa.

– Tak? – Gerda wydawała się tak przygnębiona i pozbawiona pewności siebie, która na co dzień jej towarzyszyła, że natychmiast objęłam ją i wyszeptałam:

– Tak. Jestem bardzo szczęśliwa. Nigdzie się nie wybieram.

– Ja też jestem z tobą szczęśliwa – wyszeptała, wtulając się we mnie. – Po prostu wiem, że dzięki tej pracy w teatrze rewiowym wiele osiągniesz. Zobaczysz.

W charakterystyczny dla siebie sposób komplementowała mnie, żeby uciec od niewygodnych tematów. Mimo to, kiedy ją przytulałam, ogarnęły mnie nagle wątpliwości. Nie powiedziała, że mi ufa. Zamiast skupiać się na mnie, Gerda powinna skoncentrować się na sobie i swoim szczęściu. Miała przecież własne marzenia i ambicje. Nie chciałam, żeby ze względu na mnie z nich rezygnowała. Przypomniałam sobie Mutti, pełną żalu i frustracji, rozpamiętującą szanse, których nie wykorzystała. Żyłyśmy z Gerdą wspólnie, ale byłyśmy dwiema różnymi osobami. Ponieważ jednak nie wiedziałam, jak to wszystko delikatnie przekazać i jej nie zranić – postanowiłam milczeć.

Zaczęłam się jednak zastanawiać, czy właśnie tego pragnę.

Niedługo po wyjeździe Gerdy odwiedziła mnie Mutti. Zwlekała z tym dłużej, niż pierwotnie przypuszczałam,

i czułam ulgę, że nie muszę jej przedstawiać swojej rzekomej współlokatorce – tym bardziej że na widok naszego pokoju matka pogardliwie prychnęła.

– Masz koty.

Oskar i Fannie chowali się pod łóżkiem: jak zwykle bali się obcych. W pomieszczeniu panował idealny porządek. Najwyraźniej nauki Mutti nie poszły na marne: co tydzień szorowałam podłogi i czyściłam kuwetę, wypolerowałam nawet bezbarwne meble, wyrzuciłam część rupieci i postawiłam na oknie rośliny w doniczkach. Mutti nie miała powodów do narzekań, choć to akurat nigdy jej nie powstrzymywało. Zawsze chętnie coś wtrąciła.

– Strasznie tu ciasno. – Uważnie mi się przyjrzała. – Gdzie ćwiczysz?

Skrzypiec nie wyjęłam z futerału od tamtego wieczoru, kiedy po raz pierwszy spałam z Gerdą. Stały teraz przy kanapie, podtrzymując stertę książek. Mutti tego nie zauważyła, więc podeszłam i zasłoniłam futerał. Robiąc to, zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nadal się przed nią ukrywam. Wiedziałam przecież, że wkrótce pozna prawdę. Uniosłam brodę i powiedziałam:

– Ostatnio nie ćwiczyłam.

– Ach tak?

– Ja... skręciłam nadgarstek. – Wskazałam na swoją rękę. – Nauczyciel powiedział, żebym zrobiła sobie miesiąc wolnego. Nadal czuję ból.

– Na pewno nie powiedział tego nauczyciel, którego ci znalazłam. Twierdził, że nie pojawiałaś się u niego od wielu

miesięcy.

– Nie, to nowy nauczyciel. – Po co kłamałam? Poczułam się znowu jak uczennica tłumacząca się z niesubordynacji. – Profesor Oskar Daniels. On... uczy też emisji głosu.

Mutti utkwiła we mnie wzrok. Wiedziałam, że niedługo ustali, że profesor Daniels nie daje lekcji gry na skrzypcach.

– Emisji głosu? A po co ci to?

– Żeby śpiewać. Uczę się, bo... – Widząc, jak tężeje jej twarz, wyrzuciłam z siebie: – Chcę zostać aktorką. Dostałam pracę w zespole teatru rewiowego Nelsona. Ale zamierzam pójść na przesłuchanie do akademii Maxa Reinhardta, kiedy tylko oszczędzę pieniądze na lekcje aktorstwa.

Wybuchłaby śmiechem – gdyby była do tego zdolna.

– Co za strata. Bóg dał ci talent do gry na skrzypcach, a ty obstajesz przy jakichś absurdach.

– Może to absurd. Ale właśnie tego pragnę.

Do tamtej chwili nie byłam pewna, czego tak naprawdę pragnę. Wiedziałam tylko, że muszę jakoś zarabiać na życie, a ponieważ nie miałam siły na kolejną turę przesłuchań muzycznych, postanowiłam posłuchać rad Gerdy. Nie czułam jednak, że podejmuję samodzielną decyzję: wydawało mi się raczej, że wybieram ścieżkę, na której napotkam nieco mniejszy opór, choć i tak nie będzie mi łatwo. Pełna wyniosłości dezaprobata malująca się teraz na twarzy Mutti utwierdziła mnie w przekonaniu, że dobrze zrobiłam.

Zamierzałam zostać aktorką za wszelką cenę, choćby po to, żeby udowodnić jej, że się myliła.

– Aktorką – powiedziała. – Moja córka. Maria Magdalena Dietrich, pochodząca z rodziny Felsingów, córka szanowanego porucznika, który służył w cesarskich grenadierach. Ma występować na scenie.

– Papa był policjantem w Schönebergu – zauważyłam.

Oczy jej się zwęziły.

– Zamierzasz znieważać pamięć własnego ojca?

– Nie. Ale nie zamierzam też udawać, że osiągnął więcej niż w rzeczywistości. To dotyczy i nas. Nawet ciebie, Mutti. To moje życie. Niezależnie od tego, czy odniosę sukces, czy poniosę porażkę, muszę przeżyć je na własnych warunkach.

Wstała i się wyprostowała.

– Przyniesiesz tylko hańbę sobie i swojej rodzinie. Staniesz się pośmiewiskiem i wszyscy będziemy się za ciebie wstydzili.

– Nie wszyscy. Wujek Willi mnie wspiera. Jego żona też. Uważają, że to świetny pomysł. Kiedy się wyprowadzałam, nawet Liesel powiedziała, że mnie podziwia. Tylko ty uważasz, że zarabianie na życie w inny sposób niż szorowanie podłóg jest hańbą.

– Nawet nie wspominaj o tej przeklętej Jolie – syknęła Mutti. – I nie mieszaj w to swojej siostry. Liesel, podobnie jak ty, postradała zmysły. Wdała się w romans z dyrektorem jakiegoś kabaretu, Georgiem Willsem, który zachowuje się jak akwizytor. Mówiła, że zamierzają się pobrać. Nie mogę uwierzyć, że obie moje córki uległy chaosowi

i socjalistycznej deprawacji, które godzą w honor naszego narodu.

Liesel związała się z dyrektorem kabaretu? Byłam z niej dumna. Któż by przypuszczał, że ma w sobie tyle charakteru?

– Przykro mi, Mutti, ale muszę to zrobić. Jeśli mi się nie uda... no cóż, zawsze mogę wrócić do szorowania podłóg.

Zacisnęła zęby.

– Nie licz na moją pomoc. Nie wracaj do domu, kiedy zostaniesz z niczym, bo nie dam ci ani grosza, dopóki nie przeprosisz i nie wrócisz do skrzypiec.

– Nie zrobię tego – rzuciłam. – Prędzej umrę z głodu.

Wypadła z pokoju i mocno trzasnęła drzwiami frontowymi. Po chwili w progu zjawiły się Camilla i Trude.

– O rany, niedobrze – mruknęła Trude.

Camilla zapaliła papierosa i oparła się o drzwi. Zdążyła się już umalować na wieczór. Ona też występowała w teatrze rewiowym, tyle że rzadziej, bo grała też w akademii Reinhardta. Namawiała mnie, żebym zamiast niej zaczęła pobierać lekcje u nauczyciela aktorstwa, ale nadal nie zaoszczędziłam wystarczająco dużo pieniędzy, żeby móc sobie na to pozwolić.

– To zapewne był Smok – zauważyła Camilla z właściwą sobie nonszalancją, za którą szczerze ją podziwiałam. Niewiele rzeczy potrafiło wytrącić ją z równowagi.

– Wydziedziczyła mnie – rzuciłam z wściekłością. – Chociaż i tak nigdy mi nic nie dawała. – Zdawałam sobie sprawę z własnego kłamstwa. Mutti dała mi bardzo wiele,

choć czułam taką wściekłość, że nie chciałam o tym pamiętać. Nauczyła mnie dyscypliny i kultu pracy. Opłacała moje czesne i prywatne lekcje w Weimarze, zapewniła mi też, na swój sposób, siłę, której potrzebowałam w życiu. Jednak wszystko, co mi dawała, miało swoją cenę: cenę, którą ona wyznaczyła. A cena ta okazała się dla mnie zbyt wysoka.

– *Zu schlecht* – powiedziała Camilla, przeciągając samogłoski, a Trude załamała ręce. – Niedobrze. To chyba oznacza, że będziesz ostatecznie musiała zostać aktorką.

– Albo umrzeć z głodu, próbując osiągnąć ten cel. – Sięgnęłam po płaszcz, po czym zostawiłam Trude z kotami i ruszyłam z Camillą do teatru rewiowego.

Po drodze, kiedy stałyśmy w zatłoczonym tramwaju, a Camilla trzymała moją puderniczkę i pomagała mi malować usta, opowiedziałam jej o Mutti, o tym, jaka była apodyktyczna i wymagająca, i o tym, że nigdy nie umiałam jej zadowolić. Kiedy skończyłam, jeszcze bardziej zdenerwowana niż przed tymi zwierzeniami, Camilla poprawiła sobie makijaż i powiedziała:

– Znajomy twojej siostry, Georg Wills, jest dyrektorem Theater des Westens, ekskluzywnego teatru wodewilowego. Słyszałam, że kierownicy UFA odwiedzają to miejsce w poszukiwaniu nowych twarzy. – Spojrzała na mnie znacząco. – Powinnaś go poznać. Założę się, że ma wiele cennych znajomości.

– Na pewno powie Liesel, że prosiłam o pomoc, a ona natychmiast przekaże to Mutti. Nie, nie zrobię tego. Poza

tym UFA zatrudniła mnie już jako skrzypaczkę, a po miesiącu zostałam zwolniona. Nie zamierzam żebrać o pracę, niezależnie od kontaktów i znajomości. Poradzę sobie bez niczyjej pomocy.

– Jak uważasz. – Nałożyła odrobinę różu na policzki. – Ale dziewczyny takie jak my pną się w górę właśnie dzięki znajomościom. Teatr Nelsona nie da ci niczego oprócz obolałych kostek. Uwierz mi. Jeżeli chcesz odnieść sukces, musisz kogoś poprosić o pomoc. To Berlin. Wszystkie w końcu padamy przed kimś na kolana.

Teatr Rudolfa Nelsona rzeczywiście zapewnił mi obolałe kostki, a do tego obolałe stopy, łydki – a nawet szczękę, bo przez cały występ szeroko się uśmiechałam. Nosiłam ozdobione cekinami stroje, na których znajdowało się więcej piór niż w strusim ogonie (to na nas spoczywał obowiązek ich wymieniania, choć używano do tego tak taniego kleju, że podczas występu zasypywałyśmy piórami całą scenę). Brykałyśmy z dziewięcioma innymi dziewczętami, często kompletnie ignorowane przez publiczność, która piła, rozmawiała i wypuszczała w naszą stronę kłęby dymu papierosowego.

Występowałyśmy w trzech teatrach rewiowych w Berlinie, ale każde z tych krzykliwych, głośnych widowisk wyglądało identycznie: miało oszołomić widzów naszym wyglądem – nie zaś talentem. To nogi chcieli oglądać klienci i to za ich prezentowanie nam płacono.

Odkładałam każdą markę. Jadłam jak najmniej, zgłaszałam się na zastępstwo za każdą dziewczynę, która

się rozchorowała, skręciła kostkę albo musiała odejść. Przyjmowałam też inne zlecenia: szukałam w gazetach ogłoszeń i reklamowałam rozmaite produkty, takie jak pończochy – musiałam przy tym wyglądać na onieśmieloną i lekko odsłaniać podwiązki. Niektórzy fotografowie oferowali, że zrobią dodatkowe zdjęcia do mojego portfolio, a ja w zamian za to pokazywałam im nieco więcej niż tylko nogi. W ciągu kilku miesięcy udało mi się zgromadzić pokaźną kolekcję portretów i odpowiednią sumę, by zapisać się na lekcje aktorstwa z Gerdą, która tymczasem wróciła z Hanoweru i miała wkrótce wyruszyć w następną służbową podróż do Monachium.

Na naszym związku zaczęły pojawiać się rysy. Gerdę irytowała moja relacja z Camillą, która pomagała mi w ćwiczeniach aktorskich: musiałam doskonalić dykcję i poczucie rytmu; zbliżał się termin przesłuchania w akademii. Próbowałam tłumaczyć, że studiująca tam Camilla najlepiej wie, czego oczekują wykładowcy, ale zdaniem Gerdy Camilla nigdy niczego nie dawała za darmo.

– To prawda – przyznałam. – Herr Daniels zaoferował jej zniżkę za to, że mnie poleciła.

Gerda skrzywiła się.

– Nie chodzi mi o pieniądze.

Uznałam, że nie warto udowadniać, że z Camillą mamy po prostu wspólny cel. Chętnie korzystałam z jej rad i doświadczenia, a Camilla z kolei liczyła na to, że dostanę się do akademii, a ona będzie mogła twierdzić, że to jej zasługa. Kochanki i kochankowie interesowali ją o tyle, o ile

pomagali jej w karierze. Nie pociągała mnie. Wydawała mi się nieco podobna do mnie, miała zbyt szeroki nos i słowiańskie rysy. Podziwiałam natomiast jej apatię i obojętność, które sprawiały, że uganiali się za nią mężczyźni i kobiety z całego miasta. Im mniej o to dbała, tym bardziej za nią szaleli. Zadziwiało mnie to.

Gerda zauważyła, z jakim podziwem patrzyłam na Camillę, ilekroć ta wpadała na herbatę i zaczynała opowiadać o ostatnich romansach albo wypełnionych narkotykami eskapadach do kabaretów. Zawsze zjawiała się u nas, kiedy akurat szła na przyjęcie albo z niego wracała. To właśnie ona korzystała najczęściej z telefonu stojącego w salonie Trude. Podobnie jak ja, tańczyła w teatrze rewiowym, ale nigdy nie przeszkadzało jej to w prowadzeniu niezwykle bogatego życia towarzyskiego. Kiedyś, kiedy pracowałyśmy tego samego wieczoru, a ja poskarżyłam się, że dostaję dużo mniej napiwków niż pozostałe dziewczęta, zauważyła: „A czego się spodziewałaś? Wyglądasz jak uczennica. Żaden klient nie ma ochoty wręczać napiwku swojej córce”.

Te słowa wprawiły mnie w taką konsternację, że zaczęłam naśladować jej styl: narzucałam boa, wkładałam przezroczyste bluzki i rezygnowałam z biustonoszy albo majtek, chcąc, żeby sukienka idealnie przylegała do ciała. Zdecydowałam się nawet na monokl, w którym do złudzenia przypominałam starego generała – Camilla zapewniła mnie, że wyglądam dzięki niemu bardziej „dekadencko”.

– Wyglądasz dzięki niemu jak transwestyta – oznajmiła Gerda. – Nie musisz robić wszystkiego, co ona ci każe. Camilla nie jest piękna. A ty jesteś.

Uroda jednak nie wystarczała. Uroda zapewniła mi tylko tyle, że co noc łapały mnie skurcze i mocno utykałam po występach w teatrze rewiowym.

– Muszę dostać się do akademii – powtarzałam Gerdzie. – To moja jedyna szansa. Jeżeli nie zacznę wkrótce grać, na pewno złamię nogę. A wtedy – dodałam – zastrzelisz mnie jak kulawą klacz i nakarmisz mną Oskara i Fannie.

Wybierała dla mnie wymagające role. Jako erudytka żądała, żebym uczyła się kwestii z Szekspira i Goethego. Nie byłam przekonana, czy te role do mnie pasują, ale zapamiętałam każdą linijkę i przebrnęłam przez całą serię poprawek, które kazał mi wprowadzić instruktor aktorstwa. Na koniec poinformował mnie, że seplenię i nie nadaję się na Desdemonę.

– Jesteś bardzo ładna – powiedział – ale nie zauważam u ciebie talentu.

Wiele razy słyszałam już tego typu opinie i zdążyłam się na nie uodpornić. Może i nie miałam talentu, ale wybrałam sobie właśnie tę drogę i nie zamierzałam rezygnować do czasu, aż każdy teatr w Berlinie zatrzaśnie mi drzwi przed nosem.

Niedługo przed dwudziestymi drugimi urodzinami poszłam na przesłuchanie do akademii Reinhardta. Nie uczestniczył w nim sam Max Reinhardt, który mieszkał w Austrii i zarządzał swoimi placówkami na odległość.

Zamiast niego przesłuchanie prowadziła komisja, na której czele stał dyrektor akademii, Herr Held. Gerda wybrała mi fragment *Fausta* Goethego: rolę niewinnej Małgorzaty. Usłyszawszy o tym pomyśle, Camilla zaczęła kpić:

– To strasznie przestarzałe. I w ogóle nie pasuje do Marleny.

Gerda wybuchła, co zdarzało jej się bardzo rzadko:

– A co ty możesz wiedzieć o Marlenie?

Musiałam im przerwać. Próbowałam opanować sytuację.

W dniu przesłuchania stanęłam na scenie przed komisją i starając się nie patrzeć w oczy jej członkom, zaczęłam recytować przygotowaną rolę.

W końcu padłam na kolana z teatralną przesadą, powtarzając gest, który ćwiczyłyśmy z Gerdą setki razy. Usłyszałam, jak moje nogi z hukiem uderzają w deski, a w ogromnej sali rozbrzmiewa echo. Zacięłam się i usiłując ratować sytuację, załkałam:

– Ach, okrutny. Zali potrzebujesz...

W moją stronę poleciała poduszka zdjęta z jednego z siedzeń. Wylądowała kilka centymetrów ode mnie. Oniemiałam z przerażenia, a Herr Held zawołał:

– Zali potrzebujesz poduszki! Tak nam się przynajmniej wydaje.

Pozostali członkowie komisji zarżeli, a ja ostatkiem sił wydusiłam z siebie trzy kolejne kwestie i uciekłam.

Gerda czekała na mnie przed salą. Miała wyjechać do Monachium tego samego wieczoru. Podeszłam do niej,

starając się ukryć rozpacz, ale ona utkwiła wzrok w jakimś punkcie za moimi plecami i wyszeptała:

– Marleno.

Obejrzałam się. W drzwiach sali stał Herr Held.

– Fräulein Dietrich – powiedział. – To była absolutnie najgorsza wersja Małgorzaty z *Fausta*, jaką ta akademia miała nieszczęście oglądać.

Marzyłam o tym, żeby zapaść się pod ziemię. Wszystko skończone. Wszystkie nadzieje pogrzebane. Nie tylko nie poradziłam sobie na przesłuchaniu i nie zrealizowałam celu, który sobie wyznaczyłam, ale zgodnie z tym, co przewidywała Mutti, jeszcze się przy tym ośmieszyłam.

– Ale – dodał Herr Held – to wygląda obiecująco. – Wskazał dwa zdjęcia dołączone do życiorysu, w którym wymieniłam swoje doświadczenia w teatrze rewiowym, pracę modelki oraz lekcje emisji głosu i aktorstwa. – Proszę zjawić się tu za tydzień o siódmej rano. Została pani przyjęta. Ale tylko tymczasowo.

Obrócił się na pięcie i wszedł do sali.

Zaciskając mocno usta i tłumiąc okrzyk radości, Gerda chwyciła mnie za rękę.

– Widzisz?

– Tak – odpowiedziałam i po raz pierwszy naprawdę w to uwierzyłam. – T e r a z rzeczywiście mam szansę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Fräulein Dietrich, jeżeli zamierza się pani spóźniać, może pani w ogóle nie przychodzić. To nie jest jakiś podrzędny kabaret, w którym każdy pojawia się i znika, kiedy tylko ma ochotę.

Słysząc reprymendę Herr Helda, pozostali studenci akademii posłali mi triumfalne spojrzenia. Pospiesznie rzuciłam płaszcz i torebkę na najbliższe krzesło, zdjęłam kapelusz i przebiegłam palcami po krótkich lokach, po czym ruszyłam w stronę sceny. Nie lubiłam się spóźniać, ale popołudniowe i wieczorne występy w teatrze rewiowym oraz ciężka praca na zajęciach zaczęły odbijać się na moim samopoczuciu. Padałam ze zmęczenia. Tego dnia zaspałam po raz kolejny. Obudziło mnie rozpaczliwe miauczenie kotów, które domagały się śniadania – Gerda ich nie nakarmiła, bo znów pojechała do Hanoweru. Miała tam zajmować się jakimś tematem przez najbliższe dwa tygodnie. Nie zdążyłam się nawet wykąpać: szybko się ubrałam, umalowałam usta, nakarmiłam koty i wybiegłam z mieszkania, żeby złapać tramwaj.

Stojące już na scenie dziewczęta spojrzały na mnie z niechęcią. Mroziły mnie wzrokiem od wielu miesięcy, odkąd zaczęłam studiować w akademii. Nie zwróciłam na nie uwagi i uśmiechnęłam się do chłopaka grającego główną rolę w przedstawieniu. Oblał się rumieńcem. Nie

byłam nim zainteresowana – w przeciwieństwie do dziewcząt, których wściekłość sprawiała mi satysfakcję.

Nagle przypomniałam sobie o scenariuszu, który miałam w torebce. Uczyłam się kolejnych kwestii podczas przerw w teatrze rewiowym. Ruszyłam z powrotem w stronę krzesła, a zniecierpliwiony Held zapytał:

– Co pani wyprawia?

– Mój scenariusz...

– Tak? – Held stanął przede mną i się wyprostował. Miał na sobie pulower bez rękawów, spodnie z zaprasowanymi zaszewkami i krawat. – Potrzebuje pani scenariusza, żeby wyrecytować dwanaście linijek? – Utkwił we mnie brązowe oczy. – Zaczynamy grać za dwa tygodnie, Fräulein. Mam nadzieję, że na tym etapie zdążyła się już pani nauczyć roli na pamięć.

– Tak – potwierdziłam, kiwając głową. – Oczywiście. Ale...

Wskazał palcem scenę.

– Proszę na miejsce. Fräulein – dodał po chwili – niech pani nie wystawia mojej cierpliwości na próbę. Trzepotanie rzęsami i zalotne kroki nie robią na mnie wrażenia. Proszę zostawić to na czas występu. Jeszcze jedno spóźnienie i nie przyjmę pani więcej na zajęcia. To akademia Reinhardta i nie ma tu ludzi niezastąpionych.

– Zrozumiałam, Herr Held – wymamrotałam, drżąc pod jego spojrzeniem.

Wystawialiśmy kontrowersyjną *Puszkę Pandory* Wedekinda, zakazaną w 1904 roku, po tym jak premiera w Norymberdze wywołała wielki skandal. Grałam

drugoplanową postać ladacznicy Ludmiły – to była jedna z najlepszych ról w tym przedstawieniu – i zapomniałam o całym zmęczeniu, gdy tylko rozpoczęła się próba. Wolnym krokiem schodziłam ze sceny i wracałam na nią, lekko unosząc spódnicę i kręcąc biodrami. W końcu dziewczyna grająca Lulu, główną bohaterkę, straciła cierpliwość i tupnęła nogą.

– Marlena chce mnie przyćmić. Znowu. Ona zawsze to robi.

Siedzący w pierwszym rzędzie Held rzucił znudzonym głosem:

– Skoro tak, to znaczy, że jej pani na to pozwala. Zamiast wpadać we wściekłość, proszę spróbować ją przyćmić. Gra pani w końcu główną rolę.

Posłałam dziewczynie triumfalne spojrzenie. Nagle jednak Held zwrócił się do mnie:

– A pani? Zamierza pani po spektaklu zacząć przyjmować klientów? Przez cały drugi akt kołysała pani biodrami jak zwykła ulicznica. Owszem, Ludmiła to prostytutka, ale to również doświadczona uwodzicielka. A pani jak na razie zdołałaby uwieść tylko pijanego marynarza. Proszę zachowywać się nieco bardziej powściągliwie.

W podobnej atmosferze upłynęło całe popołudnie. Held kazał nam powtarzać kolejne sceny, wprowadzał poprawki, decydował się na modyfikacje i krytykował nas z taką zajadłością, że na koniec wszyscy byli tak zrezygnowani, że poddali się jego nastrojowi.

– Dwa tygodnie! – zawołał, kiedy zaczęliśmy chyłkiem, ze spuszczonymi głowami schodzić ze sceny. – Zaczynamy za dwa tygodnie w Kammerspiele Theater. Cieszcie się państwo, że jest tam mniej niż dwieście miejsc. Przynajmniej w razie klapy nie obrzuci was obierkami tysięczna widownia.

Kiedy pozostali studenci wychodzili z sali, Held zwrócił się do mnie:

– Fräulein Dietrich, chwileczkę.

Zatrzymałam się i posłałam mu nieufne spojrzenie. Nigdy nie rozmawialiśmy w cztery oczy. Held nie był skłonny do zwierzeń, a przynajmniej nie w kontaktach ze studentkami – kilka razy przyłapałam go za to na ukradkowym zerkaniu na aktora grającego główną rolę męską. Myślałam, że może podzieli się ze mną jakimiś wskazówkami, dlatego kiedy skrzyżował ręce na piersi, zapewniłam:

– Dam z siebie wszystko i sprawdzę się w tej roli. Na pewno nie przyniosę akademii hańby i...

Uniósł brwi, a ja zamarłam.

– Sprawdzi się pani w tej roli – powtórzył. Zmięłam kapelusz, który trzymałam w dłoniach. – Doskonale się pani do niej nadaje. Ale nie jest pani Ludmiłą. Jeszcze nie. – Zamilkł na chwilę. – *Sie müssen mehr ficken*.

Szeroko otworzyłam usta.

– Słucham?

– Nie zna pani niemieckiego? Powiedziałem, że musi się pani częściej pieprzyć. – Sięgnął do kieszeni i wyjął srebrną papierośnicę. Zapalił papierosa, po czym wypuścił dym. –

Żeby w pełni stać się Ludmiłą, musi pani zrozumieć, co ona czuje, czego doświadczyła i czego pragnie. Dla Ludmiły seks jest bronią. Publiczność chce nią za to gardzić, a pani musi sprawić, by zamiast tego widzowie jej współczuli.

Zaniemówiłam. Czy on mnie właśnie skomplementował?

– Jeżeli pani tego nie zrobi – ciągnął Held tym samym rzeczowym tonem – poniesie pani porażkę. Pisane są pani role uwodzicielek, kobiet pozbawionych cnoty, bohaterek, które muszą odkupić winy. Widziałem zamieszczane przez panią ogłoszenia, występuje pani w reklamach i pozuje do zdjęć. Oglądałem też panią w teatrze rewiowym. Wiem, co mówię. Nie może pani grać niewinnych dziewcząt ek i tragicznych heroin, choć tak bardzo pani tego pragnie. Każda dziewczyna marzy o roli Anny Kareniny, ale nie każda jest do niej stworzona.

Widział mnie w teatrze rewiowym? Nigdy go tam nie zauważyłam, ale właściwie nie miałam na to szansy pośród obłoków dymu i setek pożądliwych twarzy zlewających się w jedno. Zresztą nigdy nie zostawałam tam po występach. W przeciwieństwie do pozostałych dziewcząt, które chętnie krążyły pomiędzy klientami, żeby zdobyć narkotyki albo zarobić dodatkowe pieniądze, wymykałam się pospiesznie bocznymi drzwiami i wracałam do domu – choć też nie pogardziłabym przecież odrobiną gotówki.

– Żyje pani z kobietą – powiedział Held, po raz kolejny mnie zaskakując. – Widziałem ją po przesłuchaniu. W żadnym wypadku mi to nie przeszkadza, skoro właśnie to

pani woli. Ale kobiety nie pieprzą się jak mężczyźni. Ludmiła nie jest lesbijką. – Zamilkł i utkwił we mnie wzrok.

Położyłam zgnieciony kapelusz i torebkę na krześle. Kiedy zaczęłam rozpinać płaszcz, Held się roześmiał.

– Proszę mnie nie obrażać. Nie jest pani w moim typie. – Zarumieniłam się ze wstydu, a on dodał: – Ale na pewno szaleją za panią inni mężczyźni. Przypuszczam, że ugania się za panią połowa studentów tej akademii, a już bez wątpienia ten plebs, który ogląda rewie z pani udziałem. Nie brakuje pani wielbicieli – nie ma pani natomiast motywacji.

Nie mogłam uwierzyć, że to wszystko mówił. Próbując sobie wyobrazić, jak Mutti zareagowałaby na takie słowa, odpowiedziałam chłodno:

– Czy sugeruje pan, że powinnam przyjmować klientów jak dziwka?

– Jest pani dziwką. – Rzucił papieros na drewnianą podłogę i zgniótł go obcasem. – My wszyscy, którzy występujemy na scenie, jesteśmy dziwkami. Zabawiamy widzów za pieniądze, oferując im krótkotrwałą rozrywkę. Udajemy tych, których chcą w nas widzieć, pomagamy im zapomnieć o smutnym życiu i czujemy się dzięki nim kochani. Pieprzymy ich w imię oklasków. Kiedy się nad tym zastanowić, nasza działalność niczym nie różni się od tego, co robią dziwki.

Nagle wybuchnęłam śmiechem.

– Sądzę, że niczym, skoro taką perspektywę pan proponuje.

– Nie da się tego ująć w inny sposób. – Miał uśmiech gada. – Proszę uznać to za prywatną lekcję dotyczącą realiów naszego zawodu. Niech pani pieprzy się z widzami, a na pewno panią pokochają. Kłamstwa zapewnią pani wyłącznie pogardę. Nikt nie lubi, kiedy się go okłamuje. Cała sztuka polega na tym, by uwierzyli, że jest pani szczera. Nawet jeśli to nieprawda.

Odwrócił się. Sięgnęłam po kapelusz i torebkę, po czym opuściłam salę prób i wyszłam na ulicę. Wiedziałam, że powinnam być oburzona.

Ale nie byłam.

Dotarłam do internatu spóźniona, bo uciekły mi po kolei tramwaj i omnibus. Trude powitała mnie słowami:

– Gdzie ty się podziewałaś? Gerda mówiła, że nie występujesz dziś w teatrze. Dzwoniła już dwa razy.

– Naprawdę? – Z trudem się powstrzymałam, żeby nie przewrócić oczami. Ostatnio Gerda dzwoniła do mnie kilka razy w tygodniu – z Monachium, Hanoweru oraz innych miast, w których akurat pracowała. Robiła to, choć jakość połączeń u Trude, delikatnie mówiąc, nie była doskonała. Z powodu zakłóceń ledwo się słyszałyśmy. – Zostawiła jakąś wiadomość?

– Mówiła, że spróbuje zadzwonić później. Miałam ci przekazać, żebyś zaczekała na jej telefon. Martwi się o ciebie.

– Och tak. – Posłałam jej wymuszony uśmiech. – Bez wątpienia.

Kiedy wchodziłam po schodach do mojego pokoju, ogarnęła mnie gwałtowna wściekłość. Gerda stawała się nieznośna. Obsesyjnie bała się, że ją zdradzę i zwiążę się z Camillą. Stale powtarzała, że sukces wymaga czasu i że zbiorę owoce swoich wysiłków, o ile pozostanę cierpliwa. Zgodnie z jej radami chodziłam do pracy, na próby, na lekcje emisji głosu i aktorstwa – a potem wracałam wyczerpana do domu. Czułam się jednak tak, jakbym obcowała z kolejną matką... i wcale mi to nie odpowiadało. Teraz, kiedy Oskar kręcił się między moimi nogami, a Fannie spoglądała na mnie złowrogo z wysokości łóżka, nasz przytulny pokój jawił mi się jako ciasna, nieprzyjemna klitka. Przypomniały mi się słowa Herr Helda:

„Cała sztuka polega na tym, by uwierzyli, że jest pani szczera. Nawet jeśli to nieprawda”.

Wrzuciłam kawałki wyschniętej kiełbasy do misek kotów, wyczyściłam kuwetę, a potem stanęłam w oknie i zapaliłam papierosa. Wpatrywałam się w ciemność rozświetlaną jedynie ulicznymi latarniami i wsłuchiwałam się w skrzypienie przejeżdżających w dole tramwajów oraz w odgłosy rozmów i szczęk sztućców dobiegający z restauracji na rogu.

W pokoju zapanowała cisza, niknąca w gęstniejącym mroku. Koty, które zdawały się wyczuwać mój ponury nastrój, wycofały się pod łóżko.

– Dość – wyszeptałam na głos. – Mam już dość.

Próbowałam postępować zgodnie z radami Gerdy. A w konsekwencji dowiedziałam się, że potrzebowałam

czegoś zupełnie dla mnie nieoczywistego, co wydawało mi się od dłuższego czasu zupełnie zbędne. Najwyraźniej mój romans z Reitzem i doświadczenia z niedojrzałymi chłopcami w Weimarze w ogóle się nie liczyły. Wiedziałam, że nie odnajdę inspiracji w tak mało znaczących przygodach.

Przyszedł mi jednak do głowy ktoś, kto mógłby mi pomóc. Ktoś, kto mieszkał w tym samym internacie. Zdawałam sobie sprawę, że Gerda – gdyby się o tym dowiedziała – wpadłaby w szał. Postanowiłam jednak o tym nie myśleć. Zeszłam na dół i zapukałam do drzwi Camilli. Zrobiło się późno, ale przypuszczałam, że jej czas płynie zupełnie inaczej. Jeżeli miała dziś wolny wieczór, to na pewno przygotowywała się na nocne eskapady.

Po kilku minutach, kiedy zamierzałam się już wycofać, drzwi się uchyliły, a Camilla stanęła w progu. Miała na sobie czarny peniuar, pod którym rysowało się smukłe ciało.

– Marleno. Znowu zatrzasnęłaś drzwi do swojego pokoju?

Mimo że jej strój nie był jeszcze kompletny, zdążyła już zadbać o to, żeby makijaż wyglądał na dopracowany: usta przypominały rozcięty szkarłat, powieki uginały się pod ciężarem nałożonego na nie cienia, ale jednocześnie pozostawały drapieżne w naznaczonej sztucznością perfekcji.

– Nie. Ja... zastanawiałam się... – Zamilkłam. Przez chwilę patrzyłam na siebie jej oczyma: nieporadna, przemęczona ciągłą bieganiną, przygnębiona dziewczyna, która najwyraźniej nie wie, co ze sobą zrobić.

– Tak? – Camilla położyła dłoń na biodrze, odsłaniając pomalowane na czerwono paznokcie, tak długie jak u Jolie. Nigdy nie mogłam zrozumieć, w jaki sposób utrzymywała je w takim stanie, nosząc te koszmarne stroje, które kazano nam wkładać na występy w teatrze rewiowym. Moje paznokcie były wiecznie zniszczone i połamane, a wszelkie próby doprowadzenia ich do porządku kończyły się katastrofą. Nieustannie łamałam je sobie na cekinach albo niechcący przyklejałam z piórami do stroika. – Nad czym się zastanawiałaś?

– Mogę dziś z tobą wyjść na miasto?

Otworzyła usta, lekko odsłaniając zęby.

– Co za niespodzianka – powiedziała po chwili. – Gerda dziś nie dzwoniła? Na pewno odchodzi od zmysłów. Wygląda na to, że spędza już czas głównie na wyjazdach. Jak może cię chronić, kiedy jest tak daleko?

Była cięta. Za tą wygładzoną buzią skrywała wiecznie odsłonięte kły.

– Owszem, dzwoniła – odpowiedziałam. – Ale jakie to ma znaczenie? Dzisiejszy wieczór spędzam sama i... – Tym razem celowo zawiesiłam głos. Wyjaśnienia były zbędne i Camilla doskonale o tym wiedziała. Poza tym nie zamierzałam dawać jej satysfakcji i przyznawać, że znalazłam się w impasie. Jak sama powiedziała, nadszedł czas, by paść na kolana. Po prostu nie chciałam jeszcze głośno się do tego przyznawać.

– A więc to tak? – Lekko się cofnęła, wpuszczając mnie do środka. – Chodź, napijesz się czegoś. Albo coś wciągniesz,

jeśli wolisz. Mam tu wszystkiego pod dostatkiem.

Jej pokój wyglądał tak, jakby właśnie przeszedł przez niego cyklon. Wszystkie powierzchnie pokrywały porozrzucane ubrania, brudne pończochy, pierzaste boa i stosy pogniecionych kapeluszy piętrzących się przy wypełnionych po brzegi popielniczkach i brudnych talerzach. Podłoga była usłana afiszami z teatru rewiowego, porozdzieranymi i wymiętymi jak martwe ćmy. Ledwo się powstrzymywałam, by nie zacząć sprzątać. Jak ona mogła żyć w takim chlewie?

Kiedy spojrzałam na pokryte białym pyłem lusterko leżące na stoliku, ogarnęły mnie wątpliwości. Wiedziałam, że Gerda wpadnie w szał. Gardziła narkotykami, a kokaina w połączeniu z alkoholem była ulubioną mieszanką Camilli. Obie słyszałyśmy wielokrotnie, jak wpadała do internatu po całonocnych szaleństwach: zataczała się, bełkotała i budziła nas, a biedna Trude musiała pomagać jej dotrzeć do łóżka. Kiedy spotykała nas następnego dnia, konsekwentnie twierdziła, że nic nie pamięta – i prawdopodobnie nie mijała się z prawdą, zważywszy na to, ile używek pochłaniała. Obserwując ją, przekonałam się, że takie chwilowe radości wiązały się też z wieloma nieprzyjemnościami.

Camilla pochyliła się nad lusterkiem i wciągnęła biały proszek. Mrugając załzawionymi oczami i odchylając głowę do tyłu w taki sposób, żeby nie rozmył jej się makijaż, powiedziała:

– Zamierzałaś iść ze mną na miasto w takim stroju?

Spuściłam wzrok i spojrzałam na swoją sukienkę w kwiaty.

– Nie. Miałam nadzieję, że mi pomożesz. Ja... muszę przygotować się do nowej roli. Gram prostytutkę i... – Wzruszyłam ramionami.

Zmierzyła mnie wzrokiem. Zauważyłam, że źrenice rozszerzyły jej się od kokainy.

– Obawiam się, że moje ubrania nie będą na ciebie pasowały, *Liebling*. Zrobiłaś się ostatnio dość pulchna.

Pulchna? Spojrzałam na nią z niedowierzaniem. Bez przerwy się głodziłam, próbując za wszelką cenę upodobnić się do Ludmiły. Nagle jednak przypomniałam sobie o ciastkach z kremem, które ukradkiem kupowałam, chowałam pod płaszczem i pożerałam w swoim pokoju. Co gorsza, Trude nieustannie przynosiła mi kawałki domowego ciasta czekoladowego, powtarzając przy tym, że muszę jeść, żeby zachować siły.

– Naprawdę niczego nie znajdziesz? – zapytałam, wskazując rozrzucone po całym pokoju sterty ubrań. – W tym wszystkim?

Wzruszyła ramionami.

– Możesz się rozejrzeć. Jeśli znajdziesz coś, co ci się podoba, przymierz to. – Wstała z fotela i przeszła przez kotarę z kolorowych koralików, oddzielającą salon od sypialni, w której panował nie mniejszy chaos. – Zaraz wracam.

Zdjęła peniuar, odsłaniając szczupłe ciało, na którym nie było ani grama tłuszczu, a ja odwróciłam się i zaczęłam

przekopywać przez sterty ubrań. W końcu znalazłam zieloną jedwabną bluzkę i spódnicę z długim rozcięciem. Czując na sobie wzrok Camilli – stała za kotarą z koralików i wkładała jedną ze swoich bezkształtnych sukienek z jedwabnej siateczki, które leżały na niej jak druga skóra – rozpięłam własną sukienkę i włożyłam bluzkę. Nie mogłam zapiąć spódnicy (jak zdołałby się w nią zmieścić ktokolwiek poza dzieckiem?), ale przypomniałam sobie, że mam etolę z lisiego futra, którą Jolie pożyczyła mi na przesłuchania. Mogłabym zarzucić ją na ramiona, a końcówki przypiąć broszką w talii, żeby ukryć niezapięty guzik i...

Nagle rozległ się głośny śmiech. W pokoju pojawiła się Camilla, ubrana w luźną, ozdobioną frędzlami sukienkę, do której dobrała jedwabne pończochy.

– Czyż to nie rozkoszne? Dziś wieczorem będę miała w Das Silhouette prawdziwą przyzwoitkę.

Nie wytrzymałam i rzuciłam przez zęby:

– Musisz być taką suką?

Camilla szeroko otworzyła usta, a po chwili zapytała:

– Co powiedziałaś?

– Poprosiłam cię o pomoc. Jeśli potrafisz tylko ze mnie kpić, pójdę sobie.

Obojętność malująca się do tej pory na jej twarzy nagle zniknęła.

– Przepraszam. Po prostu kiedy powiedziałaś, że chcesz iść ze mną na miasto, założyłam... – Jej pełen skruchy uśmiech wydawał się szczery, choć trudno mi było to ocenić, bo rzadko miałam okazję go oglądać. – Do tej pory

zawsze odrzucałaś moje zaproszenia. Wiem, że Gerda nie pochwala mojego dekadenckiego stylu życia.

– Przecież tu jestem, prawda? – odpowiedziałam.

Camilla podniosła wzrok i w tej samej chwili guzik pękł, a spódnica opadła mi do kostek. Stałam tylko w pończochach z podwiązkami – i nie miałam na sobie nic poza tym.

– No cóż, widzę, że przynajmniej posłuchałaś mojej rady i zrezygnowałaś z tej upiornej bielizny, która według Gerdy chroniła twoje dziewictwo – zauważyła Camilla.

Nagle wybuchnęłam śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać. Czułam się idiotycznie, jak pulchna dziewczynka, która bawi się w przebieranki i wkłada eleganckie stroje starszej siostry.

– Zdejmij to – powiedziała Camilla, wskazując bluzkę, którą miałam na sobie. Zaczęła przekopywać sterty ubrań. Wydawało się, że dokładnie wie, czego szuka. – Jest! – zawołała i zanurkowała za fotelem, po czym wyciągnęła coś czarnego, pomiętego i...

– Kamizelka? – Liczyłam na coś bardziej szykownego, na przykład suknię z gorsetem, taką jak ta, którą kazała mi kiedyś zmierzyć Oma. Chciałam podkreślić atuty i ukryć mankamenty mojej sylwetki.

– Nie tylko kamizelka: mam też do niej frak i spodnie. To niesamowicie wytworny strój, kochanie. Smoking. Noszą je wszyscy dżentelmeni.

– Chcesz, żebym ubrała się jak mężczyzna?

Camilla uniosła cieniutką, wyskubaną brew.

– Masz jakiś lepszy pomysł? Podwiązki i pończochy są może kobiece, ale bez spódnicy albo majtek na pewno się przeziębisz.

– Nie. – Pokręciłam głową. Camilla tymczasem zaczęła krążyć wokół mnie, starając się ocenić każdy detal. – Idę na górę. Znajdę coś w swojej szafie...

– Niczego nie znajdziesz. – Zapięła mi kamizelkę, a ja poczułam na karku dotyk jej lodowatych palców. – Widziałam, jakie nosisz ubrania. Może nadają się dla zdesperowanych dziewcząteк, ale jeśli chcesz zrobić wrażenie, nie przyda nam się żaden element twojej garderoby. – Zamilkła na chwilę, po czym szepnęła mi do ucha: – A chcesz zrobić dziś wrażenie, prawda?

– Tak – wyszeptałam. Kiedy jednak Camilla wręczyła mi białą koszulę z guzikami ze sztucznych pereł, frak oraz spodnie z szelkami, w pierwszej chwili myślałam, że nadal ze mnie kpi. Wolałam nie pytać, do kogo należy ten komplet. Zakładałam, że nie do niej, skoro uznała, że będzie na mnie dobry. Wyczułam też na materiale niewyraźną nutę wody kolońskiej – nieznany męski zapach.

Kiedy zapięłam spodnie, które okazały się zbyt długie, a następnie wyregulowałam szelki, Camilla uważnie mi się przyjrzała.

– Potrzebujesz jeszcze muszki i cylindra.

Wróciła do sypialni, żeby ich poszukać, a ja ruszyłam w ślad za nią, w nadziei że znajdę tam lustro.

Podobał mi się sposób, w jaki spodnie luźno się na mnie układały. Poczułam ulgę. Nie musiałam obawiać się, że

niechcący odsłonię swoje ciało. Byłam niższa od Camilli, ale wcale się tak teraz nie czułam: kiedy przeszukiwała sterty ubrań leżących przy łóżku, ja rozejrzałam się po pokoju i zauważyłam lustro na drzwiach szafy.

Zamarłam.

Wyglądałam zupełnie inaczej niż wtedy, gdy po raz pierwszy spojrzałam na swoje odbicie w sukni Omy. Prezentowałam się teraz niemal perwersyjnie. W lustrze zobaczyłam zaskakująco androgyniczną postać: w męskiej koszuli moje piersi stały się prawie niewidoczne, kamizelka wyszczuplała mnie w talii, a frak poszerzał ramiona. Odgarnęłam loki z twarzy. Zobaczyłam to, co musiała dostrzec Camilla: moją wciąż okrągłą i oblaną rumieńcem twarz, która powoli dojrzewała. Ale na razie jawiła się jako niedokończona rzeźba, której niedawno nadano kształt.

„Próżność*, mein Lieber.* Sprawia, że ponętne staje się nawet własne odbicie”.

Camilla wyrosła nagle za moimi plecami. Wiążąc mi białą muszkę wokół szyi, nakazała:

– Trzymaj włosy z tyłu. – Nałożyła mi na głowę czarny satynowy beret. – Olśniewająco – szepnęła. – Nie jestem już wcale pewna, czy chcę, żebyś mi towarzyszyła. Będziesz dla mnie poważną konkurencją.

– Naprawdę tak uważasz? – Odwróciłam się do niej. – Myślisz, że taki strój do mnie pasuje? – Choć wydawało mi się to prawie niemożliwe, byłam o tym przekonana. Chciałam jednak usłyszeć to z ust drugiej osoby.

– Nie domagaj się pochlebstw. Usiądź na łóżku, umaluję cię. – Camilla przyniosła kosmetyki, a ja w milczeniu patrzyłam w lustro. Nałożyła mi odrobinę różu na policzki i wybrała mocną szminkę, a potem użyła ciemnej kredki do oczu i zielonego cienia do powiek.

– Idealnie – powiedziała z zadowoleniem. Po chwili zerknęła na moje stopy. – Brakuje tylko butów.

– Gerda... ma parę wingtipów – oznajmiłam.

Camilla skrzywiła się.

– No tak, oczywiście. – Machnęła na mnie. – Idź po nie. I weź jakieś pieniądze! – zawołała, kiedy ruszyłam do drzwi. – W Das Silhouette płaci się za prywatne boksy.

Dotarłam na górę i znalazłam buty Gerdy. Ponieważ okazały się na mnie za duże, wepchnęłam w nie nylonowe pończochy, a następnie podpięłam mankiety spodni i wyjęłam część pieniędzy, które odkładałam w skarpecie. Trzymałam tam napiwki od klientów teatru rewiowego. Ponieważ miały mi służyć tylko w nagłych przypadkach, ogarnęło mnie poczucie winy: to, co radził mi Herr Held, trudno było uznać za nagły przypadek. Wepchnęłam jednak pieniądze do kieszeni i w ostatniej chwili chwyciłam monokl, który założyłam sobie na lewe oko.

Uznałam, że skoro mam podjąć tak duże ryzyko, powinnam iść na całość.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Klub Das Silhouette przy Nollendorfplatz słynął z tego, że ściągali do niego najwięksi berlińscy ekscentrycy. Gerda nie znosiła tego lokalu, choć nigdy nie przekroczyła jego progu. O tym niezwykłym miejscu wiele opowiadała nam Camilla, która z zachwytem opisywała panującą tu krzykliwą, ekstrawagancką atmosferę: szalony amerykański jazz, który stał się ostatnio bardzo modny, lejący się strumieniami alkohol, wszechobecne używki takie jak opium, system lamp próżniowych zwiniętych w spirale na ścianach, nienasycony apetyt klientów otwartych na wszelkie typy doznań. Gerda, choć nigdy tam nie dotarła, natychmiast uznała ten kabaret za jedno z najgorszych miejsc w Berlinie – obskurną norę dla motłochu, w której nieustannie dochodziło do skandalicznych czynów i zachowań.

Przysadzisty mężczyzna pilnował rozświetlonego neonem wejścia i władczym gestem przywoływał osoby, które z jakiegoś powodu uznał za godne tego lokalu. Najwyraźniej widywał Camillę całkiem często, bo kiedy już udało nam się przepchnąć na początek kolejki, wyszczerzył zęby w uśmiechu, obrzucił mnie wzrokiem i zwrócił się do niej słowami:

– A kim jest ten uroczy kociak?

– To moja koleżanka – odrzekła Camilla. – Nie bądź niegrzeczny. Jest dziewicą.

– Już niedługo. – Mężczyzna zarechotał, po czym wskazał skórzaną kotarę. Przeszłyśmy przez nią i znalazłyśmy się w szatni. Camilla podała swoją etolę i parasol ładnej dziewczynie, która stała za kontuarem. Miała włosy splecione w warkocze ozdobione wstążkami i była ubrana w szkolną plisowaną spódniczkę, która od razu skojarzyła mi się z moim mundurkiem z Schönebergu. Kiedy jednak wydała Camilli numerek, uważniej jej się przyjrzałam i przekonałam się, że wcale nie stoi przede mną ładna dziewczyna... tylko prześliczny chłopak.

Puścił do mnie oko i zatrzepotał rzęsami, na których skrzyły się maleńkie koraliki.

– Chciałabyś oddać coś do szatni, *Liebchen*?

– Nie – wydukałam z pewnym trudem. Miałam wrażenie, że szminka przywarła mi do ust. – Nic. *Danke*.

– Baw się dobrze – powiedział, po czym odwrócił się, żeby powiesić etolę Camilli. Jego pruderyjna z pozoru spódniczka okazała się tak krótka, że wystawały spod niej nagie pośladki.

– Widziałaś jego rzęsy? – szepnęłam, kiedy schodziłyśmy po krętych schodach, mijając dziesiątki wiszących na ścianie plakatów. – Wiesz, ile czasu musiało zająć nałożenie tych ozdób?!

– Długie godziny – odpowiedziała Camilla, wyciągając z torebki papierośnicę i wkładając papieros do czarnego ustnika. – Tutejsze damy żyją dla tych nocy. Jeśli o zmierzchu nie wyglądają pięknie i oszałamiająco, w ogóle się nie zjawiają.

Damy, które były tak naprawdę chłopcami. Poznawałam zupełnie nowy świat i próbowałam się z nim możliwie szybko oswoić, choć kosztowało mnie to niemało wysiłku. W kabarecie unosił się gryzący, słodki zapach narkotyków, a pod sufitem obracały się lustrzane kule przypominające ogromne gałki oczne.

Serce zabiło mi szybciej. Oto znalazłam się wreszcie w świecie Ludmiły. Nie myślałam jednak o swojej postaci, tylko raczej o opowieściach, które tak fascynowały mnie w Weimarze – o odejściu starego porządku i nastaniu nowego. Tyle że w tym przypadku to, co nowe, okazało się szokujące i ekstrawaganckie. Zdecydowanie wykraczało poza wszelkie moje oczekiwania. Poznałam fantastyczną krainę, w której nic nie było takie, jakie się z pozoru wydawało. Zrozumiałam, że tego właśnie pragnęłam: świata pozbawionego zasad, świata, w którym mogłabym stać się kimkolwiek zechcę.

Kabaret pękał w szwach, goście tłoczyli się przy barze i siedzieli przy czarno-białych stolikach pod sceną przystrojoną tanimi bożonarodzeniowymi lametami. Kucający mężczyzna ze sztucznym biustem i przekrzywioną rudą peruką wykonywał właśnie jękliwym głosem piosenkę, którą rozsławiła gwiazda Café Megalomania, Rosa Valetti. Znałam piosenki Valetti. Jej lubieżne nagrania cieszyły się wielką popularnością: wychwalała w nich przewagę głębokiej kobiecej rozkoszy nad niecierpliwymi pchnięciami mężczyzny.

Camilla prowadziła mnie między stolikami, posyłając uśmiechy tym osobom, które witały się z nią i wypowiadały jej imię. Kiedy szłyśmy przez salę, zauważyłam w pewnej chwili wytwornego mężczyznę w białym smokingu. Siedział przy jednym ze stolików i uważnie nas obserwował. Wydawało mi się, że Camilla też go zauważyła, jednak rzuciła mu ostre spojrzenie, ostentacyjnie odwróciła wzrok i przyspieszyła.

– Chodźmy – oznajmiła krótko. – Moi znajomi muszą tu gdzieś być.

W smokingu czułam się z jednej strony niewidzialna, a z drugiej wydawało mi się, że skupiam na sobie wszystkie spojrzenia. Starałam się iść pewnym krokiem, ale po chwili musiałam już przeciskać się pomiędzy mizdrzącymi się chłopcami w skąpych peniuarach, podartych pończochach i wymiętych dziewczęcych majtkach. Jeden z nich uśmiechnął się do mnie i lekko uchylił poły materiału, odsłaniając pokaźną erekcję. To było szokujące – i komiczne, zwłaszcza w chwili, w której zobaczył, że się na niego gapię, i wyjął z majtek dildo, które wsadził sobie do ust, a następnie oblizał ze smakiem. Roześmiałam się: rozbawił mnie zarówno absurd tej sytuacji, jak i myśl, co powiedziałaby o tym wszystkim Mutti. Wyobrażałam sobie przerażenie, które ogarnęłoby ją w momencie, gdy uzmysłowiłaby sobie, że wspaniały naród formujący się podczas wizyt niedzielnych i nieustannie poddawany zbawiennemu wpływowi Händla może wybrać taką dekadencję. Jednak choć fascynowało mnie to miejsce,

zaczęłam żałować, że nie zwierzyłam się Camilli z prawdziwego powodu mojej decyzji o towarzyszeniu jej tego wieczoru. Das Silhouette wyglądał na klub dla homoseksualistów i obawiałam się, że nie zdołam spotkać tu mężczyzny chętnego do...

Znieruchomiałam. Dotarłyśmy do części, w której znajdowały się prywatne boksy: kotary ozdobione cekinami służyły tu za prowizoryczne ściany. Niektóre powstałe w ten sposób „pomieszczenia” pozostawały zamknięte dla przybyszów z zewnątrz, w innych zaś ustawiono obite tapicerką siedzenia wokół stołów, na których piętrzyły się kieliszki, butelki i telefony. Siedziało tam wielu mężczyzn w idealnie dopasowanych marynarkach i jedwabnych koszulach ze spinkami przy mankietach. Krzyżując nogi, żywo gestykulowali, i przypuszczałam, że to również homoseksualiści. Dopiero po chwili bliżej im się przyjrzałam i zauważyłam, że są wśród nich również kobiety w męskich strojach. Niektóre miały na sobie smokingi takie jak mój. A kiedy jedna z nich, z brodą narysowaną aktorską szminką, bezwstydnie spojrzała mi w oczy, nagle wszystko zrozumiałam.

Camilla nie przypadkiem mnie tak ubrała. Myślała, że jestem lesbijską i że chcę jej towarzyszyć, żeby zdradzić Gerdę. Nie do końca się myliła.

Nieznajoma dała mi znak.

– Uwielbiam dżentelmenów w monoklach – zamruczała. – Wyglądają tak dumnie i stylowo...

Jej towarzysze w damskich przebraniach zachichotali i klepnęli w puste miejsce na jednej z kanap, dając znak, żebym do nich dołączyła. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że Camilla ruszyła już w inną stronę.

– Nie wstydź się. – Kobieta wstała. Miała na sobie ciemny garnitur i biały krawat, a czarne, niemal granatowe włosy zaczesała do tyłu. – Dołącz do nas. Nie chcesz się przekonać, czy pozwolę, żebyś wziął mnie od tyłu, Herr Monokl?

W tamtej chwili chciałam się o tym przekonać, a zanim zdążyłam się cofnąć, nieznajoma zastąpiła mi drogę. Była gibka i smukła, a jej dłonie zsunęły się powoli po moim smokingu, zatrzymując się na chwilę na piersiach.

– Jesteś tu nowa, prawda? – Jej oddech pachniał papierosami i miętą. – Nie widziałam cię tu wcześniej. Taki wdzięk... i takie cycki. Musisz koniecznie wypić z nami drinka.

Moje ubrania zdawały się rozpuszczać pod jej palcami. Chciałam wypić z nią drinka – i zrobić dużo więcej. Intrygowała mnie. Intrygowała mnie cała sytuacja, w której się znalazłam. Kobiety przebrane za mężczyzn, mężczyźni przebrani za kobiety. Ludzie swobodnie realizujący swoje fantazje. Wydawało mi się to niezwykle podniecające. I śmiałe.

– Nie mogę – wydusiłam. – Moja przyjaciółka... czeka na mnie.

– Przyjaciółka? – Kobieta zerknęła w stronę boksu, w którym zniknęła Camilla. – Nie wierzę, że się z nią

przyjaźnisz. Ta cipa nie zwraca uwagi na nikogo, kto nie może załatwić jej roli.

– Przyjaźnimy się. – Uśmiechnęłam się. – Może innym razem?

Westchnęła.

– Nie zwlekaj zbyt długo, *mein* Herr. I uważaj na swoją tak zwaną przyjaciółkę – dodała. – Jest jak trucizna.

Ruszyłam dalej, czując na plecach spojrzenie nieznajomej. Usłyszałam przenikliwy śmiech Camilli. Znalazła swoich znajomych: rozmawiała właśnie z przysadzistą kobietą ubraną w bardzo ciasną sukienkę, z chudą jak szkielet brunetką, która byłaby śliczna, gdyby przytyła dziesięć kilogramów, i z krzepkim młodzieńcem o farbowanych na blond włosach. Na głowie miał czapkę sternika, a na nagim torsie – skórzaną marynarkę. Na stole leżało lusterko pełne kokainy oraz mała łyżeczka.

Chłopak szeptał coś do Camilli. Wybuchnęła śmiechem, ale zamilkła na mój widok.

– Już jesteś? Myślałam, że znalazłaś sobie jakieś rozrywki – rzuciła kąśliwie.

– Jeszcze nie.

Camilla zwróciła się do pozostałych:

– To Marlena. Jest tu po raz pierwszy i...

Chłopak klasnął w dłonie.

– Dziewica. Witaj, Marleno. Mam na imię Hans. I z całą pewnością nie jestem dziewicą, odkąd... no cóż, odkąd pamiętam.

Nie mówili tego dosłownie: byłam dziewicą, bo po raz pierwszy odwiedziłam to miejsce. Ich kryjówkę.

– Ja też nie jestem dziewicą – odpowiedziałam z uśmiechem. – Od dawna.

Hans przysunął się do Camilli, żeby zrobić dla mnie miejsce, ona jednak rzuciła:

– Niestety, niezależnie od swojego dziewictwa Marlena ma pewną dość istotną wadę: kochankę.

– Tylko jedną? – zapytał Hans, kiedy usiadłam obok niego.

Camilla posłała mi wściekłe spojrzenie. Jej zachowanie kompletnie się zmieniło. Widziałam, że jest z jakiegoś powodu niezadowolona, ale nie miałam pojęcia, o co może jej chodzić. Czyżby oczekiwała, że przyjmę pierwsze zaproszenie, które otrzymam? Czy na tym właśnie polegał jej plan? Miałam dostać to, po co przyszłam, a potem zniknąć, nie psując jej zabawy i nie wchodząc w drogę?

– Camilla źle mnie zrozumiała – oznajmiłam. – Dziś wieczorem nie mam kochanki. Robię to, na co mam ochotę. I nie zdecydowałam jeszcze, na kogo lub na co mam ochotę.

Z satysfakcją odnotowałam, że reszta grupy dobrze zareagowała na moje słowa: przysadzista kobieta zadrżała, po czym zbliżyła swoje udo do mojego, brunetka z uznaniem pokiwała głową, a Hans zapiał z zachwytu.

– Camillo, gdzieś ty ją ukrywała? Jest wspaniała.

Oczy Camilli niebezpiecznie się zwęziły.

– Z całą pewnością. Nawet w pożyczonych ubraniach. – Zamilkła. – Tak się wystroiła, a mimo to nie ma pola do

popisu: żadnego kochanka, żadnego alkoholu, żadnej kokainy... Jaka szkoda.

Kiedy już myślałam, że będę musiała wciągnąć odrobinę wstrętnego białego proszku albo zamówić koktajl, na scenie pojawił się kwartet: czterech mężczyzn w gorsetach i cylindrach. Zaczęli grać, a ludzie zajmujący sąsiednie boksy natychmiast pomknęli na parkiet, upojeni alkoholem i gotowi wirować do upadłego. Przysadzista kobieta zwróciła się do mnie:

– Zatańczymy charlestona?

Camilla uśmiechnęła się z wyższością, a ja się zawahałam. Nagle jednak dostrzegłam kątem oka zmierzającą w naszą stronę wysoką postać w białej marynarce. Natychmiast go rozpoznałam: to był ten sam mężczyzna, którego wcześniej celowo zignorowała Camilla.

– Och. – Hans zadrżał. – Nadchodzi nasz austriacki przystojniak.

– Rudi pochodzi z Czechosłowacji – oznajmiła sucho Camilla. – I lubi wkładać, a nie ssać.

– Może nasz Czechosłowak po prostu jeszcze tego nie próbował. – Kiedy mężczyzna do nas podszedł, Hans oparł się na siedzeniu i rozchylił kamizelkę, odsłaniając zaróżowione sutki. – Powiedz, Rudi, ssałeś już kiedyś?

Rudi lekko się uśmiechnął. Miał proste zęby, charakterystyczne pruskie rysy, wąski orli nos i wyraźny podbródek. Był przystojny, a z bliska zobaczyłam, że jest dobrze zbudowany, choć nie tak umięśniony jak Hans. Wyglądał na człowieka, który lubi o siebie dbać: miał

starannie wypomadowane włosy – w kolorze ciemny blond – a na jego czoło opadał pojedynczy kosmyk. Wyprasowana marynarka opalizowała w czerwonym i niebieskim świetle padającym ze sceny, podkreślając w ten sposób lekką opaleniznę. Rudi skinął głową w nieco staroświeckim geście, a Camilla rzuciła obojętnym tonem, tak jakby go wcześniej nie zauważyła:

– Widzę, że wróciłeś z Pragi. Jak było? Przypuszczam, że gorąco. Opaliłeś się. Miałeś zdjęcia w plenerze?

W głosie Camilli wychwyciłam jakąś ledwo słyszalną fałszywą nutę. Irytacja? Czy właśnie z powodu tego mężczyzny chciała, żebym się ulotniła i zniknęła jej z oczu na resztę wieczoru?

– Tak, było trochę zdjęć w plenerze, a ja niestety zapomniałem o kapeluszu – powiedział Rudi niskim, pewnym siebie głosem.

Ponownie się uśmiechnął, a ja zdałam sobie sprawę, że różni się od innych mężczyzn odwiedzających klub. Cechowała go jakaś szczególna, pozbawiona sztuczności elegancja. Wydawał się w pełni świadomy swojego uroku. Na pewno był homoseksualistą – człowiek taki jak on musiał nim być. A może nie? Zachowanie Camilli wskazywało na coś zupełnie innego.

Nagle Rudi zwrócił się do mnie:

– Jak się nazywasz?

– Marlena Dietrich. – Przyjrzałam mu się przez monokl i pomyślałam, że może wreszcie znalazłam to, czego potrzebowałam.

– Marlena studiuje na akademii – wyjaśniła Camilla. – Załatwisz jej zdjęcia próbne? Ja na swoje nadal czekam, ale może ona będzie miała więcej szczęścia.

W jej tonie zdecydowanie pobrzmiewała uraza. Nie żartowała, kiedy mówiła, że robię jej zbyt dużą konkurencję.

Rudi spojrzał na mnie z zaskoczeniem.

– Jesteś aktorką, Marleno?

– Mam nadzieję nią zostać. – Nie widziałam powodu, by kłamać.

– Pracowałaś już przy jakichś filmach? – Zerknął na leżące na stole lusterko z kokainą, nad którym nachylała się właśnie wychudzona niczym szkielet brunetka.

– Trochę. – Tym razem skłamałam. Wspominał o zdjęciach plenerowych, co wskazywało, że pracował w przemyśle filmowym. Nagle wzięła we mnie górę ambicja. Skoro Camilla udawała, że go nie zauważa, musiał być kimś bardzo ważnym. Przecież nigdy nie poświęciłaby tyle czasu i wysiłku komuś, kto nie mógł pomóc jej w karierze.

– Naprawdę? A w czym grałaś? – zapytał. Nie byłam pewna, czy naprawdę go to interesowało, czy starał się po prostu podtrzymać rozmowę. – Widzę cię po raz pierwszy.

– Tu i tam. Nie grałam w niczym ważnym. – Wyczułam, że Camilla zamierza zwrócić na siebie jego uwagę, więc dodałam: – Miło mi pana poznać, Herr...?

– Sieber. Rudolph Sieber. Dla przyjaciół Rudi. Mnie również miło cię poznać, Marleno Dietrich.

– Och, nie! – zawołał Hans. – Uważaj, Camillo. Okazuje się, że nasza dziewica ma pazury.

Zamierzałam właśnie zapalić papierosa, kiedy zdałam sobie sprawę, że Herr Sieber nadal na mnie patrzy. Podniosłam wzrok.

– Tak? – zapytałam.

– Zatańczysz ze mną?

– Strzał w dziesiątkę – rzucił Hans, po czym głośno zarechotał.

Camilli natychmiast stężała twarz. Po chwili otoczyła ramieniem brunetkę i powiedziała:

– Właśnie. Idź, Marleno. Zatańczcie. Będziecie jedynymi partnerami przeciwnej płci. Chociaż w tym dziwacznym stroju może zdołasz ukryć, że jesteś kobietą.

Rudi zaprowadził mnie na parkiet, gdzie właśnie skończył się charleston i zaczął jakiś powolny taniec. Wtuleni w siebie partnerzy delikatnie się kołysali, wymieniając pocałunki.

Właśnie tego pragnęłam. Po to tu przyszłam. Kiedy jednak Rudi położył mi rękę na biodrze, zaczęłam się zastanawiać, czy rzeczywiście chciał ze mną zatańczyć, czy zależało mu raczej na sprowokowaniu Camilli. Mówiła, że to mężczyzna, który woli wkładać – ten eufemizm nie pozostawiał miejsca na wątpliwości – ale po tym, co widziałam tego wieczoru, niczego już nie byłam pewna.

Podczas tańca Rudi dbał o to, by zanadto się do mnie nie zbliżyć – fakt ten pogłębił moje podejrzenia. Hans był bardzo przystojny i marzył o nim pewnie każdy mężczyzna

w tym klubie. Może Herr Sieberowi nie spodobała się po prostu jego bezceremonialność i ordynarność?

– A więc pracujesz w przemyśle filmowym – powiedziałam po dłuższej chwili.

– A ty jesteś aktorką, która nie zagrała dotąd żadnej większej roli – odpowiedział. Byłam na tyle blisko, żeby móc zauważyć niewielki dołek w jego brodzie. – Chcesz grać w filmach? Akademia Reinhardta cieszy się niemałym prestiżem, ale przygotowuje aktorów do pracy w teatrze, a nie tych, którzy występują przed kamerą.

– Pracowałam już jako modelka dla różnych czasopism. A narzeczonym mojej siostry jest Georg Wills, dyrektor Theater des Westens – dodałam pod wpływem impulsu, choć nie widziałam się z Liesel od miesięcy i nigdy nie poznałam jej partnera. – Mówił, że może mi załatwić pracę, kiedy skończę akademię.

Z przerażeniem zauważyłam, że uciekam się do żenujących przechwałek i za wszelką cenę próbuję przedstawić swój życiorys w jak najkorzystniejszym świetle. Dlaczego byłam tak zdeterminowana, żeby zaimponować jakiemuś nieznajomemu? Nie mogłam jednak udawać, że mi na tym nie zależało. Jego niezwykła klasa i elegancja, delikatny nacisk dłoni na mojej talii i niemal obojętny uśmiech sprawiały, że czułam się tak, jak w towarzystwie dawnej nauczycielki francuskiego. Musiałam za wszelką cenę dowieść swoich umiejętności.

Nagle uświadomiłam sobie, że chcę spędzić z nim noc.

– No cóż – powiedział. – Czyli masz wybór. W dzisiejszych czasach to bardzo ważne. – Umiejętnie wyminął pijaną parę. Na parkiecie panował straszny ścisk. W smokingu było mi naprawdę gorąco, a znajdująca się pod nim koszula nasiąkała potem. Nagle poczułam, że mój brak doświadczenia jest naprawdę czytelny, a Rudi bez trudu go dostrzeże: dziewczyna zabawiająca się w przebieranki w niegrzecznym klubie.

– Lubisz mężczyzn? – odezwał się niespodziewanie.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

– Dlaczego o to pytasz?

– Bo chciałbym się z tobą znowu spotkać.

– W takim razie lubię. O ile chciałbyś się ze mną znowu spotkać.

Roześmiał się cicho.

– Wydaje mi się, że nie mam wyboru. Jesteś niezwykła. Zgadzam się z Camillą. Jeżeli znajdziesz czas, powinnaś przyjść do studia na zdjęcia próbne.

Zamarłam, kompletnie oszołomiona. Muzyka ucichła i rozległ się gong. Po chwili na scenie pojawili się młodzi chłopcy w koronkowych koszulach nocnych i blond perukach, którzy zaczęli dosiadać taboretów ze sztucznymi penisami. Zachwyceni goście gwizdali i krzyczeli, a Rudi odciągnął mnie na bok, przyglądając się tym zabawom z ironicznym uśmiechem. Nie wiedziałam, co w tej sytuacji powinnam zrobić, więc wyjęłam papierosa z kieszeni spodni. Rudi czekał już z zapalniczką. Kiedy pochyliłam się

w jego stronę i usłyszałam szelest tytoniu, a po chwili poczułam znajome pieczenie w płucach, powiedział:

– Mówię poważnie. Pracuję z Joem Mayem. Słyszałaś o nim?

Prawie zadławiłam się papierosem.

– Tak – odpowiedziałam. – Robi filmy.

Rudi się roześmiał.

– To jeden z najlepszych reżyserów w Niemczech. Twoi koledzy z akademii stoją godzinami w kolejkach na przesłuchania, żeby zdobyć rolę – choćby najmniejszą – w którymś z jego filmów. Możesz przyjść jutro po piątej na Tempelhof. Mamy wtedy zdjęcia próbne.

– Dobrze – wydusiłam.

Na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech.

– Jeżeli tak, nie mów o tym Camilli. Wydrapałaby mi oczy. Od dawna błaga, żebym załatwił jej zdjęcia próbne, ale niestety nigdy nie zostanie aktorką filmową. Jest zbyt charakterystyczna. Ty za to... – Spojrzał na mnie. – Sugerowałbym tylko, żebyś ubrała się nieco inaczej. Oczywiście wyglądasz w tym stroju czarująco, ale Joe woli ładne dziewczyny, które ubierają się jak ładne dziewczyny. – Lekko mi się ukłonił. – *Gute Nacht*, Marleno Dietrich.

Odwrócił się i ruszył przed siebie jakby nigdy nic. Jakby nie wywrócił właśnie do góry nogami całego mojego życia. Zdjęcia próbne w Tempelhof Studio u Joego Maya! Nie mogłam w to uwierzyć. Gdyby Rudi nie porzucił mnie nagle w klubie, uznałabym, że celowo mówi to, co chcę usłyszeć, żeby zaciągnąć mnie do łóżka. Jak na ironię doskonale

zdawałam sobie sprawę, że poszłabym z nim do łóżka i bez tego.

Ten wieczór potoczył się zupełnie inaczej, niż się spodziewałam. Nie czułam jednak rozczarowania. Przyszłam tu, żeby znaleźć mężczyznę – i znalazłam. Mógł odmienić moje życie.

Zastanawiałam się tylko nad jednym: jak powiedzieć o tym wszystkim Gerdzie?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

To pytanie okazało się zbędne. Oczywiście nie zamierzałam nic mówić Gerdzie do czasu, aż nabiorę pewności. Obietnica złożona w kabarecie nic nie znaczy – pomyślałam następnego ranka, kiedy obudziłam się z potwornym bólem głowy. Zostałam w Das Silhouette aż do zamknięcia. Nie zajmowało mnie już, czy poznam kogoś interesującego, i nie zwracałam uwagi na pełne niechęci spojrzenia, które rzucała mi Camilla, kiedy tańczyłam z Hansem i flirtowałam z transwestytami. Nad ranem miałam kilku nowych przyjaciół, którzy nalegali, żebym jeszcze wróciła do klubu. Camilla była tak wściekła, że mnie zostawiła, i musiałam sama wracać taksówką, co jeszcze bardziej uszczupliło mój budżet przeznaczony na szczególne wypadki.

Kiedy już nakarmiłam koty i zaparzyłam sobie kawę, żeby uśmierzyć ból głowy, zadzwoniłam do dyrektora teatru i poprosiłam go o dzień wolny, tłumacząc, że się rozchorowałam. Zagroził, że jeśli nie zjawię się w pracy, natychmiast mnie zwolni – a przecież nie opuściłam ani jednego występu, odkąd mnie zatrudnił, podczas gdy pozostałe dziewczęta robiły to nieustannie.

– Dobrze! – krzyknęłam. – Proszę mnie zwolnić. Nie obchodzi mnie to! – Rzuciłam słuchawkę na widełki i się odwróciłam.

Trude spojrzała na mnie z niepokojem.

– Gerdzie na pewno się to nie spodoba – powiedziała. – Nie idziesz do pracy, bo masz zdjęcia próbne?

Byłam tak podekscytowana, że zwierzyłam jej się ze swoich planów, ale natychmiast tego pożałowałam.

– Gerda wyjechała. Ma własną pracę. Jeżeli nie podoba jej się to, co robię, ona też może mnie zwolnić.

Studio znajdowało się w podmiejskiej dzielnicy Weissensee. Musiałam tam jechać trzema tramwajami, a potem pokonać jeszcze kilka przecznic na piechotę. Zjawiłam się na miejscu rozczochrana, przeklinając strój, który na tę okazję wybrałam: białą obcisłą sukienkę i nowe pończochy, które zwijały mi się na kolanach, tak że musiałam nieustannie poprawiać podwiązki. Powitałam jednak recepcjonistkę ciepłym uśmiechem i podałam jej swoje nazwisko. Kilka minut później zjawił się Rudi.

– Myślałem już, że nie przyjdziesz – powiedział, biorąc mnie pod ramię.

– Naprawdę? – odparłam i pozwoliłam mu się prowadzić przypominającymi labirynt korytarzami, do których przylegały niezliczone pomieszczenia, studia i zatłoczone biura.

– Wszystko pójdzie dobrze – zapewnił. – Po prostu bądź sobą. Ślicznie wyglądasz. Nie denerwuj się, to tylko rozmowa i zdjęcia próbne.

Łatwo mu mówić – pomyślałam, drżąc ze strachu. Zaprowadził mnie do biura, na którego ścianach wisiały plakaty filmów wyprodukowanych przez Maya. Pulchny mężczyzna w okularach stał przy biurku, na którym

piętrzyły się papiery. Na jego twarzy malował się grymas niezadowolenia. Zerknął na mnie, po czym z wściekłością zwrócił się do Rudiego:

– I po to kazałeś mi czekać?

– Joe – odezwał się Rudi uspokajającym tonem, tak jakby znał reżysera od dawna. Odciągnął go na bok i przez chwilę szeptem o czymś rozmawiali.

Czekając, aż skończą, starałam się ukryć zdenerwowanie: przyjęłam nieco znudzoną pozę, położyłam dłoń na biodrze i zaczęłam rozglądać się po pomieszczeniu tak, jakby nie robiło na mnie wrażenia. Było jednak wręcz odwrotnie: plakaty i zdjęcia wiszące na ścianach potwierdzały wyjątkową pozycję Maya. Wyprodukował on i wyreżyserował całą serię cieszących się ogromną popularnością kryminałów, tzw. *films noirs*, a także wiele egzotycznych filmów przygodowych, takich jak *Grobowiec indyjski*, tak długich, że puszczano je w kinach w dwóch częściach. Pracując dla UFA, akompaniowałam na skrzypcach jednej z tych produkcji: *Pani świata*, z jego żoną Mią May w roli głównej. Był to jeden z moich ulubionych filmów. Opowiadał o kobiecie dokonującej zemsty i o zaginionym skarbie królowej Saby.

W końcu Rudi podszedł do mnie i szepnął:

– Rób wszystko, o co cię poprosi.

Herr May kazał mi obrócić się w lewo i w prawo, unieść podbródek, spojrzeć mu w oczy, a potem odwrócić głowę tak, żeby mógł przyjrzeć się mojemu profilowi. Musiałam się uśmiechnąć, wydąć wargi, a następnie odegrać gniew,

radość i smutek. Wydawał mi komendy równie lapidarnie, co Herr Held, choć w przeciwieństwie do mojego nauczyciela z akademii wypowiadał je bez sarkazmu. W końcu cmoknął i zwrócił się do Rudiego:

– Jest ładna, ale ma za dużo tłuszczu w okolicach podbródka i zadarty nos, który psuje jej profil.

– Możemy kręcić *en face*. I jeśli trzeba, przejdzie na dietę. – Rudi ujął mnie pod brodę i lekko uniósł mi głowę. – Świetnie wygląda. Musi się tylko pozbyć nadmiaru tłuszczu.

Herr May nie wyglądał na przekonanego.

– Owszem, ma niezwykłą twarz. Jest ładna, ale zbyt duża. W obiektywie będzie się wydawała ogromna.

– Tego jeszcze nie wiemy – zaprotestował Rudi. – Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby zrobić zdjęcia próbne.

– A poza tym nie ma żadnego doświadczenia – dodał May. – Główne role są już obsadzone i to przez profesjonalistów. Nie mogę sobie teraz pozwolić na niańczenie nowicjuszki. I tak mamy opóźnienie w pracach nad tym filmem.

– I właśnie dlatego potrzebujemy świeżej twarzy. Ona nie jest nowicjuszką. Studiuje na akademii Reinhardta i pracowała jako modelka. Umie na tyle dużo, by samodzielnie się wszystkiego nauczyć.

Rozmawiali o mnie tak, jakbym nie stała tuż obok i nie słyszała ich słów. Oceniali mnie jak krowę na targu. Zamierzałam rzucić jakąś kąśliwą uwagę, ale nie mogłam tego zrobić, bo Rudi nadal podtrzymywał mi podbródek i nie pozwalał otworzyć ust.

May po raz kolejny cmoknął.

– Dobrze. Weźmy ją na zdjęcia próbne. Ale jeśli mi się nie spodoba, nie chcę jej tu więcej widzieć. – Usiadł za biurkiem, a kiedy Rudi poprowadził mnie do drzwi, May odezwał się, nie podnosząc wzroku: – Eva mówiła, że nie widziała cię od powrotu z Pragi. Jesteś jej mężem, Rudi. Przestań hulać po Berlinie w poszukiwaniu nowych twarzy i poświęć jej trochę czasu.

Mężem? Gdy tylko wyszliśmy z biura, gwałtownie się od niego odsunęłam.

– Jesteś żonaty. – Nie wiedziałam, dlaczego mi to przeszkadzało, ale ubodło mnie to dużo mocniej, niż mogłabym przypuszczać.

– Zaręczony – wyjaśnił Rudi, tak jakby cokolwiek to zmieniało. – Eva to córka Joego. Chodź. Mamy idealne światło, zrobimy zdjęcia próbne na zewnątrz. Zajmie się tym świetny operator, Stefan Lorant. Będzie dokładnie wiedział, jak się do tego zabrać.

Poprowadził mnie przez kolejne korytarze. Kipiałam z wściekłości. Był zaręczony, równie dobrze mógłby mieć żonę. Tak jak Reitz. To zaś oznaczało komplikacje. Musiałam się skoncentrować i powtarzać sobie, że to wszystko nieistotne. Nie przyszłam tu przecież po to, żeby spędzić z Rudim noc. Przyszłam, bo chciałam coś osiągnąć.

Dotarliśmy na przylegającą do studia łąkę, na której czekał na nas mężczyzna z kamerą na trójnogu. Rudi raz jeszcze ścisnął mnie za łokieć.

– Połamania nóg! – Życzył mi szczęścia w tradycyjny dla ludzi teatru sposób, po czym, ku mojemu przerażeniu,

ruszył z powrotem w kierunku studia i po chwili zniknął.

Ponad godzinę realizowałam polecenia Loranta, który postawił mnie przy białym rekwizycie imitującym płot. Najpierw miałam na nim siedzieć, potem z niego spadać i pod niego wpełzać, a na końcu pozować zza tego prowizorycznego ogrodzenia. Ciągnęło się to w nieskończoność i pod koniec byłam przekonana, że wyglądam koszmarnie: wrześniowa wilgoć sprawiła, że moja sukienka stała się przezroczysta, loki zmieniły się w chaotyczne kosmyki, a starannie nałożony makijaż zaczął spływać mi po twarzy. Kiedy Lorant skończył, pożegnał się ze mną i odprowadził mnie przed bramę studia. Chciałam zapytać, jak wypadłam, ale przestało mnie to już obchodzić.

Wróciłam do domu, do głodnych kotów i zaczęłam przygotowywać się do porannych zajęć, po których czekały mnie popołudniowe próby, a potem wieczór w teatrze rewiowym – o ile w ogóle miałam po co tam wracać.

Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedykolwiek zobaczę Rudiego Siebera.

Mijały kolejne tygodnie.

Wkrótce przestaliśmy wystawiać spektakl i od razu przystąpiliśmy do prób *Poskromienia złośnicy* Szekspira. Herr Held uważał, że żaden aktor nie jest godny tego miana, dopóki nie zagra w sztukach Mistrza. Co ważniejsze, akademii – tak jak wszystkim tego typu instytucjom – brakowało funduszy, a dzieła klasyków generowały solidne zyski. Jako studenci musieliśmy w ten sposób niejako odpracowywać możliwość pobierania tu nauk.

Ostatecznie wydarzyło się to, co nieuchronne: odeszłam z teatru rewiowego. Wbrew groźbom dyrektor mnie nie zwolnił, ale nie mogłam w pełni poświęcić się aktorstwu, tańcząc każdego wieczoru. Żeby się utrzymać, nadal chodziłam na przesłuchania i przyjmowałam zlecenia jako modelka. Pieniędzy wystarczyło mi tylko na jedzenie i dach nad głową, ale jakoś dawałam sobie radę. Gerda wspomagała mnie zresztą z Hanoweru, a podczas rozmów telefonicznych w kółko obiecywała, że niedługo wróci. Ja jednak zaczęłam myśleć, że Camilla miała rację i że podróże służbowe Gerdy nigdy się nie skończą. Zachowywała się tak, jakby po prostu nie chciała wracać. Tak jakby sama popychała mnie do zrobienia tego, czego się najbardziej obawiała: do zdrady.

I oto pewnego wieczoru, kiedy wyszłam z Deutsches Theater po kolejnej wyczerpującej próbie z Heldem, który syczał i rugał mnie za to, że nie słucham jego rad – zobaczyłam nagle Rudiego. Stał przy dwuosobowym niebieskim automobilu, będącym prawdziwą rzadkością w Berlinie tamtych lat. Minęłam go, zachowując się tak, jakbym go nie poznawała.

Pobiegł za mną i chwycił mnie za ramię. Posłałam mu gniewne spojrzenie.

– Puść mnie.

– Co się stało? – zapytał. – Dlaczego jesteś zdenerwowana?

– Zdenerwowana? Dlaczego miałabym być zdenerwowana? Przecież tylko zrobiłeś ze mnie idiotkę

podczas rozmowy z Mayem i zdjęć próbnych. Kazałeś operatorowi pokazać mnie jak jakąś mleczarkę. A do tego zostawiłeś mnie samą i zniknąłeś.

– Marleno, nie miałem wyboru. Nie mogłem wpływać na jego decyzje. Joe jest pod tym względem bardzo stanowczy, nie chce, żebym mieszał się w kwestie obsady. Już i tak podjąłem ryzyko, przyprowadzając cię na zdjęcia próbne.

– Rozumiem. No cóż, przepraszam, muszę iść na występ. – Nie miałam żadnego występu, ale mimo to zamierzałam się odwrócić i odejść, kiedy Rudi raz jeszcze dotknął mojego ramienia.

– Dostałaś tę rolę.

Zamarłam. Nie wierząc w to, co właśnie usłyszałam, spojrzałam mu w oczy. Uśmiechał się. W gasnącym powoli letnim świetle wyglądał młodo i w niczym nie przypominał eleganckiego nieznajomego z kabaretu. Był dwudziestokilkuletnim mężczyzną obdarzonym ponadprzeciętną dawką uroku. Wydawał się naprawdę czarujący.

– Ja... dostałam tę rolę? – spytałam.

– Tak. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej, odsłaniając idealne zęby. – Zdjęcia wyszły koszmarnie, ale dzięki nim Joe dostrzegł to, co sam widziałem od początku. Masz potencjał. Błyszczysz przed kamerą. Nie mogłem od ciebie oderwać wzroku.

– Byłam przecież sama przed kamerą. A skoro zdjęcia tak źle wyszły, to w jaki sposób błyszczałam?

– Nie rozumiesz specyfiki pracy z kamerą. Za bardzo się starasz, a na taśmie filmowej wszystko staje się o wiele wyrazistsze. Ale z drugiej strony to dla ciebie wielka szansa, musisz ją tylko wykorzystać. – Po chwili dodał ciszej: – To mała rola. Ta produkcja nosi tytuł *Tragedia miłości*, zagrasz Lucie, kochankę sędziego. Chodzi o dwie sceny, ale to świetne na początek. I musisz koniecznie włożyć swój monokl. Mówiłem Joemu, jak prezentowałaś się w smokingu, a on zgadza się...

Głośny ryk w mojej głowie zagłuszył jego słowa. Dostałam rolę w filmie – i to w produkcji Joego Maya. Cieszyłam się tak, jakbym miała zagrać w nim główną rolę. Byłam szczęśliwa i pełna wdzięczności. A zarazem przerażona.

– Nie mogę – wyszeptałam. – Nie dam rady tego zrobić. Nie wiem jak. – Czułam narastającą panikę. – Nie mam pojęcia o pracy z kamerą. Wszystko zepsuję. Tu chodzi o Joego Maya, nigdy więcej nie dostanę już żadnej roli...

– Cii. – Przyciągnął mnie do siebie jak opiekuńczy ojciec, ale bijący od niego żar nie miał nic wspólnego z tym, co może łączyć córkę i ojca. – Oczywiście, że możesz to zrobić. Będę przy tobie. To tylko aktorstwo, Marleno. Zamiast przed publicznością, staniesz przed kamerą. Przecież właśnie to chcesz robić.

– Chcę – wyszeptałam, a on uniósł mój podbródek.

– Tak – powiedział. – Jesteś do tego stworzona. Może jeszcze o tym nie wiesz, ale to pewne. Zaufaj mi.

Podobnie jak Gerda, zobaczył we mnie coś, czego sama nie widziałam. Pozwoliłam mu zaprowadzić się do

automobilu. Kiedy zatrzymaliśmy się przed internatem, wysiadł i otworzył mi drzwi.

– Wejdziesz na górę? – zapytałam.

Chciałam się jakoś odwdzięczyć za ogromny dar, który od niego dostałam, za rozbudzoną na nowo nadzieję. Wiedziałam, jak mogę to zrobić. Czułam, jak napinały się jego spodnie, kiedy mnie obejmował. Umiałam rozpoznać pożądanie, kiedy stawałam się jego obiektem. Nie miało znaczenia, że Rudi był zaręczony czy żonaty. Zasłużył na to. A poza tym sama tego pragnęłam. Od chwili, w której go poznałam. Tyle że teraz chciałam czegoś więcej. Chciałam czuć się kochana – przynajmniej w jedną noc.

– Może innym razem. – Odwrócił wzrok. Ruszyłam niepewnie w stronę internatu. Odwróciłam się i spojrzałam na Rudiego przez ramię. Stojąc w bezruchu obok samochodu, dodał cicho: – Pragnę cię, Marleno. Bardzo. Ale nie chcę, żeby doszło do tego w taki sposób. Nie możesz robić tego z wdzięczności. Chcę, żebyś pragnęła mnie tak bardzo, jak ja pragnę ciebie. A w obecnej sytuacji nie jesteś w stanie. Masz... inne zobowiązania.

– Ty też. Masz narzeczoną. Ja z kimś żyję, ale nie jestem zaręczona.

– To prawda. – Spojrzał mi w oczy. – Ale zaręczyny można zrywać. A czy ty byłabyś gotowa na podobny krok?

Najwyraźniej rozmawiał z Camillą, która opowiedziała mu o moim związku z Gerdą.

– Nie jestem osobą, za którą mnie uważasz. – Odwróciłam się do drzwi i włożyłam klucz do zamka. – Owszem –

dodałam przez ramię – byłabym gotowa na podobny krok. Musisz tylko dać mi wystarczająco dobry powód.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zdjęcia do *Tragedii miłości* rozpoczęły się dopiero na początku 1923 roku. Mimo sukcesów nawet Joe May miał trudności ze zdobyciem środków na tę produkcję – ja jednak dostałam wcześniej scenariusz i obsesyjnie uczyłam się swoich kwestii, jednocześnie grając w kilku innych sztukach w akademii. Występowałam między innymi w *Timotheus in Flagranti*, gdzie zostałam obsadzona aż w trzech rolach. Spektakl okazał się klapą po zaledwie dziewięciu przedstawieniach, ale ku mojemu zadowoleniu Held mnie skomplementował, co prawda niechętnie, mówiąc, że spisałam się lepiej niż cała reszta.

Wywiad, jaki przeprowadziłam wśród innych studentów, którzy mieli już okazję grać niewielkie role w filmach, uświadomił mi, że praca na planie filmowym w niczym nie przypomina pracy na scenie. Nie odbywały się dziesiątki prób, sceny kręcono często nie po kolei, a scenariusz modyfikowano zwykle w ostatniej chwili. I choć dzięki możliwości kręcenia niezliczonych ujęć i dubli udawało się zwykle naprawić wszystkie błędy, wytrwałość, ciężka praca i umiejętność przyjmowania korzystnych dla siebie pozycji były absolutnie konieczne. Niektórzy jednak uważali film za prymitywną sztukę, stanowiącą zaprzeczenie cywilizowanych sposobów doskonalenia techniki aktorskiej.

Ta świadomość bynajmniej nie stłumiła mojego niepokoju, który osiągnął taki poziom, że ostatecznie skłonił mnie, by

złożyć wizytę wujkowi Williemu. Błagałam go, by uruchomił kontakty i znalazł mi wcześniej rolę w jakimkolwiek innym filmie. Tłumaczyłam, jak bardzo potrzebuję tego doświadczenia przed zbliżającymi się zdjęciami do produkcji Maya. Wujek wykonał kilka telefonów i załatwił mi rolę w *Małym Napoleonie*, historycznej farsie w reżyserii Ernsta Lubitscha, opisującej podboje miłosne cesarskiego brata. Grałam pokojówkę: była to dość głupia rola, wymagająca ode mnie ciągłego chichotania, snucia intryg i wspierania mojej pani, która konsekwentnie odrzucała zaloty uganiającego się za nią bohatera. Występowałam jednak przed kamerą i starałam się nauczyć wszystkiego, czego tylko mogłam, o oświetleniu i niewychodzeniu z roli mimo obecności dużej ekipy filmowej. Wiele tygodni później uczestniczyłam w pokazie pierwszej wersji tej produkcji i ku swojej rozpaczy przekonałam się, że wyglądam na ekranie jak wielki ziemniak o kręconych włosach.

Przeszłam w związku z tym na ścisłą dietę. Żadnych ciastek, mięsa ani chleba: ograniczałam się do wody i cieniutkich plasterków sera. Do rozpoczęcia pracy nad *Tragedią* zdołałam schudnąć kilka kilogramów, czego dowodem było zniknięcie tłuszczu z mojego podbródka.

Musiałam wyglądać idealnie.

W *Tragedii* występowali znani aktorzy. Do Niemiec nie zdążyły jeszcze dotrzeć zza oceanu wielkie hollywoodzkie gwiazdy – jedyny wyjątek stanowił Charles Chaplin, którego, podobnie jak reszta świata, wszyscy wielbiliśmy. Skrajna dewaluacja marki uniemożliwiała jednak

dystrybucję amerykańskich filmów, zmuszając nas do poszukiwań rodzimych gwiazd. Na planie *Tragedii miłości* pracowałam z jednym z najbardziej znanych niemieckich aktorów, Emilem Janningsem, słynącym z topornego, a zarazem złowrogiego wyglądu. Dostał rolę brutalnego paryskiego zapaśnika, który w afekcie morduje kochanka swojej partnerki i staje przed sądem. Grana przeze mnie Lucie – pełna życia kochanka sędziego – była bezwzględną bohaterką skupioną wyłącznie na własnym interesie. W pierwszej z dwóch scen z moim udziałem miałam zadzwonić do sędziego i przymilać się do niego po to, by pozwolił mi uczestniczyć w procesie, w którym rozstrzygały się losy zapaśnika.

W dniu, kiedy zaplanowano kręcenie tej sceny, byłam tak zdenerwowana, że monokl nieustannie mi wypadał. Joe May powoli tracił cierpliwość, wreszcie kazał mi go porzucić. Usiadłam przy telefonie i podniosłam słuchawkę. Drżałam i ledwo powstrzymywałam łzy. W pewnej chwili Emil Jannings podszedł do mnie z tubką kleju do charakteryzacji i wymamrotał:

– Przylep go sobie.

– Dziękuję – wyszeptałam, wyciskając odrobinę kleju na brzegi monokla. Kiedy z powrotem go założyłam, czując na sobie zniecierpliwione spojrzenie reżysera, Jannings dodał:

– Jesteś taka urocza, Marleno. Zbyt urocza na tę głupotę, którą May zdaje się uważać za przyszłe arcydzieło.

Jego życzliwość zdziałała cuda i pozwoliła mi się nieco rozluźnić. W zdjęciach uczestniczył też Rudi, który

przyglądał się wszystkiemu z boku. Wzięłam głęboki wdech i zagrałam całą scenę podczas jednego ujęcia, przywołując w myślach wspomnienia z czasów Weimaru i mojego romansu z Reitzem. Wiedziałam, jak powinnam wyglądać, jak grać oczami i jaki przyjmować wyraz twarzy, by urzec starszego kochanka – nawet przez telefon. Po zakończeniu sceny cała ekipa milczała, czekając jak zwykle na reakcję Maya.

– Nieźle – mruknął. – Powtórzmy to.

W kolejnej scenie siedziałam na zatłoczonej sali sądowej. Choć sędzia, mimo nacisków Lucie, nie spełnił jej prośby, i tak zdołała podstępem zrealizować swój cel i dotrzeć na proces. W ostatniej chwili postanowiłam zamienić zsuwający się monokl na lornetkę teatralną. Ukrywałam ją do momentu rozpoczęcia zdjęć, a następnie wyciągnęłam i łapczywie niczym drapieżny ptak utkwiłam wzrok w zapaśniku, który został uznany za winnego i skazany na śmierć. Nie wypowiadałam w tej scenie żadnej kwestii, ale starałam się w pełni wykorzystać tę chwilę, przenosząc na Lucie zapał rzymskiej cesarzowej, która z satysfakcją obserwuje z trybun, jak lwy pożerają chrześcijan na arenie.

Po czterech dniach na planie filmowym May wezwał mnie do swojego biura. Spodziewałam się reprymendy. Rudiemu spodobał się pomysł z lornetką, ale i on miał niepewną minę, kiedy May długo mierzył mnie wzrokiem, tak jak to robił podczas zdjęć próbnych, i wreszcie oznajmił:

– Lornetka się sprawdziła. Ale następnym razem, Fräulein Dietrich, proszę skonsultować się z reżyserem, zanim

dokona pani jakichkolwiek zmian w swojej garderobie. Nie jest pani jeszcze sławna.

– „Nie jest pani jeszcze sławna”! – powtórzyłam później tego wieczoru, kiedy Rudi odwiózł mnie do domu.

Poszliśmy świętować do klubu i trochę za dużo wypiliśmy. Zdjęcia do *Tragedii miłości* miały trwać jeszcze przez miesiąc, ale ja zakończyłam już swoją pracę i czułam takie podekscytowanie, że udzieliłam sobie dyspensy i wypiłam aż cztery koktajle.

Kiedy dotarliśmy pod internat, Rudi wziął mnie za rękę.

– On mówił poważnie, Marleno. Uważa, że staniesz się sławna szybciej, niż mogłabyś przypuszczać.

Byłam w euforii, a w moich żyłach buzowała adrenalina. Pod wpływem impulsu wczepiłam się w Rudiego i przycisnęłam usta do jego ust. Nie zareagował. Siedział nieruchomo, jak sparaliżowany, aż do chwili, gdy zaczęłam przesuwać dłoń w stronę jego krocza. Zanim zdążyłam go dotknąć, złapał mnie za nadgarstek.

– Nie – wyszeptał.

– Nie? – Cofnęłam się. – Dlaczego?

Jego seksualność nadal budziła moje wątpliwości. Choć przyznał, że mnie pragnie, nie wykonał do tej pory żadnego ruchu, nie próbował zaspokoić tego pragnienia – a poza tym chętnie odwiedzał Das Silhouette oraz inne kluby przy Nollendorfplatz. Prosił, żebym dalej nosiła smoking, i uśmiechał się, kiedy niczego niepodejrzewające kobiety zalecały się do mnie na jego oczach. W takich chwilach udawał nieznajomego, sączącego drinka przy barze,

i pojawiał się nagle u mojego boku, pytając: „Kochanie, czy jest tu coś, co podoba ci się bardziej ode mnie?”. Wiedziałam, że niektórzy mężczyźni gustują w obu płciach, ale kiedy o to zapytałam, Rudi roześmiał się i zaprzeczył. „Nie. Ale lubię obserwować, jak stajesz się obiektem pożądania innych”.

Teraz roześmiał się w podobny, charakterystyczny sposób.

– Mówiłem ci. Nie chcę, żeby nasz pierwszy raz tak wyglądał.

– Jak? Nie ma przecież powodu, żeby... – Zamilkłam. – Kochasz ją? O to chodzi?

Przełknął ślinę.

– Tak sądziłem. Ale teraz nie jestem już pewien.

Sięgnęłam po torebkę i płaszcz, po czym otworzyłam drzwi samochodu.

– Więc daj mi znać, kiedy będziesz pewien. Tylko nie zwlekaj zbyt długo. Mam dość czekania.

– Marleno.

Odwróciłam się, a on posłał mi błagalne spojrzenie.

– Musisz mnie tak dręczyć?

– Sam się dręczysz. Weź ślub, Rudi. Najwyraźniej tego potrzebujesz. Ja nie.

Ruszyłam w stronę internatu, więcej się nie odwracając. Z salonu Trude dobiegły trzeszczące dźwięki puszczanej z gramofonu muzyki. Moja radość i podekscytowanie gwałtownie opadły w momencie, kiedy poczułam znajomy zapach starych dywanów, kurzu, pleśni i kociego moczu. Gerda nadal nie wróciła do Berlina, a ja wciąż tkwiłam

w miejscu: byłam studentką akademii Reinhardta niemającą na koncie żadnych osiągnięć, jedną z tysięcy anonimowych osób, które miały wielkie nadzieje, ale ledwo wiązały koniec z końcem. Na szczęście przynajmniej moja sytuacja finansowa chwilowo się poprawiła, dzięki temu, że otrzymałam honorarium za udział w filmie. Musiałam znaleźć kolejną pracę. Nie mogłam dłużej karmić się nadziejami.

Czułam się tak, jakbym tonęła. Nie zdawałam sobie wtedy jeszcze sprawy, że doświadczam pierwszych symptomów odstawienia narkotyku, jakim stała się dla mnie kamera. Otworzyłam drzwi swojego pokoju i przypomniałam sobie, że nie mam nawet czym nakarmić kotów. Zauważyłam, że nie jestem sama, dopiero w chwili, w której w salonie zapaliła się lampa i rozległ się głos Gerdy:

– Gdzie byłaś?

Stałam w bezruchu, kompletnie oszołomiona, ze zsuniętym do połowy płaszczem.

– Gdzie byłam? – powtórzyłam z wysiłkiem. Zaczynałam właśnie odczuwać bolesne skutki braku umiaru, którym wykazałam się tego wieczoru. Zdecydowanie za dużo wypiłam. Zrobiło mi się niedobrze.

– Tak. Zapytałam, gdzie byłaś. – Zgasiła papierosa. W powietrzu unosił się dym. Chciałam poprosić, żeby otworzyła okno, ale poczułam, że zaraz zwymiotuję, i tylko przełknęłam ślinę.

– W pracy.

– Słyszałam. Trude mówiła, że dostałaś rolę w filmie Joego Maya – powiedziała chłodno. – Gratuluję. Podobno masz też nowego przyjaciela.

Zamrugałam ze zdziwienia, po czym pozwoliłam, by płaszcz opadł na podłogę u moich stóp.

– To on? Mężczyzna w szykownym automobilu? Odwiózł cię po pracy? – Gerda wstała i zbliżyła się do mnie. – Nie udawaj zaskoczonej. Trude mówiła, że pewien przystojny dżentelmen przyjeżdża po ciebie co rano i odwozi pod dom co wieczór. Twierdziła, że jest bardzo przystojny i czarujący.

– Owszem. – Wściekłość na chwilę wzięła górę nad upojeniem alkoholowym. – Ale cokolwiek myślisz, Trude nigdy go nie spotkała. Nie przestąpił progu tego domu.

– Och, szczerze w to wątpię.

– Możesz wątpić w cokolwiek chcesz. – Przeszłam po swoim płaszczu i ruszyłam do kuchni. Zaschło mi w gardle i poczułam, że muszę napić się wody.

Kiedy już zaspokoiłam pragnienie, odwróciłam się i zobaczyłam Gerdę na środku salonu. Za jej plecami znajdowała się teraz sypialnia: na łóżku leżała otwarta walizka, której zawartość była porozrzucana wszędzie wokół. Z uchylonych szuflad komody wystawały moja bielizna i pończochy. Wszystko wskazywało na to, że Gerda do nich zaglądała.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– Szukałaś jego skarpetek?

– Nie waż się ze mnie kpić – rzuciła.

Spoważniałam.

– Nie kpię z ciebie. Kpię z twojej absurdalnej zazdrości.

– Nie spałaś z nim? Zabiera cię codziennie do studia, a potem co wieczór odwozi do domu, ale nawet cię nie tknął?

– Jeszcze nie. – Odwzajemniłam jej spojrzenie. – Ale nie dlatego, że mu tego nie proponowałam. – Chciałam zranić Gerdę. Nie byłam na to wszystko gotowa, nie spodziewałam się, że ją tu zastanę. Nie mówiła, kiedy zamierza wrócić, a ja nie pytałam, zbyt pochłonięta zajęciami, próbami i pracą nad filmem. Nie poruszałam też tego tematu, kiedy do mnie dzwoniła. Unikałam go, bo była to ostatnia rzecz, o jakiej chciałam myśleć.

Gerda pobladła.

– Kochasz go?

Milczałam.

– Tak myślałam. A więc to jest ta nasza wzajemna szczerość i uczciwość.

Ruszyła do sypialni i podeszła do walizki. Zbliżyłam się do Gerdy chwiejnym krokiem i wyszeptałam:

– Nie wiedziałam, co ci powiedzieć. Nic się nie wydarzyło...

– Zapewniałaś, że powiesz mi prawdę, pamiętasz? Obiecywałaś, że jeśli kiedykolwiek się kimś zainteresujesz, nie będziesz tego ukrywała. – W głosie Gerdy nie usłyszałam wyrzutów, ale mimo to jej słowa mnie zabolały. Złożyła jedną ze swoich spódnic i schowała ją do walizki. Musiała się pakować już od wielu godzin.

– To nie tak... – wyszeptałam. Czułam się strasznie. Wiedziałam, że powinnam wyznać jej prawdę, ale chciałam zrobić to po swojemu, kiedy już spędzimy ze sobą trochę czasu po jej powrocie.

Spojrzała na mnie.

– To nie tak? Nie kochasz go, o to chodzi? On cię kocha?

– On... twierdzi, że mnie kocha. – Rudi nigdy tego nie powiedział, ale to właśnie czułam. Tylko w ten sposób potrafiłam wytłumaczyć jego dotychczasową powściągliwość. – Ale jest zaręczony.

– No tak, oczywiście. – Zaśmiała się. – Czegóż innego miałabym się spodziewać po czarującym, przystojnym dżentelmenie. – Umilkła. – Nadal nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

Spojrzała mi w oczy, a ja odwróciłam wzrok.

– Sądzę... wydaje mi się, że ja też mogę go kochać – wyszeptałam po długiej chwili. Chciała usłyszeć prawdę, a ja tylko w ten sposób potrafiłam wytłumaczyć swój upór.

– Gratulacje. – Wróciła do pakowania. Poruszała się spokojnie i metodycznie, a przecież nigdy nie dbała o porządek i często wyjeżdżała, ciągnąc za sobą wystający z walizki rękaw albo rąbek spódnicy. – Muszę przyznać, że nie jestem szczególnie zaskoczona.

– Gerdo. – Podeszłam i wyciągnęłam do niej rękę. – Nie podjęłam jeszcze żadnych decyzji. Do niczego nie doszło. Nie gniewaj się na mnie. Nie chciałam, żeby to się wydarzyło, tak się po prostu stało, niezależnie od mojej woli.

Wzdrygnęła się.

– Nie rób tego. – Głos jej zadrżał. – Nie utrudniaj tego jeszcze bardziej. Wróciłam, żeby powiedzieć ci, że przyjęłam pracę na pełen etat w Monachium. Redaktor docenia moje teksty i uważa, że mogę tam dużo osiągnąć. Wyjeżdżam z Berlina.

– Wyjeżdżasz? – powtórzyłam ze zdziwieniem. – Tak po prostu? A gdybym nie wróciła dziś do domu?

– Zostawiłabym ci liścik i poprosiła, żebyś dołączyła do mnie, kiedy skończysz zdjęcia. Ale teraz już za późno, prawda? Nie możesz tego zrobić. Uważasz, że się zakochałaś.

Poczułam, jak w moim ciele coś się nagle rozluźnia. Uświadomiłam sobie z niepokojem, że odczuwam ulgę.

– To nie on stanowi prawdziwy problem – powiedziałam cicho. – Chodzi o nas. Ty i ja... pragniemy różnych rzeczy.

– Możliwe.

Spojrzałam na nią.

– Co mam teraz zrobić?

Zmarszczyła brwi.

– Zostaniesz tutaj, to oczywiste. Trude bardzo cię lubi i na pewno dalej będzie ci chętnie wynajmowała pokój. Masz mnóstwo pracy, więc...

– To była jedna niewielka rola w filmie. Dwie sceny.

– Przyjdą kolejne. – Gerda wyjęła pończochy z jednej z szuflad. – Herr Czarujący już o to zadba. – Nie mówiła tego z sarkazmem. Zdawała się naprawdę wierzyć, że zastąpiłam ją kimś, kto skuteczniej odpowie na moje

potrzeby. Jeszcze bardziej bolało mnie jednak to, że uważała mnie za całkowicie obojętną i niezainteresowaną tym, jak ważna była dla mnie nasza relacja.

– Ja... kocham cię – wyszeptałam. – Nie kłamałam.

– Daj spokój. – Ułożyła rzeczy w walizce. – Prosiłam, żebyś mówiła prawdę, Marleno. – Znieruchomiała, po czym dodała: – Chciałabym, żeby to była prawda. Ale tak nie jest. Ja też muszę iść naprzód. Nie mogę znaleźć pracy w Berlinie, a teraz mam wreszcie szansę zrobić coś ze swoim życiem.

Spojrzałam na nią z zaskoczeniem. Nie spodziewałam się, że usłyszę z ust Gerdy takie słowa. Nie doceniałam jej. Myślałam, że trzyma się mnie, żeby osiągnąć coś, do czego nie jest zdolna. Myliłam się. Okazała się dużo silniejsza, niż sądziłam.

– Jak możesz tak mówić? – wyszeptałam. – Bardzo cię kocham.

Uśmiechnęła się.

– Pewnie rzeczywiście kochasz mnie na swój sposób. Ale ja czuję do ciebie miłość innego rodzaju. Nie – przerwała mi, kiedy próbowałam coś powiedzieć. – Nie tłumacz się, to niepotrzebne. Nie mam do ciebie żalu. Jesteś, kim jesteś, i nigdy nie udawałaś kogoś innego. Mój błąd polegał na tym, że wierzyłam, że możesz być moja. Chcę, żebyś była szczęśliwa i spełniła swoje marzenia. Nigdy o tobie nie zapomnę.

Do oczu napłynęły mi łzy.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że mnie zostawiasz.

– Zostawiam? – Głośno się roześmiała. – Nikt nie jest w stanie cię zostawić. Przenoszę się po prostu do innego miasta. Ciebie nie da się zostawić, Marleno, bo nie sposób o tobie zapomnieć. – Po chwili dodała łagodniej: – Żadnych łez. Zepsujesz nasze pożegnanie.

– A co z Oskarem i Fannie? – zapytałam, uświadamiając sobie, że przez cały ten czas nie widziałam kotów. Przypuszczałam, że słysząc to zamieszanie, schroniły się pod łóżkiem.

– Trude je już zabrała. Uwielbiają ją, a jej przyda się towarzystwo. Ten jej stary kot długo już nie pożyje. Na pewno będzie je rozpieszczała.

– Ale przecież mogę się nimi zająć – zaprotestowałam. – Robiłam to przez cały ten czas.

– Czyżby? Zapomniałaś je dziś nakarmić. Były głodne i nie miały wody. Lepiej, żeby zajęła się nimi Trude. Ty jesteś zbyt zapracowana, żeby mieć na głowie jeszcze koty.

Usiadłam i ze smutkiem patrzyłam, jak Gerda kończy się pakować.

– Poślę później po książki – oznajmiła, mijając mnie i kładąc walizkę na kanapie. – Zostanę tu dziś, mam pociąg wcześnie rano. Chcesz, żebym obudziła cię przed wyjazdem?

Pokiwałam głową. Zamierzałam poprosić ją, żeby spędziła ze mną tę jedną, ostatnią noc, ale rozumiałam, że robiąc to, postąpiłabym okrutnie.

– Tak – powiedziałam cicho. – Odprowadzę cię na dworzec.

Kiedy jednak obudziłam się następnego ranka z bólem głowy, kanapa była pusta.

Gerda i jej walizka zniknęły. Na stole w salonie zostawiła karteczkę ze swoim nowym adresem w Monachium – wiedziałam jednak, podobnie jak ona, że nigdy jej nie odwiedzę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Bardzo przeżyłam jej wyjazd. Od chwili, w której Rudi pojawił się w moim życiu, wiedziałam, że pewnego dnia będziemy musiały się rozstać, bo Gerda na pewno tego nie zaakceptuje. Nie potrafiłam jednak przyjąć obojętnie jej odejścia. Stała się moją przyjaciółką i kochanką, moim oparciem, pierwszą osobą, która we mnie uwierzyła. Tęskniłam za nią tak, jak nie tęskniłam nigdy podczas jej podróży służbowych – tym razem wiedziałam, że już nie wróci.

Zostałam w naszym starym pokoju. Trude rzeczywiście lubiła mnie na tyle, że pozwalała mi spóźniać się z czynszem i opłacać go wtedy, kiedy pojawiła się taka możliwość. Przyjmowałam więcej zleceń jako modelka i starałam się jak najczęściej zastępować koleżanki z teatru rewiowego, choć mój grafik w akademii stawał się coraz bardziej napięty. Pracowaliśmy nad kolejnymi sztukami, a niektóre z nich wystawialiśmy po pięćdziesiąt razy. Mimo to ledwo wiązałam koniec z końcem i zaczęłam winić za ten stan rzeczy akademię, w której oczekiwano, że studenci będą występowali w zamian za marne grosze ze sprzedaży biletów, a jednocześnie żądano, żebyśmy się samodzielnie utrzymywali. W przypływie desperacji zastawiłam nawet swoje skrzypce, przyjmując połowę ich rzeczywistej wartości. Leżały odłogiem już od wielu miesięcy i właściwie o nich zapomniałam, aż do chwili gdy musiałam spakować

książki Gerdy i wysłać je do Monachium. Zastanawiałam się nawet, czy nie zwrócić się z prośbą o kolejną pożyczkę do wujka Williego i Jolie, ale szybko uświadomiłam sobie, że nie chcę tego robić. Fakt, że oddałam skrzypce do lombardu, dodatkowo pogłębił dręczące mnie poczucie straty. Byłam zagubiona i zaczęłam tracić pewność, że zdołam cokolwiek osiągnąć.

Wtedy jednak studiujący w naszej akademii William Dieterle, który grał zwykle główne role, postanowił zająć się reżyserią i obsadził mnie w swoim filmie jako aktorkę drugiego planu. Zdołaliśmy zgromadzić niewielki budżet i wszystkie zdjęcia zostały zrealizowane w plenerze. Była to rosyjska baśń zatytułowana *Człowiek przy drodze*, inspirowana opowiadaniem Tołstoja. Film opowiadał historię ubogiego wieśniaka, którego spotyka wielka nagroda za pomoc udzieloną nieznajomemu: szczęście zaczyna się do niego uśmiechać. Tajemniczego nieznajomego o surowych rysach grał właśnie ciemnowłosy Dieterle, a ja miałam wcielić się w chłopkę, która się w nim zakochuje. Po raz pierwszy uczestniczyłam w zdjęciach w plenerze i miałam okazję obcować z naturalnym światłem – poznałam wszystkie niedogodności, jakie się z tym wiązały. Film został dobrze przyjęty, dystrybucją zajęła się UFA, a premiera wzbudziła duże zainteresowanie. Krytycy opisywali mnie w artykułach jako „nowicjuszkę o świeżej twarzy”. Wycięłam ten fragment i wkleiłam w albumie obok recenzji „zachwycającego potencjału komediowego”, jakim

wykazałam się w *Tragedii miłości* Joego Maya, która weszła na ekrany nieco wcześniej.

Tymczasem Niemcy tonęły, a w Berlinie szalały bieda i przestępczość. Wychodząc nocą na miasto, ryzykowało się życie. Kradzieże, gwałty i morderstwa stały się tak częste i tak powszechne – niejednokrotnie motywem był pozłacany zegarek albo sztuczne perły – że Rudi wolał mi wszędzie towarzyszyć.

Nie wprowadził się jednak do mnie i nie zostaliśmy kochankami. Miałam wiele innych możliwości – choćby Dieterlego, który w naszych wspólnych scenach obejmował mnie zdecydowanie mocniej, niż tego wymagał scenariusz – ale ilekroć wychodziłam z próby czy występu, Rudi już na mnie czekał, leniwie paląc papierosa. Przychodził piechotą albo przyjeżdżał samochodem, ubrany w elegancki garnitur i melonik. Zabierał mnie na kolację, do kabaretu albo eskortował do obskurnych teatrów wodewilowych, w których akurat pracowałam. Wirowałam na scenie w kostiumach, które niewiele pozostawiały wyobraźni, śpiewałam przygnębiające piosenki o tym, że trzeba żyć i kochać tu i teraz, bo nie wiemy, co wydarzy się jutro – właśnie to przeświadczenie dominowało w ówczesnym Berlinie – i widziałam Rudiego za chmurą dymu przy jednym ze stolików, z drinkiem w ręku i uśmiechem na ustach.

– Zaczynam tracić nadzieję – wymamrotałam, kiedy jechaliśmy do domu. – Zagrałam w niezliczonych sztukach

i w trzech filmach, a nadal nic się nie wydarzyło. Joe May się mylił. Na pewno nie stanę się sławna.

– Cierpliwości. – Rudi poklepał mnie po kolanie. – Takie rzeczy nie dzieją się z dnia na dzień.

To samo mówiła Gerda, podobne słowa powtarzała też moja matka. Zerknęłam na jego dłoń. Tym razem jej nie cofnął, a jego palce sprawiły, że przez moje uda przeszedł dreszcz.

– Nie mam ani grosza. – Zapaliłam, żeby nie myśleć o jego dotyku. Siedzieliśmy w samochodzie zaparkowanym pod internatem. – Cierpliwość nie kupi mi jedzenia. Ani nie opłaci pokoju. Jestem winna Trude dwa czynsze. A od przyszłego tygodnia już trzy.

Sięgnął do marynarki i wyciągnął portfel.

– Ile potrzebujesz?

Z wściekłością wypuściłam powietrze.

– Nie jestem twoim dzieckiem, Rudi. Jeśli zamierzasz mi płacić, pozwól mi przynajmniej zrobić coś, by ci się odwdzięczyć.

– Zrobisz to. – Podniósł wzrok. Miał piękne oczy w kolorze czekolady, inkrustowane lekkimi bursztynowymi akcentami. Zawsze wydawały się radosne, nawet kiedy się nie uśmiechał. – Wiem o tym.

Nie chciałam się z nim kłócić, więc po prostu wepchnęłam pieniądze do torebki. W momencie, gdy pochyliłam się, żeby cmoknąć go w policzek, zadając sobie jednocześnie pytanie, dlaczego tak długo trwam w tej dziwnej relacji, która zdecydowanie bardziej pasowałaby do

dawnego porządku czasów cesarstwa niż do nowoczesnego, szybkiego życia – Rudi niespodziewanie przyciągnął mnie do siebie. Zupełnie się tego nie spodziewałam. Nagle namiętnie mnie pocałował. Miał wilgotne usta, pachnące ginem i drinkami, które wypiliśmy w kabarecie, a jego dłonie błądziły po moim ciele i dotykały piersi. Zaczęłam ciężko oddychać.

Przycisnął usta do moich ust i wyszeptał:

– Wyjdź za mnie.

– Co? – Gwałtownie się cofnęłam.

– Wyjdź za mnie – powtórzył. Szeroko się uśmiechnął, a kiedy spojrzałam na kształt rysujący się na materiale jego spodni, nie mogłam powstrzymać śmiechu.

– Jesteś pijany.

– Jestem. Zerwałem też zaręczyny z Evą May.

– Jak to... Co takiego?

– Powiedziałaś, że muszę dać ci wystarczająco dobry powód. Wyprzedziłaś mnie, ale uznałem, że już czas dać ci taki powód. Co o tym sądzisz? Wyjdź za mnie. Zostań moją żoną.

Otworzyłam usta ze zdumienia.

– Nie dość, że jesteś pijany, to jeszcze kompletnie oszalałeś.

– Oszalałem z miłości do ciebie! – Chwycił mnie za ręce. – Powiedz „tak”. Powiedz „tak”, a obiecuję, że uczynię cię sławną. Sprawię, że staniesz się najsławniejszą kobietą na świecie.

Powinnam była wsłuchać się w to, co mówił, ale czułam się zbyt przytłoczona. Wiedziałam już wtedy, że Rudi Sieber uchodził za świetną partię. Uganiało się za nim wiele kobiet, a dziewczęta z akademii tak bardzo zazdrościły mi tej znajomości, że ledwo mnie zauważały. Camilla w ogóle przestała się do mnie odzywać. Zaczynałam już myśleć, że zwodził mnie dla zabawy. Nie mogłam uwierzyć, że mężczyzna taki jak on, tak przystojny i z klasą, żył w celibacie i usychał z tęsknoty, kiedy ja harowałam na próbach w akademii i na deskach teatrów rewiowych.

– Ja... muszę się nad tym zastanowić – odpowiedziałam.

– Dlaczego? Nad czym tu się zastanawiać? Nie kochasz mnie?

Uważnie mu się przyjrzałam.

– Może i tak. Ale wolę wypróbować menu, zanim złożę zamówienie.

Jego wyraz twarzy nagle się zmienił. Ruszył za mną na górę. W pokoju panowała ciemność, a przez koronkowe zasłony, które powiesiłam w oknach, wlewała się poświata ulicznych latarni. Podeszłam do lampy, ale Rudi wyszeptał:

– Nie. Nie zapalaj. Chcę cię widzieć skąpaną w mroku.

Rozbawiło mnie to, ale się nie roześmiałam. Serce dudniło mi w piersi, zaschło mi w ustach. Rudi podszedł do mnie i powoli rozpiął moją bluzkę. Miałam pod nią halkę – zauważyłam, jak marszczył brwi, kiedy chodziłam na miasto bez biustonosza. Kiedy jego palce wsunęły się pod ramiączka, powiedziałam:

– Zdajesz sobie sprawę, że nie jestem dziewicą, prawda?

Dotknął mojego policzka.

– Dziś wieczorem udawaj, że nią jesteś.

Wkrótce przekonałam się, że nie muszę niczego udawać. Ściągnął mi spódnicę i przede mną uklęknął, przytrzymując halkę nad moim brzuchem. Ciężko dyszałam. Zaczął mnie lizać, a ja jęknęłam. Robił to coraz mocniej i szybciej. Moim ciałem wstrząsały dreszcze. Chwyciłam poręcz kanapy, a on zanurzył we mnie całe usta. Mój Boże, to było nieziemskie uczucie. Gerdzie zdarzało się to robić, ale niezbyt często. Rudi nie zatrzymywał się ani przez chwilę. Był pełen zapału i poruszał się z ogromną wprawą. Wkrótce udało mu się ograniczyć całe moje ciało do jednego pulsowania pomiędzy udami. Ułożył mnie na poduszkach, szeroko przed sobą otworzył i oparł sobie moje nogi na ramionach, poruszając językiem i ssąc tak długo, aż wreszcie krzyknęłam.

– Ciii – powiedział, całując mnie w usta. – Obudzisz Trude.

Czułam na jego wargach swój smak, swoją wilgoć. Znajdowałam się w stanie całkowitego odurzenia. Nie zauważyłam, kiedy ściągnął ubrania – nagle po prostu przylgnął do mnie nagim ciałem, gładkim, choć jednocześnie twardym i naprężonym. Nie był nadmiernie umięśniony, ale miał przepiękną, lekko opaloną sylwetkę. Nagle poczułam go przy sobie. Wyszeptał:

– Nie ruszaj się.

Moje biodra unosiły się powoli, całkowicie niezależnie ode mnie. Rudi czekał w górze, a czubek jego penisa był już tak blisko. Miałam wrażenie, że zaraz eksploduję.

– Teraz – powiedziałam. – Zrób to teraz.

Uśmiechnął się. To wystarczyło. W chwili, w której zawisły nade mną wzburzone fale orgazmu, tłumiąc urywany oddech, Rudi wsunął się głęboko do mojego wnętrza. Nie napierał mocno: poruszał się łagodnie, a ja słyszałam własne jęki i błagania. Prosiłam, by wchodził we mnie szybciej, głębiej, mocniej – aż w końcu i on nie mógł dłużej wytrzymać i wbił się we mnie całą siłą, krzycząc z rozkoszy.

Po chwili opadł na mnie, ciężko dysząc. Kiedy już nieco się uspokoiłam i zaczęłam unosić leniwie na chmurze gasnącej przyjemności, Rudi zapytał:

– Czy zechce pani teraz złożyć zamówienie?

– Tak – odpowiedziałam ochrypłym głosem. – Chcę tu jadać co wieczór.

– Tak też się stanie. – Pocałował mnie. – Każdej nocy, dopóki nie umrzemy, Frau Sieber.

To on zasugerował, żebym wprowadziła się z powrotem do matki. Na początku kategorycznie odrzuciłam ten pomysł. Nie zamierzałam wracać do jaskini lwa. Nie rozmawiałam z Mutti od czasu naszej konfrontacji i przysięgłam sobie, że spotkam się z nią dopiero wtedy, kiedy udowodnię, jak bardzo się myliła. Nieustannie wyobrażałam sobie tę scenę: wchodzę niespiesznie do jej mieszkania, obwieszona futrami, sławna, sypiąc pieniędzmi jak konfetti... Nigdy nie zwierzałam się z tych marzeń Rudiemu – mówiłam tylko, że nie potrafiłyśmy się porozumieć, bo matka nie pochwalała mojej decyzji

o rezygnacji z gry na skrzypcach na rzecz kariery aktorskiej.

– Ale teraz za mnie wyjdziesz – odpowiedział. – Chcę to zrobić tak, jak należy. Chcę zabierać cię w soboty na spacery do Tiergarten i pić herbatę z twoją matką w niedzielne popołudnia. Chcę poznać twojego wujka i kupić ci pierścionek zaręczynowy w jego sklepie. Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że nasz związek to poważna sprawa.

– Pierścionek zaręczynowy? – Spojrzałam na niego ze zdziwieniem. – Ale za co? I dlaczego nie możemy zostać tutaj? Nie widzę powodu, żeby...

Leżeliśmy w łóżku, wypoczywając po długiej, upojnej nocy wypełnionej kabaretem, jedzeniem i seksem. Miałam akurat dzień wolny. Zamierzałam coś ugotować, posprzątać pokój i odpocząć, a zamiast tego musiałam rozmawiać o Mutti.

– Nie możemy sobie pozwolić na jedno i drugie. – Rudi zaciągnął się papierosem. – Joe May mnie zwolnił.

Gwałtownie się podniosłam.

– Nic mi o tym nie mówiłeś.

– Teraz ci mówię. – Westchnął. – Niezbyt dobrze przyjął wieść o tym, że porzuciłem jego córkę. Oznajmił, że jestem łajdakiem, który złamał Evie serce.

– Ale przecież wychodziliśmy na miasto przez cały tydzień! – zawołałam. – Byliśmy w restauracjach, w klubach.... – Nie mogłam zrozumieć, dlaczego podchodził do tego tak niefrasobliwie. – Nie mam pracy. Nie szukałam

jej, bo czekają mnie w przyszłym tygodniu próby do nowej sztuki w akademii. Z czego będziemy żyli, na Boga?

– Mam dość oszczędności, wystarczy na jakiś czas. Zamierzam też ubiegać się o stanowisko w UFA. Znam tam wiele osób. Pomyśl, Marleno. Do chwili, gdy weźmiemy ślub, będę już może pracował dla największego studia filmowego w Niemczech. Na pewno sobie poradzimy.

– O ile cię przyjmą. Na razie nie pracujesz dla UFA, a ja muszę niedługo zapłacić czynsz. Nie mogę w kółko zwodzić Trude. Pożyczka, której mi udzieliłeś, pozwoliła mi spłacić długi z poprzednich miesięcy, ale zbliża się kolejny.

Pokiwał głową.

– Zobaczysz, wszystko się ułoży.

Miałam ochotę krzyczeć. Ten pokój był wszystkim, co miałam, moją ostoją wolności. Bardzo nie chciałam z niej rezygnować. Odsunęłam kołdrę, żeby wstać z łóżka, ale Rudi powiedział:

– To nie potrwa długo. Tak należy postąpić. Nadal tego chcesz, prawda? Nadal chcesz zostać moją żoną?

W tamtej chwili nie byłam już tego taka pewna. Niepokoiła mnie jego nagła troska o to, jak należy postąpić. Nigdy nie obchodziły mnie konwenanse i nie sądziłam, że obchodzą Rudiego. Dlaczego przyjęłam jego oświadczyny? Myśl o tym, że mogłabym do kogoś należeć, zawsze jednocześnie mnie pociągała i odstręczała. Nie podobało mi się, że miałabym się stać czyjąś własnością, ale pragnęłam poczucia bezpieczeństwa. Wszystko wokół mnie zdawało się rozpadać, a małżeństwo z Rudim jawiło mi się jako pusta,

spokojna wyspa. Razem mogliśmy osiągnąć o wiele więcej niż w pojedynkę. Rudi pomógłby mi rozwinąć karierę, przynajmniej w teorii, a ja miałabym u swojego boku mężczyznę, którego bym kochała i otoczyła opieką – kogoś bliskiego. Ale na jak długo? Czy naprawdę dałoby nam to szczęście i satysfakcję, czy codzienne obowiązki i upływ czasu nieuchronnie ostudziłyby naszą namiętność, sprawiając, że oboje zaczęlibyśmy się w tym związku dusić?

– Marleno? – W jego głosie usłyszałam niepokój. – Jeżeli masz wątpliwości, musisz się nimi podzielić. Kocham cię. Marzę o tym, żebyś za mnie wyszła, ale nie chcę, żebyś robiła to z poczucia obowiązku.

Spojrzałam mu w oczy. Na pewno mnie kochał, skoro zdecydował się zerwać zaręczyny, ryzykując tym samym utratę pracy. A gdybym poniosła porażkę jako aktorka, tak jak poniosłam ją jako skrzypaczka? Co bym wtedy zrobiła? Miałabym przynajmniej męża. Już nigdy nie wisiałabym nad przepaścią, bo Rudi byłby u mojego boku. Ja też go kochałam. Nigdy nie doświadczałam podobnego uczucia. Skoro dążył do tego, żebyśmy się pobrali, to przecież dlatego, że właśnie w ten sposób postępują zakochani.

– Naprawdę to dla ciebie takie ważne? – zapytałam cicho.

– Tak. Oczywiście, że tak. Chcę mieć żonę i dzieci. A ty nie?

– Chyba tak. Ale chcę też męża, który zarabia na życie. To będzie ważne również dla Mutti.

– Zapewnię ci wszystko, czego potrzebujesz. Zobaczysz. Przenieś się do matki, chodź dalej na zajęcia w akademii

i graj w przedstawieniach, dopóki nie weźmiemy ślubu. Do tego czasu będę już pracował dla UFA i zacznę zabiegać o role dla ciebie. Najważniejsze, żebyś przez cały czas zdobywała doświadczenie. Zapomnij o teatrach rewiowych i kabaretach. To strata czasu.

– Będę też musiała zapomnieć o lekcjach emisji głosu – zauważyłam ponuro.

– Nie potrzebujesz ich. – Otoczył mnie ramieniem i przyciągnął. – Śpiewasz jak anioł. – Zaczął mnie całować. – Moje piękna żona, mój anioł – wyszeptał, a ja zamknęłam oczy i mu uległam.

Małżeństwo jawiło mi się jako dziwny kaprys, krok w nieznane. Wiedziałam, że mogę tego w przyszłości żałować.

Nigdy jednak nie bałam się ryzyka.

Mutti nie odezwała się ani słowem, kiedy pojawiłam się pod jej drzwiami z walizką i paczką książek pod pachą. Pożegnałam się z Trude, która zapewniała wielokrotnie, że mogę u niej zostać tak długo, jak będę chciała. Kiedy jednak oznajmiłam, że wychodzę za mąż, jej rozpacz ustąpiła miejsca radości i niespodziewanej deklaracji: „*Gott sei Dank*. Dzięki Bogu. Tak urocza dziewczyna powinna zostać żoną i mieć dzieci, zwłaszcza z tak przystojnym młodym człowiekiem”.

Właściwie wypchnęła mnie za drzwi, a mój pokój zamierzała wynająć w ciągu tygodnia. W Berlinie mieszkało wiele innych uroczych dziewczyn, a Trude prowadziła porządny, szanowany internat.

Zamieszkałam w swoim dawnym pokoju. Tym razem nie musiałam dzielić go z Liesel, która tymczasem wprowadziła się do swojego dyrektora kabaretu. Ona również się zaręczyła. Kiedy nas odwiedziła, miała diamentowy pierścionek na palcu, zaróżowione policzki i promieniała radością i dumą.

– Cóż za zbieg okoliczności! – zawołała, kiedy usiadłyśmy w salonie przy herbacie. – Obie zaręczyłyśmy się w tym samym czasie. Czy to nie wspaniałe?

– Nie, to na pewno nie jest dobra wróżba – zauważyła Mutti. – Wasi przyszli mężowie pracują w przemyśle rozrywkowym, którym sterują Żydzi. Zapomnijcie o kuchni, dzieciach i kościele. Będziecie musiały zapracować na swoje utrzymanie.

– Georg nie pracuje dla Żydów. Jest dyrektorem teatru – zaprotestowała Liesel. – Ma dobrą pensję. Zapewnił mnie, że mogę dalej uczyć, ale tylko jeśli tego pragnę. A narzeczony Leny... Leno, przypomnisz mi, jak on się nazywa? – zapytała, przenosząc na mnie wzrok.

– Rudi Sieber – wycedziłam, żałując, że znowu skazałam się na apodyktyczność Mutti i nieznośne poczucie wyższości Liesel, która usilnie machała mi przed nosem swoim nowym pierścionkiem.

– Sieber? – Wydęła wargi. – To chyba nie jest niemieckie nazwisko. Czy to Żyd?

Posłałam jej spojrzenie pełne wściekłości.

– Czechosłowak. Katolik.

– Och. – Wzruszyła ramionami. – Tak czy inaczej, na pewno też ma dobrą pensję, nawet jeśli pracuje dla Żydów. – Nie odrywała ode mnie wzroku, tak jakby oczekiwała, że potwierdzę jej słowa.

– Współpracował z producentem Joem Mayem. – Nie zamierzałam pozwolić jej na wychwalanie własnego narzeczonego i krytykowanie mojego. – Teraz ubiega się o stanowisko kierownicze w UFA, którą, o ile wiem, nie zarządzają Żydzi. Jest bardzo doświadczony i walczy o niego każde studio w Berlinie. Złożono mu już kilka propozycji – skłamałam.

Mutti prychnęła, nie kryjąc sceptycyzmu, a Liesel uśmiechnęła się z wyższością.

– No cóż, mam nadzieję, że niedługo przyjmie którąś z tych propozycji – powiedziała. Przez pozostałą część wizyty dało się wyczuć nieznośne napięcie, a moje milczenie sprawiło, że Liesel nie zamykały się usta. Opowiadała w kółko o doskonałej pozycji swojego narzeczonego, o tym, jak ogromne sukcesy odnosi, a w końcu zamilkła i zwróciła się do mnie: – Jeśli Herr Sieber nie znajdzie pracy, musisz koniecznie poznać go z moim Georgiem. Jestem przekonana, że coś mu zaproponuje. Tobie też, Leno. Georg zna wszystkich w UFA. Jeżeli chcesz, może cię tam polecić.

– Nie chcę – odpowiedziałam. Postanowiłam nie dodawać, że wolałabym sprzedawać się na ulicy, niż prosić o pomoc Liesel i jej Georga.

Podczas jednego z sobotnich spacerów po Tiergarten spojrzałam z rozpaczą na Rudiego i zawołałam:

– Dłużej tego nie zniosę! Mutti nie mówi, co myśli, ale i tak daje mi to odczuć: „Leno, czy to twój ręcznik leży na podłodze w łazience?”. „Leno, czy musisz kłaść szminkę na poduszce? W tym domu nie ma służby”. „Leno, wiesz, co to za przyrząd? To miotła”. Leno, Leno, Leno. Mam jej dość, jeszcze trochę i oszaleję.

Rudi zachichotał. Chcąc poprawić mi humor, zamiast zaprosić mnie jak zwykle na popołudniowe piwo, zabrał mnie do rodzinnego sklepu Felsingów, gdzie po krótkiej rozmowie z wujkiem Willim kupił mi pierścionek z diamentem. Wujek udzielił nam rabatu i zapewnił, że kamień jest prawdziwy. Później zaprosił nas do domu, gdzie Jolie – która bardzo ucieszyła się ze spotkania po tak długiej przerwie i wydawała się zachwycona moim towarzyszem – podała strudel i kawę. Rudi zabawiał nas rozmową i z zainteresowaniem oglądał rodzinne pamiątki.

– Jest bardzo przystojny – powiedziała Jolie, kiedy mężczyźni poszli do biblioteki na cygara. – I niezwykle inteligentny. Jak go poznałaś, kochanie?

– W kabarecie. – Miałam dość ukrywania prawdy przed matką i siostrą, więc postanowiłam mówić bez ogródek. – Tamtego wieczoru miałam na sobie smoking, a Rudi myślał, że jestem lesbijką.

Jolie wybałuszyła oczy.

– Czy on...?

Roześmiałam się.

– Nie. Ale z początku tak mi się wydawało.

Uważnie mi się przyjrzała.

– Jesteś pewna? W dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo.

Słowa Jolie kompletnie mnie zaskoczyły. Nagle przyszło mi do głowy, że musiała odkryć jakąś tajemnicę wujka Williego. Już wcześniej zastanawiałam się nad jego orientacją, a teraz wydawało się, że Rudi zrobił na nim niemałe wrażenie, co tylko te wątpliwości umacniało. Jolie też nie była sobą: wydawała się zmęczona i choć miała na sobie turban i biżuterię, w jej oczach dostrzegłam rezerwę i smutek. Flirtowała z Rudim, wyraźnie podekscytowana jego obecnością, nieustannie dolewała mu herbaty i dokładała ciasta. Korzystając z okazji, gdy zostałyśmy same, zamierzałam zapytać, co się stało, ale wtedy cuchnący cygarami wujek i Rudi wkroczyli do salonu. Willi położył Rudiemu dłoń na ramieniu i oznajmił:

– Los się do ciebie uśmiechnął, Leno. Uważam, że ten człowiek będzie wspaniałym mężem.

Kiedy od nich wyszliśmy, zerknęłam na Rudiego i zapytałam:

– I co o nich sądzisz?

Ścisnął mi dłoń.

– Są wspaniali. Nie sądziłem, że pochodzisz z tak dobrej rodziny. Sklep i dom zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Twój wujek kazał mi przyrzec, że się tobą zaopiekuję. – Zamierzałam coś powiedzieć, ale Rudi dodał: – Ta wizyta utwierdziła mnie w przekonaniu, że powinniśmy

postępować tak, jak należy. Teraz rozumiem, dlaczego twojej matce tak trudno zaimponować. To typowe dla starych rodzin.

I na tym właśnie się skupił. W niedziele przynosił Mutti róże, choć dopiero co wydał fortunę na mój pierścionek zaręczynowy, obdarowywał ją też puszkami jej ulubionych ciasteczek Lyonsa, mimo że sprzedawano je tylko w luksusowych domach towarowych, a Rudi nadal nie miał pracy.

– Zamierzasz roztrwonić wszystkie pieniądze, które udało ci się oszczędzić? – wymamrotałam. – Cokolwiek zrobisz, ona i tak nie będzie pochwalała tego związku. Nie zadowoliłby jej nawet cesarz. Herr Wills, z którym zaręczyła się Liesel, też nie spełnia jej wymogów. Jest dyrektorem teatru. „Czy uczciwy człowiek zarabia na życie, zatrudniając mimów i aktorów?”.

– Ale ja nie jestem dyrektorem teatru – odpowiedział Rudi. – Daj mi trochę czasu.

Cechowały go jakiś szczególny spokój oraz uważność, które choć doprowadzały mnie do szału, niespodziewanie ujęły wymagającą Mutti. Pewnego wieczoru, kiedy przygotowywaliśmy się do wyjścia na mój występ w akademii, usłyszałam nagle jej śmiech – prawdziwy śmiech – a kiedy weszłam do salonu, zobaczyłam, że jej twarz promienieje. W ostatnim czasie taki widok należał do rzadkości.

– Twój Rudi jest bardzo zabawny – powiedziała. – Podobno przyjął pracę w UFA, ale kazali mu najpierw iść na

zdjęcia próbne, mimo że nie zamierza zostać aktorem. Musiał godzinami skakać wokół płotu. Wyobrażasz to sobie? Dorosły mężczyzna skaczący po łące jak pasterz.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

– Naprawdę? – zapytałam. Ta opowieść była niepokojąco podobna do tego, co spotkało mnie w Studio Tempelhof.

– To tylko żart – wyjaśnił, kiedy już pożegnaliśmy się z Mutti, a Rudi obiecał jej, że odwiezie mnie tuż po zakończeniu spektaklu. – Twoja matka nie jest taka zła. Ma trochę poczucia humoru, kiedy tylko przyjdzie jej na to ochota.

– A praca? To też żart?

Uśmiechnął się.

– Jutro mam drugą rozmowę. Nie martw się.

Nie podobało mi się jego zachowanie: chciał, żebym zawsze przyjmowała to, co mówi, akceptowała każdą jego decyzję. Musiałam jednak przyznać, że robił wszystko, żeby przekonać do siebie moją matkę. Nie mylił się też co do pracy w UFA: został wkrótce zatrudniony jako asystent produkcji. Było to co prawda stanowisko niższe od tego, które zajmował u Joego Maya, ale lepiej płatne. Gdy tylko dostał pierwszą pensję, zażądałam, żeby wynajął nam gdzieś pokój. Rudi znalazł mieszkanie na najwyższym piętrze kamienicy przy Kaiserallee 54. Liczyłam na to, że przeprowadzę się jak najdalej od Mutti, ale Rudi po raz kolejny nakłonił mnie do „zrobienia tego, co należy”.

– Skoro mamy zamieszkać razem jeszcze przed ślubem, Josephine powinna móc nas odwiedzać, kiedy tylko zechce.

Zależy nam na jej błogosławieństwie, a takie rozwiązanie na pewno ją zadowoli.

– Tak ci się tylko wydaje – odparowałam.

Jedną z moich nowych sąsiadek okazała się pełna energii brunetka, niejaka Amelie Riefenstahl. Mówiła o sobie Leni, miała, podobnie jak ja, dwadzieścia dwa lata i była malarką, poetką oraz tancerką. Podróżowała po Europie, ponieważ dostała rolę w widowisku wyprodukowanym przez założyciela mojej akademii, Maxa Reinhardta. Natychmiast się zaprzyjaźniłyśmy. Kiedy zaproponowała, żebyśmy wyszły na miasto, a ja pojawiłam się u niej w smokingu, szybko przebrała się w czarne spodnie i białą marynarkę, idealnie podkreślające jej szczupłą sylwetkę i nogi tancerki.

– Zostanę gwiazdą filmową – wyznała pewnego dnia podczas kolacji w Café Bauer. Często jadałyśmy w drogich restauracjach, a Leni dziwnym trafem nigdy nie musiała za nic płacić: zawsze spotykała jakichś znajomych, zwykle żonatych mężczyzn, którzy ją zapraszali. – Kabarety i teatry rewiowe nie są dla mnie. Uwielbiam malować, ale sprzedawanie sztuki strasznie mnie nudzi, zresztą prawie wszyscy znani mi artyści klepią biedę. Chcę pieniędzy i sławy. A gdzie łatwiej je znaleźć niż w branży filmowej?

Była kolejną Camillą, zdeterminowaną, by odnieść sukces za wszelką cenę. Mimo to lubiłam spędzać z nią czas, bo w przeciwieństwie do Camilli, uwzględniała mnie w swoich planach i nie starała się ze mną rywalizować. Poezja Leni wydawała mi się pozbawiona wyrazu, obrazy niezrozumiałe i nie wiedziałam, czy ma warsztat aktorski (nigdy nie

wspominała o jakichkolwiek osiągnięciach z wyjątkiem udziału w widowisku Reinhardta), ale wspaniałomyślnie kierowała mnie na te przesłuchania, które pozostawały poza jej zasięgiem.

Kiedy wychodziłyśmy razem na miasto, budziłyśmy ogromną sensację: ja nosiłam smoking i muszkę, a Leni garnitur. Zaczesywałyśmy włosy do tyłu, malowałyśmy usta krwistoczerwoną szminką i krążyłyśmy po Berlinie, sprawiając, że unosiło się wiele brwi oraz innych części ciała zachwyconych przedstawicieli branży filmowej, którzy natychmiast oferowali nam drinki i zapraszali na kolację oraz tańce.

Byłam przekonana, że z częścią tych osób Leni lądowała w łóżku. Podobnie jak Camilla, nie miała żadnych skrupułów i chętnie przypieczętowywała umowy własnym ciałem.

– Tego właśnie oczekują. Naprawdę, Marleno. Rozejrzyj się. Otaczają nas setki dziewcząt, a wszystkie walczą o te same role. Wierz mi, one bez wahania rozłożą nogi, żeby podpisać kontrakt.

Nie myliła się. Większość dziewcząt nie zastanawiała się ani przez chwilę. Zresztą i mnie składano rozmaite propozycje. Rudi często pracował do późna w studio albo też wychodził ze znajomymi na miasto. Nie martwił się moimi eskapadami w towarzystwie Leni. Mówił, że dobrze mi zrobi otoczenie ludzi z branży i że powinnam poznawać osoby, które mogłyby mi pomóc w karierze. Ja jednak odpierałam wszystkie te propozycje i nie dopuszczałam do

siebie przesuwających się pod stołem dłoni. Nie chodziło w tym przypadku o przyzwoitość: byliśmy z Rudim zaręczeni i choć nie wiedziałam, czy pozostawał mi wierny, zakładałam, że tak właśnie jest.

Pewnego wieczoru, kiedy przygotowywałam się do kolejnej nocnej eskapady u boku Leni, Rudi wrócił wcześniej z pracy i postanowiłam poruszyć z nim ten temat. Z zaskoczenia malującego się na jego twarzy wywnioskowałam, że nie spodziewał się takiego pytania.

– Nie spałem z nikim, odkąd się poznaliśmy – odpowiedział. – Jeśli o to ci chodzi.

– Ani razu? – Stanęłam przed lustrem i umalowałam usta. – Nie miałabym nic przeciwko. To nie moja sprawa. – Chciałam rzucić mu przynętę, żeby przebić się przez mur tak charakterystycznej dla niego rezerwy. Słowa Jolie zapadły mi w pamięć: Rudi nie był homoseksualistą, ale na pewno pragnął innych kobiet. Jakaś część mnie liczyła na to, że mnie zdradzi. Chciałam, żeby na tej nieskazitelnej powłoce pojawiła się choć jedna rysa.

– Nie. – Podszedł do mnie i dotknął mojego karku. – A ty? Nie spałaś z Leni albo... z innym mężczyzną? – Zadrżał mu głos.

– Przeszkadzałoby ci to?

Odwrócił wzrok.

– Nie powinno – odpowiedział. – Zwłaszcza w tym biznesie.

– Rozumiem. – Zauważyłam, że lepiej by się czuł, gdybym sypiała z kobietami. Lubił się mną popisywać i patrzeć, jak

się do mnie zalecały. Możliwe, że uważał romanse z przedstawicielkami mojej płci za nieszkodliwe przygody, niestanowiące żadnego zagrożenia. Inaczej postrzegałby natomiast romans z mężczyzną. Czułby, że musi z nim rywalizować. Pomyślałam z ulgą, że Rudi nie jest jednak tak idealny, jak mógł się na początku wydawać: był równie kruchy i wrażliwy jak każdy inny człowiek.

Potrząsnęłam głową.

– Nie, z nikim nie spałam. – Nie dodałam: „jeszcze”. Tak naprawdę, odkąd się ze sobą związaliśmy, nie poznałam nikogo, kto by mnie pociągał. Leni próbowała mnie uwieść, ale delikatnie odrzuciłam jej zaloty – zdawałam sobie zresztą sprawę, że chodziło jej przede wszystkim o potwierdzenie własnej nowoczesności. Seks i władza były dla niej tym samym, a romans na pewno unicestwiłby naszą przyjaźń.

Rudi spojrzał na mnie.

– Wygląda na to, że musimy sobie po prostu ufać.

Uśmiechnęłam się.

– Tak. Zaufanie to podstawa.

Nie powiedział nic więcej, ale zrozumiałam, że był w razie potrzeby gotów tolerować incydentalne przejawy niewierności – o ile nie wpływałyby one na nasz związek. Mnie również odpowiadał taki układ. Chciałam uniknąć komplikacji. Nawet gdybym pragnęła czegoś więcej, nie miałabym na to czasu: bez reszty pochłaniały mnie kolejne spektakle w akademii oraz przygotowania do ślubu.

Liesel musiała oczywiście wyjść za mąż jako pierwsza: po tym, jak zobaczyła wielkość mojego pierścionka, usilnie dążyła do tego, by stanąć przed ołtarzem, zanim ja to zrobię. Georg Wills zadbał o to, by zapewnić jej wszystkie niezbędne elementy wystawnego ślubu, włącznie ze wspaniałą suknią i przejazdem powozami przez Friedrichstrasse do Ogrodu Zimowego, gdzie zorganizowano przyjęcie w pawilonie. Nie zabrakło nawet ogromnego tortu i orkiestry.

Tymczasem my z Rudim musieliśmy się w związku z naszą sytuacją finansową zdecydować na skromną ceremonię. Wzięliśmy ślub cywilny 17 maja 1932 roku w ratuszu Berlin-Friedenau. Moimi świadkami były Mutti i Liesel, a drużbą Rudiego aktor Rudolf Forster. Do ołtarza prowadził mnie wujek Willi. Włożyłam na tę okazję białą sukienkę i koronę z mirtu, tradycyjny symbol cnoty. Rudiego bardzo to rozbawiło i poprosił, żebym wystąpiła w niej w łóżku podczas nocy poślubnej. W czasie igraszek starliśmy ją na proch, a ja jeszcze przez wiele dni znajdowałam w pościeli kawałki rozgniecionych liści.

W kolejnym miesiącu rzuciłam akademię Reinhardta: Rudi załatwił mi przesłuchanie u producentów Meinhardta i Bernauera, którzy kierowali siecią popularnych teatrów. Ich repertuar nie należał do szczególnie wyszukanych, ale zaoferowano mi różnorodne role – i godziwe wynagrodzenie. Tak jak przepowiadała Mutti, Rudi zarabiał za mało, byśmy mogli utrzymywać się wyłącznie z jego pensji, ale i tak chciałam pracować.

Zdążyłam wystąpić w sześciu nowych sztukach i zdobyłam małą rolę w melodramacie *Skok w życie* – zanim okazało się, że jestem w ciąży.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie planowałam ciąży, ale też nieszczególnie protestowałam, kiedy Rudi przestał używać prezerwatyw. Chciał założyć rodzinę – na swój sposób ja też tego pragnęłam. Mutti była zachwycona tą wiadomością. Całkowicie zmieniła nastawienie i zachowywała się tak, jakby styl życia, który ostatecznie wybrałam i który aprobowała, całkowicie zrekompensował mój dawny bunt.

Dobrze znosiłam ciążę, ale w piątym miesiącu musiałam przestać pracować. Publiczność nie chciała oglądać w komediach Moliera kobiet z wielkim brzuchem. Ku swojemu zaskoczeniu chętnie spędzałam czas w domu: miałam niedaleko do toalety, co przydawało się podczas porannych mdłości, a Rudi przynosił mi sery, strudle i wszystkie inne produkty, na które akurat przychodziła mi ochota. Mutti codziennie mnie odwiedzała. Choć nie okazywałyśmy sobie czułości, opiekowała się mną i otaczała taką troską, że stopniowo się do siebie zbliżałyśmy. Nieustannie powtarzała, że od zawsze marzyła o wnuku.

17 grudnia 1924 roku, dziesięć dni przed moimi dwudziestymi trzecimi urodzinami, poczułam pierwsze skurcze – dotychczasowa idylla dobiegła końca. Poród trwał osiem godzin, a ja doznałam krwotoku wewnętrznego. Wdała się infekcja, dostałam wysokiej gorączki, i choć ostatecznie doszłam do siebie, lekarz poinformował nas, że kolejna ciąża mogłaby mnie zabić.

Niewykluczone, że to właśnie z tego powodu na początku traktowałam chłodno naszą nowo narodzoną córkę. Daliśmy jej moje imię – Maria – ale na co dzień zwracaliśmy się do niej pieszczotliwie Heidede. Była zdrowa, jej głowę pokrywały kępki jedwabistych kasztanowych włosów. Mimo to kiedy trzymałam ją w ramionach, wydawała mi się intruzem, który z wrzaskiem wdzierał się w moje życie. Poddawałam się jej urokowi tylko podczas karmienia, kiedy wsysała się bezzębnymi ustami w moje sutki.

Mutti zasypywała mnie radami w każdej dziedzinie: od tego, jak unikać wysypki i innych niepożądanych reakcji na pieluchy, aż po sposoby na odstawienie dziecka od piersi. Jej słowa wydawały mi się odległe, jakby mówiła do mnie przez szybę. Starałam się nie pamiętać o tym, że stając się matką, porzuciłam więcej, niżbym pragnęła. Noworodek wymagał nieustannej opieki, a trudny poród i infekcja, która po nim nastąpiła, zdecydowanie dały mi się we znaki. Wolałam nie patrzeć na siebie w lustrze ani nie dopuszczać myśli, że podczas mojej nieobecności życie toczyło się dalej – i w ten sposób straciłam kontrakt u Meinhardta i Bernauera.

Tę wiadomość przekazał mi Rudi. W tamtym okresie marka bardzo się osłabiła i za jednego dolara trzeba było zapłacić dwa i pół miliona w naszej rodzimej walucie. Niemcom groziło załamanie gospodarki, która i tak przeżywała niemałe trudności. Wtedy Ameryka pospieszyła nam z pomocą i powstał plan przywrócenia przedwojennego kursu marki. W następstwie tych

wydarzeń Meinhardt i Bernauer sprzedali swoją sieć teatrów wiedeńskiemu producentowi, a w związku z moją nieobecnością nowi właściciele anulowali kontrakt.

– Nie martw się – pocieszał mnie Rudi. Karmiłam właśnie Heidede i z przerażeniem słuchałam tych rewelacji. Wiedziałam, że muszę coś pilnie zrobić ze swoją figurą, jeśli zamierzam jeszcze kiedykolwiek znaleźć zatrudnienie. Niejedna dziewczyna, która znikała z branży, nigdy już nie wracała, a ja na dodatek przytyłam prawie dziesięć kilo. – Rozmawiałem z moim szefem z UFA – mówił dalej Rudi. – Twierdził, że kiedy dojdziesz do siebie i znajdziesz kogoś do opieki nad dzieckiem, zaproszą cię na zdjęcia próbne. Nowy plan gospodarczy sprawił, że produkcja filmów gwałtownie rozkwitła. Bez trudu znajdziesz pracę.

Postanowiłam karmić Heidede piersią przez osiem miesięcy. Po tym okresie zabrałam ją z Mutti na wakacje nad Morzem Północnym. Bardzo tego potrzebowałam. Pojechali z nami również Liesel i jej mąż Georg Wills, który okazał się tak nieznośny, jak twierdziła mama. Jego uwaga o tym, że muszę opalić nogi, jeśli zamierzam wrócić do występów w teatrze rewiowym, tak mnie rozwścieczyła, że każdego ranka zostawiałam Heidede pod opieką Mutti i oddawałam się wyczerpującym ćwiczeniom u boku szwedzkiego trenera poleconego mi przez Leni. Przez trzy godziny dziennie leżałam na podłodze siłowni i pedałowałam na nieistniejącym rowerze, żeby ujędrnić uda i pozbyć się tłuszczu z brzucha. Pociłam się i harowałam jak wół, zdeterminowana, by zrealizować cel –

a wysiłki te zostały nagrodzone, kiedy po zdjęciach próbnych dla UFA dostałam rolę kokietki Micheline w filmowej adaptacji *Manon Lescaut*.

Dzięki tej roli spędziłam na ekranie więcej czasu niż podczas wszystkich dotychczasowych produkcji. Starałam się nie zważać na Mutti, która kwaśno pytała o to, jak zamierzam pogodzić pracę zawodową z wychowywaniem dziecka. I wtedy Rudi został zwolniony. Nie podał żadnej logicznej przyczyny tego zdarzenia i zbył wszystkie moje pytania słowami: „Wydaje mi się, że szef chciał zatrudnić na moje miejsce swojego siostrzeńca". Myślałam, że w związku z tym ja również stracę pracę jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć, ale zapewniono mnie, że nic się w tej kwestii nie zmieniło. Rudi zadeklarował, że może zajmować się Heidede, kiedy będę na planie. Mimo ogromnego zaangażowania Mutti była kobietą w średnim wieku i nie miała sił, by na stałe opiekować się małym dzieckiem. Dalej też pracowała jako gospodyni w cudzych domach, bo tak jak każdy musiała z czegoś opłacać rachunki.

Propozycja Rudiego mnie zszokowała – zwłaszcza w kontekście jego dotychczasowej troski o to, co wypada i jak należy postępować. Choć w Berlinie wszystko stanęło na głowie, a ludzie byli gotowi na wiele wyrzeczeń, byle tylko przetrwać, taki podział ról zdecydowanie kłócił się z tradycyjnym porządkiem. Niezależnie od stanu finansów, mąż opiekujący się dzieckiem daleko wykraczał poza przyjęte normy.

– Jesteś tego pewien? – zapytałam. – To na pewno spotka się ze zdziwieniem.

– Pracujesz przy filmie – odpowiedział. – A ja nie. Twoja matka nie ma siły opiekować się małym dzieckiem, a Heidede potrzebuje któregoś z rodziców. Owszem, to może budzić zdziwienie, ale w tej sytuacji nie widzę innego rozwiązania. Kiedy skończysz zdjęcia, zajmiesz się nią, a ja zacznę szukać pracy.

Skoro mu to nie przeszkadzało, nie zamierzałam się skarżyć: i tak zaczynałam się już dusić w domu, bo choć bardzo kochałam córkę, miałam serdecznie dość prania pieluch i ucinania sobie krótkich, urywanych drzemek. Byłam wyczerpana i wiedziałam, że muszę się czymś zająć, żeby nie oszaleć. Potrzebowałam w życiu czegoś więcej niż macierzyństwa.

Mutti źle przyjęła tę decyzję.

– Mężczyźni nie mają pojęcia o opiece nad dzieckiem – oznajmiła. – Pozwól mu iść do pracy i zarabiać na życie. To on jest mężczyzną. To na nim spoczywa obowiązek utrzymania rodziny. Sprawisz, że będzie się czuł jak nieudacznik. Myślałam, że wreszcie porzuciłaś ten absurdalny pomysł, żeby zostać aktorką. Masz teraz dziecko. Czy naprawdę chcesz, żeby dorastało bez matki?

Westchnęłam.

– Potrzebujemy pieniędzy. Potrzebujemy ich właśnie dla naszego dziecka. Sama duma nie pozwoli nam przeżyć. Musimy coś jeść i opłacać czynsz.

Mutti wydęła wargi. I choć Rudi zapewniał, że sobie poradzi, matka zdecydowała się ograniczyć swoje obowiązki i pomagała mu przed południem. Wiedziałam, że będę musiała wyrównać jej poniesione w ten sposób straty.

Zdawałam sobie sprawę, że rola Micheline w filmie finansowanym przez UFA i reżyserowanym przez słynnego Arthura Robisona, z królową Berlina Lyą de Putti w roli głównej – nie może przejść bez echa. Po ponad roku przerwy od aktorstwa czułam się niepewna i miałam wrażenie, że wyszłam z wprawy. Pierwszego dnia, podczas zdjęć w Babelsberg Studio, szło mi fatalnie: ponieważ kilka razy popełniałam błędy i myliłam kwestie, musieliśmy kręcić duble. Robison nie krył wściekłości.

– Masz tydzień, żeby się przygotować – zagroził. – Tydzień, żeby nauczyć się swoich kwestii i zagrać to, jak należy. Jeżeli nie wrócisz odpowiednio przygotowana, nie będzie tu dla ciebie miejsca.

Leni zaprosiła mnie wieczorem do kina – chciała, żebym trochę się rozerwała. Dołączyła do nas jej nowa znajoma, amerykańska aktorka chińskiego pochodzenia Anna May Wong, która przyjechała niedawno do Berlina i zdążyła już wzbudzić w Niemczech wielką sensację. Ubrałyśmy się wszystkie jak chłopczyce: ja zdecydowałam się na melonik i odpowiednio przerobiony tweedowy garnitur Rudiego, Leni włożyła spodnie z szelkami oraz kamizelkę, a Anna May zmysłowy strój przypominający kimono i zalotnie odsłaniający udo. Wślizgnęłyśmy się na swoje miejsca,

a pozostali widzowie zaczęli nas obrzucać pożądliwymi lub pełnymi dezaprobaty spojrzeniami.

O wszystkim jednak zapomniałam, kiedy zaczął się film. W *Zatraconej ulicy* w reżyserii G. W. Pabsta grała nowa gwiazda, szwedzka aktorka Greta Garbo. W tej ponurej opowieści o zbrodni, deprawacji i chciwości w powojennym Wiedniu Garbo wcielała się w postać oddanej córki, która postanawia wynająć pokój nieznajomemu i wdaje się w burzliwy romans z amerykańskim porucznikiem. Krytycy podzielili się na dwa obozy: jedni wychwalali film pod niebiosa, inni zaś nie zostawiali na nim suchej nitki – wszyscy jednak bez wyjątku zachwycali się Garbo. Jej tajemniczość i głębia nie sprawdziłyby się na scenie, ale kamera ją kochała i podkreślała elektryzującą elegancję tej aktorki, przezroczystość jej skóry oraz płomień w oczach. Niewiele musiała robić, by wyrazić pasję i namiętność, jednocześnie unikając teatralnej przesady. Sprawiła, że wszyscy widzowie, włącznie ze mną, siedzieli przykuci do foteli, nie odrywając wzroku od ekranu.

Wyszłam z kina kompletnie oszołomiona. Ledwo usłyszałam słowa Anny May, która zwróciła się do Leni:

– Garbo jest już w drodze do Hollywood. Louis B. Mayer zjawił się na premierze tego filmu tylko po to, żeby podpisać z nią kontrakt. Zapowiedział, że MGM zrobi z niej gwiazdę światowego formatu. – Po chwili Anna May przeniosła na mnie wzrok. – Marleno, słyszałaś? Wystarczył jeden film. Garbo stała się sławna dzięki tej roli. A ty jesteś do niej trochę podobna. Prawda, Leni? Też masz lekko

opadające powieki i cudowną jasną skórę. Gdybyś rozjaśniła włosy, mogłybyście uchodzić za siostry.

Nie wydawało mi się, żebym w jakimkolwiek stopniu przypominała tajemniczego sfinksa, który przed chwilą oszołomił mnie swoim pięknem. Leni też najwyraźniej nie dostrzegała tego podobieństwa, bo odpowiedziała lapidarnie:

– Czy ja wiem? Może odrobinę...

Nagle oczy Anny May zalśniły.

– Słyszałam, że nasza nowa gwiazda też preferuje fiołki.

– Fiołki? – Nie rozumiałam, co miała na myśli.

Anna May uśmiechnęła się i wyjaśniła:

– Ich płatki są przysmakiem francuskich smakoszy i niektórych kobiet. Rozumiesz?

Znieruchomiałam, czując na sobie wzrok Leni, a Anna May starła mi odrobinę zaschniętej szminki z kącika ust.

– Wszystkie dziewczęta o tym wiedzą. Fräulein Garbo woli kobiety.

Uśmiechnęła się, a ja postanowiłam nie komentować tej smakowitej plotki. Nazajutrz zaprosiłam jednak Annę May na obiad i zasypałam ją pytaniami o grę aktorską Garbo i o jej własne doświadczenia z Hollywood. Wystąpiła do tej pory w dwudziestu trzech filmach, ale ponieważ grała głównie role drugoplanowe, przyjechała do Berlina właśnie po to, by stać się bardziej rozpoznawalna.

Nagle Anna May wzięła mnie za rękę i powiedziała:

– Marleno, nie możesz być tak ślepa. Nie dostrzegasz tego, co masz przed sobą. Leni to widzi. Tak bardzo ci

zazdrości, że ledwo to wytrzymuje.

– Zazdrości? Mnie? – Roześmiałam się. – Nie żartuj. Leni zna absolutnie wszystkich w tej branży.

Anna May mocniej ścisnęła moją dłoń.

– Może i zna wszystkich w branży, ale nigdy niczego nie osiągnie, o ile komuś nie będzie na tym naprawdę zależało. Ty za to umiesz grać i śpiewać. Uczyłaś się w akademii Reinhardta. Leni ma na twoim punkcie obsesję. Chce być tobą.

Natychmiast przypomniałam sobie dawną przyjaźń z Camillą. Nie rozmawiałyśmy od czasu, kiedy poznałam Rudiego, choć wpadłam na nią kiedyś w jednym z nocnych klubów przy Nollendorfplatz. Mimo że sama zaczęła odnosić pewne sukcesy w branży filmowej, szybko się odwróciła, udając, że mnie nie widzi.

– Wszyscy uważają, że Garbo jest wspaniałą aktorką – powiedziała Anna May. – Ale to nieprawda. Ona po prostu zdaje sobie sprawę, że skuteczniej przyciąga uwagę widza sugestiami i niedopowiedzeniami niż mówieniem wszystkiego wprost. To jej wielki dar. Ty też go masz. Musisz tylko doskonalić tę sztukę.

Po obiedzie wylądowałyśmy razem w łóżku. Wyjście z domu na nowo mnie rozbudziło, przypomniało mi o wszystkim, czego mi brakowało. Anna May okazała się zmysłowa i uważna w każdym ruchu, a do tego odwzajemniała moje zainteresowanie. Niczego więcej nie oczekiwała – podobnie jak ja nie szukała stałego związku.

– Nie wiem, jak długo zostanę w Berlinie – uprzedziła. – Ale dopóki tu jestem, zawsze chętnie się z tobą spotkam, Marleno.

Popołudnie, które upłynęło na rozmowach i seksie, dało mi do myślenia. W drodze do domu starałam się stłumić poczucie winy, które pojawiło się, gdy uświadomiłam sobie, że właśnie zdradziłam Rudiego. Zaczęłam zastanawiać się nad własną karierą. Dlaczego tak bardzo zależało mi na tym, żeby udowodnić wszystkim swoją wartość? Może wcale nie musiałam tego robić. Może wystarczyło zachowywać chłodną obojętność, tak jak Garbo. Skoro ona została gwiazdą, dlaczego i ja nie miałabym nią zostać?

Postanowiłam nieco zmienić charakter zalotnej Micheline i zrobić z niej zmęczoną życiem, znudzoną intrygantkę. Rudi nie był przekonany do tego pomysłu – uważał, że taka powściągliwość okaże się na ekranie za mało wyrazista. Podczas zdjęć zdecydowałam się jednak sprawdzić swoją teorię. Powoli uniosłam brwi, tak jakbym obudziła się z głębokiego snu, po czym ziewnęłam, starając się, żeby moja beztroska wyraźnie kontrastowała z histerią Manon.

Reżyserowi spodobało się to rozwiązanie – podobnie jak krytykom, którzy uznali moją rolę za „zapadającą w pamięć”. W efekcie zaproponowano mi zagranie damy z półświatka w sztuce teatralnej *Pojedynek na Lido*, udało mi się też wystąpić w filmowej satyrze *Nowoczesna Dubarry* Alexandra Kordy.

– Jesteś pewna, że nie dajesz dupy, kochanie? – zapytała mnie wreszcie Leni. – Dostajesz stanowczo zbyt wiele

propozycji jak na dziewczynę, która tego nie robi.

Wzruszyłam ramionami. Sprawiło mi przyjemność, że nie znała odpowiedzi na to pytanie. Skoro ona je sobie zadawała, to na pewno robili to również widzowie, którzy oglądali mnie na ekranie i na deskach teatru.

Moja kariera wreszcie nabrała tempa. Próbowaliśmy z Rudim jakoś poradzić sobie z tą sytuacją. Nie ulegało wątpliwości, że nie mógł szukać pracy, bo dopóki Heidede była mała, jedno z nas musiało się nią opiekować.

W końcu Rudi podzielił się ze mną dręczącymi go wątpliwościami.

– Nie chcesz zrezygnować z pracy, prawda? Nasze wspólne życie ci nie wystarczy.

Siedzieliśmy przy stole po kolacji. Choć miałam tyle na głowie i nieustannie biegałam między planem filmowym, teatrem a kolejnymi przesłuchaniami, starałam się co wieczór gotować.

Zapaliłam papierosa.

– Nie – przyznałam. – Nie wystarczy. Nasze wspólne życie jest dla mnie ważne. Ale kariera też.

– A co ze mną? Mam zrezygnować z kariery? Pomyśl, jak to wygląda. Jestem twoim mężem. To ja powinienem utrzymywać ciebie i naszą córkę.

– Co za różnica, które z nas utrzymuje rodzinę? Mam pracę. Rudi, dobrze wiesz, że jeśli nie będę wykorzystywała szans, które się nadarzają, mogą się już nigdy nie powtórzyć.

– Innymi słowy twoja kariera jest ważniejsza – odparował. Zrobił to jednak bez przekonania, tak jakby mechanicznie wypowiadał słowa, które jego zdaniem powinny paść w tej sytuacji.

– Mówię ci tylko, czego chcę – oznajmiłam. – A teraz ty zrób to samo.

– Nie wiem, czego chcę. – Rzucił serwetkę na stół. – W tej chwili chcę iść na spacer. – Włożył kurtkę i wyszedł, a ja wzięłam kąpiel i zajęłam się Heidede. W końcu usłyszałam odgłos klucza w zamku. Po kilku minutach Rudi wszedł do sypialni, w której stało łóżeczko naszej córki, zbliżył się do mnie i powiedział: – Dobrze. Ale obiecaj mi, że jeśli ci się nie uda, dasz za wygraną. Wiem, że tego chcesz, i zależy mi, żebyś spełniła marzenia, ale nie pozwolę robić z siebie durnia.

– Obiecuję.

Decyzja została zatem podjęta. Po pracy jadałam kolacje w domu, a wieczorami sączyłam koktajle, chodziłam na popularne spektakle oraz występy teatrów rewiowych – na koniec zaś odwiedzałam kabarety. Starałam się pojawiać wszędzie tam, gdzie mogłabym nawiązać cenne kontakty i znajomości. Udało mi się nawet dostać do ekskluzywnego klubu nocnego El Dorado i zobaczyć Josephine Baker, która zaimprowizowała jeden z numerów ze swojego wielkiego hitu *La Revue Nègre*. Wiła się na stolikach, mając na sobie wyłącznie sznury pereł, a jej niezwykła zwinność i śmiałość bardzo mnie zainspirowały – zwłaszcza kiedy zaczęła przechadzać się niespiesznym krokiem pomiędzy

zafascynowanymi klientami i śpiewać popisowy kawałek *I've Found a New Baby*.

Nadal widywałam się z Anną May. Leni musiała zauważyć intymność, która zrodziła się między nami, i coraz bardziej zabiegała o moją uwagę. Nosiła stroje podobne do moich, co wyjątkowo mnie irytowało. Któregoś dnia włożyłam wilcze futro, koronkową bluzkę, luźne spodnie marynarskie i wojskowe wysokie buty – a Leni natychmiast narzuciła sobie na ramiona cętkowaną skórę tygrysa.

– Zachowuje się absurdalnie. – Anna May roześmiała się, kiedy o tym rozmawiałyśmy, leżąc w łóżku w jej małym mieszkaniu w pobliżu Kochstrasse. Spotykałyśmy się tam raz albo dwa razy w tygodniu. – Widziałaś ją wczoraj? Ciągnęła za sobą tę nieszczęsną skórę tak, jakby była na safari. Jeśli kiedyś zjawisz się nago z wachlarzem z piór na czole jak Josephine Baker, Leni na pewno postanowi pójść w twoje ślady.

Zapaliłam papierosa, zaciągnęłam się, po czym podałam go Annie May.

– A propos La Baker, przyszło mi ostatnio coś do głowy. Co byś powiedziała na to, żebyśmy same zaczęły występować? Miałybyśmy świetną rozrywkę i trochę byśmy przy okazji zarobiły.

Anna May uważnie mi się przyjrzała.

– Występować? To znaczy...?

– Myślałam o śpiewaniu piosenek. Nazwałybyśmy się Siostry na Mieście i występowałybyśmy w klubach przy Nollendorfplatz. Oczywiście nie w najlepszych kabaretach –

dodałam. – Tam nigdy by nas nie przyjęli. Ale na pewno poradzimy sobie nie gorzej niż goszczący w tej okolicy transwestyci i strojnisie występujący ze sztucznymi penisami.

– Leni potwornie fałszuje – zauważyła Anna May. – Ale będzie wściekła, jeśli ją wykluczymy.

– Kto powiedział, że ją wykluczymy? Skoro nie umie śpiewać, może zostać konferansjerem i opowiadać nieprzyzwoite dowcipy.

Anna May zaczęła przesuwać dłoń w stronę mojego pępka.

– Nie jesteś już taka naiwna jak dawniej. Uczysz się. Chcąc pozbyć się rywalki, każ jej więdnąć w swoim cieniu. Brawo.

Leni przyjęła naszą propozycję z wściekłością, ale nie chciała zostać wykluczona, więc musiała się zgodzić. Wprowadziłam jedną surową zasadę: żadnych narkotyków ani alkoholu. Anna May umiała się kontrolować, ale Leni przesadzała z używkami. Wybrałam odpowiednie piosenki Brechta i pasujące do siebie smokingi – dla nich czarne, a dla mnie biały. Występowałyśmy w Das Silhouette, Białej Róży, Odwiecznej Wierności i innych kabaretach tak często, jak tylko się dało. Leni rozgrzewała publiczność ryzykownymi skeczami i dowcipami, a potem przychodziła nasza kolej. Łapczywie zaciągałam się słowami piosenek i papierosami, śpiewając przed zachwyconymi chłopcami o policzkach pokrytych różem, krzykliwie ubranymi

transwestytami oraz zamroczonymi lesbijkami – a Anna May akompaniowała mi zmysłowym głosem.

Transwestyci mnie uwielbiali. Oblegali mnie i radzili się w niezliczonych kwestiach, od makijażu – „Marleno, czy ten odcień szminki nie jest zbyt krzykliwy?" – aż po dodatki: „Co sądzisz o tych mankietach? Czy nie są boskie? A może to wygląda tak, jakby brakowało rękawiczek?". Ja z kolei uczyłam się od nich rozmaitych sztuczek. Obserwowałam ich krzykliwą, przesadzoną kobiecość, sposób, w jaki układali ręce na biodrach, tak by dłonie wydawały się mniejsze, albo wypychali biodra do przodu, żeby podkreślić swoje krągłości i odwrócić uwagę od umięśnionych łydek.

Występy w kabaretach pozwoliły mi też poznawać wpływowych ludzi. Producenci teatralni często poszukiwali w takich lokalach nowych pomysłów. Dekadencja stała się niezwykle modna – a gdzież jej szukać, jeśli nie w miejscu, w którym się narodziła? Podobnie jak Anna May i Leni, sypiałam czasem z poznanymi w ten sposób osobami, choć wszystkie te relacje miały ulotny charakter. Starałam się też dbać o to, by po zaspokojeniu namiętności nie wygasła wzajemna życzliwość.

Pewnego dnia po występie podeszła do mnie używająca czarnej szminki i słynąca z alabastrowych policzków Margo Lion, żona homoseksualnego producenta i pisarza Marcellusa Schiffera oraz miłośniczka kobiet. Okazało się, że chciała z mężem obsadzić mnie w nowej rewii w Komödie Theater, *Es liegt in der Luft* – satyrze rozgrywającej się w domu towarowym i nawiązującej do

wstrząsów społecznych w ówczesnych Niemczech. Wykonywałam w tym widowisku kilka numerów, między innymi piosenkę *Siostry*: wspólnie z Margo grałyśmy dwie kobiety, które korzystając z wyjazdu swoich chłopaków, kupują sobie wzajemnie bieliznę.

„Może to żałosne – śpiewałyśmy, oglądając staniki i podwiązki – te nasze igraszki miłosne. Dłonie i figi zalotne, ten fetysz sprawia, że jesteśmy wilgotne”.

Ta piosenka miała jawnie homoseksualny wydźwięk i stała się tak popularna, że publiczność zawsze domagała się bisów. W drugim numerze śpiewałam o radościach płynących z kleptomanii. Miałam na sobie wyzywającą zieloną suknię z rozcięciem ciągnącym się aż do biodra, lekko opadającą mi na czoło fedorę, czarne rękawiczki oraz bransoletki ze sztucznych diamentów na obu nadgarstkach. Mrucząc zalotnie: „Kradniemy jak ptaki, pomimo bogactwa, dla erotycznych podniet”, stałam w bezruchu, a potem niespiesznym krokiem przemierzyłam scenę, rzucając widzom obojętne spojrzenia i taksując ich jak przedmioty, które mogłabym ukraść. Kiedy skończyłam, wszyscy zerwali się z miejsc i rozbrzmiały burzliwe oklaski.

To była moja pierwsza owacja na stojąco.

Obojętność okazała się najlepszym magnesem.

Rudi musiał zdawać sobie sprawę, że nie dochowywałam mu wierności. Co wieczór wracałam do domu, ale czasem zjawiałam się bardzo późno, kiedy już spał. Rano, gdy krążyłam po mieszkaniu, sącząc kawę i wybierając stroje, nie pytał, gdzie byłam, a ja mu o tym nie opowiadałam.

Uznawałam, że nie ma sensu o tym rozmawiać. Tak jak sam zauważył, ta branża rządziła się określonymi prawami. Wypracowaliśmy zresztą pewien ustalony porządek. Ja szłam do pracy, a on zostawał w domu z Heidede. Miał też nowe zajęcie: hodował na dachu gołębie i sprzedawał je lokalnym restauracjom. Brał na siebie również sprzątanie i gotowanie. Chodził z Heidede do parku i do kawiarni, gdzie jedli ciastka i pili gorącą czekoladę. Nasza córka była radosną, pulchną dziewczynką, a Rudi wydawał się zadowolony. Rzadko się kochaliśmy. Choć Rudi przyjmował czasem drobne zlecenia i pracował jako asystent produkcji, widziałam, że nie sprawia mu to przyjemności. Nie lubił opuszczać domu i nieustannie martwił się o Heidede, choć pracował zwykle tylko po kilka tygodni, a córkę zostawialiśmy pod opieką Mutti, która ją uwielbiała i zapewniała jej to samo pragmatyczne wychowanie, jakie odebrałyśmy z Liesel.

Nie mogłam narzekać. Coraz lepiej zarabiałam, a Heidede potrzebowała obecności przynajmniej jednego rodzica. Ja też za nią tęskniłam, ale byłam zbyt niespokojna i ambitna, by zadowolić się macierzyństwem. Pragnęłam dla córki wszystkiego, co najlepsze – ale tego samego pragnęłam dla siebie. Nie zważałam na narzekania Mutti, która mruczała pod nosem: „Za moich czasów wszystko wyglądało inaczej. Mężczyźni pracowali, a ich żony siedziały w domu. Wywróciliście wszystko do góry nogami”.

Między 1926 a 1928 rokiem wystąpiłam w dziewięciu filmach i w licznych spektaklach teatralnych – były to

większe i mniejsze role, niektóre dramatyczne, inne komediowe. Później udało mi się zdobyć rolę w filmie *Café Electric*, kręconym w studio w Wiedniu, przepięknym mieście o oszałamiającej architekturze. W tej produkcji grał również Willi Forst, najsłynniejszy austriacki aktor, który okazał się uwodzicielem nie tylko na planie, ale i poza nim. Uwielbiał pokazywać się w towarzystwie pięknych kobiet, a ja chętnie spędzałam z nim czas, tym bardziej że dzięki naszej znajomości prasa coraz bardziej się mną interesowała. W *Café Electric* wcielałam się w tancerkę zakochującą się w kieszonkowcu granym przez Forsta. Na ekranie zaczęto eksponować moje nogi i kostiumy, a świetnie wyczuwający koniunkturę reżyser skłonił nas z Willim do wystąpienia w nowej wersji popularnej amerykańskiej sztuki *Broadway*. O naszym romansie (głównie na użytek prasy, choć rzeczywiście kilka razy ze sobą spaliśmy) zrobiło się bardzo głośno, a jego kulisy opisywano we wszystkich rubrykach towarzyskich.

Nie spodziewałam się, że Rudi zwróci na to uwagę. Dlatego tak wielkim zaskoczeniem okazała się dla mnie jego niespodziewana wizyta w studiu filmowym.

– Dość tego – oznajmił, wpadając do mojej maleńkiej garderoby. W dłoni trzymał zwiniętą gazetę, którą rzucił na podłogę. – Zajrzyj do rubryki towarzyskiej. Roi się tam od twoich zdjęć z Willim Forstem! To trwa już stanowczo zbyt długo. Przyprawiasz mi teraz rogi na oczach całego kraju?

Nie zwracając uwagi na gazetę, posłałam Rudiemu chłodne spojrzenie. Miał wymięty garnitur i wyglądał tak,

jakby przybiegł prosto z dworca, nawet nie przyczesując włosów.

– Gdzie Heidede?

– Została z twoją matką, to chyba oczywiste. Dbam o nią. W przeciwieństwie do ciebie.

– Oskarżasz mnie o to, że jestem złą żoną? A może złą matką? – zapytałam z wściekłością. – Mogę przyjąć pierwszy z tych zarzutów, ale, na Boga, nawet nie próbuj wysuwać drugiego.

– Którego? – Utkwił we mnie wzrok. – Jedno i drugie jest prawdą.

Zacisnęłam pięści.

– Co za tupet. Od dawna toleruję fakt, że nigdzie nie pracujesz i siedzisz w domu z Heidede, podczas gdy ja opłacam wszystkie nasze rachunki. Ale nie zamierzam tego dłużej znosić.

– Tolerujesz to tylko dlatego, że taki układ ci odpowiada. Tolerujesz to, bo właśnie tego pragniesz. Uwielbiasz znajdować się w centrum uwagi, nawet jeśli oznacza to publiczne łamanie przysięgi małżeńskiej.

– Jeżeli złamałam przysięgę małżeńską, to tylko dlatego, że jesteś żałosną podróbką męża! – wybuchłam. Po chwili zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu obraziłam Rudiego. Wróciłam do toaletki i zapaliłam papierosa. – Zachowujesz się absurdalnie – dodałam. – Wracaj do Berlina. Niedługo przyjadę do domu.

– Nie. Nie pozwolę, żebyś mnie dalej ośmieszała.

Stał przede mną i niezdarnie stawiał opór, co w pewien sposób dodawało mi otuchy. Przynajmniej nie stracił dumy. W tym momencie uświadomiłam sobie jednak, że choć doceniam ten gest, przyszedł on zdecydowanie za późno. Było mi już wszystko jedno.

– Zawsze dbałeś o pozory – powiedziałam. – Nadal jestem twoją żoną. Willi Forst tego nie zmieni.

– Mam nadzieję. On też jest żonaty. A może o tym zapomniałaś?

– Uważaj, Rudi. Źle reaguję na groźby.

Prychnął.

– Reagujesz na nie, jeśli ci się to opłaca.

– Owszem. A jeśli nie przestaniesz, w moim interesie będzie pozostanie w Wiedniu dłużej, niż pierwotnie zamierzałam.

Nagle wzięła w nim górę rozpacz. Do jego oczu, dawniej tak radosnych, napłynęły łzy. Poczułam obrzydzenie. Pomyślałam, że jeśli zacznie płakać, porzucę go – choć sama ta myśl wydawała mi się niewyobrażalna. Mieliśmy przecież dziecko. Mieliśmy wygodne życie. Nie widziałam sensu, by kończyć nasze małżeństwo z powodu czegoś, co nic nie znaczyło.

– Rudi – powiedziałam. – Wszyscy są w mniejszym lub większym stopniu niewierni. Przecież go nie kocham.

Opadł na stołek i ukrył twarz w dłoniach.

– Ale nie kochasz też mnie.

Znieruchomiałam. Nie mogłam kłamać. Nie musiałam. Znał prawdę. Nie kochałam go. Patrząc wstecz, odnoszę

wrażenie, że nigdy nie darzyłam go miłością. Kochałam swoje wyobrażenie, urok i nonszalancję Rudiego, iluzję bezpieczeństwa, którą mi oferował. Niczego jednak nie czułam do człowieka, którym się stał. Byłam od niego silniejsza. Nie wiedziałam na ile – aż do tej chwili.

Rozległo się pukanie do drzwi, a po chwili usłyszałam nerwowy głos asystenta produkcji:

– Fräulein, czekają na panią. – Ściany mojej garderoby były cienkie jak papier i miałam świadomość, że wszyscy słyszeli nasze krzyki.

– Spójrz na mnie. – Po chwili dodałam: – Jesteśmy mężem i żoną. Mamy wspaniałą córkę. Czego jeszcze chcesz? Wrócić do pracy? Zrób to. Zatrudnimy nianię, zorganizujemy wszystko tak, żeby jedno z nas opiekowało się Heidede, kiedy drugie będzie zajęte. Możemy znaleźć rozwiązanie...

Jego gorzki śmiech przerwał mi w pół zdania.

– Nie rozumiesz. Myślisz, że to tylko kwestia zatrudnienia kogoś do pomocy albo ułożenia odpowiedniego harmonogramu. Ale chodzi o coś więcej. Nie spodziewałem się, że...

– Że co? Po prostu to powiedz. Czego się nie spodziewałeś?

– Tego – wyszeptał. – Tego wszystkiego. Myślałem, że będziesz grała jeszcze przez jakiś czas, a potem się tym znudzisz i wrócisz do domu. Myślałem, że ci przejdzie. Myślałem, że zrezygnujesz z tej obsesji zdobycia sławy.

– Myślałeś, że się poddam? – Utkwiłam w nim wzrok. – To ty mówiłeś, że zamierzasz uczynić mnie najsławniejszą kobietą na świecie.

Westchnął.

– Owszem, tak wtedy powiedziałem. Uważałem, że potrzebujesz takiego zapewnienia. Gdybym ci tego nie obiecał, nie wyszłabyś za mnie.

Choć trzęsłam się ze złości, opanowałam się i zgasiłam papierosa.

– No cóż. Wierzyłam ci. Tak czy inaczej, nie zamierzam tego teraz porzucić. Muszę zająć się pracą. Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę do domu.

Zamierzałam przejść obok niego, ale gwałtownie wyciągnął rękę i mnie zatrzymał.

– Poznałem kogoś.

– Tak? – Udawałam, że jestem rozbawiona, ale poczułam gwałtowny skurcz żołądka.

– Ma na imię Tamara. Jest Rosjanką. Tancerką. Była statystką na planie filmu, przy którym ostatnio pracowałem. Zależy jej na mnie. A mnie zależy na niej. Ale musimy się ukrywać ze względu na Heidede i twoją matkę. Chciałem oszczędzić ci upokorzeń, ale skoro nie zamierzasz robić tego samego dla mnie...

Zaschło mi w gardle. Tego się nie spodziewałam. Przez sekundę miałam ochotę go uderzyć. Przyjechał tu tylko po to, żeby oskarżyć mnie o zdradę i zmusić do wyznań, choć tak naprawdę kierowała nim inna motywacja. Przez te wszystkie noce, kiedy po cichu, z butami w dłoni,

wślizgiwałam się do mieszkania tylko po to, żeby nie spał sam – Rudi mnie zdradzał. Opanowałam się jednak i nie zaczęłam mu tego wyrzucać, bo zdawałam sobie sprawę, że gromienie go za coś, co sama robiłam i zamierzałam robić dalej, byłoby szczytem hipokryzji. Mogłam winić tylko siebie. Rudi mnie kochał. Zapobiegłabym temu wszystkiemu, gdybym mu się podporządkowała, tak jak to robiło wiele kobiet; gdybym wypchnęła go za drzwi i skłoniła, żeby poszedł do pracy. Widocznie potrzebował takiej osoby jak moja matka: sprawnej, pragmatycznej *Hausfrau*, która wydawałaby mu rozkazy i przypominała, gdzie jego miejsce.

– A gdybym ci kazała o niej zapomnieć? – zapytałam powoli.

– Zrobiłbym to. Ale ostrzegam cię, Marleno, to mógłby być nasz koniec. Nie jestem taki jak ty. Nie potrafię sypiać z każdym, kto wzbudzi moje zainteresowanie, a potem odchodzić jakby nigdy nic.

– Wygląda na to, że musimy podjąć to ryzyko. Tak jak mówiłam, każdy jest do pewnego stopnia niewierny.

Jego wyraz twarzy nagle się zmienił.

– To wszystko? Z nami już koniec?

– To zależy. – Po chwili dodałam łagodniejszym tonem: – Nie jestem taka jak inne kobiety, Rudi. Nic na to nie poradzę. – Wyciągnęłam rękę i pogładziłam jego nieogolony policzek. – Nie jestem w tobie zakochana, ale zawsze będę cię kochała. Kompromis nie leży w mojej naturze.

Zadrżał.

– Chcesz rozwodu?

– Nie, o ile ty go nie chcesz. Nie musimy niczego zmieniać. Postaram się zachować większą dyskrecję – dodałam, lekko się uśmiechając. – Ale nie jestem w stanie niczego obiecać. Jeśli wolisz zamieszkać osobno, możemy tak zrobić. A jeśli z biegiem czasu postanowisz ożenić się z inną kobietą... no cóż, wtedy to omówimy i podejmiemy stosowne decyzje.

Pokiwał głową, choć zrobił to raczej mechanicznie.

– Tak. Wydaje mi się, że powinniśmy zamieszkać osobno.

– Doskonale. Muszę skończyć pracę nad tym filmem, a potem mam na głowie spektakl. Zajmiemy się tym po moim powrocie. A teraz jedź do domu. Heidede na pewno strasznie za tobą tęskni.

Zostawiłam go w garderobie i wyszłam. Myślałam, że poczuję ból, smutek spowodowany tym, że związek, któremu na początku towarzyszyła tak wielka nadzieja, kończy się kolejnym rozczarowaniem. Chciałam doświadczyć tych uczuć. Nadszedł kres mojego małżeństwa. Wiedziałam, że przeszłość odeszła już na zawsze, a nam nigdy nie uda się powrócić do tamtej beztroskiej chwili, kiedy wierzyliśmy, że spędzimy wspólnie całe życie.

Zamiast tego, tak jak wtedy, gdy porzuciła mnie Gerda, poczułam tylko dziwną ulgę. Nie musiałam dłużej udawać, nie musiałam z tak wielkim trudem utrzymywać równowagi między karierą a małżeństwem. Im mniej ograniczeń, tym więcej mogłam z siebie dawać – zarówno pracy, jak samej

sobie. Byłam wolna i mogłam walczyć, o co tylko chciałam. Nawet jeśli miałam to robić sama.

Tak to sobie przynajmniej tłumaczyłam.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Na początku 1929 roku, po tym, jak przedłużyłam pobyt w Austrii, żeby dać Rudiemu czas na przystosowanie się do nowej sytuacji, zakończyłam romans z Willim Forstem i wróciłam do Berlina. Zdobyłam nową umiejętność. Podczas gdy czekałam na ustawienie świateł albo zmianę kamery, jeden ze statystów uczył mnie grać na pile muzycznej. Bawiło mnie to i chętnie przesuwałam smyczkiem po wąskiej, bezzębnej powierzchni giętkiej stali, którą ściskałam między udami, wydobywając z niej ponure wibracje. Nie dotykałam już skrzypiec, ale nowe hobby mogło się okazać użyteczne: dzięki niemu moje palce i nadgarstki nie traciły dawnej sprawności. Po powrocie do domu zaprezentowałam Rudiemu kilka cygańskich melodii, których nauczyłam się na planie.

– Widzisz? – powiedziałam. – Nie tylko wywołałam skandal. Nauczyłam się też gry na nowym instrumencie.

– Willi Forst na pewno przyznałby ci rację – odparł Rudi figlarnym tonem. – Dobrze przynajmniej, że nie chodzi o jego organy.

Roześmiałam się. Zależało mi na tym, by nieco złagodzić gorycz, która powstała między nami. Ze względu na to, że Rudi wydawał się zakochany w rosyjskiej tancerce, nie widziałam powodu, by udawać, że nie wiem o jego związku. Chciałam ją poznać, spotkać się z nią i porozmawiać w cztery oczy. Wydawało mi się, że właśnie tak należy

postąpić. Wiedziałam, że kochanka Rudiego będzie miała kontakt z naszą córką, a zapewne również z moją matką. Musiałam się przekonać, kim ona jest.

Tamara Matul okazała się ładną, opanowaną i bardzo szczupłą dziewczyną. Miała pociągłą twarz, złotorude włosy i orzechowe oczy. Wyglądała tak, jakby od dawna nie jadła solidnego posiłku. Dowiedziałam się wkrótce, że od pewnego czasu bez powodzenia próbowała zrobić karierę w Berlinie. Niemcy zalały dziesiątki rosyjskich baletnic uciekających przed marksistowską pożogą. Z zainteresowaniem słuchałam opowieści Tamary, jej wyznań o tym, że nie może równać się talentem i umiejętnościami z rywalkami wywodzącymi się z Teatru Bolszoj – a jeszcze większe wrażenie robił na mnie szacunek, jakim mnie darzyła.

Usiadłyśmy przy kawie i strudlu, a ona wyszeptała, że nie próbuje zająć mojego miejsca. Po chwili wręczyła mi niewielką paczuszkę. Wzruszył mnie ten gest. Otworzyłam podarunek i znalazłam w środku wspaniałą lakierowaną ikonę, wykonaną z wielką dbałością o każdy detal. Była tak piękna, że mogłaby wisieć na ścianie niejednej cerkwi.

– Och, nie – szepnęłam, próbując oddać ją Tamarze. – To na pewno bardzo cenny przedmiot. Powinnaś oddać ją w zastaw. Widziałaś obecne ceny butów? Osiemset tysięcy marek za zwykłe czarne szpilki. – Roześmiałam się, żeby nieco rozładować napięcie. Wcześniej, kiedy usiadła obok mnie, zerknęłam na jej stopy: choć był środek zimy, miała na nogach brudne baletki.

Uśmiechnęła się smutno.

– To prezent dla ciebie. – Zamilkła na chwilę. – Każdy Rosjanin w Berlinie oddaje teraz w zastaw cały swój dobytek. Za cenę zwykłych czarnych szpilek mogłabyś pewnie kupić dziesięć takich ikon.

Budziła moją sympatię. Choć wszystko straciła, miała nadal ogromną klasę.

– W takim razie będę ją pieczołowicie przechowywać. I nie martw się. Zdecydowaliśmy się z Rudim na separację.

– Ale nie z mojego powodu? – zapytała z niepokojem.

Machnęłam na kelnera.

– Poprosimy o dokładkę strudla – powiedziałam, po czym pochyliłam się w stronę Tamary i ścisnęłam jej drobną, odmrożoną dłoń ze zniszczonymi paznokciami. – Nie. Z mojego powodu. – Mrugnęłam, a jej blade policzki oblały się rumieńcem.

Wkrótce wprowadziła się do Rudiego, a ja wynajęłam mieszkanie w pobliżu, żeby możliwie często odwiedzać Heidede. Tak jak przypuszczałam, Mutti wyraziła głęboki niepokój i zaczęła wyrzucać mi, że zrezygnowałam ze wspaniałego mężczyzny w imię „głupstw” – jak określała moją karierę. Była jednak skupiona przede wszystkim na Liesel, która niedawno poroniła i którą musiała się teraz opiekować, nie miała więc czasu na krytykowanie mojej godnej ubolewania nowoczesności.

Wzięłam trochę wolnego, żeby poświęcić więcej czasu Heidede, która z początku nie rozumiała, dlaczego nie mieszkam już w domu. Nie potrafiłam wytłumaczyć jej

przyczyn tej decyzji, więc próbowałam za wszelką cenę odwrócić jej uwagę. Często zabierałam ją na lody i do zoo, na zakupy i na wizyty u wujka Williego i Jolie. Heidede była teraz mocnej budowy czterolatką, której nie brakowało niczego poza moją obecnością. W związku z separacją dręczyło mnie nieustanne poczucie winy i starałam się to wszystko nadrabiać, obsypując córkę pocałunkami tak długo, aż mnie odpychała i wydymała z niezadowoleniem usta.

– Jak możesz być moją Mutti? – zapytała któregoś dnia. – Nikt nie ma dwóch Mutti.

Uświadomiłam sobie, jak wiele czasu spędzała teraz z moją matką. Wcale mnie to nie cieszyło. Przysięgłam sobie, że będę lepiej wywiązywała się ze swojej roli, ale życie zawodowe i ciągła pogoń za nowymi rolami nie pozwoliły mi zrealizować tego postanowienia: wiedeńska przygoda z Willim Forstem i zainteresowanie, które wzbudziła ta znajomość, sprawiły, że moje nazwisko stało się rozpoznawalne.

Choć nadal nosiłam obrączkę, miałam teraz pełną swobodę. Spędzałam noce w klubach i wdałam się w kilka krótkich romansów. Mogłabym czerpać z takiego trybu życia większą przyjemność, gdyby nie ogromne zmiany, jakie zaszły w Berlinie podczas mojej nieobecności. Dotychczasowy hedonizm przybrał mroczniejszą, bardziej ponurą postać. Narkotyki stały się wszechobecne, a nowe kabarety, które pojawiały się w zastraszającym tempie, starały się zaspokajać potrzeby berlińczyków. Bulwarowe

wampy, takie jak słynna Anita, umierały na skutek przedawkowania i w ciągu kilku dni odchodziły w niepamięć. Nawet podczas branżowych przyjęć kokaina stała na stołach w szklanych miskach, a pomieszczenia wypełniały gęste chmury opium. Niemal wszyscy moi znajomi byli od czegoś uzależnieni. Nigdy nie pociągał mnie brak umiaru w piciu i przyjmowaniu narkotyków. Takie używki mąciły w głowie, przytępiały zmysły i sprawiały, że bliscy ludzie zmieniali się nagle nie do poznania. Starałam się unikać tego obłędu i skupiłam się na pracy. Przyjęłam rolę w melodramacie *Kobieta, za którą się tęskni;* grałam w nim noszącą wspaniałe nakrycia głowy i seksowną bieliznę femme fatale, która usidla żonatego mężczyznę. Film odniósł sukces, a po tym, jak krytyk piszący dla „Variety” opisał mnie jako „rzadko spotykaną piękność pokroju Garbo” – miał trafić do dystrybucji także w Ameryce. Moje nazwisko zostało po raz pierwszy powiązane z królową MGM, a to porównanie stało się dla mnie kolejnym bodźcem do poszukiwania sławy.

Podczas gdy starałam się dobierać ciekawe role, które mogłyby rozwinąć moją karierę, miasto, gdzie się urodziłam, zostało skażone przez nową, groźną siłę: polityczny ruch nazywający siebie Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partią Robotników, a powszechnie określany mianem brunatnych koszul. Na jego czele stanął austriacki fanatyk Adolf Hitler, który w 1923 roku siedział w więzieniu za nieudaną próbę przeprowadzenia puczu w Monachium.

Niewiele osób traktowało go poważnie – większość kpiła z jego diatryb – ale jego partia zyskiwała coraz większe poparcie i zdobyła dwanaście miejsc w parlamencie podczas ostatnich wyborów. Zwolennicy Hitlera nosili charakterystyczne opaski ze swastykami, maszerowali ulicami Berlina i wręczali przechodniom pełne nienawiści broszury, propagując zaciekły nacjonalizm, który budził moją najgłębszą pogardę.

Pewnego dnia, kiedy zmierzałyśmy z Leni na przesłuchanie do Berliner Theater, natknęłyśmy się na grupę rumianych młodzieńców w brunatnych koszulach. Zatrzymali nas, a jeden z nich zaczął wpychać mi do ręki ulotki. Pozostali gapili się na nas z irytującą bezczelnością.

– Musimy powstrzymać Żydów i marksistów, nie pozwolimy im zniszczyć Niemiec – oznajmił młodzieniec. – Udało im się tego dokonać w Rosji, a teraz zagrażają naszej ojczyźnie. Przeczytajcie *Mein Kampf*. Pomyślcie o przyszłości tego narodu i głosujcie na Hitlera. Jako nowy kanclerz uratuje nasz kraj.

Zerknęłam na ulotkę i przeczytałam: „Obiecuję, że jako kanclerz zapewnię narodowi niemieckiemu *Lebensraum*. Musimy unicestwić żydowsko-marksistowski spisek, który odebrał nam godność. Głosujcie na mnie, Adolfa Hitlera, a ja przywrócę Niemcom dawną chwałę”.

Zarozumiały mały Austriak – pomyślałam. Na ulotce widniała karykatura przedstawiająca Żyda z haczykowatym nosem i tałesem, zaganiającego dzieci do synagogi, nad którą wisiały symbole komunizmu. Zrobiło mi się niedobrze.

Cisnęłam ulotkę na ziemię.

– Nie macie nic lepszego do roboty i musicie zaczepiać współobywateli? – warknęłam i minęłam ich, nie zważając na okrzyki *„Jüdischen Hure!”*.

Leni pobiegła za mną.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytała, nerwowo zerkając przez ramię. – Przecież nas nie obrazili.

– Nie? – Spojrzałam na nią z obrzydzeniem. – A jak określiłabyś nazywanie kogoś żydowską kurwą?

– Na początku nas nie obrazili. Zrobili to dopiero wtedy, kiedy wyrzuciłaś ich broszurę.

Zamilkłam i uważnie jej się przyjrzałam. Bez przerwy słyszałam agresywne komentarze na temat Żydów. Antysemityzm szerzył się jak zaraza i zalewał całe Niemcy. Mutti nigdy za nimi nie przepadała i często narzekała na żydowską szwaczkę z sąsiedztwa, która miała za wysokie ceny. Żydzi byli jednak stałymi klientami naszego rodzinnego sklepu i sami prowadzili luksusowe domy towarowe. Wielu mieszkających w Berlinie działało też w branży artystycznej. Należeli do nich choćby Meinhardt i Bauer, którzy zatrudnili mnie w swoim teatrze, oraz Max Reinhardt, założyciel akademii, w której studiowałam. Niczym szczególnym się nie wyróżniali.

– Wielu ludzi uważa, że Hitler ma rację – odpowiedziała Leni. – Przegraliśmy wojnę z winy Żydów. Zmusili nas do kapitulacji, bo działają w zmowie z marksistami, żerują na nas...

Roześmiałam się, gwałtownie jej przerywając. Na ten temat akurat coś wiedziałam. Mieszkając z Gerdą, zaczęłam mimowolnie przejmować część jej socjalistycznych poglądów.

– Czytasz czasem książki historyczne, Leni? Żydzi przez całe wieki uciekali z Rosji ze względu na pogromy. Myślisz, że popieraliby własne prześladowania i rzezie, do których tam dochodziło? Marksiści są dla nich takimi samymi przyjaciółmi jak carowie.

Leni wzruszyła ramionami, potwierdzając moje przypuszczenia: nie miała pojęcia o historii.

– I dlaczego w ogóle obchodzi cię, co mówi Hitler? – zapytałam. – Przecież on nawet nie jest Niemcem.

Wyprostowała się.

– Słyszałam raz, jak przemawiał na wiecu. To doskonały mówca. Dobro Niemiec leży mu na sercu. Hitler twierdzi, że Żydzi gromadzą takie majątki, bo są podrzędną rasą, i że jeden czystej krwi Aryjczyk jest wart więcej niż stu Żydów.

– Naprawdę tak twierdzi? W takim razie to czystej krwi idiota.

– Marleno, to nieuczciwe. Jego partia jest...

Znowu jej przerwałam.

– Ilekroć chodzimy na przesłuchania takie jak dziś, możemy mieć do czynienia z Żydami. Potrafisz ich jakoś odróżnić? Mają spiczaste uszy i haczykowate nosy jak postaci z tej idiotycznej broszury? Każą nam uczyć się na pamięć scenariuszy pełnych bolszewickiej propagandy?

Leni wydęła wargi.

– Nie o to chodzi.

– Myślę, że dokładnie o to chodzi. Twój wspaniały mówca podburza ludzi.

Przyspieszyłam, kierując się w stronę teatru, a Leni ruszyła za mną.

– Nie wiedziałam, że tak bardzo interesują cię Żydzi – oznajmiła z niechęcią w głosie.

– Nie interesują. Nieszczególnie interesuje mnie też polityka – odparowałam. – Ale nie lubię, kiedy dyktuje mi się, co mam myśleć.

Szybko zapomniałam o tym incydencie. W przeciwieństwie do Leni, zostałam obsadzona w nowym spektaklu w Berliner Theater, zatytułowanym *Dwie muszki*. Był to efektowny musical oparty na amerykańskich hitach, takich jak *Broadway*, w którym występowałam w Wiedniu. Miałam zagrać Mabel, amerykańską dziedziczkę oszalałą na punkcie jazzu. Śpiewałam po angielsku i po niemiecku, nosiłam tweedowy garnitur, zmysłowe suknie wieczorowe oraz tak zatrważające ilości sztucznej biżuterii, żeby jej migotanie mogli dostrzec nawet widzowie zasiadający w ostatnich rzędach. Libretto napisał Georg Kaiser, odnoszący ogromne sukcesy ekspresjonista, a spektakl okazał się niezwykle widowiskowy: oprócz pięćdziesięciu tancerek rewiowych mieliśmy do dyspozycji obrotowe sceny, w tym jedną, która naśladowała wielki, luksusowy liniowiec. Bilety wyprzedano na wiele tygodni wcześniej i choć moja pensja wynosiła tylko tysiąc marek, sytuacja nie pozwalała mi na kapryszenie.

Nie zdawałam sobie sprawy, że ten spektakl odmieni moje życie.

SCENA CZWARTA

BŁĘKITNY ANIOŁ

1930

„A JEŚLI ICH SKRZYDŁA PŁONĄ, NIE PONOSZĘ ZA TO WINY”

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Fräulein, czy może pani przyjąć nieco mniej niezdarną pozę? Nie reklamuje pani taniej bielizny.

Reżyser przeciągał samogłoski i rzucał kąśliwe uwagi, ale z całą pewnością nie należał do nudnych i zwyczajnych. Wręcz przeciwnie: wydawał się dziwaczny i ekscentryczny nawet jak na standardy ówczesnego Berlina.

Miał nie więcej niż metr siedemdziesiąt – był zatem o kilka centymetrów niższy ode mnie – i nosił wysokie buty do jazdy konnej na grubych podeszwach. Przypuszczałam, że jest dobrze zbudowany, choć nie mogłam tego do końca ocenić, ponieważ miał na sobie zielony surdut i bryczesy, które pogrubiały uda. Całości stroju dopełniały białe rękawiczki i szalik z frędzlami. Na głowie miał czapkę lotniczą i nerwowo machał ręką, a ja patrzyłam na niego z udawanym znudzeniem.

Nie nudził mnie. W żadnym wypadku. Mógłby mnie obrażać w nieskończoność: choć wydawał się ekscentryczny, doskonale wiedziałam, jak ważną jest osobą i ile znaczy jego zainteresowanie.

Nie było człowieka, który nie znałby Josefa von Sternberga.

Na początku nie mogłam w to wszystko uwierzyć. Kiedy po wieczornym występie w Berliner Theater przyniesiono mi do garderoby jego wizytówkę i przekazano prośbę, bym zjawiła się w należącym do UFA Babelsberg Studio,

postanowiłam całkowicie zignorować to zaproszenie. Byłam zmęczona po sześciu granych z rzędu popołudniowych i wieczornych spektaklach – i nie miałam nastroju do żartów. Jednak w tej samej chwili Rosa Valetti, gwiazda kabaretów, której uwodzicielski, chrypiący głos oczarował publiczność, weszła do naszej wspólnej garderoby i mnie zrugała.

– Von Sternberg przyjechał tu z Hollywood. I może każdemu aktorowi otworzyć drzwi do kariery. Spójrz choćby na Emila Janningsa: rola w *Ostatnim rozkazie* zapewniła mu pierwszego Oscara dla najlepszego aktora. Jannings gra też główną rolę w najnowszym filmie von Sternberga: pierwszej produkcji dźwiękowej UFA, opartej na powieści Manna *Profesor Unrat*. Dostałam w tym filmie jedną z ról drugoplanowych. Skoro reżyser chce się z tobą spotkać, to musisz tam pojechać, Marleno. Wszyscy marzą o tym, by z nim pracować.

Rudi powiedział to samo. Teraz, kiedy mieszkał z Tamarą, zaczął na nowo interesować się moją karierą.

– Von Sternberg jest bardzo znany. Jego *Ludzi podziemi* i *Doki Nowego Jorku* wychwala się pod niebiosa. Podobno mistrzowsko operuje światłem na planie. Poza tym pracowałaś już z Janningsem przy *Tragedii miłości*. Może to on cię polecił.

– Jannings? Wyjechał do Hollywood i został gwiazdą. Dlaczego miałby mnie pamiętać, a tym bardziej polecać? Wiele lat temu nakręciliśmy razem jeden film.

– Najwyraźniej zrobiłaś na kimś wrażenie – zauważył Rudi. – Ale uważaj, słyszałem, że von Sternberg nie szanuje aktorów. Podobno jest tyranem i zakłada, że powinni posłusznie realizować każde jego polecenie.

– Czyli zachowuje się jak każdy reżyser – odpowiedziałam.

Byłam na tyle zaintrygowana, że postanowiłam skorzystać z zaproszenia, i następnego dnia ruszyłam do studia filmowego, które znajdowało się na drugim końcu miasta. Przypuszczałam, że von Sternberg szuka dodatkowych statystów i aktorów drugoplanowych, ale ponieważ potrzebowałam pieniędzy, uznałam, że kilka dni pracy nad filmem, niezależnie od tego, jaka to będzie rola, bardzo mi się przyda. Współpraca z von Sternbergiem nie mogła mi przecież zaszkodzić.

Kiedy nas sobie przedstawiono, reżyser nie wydawał się szczególnie przyjazny. Zachowywał się obojętnie i ledwo zwracał na mnie uwagę. Oprócz nas w gabinecie znajdowała się tylko jedna osoba: nerwowy mężczyzna trzymający kartkę papieru. Nie widziałam żadnych kamer, oświetlenia ani charakteryzatorów. Najwyraźniej czekało mnie zwykłe przesłuchanie, a nie zdjęcia próbne. Poczułam się oszukana. Asystent podał mi kartkę, a von Sternberg powiedział:

– Proszę czytać.

– Czyje kwestie? – zapytałam.

– Obojętnie – oznajmił. Zdjął rękawiczki i umieścił papierosa w długim ustniku. Zwróciłam uwagę na jego dłonie – delikatne jak u dziecka, o szczupłych palcach. Po

chwili podniosłam wzrok i zorientowałam się, że mi się przygląda.

Spojrzałam na kartkę.

„Lola Lola?”. Słabo pamiętałam powieść Manna, ale mimo to wydawało mi się, że nie pojawia się w niej żadna postać o tym imieniu. Była za to uwodzicielska Rosa, której rozbuchana seksualność doprowadza do ruiny tytułowego bohatera, profesora Unrata. Czy Lola Lola mogła być koleżanką Rosy, stworzoną przez von Sternberga na potrzeby adaptacji?

– Obojętnie – powtórzył.

Lola Lola miała w tej scenie tylko jedną kwestię.

– „A więc nie przyszedłeś się ze mną zobaczyć?” – przeczytałam.

– Jeszcze raz. Teraz po angielsku.

Przetłumaczyłam swoją kwestię na angielski – język, w którym umiałam śpiewać, ale rzadko się nim posługiwałam. Von Sternberg przerwał mi niecierpliwym machnięciem ręki.

– A teraz proszę się przejść.

Gabinet był niewielki. Ruszyłam niespiesznym krokiem przez ciasny pokój, lekko unosząc rąbek spódnicy, żeby odsłonić podwiązki. Uznałam, że Lola Lola powinna zachowywać się kokieteryjnie, podobnie jak grana przeze mnie w teatrze dziedziczka. Von Sternberg musiał oglądać ten spektakl i zapewne dlatego postanowił się ze mną skontaktować.

Po chwili reżyser rzucił: „Wystarczy”, po czym skrytykował moją niezdarną pozę.

Stałam przed nim i czekałam, co powie. Ze względu na jego pozycję byłam gotowa tolerować sposób, w jaki się do mnie zwracał. Nie miałam zielonego pojęcia, dlaczego wezwał mnie na spotkanie. Sądząc po jego zachowaniu, niezależnie od powodów tej decyzji nie zrobiłam na nim najlepszego wrażenia.

Asystent nachylił się nad nim i coś wyszeptał.

– Nie, nie – rzucił reżyser ze zniecierpliwieniem. Wydawało się, że to jedyna emocja, jaką potrafi wyrazić. – Mówiłem ci już, nie pozwolę, żeby Jannings cokolwiek mi narzucał. Lucie Mannheim nie pasuje do tej roli. Jest zbyt gładka, zbyt wypolerowana. Chcę sprawdzić, jak śpiewa ta tutaj.

Zastanowiły mnie te słowa. Lucie Mannheim była popularną aktorką. Nie brałby jej pod uwagę, gdyby chodziło o pierwszą z brzegu rolę. Czyżbym uczestniczyła w przesłuchaniu, które mogło stanowić przełom w mojej karierze?

Von Sternberg przeniósł na mnie wzrok.

– Fräulein? Czy może pani zaśpiewać?

Przycisnęłam dłonie do ud. Nie sądziłam, że to spotkanie w ogóle się odbędzie, więc się do niego nie przygotowałam. Nie miałam pojęcia, jaki utwór zaprezentować.

– Czy chciałby pan usłyszeć jakąś konkretną piosenkę? – zapytałam.

– Wszystko mi jedno. Pytałem, czy może pani zaśpiewać. Zakładam, że umie pani to robić? Śpiewa pani po angielsku i po niemiecku w tym przerażającym spektaklu w Berliner Theater.

Czułam do niego coraz większą antypatię.

– Owszem. Umiem śpiewać.

Przyjął moją bezczelną odpowiedź w milczeniu, po czym warknął na asystenta, nie odrywając ode mnie wzroku:

– Idź po akompaniatora. I zrób coś z jej włosami i garderobą.

Zanim zdążyłam zareagować, asystent zaciągnął mnie do ciasnego pomieszczenia, w którym jakaś niezadowolona kobieta chwyciła moje włosy i potraktowała je lokówką, mocno je zakręcając i pozostawiając w powietrzu zapach spalonych włosów. Po chwili rzuciła rozkazującym tonem:

– Rozbieraj się. – Przyniosła zwiewną czarną sukienkę, która okazała się na mnie za duża. Pociągnęłam luźny materiał, a ona cmoknęła z dezaprobatą, sięgnęła po agrafki i dokonała kilku poprawek, tak żeby strój lepiej na mnie leżał. – Dobrze. To powinno wystarczyć, o ile nie będziesz się poruszała zbyt gwałtownie.

Czekający pod drzwiami asystent odprowadził mnie do gabinetu reżysera, a stamtąd przeszliśmy korytarzem do pozbawionego okien pomieszczenia, w którym stał fortepian. Wyłożone filcem ściany miały wygłuszać dźwięki.

Von Sternberg bawił się właśnie dziwnym urządzeniem, które wyglądało jak drewniane pudło na szczudłach. Nie wytrzymałam i zapytałam:

– Co to takiego?

Reżyser spojrzał na mnie tak, jakby zdążył kompletnie zapomnieć o moim istnieniu.

– A na co wygląda? – rzucił. Uniósł jednak zasłonę przykrywającą urządzenie i pokazał mi ukrytą w środku kamerę. – W ten sposób można zredukować hałasy wewnętrzne. To konieczne w przypadku filmu dźwiękowego – wyjaśnił, wskazując wiszący pod sufitem duży mikrofon. – Zresztą dlaczego miałoby to panią interesować?

– Interesuje mnie – odparłam, oburzona jego tonem. – Herr von Sternberg, co prawda nigdy nie grałam w filmie dźwiękowym, ale bywałam już na planach filmowych. Musi pan zdawać sobie z tego sprawę. Chciał pan, żebym przyszła na zdjęcia próbne i...

– Tak, tak. Wiem o pani ogromnym doświadczeniu. Ale zastanawiam się, czy kiedykolwiek oglądała pani siebie w jednym z tych tak zwanych filmów, w których pani wystąpiła.

Czyżby znowu mnie obrażał?

– Mówiono mi, że umiem grać – odpowiedziałam. – Reżyserzy chcą ze mną pracować.

– Może i chcą z panią pracować, ale talentu aktorskiego jeszcze nie miała pani okazji zaprezentować. – Wskazał fortepian. Siedział przy nim akompaniator, równie udręczony, co wszyscy pozostali pracownicy studia filmowego, których zdążyłam poznać. Pomyślałam, że von Sternberg musi być prawdziwym tyranem, podeszłam jednak do fortepianu. Czekałam. Czekałam i czekałam,

a von Sternberg długo krążył wokół kamery, poprawiał coś i kazał asystentowi przestawiać mikrofon. Zdążyłam wypalić trzy papierosy i wypuścić z siebie kłęby dymu, zanim zawołał wreszcie: – Teraz!

Wzruszyłam ramionami, nie kryjąc frustracji, po czym zwróciłam się do akompaniatora:

– Co mam zaśpiewać?

Na tym etapie naprawdę nic mnie już nie obchodziło. To była pułapka – i najwyraźniej w nią wpadłam. Kto przesłuchiwałby aktorkę do ważnej roli, nie uprzedzając jej zawczasu, co ma robić i do czego się przygotować?

– *The Cream in my Coffee*! – ryknął von Sternberg, z głową i ramionami ukrytymi pod zasłoną kamery. Najwyraźniej, mimo wyciszenia „zewnętrznych hałasów", doskonale słyszał, co dzieje się w pomieszczeniu. – Po angielsku.

Coraz bardziej irytowało mnie jego zachowanie, nie mówiąc o tym, że nie przygotowałam się i ledwo pamiętałam słowa tej piosenki. Oparłam czwarty papieros bez filtra na pokrywie fortepianu, usunęłam resztki tytoniu z języka i zaczęłam nad wyraz śmiałe wykonanie amerykańskiego przeboju.

– Jesteś śmietanką w mojej kawie. Jesteś solą w mojej potrawce. Zawsze będę cię potrzebowała. Nie mogę bez ciebie żyć...

Przechyliłam głowę i trzepotałam rzęsami, śpiewając udawanym falsetem, niemającym nic wspólnego z ochrypłym głosem tajemniczej uwodzicielki. Wiedziałam,

że nie dostanę tej roli, i wcale mi na niej nie zależało, bo praca dla von Sternberga byłaby dla mnie udręką. Kiedy jednak akompaniator zaczął mylić nuty, zirytowałam się. Posłałam mu pełne wściekłości spojrzenie, zaciągnęłam się i strzepnęłam popiół w jego stronę, a następnie kazałam mu zacząć od nowa. Owszem, nie liczyłam na tę rolę, ale nie zamierzałam pozwolić, by robiono ze mnie idiotkę. Rozległy się dźwięki fortepianu, a ja złożyłam dłonie pod brodą w taki sposób, jak robiła to Henny Porten – i zaczęłam jeszcze raz wchodzić w dziwną rolę, którą przyjęłam na potrzeby tego występu. Byłam ciekawa, jak zareaguje na to von Sternberg, ale w tej samej chwili akompaniator z niezrozumiałych przyczyn znowu zaczął grać nieczysto. Usłyszałam chichot reżysera, który po chwili rzucił:

– Ona brzmi okropnie, zdecydowanie gorzej, niż myślałem. Jak uczennica z dzwonkiem u szyi.

Miałam tego dość.

Uderzyłam dłonią w pokrywę fortepianu i syknęłam na akompaniatora:

– Czy pan to robi celowo? Nie zna pan tej piosenki? Czy przed panem leżą nuty, czy gazeta?

Mężczyzna zerknął nerwowo na von Sternberga, który nie zareagował, ukryty do pasa pod płótnem kamery.

– Proszę zapomnieć o tej idiotycznej amerykańskiej piosence – powiedziałam. – Niech pan zagra coś niemieckiego.

Akompaniator spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Niemieckiego? – zapytał, tak jakby pierwszy raz spotkał się z taką propozycją.

– *Wer Wird Denn Weinen* – oznajmiłam.

Kiedy zaczął grać, wspięłam się na ławkę, na której siedział, a potem weszłam na fortepian, uderzając przy tym obcasem w jeden z klawiszy. Miałam nadzieję, że mikrofon von Sternberga wychwyci ten fałszywy brzdęk. Usiadłam, podwinęłam błyszczącą sukienkę wysoko nad kolano, odsłaniając nogi, położyłam dłoń na biodrze, naśladując gesty transwestytów z Das Silhouette, a następnie zaczęłam śpiewać. Von Sternberg uważał, że wypadłam jak uczennica? Już ja mu pokażę, na co mnie stać. Dam występ rodem z samych trzewi Nollendorfplatz. Obniżyłam głos, ochrypły od papierosów, które przed chwilą wypaliłam, po czym zaczęłam wyrzucać z siebie kolejne słowa tej piosenki o życiu i miłości.

Kiedy skończyłam, przeczesałam palcami wilgotne włosy – w świetle lamp zrobiło mi się gorąco – a po chwili podniosłam wzrok i zobaczyłam von Sternberga, który wynurzył się ze swojego pudła.

Stał nieruchomo i uważnie mi się przyglądał.

W tamtej chwili pomyślałam, że choć sprawiał wrażenie niegrzecznego i przemądrzałego, to był całkiem przystojny. Miał ładny nos i blisko osadzone blade oczy, wąsy opadające nad pełnymi ustami i zaczesane na bok gęste ciemne włosy ze srebrnymi nitkami. Mimo niskiego wzrostu wydawał się całkiem męski. Jego twarz nagle złagodniała,

tak jakby przed chwilą wysłuchał występu swojej ulubionej siostrzenicy.

– Wezwij Janningsa – zwrócił się do asystenta.

– Ale on... nie ma go tu – wyjąkał mężczyzna. – Ma się pojawić na planie dopiero...

– Dotarł już do Berlina, prawda? Wezwij go.

Musiałam czekać wiele godzin. Przebrałam się w swoją sukienkę i siedziałam w gabinecie, paląc papierosy. Asystent i von Sternberg gdzieś zniknęli. Zamierzałam już wyjść, przekonana, że o mnie zapomnieli, kiedy pojawili się w drzwiach w towarzystwie Emila Janningsa.

Nie widziałam Janningsa od 1923 roku, kiedy pracowaliśmy razem przy moim drugim filmie. Niedługo po zakończeniu zdjęć wyjechał do Hollywood i wszystko wskazywało na to, że dobrze mu to zrobiło. Przybrał na wadze, stał się tęgi i dostojny, a kozia bródka podkreślała jego charakterystyczny szyderczy uśmieszek. Von Sternberg kazał mi jeszcze raz zaśpiewać – po kilku papierosach brzmiałam tak, jakbym wypluwała z siebie żwir – a Jannings wzruszył ramionami i zachowywał się tak, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

– Powinniśmy zaprosić Lucie na zdjęcia próbne – oznajmił. – Tej dziewczyny nikt nie zna. Niczego nie wnosi. Skąd możemy wiedzieć, jak wypadnie?

Zamierzałam właśnie przypomnieć, że on sam doskonale mnie zna: choć odniósł sukces w Ameryce, spotykaliśmy się dawniej na przesłuchaniach i pracował już ze mną przy filmie.

Uprzedził mnie jednak von Sternberg.

– Nie szukam bezbarwnej aktorki z idealną dykcją. Chcę czegoś surowego. Nieskrępowanego i pozbawionego zahamowań. Kazałem akompaniatorowi „pomylić się” i zacząć grać nieczysto. Inne dziewczęta by się rozpłakały albo zawstydziły. A ona wpadła w gniew. Właśnie o to mi chodzi. Tego nie da się kupić. To Lola Lola.

Gwałtownie się wyprostowałam, tak wściekła, że ledwo zwróciłam uwagę na informację o tym, że dostałam rolę. Reżyser kazał akompaniatorowi celowo pomylić nuty? Czy on oszalał?

– Herr von Sternberg, pan wybaczy – odezwał się Jannings, prostując się – ale to ja mam zagrać główną rolę w tym filmie, a pan...

– A ja jestem jego reżyserem! – Von Sternberg uderzył się w pierś, wykonując gest, którego nie powstydziłyby się postaci grane przez Janningsa. – To mój film. Mój scenariusz. Moja decyzja. Paramount wypożyczył mnie UFA po to, żebym mógł go nakręcić. Nic pan dla mnie nie znaczy. Proszę się nie sprzeciwiać i nie skarżyć producentom, bo zrezygnuję i wtedy zobaczymy, co zrobicie. Czy muszę przypominać, jak wypadł pan podczas ostatniej próby przejścia na film dźwiękowy? Brzmiał pan jak zakatarzony słoń. Proszę mi wierzyć, bez trudu znajdę na pańskie miejsce dziesięciu innych aktorów.

Zapadła cisza. Cieszyłam się, że Jannings został niespodziewanie strącony z piedestału. Nagle zerknął na mnie z ukosa i mruknął:

– Uważam, że jest zbyt surowa. Skradnie film tymi swoimi nogami. Będzie pan tego żałował.

– Nie będę, jeśli wszyscy wykonają swoje zadania. – Von Sternberg przeniósł na mnie wzrok. – Fräulein Dietrich, zamierzam panią obsadzić w roli głównej. Zagra pani piosenkarkę kabaretową o imieniu Lola Lola, która doprowadza do upadku profesora Ratha. – Nie czekał na moją odpowiedź, tak jakby nie miał żadnych wątpliwości, że się zgodzę. Po chwili odwrócił się do asystenta i oznajmił: – Ona musi dostać najnowszą wersję scenariusza. Fräulein, proszę ze mną.

Ruszyłam w ślad za nim, mijając Janningsa, który skrzywił się i posłał mi niechętne spojrzenie.

– Gratuluję, Marleno – wymamrotał. – Witaj w piekle.

A więc jednak mnie pamiętał. Skinęłam zuchwale głową, ale nie zdążyłam odpowiedzieć, bo von Sternberg ryknął z korytarza:

– Proszę się pospieszyć! Jestem bardzo zajętym człowiekiem!

Wkrótce dotarliśmy do hali zdjęciowej. Stanęłam na środku, oszołomiona rozwojem wypadków. Nie wiedziałam, co powinnam czuć, ale zdawałam sobie sprawę, że oddaję się w ręce despoty. Von Sternberg kazał podać sobie drabinę, po czym wspiął się po niej i zapalił wiszące nad naszymi głowami lampy, które kompletnie mnie oślepiły.

– Proszę się nie ruszać – powiedział, kiedy uniosłam dłoń, żeby zasłonić oczy.

Odwrócił pozostałe lampy, a jedną z nich ustawił w taki sposób, żeby świeciła bezpośrednio na mnie.

– Lusterko! – wrzasnął, schodząc po drabinie. Ktoś podbiegł do niego z lusterkiem, a von Sternberg otworzył je, rozsypując odrobinę pudru, po czym zbliżył do mojej twarzy. – Widzi pani ten mały cień w kształcie motyla? Znajduje się pod pani nosem i zawsze powinien być dokładnie w tym miejscu. Pani nos jest lekko zadarty i psuje profil. Cień ma kluczowe znaczenie. Główna lampa jest teraz na idealnej wysokości.

Spojrzałam na swoje odbicie i zaczęłam powoli kręcić głową, cały czas wpatrując się przy tym w lusterko. Widziałam cień, a efekt był powalający. Światło wydłużało moje rysy, podkreślało kości policzkowe i rzeźbiło powieki, jednocześnie sprawiając, że mój nos wydawał się węższy.

– *Mein Gott* – wyszeptałam, a następnie podniosłam wzrok.

– Możesz później poprawić nos – powiedział. – Na razie wystarczy odpowiednie oświetlenie. – Uśmiechnął się, odsłaniając poplamione nikotyną zęby. – A twoje filmy, Marleno – dodał, po raz pierwszy używając mojego imienia i obracając je w ustach jak cukierek – nie pokazują prawdy. Widziałem je, są naprawdę straszne. Ty też jesteś w nich straszna. Ale mogę to zmienić. Jeśli będziesz mnie słuchała i robiła dokładnie to, co ci powiem, uczynię cię sławną.

Pokiwałam głową, oszołomiona tą zdumiewającą wiarą w moje możliwości. Jeszcze chwilę wcześniej byłam gotowa ostentacyjnie rzucić mu kartką w twarz i wybiec ze studia.

Teraz pragnęłam tylko tego, by oświetlił mnie tym magicznym światłem. Chciałam dalej rozkoszować się hipnotyczną twarzą, którą, jak się okazało, miałam.

– To bardzo ważny film – zaznaczył von Sternberg. – UFA zainwestowała niemałą sumę, żebym nakręcił go po niemiecku i po angielsku. Amerykańskie produkcje zalewają obecnie europejski rynek, a UFA musi z nimi rywalizować. Właśnie po to mnie zatrudnili. Rozumiesz? – zapytał. Po raz pierwszy dostrzegłam iskrę humoru w jego szorstkiej powierzchowności. Na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmieszek. – Jannings uważa się za gwiazdę i rzeczywiście profesor Unrat jest tytułowym bohaterem powieści. Ale mój film ma nosić tytuł *Błękitny anioł*, a Lola Lola to w nim główna postać.

Raz jeszcze pokiwałam głową. Nie potrafiłam wydusić z siebie ani słowa.

– Musisz schudnąć pięć kilogramów, zanim ruszymy ze zdjęciami w przyszłym miesiącu – dodał, kiedy asystent podbiegł do nas ze scenariuszem. – I zadbaj o to, żeby twój niemiecki stał się bardziej szorstki i chropowaty. Oczekuję, że porzucisz swoją berlińskość. Lola Lola nie jest dziewczyną z dobrego domu. Nie jest grzeczna ani wyrobiona. To dziwka, która zarabia na mężczyznach. Nie sączy szampana i nie dyskutuje o sztuce na przyjęciach. Musisz mówić tak jak ona. Naucz się jej kwestii – ale przede wszystkim stań się nią. Na wskroś. Żyj nią, oddychaj nią. Wszystko, co czujesz i co robisz, musi budować tę postać. Nic nie może stanąć ci na drodze. Dasz sobie radę? Czy

mam zaprosić na zdjęcia próbne tę nieznośną Lucie Mannheim?

– Nie. Dam... dam sobie radę. – Wzięłam od niego scenariusz. Nie potrafiłam wyjaśnić, dlaczego byłam gotowa całkowicie mu się podporządkować, choć nigdy nie pozwalałam się nikomu zdominować. Wierzyłam we wszystko, co mówił. Zrozumiałam sens tej chwili: oto nadeszła szansa, na którą tak długo czekałam. Szansa na osiągnięcie tego, o czym zawsze marzyłam.

Von Sternberg pokiwał głową.

– To na razie wszystko. Wezwę cię w przyszłym tygodniu na przymiarki do kostiumów. Będą na razie za ciasne, ale skoro twierdzisz, że dasz sobie radę, zrzucisz te dodatkowe kilogramy. Do widzenia. Muszę teraz przekonać tych idiotów z UFA, że jesteś moim ostatecznym wyborem. I powstrzymać Janningsa, zanim pobiegnie do nich na skargę. – Spojrzał na mnie z powagą. – Wierzę, że możemy im udowodnić, jak bardzo się mylą. Nie zawiedź mnie.

W drodze powrotnej do domu, siedząc w tramwaju, przeczytałam scenariusz. Przeczytałam go raz jeszcze w mieszkaniu, po czym pobiegłam do Rudiego, który właśnie spędzał wieczór z Tamarą. Heidede poszła z Mutti do ogrodu zoologicznego.

– Przeczytaj to! – zawołałam, nie kryjąc podekscytowania. – Przeczytaj i powiedz mi, czy to nie jest najwspanialsza rola, jaką kiedykolwiek mi zaproponowano.

Zanim zdążył to zrobić, Tamara wzięła ode mnie scenariusz i zasiadła na kanapie. Kiedy skończyła,

oznajmiła krótko:

– Nigdy czegoś takiego nie czytałam.

Opadłam na fotel, a nad nami zawisła chmura dymu papierosowego.

– Naprawdę tak uważasz? Nie sądzisz, że to przesadnie ordynarne? – Ogarnął mnie niepokój. – Ona jest dziwką. To może mnie przerosnąć.

Rudi zabrał się do lektury scenariusza, a Tamara uśmiechnęła się, a następnie opróżniła popielniczkę i nalała mi herbaty. Zamierzała ukroić kawałek strudla, ale uniosłam rękę i powiedziałam:

– Nie. Muszę schudnąć pięć kilo.

– Pięć? – Wyglądała na zaskoczoną. – Ile masz na to czasu?

– Miesiąc. Albo jeszcze mniej, jeśli mi się uda. – Napiłam się herbaty i zerknęłam na Rudiego, który marszczył brwi, przekładając kolejne strony. Tamara usiadła naprzeciw mnie i w milczeniu czekałyśmy na jego werdykt.

– To rola życia – oznajmił. – Ale masz rację. To również ryzyko. Ona nie budzi sympatii. Jest niemoralna, a obsesja Ratha ostatecznie go zabija. Sam nie wiem, Marleno.

– Nie wiesz? – Usiadłam na krawędzi fotela. – Ale to przecież jego, a nie jej obsesja. Profesor widzi ją w kabarecie Błękitny Anioł i kompletnie traci dla niej głowę. Lola nikogo nie udaje. To Rath rezygnuje dla niej z własnego życia.

– A ona nie daje mu nic w zamian. Profesor porzuca szkołę, uczniów, rujnuje się dla niej. Wszystko traci,

występuje u jej boku jako błazen, a na koniec Lola porzuca go dla innego mężczyzny. Rath umiera z rozpaczy. Boję się, że widzowie i cenzorzy mogą protestować. To zbyt...

– Prawdziwe? – zapytałam.

Zachichotał.

– Między innymi.

– W takim razie to jest idealne – oznajmiłam. – Chcę zagrać coś prawdziwego. Właśnie tego szukałam. Mam wrażenie, że Lola Lola przez cały ten czas na mnie czekała. Są tam też kawałki muzyczne. Widziałeś? Piosenki, które będę wykonywała w kabarecie. Nie wiem jeszcze które, ale von Sternberg robił notatki na marginesach i wspominał tam o Friedrichu Hollaenderze. To jeden z naszych najlepszych kompozytorów.

– To prawda. A ty bez dwóch zdań umiesz śpiewać i doskonale czujesz się na scenie. Ale po angielsku?

– Nauczę się. Zapiszę się na lekcje. – Zerknęłam na Tamarę, licząc na to, że doda mi otuchy. Pokiwała głową. – Poradzę sobie. Wiem, że sobie poradzę. Von Sternberg ma oko malarza, oświetlił mnie w niesamowity sposób. Mówił, że dystrybucja tej produkcji będzie bardzo szeroka. Reprezentuje Paramount. A co, jeśli film trafi też do Ameryki? To mogłoby wszystko zmienić.

– Mogłoby. – Wydawało się, że Rudi nadal ma wątpliwości, co bardzo mnie zaskoczyło. Tamara, najwyraźniej wyczuwając, że potrzebujemy chwili samotności, zebrała filiżanki i talerzyki, po czym ruszyła do kuchni.

– Co się stało? – zapytałam, siadając obok niego.

Próbował się uśmiechnąć.

– Jestem po prostu zaskoczony. Główna rola u von Sternberga, w pierwszym wyprodukowanym przez UFA filmie dźwiękowym, u boku Emila Janningsa... To po prostu niesamowite.

Dotknęłam jego dłoni.

– Jeśli tęsknisz za pracą, poproszę go, żeby cię zatrudnił. Na pewno potrzebuje profesjonalistów, a ty masz duże doświadczenie w pracy dla UFA.

– Nie. – Jego uśmiech przygasł. – Przyjąłem posadę w Terra Productions, mam pracować jako asystent scenarzysty przy trzech filmach. Tamara może się zajmować Heidede – dodał, studząc mój entuzjazm. – Nie dostanę zbyt dużego wynagrodzenia, ale muszę zacząć robić coś poza sprzedażą gołębi.

– Robisz. Wychowujesz naszą córkę po to, żebym mogła pracować. – Euforia związana z tym, co się wydarzyło, sprawiła, że spojrzałam na niego łaskawiej. Nigdy nie potrafiłam zbyt długo gniewać się na Rudiego.

– Mówiłem o tym, co później. Kiedy już wyjedziesz.

– Wyjadę? Nie zaczęłam jeszcze filmu.

– Nie, ale tak się stanie. Zawsze to wiedziałem. – Pochylił się w moją stronę i mnie pocałował. – Von Sternberg nie jest głupi – wymamrotał, przyciskając usta do moich ust. – Widzi po prostu to, co ja widziałem od samego początku.

Odwzajemniłam jego pocałunek.

To była najmilsza rzecz, jaką kiedykolwiek od niego usłyszałam.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przeszłam na ścisłą dietę. Ćwiczyłam tak dużo i jadłam tak mało, że prawie mdlałam, siedząc nad niewielkimi posiłkami składającymi się z chudego kurczaka i marchewki na parze, bez dodatku jakiegokolwiek chleba, masła czy ziemniaków. Wróciłam też do lekcji angielskiego, zdeterminowana, by udoskonalić swoją znajomość tego języka. W chwili, gdy ponownie pojawiłam się w studio filmowym, żeby wziąć udział w przymiarkach, czułam się smukła i buzował we mnie entuzjazm, który utrzymywał się do czasu, gdy Resi – sprawna, ale też mocno zmęczona życiem kostiumografka, którą von Sternberg najwyraźniej zadręczał podobnie jak wszystkich pozostałych pracowników – zaprezentowała mi stroje Loli.

Spojrzałam na nie z niedowierzaniem.

– Koraliki i cekiny? Nakrycia głowy z piórami? Przecież ona jest prostą tancerką kabaretową. Tak mówił reżyser. W takich strojach będzie wyglądała jak bogata dziedziczka.

– Herr von Sternberg sam wybrał te kostiumy. Bardzo dokładnie opisał, czego szuka – odparła Resi, pociągając nosem. – Może bohaterka jest prostą tancerką, ale ceni sobie elegancję. Proszę, pospieszmy się. Muszę dziś dobrać stroje dla całej obsady. Gdyby mogła się pani rozebrać i to przymierzyć...

– Nie – zaprotestowałam. – Gdzie on jest?

– Nie? – Spojrzała na mnie tak, jakby nigdy wcześniej nie słyszała tego słowa.

– Chcę się z nim zobaczyć. – Odwzajemniłam jej spojrzenie. – Nic się tu nie zgadza. Gdybym wiedziała, włożyłabym swoje kostiumy z Berliner Theater. Loli nie stać na takie świecidełka. Ona musi się ubierać jak... jak... – Zamilkłam. Nie zastanawiałam się do tej pory, jaki strój powinnam nosić, bo uznałam, że zajmą się tym von Sternberg i jego specjaliści.

– Tak? – Resi spojrzała na mnie protekcjonalnie, tak jakby chciała powiedzieć, że jest bardziej doświadczona i zależy jej na zachowaniu tej pracy, w związku z czym nie ma cierpliwości do początkujących, kapryśnych aktorek. – Proszę mnie oświecić, Fräulein Dietrich. Skoro poznała pani Herr von Sternberga, zapewne zechce pani najpierw podzielić się swoimi preferencjami ze mną, a dopiero później poinformować naszego reżysera.

– Nie wiem – odparłam. Zabolał mnie jej wyniosły ton. – Ale nic tu się nie zgadza.

– W takim razie musi pani koniecznie zaczekać na Herr von Sternberga. Miał dziś rano spotkanie w siedzibie UFA, ale powinien wrócić na plan po południu. Czy życzy sobie pani krzesło?

Mówiła tak, jakby z góry cieszyła się na zbliżającą się konfrontację. Zdałam sobie sprawę, że powinnam przygotować własne pomysły. Nie tylko pomysły. Sięgając po płaszcz i torebkę, postanowiłam, że powinnam również przygotować same kostiumy.

Wiedziałam, gdzie ich szukać.

Wróciłam do miasta i odwiedziłam Rudiego. Był akurat na dachu i zajmował się gołębiami. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, widząc go w garniturze i narzuconym na niego fartuchu. Tylko Rudi mógł karmić ptaki, mając na sobie marynarkę, koszulę i onyksowe spinki do mankietów.

– Marleno. – Spojrzał na mnie z niepokojem. – Wróciłaś tak szybko? Jak poszły przymiarki? Na pewno dobrze, skoro potrwały tylko... – zerknął na zegarek – niecałą godzinę.

– Czy mój kufer ze strojami z teatru stoi nadal w szafie? – zapytałam.

Pokiwał głową.

– Jest w nim wszystko, czego zapomniałaś oddać w poprzednich miejscach pracy. Potrzebujesz pomocy? Zamierzałem wybrać się z Heidede do parku, ale jeśli chcesz, zostanę.

– Dam sobie radę. – Odwróciłam się i ruszyłam przed siebie, ale po chwili przystanęłam i zerknęłam przez ramię. – Strasznie cuchną, wiesz? Te twoje gołębie. Śmierdzi tu jak w gospodarstwie.

– Tak, no cóż. To tylko jedzenie. – Machnął na mnie. – Idź już. Widzę, że się spieszysz.

– Gdybyś tylko widział, co von Sternberg każe mi nosić... – Zadrżałam z wściekłości.

Rudi wrócił do ptaków, a ja zeszłam na dół i wyciągnęłam z szafy kufer wypełniony po brzegi rzeczami, które zwędziłam z teatrów i planów filmowych, na których pracowałam, chcąc uzupełnić własną garderobę.

Heidede z radością dołączyła do moich poszukiwań. Piszczała z radości, kiedy wyrzucałam z kufra futra, szale, zwiewne sukienki, pelerynki, satynowe buty, eleganckie kapelusze, a nawet lornetkę, której używałam na planie *Tragedii miłości*. Wszystkie te stroje były niezwykłe, idealne na wieczory i upojne noce w Berlinie, ale ja wolałam męską garderobę – spodnie i wytworne marynarki. Damskie ubrania wymagały dokładnego dobierania i ogromnej uwagi, a co gorsza, były zbyt lekkie jak na nasze trudne do przewidzenia warunki pogodowe: ulewne deszcze i porywiste wiatry.

Kiedy już wyrzuciłam wszystko na łóżko i na podłogę, a moja córka zaczęła tarzać się w ubraniach jak w mące, Tamara wybuchnęła śmiechem, a ja westchnęłam.

– Te rzeczy też się nie nadają – oznajmiłam, patrząc na kochankę mojego męża. – Są zbyt eleganckie. Lola Lola nie zna się na modzie. Jest...

– Tak, wiem, kim jest – przerwała mi cicho Tamara, dyskretnie wskazując Heidede, która podniosła się i spojrzała na nas z zaciekawieniem typowym dla pięciolatki.

– Kim ona jest, Mutti? – zapytała moja córka, a ja z zachwytem przyjęłam słowo, którym się do mnie zwróciła.

– Niegrzeczną dziewczynką – wyjaśniłam. – Tak jak ty. – Rzuciłam się na nią, chwytając za pulchny brzuszek i obsypując ją pocałunkami, a potem łaskotałam tak długo, aż zaczęła piszczeć.

Po pewnym czasie w drzwiach pokoju pojawił się Rudi. Zdążył już zdjąć fartuch i wyglądał tak, jakby właśnie wrócił z eleganckiego spotkania przy koniaku.

– Nie tego szukałaś?

– Niestety. Potrzebuję czegoś tandetnego. Potrzebuję... – Nagle dotarło do mnie, co powinnam zrobić. – Musisz mnie dziś wieczorem zawieźć na Nollendorfplatz.

– Tak? – zapytał ze zdziwieniem. – A dlaczego?

– Potrzebuję twojego samochodu. Chodzi o Lolę Lolę. Muszę znaleźć dla niej strój. W Das Silhouette.

„Dziewczęta" były zachwycone moim powrotem. Nie widywały mnie od dłuższego czasu – od incydentu z członkami NSDAP, których spotkałyśmy z Leni. Od kiedy zdobyłam rolę w *Zwei Krawatten*, nasza przyjaźń mocno się ochłodziła, Leni twierdziła bowiem, że ukradłam jej rolę, ponieważ odsłoniłam nogi na przesłuchaniu. Wyjazd Anny May, która wyruszyła kręcić film w Londynie, ostatecznie zakończył erę Sióstr na Mieście. Transwestyci inaczej jednak odmierzali czas. Pozostawali lojalni nawet podczas czyjejś nieobecności – o ile odwzajemniało im się tym samym. Kiedy wyjaśniłam, czego potrzebuję, zaciągnęli mnie za kulisy i zaczęli pokazywać swoje ubrania.

– Co sądzisz o tych lamowanych mankietach? – zapytał jeden z nich. – Mówiłaś, że noszenie ich bez odpowiednio dopasowanych rękawiczek nie ma sensu, ale może w jej przypadku się sprawdzą?

– Idealnie. – Wyciągnęłam dużą płócienną torbę, którą ze sobą przyniosłam. Zostawiłam Rudiego przy barze, gdzie

najwyraźniej rozkoszował się dawną atmosferą tego miejsca. – A czyje jest to kimono?

– Moje, *Liebchen*. I bardzo je lubię – powiedziała Yvette Sans-Souci. Regularnie występowała w klubie i była obdarzona najwspanialszym barytonem i najbardziej gładkimi nogami, jakie kiedykolwiek widziałam u mężczyzny. Musi je codziennie depilować woskiem, pomyślałam, posyłając Yvette błagalne spojrzenie. – No dobrze. Ale chcę je odzyskać. Mówię poważnie. Wiem, jak to z tobą jest: „Yvette, kochanie, czy mogę to pożyczyć?". A potem nigdy więcej nie zobaczę swoich ubrań. Pamiętasz, jak zabrałaś mi tamte beżowe rękawiczki, kiedy przyszłaś tu z przyjaciółmi, a własne poplamiłaś? Ciekawe, co się z nimi stało.

– Obiecuję, że ci je oddam. – Pochyliłam się nad kufrem wypełnionym po brzegi najbardziej znoszonymi i kiczowatymi strojami, jakie mogłam sobie wyobrazić. Nikt poza transwestytami nie mógłby wyglądać w nich uwodzicielsko. – Och. – Sięgnęłam po parę ogromnych majtek. – Pamiętam je. – Mrugnęłam do Yvette. – Kiedy przyszłam tu po raz pierwszy, wieki temu, chłopcy biegali w nich, z narzuconymi na to różowymi peniuarami.

Dziewczęta spojrzały na siebie znacząco.

– Królowe dildo – oznajmiła Yvette. – Co za dziwki.

– Lola Lola mogłaby je nosić. – Wrzuciłam majtki do torby. – Jest dziwką.

– Oczywiście – powiedziała Yvette. – Wszystkie kobiety w filmach von Sternberga są dziwkami. On nienawidzi

kobiet.

– Naprawdę?

– Och, tak. Nie oglądałaś jego filmów? Gardzi kobietami. Pewnie dlatego, że jest taki niski. Mały kutas, te sprawy.

– Ja bym go przeleciała – wtrąciła się bardzo szczupła i nerwowa pomocnica Yvette, wyglądająca tak, jakby była uzależniona od wszystkich pojawiających się na rynku używek. – Za rolę w jego filmie. Przespałabym się z nim i z resztą obsady.

Yvette spojrzała na mnie badawczo spod mocno umalowanych tuszem rzęs.

– Zrobiłaś to?

Pogroziłam jej palcem.

– Chciałabyś wiedzieć, co? No dobrze, czy przychodzi wam do głowy jeszcze coś, czego mogłabym użyć? Nie potrzebuję butów, mam ich mnóstwo, a wasze stopy są zdecydowanie za duże.

– *Liebchen*, ogołocisz nas ze wszystkiego – oznajmiła Yvette, przeciągając samogłoski. – Czego jeszcze potrzebujesz? To piosenkarka z kabaretu. Radzi sobie z tym, co ma. Chociaż z drugiej strony – dodała, uważnie mi się przyglądając – możesz dać jej też coś od siebie.

– To znaczy? – zapytałam z zaciekawieniem.

Yvette uśmiechnęła się znacząco.

– Coś wymyślisz. Zawsze wiedziałaś, jak zadowolić klienta.

Nazajutrz Rudi zawiózł mnie do studia, a von Sternberg oprowadził go uprzejmie po planie, starając się ukryć

wściekłość związaną z moim niespodziewanym wyjściem z przymiarek. W końcu jednak nie wytrzymał, zmierzył mnie wzrokiem i zauważył:

– Słyszałem, że nie podobały ci się nasze kostiumy.

– Uważam, że są bardzo ładne, ale zdecydowanie... – Straciłam całą pewność siebie, którą czułam poprzedniego wieczoru w Das Silhouette. Reżyser patrzył na mnie z nienawiścią, tak jakby zamierzał za chwilę powiedzieć, że nie wie, za kogo się uważam, ale postanowił wypatroszyć mnie na obiad.

Nagle odezwał się Rudi:

– Herr von Sternberg, musi pan wiedzieć, że Marlena często wybierała własne kostiumy. Ma doskonałe wyczucie i bardzo ciężko pracowała, żeby przygotować się do roli. Może da pan jej chwilę i pozwoli pokazać, co chce zaproponować? Przekonałem się już, że na Marlenę łatwiej się patrzy, niż się jej słucha.

Von Sternberg zmarszczył brwi i spojrzał na mojego męża ze zdziwieniem. Rudi był trzydzieści centymetrów wyższy od niego i wyglądał nienagannie w szarym flanelowym garniturze. Przypomniałam sobie słowa Yvette: „On nienawidzi kobiet”. Zastanawiałam się, czy może też nienawidzić niektórych mężczyzn. Rudi wydawał się jego całkowitym przeciwieństwem – przynajmniej z wyglądu.

– Doskonale – powiedział reżyser kąśliwym tonem.

Sięgnęłam po torbę, weszłam za stos skrzynek z rekwizytami, a następnie zdjęłam spodnie oraz płaszcz i włożyłam sprane majtki, bluzkę bez rękawów, poszarpane

pończochy i białe buty na niskim obcasie, które oblałam wcześniej winem i podrapałam papierem ściernym, żeby wyglądały na bardziej znoszone. W ostatniej chwili dodałam do tego swój jedwabny cylinder. „Coś od siebie” – sugerowała Yvette. Cóż mogłam znaleźć lepszego od rekwizytu, którego zawsze używałam w kabaretach?

Wyszłam zza skrzynek i zaczęłam się powoli przechadzać, wypychając biodra do przodu, tak jak to robili znajomi transwestyci. Po chwili zerknęłam na Rudiego, który uśmiechnął się do mnie, starając się dodać mi otuchy. Wreszcie stanęłam, czekając na werdykt.

Von Sternberg odezwał się dopiero po pewnym czasie.

– Rozumiem.

Położyłam dłoń na biodrze.

– Jest uboga. Nie stać jej na nowe ubrania, dlatego pomyślałam...

– Tak. – Nie mogłam odczytać wyrazu jego twarzy. Stanął do mnie plecami. – Ma pan rację – zwrócił się do Rudiego. – Ma niezawodny instynkt. Dlatego ją zatrudniłem. Zje pan ze mną obiad, Herr Sieber? Sądzę, że najwyższy czas, żebyśmy się lepiej poznali.

Wyszli, zostawiając mnie na środku pomieszczenia w stroju Loli Loli.

Wiedziałam, że Von Sternberg prawdopodobnie nigdy nie przyzna się do porażki – ale mimo to odniosłam zwycięstwo.

ROZDZIAŁ TRZECI

Fantazjuje o niej w tajemnicy każdy mężczyzna. Ma na sobie niebieski jedwabny cylinder, czarną sukienkę bez rękawów, z rozcięciem, przez które widać dziewczęce majtki, na jej szyi wisi złota chustka zdobiona cekinami, a podwiązki podtrzymują wysokie pończochy opinające się na udach. Jest tak soczysta, wolna i nieskrępowana, że widzowie czekają z zapartym tchem, aż pęknie któraś z podwiązek. Trzymając ręce na biodrach, idzie sprężystym krokiem przez scenę, zupełnie inna od swoich towarzyszek – zbyt mocno umalowanych kobiet w falbaniastych sukienkach. Po chwili daje znak jednej z nich, siedzącej nieopodal na beczce – ta zaś posyła jej wściekłe, pełne urazy spojrzenie i ustępuje miejsca.

Lola Lola zasiada, a wypchana mewa kołysze się na drucie u jej boku. Unosi nogę i otacza kolano rękoma, odchyla się do tyłu i nuci ochrypłym głosem: „Znowu się zakochałam. Nigdy tego nie chciałam. Co ma zrobić zwykła dziewczyna? Nic na to nie poradzę...”.

Śpiewając, zerka w górę, w stronę balkonu, na którym wiszą koła ratunkowe. Siedzi tam profesor Rath, mimowolny gość honorowy, składający pulchne dłonie w modlitewnym geście. Obok niego stoi syrena z nagimi piersiami, a tymczasem druga syrena występująca na scenie ukradkiem się uśmiecha, tak jakby wyczuwała

narastającą erekcję, tak jakby go przyzywała, obiecywała, kusiła...

– Popraw majtki! – ryknął von Sternberg. – Widzę twoją szparkę.

Siedzący na balkonie Jannings głośno zarechotał.

– Ja też ją widzę, chociaż jestem naprawdę daleko.

Szybko zacisnęłam uda, niemal spadając przy tym z beczki. Kiedy von Sternberg wynurzył się z pudła z kamerą, spojrzałam na niego przepraszająco i wyjaśniłam:

– To przez tę bieliznę. Strasznie się rozciąga. To już nasze setne ujęcie i...

– Sto pierwsze – przerwał mi. – Jeszcze raz. I spróbuj tym razem pamiętać, że cenzorzy nie będą zachwyceni widokiem twojego owłosienia łonowego, choć tak bardzo chcesz je zaprezentować.

Starałam się nie patrzeć na zgromadzoną z boku resztę obsady. Wszyscy rechotali. Stali tam również Leni i jej nowy przyjaciel, reżyser Arnold Fanck. „Odkrył” ją i uczynił bohaterką swoich patetycznych filmów górskich. Koniecznie chciała odwiedzić mnie na planie, a teraz przyglądała się wszystkiemu z uwagą, zachwycona upokorzeniem, które mnie spotkało. Oczywiście sama marzyła o mojej roli. Zadzwoniła, gdy tylko dowiedziała się, że ją dostałam – choć nie rozmawiałyśmy od miesięcy. Według niej o tę rolę walczyła każda aktorka w Berlinie.

– Lucie Mannheim się rozchorowała – wyjaśniła. – Musiała wyjechać do sanatorium. Von Sternberg obiecał jej, że zagra w tej produkcji, więc poznała go z Höllaenderem.

Ale ostatecznie reżyser zatrudnił tylko kompozytora. Wszyscy się zastanawiają, co zrobiłaś, żeby wystąpić w tym filmie, skoro nie udało się to nawet komuś tak znanemu jak Lucie.

– Nic – odpowiedziałam. – Nie miałam nawet pojęcia, do jakiej produkcji chce mnie zatrudnić.

– Marleno, daj spokój. Coś musiałaś zrobić. On jest przecież Żydem.

Rzuciłam słuchawką. Leni zdołała jednak zdobyć zaproszenie na plan i przyszła w towarzystwie swojego reżysera. Zresztą pojawiali się na nim wszyscy, którzy cokolwiek znaczyli w Berlinie. Narastało podekscytowanie i zniecierpliwienie. UFA reklamowała już film na szeroką skalę, obawiając się skutków dramatycznego krachu na amerykańskiej giełdzie. Tak zwany czarny wtorek sprawił, że całe kierownictwo studia wpadło w panikę. Von Sternberg musiał ściśle trzymać się harmonogramu i jeszcze ściślej przestrzegać budżetu. UFA miała płacić karne odsetki za każdy dzień opóźnienia. Kiedy zjawiły się, jak ich określał, szczury z UFA, żeby powiedzieć mu, że powinien przyspieszyć, ryknął tak głośno, że usłyszeli go wszyscy na planie.

– Nie pozwolę, żeby ograniczały mnie takie bzdury! Ten film musi być kręcony po kolei, po niemiecku, a potem po angielsku. Potrzebuję spokoju, żeby zrealizować swoją wizję!

Szczury na to przystały. Nie miały wyboru. Zainwestowały w tę produkcję trzysta sześćdziesiąt tysięcy dolarów – był to

największy budżet w historii niemieckiego kina. Moje wynagrodzenie wynosiło dwadzieścia tysięcy marek, zaledwie jedną dziesiątą tego, co otrzymał Jannings – ale nie skupiałam się na kwestiach finansowych. Wiedziałam, że von Sternberg chce mi dać dużo więcej, że wściekłość i obelgi tylko go stymulują.

Przekonałam się, że gniew leżał w jego naturze. Dusił go w sobie. Stanowił dziedzictwo trudnej przeszłości, o której opowiedział nam z Rudim podczas kolacji – często dołączał do nas po długich dniach na planie, jak zagubiona dusza szukająca schronienia. Był wściekły na swojego ojca, który bił go i zaniedbywał. Był wściekły z powodu nędzy i niedostatku, z którymi mierzył się w dzieciństwie i które zahamowały jego wzrost. Był wściekły, ponieważ w młodości wyjechał do Ameryki, gdzie musiał wykonywać upokarzające prace i asystować reżyserom, których uważał za niegodnych mycia podłóg. Ale przede wszystkim był wściekły na siebie – za to, że wiecznie pragnął więcej, niż miał.

Rozumiałam go. Uważałam von Sternberga za geniusza. Za cel postawiłam sobie przyniesienie mu pociechy, przewidywanie wszystkiego, czego mógłby potrzebować – od gulaszu, który jadaliśmy między kolejnymi ujęciami, aż po nowe ołówki, którymi bez przerwy kreślił po scenariuszu i wprowadzał poprawki; od filiżanek gorącej kawy mającej postawić go na nogi aż po nieuchronną propozycję pójścia z nim do łóżka.

Wiedziałam, że ta chwila się zbliża. Ilekroć jadał z nami kolację, a ja z radością przyrządzałam jego ulubione danie – kotlety schabowe z kapustą kiszoną – czułam na sobie jego wzrok. Śledził każdy mój ruch z taką uwagą, że nawet Rudi wziął mnie w pewnej chwili na stronę i szepnął:

– On się w tobie zakochał, Marleno.

– Nonsens. – Zerknęłam przez ramię Rudiego w stronę kanapy, na której siedział von Sternberg. Rozmawiał z Tamarą, a zafascynowana Heidede bawiła się jego rękawiczkami. – Jest samotny. Jego żona wróciła do Ameryki. Kręci ważny film i prowadzi nieustanne walki z UFA. Ciąży na nim ogromna presja. Poza tym wiesz, jakie zauroczenia rodzą się na planie filmowym i jak się zwykle kończą, kiedy kończą się zdjęcia.

– Może w jakimś stopniu masz rację – odpowiedział Rudi. – Ale chodzi też o coś zdecydowanie głębszego i mroczniejszego. Bądź ostrożna. Dręczą go koszmary i obsesje. Bardzo go lubię, nie znam drugiego takiego reżysera. Ale uważam go też za szaleńca.

– Niektórzy mogliby to samo powiedzieć o tobie i twoich gołębiach – odparłam z uśmiechem.

Jeszcze tej samej nocy, kiedy odprowadzałam von Sternberga na Stadtbahn – wolał jeździć do i z hotelu koleją, tłumacząc, że pozwala mu to obcować ze zwykłymi ludźmi zajmującymi się zwykłymi sprawami – chwycił mnie nagle za rękę.

– Muszę cię mieć. Nie mogę dłużej czekać.

Roześmiałabym się, słysząc tę banalną deklarację niepasującą do siejącego postrach dyktatora ze studia filmowego, on jednak ścisnął moją dłoń tak mocno, że poczułam ból.

– Przestań. – Wyrwałam rękę. – Pracujemy razem. Nie warto ryzykować relacji zawodowej dla...

– Czy kiedykolwiek cię to obchodziło? Wiem o wszystkim – syknął. – Wiem, że kiedy ktoś ci się podoba, nie zwracasz uwagi na takie sprawy. A może chodzi o mnie? – Na jego twarzy pojawiła się wściekłość. – Nie jestem dla ciebie dość dobry? Zbyt niski i za brzydki jak dla wyrafinowanej berlińskiej damy, która musi co wieczór ćwiczyć kwestie przed lustrem, żeby brzmieć jak dziwka?

Znieruchomiałam. Jego słowa przypomniały mi o sposobie, w jaki opisała go Yvette. W tym jesiennym wieczornym świetle nie widziałam przed sobą wielkiego mistrza, którego hołubiłam na planie filmowym i którego szaleńcze wrzaski cierpliwie znosiłam. Zobaczyłam dziwnego, udręczonego człowieczka, nękanego – jak to określił Rudi – przez koszmary i obsesje.

– Tylko raz – powiedziałam. – Nie zostanę twoją kochanką. Tylko ten jeden raz.

– Tylko tego jednego razu pragnę – odparł.

Był zaciekłym kochankiem, na tyle świadomym swojego wątłego, niepozornego ciała, bladej, owłosionej klatki piersiowej i wygiętych ud, że poruszał się jak akrobata. Kiedy rzucił się na mnie z fascynacją i pożądaniem, czułam cierpienie w jego dłoniach poety, w drapaniu jego wąsów

o moje rozłożone uda i w gwałtownych ruchach krótkiego penisa, wbijającego się we mnie niczym w akcie zemsty.

– Jesteś moją muzą – wyszeptał, kiedy już było po wszystkim. – Moją Kirke. Nie zdradzisz mnie. Nigdy mnie nie rozczarujesz. Jesteś dla mnie wszystkim.

W tamtej chwili zrozumiałam, że nie czuł do kobiet nienawiści. Czcił nas i wynosił na ołtarze jak pokutnik.

Josef von Sternberg chciał mnie kształtować i formować zgodnie z własnymi wyobrażeniami, ale wkrótce przekonałam się, że mogę mieć na niego podobny wpływ.

W miarę jak posuwały się prace nad filmem, narastała niechęć, jaką darzył mnie Emil Jannings. Stopniowo przestał ukrywać swoją nienawiść. Przez zaledwie trzy miesiące, od 4 listopada 1929 do 30 stycznia 1930 roku – w tym czasie skończyliśmy *Błękitnego anioła* – stał się moim śmiertelnym wrogiem. W przeciwieństwie do mnie panicznie bał się mikrofonu. Kres jego kariery w Ameryce wiązał się właśnie z nadejściem filmu dźwiękowego. Czuł się niepewnie i drżał, ilekroć von Sternberg gromił go za wypowiadanie kwestii „jak Hitler siedzący w wannie”. I choć wcielał się w purytańskiego profesora, rzuconego na kolana przez Lolę Lolę, a jego nazwisko znajdowało się na pierwszym miejscu na afiszach – Jannings widział, że on również został rzucony na kolana. Przeze mnie.

Von Sternberg nalegał na kręcenie długich ujęć w porządku chronologicznym. Często przerywał, żeby zmienić oświetlenie, wypróbować inny kąt ustawienia kamery albo poprawić mi kostium – robił wszystko, żebym

wypadła jak najkorzystniej. Co gorsza, ilekroć wychodziłam na scenę, żeby wykonać swoje kabaretowe numery, żądał absolutnej ciszy i obserwował mnie tak, jak Rath obserwuje Lolę, w nadziei, że dowie się o niej czegoś więcej, choć nie może się już nic dowiedzieć. Moja bohaterka wydaje się tajemnicza tylko dlatego, że niczego nie ukrywa. Żyje w teraźniejszości. Jest zdziczałym pożądaniem, ulotnym i okrutnym, ukradkowym szarpnięciem na zapleczu, bezceremonialną wymianą gotówki. Nie musi być rozumiana. Po tym, jak zdesperowany Rath próbuje ją udusić, a Lola śmieje mu się w twarz, profesor wraca do swojej opuszczonej sali lekcyjnej i tam pogrąża się w rozpaczy. Lola tymczasem siada okrakiem na krześle, w cylindrze na głowie, samotna na scenie, bezczelna w swojej niezależności – i śpiewa o tym, że musi się znowu zakochać, że nie może nic na to poradzić.

Kiedy doszliśmy do sceny, w której Rath atakuje Lolę, Jannings wymamrotał pod nosem: „Zabiję ją”, po czym rzucił się na mnie i zacisnął ręce na mojej szyi tak mocno, że nie mogłam oddychać. Jego palce pozostawiły siniaki, które musieliśmy zamaskować specjalnym makijażem, ponieważ powtarzaliśmy tę samą scenę po angielsku. Wybaczyłam mu, bo widziałam rozpacz i desperację w jego oczach. To była rola jego życia: podobnie jak postać, którą grał, czuł się bezradny w obliczu mojego triumfu.

W domu kompletnie się jednak załamałam.

– Von Sternberg jest potworem! – zawołałam. – Pozwoliłby mi zginąć, byle tylko zrealizować swoją wizję. Celowo

dręczy Janningsa: prowokuje go, żeby ożywić sceny z naszym udziałem.

– Ostrzegałem cię – powiedział Rudi. Tamara przyłożyła mi tymczasem okład do czoła, a następnie poczęstowała mnie herbatą i ciastem. Ponieważ głodziłam się, żeby spełnić wymogi von Sternberga, udało mi się zrzucić więcej niż pięć kilogramów. – Nie szanuje aktorów. Słynie z tego. W Ameryce reżyserował film z gwiazdą Paramountu, Williamem Powellem. Po zakończeniu zdjęć Powell zażądał dopisania do swojego kontraktu klauzuli, która gwarantowałaby, że nigdy więcej nie będzie z nim pracował.

Pomyślałam, że William Powell jest głupcem. Nie podobało mi się, że von Sternberg traktuje nas jak swoją własność, pomiata nami i wrzeszczy, a potem każe powtarzać ujęcie po ujęciu tak długo, aż chce się wyć z rozpaczy. Czułam jednak to, co czuł Jannings: czar, który roztaczał von Sternberg, iluzję, która musiała zachwycić i urzec publiczność.

Bezgranicznie mu ufałam. Wiedziałam, że może zrobić ze mnie gwiazdę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Propozycja pojawiła się niedługo przed zakończeniem prac nad filmem. Siedziałam właśnie w garderobie – niewiarygodnie ciasnej klitce – kiedy do drzwi zapukał von Sternberg.

– Paramount chce podpisać z tobą kontrakt na dwa kolejne filmy – oznajmił, uśmiechając się szyderczo. – Szczury mają widocznie szpiegów na planie. Przesłali do Hollywood telegram i powiadomili przedstawicieli wytwórni, że jesteś sensacją, godną rywalką Garbo. – Spojrzał na mnie z ukosa. – Zakładam, że się zgodzisz. Pewnie oszalejesz z radości na myśl o tym, że mogłabyś ją zdetronizować.

– Od kiedy Garbo jest moją rywalką? – zapytałam. Nie zamierzałam połknąć haczyka, choć miałam ochotę krzyczeć z radości. – Oczywiście, że przyjmę tę propozycję. O ile wyreżyserujesz te filmy.

Mruknął, udając obojętność, choć doskonale wiedziałam, że było mu do niej daleko.

– Mogę o to zapytać. I tak muszę w końcu wrócić do tego przeklętego miasta, a nie mam żadnych konkretnych planów. Dlaczego nie?

Agent Paramountu w Berlinie przygotował mój kontrakt. UFA zaczęła jednak mnożyć przeszkody. Ponieważ miałam z nimi podpisaną umowę, żądali, żeby Paramount zapłacił za jej wcześniejsze zerwanie. Von Sternberg nie

uczestniczył w tych negocjacjach. Przekroczył budżet i skończył mu się czas, więc wyjechał do Ameryki jeszcze przed zakończeniem końcowego montażu. Jannings był przerażony i zbulwersowany tą decyzją. Ja nie. Wiedziałam, że magia von Sternberga pozostała na taśmie filmowej. Nasz reżyser miał już dość.

Znudził się *Błękitnym aniołem*.

Zespół montażystów rozpoczął pracę nad wersją dla cenzorów, a ja tymczasem spakowałam torbę i opuściłam plan. Świat, który wyznaczał całą moją egzystencję, w którym narodziłam się na nowo jako kobieta – nagle opustoszał, a echa do niedawna realizowanej tu tyranii ostatecznie zamilkły.

Został niecały miesiąc do premiery filmu – i do mojego wyjazdu do Hollywood.

Biała suknia. Białe norki. Blada skóra i platynowe włosy. Szmaragdowa bransoletka i pasujący do niej naszyjnik, taki jak ten, który podziwiałam wiele lat wcześniej – prezenty od wujka Williego, który chciał w ten sposób uczcić mój sukces.

Szmaragdy były oczywiście sztuczne, ale nie miało to żadnego znaczenia. Kiedy wywołano nas na scenę, zstąpiłam na nią jak bogini. Wręczono mi bukiet róż, a widzowie zaczęli szaleńczo klaskać.

Błękitny anioł okazał się hitem.

Udało nam się pokonać cenzorów, którzy służalczo realizowali zasady moralnej poprawności narzucanej przez władze, z obrzydzeniem odrzucając dawną dekadencję.

Zaniepokojeni kierownicy UFA postanowili jednak dodać fragment utworu Beethovena w miejscu, w którym w absolutnej ciszy dochodzi do ostatecznego upadku Ratha. W filmie nie było ani jednego klasycznego elementu i wiedziałam, że von Sternberg wpadnie w szał, kiedy dowie się o tej ingerencji – był to jednak niewiele znaczący epizod w obliczu faktu, że produkcja odniosła tak ogromny sukces.

Moje nazwisko stało się naprawdę głośne. Zanim jeszcze zdążyłam opuścić teatr Gloria-Palast przy Kurfürstendamm – bulwarze, który w przeszłości rozbudzał moje marzenia i ambicje – UFA błagała, żebym została w Berlinie i podpisała nowy kontrakt. Przedstawiciele wytwórni byli gotowi przyjąć każde zaproponowane przeze mnie warunki.

Otaczali mnie dziennikarze, oślepiał blask fleszy, a wielbiciele polujący na autografy napierali na kordon, który oddzielał ich od czekającego na mnie samochodu.

Pojechałam do domu wujka Williego, gdzie zorganizowano przyjęcie na moją cześć. Rudi nie mógł w nim uczestniczyć, bo musiał wyjechać służbowo do Monachium, ale przysłał mi telegram z gratulacjami, a Tamara zjawiła się zamiast niego. Wyglądała ślicznie i miała na sobie różową satynową suknię. Towarzyszyła jej zaspana, naburmuszona Heidede, która miała we włosach ogromną kokardę. Od razu rozpoznałam rękę Mutti i natychmiast zdjęłam tę ozdobę, bo przypominała mi moje szkolne lata w Schönebergu.

– Wyjeżdżam tylko na sześć miesięcy – powiedziałam Heidede, otaczając dłońmi jej brodę. – Wiem, że będziesz za

mną tęskniła, ale szybko wrócę, kochanie.

– Nie będę za tobą tęskniła – odparła. – Mutti mówi, że wyjeżdżasz tylko po to, żeby przypodobać się karłowi z manią wielkości. – Znieruchomiałam. Nie mogłam uwierzyć, że słyszę takie słowa z ust mojej ukochanej sześciolatki. Heidede odwróciła się i ukryła twarz w fałdach sukni Tamary.

– Jest po prostu zmęczona – wyjaśniła Tamara. – Miałam dziś przesłuchanie, więc Josephine zabrała ją ze sobą do pracy i... – Westchnęła. – Przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

Fakt, że Heidede przytoczyła pełne jadu słowa mojej matki, wprawił mnie w kompletne osłupienie. Radość z premiery i propozycji wyjazdu do Hollywood przyćmiły nagle wątpliwości. Czy dobrze robiłam, zostawiając dziecko i rodzinę? Czy słusznie zdecydowałam się wyjechać do obcego kraju?

– Może powinnam zostać – wyszeptałam. – UFA złożyła mi ofertę. Mogłabym tu dalej pracować.

Tamara potrząsnęła głową.

– Musisz jechać. Jak mogłabyś odrzucić taką propozycję? Hollywood jest ci pisane. Von Sternberg się tobą zaopiekuje.

Nie byłam co do tego przekonana. Owszem, wiedziałam, że von Sternberg zadba o rozwój mojej kariery – ale co z moim samopoczuciem? Jego niespodziewany wyjazd przed premierą filmu wydał mi się złym znakiem.

– Poczujesz się lepiej, kiedy już znajdziesz się na pokładzie statku – powiedziała Tamara. – Nie martw się. Zostanę tutaj i zaopiekuję się Heidede jak własną córką. Wiesz, jak bardzo ją z Rudim kochamy.

– Wiem. – Uśmiechnęłam się bez przekonania. Miałam tego świadomość i choć dodawało mi to otuchy, nie sprawiało bynajmniej, że czułam się pewniej. Moje dziecko dorastało beze mnie. Tak jak przewidywała Mutti. Pochyliłam się, żeby pocałować Heidede, ona jednak nie chciała się ze mną pożegnać. Kiedy odprowadziłam je do samochodu, który wynajęłam, żeby mogły spokojnie wrócić do domu, ogarnęło mnie zmęczenie. Nie byłam w nastroju na świętowanie.

Kufry pełne strojów kupionych przez wytwórnię zostały już załadowane na statek. O północy miałam wyruszyć ostatnim pociągiem do portu w Bremerhaven. Czekała mnie pięciodniowa podróż. Postanowiłam wymknąć się na górę, przebrać i zmyć makijaż, ale w salonie natknęłam się na Jolie. Miała lśniące oczy i wydawało się, że szampan lekko uderzył jej do głowy.

– Wiedziałam. Od chwili, w której cię po raz pierwszy zobaczyłam, mówiłam Williemu, że nas zadziwisz.

Nagle coś sobie przypomniałam.

– Jestem ci winna pieniądze. I etolę z lisa.

Sięgnęłam do zdobionej koralikami torebki i wyjęłam z niej garść banknotów. Dawniej odliczałam monety na przejazd tramwajem, a teraz nie wiedziałam, co z tym wszystkim robić.

– Proszę. Jeśli coś zostanie, niech wujek Willi przechowa to dla Heidede.

Jolie wpatrywała się przez chwilę w gotówkę, którą jej podałam.

– Nie musisz tego robić.

– Nie, nie. Zawsze spłacam długi. Prędzej czy później. – Wyglądała na przygnębioną, więc dodałam łagodniej: – Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Nie zaszłabym tak daleko bez twojego wsparcia. Proszę, zaopiekuj się wujkiem.

Przygryzła wargę. Uniosłam wzrok i spojrzałam na to, co działo się za jej plecami. Rozbawiony Willi rozmawiał ze swoimi przyjaciółmi z branży teatralnej. Wielu z nich znało mnie od dziecka i pamiętało, z jaką fascynacją przysłuchiwałam się ich rozmowom. Wujek był jak zwykle nienagannie ubrany i miał idealnie nawoskowane wąsy.

– Nie układa nam się zbyt dobrze – powiedziała Jolie. Spojrzałam na nią. – Willi... – Zniżyła głos. – Marleno, on jest...

– Tak – odparłam. – Wiem. Ale kocha cię, a to przecież najważniejsze.

Jolie westchnęła.

– Pewnie masz rację. Idź już – dodała, otaczając mnie ramieniem i mocno przytulając. – Spełnij wszystkie swoje marzenia. Nigdy się nie poddawaj, Marleno. Mamy tylko jedno życie i musimy wykorzystać je najlepiej, jak potrafimy. Teraz to ty jesteś dla mnie inspiracją.

Lekko się cofnęłam. Znużenie, którego pierwsze ślady zauważyłam na twarzy Jolie jeszcze przed ślubem z Rudim, sprawiło, że zmarniała i przywiędła. Wydawała się przygnębiona. Mój wujek był homoseksualistą, a ona chciała od niego odejść. Smuciło mnie to i żałowałam zarówno jej, jak i Williego. Nie potrafił przyznać się do swojej orientacji i sądziłam, że nigdy się na to nie zdobędzie. Pochodził z rodziny Felsingów i bał się upokorzenia. Żyjąc w ciągłym strachu i kłamstwie, stracił tę wspaniałą, ekscentryczną kobietę. Poczułam ulgę, kiedy pomyślałam o swoim związku z Rudim: nie wczepialiśmy się kurczowo w nasze powoli rozpadające się małżeństwo i zachowaliśmy się jak dorośli ludzie. Zdecydowaliśmy się na rozwiązanie, które pozwoliło nam pozostać razem. Wujek Willi musiał okupić swój konformizm nieszczęściem.

Pocałowałam Jolie na pożegnanie i ruszyłam na górę, żeby przygotować się do wyjazdu. Przypuszczałam, że nigdy więcej jej nie zobaczę. Pomyślałam ze smutkiem, że żegnając się z nią, żegnam się jednocześnie z Berlinem mojej młodości.

Pomimo niesprzyjającej marcowej pogody, która rzucała statkiem jak zabawką, znalazłam na pokładzie miłe towarzystwo: Larry’ego i Biankę Brooksów, młodych właścicieli firmy produkującej kostiumy teatralne. Wracali do Nowego Jorku po długich wakacjach za granicą.

Zdesperowani przedstawiciele UFA, którzy niestrudzenie próbowali przekonać mnie do podpisania nowego kontraktu, choć byłam już przecież na środku oceanu,

przesyłali mi kolejne telegramy – narażając się przy tym na ogromne koszty – z recenzjami *Błękitnego anioła*, który trafił już do kin w całym kraju. Chcąc się trochę rozerwać, zaprosiłam do swojej kabiny Biankę i zaczęłam w jej towarzystwie przeglądać te artykuły.

– „Śpiewa i porusza się po scenie jak pospolita piosenkarka kabaretowa, ale daleko jej do pospolitości". Tak piszą w „Berliner Börsen-Courier" – oznajmiłam, kładąc swój album z wycinkami na kolanach Bianki. – Spójrz tutaj. „Licht-Bild-Bühne" nazywa mnie „fascynującą kobietą o odurzającej twarzy i podniecającym głosie". – Roześmiałam się. Byłam nikim, a nagle pisano o mnie w gazetach. Niesamowite, ile może zmienić jedna rola.

Uznałam, że Biankę zaciekawią te recenzje. Jej mąż pracował w branży filmowej, a odkąd dowiedzieli się, że Paramount podpisał ze mną kontrakt, zasypywali mnie pytaniami podczas wspólnych posiłków. Siedziała teraz na kanapie w mojej prywatnej kabinie i przeglądała album z wycinkami. Nagle trafiła na ilustracje, które wiele lat wcześniej kupiłam w Berlinie – erotyczne szkice kobiet. Zamierzałam podarować je Gerdzie, ale kompletnie o nich zapomniałam. Znieruchomiałam, czekając na reakcję Bianki. Nie odezwała się ani słowem i wpatrywała się w rysunki jak zahipnotyzowana, więc powiedziałam:

– Są wspaniałe, prawda? To bardzo utalentowany artysta, choć nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska.

Zadrżała i wzięła głęboki wdech.

– Obawiam się, że to pomyłka, pani Dietrich.

– Ach tak? – Zaintrygowana, sięgnęłam po leżące na stoliku papierosy.

Bianka gwałtownie się podniosła.

– Tak. To pomyłka. Nie mam tego typu skłonności.

Oparłam się na krześle.

– A o jakie skłonności chodzi? – Wypuściłam dym, rozbawiona jej poruszeniem. – Zapewne wie pani, że w Europie uprawiamy miłość, z kimkolwiek chcemy.

– Może w Europie. Ale na pewno nie w Ameryce – szepnęła, po czym wybiegła z kajuty.

Westchnęłam. Czy Ameryka naprawdę miała się okazać tak nudna i przewidywalna?

Dziennikarze i fotoreporterzy, powiadomieni przez wytwórnię o moim przyjeździe, przyjęli mnie jak wielką gwiazdę. Po raz pierwszy poznałam ogromną siłę przedstawicieli Paramountu: udało im się ściągnąć do portu całe stada dziennikarzy i kazać im pisać o osobie, o której nigdy nawet nie słyszeli.

Pozowałam przed nimi w sobolach i odpowiadałam na serię absurdalnych pytań.

– Jak się pani na razie podoba Ameryka, pani Dietrich?! – zawołał w pewnej chwili jeden z dziennikarzy.

– A skąd mogę wiedzieć? – odparłam. – Jestem tu od dziesięciu minut.

Szofer zawiózł mnie do hotelu. Miałam kilka dni na odpoczynek i zamierzałam lepiej poznać to niezwykłe, pełne wieżowców miasto.

W Ameryce trwała prohibicja, ale kiedy kierownik Paramount East Coast zabrał mnie wieczorem na miasto, przekonałam się, że mimo zakazu funkcjonuje tu mnóstwo nielegalnych barów, w których lały się hektolitry alkoholu. Zabranianie ludziom czegoś, co i tak by robili, wydawało mi się kompletnym absurdem. Nazajutrz, kiedy już poczułam się lepiej po szaleństwach poprzedniej nocy, postanowiłam pójść do fotografa i zrobić sobie komplet nowych zdjęć. Uprzejme uwagi kierownika pokrzepiły mnie bardziej niż alkohol. Zależało mi na tym, by zaprezentować się w Kalifornii od jak najlepszej strony. Nadal nie byłam przekonana do operacji nosa i chciałam udowodnić szefom wytwórni, że wiem, jak ustawiać się przed kamerą, żeby korzystnie wypaść.

Podczas gdy pozowałam przed najdroższym fotografem mody w Nowym Jorku – kwestię uregulowania rachunku pozostawiłam wytwórni – mój rzecznik prasowy musiał być nie mniej zajęty, bo dwa dni później dostałam telegram od von Sternberga:

NIKT NIE MOŻE ROBIĆ CI ZDJĘĆ BEZ MOJEJ ZGODY. ZNISZCZ WSZYSTKIE NEGATYWY. NATYCHMIAST PRZYJEŻDŻAJ DO KALIFORNII.

– Mój Boże – zwróciłam się do towarzyszącego mi przedstawiciela wytwórni. Był blady jak papier. – Czyżbym popełniła błąd? – zapytałam pełnym sarkazmu głosem, naśladując konsternację, w jaką wpadła Bianka Brooks w mojej kabinie.

– Tak nakazuje kontrakt – wyjaśnił. – Wytwórnia czuwa nad tym, w jaki sposób jest pani fotografowana.

– Szkoda. – Sięgnęłam po teczkę pełną wspaniałych czarno-białych zdjęć, na których pozowałam w smokingu z *Błękitnego anioła*, patrząc leniwie w obiektyw. – Ale skoro wytwórnia nalega...

Podpisałam każde z tych zdjęć jaskrawozielonym atramentem – *Love, Daddy Marlene* – i poprosiłam recepcjonistę w hotelu o przekazanie ich UFA. Miały trafić do wszystkich niemieckich czasopism i gazet, w których zamieszczono recenzje *Błękitnego anioła* i mojej roli. Co prawda amerykański kontrakt zmuszał mnie do podporządkowania się wymogom wytwórni, ale nic nie mówił na temat promowania się we własnym kraju.

Oczywiście doskonale zdawałam sobie sprawę, że część tych czasopism – które natychmiast zamieściły moje zdjęcie na okładkach wraz z nagłówkiem „*Vati* Marlene” – trafi do Los Angeles.

W Ameryce nie byłam jeszcze gwiazdą. Uznałam, że nie zaszkodzi przypomnieć Paramountowi, że Berlin w każdej chwili przyjmie mnie z otwartymi ramionami.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kalifornia okazała się upalną krainą o błękitnym niebie, pełną palm i spalin. Automobile rozpowszechniły się w Ameryce do tego stopnia, że całkowicie wyparły staroświeckie powozy konne, które nadal widywało się – choć coraz rzadziej – na ulicach Berlina. Tutaj każdy, kto mógł sobie na to pozwolić, kupował samochód i mknął ulicami przecinającymi miasto jak czarne arterie. Złożony z wielkich liter napis „Hollywood”, usytuowany na zboczu jednego z pobliskich wzgórz, można było zobaczyć niemal z każdego punktu Los Angeles. Stanowił genezę tego miasta, jego bożka i plagę – i przyciągał tysiące ludzi, którzy chcieli spróbować szczęścia przed albo za kamerą.

To miejsce mnie fascynowało i wydawało mi się kompletnie niepodobne do chylącej się ku upadkowi potęgi Europy. Powtarzałam sobie jednak, żeby się do niego nie przywiązywać. Przyjechałam tu, żeby nakręcić dwa filmy. A co później? Nikt nie mógł tego przewidzieć.

Tym razem nie powitały mnie chmary dziennikarzy i fotoreporterów. Z dworca odebrał mnie von Sternberg, opalony i wypoczęty. Wsiedliśmy do rolls royce’a, a szofer zawiózł nas do wynajętego dla mnie przez wytwórnię mieszkania na Horn Avenue. Znajdowało się w pobliżu pozłacanej bramy Paramount Studios przy Marathon Avenue. Za nami jechał drugi samochód przewożący moje bagaże.

Ledwo zdążyłam zdjąć buty oraz płaszcz i opaść na kanapę przykrytą narzutą ze skóry lamparta, która natychmiast skojarzyła mi się z Leni – kiedy von Sternberg oznajmił:

– Czeka cię jutro pracowity dzień. Charakteryzacja, próba światła, a potem sesja zdjęciowa. Będę wszystko nadzorował. Przydzieliliśmy ci najlepszą charakteryzatorkę w całej wytwórni, Dottie Ponedel. Później nakręcimy reklamówkę *Poznajcie Marlenę Dietrich*. Potrzebują jej przedstawiciele handlowi Paramountu.

Posłałam mu zmęczone spojrzenie.

– Proszę, przynieś mi papierosa. – Kiedy to zrobił, mocno się zaciągnęłam. – Dlaczego nikt nie powitał mnie na dworcu?

– Ja cię powitałem. To się nie liczy?

– Chodziło mi o dziennikarzy i fotoreporterów. – Wpadłam w melancholię. Zastanawiałam się, co robią teraz Rudi i Tamara (biorąc pod uwagę różnicę czasu, prawdopodobnie spali) i jak się czuje Heidede. Czy w ogóle za mną tęskniła? Ja za nią tęskniłam. Tęskniłam za Berlinem, za szumiącymi lipami przy Kaiserallee, za skrzydlatym rydwanem nad Bramą Brandenburską, za tłumami stojącymi w kolejkach przed kabaretami na Kurfürstendamm, za zapachem trocin, perfum i potu przed rozpoczęciem spektaklu.

Von Sternberg posłał mi gniewne spojrzenie.

– Nikt cię nie powitał, bo twoje nowojorskie wybryki nie zostały docenione. Wytwórnia dowiedziała się o wypadzie do baru i alkoholowych igraszkach w towarzystwie tego

lizusowatego ważniaka. A do tego pozowałaś fotografowi. Wpadli w szał i zaczęli wydzwaniać do samego Schulberga, naszego kierownika produkcji. Pytali, dlaczego tak bardzo zależy ci na tym, żeby pokrzyżować im plany i zmusić ich do zerwania kontraktu.

Wyprostowałam się i skrzywiłam, kiedy coś strzyknęło mi w karku. Trzydniowa podróż pociągiem dawała się we znaki.

– Nie miałam takich intencji. Wyszłam po prostu wieczorem na miasto, a poza tym zrobiłam sobie trochę zdjęć. Dla zabawy.

– Nie przyjechałaś tu na wakacje. Jesteś nową aktorką Paramountu i wytwórnia wiele sobie obiecuje po tej współpracy. Podpisałaś kontrakt. Wykupili prawa do dystrybucji *Błękitnego anioła* w Ameryce, ale film nie wejdzie na ekrany, dopóki nie zrobimy dla nich dwóch innych produkcji, które odniosą sukces. Zarabiasz pięćset dolarów tygodniowo. To całkiem niezła suma jak na aktorkę, która jeszcze w żaden sposób na te pieniądze nie zapracowała. Należysz teraz do wytwórni i musisz robić to, co ci każą. Tak to u nich działa.

Posłałam mu chłodne spojrzenie.

– U nich? A może u ciebie?

– Ja i oni to jedno i to samo. Schulberg jest moim szefem. Przystał na moją propozycję i zgodził się sprowadzić nową gwiazdę, która może stać się konkurencją dla MGM i Garbo. Paramount ma w swoich rękach dwa tysiące ekranów w Ameryce, studia na obu wybrzeżach i udziały

w Columbia Broadcasting System. Pracują dla nich największe talenty w branży: W. C. Fields, bracia Marx, Claudette Colbert, Clara Bow i Fredric March. Wszyscy działają razem, od preprodukcji aż po premierę. Właśnie dzięki temu wytwórnie odnoszą sukcesy: chodzi o spójną wizję i ścisłą współpracę. To nie jest jeden z tych obskurnych kabaretów albo ubogich wytwórni, które znasz z Berlina. Jeśli sprowokujesz Paramount, twoja kariera zakończy się, jeszcze zanim się na dobre zaczęła.

Zaciągnęłam się. Paramount przyjął jego propozycję. To zatem von Sternberg był szpiegiem na własnym planie filmowym. Powinno mi to pochlebiać, zważywszy na to, jak wiele zadał sobie trudu, żeby sprowadzić mnie do Ameryki. Nie podziękowałam mu jednak i zaczekałam, aż będzie bliski wybuchu, a potem powiedziałam:

– W takim razie powinnam się chyba wyspać, prawda?

Spojrzał na mnie z wściekłością.

– Mieszkam tuż obok. Nigdzie nie wychodź. Chodzi o to, żeby stworzyć wokół ciebie aurę tajemnicy. I nie chcę więcej słyszeć o tym, jak bardzo tęsknisz za rodziną. Nie powinnaś mówić nowojorskim reporterom, że jesteś „szczęśliwą mężatką”. Nie ma szczęśliwych mężatek, które byłyby jednocześnie tajemnicze i fascynujące. – Zmierzył mnie wzrokiem. – I musisz trochę schudnąć. Twój tyłek zrobił się ogromny. Czy podczas rejsu zdążyłaś pożreć cały statek?

Ku mojej uldze ruszył do drzwi i po chwili je zatrzasnął. Położyłam się na kanapie i zamknęłam oczy.

W całym życiu jeszcze nigdy tak bardzo nie tęskniłam za domem.

– Jeżeli wyskubiemy pani brwi w tym miejscu, przy zewnętrznych kącikach... – tłumaczyła Dottie Ponedel, którą obserwowałam w podświetlonym lustrze – i tutaj, żeby podkreślić łuk, powinna pani malować je ołówkiem w tę stronę. To je optycznie powiększy. – Uśmiechnęła się, sprawnie operując pęsetą. – Widzi pani? Zdecydowanie lepiej. Ma pani wspaniałe oczy o nisko opadających powiekach. Idealnie nadają się do różnego rodzaju modyfikacji: przydymionych oczu, jasnych konturów, długich rzęs. Takie oczy nazywamy w Ameryce uwodzicielskimi, pani Dietrich.

– A mój nos? – zapytałam, przyglądając się jej pracy. – Czy jest zbyt...

– Zbyt szeroki? Rozumiem, dlaczego się pani tym martwi. Kamera podkreśla i wyolbrzymia nawet nasze najdrobniejsze niedoskonałości. Ale mam dla pani proste rozwiązanie. – Sięgnęła po cienką tubkę leżącą na tacy z kosmetykami i narysowała niemal niewidoczną srebrną linię wzdłuż grzbietu mojego nosa.

Roześmiałam się.

– Wyglądam teraz jak klaun.

– Wszystko się zmieni w odpowiednim świetle. A pod tym względem nikt nie przebije Jo. Nikt nie potrafi tak oświetlić twarzy jak on. – Mrugnęła do mnie. Ogromne wrażenie zrobiła na mnie jej technika oraz fakt, że była po imieniu z von Sternbergiem. Wkrótce dowiedziałam się, że

w Hollywood wszyscy byli ze wszystkimi po imieniu. – Właśnie dlatego go tolerujemy. Kiedy nie stoi za kamerą, bywa naprawdę nieznośny, ale kiedy już skupia się na reżyserii, okazuje się prawdziwym czarodziejem.

– Też tak uważam – odparłam, patrząc na swoje odbicie. Wyglądałam inaczej niż zwykle, a moje policzki wydawały się bardziej zapadnięte – w tym przypadku pomogła zapewne również dieta. Sztuczne brwi, które narysowała mi Dottie, tworzyły nieco ostrzejsze łuki, dzięki czemu wyglądałam bardziej zmysłowo.

– Ma pani wielkie szczęście – mówiła dalej, malując mi usta matową szkarłatną szminką, na którą nałożyła warstwę błyszczyku. – Jo nieustannie panią wychwala. Twierdzi, że jest pani wspaniałą zdobyczą. – Cofnęła się lekko, podziwiając w lustrze moje odbicie. – Muszę przyznać, że w zupełności się z nim zgadzam. Ta twarz zawstydzi samą Garbo.

– Czy wytwórnia naprawdę chce, żebym stała się jej rywalką? – zapytałam, choć ledwo poruszałam ustami pokrytymi wieloma warstwami szminki.

Wycisnęła mi na twarz trochę kremu nawilżającego. Nie odpowiedziała na pytanie, ale te podejrzenia potwierdziły się, kiedy trafiłam do fryzjera, który ułożył moje loki w kaskadę pokrytych lakierem fal takich jak u Garbo.- Powinniśmy je rozjaśnić – oznajmił elegancki, nienagannie ubrany mężczyzna. Przypuszczałam, że doskonale bawiłby się w Das Silhouette. – Są zbyt rude, na ekranie będą się wydawały ciemne. Uważam też, że zamiast loków trzeba

zrobić fale. W przyszłym tygodniu zaprosimy panią na farbowanie i czesanie. Oczywiście o ile reżyser wyrazi na to zgodę.

O ile reżyser wyrazi na to zgodę…

Najwyraźniej von Sternberg miał nade mną całkowitą kontrolę.

Po wielogodzinnej sesji fotograficznej, podczas której pozowałam we wspaniałych, eleganckich sukniach, byłam tak głodna, że aż zrobiło mi się słabo. Śniadanie podane zgodnie z zaleceniami von Sternberga składało się jedynie z kawy i grejpfruta.

Reżyser zabrał mnie do bufetu, w którym jadała ekipa w przerwach między zdjęciami. Ponieważ dawno już minęła pora lunchu, zrobiło się tam dość pusto. Poczułam rozczarowanie, bo liczyłam, że zobaczę przy okazji którąś z gwiazd Paramountu.

Wręczono mi tacę z pozbawionym smaku hamburgerem, a kiedy jadłam, von Sternberg oznajmił, że mam się po raz pierwszy pojawić publicznie podczas przyjęcia organizowanego przez wytwórnię.

– Asystent Schulberga, David O. Selznick, który wytrwale pnie się po szczeblach kariery, zaręczył się z córką Louisa B. Mayera, Irene. Paramount organizuje z tej okazji bankiet w Beverly Wilshire. Schulberg chce cię wtedy wszystkim przedstawić.

– Czy Garbo nie pracuje dla MGM? – zapytałam, podekscytowana perspektywą poznania wielkiej gwiazdy.

– Owszem. – Von Sternberg spojrzał na mnie ze zniecierpliwieniem. – Ale nie zjawi się tam. To nieduże, skromne przyjęcie, a ona jest prawdziwą gwiazdą – dodał znacząco. – Będzie tam za to wiele innych liczących się osób z branży. Między innymi aktor, którego wytwórnia chce obsadzić w głównej roli męskiej w naszym kolejnym filmie.

– Ach tak? – Podniosłam wzrok. Nie rozmawialiśmy jeszcze na ten temat. – Masz już scenariusz?

– Jeszcze nie. – Machnął ręką. – Film będzie oparty na powieści o paryskiej prostytutce, która znajduje odkupienie, gdy zakochuje się w oficerze Legii Cudzoziemskiej. Pracuję nad ostateczną wersją scenariusza.

– *Amy Jolly?* – zapytałam, a von Sternberg uniósł brew.

– Czytałaś to?

– Wiele lat temu, kiedy mieszkałam w Weimarze. – Zawahałam się. – To niezbyt dobra książka.

– Właśnie dlatego piszę wszystko na nowo. Schulbergowi nie podobał się *Błękitny anioł*. Chce, żebyś zadebiutowała tu w Stanach w skromniejszej roli. A twój angielski – dodał – wymaga jeszcze sporo pracy.

– Nie podobał mu się *Błękitny anioł*? Dziwne. To w Niemczech wielki hit. Widziałeś artykuły w prasie? Piszą...

– Wiem, co piszą. To nie ma znaczenia. W Ameryce obowiązują pewne zasady. W Niemczech narzucają je cenzorzy, a tutaj wytwórnie. Filmy muszą spełniać określone kryteria, dlatego zamierzają przemontować

Błękitnego anioła, zanim trafi do kin. A nasza paryska dziwka stanie się śpiewaczką z mroczną przeszłością.

Wzruszył ramionami, widząc malujące się na mojej twarzy zaskoczenie. W Berlinie nie mógł realizować swoich wizji, bo musiał zmagać się z UFA, a tutaj zamierzał potulnie przystać na wszystko, co mu kazano?

– Tak jak mówiłem – ciągnął – muszę najpierw skończyć pracę nad scenariuszem. Chcę jak najbardziej ograniczyć twoje kwestie, bo masz zbyt twardy akcent. Wytwórnia wynajmie ci nauczyciela, z którym zaczniesz szlifować angielski.

– Paryska piosenkarka kabaretowa z mroczną przeszłością. – Odsunęłam tacę z hamburgerem. – Brak scenariusza. Angielski, który trzeba podszlifować. Nie podoba im się mój wygląd albo nie jestem wystarczająco podobna do Garbo. Mają swoje zasady i kryteria. To wszystko brzmi dość niepokojąco.

– Owszem. – Ugryzł hamburgera, a jasnożółta musztarda pociekła na tacę.

– Czy mam w tej kwestii cokolwiek do powiedzenia? – zapytałam. Zaczynałam powoli żałować, że zdecydowałam się na opuszczenie Berlina. Sądząc po tym, co mówił von Sternberg, praca w Hollywood nosiła znamiona niewolnictwa.

– W jakiej niby kwestii? – rzucił z irytacją. – Podpisałaś kontrakt. Wytwórnia dobiera ci role. A ja podsunę im najlepsze propozycje.

Napięcie między nami narastało. Zwykle się tym nie przejmowałam i nie bałam się napadów szału von Sternberga, ale zaczęła się właśnie przerwa i bufet stopniowo wypełniał się ludźmi. Zjawiali się kolejni statyści w togach, a kilku z nich zaczęło zerkać z zaciekawieniem w naszą stronę. Rozmawialiśmy po niemiecku, więc niczego prawdopodobnie nie rozumieli, wolałam jednak nie robić scen.

– Tak, oczywiście – powiedziałam, zapalając papierosa. – Ale dlaczego mam znowu grać piosenkarkę kabaretową? To dokładnie ta sama rola, tyle że skonstruowana w taki sposób, żeby nikogo nie urazić.

Znieruchomiał.

– I co z tego?

– Chciałabym mieć jakiś wpływ na ostateczny kształt tej postaci. W końcu to ja mam ją zagrać.

Zmarszczył brwi i posłał mi gniewne spojrzenie.

– Przyniosę ci wieczorem scenariusz. Ale ostrzegam: nie jest jeszcze skończony.

– *Danke*.

Uśmiechnęłam się. Widziałam, że von Sternberga irytuje coś więcej niż tylko wyrażona przeze mnie chęć przeczytania scenariusza. Przypuszczałam, że męczyła go presja, którą na niego wywierano. Musiał za wszelką cenę zrobić ze mnie gwiazdę, nakręcić dokładnie taki film, jakiego zażyczyła sobie wytwórnia. W Berlinie to on był mistrzem – niezależnie od ograniczeń finansowych

i czasowych. Tutaj musiał zadowolić wtrącających się we wszystko szefów.

– Opowiedz mi o aktorze, który ma zagrać główną rolę męską – poprosiłam. Miałam nadzieję, że zmiana tematu trochę rozluźni napiętą atmosferę.

Wbrew moim przewidywaniom jego irytacja tylko się pogłębiła.

– To nie ja go wybrałem. Zależało mi na Johnie Gilbercie, ale podpisał kontrakt z MGM i wytwórnia nie chce się na to zgodzić. – Zamilkł na chwilę, po czym niespodziewanie posłał mi szelmowski uśmiech. – Pewnie dlatego, że ludzie z MGM też słyszeli o sukcesie, który odniosłaś w Niemczech. Wiedzą, że niedługo przyćmisz ich dojną krowę, Gretę Garbo.

– Jak nazywa się ten aktor? – zapytałam. Nie mogłam dłużej słuchać o wyimaginowanej rywalizacji z aktorką, której nigdy nawet nie poznałam. Garbo była niewątpliwie wielką gwiazdą, aktorką godną naśladowania. Liczyłam jednak na to, że uda mi się zaistnieć dzięki własnym atutom, zamiast wiecznie pozostawać w cieniu innej kobiety.

– Gary Cooper – oznajmił von Sternberg, nie kryjąc obrzydzenia. – Trudno sobie wyobrazić bardziej amerykańskie nazwisko, prawda? Selznick, ta przeklęta ropucha, przyjaźni się z Cooperem i od dawna naciska w tej sprawie na Schulberga. Selznick uważa, że Cooper powinien zagrać główną rolę, choć do tej pory w żaden sposób nie dowiódł swojego talentu.

– Nigdy o nim nie słyszałam.

– Nikt o nim nie słyszał. Co prawda odniósł podobno ostatnio parę sukcesów. W *Beau Sabreur* grał żołnierza Legii Cudzoziemskiej i właśnie dlatego Selznick próbuje mi go wepchnąć. Wcielił się też w kowboja w jednym z tych głośnych westernów. Westerny są koszmarne, ale tutejsza publiczność je uwielbia. W każdym razie Selznick koniecznie chce doprowadzić do tego, by rolę w moim filmie dostał Cooper. A ja jestem nie mniej zdeterminowany, by do tego nie dopuścić.

Czułam, że nie mówi mi wszystkiego.

– Ale w razie gdybyśmy jednak musieli z nim współpracować... Czy on w ogóle ma talent?

– Jak każdy aktor. Interesuje mnie tylko t w ó j talent. – Gwałtownie się podniósł. – Jesteśmy już spóźnieni, musimy nakręcić materiały promocyjne z twoim udziałem. Przestań tyle palić, musisz zadbać o głos.

Późnym wieczorem, kiedy wróciłam wyczerpana do mieszkania, von Sternberg przyniósł mi swój scenariusz.

Zerknęłam na stronę tytułową.

– *Maroko*. Podoba mi się ten tytuł.

– Nie przywiązuj się do niego za bardzo. Tak jak cię uprzedzałem, nadal pracujemy nad ostateczną wersją scenariusza. Tytuły mogą się zmieniać. Podobnie jak cała reszta.

Nie powiedział nic więcej. Zastanawiałam się, czy jego wściekłość wynikała z faktu, że chciałam mieć wpływ na ostateczny kształt scenariusza – czy po prostu nie mógł

przestać myśleć o aktorze, którego koniecznie chciał się pozbyć.

Tak czy inaczej z coraz większą ciekawością zaczynałam myśleć o moim przyszłym partnerze.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Von Sternberg wybrał dla mnie niebieską suknię i przysłał ją w momencie, kiedy do przyjęcia pozostało już niewiele czasu. Nie byłam z niej zadowolona, ale musiałam przyznać, że w tym przypadku postąpił niezwykle sprytnie. Przypuszczałam, że każdy, kto oglądał *Błękitnego anioła* - a zakładałam, że widziała go większość ważniejszych pracowników Paramountu, którzy mieli pojawić się na przyjęciu – odniesie wrażenie, że zostałam całkowicie odmieniona. Kreacja ta miała ukośne rozcięcie i potęgowała charakterystyczną dla mnie aurę tajemniczości, która intrygowała wszystkich. Niestety okazała się za ciasna, mimo że stosowałam dietę, codziennie ćwiczyłam i nigdy w swoim dorosłym życiu nie byłam szczuplejsza – przyjąwszy amerykańską skalę, ważyłam sto trzydzieści funtów. Von Sternberg kazał przysłać mi suknię w rozmiarze, który jego zdaniem był idealny, skutkiem czego nie mogłam się dopiąć.

– To niemożliwe – powiedziałam dziewczynie, która asystowała mi zwykle podczas niekończących się sesji fotograficznych, a teraz walczyła z zamkiem, starając się nie rozedrzeć materiału. Była jedną z tych charakterystycznych rudowłosych Amerykanek, które zwykle miały na imię Nancy albo Susan. Nigdy nie mogłam zapamiętać. – Wystarczy jeden oddech i suknia pęknie. – Machnęłam ręką. – Co on wyprawia? Czy naprawdę każda

aktorka zatrudniona przez wytwórnię nosi ubrania w rozmiarze zero?

Nancy/Susan szepnęła nerwowo:

– Za dwadzieścia minut przyjedzie po panią samochód, panno Dietrich. Może gdybyśmy użyły bielizny wyszczuplającej...

– Bielizny wyszczuplającej? Wykluczone. Włożę coś innego – odpowiedziałam. Zaczęłam pospiesznie przeszukiwać szafę, w której wisiały moje rzeczy przywiezione z Berlina.

Zdążyłam już wywołać skandal, kiedy pojawiłam się na jednej z sesji fotograficznych w marynarce i spodniach. Kiedy wkroczyłam do studia, przydzielony mi specjalista od wizerunku spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Kobiety nie noszą spodni – poinformował. – Spodnie są nieatrakcyjne.

– Przecież pan też je nosi – zauważyłam.

– To prawda – odparł. – Ale ja jestem mężczyzną.

– A ja kobietą i nosiłam je w Berlinie. Czy chce pan, żeby sesja fotograficzna się odbyła?

Skapitulował, ale mruknął do fotografa, dając do zrozumienia, że Schulberg ich pozabija. Nie miałam wątpliwości, że zdjęcia zostaną wykadrowane w taki sposób, by nie było widać moich spodni. Kiedy wróciłam do studia następnego ranka, zastałam cały wieszak sukien oraz Nancy/Susan, której kazano czuwać nade mną do końca sesji.

Zaczęłam przeglądać swoje ubrania, nucąc pod nosem.

– To powinno dobrze wyglądać – oznajmiłam, po czym odwróciłam się do Nancy/Susan i pokazałam jej strój, który wybrałam.

Dziewczyna wybałuszyła oczy.

– Och, nie – wyszeptała.

– Och, tak.

Uśmiechnęłam się.

Hotel Beverly Wilshire okazał się różową willą, którą otaczała bujna roślinność. Jak wszystko, co do tej pory widziałam w Los Angeles – a widziałam niewiele – wydawała się ostentacyjna, a zarazem nijaka. Była pełna przepychu i miała stanowić idealną oprawę dla tych, którzy przekraczali jej próg.

Gdy tylko weszłam do holu, doskoczył do mnie von Sternberg. Miał na sobie czarny smoking, fular, buty do jazdy konnej i laskę ze złotą rączką. Wyglądał jak szaleniec.

– Co ty na sobie masz? – wydyszał.

Mogłam zadać mu to samo pytanie.

– Podoba ci się? – Obróciłam się i zademonstrowałam swoją garderobę: biały beret, granatową marynarkę z emblematem i spodnie o szerokich nogawkach.

– Nie. Natychmiast wracaj do siebie i włóż suknię, którą kazałem ci dostarczyć. W tej chwili. Zanim ktokolwiek cię zobaczy.

– Suknia, którą przysłałeś, źle na mnie leży. Wybieram albo to, co mam teraz na sobie, albo smoking, ale zakładam, że smoking będzie zbyt elegancki na tę okazję.

Nie chciałbyś zapewne, żeby wzięto mnie za przyszłego pana młodego.

Von Sternberg zrobił się blady jak ściana i wyglądał tak, jakby miał zaraz zwymiotować. Nie zdążył jednak nic powiedzieć, bo w tej samej chwili zjawił się boy w hotelowej liberii, który poinformował, że pan Schulberg czeka na nas przy wejściu do sali balowej.

Von Sternberg chwycił mnie za rękę.

– Zamierza zaanonsować twoje przybycie. Chociaż myślę, że zamiast tego odeśle cię do domu, a wtedy... – dodał, mocniej zaciskając palce i prowadząc mnie przed sobą – pozostanie ci go przeprosić.

Zaczęłam żałować swojej decyzji. Sądziłam, że mój strój zostanie potraktowany jako żart i w całym Hollywood zrobi się o tym głośno, podobnie jak to miało miejsce w Berlinie. Jednak nawet nie poznałam głównego kierownika produkcji Paramountu, a on już zdążył usłyszeć o mojej niesubordynacji podczas sesji fotograficznej.

– Chcesz pracować w tym mieście? – syknął mi do ucha von Sternberg. – Bo jak na razie starasz się robić wszystko, żeby nic z tego nie wyszło.

Puścił mnie, kiedy elegancki mężczyzna, na oko po trzydziestce, podszedł, żeby się ze mną przywitać. Miał ciemne kręcone włosy, w palcach trzymał cygaro. Ukłonił się tak, jak zrobił to Rudi podczas naszego pierwszego spotkania w Das Silhouette, a następnie pocałował mnie w dłoń.

– *Verzaubert, Sie zu treffen*, Fräulein Dietrich – powiedział z idealnym niemieckim akcentem. Zamilkł na chwilę, po czym szeroko się uśmiechnął i dodał: – Urzekający strój. Czy zechce pani ze mną później popływać jachtem?

– Jeżeli zapewni pan jacht – odparłam, starając się opanować drżenie głosu.

– Oczywiście. Mam jacht, a właściwie dwa. – Podał mi rękę, ale w chwili, w której do niego podeszłam, rozległ się wysoki dźwięk: ktoś uderzał widelcem w kieliszek do szampana.

W pomieszczeniu zapadła cisza, a Schulberg odezwał się donośnym głosem:

– Panie i panowie, przedstawiam nową gwiazdę Paramountu, Marlenę Dietrich.

– Teraz – szepnął von Sternberg. Przycisnął mi dłoń do pleców i popchnął naprzód.

Nikogo nie dostrzegłam, bo wszystkie twarze zaczęły się zlewać. Ruszyłam wolno za Schulbergiem, który szedł pewnym krokiem przez salę balową i witał skinieniem głowy kolejne osoby. Siliłam się na uśmiech, przekonana, że wyglądam idiotycznie, paradując w dziwacznym stroju przed ludźmi dużo sławniejszymi ode mnie. Świadoma, że aura tajemnicy rozbudza zainteresowanie, starałam się nie dać po sobie niczego poznać. Nikt nie był ubrany tak jak ja – miałam przynajmniej gwarancję, że stanę się tematem wielu plotek.

Schulberg przedstawił mnie swojemu asystentowi, Davidowi O. Selznickowi, masywnemu mężczyźnie w drucianych okularach, oraz jego atrakcyjnej narzeczonej, Irene Mayer, która zawołała:

– Och, panno Dietrich. Cóż za wyczucie stylu. Jestem zachwycona pani marynarką. Gdzie ją pani kupiła?

– W Berlinie – odparłam, po czym pogratulowałam im zaręczyn.

Czułam na sobie wzrok Selznicka, który zdawał się szacować moją wartość. Spojrzałam z ulgą na von Sternberga, który wyrósł nagle u mojego boku. Rozejrzałam się, rozważając, czy mogę zapalić, ale po chwili przypomniałam sobie, że zostawiłam torebkę w limuzynie, bo nie pasowała do mojego stroju.

– Masz papierosa? – zapytałam szeptem, ale von Sternberg, pogrążony w rozmowie z Schulbergiem i Selznickiem, kompletnie mnie zignorował.

– Daj spokój, Jo. Trochę realizmu – zwrócił się do niego Schulberg. – Już o tym dyskutowaliśmy. Musisz zacząć zdjęcia w lipcu. Studio dźwiękowe jest zarezerwowane na cały wrzesień. Tak, wiemy – dodał, nie dopuszczając go do głosu. – Zdaję sobie sprawę, że scenariusz wymaga jeszcze pracy i wolałbyś kręcić film w sekwencjach, ale i tak pozostawiliśmy ci dużo swobody. I chcemy, żeby Cooper dostał tę rolę.

Słysząc nazwisko swojego partnera filmowego, postanowiłam podejść nieco bliżej. W tej samej chwili von Sternberg powiedział:

– Przepraszam na chwilę. – Spojrzał na mnie wyraźnie poirytowany i syknął: – Idź. Porozmawiaj z gośćmi. Poznaj, kogo się da. Przecież po to tu jesteś.

Czułam się tak, jakby na moją głowę wylano kubeł zimnej wody. Uśmiechnęłam się do dyrektorów, pożegnałam i ruszyłam dalej – kompletnie zagubiona w tłumie obcokrajowców.

Zaczęłam stopniowo rozpoznawać zgromadzone na sali gwiazdy. Zauważyłam maleńką, roześmianą Claudette Colbert w srebrnej sukni ozdobionej cekinami. Mignął mi też pijany Groucho Marx, trzymający dłoń na pośladkach jakiejś początkującej aktorki – choć wcale nie przeszkodziło mu to w puszczeniu do mnie oka. Dostrzegłam chichoczącą kobietę z niemodną fryzurą, z ustami umalowanymi rubinową szminką: to musiała być Clara Bow. Stała obok oszałamiająco pięknej blondynki w jaskrawożółtej sukience. Miałam nadzieję, że zobaczę Garbo, ale tak jak zapowiadał von Sternberg, gwiazda MGM nie przyszła na przyjęcie. Unikała takich okazji i niechętnie pojawiała się publicznie.

Ludzie, którzy się tutaj znaleźli, wyglądali jak ikony, tak wypolerowane i bliskie ideałowi, że aż wydawało się to nierealne. Miałam wrażenie, że poruszam się w tłumie replik czy odlewów, które na każdym kroku dowodziły, że Marlena z Berlina kompletnie do tego miejsca nie pasuje.

Zaburczało mi w brzuchu, więc ruszyłam w kierunku pokrytych lnianymi obrusami stołów. Uginały się pod tacami pełnymi przystawek i schłodzonych butelek Dom Pérignon, dostępnego mimo prohibicji. Od przyjazdu do

Ameryki głód właściwie mnie nie opuszczał. Obejrzałam się i upewniłam, że von Sternberg nadal spiera się z Schulbergiem, po czym pospiesznie podeszłam do stołów, żeby nałożyć sobie jedzenie i najeść się za wszystkie czasy.

Wgryzałam się właśnie w pastę z łososia, kiedy ktoś zwrócił się do mnie, przeciągając samogłoski:

– Z tego, co wiem, mamy razem pracować.

Odwróciłam się. I znieruchomiałam.

Wyglądał jak młody bóg – nie wiem, jak mogłabym go inaczej opisać. Był wysoki, tak wysoki, że musiałam zadzierać głowę, żeby spojrzeć mu w orzechowe oczy, które zdawały się lśnić złotawym blaskiem. Miał gładką, piękną twarz, a kosmyk jasnobrązowych włosów opadał mu na czoło. Nie wyglądał na więcej niż trzydzieści lat, był zatem jakiś rok starszy ode mnie. Kremowa marynarka i czarne spodnie podkreślały jego wspaniałą figurę, a pewność siebie, którą emanował, wydawała mi się typowo amerykańska.

Najwyraźniej przypatrywałam mu się zbyt długo, bo dyskretnie się zaśmiał, a następnie wytarł koniuszkiem palca resztkę pasty z moich ust. Anna May zrobiła to samo w Berlinie, tamtego wieczoru, kiedy poszłyśmy na film z Garbo. Po plecach przeszedł mi dreszcz.

– Jest aż tak smaczna? – zapytał. – Widzę, że wytwórnia słabo cię karmi.

– Gary Cooper, jak sądzę. – Aura tajemnicy, którą starałam się do tej pory roztaczać, w jednej chwili gdzieś uleciała. Nie miałam żadnych wątpliwości: stał przede mną

prawdziwy gwiazdor. Rozumiałam jednak, dlaczego von Sternberg mówił o nim z lekceważeniem. Nienawidził takich mężczyzn: przystojnych, eleganckich i atletycznie zbudowanych.

– Zgadza się. Ja też wiem, kim jesteś. – Spojrzał na mnie z podziwem. – Zresztą nawet gdybym miał wątpliwości, twój strój ostatecznie by je rozwiał. Słyszałem, że lubisz nosić spodnie.

– Naprawdę o tym słyszałeś?

– Tak. Wie już o tym zapewne całe Hollywood i duża część Ameryki. – Uśmiechnął się, a w kącikach jego oczu pojawiły się delikatne zmarszczki. – Twoje zdjęcia obiegły cały kraj. Wytwórnia miała pełne ręce roboty: twoje portrety pojawiły się w „Photoplay” i wszystkich dostępnych na rynku szmatławcach. „Kobieta, którą mogą ubóstwiać nawet kobiety”. To duża odpowiedzialność. Mam nadzieję, że jesteś na to gotowa.

Roześmiałam się.

– Schulberg wypuścił te zdjęcia.

– Owszem. Uważa, że jesteś zjawiskowa. A ja sądzę, że ma całkowitą rację.

Wyprostowałam się (choć nadal ledwo sięgałam mu do ramion) i powiedziałam:

– Masz może papierosa?

Wyjął z kieszeni marynarki pozłacaną papierośnicę. Kiedy pochyliłam się nad zapalniczką, poczułam jego zapach. Nie używał wody kolońskiej. Pachniał jak mężczyzna: płynem po goleniu, tytoniem i czymś niewyraźnym, ledwo

wyczuwalnym. Ta lekko słonawa woń kojarzyła mi się z morzem.

Pachniał seksem.

Uniosłam wzrok i zobaczyłam jego znaczący uśmiech.

Musiał niedawno, najwyżej godzinę temu, uprawiać seks. I nie poszedł potem pod prysznic.

– Pracowałem już z von Sternbergiem – powiedział. – Przy *Dzieciach rozwodu* z Clarą Bow. Zostałem zwolniony, bo pierwsza wersja wyszła fatalnie, ale w pewnym momencie reżysera zastąpił właśnie von Sternberg, który nakręcił na nowo sceny z moim udziałem. Dzięki niemu dobrze wypadłem. Pomógł mi uratować karierę. Jestem jego dłużnikiem.

Płonęło we mnie pożądanie. Minęło wiele miesięcy, odkąd...

Próbowałam się opanować. Zaciągałam się papierosem, podczas gdy on przyglądał mi się, zachowując się jak dżentelmen, choć nie miał w sobie nic z dżentelmena. Myślał o tym samym, co ja. Pospiesznie się rozejrzałam. Von Sternberg gdzieś zniknął.

– Cieszę się, że mamy razem pracować – wydusiłam, przenosząc wzrok na Gary’ego. – Von Sternberg dobrze wspominał pracę nad tamtym filmem.

– Och, szczerze w to wątpię. – Szeroko się uśmiechnął. – Chciał obsadzić w tej roli Gilberta. Ale za sprawą Selznicka jest skazany na mnie.

– No cóż. Cieszę się, że jesteśmy na ciebie skazani.

W jego oczach dostrzegłam błysk.

– Słyszałem, że twój angielski pozostawia wiele do życzenia. Mnie wydaje się całkiem dobry. – Nachylił się w moją stronę i wyszeptał: – Co byś powiedziała na to, żebyśmy odpuścili sobie przyjęcie i wyszli na...

Nie zdążył skończyć, bo u jego boku pojawiła się nagle kobieta w białej sukni na ramiączkach. Lśniące czarne włosy miała upięte w elegancki kok, który pozwalał wyeksponować twarz stworzoną dla oka kamery. Piękne rysy znajdowały dopełnienie w zielonych kocich oczach.

- *Mi amor* – powiedziała, otaczając Gary'ego ramieniem. – Gdzieś ty się podziewał? Wszędzie cię szukałam. – Miała hiszpański akcent. Domyślałam się, że jest aktorką, ale jej nie znałam.

– Rozmawiałem z panną Dietrich – odpowiedział cicho. – Będzie ze mną pracowała przy kolejnym filmie. Pamiętasz? Wspominałem o niej ostatnio.

– Nie. – Kobieta uważniej mi się przyjrzała. – Nie pamiętam. Któż to taki?

– Mam na imię Marlena – wtrąciłam. – Jestem nowa w Paramount i...

– *Sí* – przerwała. – Już pamiętam. Jesteś tą szwabką.

Gary spuścił wzrok, a jego towarzyszka mocniej otoczyła go ramieniem.

– Nazywam się Lupe Vélez. Pochodzę z Meksyku i pracuję dla RKO.

Nie była przyjaźnie nastawiona: co do tego nie miałam wątpliwości. Domyśliłam się, że jest kochanką Coopera, że

to z nią musiał uprawiać seks. Najwyraźniej poczuła się zagrożona i postanowiła zaznaczyć swoje terytorium.

– Dziwne – oznajmiła, niechętnie mierząc mnie wzrokiem. – Ubierasz się jak mężczyzna.

– Tak. To bardzo modne w kraju szwabów – odparłam.

Lupe zmarszczyła brwi, nie do końca wiedząc, czy z niej kpię. Po chwili sztywno się zaśmiała.

– Bawi cię to. Ale wszyscy o tym mówią – rzuciła kąśliwie.

– Lepiej, kiedy się o nas mówi, niż kiedy się nas ignoruje. – Posłałam jej wymuszony uśmiech. – Miło było cię poznać – dodałam nieszczerze. Nie lubiłam jej, a ona odwzajemniała moją niechęć. Podpowiadał jej to niezawodny kobiecy instynkt, każący strzec się przed rywalkami. Tyle że wcale nie byłam jej rywalką. Jeszcze nie.

– Chodź, Gary. – Wróciła do płaczliwego tonu małej dziewczynki. – Claudette o ciebie pytała. Jesteś taki dziwny, bez przerwy znikasz. Chodź, *mi cielo*. Pożegnaj się z panną Dietrich.

Gary podniósł wzrok i spojrzał mi w oczy.

– Do zobaczenia na planie.

Skinęłam głową. Lupe poprowadziła go do miejsca, w którym Claudette Colbert siedziała w otoczeniu przyjaciół. Zrobiła to celowo. Schulberg mnie zaanonsował i wszyscy doskonale wiedzieli, kim jestem. Ale Lupe Vélez zauważyła, że Gary ze mną flirtuje, i postanowiła mnie obrazić. Wykluczyła mnie i zmusiła do tego, żebym stała samotnie przy tacach z jedzeniem jak jakaś początkująca aktoreczka.

Zjadłam jeszcze jedną kanapkę, a potem ruszyłam do wyjścia. Von Sternberg gdzieś zniknął. Skierowałam się do holu, a potem wsiadłam do samochodu i kazałam szoferowi zawieźć się do mojego mieszkania.

Czekała tam na mnie Nancy/Susan.

– Nie jest taki zły – powiedziała, machając scenariuszem. – Rola Amy Jolly wydaje się wspaniała. Na końcu wszystko porzuca i podąża za ukochanym. To bardzo romantyczne.

– Tak. – Zdjęłam kapelusz i buty, a następnie skierowałam się do sypialni. – Ja też myślę, że to będzie bardzo romantyczna opowieść. Pamiętaj, proszę, żeby wychodząc zamknąć drzwi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zdjęcia do *Maroka* rozpoczęły się pod koniec lipca – później, niż pierwotnie planowano. Stało się tak ze względu na scenariusz, którego ostatecznej wersji nigdy zresztą nie zobaczyliśmy. Zamiast tego von Sternberg rozdawał nam codziennie pojedyncze kartki z opisem scen, które mieliśmy akurat kręcić. Zgodnie z obietnicą ograniczył moje dialogi do minimum, choć wiele tygodni poświęciłam na szlifowanie angielskiego pod opieką nauczyciela wynajętego przez wytwórnię. Nie wyzbyłam się akcentu – wiedziałam, że nie stracę go do końca życia – ale miałam grać Francuzkę i nie rozumiałam, dlaczego wszyscy tak się tym martwią.

Moja małomówność wpisała się w nastrój, o który chodziło reżyserowi. Grając Amy Jolly, piosenkarkę kabaretową jadącą do Maroka, by uciec od przeszłości, stałam się enigmatyczną kobietą, której tak pragnęła wytwórnia. W przeciwieństwie do Loli Loli miłość była dla Amy wybawieniem: oczarował ją grany przez Gary'ego beztroski żołnierz Legii Cudzoziemskiej.

Śpiewałam w filmie dwie piosenki, w tym uwodzicielską *What Am I Bid for My Apples?* W mojej ulubionej scenie Amy wchodzi do kabaretu ubrana w czarny frak. Sama zaproponowałam ten strój, a wytwórnia zaakceptowała pomysł. Te zdjęcia wzbudziły w Stanach sensację i pojawiły się we wszystkich czasopismach dostępnych na

amerykańskim rynku. Schulberg, który dowiedział się o moim zamiłowaniu do fraków i smokingów, postanowił wykorzystać te nietypowe upodobania.

Lesbijskiego pocałunku wytwórnia jednak nie planowała.

Paląc papierosa, Amy przechadza się powolnym krokiem pośród publiczności. Nagle zatrzymuje się przy ładnej kobiecie z kwiatem oleandra we włosach. Pod wpływem impulsu Amy całuje ją w usta, a następnie rzuca kwiat legioniście. Podobnie jak von Sternberg, Gary był kompletnie zaskoczony tym gestem, ale nie dał się zbić z tropu i założył sobie kwiat za ucho. Zachowywał się jak profesjonalista. Znał każdą kwestię, każdy ruch dłoni, i nie zwracał uwagi na potężne dawki jadu, którym od samego początku częstował go reżyser. Kiedy wyraziłam obawę, że mój lesbijski pocałunek może sprawić, że postać grana przez Gary'ego straci, von Sternberg zakpił:

– To tylko przystojny żołnierz – oznajmił na tyle głośno, żeby usłyszał go mój partner. – To Amy pociąga za sznurki. To ona jest gwiazdą. Pozostali są tu po to, by mogła lśnić na ich tle.

Podczas jednej z przerw obiadowych Gary zbliżył się do mnie i wymamrotał:

– A nie mówiłem? Nigdy mi nie zapomni, że wytwórnia zmusiła go do obsadzenia mnie w tej roli. Zepsuje każdą scenę, w której się pojawiam.

Nie wydawało mi się, żeby von Sternberg był do tego zdolny. Widziałam jego pełną wściekłości minę, kiedy przeglądał pierwszą wersję filmu. Przystojny Gary

elektryzował i przyciągał uwagę. On też mógł stać się wielką gwiazdą i von Sternberg doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Ich wzajemna niechęć buzowała jak pustynia widoczna w kadrze za budynkami garnizonu, gdzie graliśmy część kwestii. W scenach, w których występowaliśmy razem, von Sternberg kazał Gary'emu siedzieć, tak żebym nad nim górowała. W końcu mój partner stracił cierpliwość i zaczął krzyczeć, że nie pozwoli zrobić z siebie „pieprzonego mięczaka", po czym rozgniewany opuścił plan. Von Sternberg zwrócił się kpiącym tonem do reszty ekipy:

– Co on może o tym wiedzieć? To tylko aktor. Został wybrany ze względu na wygląd, a nie intelekt.

Myślałam, że *Maroko* będzie romantyczną przygodą.

Zamiast tego okazało się koszmarem.

Pewnego wieczoru, po kolejnym czternastogodzinnym dniu pracy, wróciłam do mieszkania kompletnie wyczerpana. Bolała mnie każda kość. Zamierzałam właśnie położyć się do łóżka, gdy nagle rozległo się walenie do drzwi. Kiedy je otworzyłam, zobaczyłam kołyszącego się Gary'ego, tak pijanego, że ledwo trzymał się na nogach. Wpadł do środka i spojrzał na mnie spod opuchniętych powiek. Mimo stanu, w jakim się znajdował, wydawał mi się nieziemsko przystojny, obawiałam się jednak, że jego piękna twarz lada chwila zderzy się z podłogą.

– Widzisz? On mnie nienawidzi! – zawołał. – Ten pieprzony karzeł uważa, że jestem nikim. A przecież gram główną rolę męską! Jeśli mnie zabraknie, to w kim zakocha

się jego wielka gwiazda? W nim? – Roześmiał się z obrzydzeniem. – Założę się, że ma tak krótkiego kutasa, że nawet mu nie staje.

– Jesteś pijany – powiedziałam chłodno. – Tylko dlatego jeszcze cię nie wyrzuciłam. Ale zrobię to, jeśli jeszcze raz go obrazisz. A teraz wracaj do domu.

– Nie mogę. – Opadł na kanapę. – Żona też mnie nienawidzi. Ona i ta suka Lupe. Bez przerwy suszą mi głowę i zrzędzą. Zrzędzą, zrzędzą, zrzędzą. – Odbiło mu się. – Dlaczego kobiety uważają, że mają nas na własność?

Nie wiedziałam, co robić. Odesłanie Gary'ego do domu nie wchodziło w grę. Mogłabym zamówić mu taksówkę, ale gdyby ktoś go rozpoznał, z pewnością by mu to zaszkodziło – nie mówiąc już o naszym filmie. Było też za późno, żeby dzwonić do wytwórni, a gdyby von Sternberg, mieszkający w tej samej klatce, dowiedział się o wizycie Gary'ego, niewątpliwie wpadłby w szał.

– Przykro mi – powiedziałam powoli. – Ale ja też jestem kobietą i wcale nie chcę mieć nikogo na własność. Nie interesują mnie obroże. Chyba że chodzi o psy.

– Nie jesteś kobietą! – zawołał. – Jesteś... czymś innym.

Stracił przytomność. Zdjęłam mu buty i z trudem wciągnęłam go na kanapę, starając się nie zwracać uwagi na unoszący się odór whiskey. Po chwili chrapał już w najlepsze. Przynajmniej nie zwymiotował. Zdecydowałam, że zajmę się nim rano. Na szczęście zdjęcia dobiegały już końca. Gary na kacu, wściekły von Sternberg... Na samą myśl o tym wszystkim ogarniało mnie przerażenie.

Obudziłam się nagle jeszcze przed nadejściem świtu. Półprzytomna i zdezorientowana, zaczęłam po omacku szukać budzika. Obawiałam się, że zaspałam i że spóźnię się na plan, na którym musiałam zjawiać się codziennie o piątej rano.

Nagle zobaczyłam go w drzwiach. Nie poruszył się, nie odezwał ani słowem, ale jego spojrzenie nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Był zaskakująco trzeźwy.

Zamknął drzwi sypialni. Uniósł kołdrę, odsunął ją na bok i na mnie spojrzał. Spałam nago. Serce biło mi coraz szybciej, a on powoli zdjął koszulę, rzucił ją na podłogę i rozpiął pasek. Miał gładki, umięśniony tors. Zaczęłam się zastanawiać, czy wytwórnia kazała mu go depilować. Po chwili na podłogę opadły bokserki.

– Podoba ci się? – zapytał.

– Imponujący – odparłam. – Jak Nowy Jork.

Chwycił swojego wielkiego penisa i skierował w moją stronę.

– Możesz go mieć. O ile nie pieprzysz się z tym karłem. Nie sypiam z kobietami innych mężczyzn.

– Nie, nie pieprzę się z nim. – Lekko się uniosłam.

– Boże – wyszeptał. – Tak bardzo cię pragnę. Całymi dniami na tym przeklętym planie filmowym myślę tylko o tym, co chciałbym z tobą zrobić.

– W takim razie zaczynaj. Nie odkładaj na jutro tego, co możesz zrobić dziś.

Nie zrozumiał aluzji. Ale szczytował – jeszcze zanim we mnie wszedł. Leżąc na mnie, czekał i powoli mnie całował,

wodząc językiem po ciele i zanurzając go w moją wilgoć. Wyginałam się z rozkoszy. Po chwili, kiedy znów miał erekcję, zaczął powoli wsuwać we mnie penisa, centymetr po centymetrze – a ja jęczałam.

– Boli cię? – wyszeptał. – Moja żona narzekała, że jest za duży. Lupe to uwielbia. Lubi na nim siadać.

– Ja... chyba też powinnam to zrobić – powiedziałam. Uznałam, że tak rzeczywiście może być łatwiej.

Gary chwycił mnie w ramiona i podniósł, a potem posadził na sobie. Jego nabrzmiały członek unosił się w górę jak drapacz chmur. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam i choć nadal odczuwałam lekki ból, zapomniałam o pieczeniu i kłuciu, gdy tylko zaczęłam się kołysać. Po chwili eksplodowała we mnie rozkosz. Zobaczyłam piaski i białe chusty. Poczułam rozpalone ciepło pustyni, a potem jego. Zadrżał i wyszedł ze mnie, zanim doszło do kolejnego wytrysku.

Błyskawicznie pochyliłam się ku jego penisowi i wzięłam go w usta, a Gary krzyknął.

Był esencją Ameryki – zdrowy, silny i wspaniały jak równiny jego rodzinnej Montany.

Ale jego ciało przywodziło na myśl smak morza.

W ciągu kilku tygodni wszyscy na planie już o nas wiedzieli. Nie zdołalibyśmy tego ukryć. Sceny z naszym udziałem buzowały od napięcia, a każde spojrzenie, które wymienialiśmy, aż iskrzyło od wzajemnej bliskości, co było niewątpliwie efektem wspólnie spędzanych nocy. Gary przestał zwracać uwagę na von Sternberga. Nie miał na to

czasu, bo skupiał się na mnie. Kiedy mijaliśmy się w drodze do garderób, machał ręką i cytował znacząco swoją kwestię: „Co ja robię ze swoimi palcami? Nic. Jeszcze nic”.

Von Sternberg zrobił się ponury jak chmura gradowa i ograniczał uwagi do minimum, mrucząc tylko od czasu do czasu: „Przesuń się w lewo. Odwróć się do światła. Stój. Cięcie”.

Tak było ze mną – do Gary’ego w ogóle przestał się odzywać i dał mu wyraźnie do zrozumienia, że nie obchodzi go, jak wypadnie na ekranie. Potwierdził tym samym, że uważa *Maroko* za mój film. Robił go tylko dla mnie.

– Nic mnie to nie obchodzi – oznajmił Gary któregoś dnia. Odpoczywałam, leżąc na jego torsie. On był jak zwykle równie nonszalancki po seksie, co żarliwy podczas zbliżeń. – Nie może mi zaszkodzić. Selznick mówił, żeby nie zwracać uwagi na tego palanta. Doprowadzi mnie do sławy, nawet wbrew sobie. To genialna rola. Nie jestem w tym filmie porządnym facetem, tylko draniem, który porzuca dziewczynę. To ona musi o mnie walczyć. – Zmierzwił mi włosy. – Założę się, że nie zachowywałabyś się tak w prawdziwym życiu, co? Nie wyglądasz mi na kobietę, która się za kimkolwiek ugania.

– Dlaczego miałabym się za tobą uganiać? – Wyjęłam mu papierosa z ust i się zaciągnęłam. – Jesteś żonaty, a ja jestem mężatką. Zresztą twoja meksykańska złośnica wystarczająco się za tobą ugania.

– Kochasz go? – zapytał niespodziewanie. – Swojego męża?

Milczałam przez chwilę, wypuszczając powoli dym.

– Tak – odpowiedziałam cicho. – Kocham. Istnieją różne rodzaje miłości. Mamy córkę. Bardzo za nimi tęsknię. Tęsknię za Niemcami.

– Nigdy tam nie byłem. – Położył ręce pod głową i wyciągnął nogi. – Słyszałem, że w Niemczech robi się naprawdę nieprzyjemnie. Wojna dała się wam, szwabom, we znaki.

– Owszem. – Nagle poczułam, że chciałabym zostać sama. – Nocujesz dziś u mnie?

– Nie. – Wstał z łóżka i podszedł do krzesła, na którym leżały jego ubrania. – Muszę jutro wcześnie wstać. Będziemy kręcili końcową scenę. A potem powinienem zobaczyć się z Lupe. – Skrzywił się. – Doprowadza mnie do szału. Mówię ci, ona ma nie po kolei w głowie.

Nie odezwałam się, ale byłam tego samego zdania. Gary opowiadał mi, że Lupe Vélez lubiła za nim chodzić, wskazywać jego krocze i grozić, że odetnie mu *huevos*. Nie wiedziałam, dlaczego to znosił, dlaczego tkwił w nieudanym małżeństwie i ciągnął romans z zazdrosną kochanką, która mogła go w każdej chwili wykastrować.

– Ona myśli, że porzucę dla niej żonę – oznajmił, wkładając marynarkę. – Ale się myli. Wniosę sprawę o rozwód, kiedy tylko wytwórnia mi na to pozwoli, ale nie zamierzam się żenić z Lupe. Ona potrzebuje szpitala dla obłąkanych, a nie męża. – Przeczesał włosy palcami, nawet nie patrząc w lustro wiszące nad toaletką. Zadziwiał mnie jego brak próżności. Nigdy nie znałam nikogo takiego.

Kiedy nie stał przed kamerą, kompletnie nie interesował się swoim wyglądem.

– A ty to zrobisz? – zapytał.

– Co zrobię? – Oparłam się o wezgłowie.

– Rozwiedziesz się? Mówisz, że go kochasz, ale zakochana kobieta nie pieprzy się tak jak ty.

– Czyżby? – Gary mnie pocałował, a ja złapałam go za podbródek. – Wracaj do domu, do żony. I kup sobie broń. Lupe naprawdę może spróbować odciąć ci te wielkie jaja, a ja bym za nimi tęskniła.

Roześmiał się i ruszył do drzwi.

Wiedziałam, że to nie może trwać w nieskończoność. Nie miałam złudzeń. Lubiłam jego towarzystwo, dobrze się z nim czułam, ale nie łączyło nas nic poza pożądaniem. Byłam jednak zadowolona – to mi wystarczyło. Przynajmniej do zakończenia prac nad filmem albo do momentu, w którym Gary zacznie mnie nudzić.

Nie obchodziło mnie, że von Sternberg, delikatnie mówiąc, nie czuł się w tej sytuacji komfortowo.

W ostatniej scenie, kiedy rozlegają się dźwięki trąbki wzywającej legionistę, Amy dostrzega swoje imię wyryte obok niego na blacie stołu. Nie potrafi się oprzeć i dołącza do odjeżdżającej karawany, a jej biała spódnica i bluzka falują na wietrze. Bohaterka zrzuca buty i znika pośród rozgrzanych piasków.

Zdjęcie butów było moim pomysłem. W studio panował straszny zaduch, a maszyny rozdmuchiwały góry piasku sprowadzonego z pobliskiej plaży. Kiedy tak stałam,

osłaniając twarz, podczas gdy karawana kierowała się przed siebie, pomyślałam, że Amy zależałoby na czasie. Chciałaby jak najszybciej dołączyć do ukochanego. W chwili, w której zrzuciłam buty, von Sternberg ryknął zza kamery:

– Cięcie! – Podszedł do mnie z megafonem w dłoni. – Co ty wyprawiasz?

– Zdejmuję buty. To pustynia, ona nie może chodzić w butach na obcasach.

– Może. – Poczułam na twarzy krople jego śliny. – Poparzy sobie stopy. Natychmiast wkładaj buty.

– Nie. Nie włożę ich. Niech to będzie ostatnie ujęcie. Symbol jej przeszłości.

– Symbol! Czyżbyś zabrała się teraz do reżyserii? – Odszedł jednak na bok, żeby się zastanowić, a buty zostały ostatecznie tam, gdzie je porzuciłam. Leżały na słońcu podczas ostatniego ujęcia.

Kiedy skończyliśmy, wszyscy mieli serdecznie dość piasku. Pokaz przedpremierowy odbył się w Pomonie, zakurzonej dzielnicy na przedmieściach Los Angeles. Nigdy wcześniej nie słyszałam o pokazach przedpremierowych, ale wypełniliśmy swój obowiązek, elegancko się ubraliśmy i zjawiliśmy się w kinie. Sala była w połowie pusta. Po projekcji nikt nie klaskał, choć film był wspaniały i zdecydowanie mniej jednowymiarowy, niż przypuszczałam.

Obawiałam się, że czeka nas kompletna klapa. Wytwórnia chciała wyprodukować spokojniejszą, bardziej uładzoną wersję przygód Loli Loli, ale chemia między mną a Garym,

męskie stroje i lesbijski pocałunek musiały okazać się zbyt śmiałe dla amerykańskiej klasy średniej. Choć w tym przypadku nie było to tak oczywiste jak w *Błękitnym aniele*, nikt nie mógł wziąć *Maroka* za coś innego niż opowieść o podszytym masochizmem podporządkowaniu.

Najwidoczniej przedstawiciele Paramountu podzielali moje obawy. Zorganizowali ekstrawagancką premierę w Grauman's Chinese Theater – po raz pierwszy wybrali na taką okazję to legendarne miejsce. Zjawili się wszyscy najznamienitsi i najbardziej szanowani recenzenci oraz dziennikarze. Byłam oszołomiona liczbą gości, fotografów i wiwatujących fanów, których mijałam, ubrana w obcisłą suknię z czarnego szyfonu i etolę ze srebrnych lisów.

Ku naszemu zaskoczeniu *Maroko* okazało się wielkim hitem. Krytycy nazwali mnie „uwodzicielską rywalką Garbo", co wzbudziło wielki zachwyt dyrektorów wytwórni. Schulberg osobiście do mnie zadzwonił, żeby poinformować, że film pobił wszelkie rekordy i odniósł wielki sukces kasowy, a następnie zaproponował mi natychmiastowe odnowienie kontraktu i podwojenie wynagrodzenia. Złożył też obietnicę, że von Sternberg nadal będzie reżyserował produkcje z moim udziałem, a na koniec zaoferował mi wspaniałą willę w stylu śródziemnomorskim w Beverly Hills. Miała za nią oczywiście zapłacić wytwórnia.

I tak oto stałam się nową gwiazdą Paramountu.

Natychmiast rozpoczęły się prace nad nowym filmem, *Zniesławioną*. Harowałam od rana do nocy, biegając od

przymiarek kostiumów pod okiem głównego krawca wytwórni, Travisa Bantona, do produkcji materiałów reklamowych. Pojawiałam się na organizowanych przez Paramount przyjęciach w Cocoanut Grove czy Club New Yorker w towarzystwie kilku nowych, dobrze zapowiadających się aktorów. Nadal znajdowałam też czas na schadzki z Garym.

Wreszcie udało mi się osiągnąć to, na co od tak dawna pracowałam. Stałam się sławna, witano mnie z zachwytem, gdziekolwiek się pojawiałam. Zarabiałam tyle, że mogłam bez trudu utrzymywać rodzinę w Niemczech. Nawet sztucznie wykreowana rywalizacja z Garbo – temat nieustannie eksploatowany przez prasę – przestała mnie irytować, udało mi się bowiem osiągnąć podobny status i dokonać tego w podobnym czasie. Wiedziałam, że choć nie dostawałam jeszcze pożądanych przez wszystkie aktorki ról dramatycznych, wkrótce zaczną się one pojawiać. Zamierzałam szlifować umiejętności i doskonalić warsztat. Obiecałam sobie, że żadna aktorka nie będzie wiedziała o kręceniu filmów więcej ode mnie. Stanę się skarbem, narzędziem, marionetką gotową spełnić każde życzenie von Sternberga. Dopiero od niedawna zaczęłam przecież w pełni wykorzystywać swój potencjał.

Zamiast jednak rozkoszować się sławą i sukcesem, marzyłam tylko o powrocie do Berlina.

SCENA PIĄTA

BOGINI POŻĄDANIA

1931-1935

„MÓWIĄ, ŻE VON STERNBERG MNIE RUJNUJE. A JA NA TO ODPOWIADAM: NIECH MNIE RUJNUJE”

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bohaterką *Zniesławionej* jest owdowiała prostytutka z Wiednia. Podczas wojny zostaje szpiegiem, a potem zakochuje się w rosyjskim agencie, który ją zdradza. Na końcu grana przeze mnie postać staje przed plutonem egzekucyjnym. Kiedy powstał scenariusz, Schulberg zażądał, żebyśmy skończyli zdjęcia w ciągu dwóch miesięcy – chciał możliwie szybko skonsumować mój sukces i apetyt publiczności.

Popełnił błąd. Prawdopodobnie właśnie ze względu na pośpiech mój drugi film nie zdobył takiej popularności jak *Maroko*. Kiedy przyjechałam do Ameryki, cały kraj zalały moje zdjęcia i reklamy z moim udziałem, a widzowie ruszyli tłumnie do kin, żeby zobaczyć pierwszą produkcję z nową gwiazdą Paramountu. Teraz jednak zdążyli już zaspokoić ciekawość. Mimo to kilku przenikliwych krytyków pochwaliło rolę, a Schulberg potwierdzał w wywiadach swoją wiarę w naszą współpracę. Podkreślał też, że żaden film nie odnosi obecnie szczególnych sukcesów.

Jednak Von Sternberg odebrał ten brak zainteresowania jako policzek.

– W tym mieście liczą się tylko pieniądze – powiedział z wściekłością, rzucając na bok wycinki z recenzjami. – To lepszy film niż *Maroko*, ty też jesteś w nim lepsza, ale oni tego nie rozumieją. Kogo to w ogóle obchodzi?

W przeciwieństwie do Niemiec Ameryka nie cierpiała w czasie wojny.

Był zdenerwowany, przemęczony i zniecierpliwiony stałym nadzorem wytwórni. Potrzebował odpoczynku. Oboje go potrzebowaliśmy. Pracowaliśmy nieprzerwanie przez ponad dwa lata i nakręciliśmy wspólnie trzy filmy. Mój nowy kontrakt miał wejść w życie dopiero na wiosnę. Ponieważ skończyliśmy *Zniesławioną* i zbliżały się święta Bożego Narodzenia, postanowiłam wykorzystać tę krótką przerwę i wynająć ekipę, która wyremontuje i urządzi mój nowy dom. Sama zaś ruszyłam na londyńską premierę *Maroka*, po której zamierzałam wreszcie odwiedzić Berlin i spędzić trochę czasu z rodziną.

Kiedy podbiegłam do Rudiego, Tamary i Heidede, fotografowie zaczęli wykrzykiwać moje imię i robić mi zdjęcia. Moja córka miała wkrótce skończyć osiem lat i nie mogłam uwierzyć, że tak bardzo wyrosła. Jej długie nogi, zmierzwione loki i buntownicza mina przypominały mi samą siebie sprzed lat.

– Tęskniłaś za mną? – zapytałam, kiedy wynajęty przez wytwórnię szofer pomógł nam uciec przed podnoszącymi wrzawę reporterami i ruszył do mieszkania bocznymi uliczkami. – Ja za tobą strasznie tęskniłam. – Mocno ją przytuliłam, ale Heidede mi się wyrwała i spojrzała na mnie ze zdziwieniem, tak jakby nie była pewna, kim jestem.

– Dzieci szybko zapominają – wyjaśniła mi tego wieczoru Tamara, kiedy Heidede poszła spać i usiedliśmy razem przy stole. Starała się dodać mi otuchy. Przygotowała cudownie

tuczącą kolację złożoną ze schabu, ziemniaków, żytniego chleba i kapusty kiszonej. Nie najadłam się tak, odkąd wyjechałam. – Potrzebuje po prostu czasu. Zmieniłaś się, dlatego cię nie rozpoznaje.

– Nie zmieniłam się aż tak bardzo. – Pociągnęłam łyk piwa, a po chwili głośno mi się odbiło.

– To prawda. – Rudi wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wyglądał na zadowolonego. Pracował teraz na pełen etat: został zatrudniony przez UFA i Paramount jako współproducent zajmujący się dystrybucją filmów amerykańskiej wytwórni w Niemczech. To ja załatwiłam mu tę pracę u Schulberga, a Paramount się zgodził, zapewne dlatego, że znalezienie zajęcia dla Rudiego zmniejszało szansę na jego pojawienie się z Heidede pod moimi drzwiami w Beverly Hills. Wytwórnia nadal usiłowała ukrywać moje małżeństwo. W rubryce towarzyskiej prowadzonej przez Louellę Parson pojawiały się regularnie całkowicie zmyślone plotki o tym, kogo widziano u boku Marleny Dietrich w Cocoanut Grove.

– Jestem nadal Leną – powiedziałam. – Dietrich to tylko iluzja. Efekt dobrego oświetlenia i charakteryzacji.

– To coś więcej. – Tamara dotknęła ramienia Rudiego, po czym wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. – Stałaś się taka szczupła i elegancka. A to futro... To ryś, prawda? Musiało kosztować fortunę.

– Weź je. – Szeroko otworzyła oczy, a ja powiedziałam: – Przejrzyj moje walizki i weź sobie to, co ci się podoba. To tylko ubrania. Wytwórnia kupi mi kolejne.

– Och, dziękuję, Marleno. – Tamara wyszła z pokoju, szeroko się uśmiechając.

Przeniosłam wzrok na Rudiego.

– Bardzo ją uszczęśliwiłaś – powiedział cicho. – W Berlinie wszystko jest strasznie drogie i nie stać jej na nowe ubrania.

– No cóż, Tamara uszczęśliwia ciebie. Kocha Heidede i opiekuje się nią jak własną córką. Przynajmniej tyle mogę dla was zrobić.

– Wystarczająco nam pomagasz, przesyłając regularnie pieniądze. Nie musisz oddawać jeszcze swoich ubrań. Tamara tak czy inaczej cię uwielbia.

Uśmiechnęłam się i zapaliłam papierosa. Rudi dobrze wyglądał, ale zachowywał się tak, jakby coś przede mną ukrywał.

– Wszystko okej w nowej pracy? Dobrze cię traktują?

– „Okej”? Mówisz już jak Amerykanie. Tak, wszystko w porządku. Jestem tajemniczym panem Dietrich.

Skrzywiłam się.

– To nie była moja decyzja. Kiedy tylko dotarłam do Stanów, ogłosiłam, że mam męża i dziecko. Przedstawiciele wytwórni wpadli w szał. Okazuje się, że jeśli kobietę musi otaczać aura tajemnicy, powinna pozostawać samotna.

– Nie o to chodzi. – Spojrzał mi w oczy. – Marleno, czytałaś ostatnio gazety?

– Tak, czytam je, kiedy tylko mogę. Przysyłają mi wycinki i fragmenty recenzji...

– Nie, nie mówię o tobie. Mam na myśli sytuację w Niemczech. Nie wiesz, co tu się dzieje?

Przypomniałam sobie słowa Gary'ego: „Słyszałem, że w Niemczech robi się naprawdę nieprzyjemnie. Wojna dała się wam, szwabom, we znaki". Potrząsnęłam głową i ogarnęło mnie poczucie winy.

– Nie za bardzo.

– No cóż, sytuacja staje się coraz bardziej niepokojąca. – Sięgnął po papierosy. Ze zdziwieniem zauważyłam, że drżą mu ręce. Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Był przerażony. – Bezrobocie i inflacja osiągnęły rekordowy poziom. We wrześniu Hitler zdobył czterdzieści pięć procent głosów. Stoi teraz na czele drugiej pod względem wielkości partii w Niemczech, ma w rękach ogromną władzę. Emituje w radiu przemówienia pisane przez jego ministra propagandy, Josefa Goebbelsa, autora powieści tak antysemickiej, że nikt nie chce jej wydać. Goebbels rozwinął formułowany przez Hitlera przekaz, zgodnie z którym żydowscy bankierzy i finansiści spiskują przeciw prawdziwym Niemcom, chcąc doprowadzić ich do upadku. Wielu ludzi w to wierzy.

Nagle przypomniał mi się tamten dzień, kiedy zatrzymali nas z Leni młodzi wielbiciele Hitlera. Zrobiło mi się niedobrze.

– Przecież nie wszyscy są chyba tak naiwni. Bogaci, finansiści, wykształceni... Żaden inteligentny człowiek nie uwierzyłby w te brednie.

– Stalowy potentat Thyssen przekazał partii ogromną darowiznę, to samo zrobił przemysłowiec Quandt. Popiera ich nawet Amerykanin Henry Ford. Uważają, że Hitler może nas uratować. – Rudi westchnął. – Wielu utalentowanych ludzi zaczęło wyjeżdżać z Niemiec. William Dieterle, z którym zresztą współpracowałaś, przeniósł się do Ameryki i kręci tam filmy. Inni idą w jego ślady. Ludzie, którzy czytają gazety albo słuchają tych przemówień, coraz bardziej się boją. Wygląda na to, że Hitler zostanie kanclerzem w przyszłym Reichstagu. Do tego właśnie dąży i nie spocznie, dopóki nie zrealizuje celu.

Zacisnęłam pięści.

– Do czego zmierzasz? Też planujesz wyjechać?

– Nie. Przynajmniej jeszcze nie. Ale Heidede... Chcemy, żebyś zabrała ją ze sobą. Rozmawialiśmy o tym z Tamarą, Marleno. Wiemy, że bardzo ją kochasz, ale ponieważ ukrywasz nasze małżeństwo ze względu na wytwórnię...

– Zapomnij o wytwórni. – Pochyliłam się w jego stronę. – Powiedz mi lepiej, jak to sobie wyobrażasz.

– Heidede chodzi do szkoły, a teorie Hitlera cieszą się poparciem wśród nauczycieli, którzy wmawiają dzieciom, że Żydzi są wrogami Niemców. Nie chcę, żeby nasza córka stykała się z taką propagandą.

Słuchałam tego z przerażeniem, ale jego prośba bardzo mnie zaskoczyła.

– Miałabym zabrać naszą córkę do Stanów, wyrwać ją z Berlina i odizolować od wszystkich, których zna? Od ciebie, Tami i mojej matki? Rudi, ona jest Niemką. Urodziła

się tu, tak jak ty i ja. Owszem, pracuję w Ameryce, ale Niemcy to nadal nasza ojczyzna.

– Wiem. Ale nie sądzę, żeby Niemcy jeszcze długo pozostały naszą ojczyzną.

– Nie wierzę, że mówisz poważnie – oznajmiłam.

– Mówię poważnie – odparł ponuro. – To poważna sytuacja i każdy, kto słyszał Hitlera, powinien to rozumieć.

Postanowiłam odłożyć tę decyzję na później. Planowałam wyjechać dopiero w kwietniu, skupiłam się zatem na urodzinach Heidede, które miały się odbyć 12 grudnia, i na moich własnych, trzydziestych, które wypadały dwa tygodnie później, po świętach Bożego Narodzenia. Moja rodzina miała je obchodzić z nami.

Mutti była nadal równie zatroskana i niezłomna jak dawniej – i równie sceptycznie podchodziła do moich sukcesów.

– Ten film o pustyni to kompletna brednia – oznajmiła. – I czy zawsze musisz odsłaniać nogi i ramiona? Nie należysz do najszczuplejszych. Czy to w Ameryce nowa moda, że tłuste kobiety paradują na wpół rozebrane?

Westchnęłam.

– Mutti, nie jestem tłusta. Poza tym obowiązuje mnie kontrakt. Robię to, co każe mi wytwórnia.

Spojrzała na mnie z ukosa.

– A raczej to, co każe ci robić ten austriacki Żyd. Nie twierdzę, że tłuszcz to coś złego. Uważam po prostu, że powinnaś zachowywać większą dyskrecję. Granie

prostytutek i piosenkarek kabaretowych to nie jest godna szacunku kariera.

Przynajmniej zdecydowała się przyznać, że zrobiłam karierę. Wiedziałam, że nie warto się z nią spierać, bo Mutti nigdy nie zmieniłaby zdania. Dałam jej pieniądze, poprosiłam, żeby przestała sprzątać cudze domy (nie zamierzała porzucić tego zajęcia), i spotkałam się z Liesel, która była szczęśliwa ze swoim mężem, ale nie potrafiła pogodzić się z faktem, że nie może zajść w ciążę. Podczas smutnego popołudnia spędzonego z wujkiem Willim, którego sklep zaczął przynosić coraz większe straty, dowiedziałam się, że Jolie w końcu go porzuciła – i związała się z lotnikiem. Mój wujek był zrozpaczony, a ja starałam się go wesprzeć, dając mu rady oraz pieniądze. Chciałam zapytać o homoseksualizm, ale tego nie zrobiłam: wolałam nie wymuszać na nim wyznań i nie skłaniać do wypierania prawdziwej tożsamości. Teraz, kiedy Jolie odeszła, nie miało to większego znaczenia. To była jego tajemnica – mógł jej dalej strzec, choć przypłacił ją zniszczonym małżeństwem.

Odwiedziłam też kabarety przy Nollendorfplatz, akademię Reinhardta, teatr rewiowy Nelsona oraz inne miejsca, w których dawniej występowałam. Wszędzie witano mnie z entuzjazmem, zapraszano na kolacje i drinki – moja sława okazała się jednak dużym ciężarem. Pewnej nocy w Das Silhouette, gdzie przyszłam w męskim płaszczu i fedorze, usiłując zachować anonimowość, zostałam rozpoznana w ciągu kilku sekund. Tłum rzucił się na mnie i zaczął zdzierać ze mnie ubrania, musiałam więc zostać

wyprowadzona tylnymi drzwiami. Kiedy poszłam na nowy spektakl Friedricha Hollaendera, widzowie nie pozwolili rozpocząć przedstawienia, dopóki nie wyszłam na scenę i nie zaśpiewałam. Ostatecznie nie miałam wyboru i musiałam przyjąć wielokrotnie powtarzaną przez UFA propozycję: nagrałam w studio płytę złożoną z niemieckich piosenek, które wykonywałam na scenie i w filmach.

To zainteresowanie mi pochlebiało: Niemcy najwyraźniej o mnie nie zapomniały. Po raz pierwszy w życiu zdałam sobie jednak sprawę, że może nigdy nie będę mogła wrócić do własnego kraju. Byłam zbyt odsłonięta, pozbawiona ochrony, którą zapewniała wielka amerykańska wytwórnia. Przez długi czas marzyłam o sławie, ale kiedy już ją zdobyłam, nie czułam takiego spełnienia, jakiego oczekiwałam. Nagle dotarło do mnie, że sława odbiera mi całe fragmenty życia, których być może nigdy już nie odzyskam.

Berlin zmienił się nie do poznania. Hitlerowcy obwiesili swastykami niezliczone budynki i maszerowali ulicami tak jak w przeszłości – tyle że teraz gwałtownie rośli w siłę. Widok ich brunatnych koszul i stukot ciężkich butów przyprawiały mnie o mdłości. Kiedy zaś słyszałam, jak ludzie wiwatowali na ich cześć, krzycząc: *Heil Hitler!*, w mojej głowie rozbrzmiewały słowa Rudiego. Ta plama, którą dostrzegłam wiele lat temu, zaczęła się nagle rozrastać jak nowotwór.

Ale choć napięcie narastało, nadal nie chciało mi się wierzyć, że Hitler mógłby okazać się czymś więcej niż tylko

przelotnym kaprysem. Jego postulaty nie korespondowały z niemieckim charakterem. Mieliśmy zbyt pragmatyczne podejście: jego agresywna postawa musiała w końcu go zdemaskować, odsłonić małostkowego tyrana, wyładowującego swoją frustrację na niewinnych ludziach.

Głównym celem propagandy Hitlera stali się Żydzi. Dzielnice, w których mieszkali, regularnie dewastowano. Szokujące dowody nienawiści nie ominęły nawet wspaniałych domów towarowych – tego przy Leipziger Platz, należącego do sieci Wertheim, a także Kaufhaus des Westens przy Wittenbergplatz. Powybijano szyby, a na fasadach wymalowano farbą obelgi takie jak *Judenschwein!* W geście sprzeciwu poszłam tam z Heidede i Tamarą, a następnie pozwoliłam się sfotografować podczas wielkich zakupów. Te słynne sklepy, jedne z najlepszych i najbardziej eleganckich w Berlinie, gwałtownie opustoszały, z półek poznikały towary, a pracownicy wydawali się przestraszeni i podenerwowani.

Wtedy zadzwonił do mnie von Sternberg. *Maroko* okazało się najlepszym filmem tego naznaczonego wielkim kryzysem roku i otrzymało aż cztery nominacje do Oscara – w tym jedną dla niego za reżyserię, a drugą dla mnie za pierwszoplanową rolę kobiecą. Zanim zdołałam przetworzyć te wspaniałe doniesienia, poinformował mnie, że w związku z sukcesem *Maroka* wytwórnia wprowadziła do kin *Błękitnego anioła*. On również okazał się wielkim hitem i potwierdził mój wizerunek ponętnej kusicielki.

– *Zniesławiona* co prawda nie przyniosła spodziewanych zysków – dodał von Sternberg – ale nawet Garbo musiała zwrócić na ciebie uwagę. Jakiś dziennikarz zapytał ją, co o tobie myśli, i wiesz, co ta szwedzka dziwka odpowiedziała? „Marlena Dietrich? A kim ona jest?”. – Paplał jak najęty, nie dopuszczając mnie do słowa. – Mam dla ciebie nowy film. O kobiecie lekkich obyczajów podróżującej chińskim pociągiem. *Grand Hotel* na kółkach. Musisz wrócić tak szybko, jak tylko się da. Schulberg jest bardzo podekscytowany. W roli twojego ukochanego zamierza obsadzić Brytyjczyka Clive’a Brooka.

– Ale w wytwórni powiedziano mi, że mam czas do kwietnia – zaprotestowałam. – Dopiero tu przyjechałam.

– Pierwszego masz się zjawić na przymiarkach. I nie roztyj się. – Powiedziawszy to, odłożył słuchawkę.

Wiedziałam, że gdy tylko wrócę do Ameryki, wytwórnia weźmie mnie w obroty: będę pracowała całymi dniami, czasem do późna w nocy. Jak Heidede poradzi sobie w amerykańskiej szkole dla dzieci gwiazd, przewożona tam i z powrotem wynajętym samochodem – o ile w ogóle Paramount pozwoli jej ze mną zamieszkać?

Odpowiedź na to pytanie przyszła szybciej, niż przypuszczałam. Kiedy po powrocie z kolejnych zakupów weszłyśmy z Tamarą i Heidede do mieszkania – poczułam się tak, jakby ktoś cofnął czas. Stanęłam jak wryta, zrzucając na podłogę pudełka z kapeluszami.

– To... to niemożliwe – wydusiłam.

Rudi się roześmiał.

– Zadzwoniła do mnie do pracy. Nie mam pojęcia, jak mnie znalazła.

– Jestem dziennikarką, pamiętasz? – odezwała się Gerda. – A raczej byłam. Teraz jestem bezrobotna.

Mocno ją przytuliłam. Jej wizyta tak mnie zaskoczyła, że aż się rozpłakałam.

– Och, nie – wyszeptała. – Nie ma mowy. Nie pozwolę na to.

Przy kawie opowiedziała mi o tym, jak straciła pracę w Monachium.

– Zostałam po prostu wyrzucona. Mój redaktor naczelny wyjechał na urlop, więc skorzystałam z okazji i napisałam krytyczny artykuł o Hitlerze. – Skrzywiła się. – To bandyci, kryminaliści i zbiry. Zastępca redaktora miał podobne zdanie, więc opublikowaliśmy ten tekst w niedzielnym wydaniu. Kiedy nasz szef wrócił, wpadł w szał. Okazało się, że wcale nie był na urlopie: pojechał na jeden z ich wieców! Wyrzucił nas na zbity pysk, bez referencji. Powiedział, że gdyby to od niego zależało, nigdy już nie znaleźlibyśmy w Niemczech pracy.

– Och, Gerdo. – Wzięłam ją za ręce. Była ubrana w wymiętą spódnicę i staroświecką bluzkę. Prawie się nie zmieniła – oprócz tego, że schudła, miała zapadłe policzki i mętne spojrzenie. Kiedy Tamara postawiła na stole talerz z ciastkami, Gerda rzuciła się na nie tak, jakby od wielu dni nic nie jadła. – I co teraz zrobisz?

– Nie wiem. Wyjadę stąd tak szybko, jak tylko się da. Cóż innego możemy zrobić, jeśli nie chcemy, żeby Hitler pożarł

nas żywcem? – Po chwili dodała smutno: – Tyle że nie mam pieniędzy. – Posłała mi wymuszony uśmiech. – Ale dość już o mnie. Opowiedz mi lepiej o sobie. Widziałam *Błękitnego anioła*. Marleno, wspaniale to zagrałaś! Pamiętasz, jak kazałam ci kiedyś recytować Szekspira? Kto by pomyślał, że zamiast tego będziesz siedziała w bieliźnie na beczce?

Roześmiałam się, ale nie puściłam jej dłoni.

– Gerdo, pozwól mi sobie pomóc.

Jej ręka zadrżała.

– Nie. Nie przyszłam tu po to, żeby prosić cię o pieniądze. Chciałam się z tobą zobaczyć i... no cóż, nie miałam nic lepszego do roboty.

– Mówię poważnie. Bardzo mi kiedyś pomogłaś. Powiedz mi tylko, dokąd chcesz jechać. Nalegam.

Gerda odwróciła wzrok. Nienawidziła łez.

– Sama nie wiem, może do Paryża? Na pewno potrzebują tam dziennikarek bez wyczucia stylu. – Uniosła wzrok. Płakała. – Nie mam pojęcia. Nie wiem, co robić.

Przytuliłam ją i pozwoliłam jej wypłakać się na moim ramieniu. W pewnej chwili do pokoju weszła Heidede, która przystanęła i spojrzała na nas ze zdziwieniem. Kiedy zerknęłam na nią znad ramion Gerdy, wpadłam nagle na pewien pomysł. Wiedziałam już, co robić.

ROZDZIAŁ DRUGI

Na pokład statku płynącego do Ameryki wsiadłam z moją nadąsaną córką, która gromiła mnie za to, że każę jej rozstać się z Rudim, babcią i Tamarą. Chcąc zrobić mi na złość, wczepiła się w Gerdę, którą zatrudniłam jako jej oficjalną guwernantkę. Ku mojemu zaskoczeniu Gerda sprawnie uspokajała Heidede i tłumiła jej napady złości. Po raz kolejny, podobnie jak w przypadku Tamary, musiałam pogodzić się z tym, że moje dziecko okazywało czułość innej kobiecie.

Nie mogłam nic na to poradzić. Potrzebowałam kogoś, kto zaopiekowałby się Heidede w Ameryce, a kiedy już Gerda przyjęła moją propozycję, zadzwoniłam do von Sternberga i poinformowałam go o swojej decyzji. W słuchawce zapadła cisza, a ja wstrzymałam oddech. Wreszcie von Sternberg odpowiedział:

– Schulbergowi się to nie spodoba, ale co może zrobić? Nie zdoła wiecznie trzymać cię z dala od dziecka.

– Przekaż mu, że zrobię wszystko, żeby o niej nie pisano – zapewniłam. Bałam się, że moja decyzja okaże się sprzeczna z zapisami kontraktu, który podpisałam. – Ma guwernantkę, więc będzie się uczyła w domu. A w kolejnym filmie powinnam chyba zagrać matkę, żeby przygotować publiczność na zmianę wizerunku. Skończyłam trzydzieści lat. Nie mogę do końca życia grać dziewcząt z kabaretów.

– Zobaczymy – oznajmił.

W czasie dalszej podróży przez ocean dręczył mnie niepokój: nie wiedziałam, czy von Sternberg się zgodził, czy uznał mnie za nieodpowiedzialną i lekkomyślną. Kiedy dotarłyśmy do Nowego Jorku, przygotowałam się na najazd dziennikarzy. Ubrałam się w nowe, przywiezione z Europy stroje, w nadziei że zdołam odwrócić uwagę fotoreporterów. Gerda i Heidede wysiadły pierwsze i pojechały prywatnym samochodem do hotelu Ambasador. Ja pojawiłam się tam dopiero po godzinie razem ze stertą bagażu. Dziennikarze oślepiali mnie fleszami i zasypywali pytaniami o podróż, ale ku mojej uldze nikt nie wspominał o moim mężu i dziecku.

– Nie myśl, że o tym zapomnieli – zbeształ mnie von Sternberg, kiedy dotarliśmy do Beverly Hills. – Może i na chwilę odwróciłaś ich uwagę strojami, ale w końcu ktoś zauważy twoje dziecko i będzie po wszystkim.

– A wtedy powiem prawdę. Heidede nie powinna w obecnej sytuacji mieszkać w Niemczech.

– Tu nie chodzi o prawdę. Kochająca matka, która troszczy się o dziecko? Z tego zawsze można zrobić dobrą reklamę. Ale co z mężem, którego porzuciła? To nie takie proste.

Nie mylił się. W ciągu kilku dni „Los Angeles Times” opublikował na okładce moje zdjęcie z Heidede na zakupach w Berlinie. Przekazała je prasie konkurencyjna wytwórnia, UFA, która chciała mnie za wszelką cenę odzyskać. Jej przedstawiciele najwyraźniej uznali, że taka informacja zaszkodzi mojemu pracowicie budowanemu w Ameryce wizerunkowi.

Zgodnie z przewidywaniami von Sternberga, Paramount szybko podjął odpowiednie kroki, żeby przekuć porażkę w sukces. Zrobiono nam z Heidede specjalną sesję fotograficzną, podczas której pozowałyśmy w identycznych aksamitnych strojach. Ten dowód miłości okazał się wyjątkowo skuteczną pokusą dla rubryk plotkarskich, a w mojej obronie stanęła sama Louella Parsons. Wszystko wyszło jednak na jaw. Wytwórnia musiała potwierdzić, że Marlena Dietrich ma też męża – w przeciwnym razie ktoś mógłby pomyśleć, że Heidede jest nieślubnym dzieckiem. Ogłoszono, że Rudi pracuje w Berlinie pod auspicjami Paramountu i że wytwórnia zamierza jak najszybciej znaleźć mu pracę w Ameryce.

Gerda opiekowała się Heidede i objęła też funkcję mojej prywatnej sekretarki. Wróciłam do pracy.

Podczas podróży pociągiem przez pustoszone przez wojnę Chiny Szanghaj Lily, ubrana w czarny płaszcz i woalkę, z czaplimi piórami owiniętymi wokół szyi, spotyka przypadkiem dawnego ukochanego, brytyjskiego oficera. „Trzeba było więcej niż jednego mężczyzny, żeby skłonić mnie do zmiany imienia na Szanghaj Lily” – mruczy, ale to właśnie dla niego wszystko poświęca. Gotowa jest podporządkować się sadystycznemu przywódcy rebelii komunistycznej po to, by uratować kapitana Donalda Harveya.

Mojego ukochanego grał Clive Brook. Miał już stabilną pozycję w branży, cechował się charakterystycznym brytyjskim stoicyzmem i bez protestów przyjmował

autorytarny styl reżyserii von Sternberga. Nie przeszkadzał mu też fakt, że to grana przeze mnie postać znajdowała się w centrum wydarzeń i była główną bohaterką filmu. Brook rozumiał siłę mojego nazwiska i czuł się na tyle pewnie, że się nie buntował. Nie wydawał mi się tak fascynujący i przystojny jak mój poprzedni partner filmowy – ale któż mógł rywalizować z Garym Cooperem? Clive sprawnie wygłaszał swoje kwestie i wiedział, kiedy usunąć się w cień – tylko tego, jak z upodobaniem podkreślał von Sternberg, od niego wymagaliśmy.

Ku mojej radości na planie *Szanghaj Ekspres* spotkałam się ponownie z Anną May Wong, która wróciła do Los Angeles. Von Sternberg obsadził ją w roli towarzyszki Lily, Hui Fei. Bardzo się cieszyłam z tej wspólnej pracy. Gdy tylko miałyśmy okazję, śmiałyśmy się z absurdalnego scenariusza i plotkowałyśmy w mojej garderobie. Anna May opowiedziała mi o naszej dawnej przyjaciółce, Leni Riefenstahl, która nadal grała w alpejskich produkcjach Fancka i zaczęła kręcić się wokół wpływowych zwolenników Hitlera.

– Po tym, jak sprzątnęłaś jej sprzed nosa rolę w *Błękitnym aniele*, zdecydowała, że sama zostanie reżyserem i zacznie kręcić filmy – oznajmiła Anna, znacząco przewracając oczami. – Zaprzyjaźniła się z Goebbelsem. Prawdopodobnie z nim sypia. Leni zawsze chętnie sięgała po takie metody.

Skrzywiłam się.

– Pożałuje tego. Byłam ostatnio w Berlinie. Dzieją się tam straszne rzeczy.

– Tak, słyszałam, że wzbudziłaś sensację, kiedy poszłaś z córką na zakupy do żydowskich sklepów. – Anna uśmiechnęła się figlarnie. – Czy podczas swojego pobytu miałaś okazję wąchać fiołki?

Zapaliłam papierosa.

– W żadnym wypadku. Dziennikarze nie odstępowali mnie na krok.

Położyła dłoń na moim udzie.

– W Hollywood też roi się od wielbicielek fiołków, choć tutaj nazywa się to kółkami robótek ręcznych. Wiele kobiet ma takie upodobania, to bardziej powszechne, niż mogłoby się wydawać. Takim rozrywkom oddają się nawet Louise Brooks i Greta Garbo. W przeciwieństwie do mężczyzn o skłonnościach homoseksualnych, na nasze igraszki przymyka się oko, o ile nie zachowujemy się zbyt ekscentrycznie i wyzywająco.

– Po raz drugi wspominasz o Garbo – zauważyłam. – Skąd ta pewność co do jej orientacji? Prawie nie pojawia się publicznie. Z tego, co słyszałam, opuszcza dom tylko wtedy, gdy jedzie na plan filmowy.

– Wiem o tym, bo ma kochankę. Chce mieć święty spokój i robić to, co jej się żywnie podoba.

Rozważałam przez chwilę jej słowa. Mój romans dobiegł końca. Gary dzwonił do mnie i proponował kolejne spotkanie, ale kiedy usłyszałam w tle narzekania Lupe, uznałam, że lepiej nie ryzykować: była szalona, a ja musiałam mieć na uwadze przede wszystkim bezpieczeństwo mieszkającej u mnie Heidede. Odkąd

w moim życiu pojawiła się Gerda – choć nasza relacja była czysto platoniczna – zaczęłam tęsknić za intymnością, która łączyła mnie dawniej z kobietami. W towarzystwie przedstawicielek własnej płci nigdy nie czułam, że muszę być idealna. Te relacje wydawały mi się prostsze, wolne od jakichkolwiek oczekiwań i zobowiązań.

Ktoś zapukał do drzwi garderoby.

– Dziesięć minut, pani Dietrich.

Zgasiłam papierosa i powiedziałam:

– Dlaczego nie? Przyda mi się odrobina rozrywki.

– Kiedy nasze kółko cię zobaczy – mruknęła Anna – zaznasz czegoś więcej niż tylko rozrywki, *Liebchen*.

W oku miałam monokl, do niego dobrałam biały krawat, a włosy zaczesałam do tyłu. Tańczyłyśmy tango z Anną May, a kiedy obracałyśmy się w naszym uwodzicielskim balecie, pozostałe kobiety szeptały coś między sobą, uważnie się nam przypatrując.

– Czy ona...? – wyobrażałam sobie, jak mówi jedna z nich.

– Na pewno – odpowiedziała druga. – Słyszałam, że zanim stała się sławna, często robiła to w Berlinie.

Przylgnęłam biodrami do Anny May i pocałowałam ją w rubinowe usta.

Byłam zachwycona nowo poznanymi członkiniami kółka robótek ręcznych.

ROZDZIAŁ TRZECI

Film *Szanghaj Ekspres*, którego premiera odbyła się w lutym 1932 roku, okazał się ogromnym sukcesem i przyniósł większe zyski niż którakolwiek z moich wcześniejszych produkcji. Dzięki niemu Paramount oddalił od siebie widmo bankructwa. Otrzymał pięć nominacji do Oscara – wśród nich nie znalazła się jednak nominacja za pierwszoplanową rolę kobiecą. Nie dostałam też statuetki za *Maroko*, podobnie zresztą jak von Sternberg, który skwitował to krótko: „Chociaż wytwórnia zbija na nas fortunę, dla Amerykanów nadal jesteśmy tylko szwabami”.

Nie chcąc, by nowa produkcja podzieliła los chłodno przyjętej *Zniesławionej*, przedstawiciele Paramountu obwiesili cały kraj plakatami *Szanghaj Ekspresu*, w którym miała powrócić wytworna, elegancka Dietrich. Moją wspaniałą garderobę, leniwe przeciąganie samogłosek i trzepotanie rzęsami – podczas pokazu przedpremierowego wzdrygałam się z zażenowaniem, oglądając własną kreację – omawiano w całym kraju. Widzowie cytowali moje kwestie i nikt nie zastanawiał się, w jaki sposób Szanghaj Lily zdołała pomieścić wszystkie swoje bagaże oraz Hui Fei i jej gramofon w jednym ciasnym przedziale. Nikogo to nie obchodziło. Film pozwalał na klasyczny eskapizm, rozplanowany przez von Sternberga w najmniejszych szczegółach. Podobna do smoka lokomotywa, wyrzucająca

w górę kłęby pary, mknęła przez baśniowe Chiny, ciągnąc wagony, w których kipiało od intryg i namiętności.

W Niemczech pikietowano pod kinami, protestując przeciwko filmowi. UFA zdołała co prawda wypracować porozumienie z Paramountem i wyświetlała produkcje z moim udziałem, ale *Zniesławiona* wzbudziła kontrowersje z powodu przedstawionego w niej krytycznego stosunku do wojny. Goebbels, główny propagandzista Hitlera, nienawidził jej do tego stopnia, że wezwał partię do bojkotu. Oskarżono mnie o brak patriotyzmu i przyjmowanie ról upadłych kobiet – co gorsza, takich, które nie były Niemkami.

– „Jeżeli Marlena Dietrich tak bardzo troszczy się o swój naród – Gerda zaczęła czytać na głos jeden z oficjalnych komunikatów – to dlaczego nie chce tu zamieszkać? Dlaczego przyjmuje amerykańskie dolary, kiedy tak wielu Niemców cierpi? Nie jest jedną z nas. W przeciwnym wypadku poparłaby Hitlera i to, o co walczymy”. – Gerda pogardliwie prychnęła. – Koszmarnie napisane, a do tego kompletnie absurdalne. Amerykańskie dolary zamiast bezwartościowych marek? Co w tym dziwnego? Skoro tak cię nienawidzą, to znaczy, że najwyraźniej robisz coś, jak należy.

Usiłowałam się roześmiać, ale wcale mnie to nie bawiło. Zapaliłam papierosa i podeszłam do okna. Ogromna willa w Beverly Hills stanowiła najlepsze świadectwo mojego statusu: miałam do dyspozycji dwanaście pokoi, a wokół bram wiły się wspaniałe bugenwille i eukaliptusy. Willa

wydawała mi się jednak chłodna i mało przytulna. Przypominała plan filmowy, przygotowany na przybycie aktorów. W ogrodzie znajdowała się ptaszarnia, którą von Sternberg kupił mi z okazji naszego sukcesu. Heidede karmiła tam właśnie ptaki pod nadzorem służącej, wrzucając im do klatek nasiona w taki sam sposób, w jaki jej ojciec karmił gołębie.

Nie oglądając się za siebie w stronę krzątającej się przy biurku Gerdy, powiedziałam:

– Dzwonił do mnie wczoraj Rudi. UFA podjęła współpracę z narodowymi socjalistami i zdjęła z afisza *Szanghaj Ekspres*. Dyrektorzy wytwórni zaoferowali mu wyższe stanowisko, ale Rudi przypuszcza, że to pomysł Goebbelsa: chodzi o to, żebyśmy mieli dług wdzięczności wobec partii.

Gerda znieruchomiała.

– I co zamierza Rudi?

– Prosiłam, żeby stamtąd jak najszybciej wyjechał. Obiecał, że to rozważy, o ile będzie mógł zostać w Europie. – Odwróciłam się do niej. – Zamierzam poprosić, by go przeniesiono. Schulberg jest moim dłużnikiem: zarabiam dla wytwórni wielkie pieniądze, a Paramount ma przecież filię w Paryżu. Ma się tym zająć. Uważa też, że Rudi powinien odwiedzić mnie w Ameryce i że nadszedł czas, żebyśmy pokazali się razem, jako rodzina. Ale Tamarze wytwórnia nie chce załatwić wizy. – Ze zniecierpliwieniem wypuściłam dym. – Hipokryci.

– No cóż, jeśli Rudi z Tamarą przeniosą się do Paryża, będą tam wystarczająco bezpieczni. – Gerda spojrzała mi

w oczy. – Wydajesz się zaniepokojona. Mówił ci coś jeszcze?

Skrzywiłam się.

– Tylko to, co zwykle. Hitler wrzeszczy w radio i z każdym dniem zdobywa większe poparcie. Rudi uważa, że wygra kolejne wybory do Reichstagu. Ostatnio przegrał, ale ten głupiec Hindenburg idzie teraz na ustępstwa wobec partii. Zdaniem Rudiego wygrana Hitlera przyniesie kolejną wojnę.

Gerda milczała. Była mi wdzięczna za pomoc i zrezygnowała ze swojej kariery dziennikarskiej, by zajmować się moją korespondencją oraz edukacją Heidede. Odpowiadała na przekazywane mi przez wytwórnię sterty listów od fanów i przygotowywała lśniące fotografie z autografem dla moich wielbicieli z dalekich miast, o których nigdy nie słyszałam. Wiedziałam jednak, że bacznie śledzi wydarzenia, które miały miejsce w Niemczech. Nasze kółko ekspatriantek stale się powiększało, i choć nie miałam czasu ich lepiej poznać, Gerda często z nimi rozmawiała. W ciągu tygodnia chodziła też na liczne spotkania z niemieckimi dziennikarzami, którzy wylądowali w Kalifornii bez grosza przy duszy.

– Ja też tak uważam – powiedziała. – Hitler pragnie władzy i jeśli nie zdobędzie jej legalnymi metodami, znajdzie inny sposób.

– Myślisz, że wybuchnie wojna? – Coraz bardziej się bałam, że ten mały Austriak z idiotycznym wąsem sprowadzi na Niemcy katastrofę.

Gerda wzruszyła ramionami.

– Rozmawiałam z wieloma osobami, które są podobnego zdania, co Rudi. Twierdzą, że wszystko na to wskazuje: Hitler rozbudza nacjonalistyczne nastroje, żeby móc rozpocząć wojnę.

– Dobry Boże. Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Nie po tym, co działo się ostatnio.

– Ja też nie. Ale może nie wygra wyborów – odparła Gerda bez przekonania, zaglądając do kalendarza. – Czy mam zająć się organizacją wizyty Rudiego?

– Tak. – Odwróciłam się do okna. – Zadzwonię do niego w przyszłym tygodniu. Do tego czasu powinnam coś ustalić w sprawie posady w Paryżu.

Rudi przyjechał do Ameryki z dwiema walizkami pełnymi pluszowych zabawek i niemieckich książek dla Heidede. Był jak zwykle nienagannie ubrany i uśmiechnięty. Nic nie wskazywało na to, że spędził ostatnich dwanaście dni na pokładzie statku, a ja tak cieszyłam się z jego wizyty, że postanowiłam zrobić sobie kilka dni wolnego. Von Sternberg nie wydawał się zachwycony. Niecierpliwił się i chciał, żebyśmy jak najszybciej zaczęli pracować nad nowym scenariuszem. Twierdził, że Schulberg zgodził się dać mi rolę matki: zastrzegł, że jeśli scenopisarze zatrudnieni przez wytwórnię nie zdołają niczego przygotować, to my weźmiemy to na siebie. Powiedziałam von Sternbergowi, że muszę spędzić trochę czasu z Rudim i Heidede, a on zaczął jeździć z nami na wycieczki po mieście i w okolice Monterey. Przy nim nie pytałam Rudiego o sytuację w Niemczech – wiedziałam, że sama

wzmianka o Hitlerze mogłaby doprowadzić von Sternberga do szału. Przekazałam jednak mężowi, że dostał pracę w Paryżu i że Gerda z pomocą pracowników francuskiej filii Paramountu pomoże Tamarze znaleźć mieszkanie i przeprowadzić się tam z Kaiserallee.

Cieszyłam się obecnością bliskich. Ich towarzystwo sprawiało mi przyjemność, lubiłam też dla nich gotować. Gotując, miałam poczucie, że to ja łączę różne składniki, żeby osiągnąć pożądany efekt, a nie sama staję się jednym z elementów, które dla swoich celów wykorzystują inni ludzie. Rudi nie znał amerykańskiej kuchni – o ile coś takiego w ogóle istniało – więc w swojej nieużywanej do tej pory wielkiej kuchni przygotowałam dla niego pieczeń, gulasz, placki ziemniaczane, bliny serowe i jajecznicę z plastrami bawarskiej kiełbasy, którą przewiózł w jednej z walizek.

Von Sternberg często do nas dołączał. Ze względu na niedawny rozwód nie miał gdzie się podziać: żona porzuciła go i zażądała alimentów, na które nie było go stać. Obserwował z ironicznym uśmieszkiem, jak podawałam do stołu, a w twarz buchała mi para.

– Ach. Wierna, oddana *Hausfrau* – zakpił. Za dużo ostatnio pił i zdążył już wychylić pół butelki przemyconej wódki. – Zrobisz wszystko, żeby zagrać w nowym filmie, prawda?

– Josefie, proszę.

Heidede przyglądała mu się z zaciekawieniem. Jak zwykle intrygowały ją jego dziwactwa. Lubiła go. Często nocował

w sypialni dla gości, zdarzało mu się też chodzić ze sztalugami i płótnem do ogrodu. W przeciwieństwie do filmów jego obrazy były pełne kolorów: pojawiały się na nich rajskie ptaki, błękitne niebo i cytrynowe akacje. W pokoju Heidede wisiał jeden z nich. Zawsze się zastanawiałam, w jaki sposób reżyser o tak monochromatycznym umyśle mógł tworzyć tak radosne, wielobarwne dzieła.

– Gotowanie mnie uspokaja – dodałam. – Zresztą nie kręcimy chwilowo żadnych filmów. Ale zaczęłam pracować nad scenariuszem o matce, która traci dziecko. Pokażę ci go, kiedy skończę.

– Pokaże mi go! – Von Sternberg uśmiechnął się złośliwie do Rudiego. Mój mąż zachowywał się wobec niego uprzejmie i pogodził się z tym, że reżyser nie odstępował nas na krok. Nie ulegało jednak wątpliwości, że von Sternberg, rozgoryczony własnym rozwodem, zazdrościł nam, że nadal jesteśmy małżeństwem. – Od czasu *Szanghaj Ekspresu* odrzuciła kilkanaście propozycji i ciągle powtarza, że tym razem musi zagrać porządną kobietę. A teraz ma pomysł na scenariusz. Schulberg nie chce o tym słyszeć.

– Co? – Spojrzałam na niego ze zdziwieniem. – Mówiłeś, że się nad tym zastanowi, o ile damy mu na piśmie coś, co mógłby pokazać ludziom z Nowego Jorku.

– Tak mówiłem? – Dolał sobie wódki, a następnie podał butelkę Rudiemu, który grzecznie odmówił, potrząsając

głową. – Widocznie się pomyliłem. Nie jesteś Kate Hepburn. Powinnaś skupić się na tym, co robisz najlepiej.

– To, co robię, zostało zakazane, zresztą nie tylko przez Goebbelsa. Hays Office też zaczyna narzekać. Twierdzą, że mój wizerunek „jest niezgodny z amerykańskimi wartościami". – Hays Office, ohydna amerykańska organizacja zajmująca się cenzurą w Hollywood, wprowadzała coraz bardziej rygorystyczne przepisy dotyczące tego, co można pokazywać na ekranie.

Von Sternberg wydał odgłos imitujący puszczanie gazów, a Heidede zachichotała.

– Ci idioci z Hays są tak pełni gazu, że nie rozpoznaliby takich wartości nawet wtedy, gdyby wyszły im z tyłków. Kontrowersje są dobre. Pozwalają sprzedać więcej biletów. – Zamilkł na chwilę i zapalił papierosa, choć nie zaczęliśmy jeszcze jeść. – Niezależnie od tego, co mówią ludzie z Hays Office, wytwórnia nie chce słyszeć o tym, że miałabyś włożyć fartuszek i podawać gulasz, tak jak to robisz tutaj. Nie z taką Dietrich podpisali kontrakt. Nie za taką Dietrich zapłacili.

Zwróciłam się do Rudiego:

– A co ty o tym sądzisz? Czytałeś część scenariuszy, które mi przesłali. Znalazłeś wśród nich cokolwiek interesującego?

Mój mąż, świadomy obecności von Sternberga – choć utrzymywali przyjazne relacje, reżyser nie znosił, kiedy ktokolwiek wtrącał się w jego pracę – odpowiedział ostrożnie:

– Wydaje mi się, że były spójne z tym, co dotychczas grałaś. Tego oczekują widzowie. Zrobiłaś karierę, grając określony typ kobiety i...

Przerwałam mu.

– Czy zawsze musisz się ze wszystkim zgadzać, żeby uniknąć konfrontacji? Wspieram cię, prawda? Znalazłam ci pracę w Paryżu. Nie jestem „określonym typem kobiety”.

– Nigdy nie prosiłem cię o pomoc – odpowiedział chłodno Rudi.

– Ale chętnie ją przyjmujesz – odparłam. Odsunęłam krzesło i nie zważając na zdziwienie malujące się na twarzy Heidede, ruszyłam do ogrodu. Po chwili wyjęłam papierosy z kieszeni fartucha.

Usłyszałam za sobą kroki. Nie odwracając się, rzuciłam:

– Zostaw mnie w spokoju.

Von Sternberg roześmiał się.

– Taką kobietę zdecydowanie wolę. – Podszedł do mnie i zapytał cicho: – Czy ten głupi pomysł z rolą matki naprawdę jest dla ciebie taki ważny?

– Tak. Dla ciebie też powinien być ważny. Moja kariera szybko dobiegnie końca, jeśli bez przerwy będę grała tę samą rolę. Pewnie żałujesz, że nie jestem dziwką.

Wygładził wąsy.

– Zarabiasz cztery tysiące dolarów tygodniowo. Inne aktorki obciągałyby Schulbergowi za połowę twojej pensji.

– Śmiało, niech to robią. – Zgasiłam papierosa. – Tak jak mówiłam, nie jestem dziwką.

– Chodzi ci o to, że nie dostałaś Oscara za *Maroko*? – zapytał kpiąco. – Ja też nie. Ale to nie powód, żebyśmy nagle zmieniali wszystko, co robimy.

– Nie bądź śmieszny. Nie obchodzą mnie jakieś idiotyczne nagrody. Może uważasz, że nie potrafimy zrobić filmu w innej formule niż dotychczas. Wydawało mi się, że sugestie Paramountu obchodzą cię w nie większym stopniu niż mnie, ale dopiero dziś wyraziłeś swoje zdanie.

– Moje zdanie jest takie, że powinienem wracać do Niemiec – oznajmił. Zaskoczyły mnie jego słowa. – Nudzi mnie to miasto, mam dość Schulberga i całej tej hałastry.

– Do Niemiec? – zapytałam z niedowierzaniem. – Przecież wyjeżdżają stamtąd tłumy naszych znajomych. Dlaczego chcesz tam wrócić właśnie teraz, kiedy czujemy na karkach oddech tego wieprza Hitlera?

– Myślę, że tak jak Hays Office, Hitler robi wokół siebie dużo hałasu i nie stanowi realnego zagrożenia. – Spojrzał mi w oczy. – Mogłabyś pojechać ze mną. Wiem, jak bardzo tęsknisz za Niemcami. To w końcu twój kraj, mieszka tam Rudi...

– Rudi zamieszka w Paryżu. Przyjął ofertę Schulberga, gdy tylko mu ją przedstawiłam. Josef, oni zakazali wyświetlania naszych filmów. Jesteś Żydem. Nienawidzą nas. Myślałam, że też ich nienawidzisz.

Wzruszył ramionami.

– Owszem. Ale wiem, jak to zwykle działa. To wszystko kwestia szczegółów. Goebbels szaleje, bo doskonale zdaje sobie sprawę, jak bardzo podniosłabyś Niemcom morale.

UFA o tobie marzy, podpisaliby z tobą kontrakt w ciągu sekundy. Tak, jestem Żydem, ale jestem też reżyserem, który uczynił cię sławną. Nie kusi cię to? Mielibyśmy tam tyle swobody... Przyjęliby wszystkie nasze warunki. Pragniesz ciekawszych ról. W Niemczech byś je dostała. Każdą rolę, o jakiej zamarzysz.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem. Przypomniały mi się nagle słowa Rudiego: „Nie znam drugiego takiego reżysera. Ale sądzę, że musi też być szalony".

– Rolę faszystowskiej Fräulein? – zapytałam. – Nigdy.

Ale w głębi duszy przez chwilę się jednak zawahałam. Von Sternberg zasiał ziarno niepewności: dotarło do mnie, że im dłużej pozostanę w Hollywood, im więcej przyjmę ról pokazujących mnie w określonym świetle, tym trudniej będzie mi się później wyzwolić. Słyszałam niezliczone opowieści o gwiazdach, które nie wiedziały, kiedy zejść ze sceny. Były stopniowo marginalizowane, dostawały coraz mniej znaczące role – a w końcu w ogóle przestawały grać. Brak pracy mnie nie przerażał. Przerażała mnie natomiast perspektywa utraty zdobytej już pozycji. Chciałam zostać w branży lub odejść z niej na własnych warunkach.

Von Sternberg najwyraźniej to wyczuł. Zbyt dobrze mnie znał.

– Nigdy, bo jesteś na to zbyt dumna? – zapytał. – Czy może dlatego, że nie potrafisz zrezygnować z honorarium, które płaci ci Paramount?

– Dobrze wiesz, że pieniądze nic dla mnie nie znaczą. Biorę, co mi oferują, i wydaję to.

– Pewnie tak. Ale sława już coś dla ciebie znaczy. – Po chwili dodał nieco ciszej: – Nie jesteś oddaną, gotową do poświęceń matką i żoną. Może któregoś dnia się nią staniesz, ale na razie za bardzo zajmuje cię bycie Marleną Dietrich. Dostrzegłem w tobie tę pasję, gdy tylko się poznaliśmy. Stanowisz materializację Zeitgeistu: ducha epoki. I nie potrafisz tego wszystkiego porzucić. To jest to, czego pragniesz. Za wszelką cenę.

– Czy nie zapewniałeś mnie przed chwilą, że to samo mogę mieć w Niemczech? – zauważyłam, starając się zignorować przerażającą prawdę zawartą w jego słowach. Sprawił, że czułam się bezwzględna i okrutna.

– Tak, ale tutaj otrzymujesz zbyt wysokie wynagrodzenie. UFA nie może zaoferować ci takich kwot. Wygląda na to, że pieniądze jednak się dla ciebie liczą.

– Szlag by cię trafił. Przyjaciel nie powinien mówić takich rzeczy.

– Przyjaciel? Nie jestem twoim przyjacielem. Jestem twoim mentorem. Twoim stwórcą. Twoim niewolnikiem. – Stężała mu twarz. Nagle, bez ostrzeżenia, przyciągnął mnie do siebie. – Myślisz, że łatwo mi patrzeć, jak przejmujesz kontrolę nad moją egzystencją, a jednocześnie mieć świadomość, że nigdy nie będziesz się ze mną pieprzyła tak jak z Garym Cooperem? Myślisz, że sprawia mi przyjemność fakt, że przyprawiasz mi rogi tak samo jak temu robakowi, którego nazywasz mężem? A może w ogóle o mnie nie myślisz?

Zmrużył oczy. Jego oddech cuchnął tytoniem i alkoholem. Spojrzałam na jego zaciśnięte na moim ramieniu palce i syknęłam:

– Puść mnie.

Zrobił to. W tej samej chwili dotarło do niego – być może po raz pierwszy – że nigdy nie myślałam o nim w ten sposób i nigdy tak o nim nie pomyślę.

– Przeszłabyś po trupie Heidede, byle tylko dostać rolę.

Z całej siły uderzyłam go w twarz.

– Nigdy tak nie mów. Nigdy.

Nagle się roześmiał – choć dźwięk ten przypominał raczej suche, pełne pogardy krakanie.

– Oddana matka i żona. Zaiste. Taka właśnie jesteś. Takiej kobiecie studio płaci i taką chce oglądać publiczność. Silna, utalentowana, bezwzględna Dietrich. Zmysłowa ladacznica o sercu z kamienia.

– Wyjdź. – Drżałam. – Wynoś się z mojego domu.

Uśmiechnął się.

– Czyżbym miał zostać wygnany? – Zanim zdołałam go powstrzymać, chwycił mnie za podbródek i pocałował. Jego wąsy drapały mnie w usta. – Załatwię ci twoją wymarzoną rolę – wyszeptał. – Sprzedam to Schulbergowi, choćbym musiał mu osobiście obciągnąć. Dostaniesz szansę, żeby zagrać matkę. Ale nie mów później, że cię nie ostrzegałem. Za porażkę będziesz mogła winić tylko siebie.

Wyszedł, a po chwili usłyszałam ryk silnika na podjeździe. Zdałam sobie sprawę, że jest pijany i może mieć wypadek. Stałam nieruchomo. Skupiałam się teraz bardziej na

zagrożeniu, jakie stanowił dla mnie, niż na tym, jak bardzo niebezpieczny był sam dla siebie.

Przejrzał mnie na wylot. Zdołał dotrzeć nawet do tego najmroczniejszego miejsca, w którym rozpoczął się proces rozkładu.

Von Sternberg miał rację. Pragnęłam tego. Wszystkiego. Niezależnie od ceny.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdy tylko odprowadziłam Rudiego na pociąg do Nowego Jorku – gdzie miał wsiąść na pokład statku, którym płynął do Francji – zostałam wezwana do siedziby wytwórni. Von Sternberg przedstawił zarys scenariusza kolejnego filmu.

– Helen Faraday – oznajmił Schulberg, kiedy usiedliśmy w jego wyłożonym białą boazerią gabinecie. W zapalniczce na biurku tliło się jak zwykle cygaro, a w pomieszczeniu unosił się gryzący dym. – Była śpiewaczka, żona amerykańskiego chemika. Musi wrócić na scenę, kiedy u jej męża zostaje zdiagnozowane zatrucie radem i trzeba zdobyć pieniądze na leczenie za granicą. – Podniósł wzrok znad kartki. – To wszystko. Jeden akapit. To naprawdę twój pomysł?

Miałam na sobie tweedowy garnitur, krawat i beret, prawie się nie umalowałam. Celowo ubrałam się jak mężczyzna: chciałam spotkać się z Schulbergiem jak równy z równym. Rozumiałam teraz, jak absurdalny był to pomysł. Ekscentryczny strój nie zmieniłby zdania głównego kierownika produkcji, mającego absolutną kontrolę nad moją karierą.

– Owszem, ale von Sternberg dokładniej go nakreśli – powiedziałam, sięgając do kieszeni po papierosy. O niczym nie wiedziałam, ale nie zamierzałam dać tego po sobie poznać. – W filmie pojawią się kabaretowe piosenki, kostiumy... i cała reszta.

Zmarszczył brwi.

– Marleno, to wszystko mnie niepokoi. On mnie niepokoi. Wspomniał o ofercie UFA, mówił, że oboje jesteście niezadowoleni. Nie muszę chyba przypominać, że obowiązuje was kontrakt. Negocjacje z inną wytwórnią stanowią podstawę do natychmiastowego zerwania umowy.

Zapaliłam papierosa. Von Sternberg wykorzystał UFA jako amunicję, która miała skłonić Paramount do ustąpienia. Musiałam przyznać, że wykazał się niewiarygodnym tupetem.

– Mówiliście, że rozważycie tego typu rolę w kolejnym filmie. Pokazaliście widzom moje zdjęcia z córką, żeby wszyscy się dowiedzieli, że mam rodzinę. Na obecnym etapie nie jest to chyba duże ryzyko. Prawda?

Westchnął z zakłopotaniem.

– Nie w teorii. Odkąd wydaliśmy komunikat o Heidede, wzrosła liczba adopcji w całym kraju. Każdy chce mieć córkę, oczywiście w identycznym stroju. Dokonałaś niemożliwego: stałaś się jednocześnie tajemniczą kobietą, wyrafinowaną damą i oddaną matką.

– Więc na czym polega problem? Nawet Garbo nie zdołała zagrać jedocześnie matki, tajemniczej piosenkarki i wyrafinowanej damy.

Zmrużył oczy.

– To prawda, ale gdyby chciała to zrobić, MGM potrzebowałby czegoś więcej niż krótkiego akapitu, żeby móc sprzedać ten pomysł.

– Dostaniecie więcej. Jo wszystko już rozpracował. Wiesz, jaki on jest.

– Niestety oboje to wiemy. – Schulberg zawahał się i zaczął bębnić palcami w blat biurka. – Ufam ci. Ale mimo to... – dodał, kiedy wstałam, żeby podać mu rękę – potrzebuję scenariusza. A przynajmniej czegoś na kształt scenariusza.

Ruszyłam prosto do przyczepy von Sternberga. W typowy dla siebie sposób reżyser zachowywał się tak, jakby wymazał z pamięci naszą ostatnią konfrontację. Miał w zwyczaju pomijać sprawy, które uważał za nieistotne. Wręczył mi plik kartek i oznajmił:

– Proszę. *Blond Venus*. Tak jak chciałaś. Będziesz śpiewała i tańczyła, żeby podbić serca Amerykanów jako heroiczna kobieta, która zrobi wszystko dla swojej rodziny.

– Przeczytam to – ostrzegłam. – A jeśli scenariusz mi się nie spodoba, to na pewno nie spodoba się też Schulbergowi.

– Jeśli cokolwiek ci się nie spodoba, zmienimy to. Idź. Daj mu to. Chcę zacząć zdjęcia tak szybko, jak tylko się da. Mam już dość bezczynności. Przyjechaliśmy tu, żeby robić filmy, więc do dzieła.

Scenariusz wymagał jeszcze pracy, ale Schulbergowi wystarczyła wersja robocza. Grana przeze mnie postać, Helen, robi furorę i wdaje się w romans z milionerem. Kiedy jej mąż wraca z zagranicznej kliniki, grozi, że odbierze jej syna, by zemścić się za zdradę, której się dopuściła. Helen ucieka z chłopcem przez nękaną Wielkim

Kryzysem Amerykę – w końcu zostaje jednak zmuszona do oddania syna mężowi. Znika na pewien czas i pojawia się nagle w Paryżu, gdzie zdobywa sławę w Moulin Rouge. Milioner ją tam spotyka i postanawia pomóc Helen: zabiera ją do Nowego Jorku, żeby mogła odwiedzić syna. Ostatecznie mąż jej wybacza, a Helen rezygnuje z bogactwa i sławy, by odzyskać szczęście u boku rodziny.

Chciałam za wszelką cenę udowodnić, że stać mnie na dużo więcej niż śpiewanie kabaretowych piosenek i eksponowanie nóg. W roli milionera wytwórnia obsadziła Cary'ego Granta, wschodzącą gwiazdę o czarnych falujących włosach i wyraźnie zarysowanym podbródku. Był czarujący, ale kompletnie mnie nie pociągał. Na początku się tym niepokoiłam, ale Anna May wyjaśniła mi, że Grant preferuje mężczyzn i mieszka ze swoim partnerem, aktorem Randolphem Scottem.

Von Sternberg wypełnił film długimi ujęciami pociągów i mrocznych dzielnic nędzy. Mimo wspaniałych czarno-białych zdjęć wiłam się w fotelu podczas zorganizowanego w wytwórni pokazu przedpremierowego.

Ku mojemu przerażeniu ilekroć kamera nie pokazywała mojej twarzy z dołu, lekko odwracałam głowę, tak jakbym się bała, że ktoś zacznie rzucać we mnie kamieniami. Miałam ochotę głośno się roześmiać, kiedy zobaczyłam się na taśmie: grałam potwornie sztywno, a sceny u boku Cary'ego Granta wydawały się sztuczne, wymuszone i kompletnie nieprzekonujące. Ożywiłam się tylko podczas trzech piosenek – zwłaszcza przy *Hot Voodoo*, gdzie Helen

w blond peruce afro zrzuca z siebie strój goryla i pojawia się na scenie w krótkiej sukience, a następnie zapomina o niedolach i staje się na nowo osobą, od której chciała uciec. Nie spodziewałam się takiego efektu. Sądziłam, że gram zupełnie inną postać, a von Sternberg wielokrotnie mnie o tym zapewniał. Kiedy jednak w sali projekcyjnej zapaliły się światła, Schulberg spojrzał mi w oczy i potrząsnął głową.

– Widzowie tego nie kupią – oznajmił, kiedy już zaproszeni przez niego kierownicy działów reklamy i sprzedaży, sługusy zatrudnione przez wytwórnię tylko po to, by być na każde skinienie Schulberga, pospiesznie opuścili salę.

Wstałam, nerwowo rozglądając się wokół. Dopiero po chwili przypomniałam sobie, że von Sternberg nigdy nie uczestniczył w takich pokazach i uważał je za upokarzające płaszczenie się przed szefami wytwórni.

– Na pewno nie skończył jeszcze montować – powiedziałam. – Od razu widać, że to nie jest ostateczna wersja.

– Mam taką nadzieję – odparł Schulberg. – W takiej postaci film nigdy nie zostałby zatwierdzony przez Hays Office. Podczas nieobecności męża bohaterka wdaje się w romans z innym mężczyzną. Porywa własne dziecko i sprzedaje... no cóż, oboje wiemy, co sprzedaje, żeby się utrzymać.

– Tak, ale ona nie ma wyboru. – Choć starałam się za wszelką cenę zachować spokój, przyjęłam defensywny ton.

– Chroni swoje dziecko. Nie może zarobić na jedzenie samym śpiewem.

– Wolałbym, żeby tak było. Wolałbym, żeby robiła cokolwiek innego niż to, co przed chwilą widzieliśmy. – Schulberg westchnął. – Zapomniałaś o Lindberghach, których dziecko zostało ostatnio porwane i zamordowane? Jak w obliczu naszej narodowej tragedii mam przedstawić Hays Office film, w którym pojawia się taki wątek?

Nie zapomniałam o tym – po prostu nie zwróciłam na ten problem uwagi, bo byłam tak pochłonięta pracą, że nie skojarzyłam tych dwóch faktów. Von Sternberg musiał jednak zdawać sobie z tego sprawę. Nagle zrozumiałam, że mój mentor, mój stwórca i niewolnik, spełnił swoją obietnicę. Dał mi to, czego chciałam, a teraz, zgodnie z jego ostrzeżeniem, mogłam winić tylko samą siebie.

– Porozmawiam z nim – zapewniłam. – Poprawimy wszystkie sceny, które tego wymagają, obiecuję.

– Nie obiecuj. Po prostu to zróbcie – odpowiedział Schulberg. – Przez *Hot Voodoo* von Sternberg znowu przekroczył budżet. Dwie dziewczyny to oczywiście za mało. Pozwolę mu to poprawić, o ile tym razem zrobi wszystko, jak należy. W przeciwnym razie wycofujemy się z tego. A jeśli tak się stanie, sam zdecyduję, w jakim filmie wystąpisz. I nie wyreżyseruje go już von Sternberg.

Sięgnęłam po kaszmirowy płaszcz i poprawiłam kapelusz. Po chwili do sali weszła sekretarka, która szepnęła coś do Schulberga. Wyraz jego twarzy natychmiast się zmienił: nie było to już zwykłe rozczarowanie, ale coś zdecydowanie

bardziej poważnego. Spojrzał na mnie, a ja wstrzymałam oddech.

– Przed chwilą dzwoniła do nas twoja asystentka, panna Huber. Czeka na ciebie samochód, który zaraz odwiezie cię do domu. Spakuj się, przeniesiemy cię do hotelu. Zapomnij na razie o filmie i o von Sternbergu. Ktoś wysłał anonim, w którym grozi twojej córce.

Moje przerażenie ustąpiło miejsca kompletnej panice, kiedy dotarłam do domu i zobaczyłam kłębiących się przed willą policjantów. Jeden z nich natychmiast podszedł do mnie z notatnikiem i powiedział:

– Panno Dietrich, proszę się nie martwić. Pani córce nic się nie stało...

Ja jednak odepchnęłam go i wbiegłam do domu, krzycząc:

– Gerda! Heidede!

Siedziały w salonie, wśród policjantów. Heidede wydawała się mocno wystraszona. Chwyciłam ją w ramiona i mocno przytuliłam. Spojrzałam na oszołomioną twarz Gerdy, a potem przeniosłam wzrok na policjanta, który dokładnie przeglądał papiery porozrzucane po całym pokoju.

– Co... co się stało? – Ścisnęłam Heidede tak mocno, że jęknęła.

– Nie przy niej – szepnęła Gerda, a ja niechętnie wezwałam jedną ze służących i poprosiłam, żeby zaprowadziła moją córkę do pokoju. – Spakuj jej walizkę – nakazałam. Ruszyły na górę, a po chwili usłyszałam, jak

przerażona Heidede zapytała: „Co się stało? Dokąd idziemy?”.

Wyjęłam papierosy i zapaliłam jednego drżącą ręką. Policjanci zrobili to, co do nich należało, a ja odciągnęłam na bok tego z notatnikiem. Pokazał mi owinięty celofanem list. Na kopercie nie było adresu zwrotnego, a wiadomość napisano dużymi literami:

MARLENO DIETRICH. JEŚLI CHCESZ URATOWAĆ MARIĘ, CZEKAJ NA INSTRUKCJE. ZAPŁAĆ 10 000 $ ALBO POŻAŁUJESZ. NIE DZWOŃ NA POLICJĘ.

– Piszą, żeby nie dzwonić na policję. – Odwróciłam się do Gerdy. – Dlaczego to zrobiłaś?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, policjant oznajmił:

– Panna Huber postąpiła właściwie. Od czasu sprawy Lindberghów pojawia się mnóstwo takich gróźb. Nie ma powodu do niepokoju.

– Nie ma powodu do niepokoju? Grozili, że porwą moją córkę!

– Nie – poprawił mnie policjant. – Napisali, że skontaktują się z panią w sprawie pieniędzy. Sugerowałbym założenie krat w oknach, wymianę zamków i wynajęcie ochrony, panno Dietrich. Wytwórnia może wziąć to na siebie. Spróbujemy z pomocą poczty sprawdzić, skąd przyszedł list, ale ci ludzie wiedzą, jak zacierać ślady. Przyślą jeszcze jedną czy dwie wiadomości, żeby sprawdzić, czy się pani ugnie, a jeśli pani tego nie zrobi, przestaną. Zależy im na łatwych pieniądzach, wcale nie chcą wyroku za porwanie.

– Mogą przysyłać, co tylko chcą. Po tym, co się wydarzyło, na pewno tu nie zostaniemy.

Policjant wysunął dolną wargę.

– Jak pani uważa. Tak czy inaczej, przyślemy dodatkowe patrole. Pani dom będzie pilnie strzeżony. Zapewniam, że pani córce nic nie grozi.

– Proszę powiedzieć to Lindberghom – odparłam, a lekko skonsternowany policjant skinął głową, zabrał pudło pełne listów od moich wielbicieli i od osób, które prosiły o fotografię lub autograf – a następnie ruszył ze swoimi ludźmi do wyjścia.

Zostałyśmy z Gerdą same. Służące nadal kręciły się po domu, ale starały się pozostawać niezauważalne, a przysłany przez wytwórnię szofer, były bokser zawodowy o imieniu Briggs, czekał na zewnątrz w samochodzie.

– Nie powinnaś dzwonić na policję – powiedziałam.

– Zrobiłam to, co uważałam za słuszne – odparła cicho. Widziałam, że bardzo przeżyła to, co się wydarzyło. Była blada, miała podkrążone oczy i drżała ze strachu. – Tamto koszmarne porwanie dziecka Lindberghów opisywano we wszystkich gazetach, bez przerwy mówiło się o tym w radio. Co miałam zrobić, kiedy otworzyłam kopertę i zobaczyłam anonim? Zadzwoniłam do ciebie do wytwórni, ale powiedziano mi, że jesteś na pokazie przedpremierowym z Schulbergiem i że nie wolno ci przeszkadzać.

– W takiej sytuacji powinnaś nalegać. Czy powiedziałaś osobie, która odebrała telefon, że dostałam anonim?

– Nie. Chciałam cię chronić przed dziennikarzami: sama wiesz, że niektórzy pracownicy wytwórni lubią sprzedawać tego typu plotki kolorowym magazynom. Dzwoniłam do biura Schulberga, ale jego sekretarka odebrała dopiero po kolejnej próbie. Do tego czasu zdążyłam zdecydować, że powiadomię policję. Codziennie opiekuję się Heidede i wiedziałam, że nic jej nie grozi. Przez cały czas miałam ją przy sobie.

– Zwykle nie masz jej cały czas przy sobie – powiedziałam. Zdawałam sobie sprawę, że przesadzam. Sprawą zajęła się policja, a Heidede nic się nie stało: przestraszyła się, ale nic jej nie groziło. Ja jednak czułam się tak, jakbym miała się zaraz rozpaść. Powoli traciłam nad sobą kontrolę. – Pozwalasz jej bawić się samej w ogrodzie i karmić te okropne papugi. Wiecznie biega po całej posesji. Dzięki Bogu nie mamy basenu, bo utopiłaby się, zanim ktokolwiek zdążyłby coś zauważyć. Płacę ci za opiekę nad nią, a teraz oprócz wszystkich innych problemów, które mam na głowie, muszę się jeszcze martwić o jej bezpieczeństwo.

– Marleno – powiedziała z powagą. – Traktuję swoje obowiązki bardzo poważnie. To, co się wydarzyło, to nie moja wina.

– Nie obchodzi mnie, czyja to wina – odparowałam. – To moje dziecko.

Gerda patrzyła na mnie przez chwilę w milczeniu.

– Przykro mi, że do tego doszło. Wolałabym sama zginąć, niż dopuścić, by Heidede stało się coś złego. Musisz jednak

przyznać...

– Co? Co takiego muszę przyznać? Czyżbyś sugerowała, że to moja wina? Myślisz, że to ja wysłałam ten anonim, żeby zrobić sobie dodatkową reklamę?

To było absurdalne oskarżenie, a słowa Gerdy tylko to potwierdziły.

– Nigdy bym tak nie pomyślała. Ale sam fakt, że o tym mówisz, świadczy, że nie jesteś osobą, za którą cię uważałam.

– *Gott in Himmel*. Czyżbyś mnie o coś oskarżała? Jeśli tak, powiedz wreszcie, o co ci chodzi.

– O Heidede – powiedziała. Sposób, w jaki wymówiła imię mojej córki, sprawił, że zacisnęłam pięści. – Dorasta bez matki. Bez ojca. Za dużo je. Jest nieszczęśliwa. Nie podoba jej się tu i nigdy się tu dobrze nie czuła. Czy kiedykolwiek ją o to zapytałaś? Po wyjeździe Rudiego płakała przez wiele dni. Błagała, żeby ją ze sobą zabrał. Wiedziałaś o tym?

– Nie – rzuciłam. – Ale nawet gdybym o tym wiedziała, nic by to nie zmieniło. Jej miejsce jest przy mnie. Zresztą to nie twoja sprawa. Zatrudniłam cię właśnie po to, żeby nikt nie wtrącał się w moje sprawy.

– Rozumiem. – Sięgnęła do kieszeni i wyjęła klucz do mojego domu, a następnie położyła go na biurku. – Rezygnuję, Marleno. Kocham cię. Ale to nie jest moje miejsce. To nie mój kraj i nie nadaję się do tej pracy. Nie zamierzam być twoją służącą.

– Nigdy nie prosiłam, żebyś była moją służącą.

– Ale tak mnie traktujesz, choć może tego nie dostrzegasz. Ja, Rudi, von Sternberg, wytwórnia. Nawet Heidede. Wydaje ci się, że istniejemy tylko po to, żeby spełniać twoje rozkazy. Nic nie jest dla ciebie ważniejsze od sukcesu. Kiedy jesteś szczęśliwa, my też jesteśmy szczęśliwi. Ale w przeciwnym wypadku... – Westchnęła. – Uważam cię za wspaniałą osobę. Ale rola Dietrich cię niszczy.

Rozłożyłam ramiona.

– Bez tego nie byłoby Dietrich. Ani pieniędzy. Ani służby, z której musiałabyś rezygnować.

Nagle zdałam sobie sprawę, do czego się przed chwilą przyznałam – przed nią i przed sobą.

– Tak sądzisz – powiedziała Gerda. – Pewnie nawet w to wierzysz. Ale to wszystko nie jest prawdziwe. Nie zapominaj o tym. Pewnego dnia możesz potrzebować przyjaciół bardziej, niż przypuszczasz.

Minęła mnie i ruszyła w stronę schodów, po których schodziły właśnie Heidede i służąca, która niosła jej walizkę. Chciałam zatrzymać Gerdę. Chciałam błagać, żeby mi wybaczyła, przyznać, że byłam samolubna i zaślepiona, przeprosić, że nie zauważyłam, jak wiele dla mnie poświęciła. Porzuciła karierę, ambicje i Niemcy, ojczyznę, której żadna z nas już nie poznawała. Zamiast tego rzuciłam tylko:

– Zostawię twoją ostatnią wypłatę na biurku.

Pozwoliłam jej odejść. Pozwoliłam Gerdzie odejść z mojego życia.

W tamtej chwili byłam gotowa na takie poświęcenie.

Kiedy już zatrzymałam się w apartamencie na ostatnim piętrze Beverly Hills Hotel, a przed drzwiami postawiono ochroniarza, postanowiłam zadzwonić do Rudiego. Łkając w słuchawkę, o wszystkim mu opowiedziałam, on zaś oznajmił, że Heidede powinna natychmiast przyjechać do Paryża. Paramount przeprowadził wspólnie z policją śledztwo i okazało się, że anonimowa groźba to zwykłe oszustwo. Winnych nigdy nie znaleziono. Dziennikarze o wszystkim się jednak dowiedzieli i rozdmuchali całą sprawę. W końcu, w nieautoryzowanej rozmowie telefonicznej z „Photoplay”, musiałam zadeklarować, że choć nic złego się nie stało, bardzo się przestraszyłam i zaczęłam rozważać powrót do Europy.

Przedstawiciele wytwórni wpadli w szał. Zabrałam publicznie głos bez ich zgody, sugerując, że w jakiś sposób odpowiadają za zaistniałą sytuację, choć zapewnili mi wszelką możliwą ochronę: obstawę dla mnie i dla Heidede, prywatny samochód, owczarka niemieckiego i tyle krat w oknach, by nawet Houdini nie mógł dostać się do środka. Obowiązywał mnie kontrakt, a nasz ostatni film wymagał jeszcze wiele pracy. Von Sternberg gdzieś zniknął – zapadł się pod ziemię jeszcze przed tamtym feralnym pokazem przedpremierowym. Wytwórnia go zawiesiła, zatrudniła innego reżysera i zażądała, żebym natychmiast wróciła na plan. Von Sternberg udowodnił jednak, że nie jest całkowicie pozbawiony skrupułów, i pojawił się nagle w Nowym Jorku, gdzie wydał oficjalne oświadczenie

i odmówił dalszej pracy nad filmem, powołując się na licencję artystyczną. Schulberg pozwał go za złamanie warunków kontraktu. Ja tymczasem spędzałam większość czasu z Heidede, zabarykadowana w swoim domu-więzieniu w Beverly Hills. Moja córka bez przerwy płakała z tęsknoty za Gerdą i Rudim, a ja nie mogłam zostawić jej samej nawet na chwilę.

Wytwórnia zawiesiła i mnie.

Blond Venus okazała się katastrofą. Nie byłam szczególnie zdziwiona, kiedy von Sternberg w końcu do mnie zadzwonił i powiedział ze skruchą:

– Naprawdę myślałem, że zrobimy wspaniały film. Ale jeśli nie spełnimy ich warunków, nigdy już nie znajdziemy pracy w Hollywood. – Zamilkł na chwilę, a ja nie odezwałam się ani słowem. – Schulberg jest gotów cofnąć swoją decyzję, o ile zgodzimy się na nowo nakręcić część scen.

Nie musiałam pytać, dlaczego kierownik produkcji był gotów się ugiąć. Rozpaczliwie potrzebował pieniędzy.

– O które sceny chodzi? – zapytałam po chwili.

Nie obchodziły mnie losy filmu. Dopiero po pewnym czasie dotarło do mnie, że Gerda wyjechała i że nigdy więcej jej nie zobaczę. Kiedy to sobie uświadomiłam, zapłakałam rzewnymi łzami. Miała rację. Pozwoliłam, by sukces mnie zmienił. Koncentrowałam się wyłącznie na swoich sprawach i w konsekwencji straciłam przyjaciółkę i oddaliłam się od własnej córki. Zaczęłam zadawać sobie pytanie, czy nadal chcę być gwiazdą.

– Trzeba zrezygnować z niektórych wątków, takich jak prostytucja Helen i ukrycie dziecka pod łóżkiem na czas spotkania z klientem – odpowiedział von Sternberg. – Potrzebujemy też nowego zakończenia, w którym bohaterka przygotowuje kąpiel dla syna. Ubrana w suknię wieczorową.

– Oczywiście. – Westchnęłam. – Spotkam się z Travisem Bantonem. Kiedy wracasz?

Zanim zdążył pojawić się na planie, Helen nosiła już nową suknię z czarnej satyny. Suknia miała odkryte plecy i leżała na mnie jak druga skóra. Choć *Blond Venus* wywołała skandal, a krytycy nałożyli na nią anatemę, zdobyła wśród widzów ogromną popularność. Za sprawą tragedii Lindberghów film stał się niezwykle aktualny. Do wielu przemówił też wątek przedstawiający losy matki walczącej o przetrwanie w targanym kryzysem kraju. Von Sternberg dokonał cudu, po raz kolejny dowodząc, że potrafi nadać mi blask i uczynić ze mnie gwiazdę.

Mimo tego wszystkiego musiało nadejść nieuniknione. Schulberg nie mógł nam wybaczyć tego, co zrobiliśmy, i po raz pierwszy od mojego przyjazdu do Hollywood film z moim udziałem miał wyreżyserować ktoś inny, nie von Sternberg.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Był 1933, rok moich trzydziestych drugich urodzin.

Hitler został kanclerzem Niemiec, zdymisjonował rząd i zakończył istnienie Republiki Weimarskiej. Z mojej ojczyzny uciekali do Stanów Zjednoczonych kolejni znajomi i przyjaciele. Ernst Lubitsch, reżyser *Małego Napoleona*, w którym wystąpiłam w młodości, przeniósł się do Hollywood jako jeden z pierwszych i zaproponował, żebyśmy nakręcili adaptację klasycznej niemieckiej powieści Sudermanna, *Pieśni nad pieśniami*. Wybrano dla mnie wyjątkową rolę: miałam zagrać pobożną dziewczynę, żyjącą w Berlinie przełomu wieków, która pozuje do rzeźby przedstawiającej oblubienicę z *Pieśni Salomona*. Co więcej, jako że Sudermann był Żydem, nasza współpraca miała stanowić dowód solidarności panującej w naszym narodzie i wspólnej nienawiści do Hitlera.

Schulbergowi spodobał się ten pomysł, ale nie zdecydował się na zatrudnienie Lubitscha: reżyserem filmu został Rosjanin Rouben Mamoulian, który niedawno skończył pracę nad popularną adaptacją *Doktora Jekylla i Mr. Hyde'a*.

– To dawny maszynista teatralny – poskarżyłam się von Sternbergowi, który przygotowywał się do wyjazdu. Sam również miał nakręcić film. Odkąd dostałyśmy anonim z groźbą, a Gerda się wyprowadziła, starał się jak najczęściej dotrzymywać nam towarzystwa i mieszkał

w moim pokoju gościnnym. Choć miałam liczny personel – szofera, służące, ochroniarza – a do tego jeszcze psa, nie czułam się bezpieczna. Chciałam przeprowadzić się do innej rezydencji, ale wytwórnia się na to nie zgadzała.

– Co on może wiedzieć o Niemczech i Sudermannie?

– Mamoulian był dyrektorem teatru w Rosji. Pracował tam, odkąd wprowadzono film dźwiękowy. – Von Sternberg spokojnie złożył ubrania i schował je do torby, co jeszcze bardziej mnie zirytowało. Otworzył mi drogę do kariery, którą uważałam zresztą za n a s z ą karierę. Jak mógł ją teraz tak jawnie lekceważyć?

– To wcale nie czyni go ekspertem w tej dziedzinie – zauważyłam.

– Marleno. Ten maszynista teatralny, jak go nazywasz, uczył aktorów pracy nad dialogami. Zadba o to, żeby twoja angielska wymowa była idealna. Poza tym odnosił pewne sukcesy w branży.

– My też. Nie obchodzi cię to już?

– Oczywiście, że obchodzi. Nie porzucam cię. Robimy sobie przerwę tylko na jeden film. Poza tym, najdroższa, sama tego chciałaś. *Pieśń nad pieśniami* odniesie sukces nawet beze mnie, a już na pewno bez Lubitscha. Mamoulian ma bardzo wyrafinowany styl i estetykę. No i zaśpiewasz tam tylko jedną piosenkę w stroju z epoki. – Roześmiał się. – Bez odsłaniania nóg.

To, co mówił, miało sens, ale nadal nie potrafiłam zaakceptować, że tak spokojnie to wszystko przyjął.

– Skoro tak dobrze rozumiesz ten materiał, to dlaczego sam nie możesz wyreżyserować filmu?

– Ach, jak krótka jest ludzka pamięć. – Pocałował mnie w policzek. – Dzwoń, kiedy tylko zechcesz. Zdjęcia do produkcji, którą mi zlecili, mają się odbywać niedaleko stąd, w jakiejś koszmarnej dziurze o nazwie Mono Lake.

Nie zamierzałam pozwolić, by nieobecność von Sternberga mi zaszkodziła, i postanowiłam, że udowodnię nowemu reżyserowi, że lata doświadczenia zapewniły mi mistrzowską technikę. Umiałam już samodzielnie zadbać o to, by światło padało na mnie pod odpowiednim kątem: lizałam palec i unosiłam go w górę, starając się wyczuć ciepło lamp, przeglądałam też taśmy z każdego dnia, żeby upewnić się, czy charakterystyczny cień w kształcie motyla znajdował się dokładnie pod moim nosem. Każdego ranka przed rozpoczęciem zdjęć opuszczałam mikrofon i mówiłam: „Och, Jo. Dlaczego mnie opuściłeś?”. Ekipa pękała przy tym ze śmiechu, a reżyser wpadał w szał. Kazałam też zainstalować poza kadrem wysokie lustro, które pozwalało mi sprawdzać, czy przyjmuję odpowiednie pozy. Postanowiłam osobiście pozować do rzeźby przedstawiającej nagą Lily, tak żeby wyglądała w filmie autentycznie. Wszystkie te zabiegi bardzo bawiły von Sternberga.

– Banton ubiera cię w bufiaste suknie i turniury – powiedział przez telefon – ale i tak dbasz o to, żeby prawdziwa Dietrich pozostała widoczna. Chyba jeszcze nigdy nie poświęcono jej tyle uwagi.

Rozbawił mnie. Ku mojej uldze zdjęcia trwały tylko dziesięć tygodni. Wkrótce odbyła się premiera, a w Niemczech potępiono mnie po raz kolejny: nie dość, że pozowałam w filmie nago, to jeszcze zdecydowaliśmy się na nakręcenie adaptacji żydowskiej powieści. Po premierze zorganizowano eleganckie przyjęcie w domu nad oceanem w Santa Monica.

Właśnie tam poznałam Mercedes de Acosta.

Przypominała ptaka, miała błyszczące ciemne oczy, szczupłą sylwetkę i długą szyję, którą zdobiły sznury kolorowych koralików. Gęste czarne włosy upięła w kok. Była ubrana w powłóczystą, staroświecką suknię, w której wyglądała tak, jakby grała w filmie kostiumowym. Na pierwszy rzut oka nie wydawała się przesadnie uwodzicielska, ale jej flegmatyczność i inteligentny wyraz twarzy natychmiast zwróciły moją uwagę. Sącząc szampana i rozmawiając z pozostałymi członkami ekipy, przez cały czas czułam na sobie jej spojrzenie. Stała przy drzwiach balkonowych, z których rozciągał się imponujący widok na Pacyfik.

Nie podeszła do mnie. Krążyłam po pomieszczeniu, udając, że jej nie dostrzegam, w końcu jednak zatrzymałam się przy niej. Odezwała się miękkim głosem, z ledwo słyszalnym nowojorskim akcentem:

– Słyszałam, że film jest przepiękny, panno Dietrich. I że pani również jest w nim przepiękna. Przypuszczam jednak, że praca z nowym reżyserem nie należała do łatwych.

To nie było pytanie. Zerknęłam na nią z ukosa i powiedziałam:

– Nigdy nie jest łatwo wcielić się w kogoś innego, niezależnie od tego, kto akurat stoi z drugiej strony kamery.

– Ach tak. Dylemat aktora: gdzie kończy się wyobraźnia i zaczyna rzeczywistość?

Intrygowała mnie. Była pisarką i wykonywała zlecenia dla różnych wytwórni, ale w przeciwieństwie do innych osób, które poznałam w Hollywood, nie robiła na niej wrażenia sława – ani ja.

– Chyba nie miałyśmy przyjemności się poznać? – Podałam jej dłoń. Miałam na sobie srebrno-czarny męski garnitur, koszulę i muszkę. Całości dopełniały aksamitny kapelusz oraz czerwone paznokcie i usta. Nieznajoma dotknęła moich palców tak delikatnie, jakby to były płatki kwiatów.

– Mercedes. I chciałabym sprawdzić, czy rzeczywiście mogę sprawić ci przyjemność.

Nie rozejrzałam się wokół siebie, choć otaczała nas sama śmietanka Paramountu, włącznie z Schulbergiem, który wyglądał na znękanego. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli *Pieśń nad pieśniami* zatonie, pociągnie go ze sobą na dno. Wytwórnia zmagała się ze skutkami kryzysu gospodarczego, a kierownikowi produkcji zależało na tym, by podczas prac nad nowym filmem rozdzielić mnie z von Sternbergiem. Schulberg nie mógł sobie pozwolić na potknięcie.

Uśmiechnęłam się do Mercedes.

– Pewnie dałoby się to zaaranżować.

– Pewnie tak. – Puściła moją dłoń. Zadrżały mi opuszki palców. – Znajdź mnie. Jestem w katalogu członkiń kółka robótek ręcznych.

Kilka dni później wybrałam się na lunch z Anną May. Kiedy opowiedziałam jej o Mercedes, zachichotała i wyjaśniła:

– To kochanka Garbo. Są ze sobą z przerwami od kilku lat, ale Garbo wyjechała teraz na pewien czas do Szwecji. Okradasz ją nie tylko na ekranie, ale i poza nim!

– Nie miałam o tym pojęcia. Mercedes o niej nie wspominała.

– Nic dziwnego. Garbo zapewne nie jest twoją wielbicielką. – Anna May zniżyła głos. – Słyszałam, że nasza królowa MGM poprosiła Mamouliana o prywatną projekcję twojego nowego filmu. Spodobał jej się tak bardzo, że nakłoniła wytwórnię do zatrudnienia tego reżysera przy kolejnym projekcie z jej udziałem.

– Naprawdę? – Życzyłam jej w myślach powodzenia: Mamoulian budził mój wstręt. – Mercedes mówiła, że znajdę ją w katalogu. Czy rzeczywiście istnieje coś takiego?

Anna May znowu wybuchnęła śmiechem.

– Mercedes de Acosta jest tym katalogiem.

Nazajutrz poprosiłam szofera, żeby zawiózł mnie do willi nad oceanem. W świetle dziennym niski dom wtłoczony w klif nie wydawał się już tak okazały, choć musiał kosztować fortunę. Niedaleko Cary Grant i jego kochanek kupili podobno domek na plaży.

Zanim zdążyłam zadzwonić, w drzwiach pojawiła się Mercedes. Miała rozpuszczone włosy, a ciemna kaskada spływała jej na kimono.

– Marleno – powiedziała. – Czemu dotarłaś tu dopiero teraz?

Zakochałam się po raz drugi.

Posyłałam jej wielkie bukiety róż i fiołków. Kiedy któregoś dnia westchnęła i oznajmiła, że jej dom zaczyna przypominać kwiaciarnię, zaczęłam ją obsypywać podarunkami od Lalique'a. Gotowałam duszoną wołowinę po niemiecku i sprzątałam jej chaotyczny, pełen porozrzucanych kartek gabinet. Uporządkowałam nawet bibliotekę, w której znajdowały się książki dotyczące wszystkich dziedzin: od sztuki, architektury, muzyki i malarstwa, przez powieści i biografie, aż po poezję i scenariusze. Robiłam jej pranie i ścieliłam łóżko. Zdecydowałabym się nawet na mycie podłóg – w domach na plaży parkiety łatwo się brudziły z powodu piasku – ale Mercedes złajała mnie i powiedziała: „Mam służącą. Jeżeli już musisz klękać, to lepiej rób to tutaj. W łóżku".

Fascynowała mnie. Fascynowały mnie nasze rozmowy, pieszczoty i drobne palce mojej kochanki, które powoli się we mnie wsuwały. Odurzała mnie. Nigdy nie poznałam kogoś, kto byłby tak wszechstronny. Jej erudycja nigdy mnie nie nudziła, podobnie jak giętki język, który zanurzał się we mnie jak koliber szukający nektaru.

To ona otworzyła mi oczy na mrok zstępujący na Niemcy. Regularnie gościła w swoim domu emigrantów – wielu

z nich było homoseksualistami – którzy uciekli z dławionego przez Hitlera kraju.

– Oni palą książki! – zawołał Ernst Lubitsch. Choć nie mieliśmy okazji pracować wspólnie przy *Pieśni nad pieśniami*, zaprzyjaźniliśmy się, a reżyser bacznie śledził to, co działo się w naszej ojczyźnie. – Braci Mannów, Marksa, Freuda, Einsteina i wielu, wielu innych. Aresztowali tysiące ludzi i znieśli wolność słowa. Hitler wprowadził cenzurę: Lichtspielgesetz wprowadziło regulacje, w myśl których wszystkie dzieła artystyczne muszą wpisywać się w ideologię aryjską. Niedługo zaczną palić wszystko, co nie spełnia sformułowanych przez nich kryteriów... i wszystkich, którzy za tymi dziełami stoją.

– Hitler utrzymywał się kiedyś z malowania pocztówek – zauważyłam. Wpadałam w szał na sam dźwięk jego nazwiska. – Nienawidzi artystów, bo poniósł na tym polu sromotną klęskę. To ohydny, sfrustrowany człowiek.

A jednak ten ohydny, sfrustrowany człowiek równał z ziemią Berlin, który tak kochałam – to wspaniałe miasto dekadenckiej radości. Zastanawiałam się, co spotkało dziewczęta z Das Silhouette, Yvette i pozostałych transwestytów, którzy pomogli mi dobrać garderobę Loli Loli. Czy ich też aresztowano? Czy Niemcy wpadali do kabaretów i równali je z ziemią?

– Tyle że teraz dla odmiany odnosi sukcesy – powiedziała Mercedes. – Jego manifest, *Mein Kampf*, sprzedaje się w milionach egzemplarzy zarówno w Niemczech, jak za granicą. Przypuszczam, że nikt nie zadał sobie trudu, by

przeczytać tę książkę. Hitler bardzo wyraźnie mówi tam o swoich intencjach. Niemcy nie mają pojęcia, co je czeka, jeśli on pozostanie u władzy.

Ernst Lubitsch z powagą pokiwał głową.

– To prawda, Marleno. Znane osobistości są mordowane nawet po opuszczeniu kraju. Filozof Lessing został zastrzelony w swoim domu w Czechosłowacji przez niemiecki oddział specjalny. Robią też obławy na dysydentów i wysyłają ich do obozu pracy w Dachau. Wszyscy, których na to stać, próbują uciec z Niemiec, ale paszporty są masowo unieważniane.

– To zwykły szaleniec! – wybuchłam. Rozejrzałam się wokół, patrząc na ponure, zdezorientowane twarze rozmówców. – Dlaczego na to pozwalamy? Dlaczego Europa bezczynnie się temu przygląda?

– Wszyscy uważają, że Hitler jest dobry dla Niemiec. – Mercedes ukradkiem dotknęła mojego ramienia i mocno je ścisnęła. Jej gest bardzo mnie zaskoczył.

– Tak – dodał Lubitsch. – Francja i Wielka Brytania prowadzą politykę ustępstw. Nikt nie podejmuje żadnych działań, żeby pomóc Żydom. – Zwrócił się do mnie: – Lepiej ostrzeż von Sternberga. Podobno rozważa powrót do Niemiec i współpracę z UFA. Jest ostatnią osobą, którą chcieliby tam widzieć.

Po ich wyjściu zapytałam Mercedes, dlaczego mnie uciszyła.

– Chcę się o wszystkim dowiadywać, nawet jeśli to straszne wieści. Rudi przeniósł się do Paryża, ale moja

matka, siostra i wuj mieszkają nadal w Berlinie. Jeśli coś im grozi, muszę o tym wiedzieć.

– Są dysydentami? – zapytała. – Żydami? Marksistami? Nie? W takim razie nic im nie grozi. Sugeruję natomiast, żebyś zachowała ostrożność. Słuchaj, co mówią inni, ale nie ujawniaj się z własnymi opiniami.

– Dlaczego? Nigdy nie ukrywałam swojego wstrętu do Hitlera. A jego kulawy minister propagandy, niedoszły powieściopisarz Goebbels, konsekwentnie prowadzi kampanię przeciw mnie.

– Pozwól mu na to. Musisz zachować powściągliwość. Martwisz się o rodzinę? Cóż, nie każdemu, kto tu przyjeżdża, można ufać. Goebbels słynie z tego, że wysyła szpiegów podających się za uchodźców, którzy starają się wybadać nastroje pośród Niemców mieszkających za granicą. W kraju nie tylko atakują Żydów i dysydentów. Wprowadzają też nowe ustawy, które ograniczają prawa kobiet. Kindersegen, niemieckie matki, stały się narodowymi bohaterkami. Niemcy chcą, żeby kobiety siedziały w domu, gotowały, sprzątały i rodziły dzieci ku chwale Rzeszy. Jesteś najsłynniejszą niemiecką gwiazdą filmową, ale nosisz męskie stroje, odsłaniasz ciało, żyjesz za granicą, z dala od męża. Jeżeli zaczniesz jeszcze otwarcie krytykować Rzeszę, wyobraź sobie, jak zareagują.

Nie chciałam sobie tego wyobrażać, ale gdy tylko wróciłam do domu, zadzwoniłam do wujka Williego – Mutti nie miała telefonu – który zapewnił mnie, że wszystko u nich w porządku. Prosił, żebym się nie martwiła.

– Josephine nadal sprząta domy. Ale sytuacja nie jest tak fatalna, jak ci się wydaje. Owszem, mamy nowego kanclerza – zaśmiał się chłodno – ale czym to się tak naprawdę różni od ostatnich dwudziestu lat? Kolejne rządy nieustannie się tworzą i upadają.

– Dasz mi znać, jeśli sytuacja się pogorszy? – zapytałam. – Nie będziesz zwlekał?

– Oczywiście. Ale dokąd moglibyśmy w naszym wieku wyjechać? Twoja matka nie chce o tym słyszeć. Wiesz, jaka ona jest. Niemcy to jej ojczyzna. Zachowuje się tak, jakby Hitler był zwykłą niedogodnością, z którą trzeba sobie radzić: gościem, który siedzi przy twoim stole i nie umie się odpowiednio zachować.

Uśmiechnęłam się. Mogłam się domyślić, że palenie książek nie wystarczy, aby poruszyć Mutti.

Obiecałam, że niedługo znowu zadzwonię, a następnie zatelefonowałam do Nowego Jorku, do von Sternberga, który pojechał tam, by spotkać się z byłą żoną. Jak zwykle próbował ją nakłonić, by do niego wróciła – a przynajmniej zgodziła się na obniżenie alimentów. Zanim zdążyłam go ostrzec, oznajmił:

– Nie zamierzam wracać. Może za jakiś czas pojadę do Europy, ale na pewno nie do Niemiec. Już o wszystkim słyszałem i nie chcę skończyć, czyszcząc obozowe latryny. Ruszam na morza południowe, gdzie mam filmować huragan. Zadzwonię do ciebie po powrocie. Aha, gratuluję *Pieśni nad pieśniami*. Słyszałem, że podobała się krytykom

i że wróżą jej wielki sukces. Mówiłem ci, ten Rosjanin wie, jak pokazać piękną kobietę.

Nie zapytałam, dlaczego zamierza filmować tropikalne sztormy. Ale uznałam, że jest do tego wprost stworzony.

Von Sternberg mylił się jednak co do mojego najnowszego filmu. *Pieśń nad pieśniami* miała doskonałe recenzje, ale nie odniosła sukcesu kasowego i przypieczętowała los Schulberga, który stracił pracę i przeniósł się do Columbia Pictures. Ku mojej radości nowym kierownikiem produkcji został Ernst Lubitsch. Tłumaczyło to antypatię, jaką darzył go von Sternberg. Inny Niemiec, emigrant i reżyser, pnący się po szczeblach kariery w Paramouncie – von Sternberg nie mógł tego znieść. Lubitsch nie odwzajemniał jego niechęci. Kiedy zaprosił mnie do swojego gabinetu, powiedział, że w związku ze słabymi wynikami *Pieśni nad pieśniami* chętnie wysłucha wszelkich sugestii dotyczących dalszych etapów mojej kariery.

– Poinstruowano mnie, żebym przedłużył twój kontrakt i podwyższył ci pensję. Paramount nadal w ciebie wierzy, Marleno. Jesteś naszą największą gwiazdą i chcemy, żebyś nakręciła dla nas dwa kolejne filmy.

– W takim razie przedłużcie też kontrakt von Sternberga – zażądałam natychmiast. – Właśnie dlatego *Pieśń nad pieśniami* zrobiła klapę: gdyby to on reżyserował, dostrzegłby słabe punkty filmu.

– Już próbowałem to zrobić. – Lubitsch rozmasował nos, na którym odcisnęła mu się druciana oprawka okularów. – Nie odbiera telefonu. Podejrzewam, że próbuje nawiązać

współpracę z UFA, ale tak jak ci już mówiłem, nie dostanie w Niemczech pracy. Takich warunków i takiej swobody jak tu nie zapewni mu też żadna inna amerykańska wytwórnia.

Te słowa bardzo mnie ucieszyły. Choć von Sternberg był apodyktyczny i kłótliwy, doskonale nam się razem pracowało. Tęskniłam za nim i wiedziałam, że on również za mną tęskni. Wydzwaniałam pod jego nowojorski adres i zasypywałam go telegramami tak długo, aż wreszcie odpowiedział. Oznajmił, że wróci do Hollywood najszybciej, jak tylko się da, ale że ma inne zobowiązania, które musi wypełnić w pierwszej kolejności.

– Jakie znowu zobowiązania? – mruknęłam, zwracając się do Mercedes. – Żona go nie chce, za to Lubitschowi zależy na dalszej współpracy. A on ma nagle zobowiązania. Nie rozumiem. Ten człowiek jest nieznośny.

– Może zrobisz sobie wakacje? – Ziewnęła. – Dużo ostatnio pracowałaś i masz teraz trochę wolnego. Paryż jest o tej porze roku wspaniały, a twoja córka na pewno tęskni za ojcem.

Zrozumiałam, o co jej chodzi. Po wyjeździe Gerdy zatrudniłam dwóch ochroniarzy, którzy mieli pilnować Heidede, kiedy byłam na planie. Moja córka uczyła się w prywatnej szkole dla dzieci gwiazd. Dobrze jej szło i mówiła już po angielsku lepiej ode mnie, ale miałam tyle pracy, że rzadko się widywałyśmy. Starałam się poświęcać jej każdą wolną chwilę, a w czasie weekendów zabierałam ją do Mercedes, gdzie spacerowałyśmy po plaży i zbierałyśmy muszelki. Heidede uważała jednak moją

kochankę za „dziwaczną”, a Mercedes irytowało wiecznie plączące się pod nogami dziecko. Miała już dość moich rodzinnych powinności.

– Czyżby Garbo zrobiła się zazdrosna? – Sięgnęłam po papierosy.

Mercedes oparła się o wezgłowie i westchnęła.

– Marleno, po co o to pytasz?

W duchu przyznałam jej rację. Wróciłam do domu lekko zraniona, ale następnego ranka kupiłam bilety do Paryża dla Heidede i dla siebie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zakochałam się po raz trzeci.

Paryż oczarował mnie zgiełkiem, szerokimi bulwarami, labiryntami uliczek wyłożonych kocimi łbami, strzelistymi katedrami i głośnymi kawiarniami, pełnymi kasztanowców ogrodami Tuileries oraz pnącą się ku niebu wieżą Eiffla. Było to miasto zarazem eleganckie i sprośne, wyrafinowane i wulgarne. Siedziało okrakiem na Sekwanie jak dziewczyna z kabaretu i paradowało Polami Elizejskimi jak bogini. Śmiało się, paliło papierosy i piło czerwone wino. Nie zważało na dziwactwa sławy i rozkoszowało się codziennymi przyjemnościami.

Paryż zapewnił mi prywatność. Nie bałam się, nie myślałam o groźbie porwania i chętnie korzystałam z nowo odkrytej swobody. Zabierałam Heidede do parków i na targi pod gołym niebem, a nawet jeśli ktoś mnie rozpoznawał, to rzadko kiedy prosił o autograf. Paryżanie rozumieli, że nawet znane aktorki używają bidetów.

Mogłabym tam zostać na zawsze.

Rudi wydawał się szczęśliwy. Mieszkał z Tamarą w przytulnym mieszkaniu niedaleko siedziby Paramountu, ale w związku z międzynarodowym kryzysem gospodarczym nie miał zbyt wielu zajęć. W Paryżu nikt się zresztą nie przepracowywał, może z wyjątkiem Coco Chanel, której pracownię odwiedziłam pewnego dnia, chcąc kupić sobie

kilka strojów. Poznałam słynną projektantkę podczas przymiarek. Była poważną kobietą, całkowicie skupioną na swojej pracy, a układając na mnie dżersejową sukienkę, ani na chwilę nie przestawała mówić. Pokazała mi gazety ze zdjęciami z mojego przyjazdu na Gare Saint-Lazare: miałam na sobie beret, duże okulary przeciwsłoneczne, męski perłowoszary garnitur i moherowy płaszcz polo w kolorze czekolady.

– Publiczny transwestytyzm uznaje się w Paryżu za przestępstwo – zażartowała. – Może pani zostać aresztowana. Mnie samej to oczywiście nie przeszkadza. Ten moherowy płaszcz jest wspaniały, chociaż tutaj wolimy, kiedy kobiety ubierają się jak kobiety.

– A co z mężczyznami? – zapytałam.

Chanel się roześmiała, a bransoletki na jej rękach głośno zabrzęczały.

– Nie zajmuję się mężczyznami – oznajmiła. – I wolę, kiedy oni nie zajmują się mną.

Oczywiście mijała się z prawdą. O romansach Chanel było głośniej niż o moich. Poza tym chodziło jej tak naprawdę o to, że lubiła, kiedy kobiety nosiły j e j ubrania. Zamówiłam u Chanel dwanaście strojów, w tym kilka sukni wieczorowych, ale do mojej ulubionej węgierskiej restauracji przy Rue de Surène i tak chodziłam w garniturach i krawatach. Policjanci bacznie mnie obserwowali i nie odstępowali na krok – wymykanie się im traktowałam jako doskonałą rozrywkę – ale nie zostałam aresztowana. Gdziekolwiek się udawałam, trafiałam na

pierwsze strony gazet. Noszenie strojów płci przeciwnej uznawano w Paryżu za przestępstwo, ale francuska prasa to uwielbiała i nigdy się mną nie nudziła.

Postanowiłam wykorzystać to zainteresowanie, żeby zwrócić uwagę opinii publicznej na trudną sytuację uchodźców. Rudi zorganizował mi spotkanie z Kurtem Weillem, który chciał mnie poznać. Słynny kompozytor *Opery za trzy grosze*, którego ballada *Mackie Majcher* swego czasu wstrząsnęła Berlinem – musiał uciec z Niemiec. Mieszkał teraz z żoną w ciasnym mieszkanku na lewym brzegu Sekwany i czekał na wizę do Nowego Jorku. Okazał się drżącym, krótkowzrocznym mężczyzną w ogromnych okularach, w których wyglądał jak wygłodniała sowa. Chwycił mnie za rękę i zaczął lamentować nad godnym pożałowania stanem naszej kultury. Głęboko poruszyła mnie sytuacja, w jakiej się znalazł. Oburzał mnie fakt, że jeden z naszych największych talentów musiał uciekać z Berlina jak pospolity złodziej. Obiecałam, że szepnę o nim słówko w Hollywood, a Weill poprosił, żebym oddała hołd naszej ojczyźnie, nagrywając płytę z niemieckimi piosenkami.

– Musi pani być naszym głosem – powiedział. – Zanim wszystko przepadnie.

Uznałam, że to wspaniały pomysł. Poprosiłam Weilla o napisanie dla mnie dwóch piosenek, ale okazały się zbyt ponure, bym mogła je zaśpiewać. Nagrałam jednak utwór *Allein* autorstwa dwóch żydowskich kompozytorów, Wachsmanna i Colpeta: poruszający hymn pełen

Weltschmerzu towarzyszącego powolnej śmierci Berlina. Był to melancholijny hołd dla naszej zbolałej, znękanej egzystencji. Zrobiłam to celowo: chciałam podkreślić, że narodowi socjaliści odrzucili ważne dla kultury niemieckiej dziedzictwo żydowskie. Nagranie, wydane przez Polydor, natychmiast stało się hitem.

– Ciekawe, co na to Goebbels – zwróciłam się z rozbawieniem do Rudiego, z którym pojechałam do Wiednia, gdzie spotkaliśmy się z Mutti. Wysłałam jej pieniądze na bilety kolejowe dla niej i dla Liesel, ale mimo to przyjechała sama. Specjalnie na tę okazję poszła do fryzjera i zrobiła sobie nową fryzurę. Uśmiechała się pojednawczo i okazywała czułość Heidede, ale absolutnie nie chciała rozmawiać o Hitlerze. Kiedy zapytałam, czy u niej i u reszty naszej rodziny wszystko jest okej, prychnęła.

– Dlaczego używasz tego słowa? „Okej”. Co to w ogóle znaczy? Tak, oczywiście. Wszystko w porządku. Nie jesteśmy Żydami. Nie mają powodu, by kwestionować nasze poglądy.

Zerknęłam na Rudiego, który wyszczerzył zęby w uśmiechu. Niektóre rzeczy – w tym moja matka – nigdy się nie zmieniały.

Fani dowiedzieli się o moim przyjeździe i zgromadzili się pod naszym hotelem w Wiedniu. Mój pobyt w Paryżu opisały gazety na całym świecie, więc musiałam przez dwa wieczory z rzędu schodzić na dół i rozdawać autografy. Fotoreporterzy robili zdjęcia, które dotarły nawet do

Ameryki, gdzie opatrzono je podpisem: „Marlena prowokuje Berlin”.

W końcu Mutti nie wytrzymała. Rano w dniu, kiedy miała wyruszyć do Berlina, a my przygotowywaliśmy się, by odwieźć ją na dworzec, wzięła mnie na bok i powiedziała lodowatym tonem:

– Przypuszczam, że bawią cię te błazeństwa.

– Błazeństwa? – Udawałam, że nie wiem, o co chodzi, ale uświadomiłam sobie z niepokojem, że zapomniałam o radach Mercedes.

– Tak. Zabawiasz ten motłoch, otwarcie okazując pogardę wobec naszego führera. A może w Hollywood panuje ostatnio moda na lekceważenie własnego narodu?

– Mutti, na tym polega moja praca. Fani chcieli mnie zobaczyć i...

Zacisnęła zęby w taki sam sposób, jak to robiła, kiedy w dzieciństwie zrywałam strunę w skrzypcach.

– Doskonale wiesz, o czym mówię. Żyjesz teraz daleko stąd, ale Liesel, Willi i ja mieszkamy w Berlinie. Jesteśmy Niemcami. Chcesz, żeby wpisano nas na czarną listę tylko dlatego, że wiecznie walczysz o zainteresowanie prasy?

– Ja też jestem Niemką – odpowiedziałam z wściekłością. Nagle jednak, przez ułamek sekundy, w jej oczach dostrzegłam strach. – Mutti, czy oni wam grozili?

– Oczywiście, że nie. Nie ośmieliliby się. Wywodzimy się z dobrej rodziny, której rodowód sięga dużo dalej niż rodowody wszystkich narodowych socjalistów.

– To samo dotyczy Wertheimów, właścicieli domu towarowego.

– Oni są Żydami. – Minęła mnie i podeszła do Rudiego, a następnie podała rękę Heidede, ubranej w granatowy płaszczyk i dopasowaną do niego czapeczkę. – Chodź, *mein Liebling*. Pocałuj Omę na pożegnanie.

– Ona pojedzie z nami na dworzec – powiedziałam pojednawczo.

Mutti potrząsnęła głową.

– Wolałabym tego uniknąć. Przed hotelem na pewno czekają twoi wierni fani. Wolę wyjechać stąd po cichu i nie zastanawiać się, czy i moje zdjęcie trafi do gazet.

Oczywiście postawiła na swoim.

Wyruszyłyśmy w drogę powrotną do Ameryki. Kiedy już wsiadłyśmy na pokład Île de France, a Heidede zasnęła w kabinie, włożyłam jedną z nowych białych sukni od Chanel i ruszyłam do restauracji. Byłam nadal poruszona słowami Mutti i pożegnaniem z Rudim, który podzielał obawy mojej matki.

– Nie warto ich prowokować, Marleno – poradził, zanim wsiadł do pociągu. – Skup się na pracy i zostaw politykę innym.

Choć nie komentowałam publicznie sytuacji w Niemczech, rozumiałam, co miał na myśli. Uważał, że nie powinnam nagrywać żydowskich piosenek ani dawać się fotografować w innych europejskich miastach. Pozwoliłam, by zaślepiły mnie gniew i nienawiść. Chciałam oderwać myśli od problemów i wypić aperitif, ale wszystkie stoliki

w restauracji były zajęte, a goście nie odrywali ode mnie wzroku. Postanowiłam zatem wycofać się do baru.

Kiedy już zamówiłam koktajl rozcieńczony wodą sodową, siedzący przy pobliskim stoliku krzepki mężczyzna o ciemnych włosach gwałtownie odsunął krzesło i ruszył w moją stronę. Spojrzałam na jego rumianą twarz, krzaczaste brwi oraz wąs, położyłam dłoń na biodrze i przygotowałam się na to, co musiało nieuchronnie nadejść.

– Znam panią – powiedział, posyłając mi rozbrajająco ciepły uśmiech. – Jest pani tą szwabką.

Zorientowałam się, że nie zamierzał mnie obrazić, więc odparłam:

– Owszem. A pan...?

– Hemingway. – Podał mi rękę. – Ernest Hemingway. Jestem pisarzem.

– Wiem o tym. *Słońce też wschodzi*.

– Czytała to pani? – Uniósł brew. – Czy może same recenzje?

– Jeżeli tylko mogę, staram się unikać recenzji.

– I bardzo słusznie. Tę jedną rzecz możemy kontrolować: nie pozwalajmy, żeby ktokolwiek widział, jak się pocimy. – Zamówił szkocką. Jego męskość i bezpośredniość w pewien sposób kojarzyły mi się z Garym, ale przypominał też von Sternberga: wydawał się człowiekiem, który koniecznie chciał coś udowodnić.

– Co panią sprowadza na pokład tej zardzewiałej łajby? – zapytał, patrząc mi w oczy. W przypadku każdego innego

mężczyzny odczytałabym te słowa jako prowokację. Ale nie wydawało mi się, żeby Hemingway miał takie intencje. Wyglądał na zaintrygowanego, tak jakby słyszał o mnie rzeczy, które chciał zweryfikować. – Zaraz. Proszę mi nie mówić. Czy nie odwiedziła pani ostatnio Paryża?

Pokiwałam głową.

– Odwiedziłam Paryż i Wiedeń.

– Tak, ale widziałem w „Le Figaro" zdjęcia, na których miała pani na sobie garnitur i krawat. Moja przyjaciółka Gertrude Stein... słyszała pani o niej? – Kiedy pokiwałam głową, ciągnął: – No cóż, wychwala panią pod niebiosa. Uważa, że ma pani prawdziwe *cojones*, skoro ubiera się pani w ten sposób i paraduje po mieście jakby nigdy nic.

– Bardzo mi miło. Z tego, co wiem, pani Stein też nie brakuje *cojones*.

– To prawda. – Roześmiał się. – Podziwiam kobiety z jajami. Zawsze powtarzam...

– Nie pozwalajmy, żeby ktokolwiek widział, jak się pocimy? – Pomyślałam, że właśnie to powinien zobaczyć. W moim łóżku.

– To i jeszcze... – Nachylił się nade mną. – Nie rób niczego, czego szczerze nie chcesz zrobić. Nigdy nie myl ruchu z działaniem.

W tamtej chwili poczułam do niego ogromną sympatię.

– To doskonała filozofia życiowa. Muszę zapamiętać te słowa.

– Śmiało. – Wskazał mój kieliszek. – Jeszcze jeden?

Dopiłam koktajl jednym haustem.

– Dlaczego nie?

Nie spędziliśmy ze sobą nocy, ale wyszliśmy z baru jako ostatni. Pod koniec, podczas długiego spaceru po pokładzie, mówiłam już do niego Papa, a on ani razu nie wymówił mojego imienia.

Zostaliśmy przyjaciółmi na resztę życia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po powrocie do Los Angeles dowiedziałam się, że tajemnicze zobowiązania von Sternberga skłoniły go do potajemnej podróży do Berlina. Spotkanie z przedstawicielami UFA potwierdziło jednak słowa Lubitscha: wytwórnia wcale nie chciała z nim współpracować.

– Przeklęte wieprze! – ryknął von Sternberg, jeszcze zanim zdążyłam się rozpakować. Czekał na mnie na podjeździe, z górą niedopałków u stóp. – Myślą, że mogą mnie odrzucić tylko dlatego, że jestem Żydem. Nie byłoby ich beze mnie! Dawno by zbankrutowali. Utrzymali się na powierzchni tylko dzięki *Błękitnemu aniołowi*.

Przesadzał, ale podałam mu koniak, starając się stłumić jego gniew. W końcu wyrzucił z siebie, że chciał zaszachować Paramount – a przede wszystkim Lubitscha – machając im przed nosem ofertą z UFA.

– Tchórze. – Dopił koniak, a następnie podstawił mi szklankę, prosząc, żebym dolała. – Zachowywali się tak, jakby robili mi łaskę, wpuszczając mnie tylnymi drzwiami. – „Spotykamy się z panem tylko dlatego, że darzymy pana ogromnym szacunkiem, Herr von Sternberg. Musimy jednak podporządkować się nowym zasadom”. Nowe zasady – rzucił z wściekłością. – Płaszczenie się przed Hitlerem, Goebbelsem i resztą tych idiotów, tak jakby cokolwiek wiedzieli o filmie czy kulturze.

– Oni palą naszą kulturę – przypomniałam. – Mogłeś sobie oszczędzić tego upokorzenia. Wiedziałeś przecież, że Ernst chce, żebyśmy razem pracowali.

– Widzę, że jesteś z nowym szefem po imieniu. – Posłał mi gniewne spojrzenie. – Oczywiście, że tego chce. To kretyn, ale nie głupiec. *Pieśń nad pieśniami* była koszmarnym gniotem. Wiesz, że wytwórnia rozesłała dziesiątki kopii tej nagiej rzeźby i że wystawiano ją przy wejściu do kin? Dziwne, że Hays Office nie zdjęła waszej produkcji za obrazę moralności.

Spojrzałam na niego ze zniecierpliwieniem. W obliczu upokorzenia, które go spotkało, musiał oczywiście skrytykować jedyny film, nad którym pracowałam bez niego. Cieszyłam się jednak z jego powrotu i z ulgą przyjęłam wiadomość, że pozwolono mu wyjechać z Niemiec.

– Zachowałeś się bardzo nierozważnie – powiedziałam. – Mogłeś zostać aresztowany.

– Za co? Za przywiezienie scenariusza?

Milczałam przez chwilę.

– Pokazałeś UFA jakiś scenariusz?

– No cóż, chyba nie przekonałbym ich swoim żydowskim urokiem, prawda?

– Rozumiem. – Po raz drugi dolałam mu koniaku. – I co to za scenariusz?

Zalśniły mu oczy i w charakterystyczny dla siebie sposób zaczął z pasją opowiadać o nowym pomyśle.

– Chodzi o film o Katarzynie Wielkiej. Wszystkie wytwórnie produkują teraz widowiskowe opowieści o wielkich władcach: Kate Hepburn zagrała Marię I Stuart, Norma Shearer Marię Antoninę, a Garbo wcieliła się w królową Krystynę. – Zamilkł na chwilę, czekając, aż zareaguję na wiadomość o tym, że królowa MGM gra słynną władczynię noszącą męskie stroje.

– Garbo w dublecie – oznajmiłam sucho. – Jakież to oryginalne. – Nalałam sobie koniaku, choć nie zamierzałam pić o trzeciej po południu. – Pokażesz to Ernstowi?

– Już to zrobiłem. Jest zachwycony.

– Naprawdę? – Natychmiast nabrałam podejrzeń. – Odnowił twój kontrakt?

– Tak. I dał mi pełną swobodę. Możemy teraz robić, co tylko chcemy, a wytwórnia nie będzie się w nic wtrącała.

Wzbudziło to moje podejrzenia. Von Sternberg rzadko miał gotowy scenariusz przed rozpoczęciem zdjęć. Najchętniej trzymał wszystkich w niepewności i wymyślał wszystko na bieżąco. Na tym po części polegał jego geniusz, ale to również tej cechy najbardziej nienawidziła w nim większość aktorów. A mimo to Lubitsch dał mu „wolną rękę”. To posunięcie wydawało mi się szczytem szaleństwa. Albo wyrazem pełnego zaufania – w to drugie jednak wątpiłam.

– Chciałabym przeczytać ten scenariusz – powiedziałam, a von Sternberg natychmiast spojrzał na mnie z wściekłością.

– Czy kiedykolwiek cię zawiodłem?

– Ach, jak szybko zapominamy – odparłam, przypominając sobie jego słowa.

Wyjął z kieszeni dwie pomięte kartki, rzucił je na kanapę i wyszedł, mamrocząc pod nosem o niewdzięczności, którą okazywano mu na każdym kroku.

To nie był scenariusz. To nie było nawet pół scenariusza.

Nagle uświadomiłam sobie, że Lubitsch okazał się sprytniejszy, niż przypuszczaliśmy.

W suto marszczonej cynobrowej sukni, tak rozłożystej, że zmieściłoby się pod nią jeszcze kilka osób, czułam się jak kolejny kandelabr czy inny element scenografii. Von Sternberg wypełnił plan zdjęciowy barokowymi bramami i przejściami, rosyjskimi ikonami i ogromnymi drzwiami.

– W tej scenie – oznajmił, obracając się na nowym krześle reżyserskim, przymocowanym do platformy, którą można było automatycznie podnieść, tak by móc zobaczyć plan z góry – zlecasz zabójstwo swojego męża, tego półgłówka Piotra III Romanowa.

– Tak. – Starając się nie zrzucić bogato zdobionej peruki, spuściłam wzrok i zerknęłam na kartki, które von Sternberg zostawił wcześniej w mojej garderobie. Tak jak przypuszczałam, codziennie zmieniał i dopracowywał scenariusz, setki aktorów i statystów mogły tylko zgadywać, co będziemy danego dnia kręcili. – No właśnie, czy ona naprawdę musi być tak niegodziwa?

– Mąż zamierzał ją zabić. Musi się zemścić.

Cieszyłam się, że nie zabierałam Heidede na plan. Miała już prawie jedenaście lat i czasem odwiedzała mnie po

szkole. Pojawiła się na chwilę w filmie jako Katarzyna w młodości, ale później poprosiłam, żeby została w garderobie. Nie chciałam, żeby myślała, że ta groteska w jakikolwiek sposób odzwierciedla moją karierę.

– Mści się dość intensywnie. I w żaden sposób nie uzasadnia swoich czynów. Czy widzowie nie stracą do niej sympatii, jeśli nie zacznie tłumaczyć swoich decyzji?

– Kto by tego potrzebował? Wystarczy nastrój. – Wskazał ręką plan filmowy. Miał białe rękawiczki i wrócił do ekscentrycznych strojów – zdarzało mu się wykrzykiwać instrukcje w goglach pilota. – To będzie wspaniały film. Takiej Katarzyny Wielkiej nikt jeszcze nie widział.

– Właśnie to mnie martwi – wymamrotałam pod nosem.

Kiedy skończyliśmy zdjęcia, nie miałam zielonego pojęcia, co z tego wszystkiego wyszło. Po pokazie niezmontowanej wersji filmu Lubitsch wyszedł bez słowa. Wiedziałam, że instynkt i tym razem mnie nie zawiódł.

– Wodzi cię za nos – powiedziałam von Sternbergowi, kiedy położył się na mojej kanapie całkowicie wyczerpany, z kompresem na czole. – Dał ci pełną kontrolę. A ty nie umiałeś tego wykorzystać.

– Czy powiedział, że film mu się nie podoba? Powiedział, że go nie wypuści albo każe poprawiać sceny?

– Nie. – Spojrzałam na niego z niepokojem. – Milczał. Czy to nie wystarczy?

– Milczał, bo to beztalencie, które siedzi w wielkim biurze. Nadal będzie milczał. To najlepsze rozwiązanie.

Mimo wszystko postanowiłam nazajutrz spotkać się z Lubitschem. Byłam kłębkiem nerwów.

– I co? – zapytałam, gdy tylko usiadłam przy jego biurku.

Uważnie mi się przyjrzał.

– Przepraszam. Nie potrafiłem opisać swoich odczuć. Ani samego filmu.

Zapadłam się jeszcze głębiej w fotelu.

– Uważasz, że jest okropny.

– Nie. Uważam, że to arcydzieło. Ale moja opinia nie ma tu znaczenia. – Okrążył biurko i usiadł na krześle obok mnie. Był berlińczykiem i nie nawykł do serdecznych gestów, ale odniosłam wrażenie, że miał ochotę poklepać mnie po ramieniu. – On nie potrafi się kontrolować, Marleno. Stracił dystans. Takiego filmu nie da się sprzedać amerykańskim widzom, którzy pragną realizmu, a nie hiperboli. A von Sternberg doskonale o tym wie. Obawiam się, że nie jestem jedyną osobą, której nienawidzi.

Gwałtownie się wyprostowałam.

– Czyżbyś sugerował, że mnie też nienawidzi?

– Nienawidzi samego siebie. Od momentu, w którym obsadził cię w pierwszej roli, jako Lolę Lolę, zrezygnował z własnej tożsamości. Może wmawiać dziennikarzom, że von Sternberg to Dietrich, a Dietrich to von Sternberg, ale w głębi duszy zawsze brakowało mu uznania. Zasługuje na nie. I na tym polega jego tragedia.

– Powiesz mu o tym? – Zaskoczyła mnie ta przenikliwa ocena człowieka, którego zawsze chciałam zadowolić

swoimi kreacjami aktorskimi, ale często nie potrafiłam go zrozumieć poza planem filmowym.

– Co by to dało? – zapytał. – Film wejdzie na ekrany w takiej postaci, ale jedno nie ulega wątpliwości: musisz się zastanowić, czy w twoim interesie jest dalsza współpraca z von Sternbergiem.

Wzdrygałam się, czytając recenzje *Imperatorowej*. „Time" określił ją mianem „hiperboli, w której von Sternberg ukrywa Dietrich w gąszczu gargulców". Kina niechętnie wyświetlały nasz film i wkrótce pojawiły się pogłoski o tym, że wytwórnia go wycofa – a tym samym położy kres mojej współpracy z von Sternbergiem.

Lubitsch potwierdził te doniesienia.

– Musimy to zrobić dla dobra twojej kariery. Zależy nam na tobie. Ale nie na nim.

– Przecież mówiłeś... mówiłeś, że to moja decyzja!

– Tak sądziłem. Ale kierownictwo stawia sprawę jasno. Nie stać nas na to – wyjaśnił. – Prawda jest taka, że von Sternberg nigdy nie zarobił dla nas wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zrekompensować generowane przez niego koszty.

– Nasze pozostałe filmy odniosły sukces. Dałeś mu wolną rękę. Powiedziałeś, że może robić wszystko, co tylko zechce. – Zamilkłam na chwilę. – Wiedziałeś, że do tego dojdzie. Chciałeś tego.

Lubitsch uniósł ręce w geście kapitulacji.

– Nie miałem wyboru. Powiedział, że albo postawi na swoim, albo zrezygnuje. Groził, że zabierze cię ze sobą.

– Nie. Nie mógłby tego zrobić, przecież podpisałam już z wytwórnią kontrakt na dwa kolejne filmy.

– W takim razie został wam wspólnie do zrobienia jeden film. Zadbajcie o to, żeby odniósł sukces.

Ku mojemu zaskoczeniu von Sternberg przyjął tę wiadomość ze spokojem. Poinformował prasę, że nakręcimy wspólnie już tylko jeden film. *Imperatorową* traktował jako akt zemsty, bezpośrednie uderzenie w Lubitscha. Miał nadzieję, że podobnie jak w przypadku Schulberga, zdoła pokonać rywala i doprowadzić do jego zwolnienia. Kiedy to zrozumiałam, poczułam się zdradzona, wykorzystana w autodestrukcyjnej grze. Von Sternberg ani przez chwilę nie zastanawiał się, jak taki ruch może wpłynąć na moją karierę: liczyła się tylko wygrana w rozgrywce z Lubitschem.

Przez wiele tygodni nie odbierałam od niego telefonów. Rozwścieczyło mnie jego melancholijne oświadczenie, że nadszedł czas, abyśmy się rozstali – choć nawet się nie pofatygował, żeby osobiście mnie o tym powiadomić. Kiedy jednak stanął wreszcie przed moimi drzwiami, musiałam otworzyć.

– To twoja wina – powiedziałam, blokując przejście.

Von Sternberg wzruszył ramionami.

– Lubitsch jest sprytny. Ale ja jestem mądry.

– Mądry? – Miałam ochotę go udusić. – Paramount wycofał film. Jesteśmy skończeni.

– Ja jestem skończony. Ty nie. – Wyjął z kieszeni płaszcza plik wymiętych, pogniecionych kartek cuchnących dymem

papierosowym. – Przeczytaj. Zobaczysz, to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek razem zrobiliśmy.

– Już to słyszałam. – Nie dałam tego po sobie poznać, ale bardzo zaskoczył mnie fakt, że scenariusz wyglądał na skończony.

– Najdroższa. – W jego głosie wychwyciłam rozbrajającą czułość. – To się musiało zakończyć. Nie mogę... – Zamilkł. – Po prostu przeczytaj scenariusz. Jeśli ci się nie spodoba, zerwę kontrakt, żeby ci nie zaszkodzić. Odejdę i pozwolę, by wytwórnia obarczyła mnie winą. Cóż mogą mi zrobić, czego jeszcze nie zrobili?

Podał mi scenariusz. Ruszył przygarbiony w stronę samochodu, a następnie odjechał. Nagle wszystko zrozumiałam. Tak jak powiedział Lubitsch, von Sternberg musiał za wszelką cenę postawić na swoim. A ponieważ nie mógł znaleźć klucza, który uwolniłby go z łączącego nas łańcucha, postanowił go po prostu przeciąć.

Usiadłam i zaczęłam czytać. Kiedy skończyłam, jeszcze przez długi czas siedziałam bez ruchu. Papieros powoli płonął, zmieniając się w popiół, a mnie ogarnął smutek.

Mój nieznośny reżyser przygotował mi na pożegnanie najwspanialszą rolę, jaką mogłam sobie wyobrazić.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jest jednocześnie fantazją i postrachem każdego mężczyzny. W mantyli, z lakierowaną *peinetą* we włosach, jedzie w deszczu przez ulice Sewilli. W ciągu dnia pracuje w fabryce, ale nocami staje się Conchą Perez, ucieleśnieniem pożądania. Młody porucznik, którego przed nią ostrzegano, z zachwytem odprowadza ją wzrokiem. W jej przysłoniętych woalką oczach czai się okrucieństwo.

Chciałam, żeby Concha wyglądała jak Hiszpanka – miałam jednak blond włosy i niebieskie oczy. Wiedziałam, że choćbym nosiła nawet najbardziej autentyczne stroje, nie będę wyglądała jak mieszkanka Sewilli. Dowiedziałam się jednak o lekarzu, który pomagał aktorom w metamorfozach, i postanowiłam złożyć mu wizytę. Zapisał mi dwa rodzaje kropli do oczu: jedne miały rozszerzać źrenice podczas zdjęć, a drugie je zmniejszały. Ukryłam obie buteleczki w torebce, po czym poddałam się wielogodzinnemu zabiegowi przyciemniania skóry specjalnym podkładem. Użyłam kropli tuż przed wyjściem na plan.

Zanim zdążyłam się ustawić na swoim miejscu, zdałam sobie sprawę, że nic nie widzę. Całkowicie oślepłam. Zamgliło mi się przed oczyma i zagrałam swoją scenę jak pijana. Von Sternberg, rozwścieczony tym, że nie potrafiłam nawet zapalić papierosa, podszedł do mnie i syknął:

– Co się z tobą, do cholery, dzieje? Przecież trzymasz papierosa w ustach.

Spojrzałam na niego i się rozpłakałam. Odciągnął mnie na bok, z dala od ekipy technicznej, i zapytał:

– O co chodzi? Rozmazałaś sobie cały makijaż. Przestań płakać.

– Ja... nie mogę – wyszeptałam.

Oczy piekły mnie od kropli. Opadłam na stojącą na podłodze skrzynię, ukryłam twarz w dłoniach i zaczęłam łkać jak małe dziecko. Wszystko się nagle ze mnie wylało: rozczarowania towarzyszące sławie i przerażenie, jakie budziła we mnie przyszłość bez von Sternberga. Wtedy zrozumiałam, że kochałam go bardziej niż jakiegokolwiek mężczyznę w moim życiu. Nie była to miłość w sensie fizycznym. Nie chciałam z nim sypiać albo pojawiać się u jego boku. Nie był dla mnie oparciem tak jak Rudi. Okazał się jednak jedyną osobą, której kiedykolwiek ufałam w tej krainie iluzji, jaką jawił mi się Hollywood.

Von Sternberg pochylił się nade mną. Kiedy wreszcie przestałam płakać i otarłam twarz rękawem, powiedział:

– Marleno. – Podniosłam wzrok. Nadal widziałam go jak przez mgłę. – Co ty zrobiłaś?

– Ja... chciałam mieć czarne oczy. Użyłam kropli. Z wilczą jagodą.

– Jeśli chciałaś mieć czarne oczy, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Mogłem przecież odpowiednio ustawić światło albo wprowadzić niezbędne poprawki na etapie postprodukcji. – Wydawał się zirytowany. – Czyś ty oszalała?

Pokiwałam głową. Wiedziałam, że rozmazał się cały mój makijaż i że von Sternberg będzie musiał z tego powodu opóźnić zdjęcia.

– Widzisz? Wszystko wiesz. Jak... – Głos uwiązł mi w gardle. Rzadko płakałam, ale teraz ledwo powstrzymywałam łzy. – Jak ja sobie bez ciebie poradzę?

Kucnął przede mną.

– Poradzisz sobie, bo to dzięki tobie jestem w stanie to robić. – Nie mówił tego łagodnie. Wydawało mi się, że w jego głosie słyszę ledwo skrywaną pogardę. Milczałam jednak, zdając sobie sprawę, że zaraz przyzna się do czegoś, czego już nigdy więcej nie powtórzy. – Jestem kamerą. Obiektywem. Nie ma takiej rzeczy, której nie mógłby zamiast mnie zrobić ktoś inny. Ale bez ciebie nie ma nic.

– To nieprawda... – zaprotestowałam.

Przerwał mi.

– To prawda. – Podniósł się. – A teraz wracaj do garderoby i zrób porządek z oczami. Zarządzę wcześniejszą przerwę obiadową, ale później nakręcimy całą tę scenę, choćbyś nawet musiała skorzystać z pomocy psa przewodnika.

Ostrożnie wstałam. Płacz wyraźnie mi pomógł – byłam w stanie samodzielnie odnaleźć drogę do garderoby.

– Wilcza jagoda – wymamrotał za moimi plecami. – Zatruwa się dla mnie. Jeśli to nie miłość, to co nią jest?

Odtąd przeobraził się w potwora. Ryczał jak lew i wrzeszczał: „Przestań machać tym pieprzonym wachlarzem tak, jakbyś miała dreszcze! Ona ma go

uwodzić. Jeszcze raz”. Musiałam przygryzać wargi, tłumić wściekłość i wytrwale spełniać jego polecenia. Kiedy nakręciliśmy ostatnią scenę, von Sternberg cisnął megafon i wybiegł z planu. Zostałam sama. Czułam, jak hiszpański grzebień, wczepiony w moje włosy specjalnymi drutami, wbija mi się w skórę głowy.

Podczas pokazu przedpremierowego dyrektorzy wytwórni ocierali pot z czół. Lubitsch nic nie mówił, przypomniał nam tylko o zasadach wprowadzonych przez Hays Office, w myśl których Concha nie powinna przyjmować pieniędzy za swoje usługi. Widziałam jednak krople potu nad jego górną wargą. Kiedy w maju 1935 roku film *Diabeł jest kobietą* wszedł na ekrany, jego obawy się potwierdziły. Produkcja nie spodobała się krytykom, a rząd hiszpański, który szykował się właśnie do gwałtownej wojny domowej, ostrzegł Paramount, że jeśli wytwórnia nie zdejmie tego obrazu z afisza i nie zniszczy wszystkich kopii, może zapomnieć o hiszpańskim rynku filmowym.

Dyrektorzy postanowili spełnić te warunki. Von Sternberg zadzwonił do mnie i przekazał mi te rewelacje. Byłam wściekła i krzyczałam, że po raz kolejny sprowadził na nas katastrofę.

On jednak westchnął tylko:

– Skoro już musieliśmy ponieść klęskę, zrobiliśmy to przynajmniej w pięknym stylu. Zachowałem oryginalną taśmę. Prześlę ci ją na pamiątkę naszej klapy.

Nazajutrz wyjechał do Nowego Jorku bez pożegnania.

Tamtego wieczoru zamknęłam się w sypialni i płakałam tak, jakbym straciła męża.

Wielbiłam go i nienawidziłam, kochałam z nim pracować i nie znosiłam jego tyranii. Uczynił mnie gwiazdą, oblekł we wszystko, co go dręczyło i ekscytowało. Zapisał nasze nazwiska złotymi zgłoskami. „Dietrich to von Sternberg – mawiał – a von Sternberg to Dietrich”.

Mój potwór i stwórca, mój anioł i demon.

Po sześciu latach wspólnych triumfów i porażek – ostatecznie mnie opuścił. Zostałam sama.

SCENA SZÓSTA

NAJLEPIEJ ZARABIAJĄCA AKTORKA

1935-1940

„CZY POTRAFISZ SOBIE WYOBRAZIĆ, ŻE KTOŚ RZUCA NA MNIE UROK?”

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Podpisałam z Paramountem kontrakt na dwa kolejne filmy. Miałam zarabiać dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Wyprowadziłam się z domu przy North Roxbury i przeniosłam do okazałej rezydencji w Bel Air, na zachód od Beverly Hills. Mercedes zapytała, dlaczego nie kupiłam domu, skoro nie zamierzałam wracać do Niemiec, dopóki rządzili tam narodowi socjaliści. Odpowiedziałam, że choć lubię Kalifornię – a zwłaszcza jej klimat – nie uważam Ameryki za swój dom.

– Ekspatriant nie może zapuścić korzeni w obcej ziemi.

– Zwłaszcza kiedy płaci za cudze korzenie – zauważyła. – Wiem, ile dajesz każdemu emigrantowi, który przekracza twój próg.

Z Niemiec uciekały rzesze ludzi. Nawet moi najzdolniejsi i najbardziej utalentowani rodacy musieli opuszczać kraj, w którym brutalne rządy sprawował Hitler. Na wieczorkach organizowanych przez Mercedes pojawiało się coraz więcej osób. Z przerażeniem słuchałam opowieści o prześladowaniach, o ustawach norymberskich, które pozbawiały Żydów obywatelstwa, i o nocy długich noży, podczas której Hitler dokonał czystki we własnej partii i pozbył się wszystkich przeciwników politycznych.

Moja ojczyzna, miejsce, w którym przyszłam na świat i odniosłam pierwsze sukcesy, stało się krainą śmierci i terroru.

Wspieranie rodaków, którzy przybywali do Hollywood, dawanie im pieniędzy, referencji, a nawet miejsca do spania, było nie tylko właściwe: inaczej po prostu nie mogłam postąpić. Zachowywałam milczenie, bo miałam świadomość, jakie niebezpieczeństwo wiązało się z otwartą krytyką Hitlera. W Niemczech mnie nienawidzono, moje filmy obłożono anatemą, twarz wymazano, a korzenie kwestionował sam Goebbels, który w jednym ze swoich artykułów nazwał mnie nieślubną córką Rosjanina. Wyobrażałam sobie oburzenie Mutti, ale ilekroć dzwoniłam do wujka Williego i z nią rozmawiałam, odpowiadała: „Nie zrobiliśmy nic złego. Zapisaliśmy się do partii, tak jak nakazał Hitler. Dlaczego mieliby nas niepokoić?”.

Mogli to jednak zrobić. Obawiałam się tego. Ponieważ Rudiemu nie cofnięto pozwolenia na podróże do Niemiec, obiecał, że odwiedzi moją rodzinę i sprawdzi, czy Mutti się nie myliła. Po powrocie zadzwonił do mnie i powiedział: „Ciesz się, że tego nie widziałaś. Berlin, który znaliśmy, zniknął bezpowrotnie”.

Ja tymczasem spotkałam się z Garym na planie kolejnego filmu, *Pokusy*. Tytuł okazał się trafny – gdy tylko rozpoczęły się zdjęcia, odnowiliśmy nasz romans. Gary porzucił Lupe – choć może to ona porzuciła jego, trudno było mi za nimi nadążyć – i rozwodził się z żoną. Miał teraz trzydzieści kilka lat, zyskał sławę i wydawał mi się jeszcze przystojniejszy niż dawniej. I równie sprawny w łóżku.

Mercedes źle przyjęła informację o moim romansie oraz fakt, że sypiam także z mężczyznami, i choć od czasu do

czasu się spotykałyśmy, wróciła do Garbo. Miała nawet specjalne hasło, którego używała podczas naszych rozmów telefonicznych – mówiła: „*Occupée*” – ilekroć była u niej gwiazda MGM. Miałam czasem ochotę pojechać z Garym do Santa Monica, zaparkować w pobliżu jej domu i zobaczyć – przynajmniej z daleka – swoją nieuchwytną rywalkę, której o dziwo nigdy nie poznałam.

– Przecenia się ją – powiedział Gary. – Jesteś ładniejsza – dodał, przesuwając się powoli w stronę mojego pępka. – I smaczniejsza.

Złapałam go za ręce.

– Nigdy z nią nie spałeś. Garbo woli kobiety. Wiem to na pewno.

– To samo mówi się o tobie. – Wsunął we mnie język, a ja zadrżałam z rozkoszy. – A teraz spójrz na siebie.

Pokusa okazała się wielkim hitem, co stanowiło pewną pociechę po rozstaniu z von Sternbergiem. Wcieliłam się w złodziejkę Madeleine, noszącą wspaniałe futro z norek i cechującą się urokiem, którego oczekiwała publiczność, a filmowi zdecydowanie przysłużyły się moje przekomarzania z granym przez Gary’ego poczciwym Amerykaninem, uwikłanym w skok za sprawą Madeleine. Widzowie cieszyli się happy endem i nawet krytycy z „New York Timesa” napisali: „Marlena Dietrich, wyzwolona z oków współpracy z von Sternbergiem, odzyskuje dawnego ducha i świeżość”.

Lubitsch szybko obsadził mnie w kolejnej roli – pokojówki, która zakochuje się w oficerze granym przez

pełnego galanterii Francuza, Charlesa Boyera. Film miał zerwać z moim wizerunkiem kobiety eleganckiej i wytwornej na rzecz bardziej realistycznego podejścia, ale scenariusz nie był gotowy nawet po trzech tygodniach od rozpoczęcia zdjęć. Kiedy okazało się, że kierownictwo Paramountu, rozjuszone opóźnieniem i niekończącymi się stratami, zwolniło Lubitscha, wpadłam w szał i opuściłam plan.

Zadzwoniłam do Hemingwaya. Utrzymywaliśmy stały kontakt, pisaliśmy do siebie listy i rozmawialiśmy przez telefon. Hemingway opowiadał mi o swoich przygodach na safari i o pracy nad nową powieścią, a ja dzieliłam się z nim hollywoodzkimi plotkami oraz historyjkami z planu i spoza niego.

– Pozbyli się go tak jak von Sternberga. Nienawidzą nas, bo jesteśmy Niemcami. Lubitsch mnie wspierał, dbał o moją karierę i dobierał mi zróżnicowane role. A teraz zostałam z niedokończonym filmem i, co gorsza, nie mam zielonego pojęcia, co zamierzają ze mną zrobić.

Papa roześmiał się.

– Weź głęboki wdech, szwabko. Co ci mówiłem? Nigdy nie rób tego, na co nie masz ochoty. Nie podoba ci się kierunek, w jakim rozwija się twoja kariera? Nie marudź, tylko zrób coś z tym.

Tu etwas. Motto towarzyszące mi przez całe dzieciństwo.

Posłuchałam jego rady. Zatrudniłam znanego hollywoodzkiego agenta, Eddiego Feldmana, i kazałam mu prowadzić w moim imieniu rozmowy z wytwórnią.

Wypełniłam zapisy kontraktu. Nie mogłam odpowiadać za opóźnienia w pracy nad scenariuszem. Paramount zdecydował się odłożyć niedokończony projekt na półkę i zaczął szukać nowego kierownika produkcji, a ja uzyskałam zgodę na nakręcenie filmu z konkurencyjną wytwórnią David O. Selznick International.

Miałam wrócić na pustynię ze swoim partnerem z planu, Charlesem Boyerem.

Kręciliśmy *Ogród Allaha* na pustyni Mohave w pobliżu Yuba City. Skorpiony, które wkradały się do naszych przyczep i ukrywały w butach, lodowato zimne noce i nieznośne słońce w ciągu dnia – to wszystko sprawiło, że praca nad tym filmem stała się prawdziwą udręką. Owinięta w elegancki czarno-biały strój niczym w całun, zrzuciłam pięć kilogramów i wypociłam trzy kolejne, a raz, ku przerażeniu pozostałej części ekipy, dostałam nawet udaru.

Pomimo temperatury dochodzącej do pięćdziesięciu stopni Boyer okazał się życzliwym kompanem. Wytwórni zależało na odtworzeniu atmosfery *Maroka*, mnie jednak dręczyły ciągłe obawy związane z tym, jak będę wyglądała w Technicolorze.

Miałam trzydzieści cztery lata. Wieczorami widziałam w lustrze to, co udawało się do tej pory ukrywać dzięki odpowiedniemu makijażowi, oświetleniu i filtrom. Starałam się dbać o cerę i unikać słońca, dlatego zgromadziłam w swojej garderobie dziesiątki kapeluszy z szerokim rondem oraz parasolki Savile Row, które nosiłam tak, jak inne kobiety nosiły torebki. Unikałam jednak zabiegów

chirurgicznych, na które decydowały się inne starzejące się gwiazdy: polegałam na zdrowym odżywianiu i ziołowym kremie nawilżającym, który polecił mi Travis Banton, specjalista w dziedzinie piękna i elegancji.

Mimo to wokół moich oczu i ust zaczynały się stopniowo pojawiać drobne linie. Mercedes mówiła, że to „zmarszczki mimiczne, które dowodzą, że jesteś człowiekiem” – mnie jednak przypominały o tym, że w Hollywood czas biegnie zdecydowanie szybciej niż gdziekolwiek indziej. Po raz pierwszy kręciłam film w Technicolorze, a uzyskiwana w tej technice intensywność i nasycenie barw zdawały się uwypuklać wszystkie mankamenty urody. Każdego dnia przed rozpoczęciem zdjęć musiałam weryfikować całą listę spraw, począwszy od ustawienia świateł aż po najkorzystniejsze dla mojej twarzy pozycje kamery. Te drobiazgowe przygotowania doprowadzały reżysera do szału.

Pewnego popołudnia, kiedy przygotowywaliśmy się do kolejnej sceny, maszyny do robienia wiatru pracowały z taką siłą, że czułam, jak piasek ranił mi skórę. Podmuchy sprawiły, że tupet Boyera odkleił się i łopotał mu na głowie, a ja musiałam przytrzymywać włosy rękoma, żeby nie zniszczyła mi się fryzura. W końcu zawołałam z wściekłością:

– Wyłączcie te maszyny! Jak mamy cokolwiek zobaczyć w tym pyle?!

Siedzący na krześle reżyser ryknął:

– Nawet palmy kołyszą się na wietrze! Trochę realizmu nie zaszkodzi twojej ponadczasowej urodzie.

Nie podobał mi się scenariusz, doskwierał mi upał panujący na planie – ale reżysera nie znosiłam jeszcze bardziej. Co gorsza, film nie odniósł sukcesu kasowego, co skłoniło mnie do odrzucenia kolejnej oferty Selznicka, którego również nie lubiłam. Przyjęłam za to propozycję angielskiego reżysera Alexandra Kordy, z którym dziesięć lat wcześniej nakręciłam w Berlinie *Nowoczesną Dubarry*. Marzyłam o ucieczce z Hollywood i przeniesieniu się na pewien czas za granicę.

Korda oferował mi czterysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów za rolę rosyjskiej arystokratki w *Hrabinie Władimow*. Paramount wahał się do czasu, aż Eddie zagroził, że ostatecznie zakończę współpracę. Postawiliśmy konkretne warunki: mieli zgodzić się na mój udział w filmie Kordy, a także zapłacić mi zaległe honorarium za niedokończoną produkcję, z której ostatecznie zrezygnowali. Zapowiedziałam, że w przeciwnym razie zerwę kontrakt. Wytwórnia musiała przystać na tę propozycję.

Zainkasowałam milion dolarów.

Razem z Heidede i moją nową asystentką Betsy weszłam na pokład statku *Normandie*, w pełni usatysfakcjonowana tym, że „Hollywood Reporter” ogłosił mnie „najlepiej zarabiającą aktorką na świecie”.

Zaczęły mnie jednak dręczyć wątpliwości, czy nadal mam prawo uważać się za aktorkę.

ROZDZIAŁ DRUGI

– Znowu tu są – powiedziała Betsy, wchodząc do mojej garderoby w siedzibie wytwórni pod Londynem. – Przez ostatni tydzień codziennie dzwonili. Może powinnaś się z nimi spotkać?

Skrzywiłam się i spojrzałam w lustro. Malowałam właśnie oczy kredką, przygotowując się do kolejnej sceny. Hrabina Aleksandra miała zaraz wziąć kąpiel i pluskać się w wypełnionej pianą wannie na oczach oczarowanego tłumacza w przededniu rewolucji 1917 roku. Zamierzałam wystąpić nago, choć wszyscy spodziewali się, że włożę cielisty kostium kąpielowy. Postanowiłam jednak z niego zrezygnować, bo pogrubiał mi uda. Uznałam, że temu poruszającemu istotne tematy obrazowi, pełnemu ucieczek przed rozszalałymi bolszewikami – nie zaszkodzi odrobina realizmu.

Siedziałam teraz w podbitym futrem szlafroku (garderoba mogłaby równie dobrze pełnić funkcję lodówki) i nie miałam nastroju na niespodziewane wizyty. A zwłaszcza na wizyty gości z Niemiec.

– Mówiłaś im, że pracuję? – zapytałam. Betsy przystanęła przy wiszącym na krześle kostiumie kąpielowym. – Nie mogę ich teraz przyjąć. Przekaż, że...

Nagle rozległo się pukanie do drzwi, po nim zaś usłyszałam radosny okrzyk:

– *Liebchen!* To ja, Leni. Wiem, że tam jesteś. Przestań się ukrywać. Nie gryzę.

– *Mein Gott*. – Z przerażeniem obróciłam się na krześle i spojrzałam na Betsy. – Czy to Leni Riefenstahl?

– Nie podała nazwiska. Powiedziała tylko, że znacie się z Berlina i że przyjechała tu w oficjalnej sprawie.

Nie rozmawiałam z Leni przez ostatnich dziesięć lat, ale Anna May opowiadała mi o jej karierze. Nasza dawna przyjaciółka porzuciła kino alpejskie i podpisała kontrakt na sfilmowanie wiecu partii w Norymberdze. Jej propagandowe dzieło dotarło nawet do Ameryki. Była to ohydna manifestacja fałszywego imperialnego majestatu, a na oświetlonym lampami stroboskopowymi stadionie z kolumnadą brakowało tylko rydwanów i wygłodniałych lwów, które mogłyby pożerać Żydów.

Co ona tu, do diabła, robiła?

Dałam Betsy znak i otworzyłam drzwi. Dawna Siostra na Mieście wylewnie mnie powitała i mocno uścisnęła.

– Najdroższa Marleno. Myślałam, że już mnie nie lubisz.

Cofnęłam się. Ledwo ją rozpoznałam. Miała równo przycięte włosy, nosiła futro z soboli i roztaczała wokół siebie intensywny aromat perfum Chanel numer 5. Otaczała ją aura prestiżu i elegancji.

– Ależ skąd taki pomysł? – Mówiąc to, zauważyłam stojącego kilka kroków dalej mężczyznę w skórzanym płaszczu, zapewne niemieckiego oficera w cywilu. Przyglądał mi się uważnie, a na jego kamiennej twarzy nie dało się wyczytać żadnych emocji.

Leni wepchnęła się do garderoby, a ja zamknęłam oficerowi drzwi przed nosem. Kątem oka zobaczyłam, jak Betsy chowa się za parawanem.

– Co za niespodzianka – powiedziałam. – Mam lada chwila wyjść na scenę.

Nie byłam niegrzeczna, ale nie zachowywałam się też szczególnie przyjaźnie. Podejrzewałam, że to pułapka. Leni usiadła na krześle, na moim kostiumie kąpielowym, a następnie wyciągnęła z kieszeni złotą papierośnicę. Miałam wrażenie, że lada chwila wyjmie aparat i zacznie robić mi zdjęcia, które następnie przekaże Goebbelsowi, tak by mogły się pojawić w jakimś szmatławcu jako dowód, że zaczęłam sympatyzować z Hitlerem.

– Och, zdaję sobie sprawę, że jesteś zajęta – oznajmiła Leni. – Ja też nie narzekam na brak pracy. Przyjechałam do Londynu tylko na kilka dni. Muszę wrócić do Niemiec w przyszłym tygodniu. Jak zapewne wiesz, w tym roku igrzyska olimpijskie organizowane są w Berlinie, a mnie zatrudniono do ich sfilmowania.

– Wspaniale.

Zapaliła papierosa. Zamierzałam ją poinformować, że nie musi udawać i może śmiało przejść do rzeczy: wiedziałam, że od dłuższego czasu naciskała na Betsy i chciała się ze mną spotkać. Powstrzymałam się jednak. Byłam ciekawa, jak to rozegra. Najwyraźniej miała ogromne wpływy, skoro zdołała ominąć ochronę wytwórni, a jako aktorka – niezbyt dobra, ale jednak aktorka – uwielbiała dramatyczne sceny. Liczyłam na to, że zapewni mi odrobinę rozrywki.

– Czy właśnie w tej sprawie tu przyjechałaś? – zapytałam. Leni ostrożnie paliła papierosa, starając się nie rozmazać szminki. – Nie wyobrażam sobie, żeby Brytyjczycy ukrywali przed tobą swoich sportowców.

Uśmiechnęła się szyderczo.

– Marleno, jesteś jak zawsze niezwykle dowcipna. Ani trochę się nie zmieniłaś.

– Ty też nie. – Podeszłam do toaletki. – Tak jak mówiłam, nie mam teraz czasu na wizyty. Jeżeli chcesz, powiedz mi, gdzie się zatrzymałaś. Kiedy skończę zdjęcia, możemy...

– To nie potrwa długo. – Spojrzała na moje odbicie w lustrze. – Mam dla ciebie ofertę. Bardzo lukratywną ofertę. – Zobaczyła, że zmarszczyłam brwi, ale mówiła dalej: – Herr Goebbels czytał recenzje kilku twoich ostatnich filmów, kochanie. Wie, że nie układa ci się ostatnio w Ameryce.

– Naprawdę? A ja myślałam, że Goebbels nie ceni mojej pracy.

– Wręcz przeciwnie, bardzo ją ceni. Prosił, żebym zaoferowała ci pięćdziesiąt tysięcy funtów za udział w filmie kręconym w Niemczech. Możesz zaproponować współpracę dowolnemu reżyserowi.

Nie zdołałam powstrzymać śmiechu.

– Leni, przyjechałaś specjalnie po to, żeby zaproponować mi wystąpienie w twoim filmie?

Zbladła.

– Nie, oczywiście, że nie. Broń Boże. – Sama próbowała się roześmiać, ale drżał jej głos. – Mam bardzo napięty

grafik. Pracuję przy igrzyskach olimpijskich i tak dalej.

– A gdybym miała wybrać von Sternberga? – zapytałam. Nie odpowiedziała, a ja pokiwałam głową. – Tak myślałam.

– Marleno, naprawdę...

Podniosłam rękę.

– Tak jak mówiłam, to duże zaskoczenie. Chcą, żebym nakręciła w Niemczech film? Z tego, co pamiętam, w niemieckiej prasie pojawiały się dużo ostrzejsze recenzje moich ról niż w Hollywood.

– Obiecujemy natychmiastowe zakończenie wymierzonej w ciebie kampanii. Oczywiście przygotowalibyśmy publiczność na twój powrót. – Pochyliła się w moją stronę i posłała mi nieszczery uśmiech. – Führer chciałby cię osobiście poznać. Wyrażał duże zainteresowanie twoją osobą. Jest bardzo szarmancki wobec kobiet.

Myliła się. Doskonale wszystko rozumiałam. Niemcy znalazły się w centrum uwagi w związku ze zbliżającą się letnią olimpiadą, a terror panujący w Rzeszy musiał zostać zamieciony pod dywan do czasu zakończenia igrzysk. Kraj miały odwiedzić tłumy turystów i delegatów z całego świata. Nie można było urazić wrażliwości cudzoziemców znakami JUDEN VERBOTEN czy przedłużającą się nieobecnością najlepiej opłacanej niemieckiej aktorki pracującej w Hollywood.

Zrobiło mi się niedobrze, ale powiedziałam słodkim głosem:

– Najdroższa Leni, to bardzo miłe, że specjalnie po to przyjechałaś. Przykro mi, ale nie mogę przyjąć twojej

propozycji. Podobnie jak ty, mam szczelnie wypełniony grafik. Podpisałam z Paramountem kontrakt na dwa kolejne lata, do końca 1938 roku. Później z kolei czekają na mnie inne zobowiązania. Może wrócimy do tej rozmowy po, dajmy na to, 1940 roku?

Leni zamarła, a po chwili rzuciła papieros na podłogę i zgasiła go obcasem.

– Szkoda, że odrzucasz własną ojczyznę dla dolarów. To nie potrwa długo. Kobieta w twoim wieku, nawet jeśli dobrze się trzyma... Amerykanie nie doceniają dojrzałości tak jak my. Obawiam się, że w 1940 roku będzie już zdecydowanie za późno.

– Zaryzykuję. – Nie wstałam, kiedy ruszyła do drzwi.

Przystanęła na progu.

– Gdybyś zmieniła zdanie, będę w Londynie jeszcze przez kilka dni. Mieszkam w hotelu...

– Udanej podróży, Leni – przerwałam. – Pozdrów ode mnie swojego Führera.

Wyszła, trzaskając drzwiami. Po chwili zza parawanu wyłoniła się Betsy. Spojrzała mi w oczy i zachichotała.

– J e j Führera?

– Tak – odparłam. – Z całą pewnością nie jest to mój Führer.

Na premierze swojego najnowszego filmu pojawiłam się w diamentach i w srebrnej sukni. Podczas przyjęcia zorganizowanego przez wytwórnię podszedł do mnie elegancki, niezwykle przystojny aktor Douglas Fairbanks Jr. Przez resztę wieczoru nie odstępował mnie na krok – do

czasu, aż zdecydowałam się go zaprosić do swojego apartamentu.

Douglas, nie zdając sobie początkowo sprawy, że jestem od niego siedem lat starsza, okazał się oddanym i namiętnym kochankiem. Pojechał ze mną do Paryża, gdzie poznał Rudiego oraz Tamarę. Z zaskoczeniem przyjął wiadomość, że jestem mężatką – najwyraźniej nie czytał prasy – choć starał się podejść do tego z nonszalancją.

Rudi posłał mi kąśliwe spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Jest dość młody, nie sądzisz?”. Postanowiłam to jednak zignorować, a wkrótce wyjechaliśmy wspólnie na trwające miesiąc wakacje w Szwajcarii.

Podczas naszego pobytu w *château* wynajętym nad Jeziorem Czterech Kantonów Douglas przekonał się z bliska, jak wyglądają moje relacje z mężem i jego kochanką – i nie był w stanie dłużej silić się na nonszalancję. Bez oporów chodziliśmy po pokojach nago i kąpaliśmy się w basenie, Rudi opalał się i czytał, a my z Tamarą siedziałyśmy pod parasolem i rozmawiałyśmy o modzie albo sztuce. Tami miała problemy zdrowotne. Rudi wyznał, że przeszła załamanie nerwowe, a stan jej zdrowia pogorszył się po przeprowadzce do Paryża. W następstwie ucieczki z Rosji stała się wyjątkowo wrażliwa i źle znosiła zmiany. Wpadała w stany depresyjne, które utrzymywały się tygodniami. Martwiłam się o nią i poświęcałam jej wiele czasu, pozwalałam nosić swoje ubrania i prosiłam, żeby pomagała mi gotować. Była bardzo oddana Rudiemu,

zdecydowanie bardziej niż ja przez całe nasze wspólne życie. Nie chciałam, żeby cierpiała.

– Ale przecież to twój mąż – powiedział Douglas ze zdziwieniem. – Ona jest jego kochanką, a twoja córka nazywa ją ciocią Tami. To takie... dziwaczne.

Zmierzyłam go wzrokiem. Był niewiarygodnie przystojny – chłopiec jak z obrazka – ale zaczynałam powoli rozumieć, że jest dla mnie zdecydowanie za młody. Za mało przeżył, wychowywał się poza Europą i nie nabył dojrzałości, której oczekiwałam od kochanków.

– Mówiłam ci, że z nim nie sypiam – odparłam. – Na czym polega problem?

Nie odpowiedział. Pewnego ranka, po tym, jak się kochaliśmy, zostawiłam go i przeniosłam się do pokoju Rudiego i Tamary: położyliśmy się do łóżka, gdzie sączyliśmy gorącą czekoladę i czytaliśmy koszmarne recenzje mojego nowego filmu. Po pewnym czasie zjawił się Douglas, który spojrzał z przerażeniem na nasze chichoczące nagie trio – recenzje były tak krytyczne, że musieliśmy się z nich śmiać – po czym krzyknął:

– To oburzające!

– Oburzające jest to, że kompletnie zapominasz o manierach – odpowiedziałam chłodno.

Musiałam odeskortować go do naszego pokoju, uspokoić i poinformować, że nie toleruję tego typu szantażu. Nie zamierzałam pozwolić, żeby mówił mi, co powinnam robić.

– Jeżeli mamy kontynuować tę znajomość – ostrzegłam – musisz przestać zachowywać się jak zazdrosny mąż. Nie

planuję ponownie brać ślubu. Jeden mąż w zupełności mi wystarczy.

Douglas dąsał się przez jakiś czas, ale nie robił już więcej scen. Niestety doszło wkrótce do innej, zdecydowanie mniej przyjemnej sytuacji. Heidede, która w ostatnim czasie bardzo przytyła i którą złajałam za to, że nie mieściła się już w swoje ubrania, krzyknęła niespodziewanie:

– Nie obchodzą mnie twoje głupie sukienki! Nie chcę wyglądać tak jak ty. Nie chcę już być twoją małą dziewczynką!

Tamara zamierzała ją pocieszyć, ale dałam jej znak, milcząco prosząc, żeby zostawiła nas same.

– Chcę zamieszkać z papą w Paryżu. Nie znoszę Ameryki.

Nagle przypomniałam sobie słowa Gerdy, która ostrzegała mnie, że Heidede tęskni za domem i za ojcem. Wiedziałam, że to moja wina. Zbyt długo ignorowałam jej uczucia. Była już prawie nastolatką i potrzebowała ode mnie czegoś więcej niż tylko dodatkowych zajęć i nowych ubrań. Ogarnęło mnie poczucie winy: uświadomiłam sobie, że nie jestem dobrą matką. Bardzo kochałam córkę i nie chciałam jej zaniedbywać, a jednak tak się właśnie stało. Nie zważałam na fakt, że Heidede wkraczała w dorosłość. Nigdy nie pytałam jej o zdanie, bo bałam się, że odpowiedzi, których udzieli, wymagałyby ode mnie całkowitej zmiany trybu życia. Heidede nie była już małym dzieckiem i nie mogłam dłużej traktować jej jak ślicznej laleczki. Miała prawie trzynaście lat i sporą nadwagę, a na jej twarzy malowała się rozpacz.

– Ależ kochanie, mieszkamy w Ameryce, we wspaniałym domu – powiedziałam. – Masz tam szkołę i wszystkich przyjaciół... Nie tęskniłabyś za naszymi rzeczami?

Posłała mi gniewne spojrzenie.

– To twój wspaniały dom. Twoi przyjaciele. Twoje rzeczy. Ja widuję się tylko z kucharką, służącą i ochroniarzem. Jedyną moją koleżanką jest Judy ze szkółki jeździeckiej, ale ona też pracuje w branży filmowej. Zanim się lepiej poznałyśmy, pytała, czy jestem twoją grubą siostrą.

Milczałam. Zrobiło mi się wstyd, ale powiedziałam ostro:

– Nie musisz przyjaźnić się tylko z Judy Garland. Mogłabyś spróbować poznać kogoś innego.

– Nie chcę. Nie znoszę Hollywood. Nie znoszę tego wszystkiego. Proszę, mamo, pozwól mi zamieszkać z *vatim*.

– To wykluczone – odparłam, ale kiedy Heidede wpadła w szał i oznajmiła, że nie wyjdzie więcej z pokoju, Rudi postanowił interweniować.

– Podpisałaś kontrakt. Będziesz w końcu musiała wrócić do pracy. A ja mieszkam w Paryżu. Pozwól jej zostać. Sama wiesz, że to dla niej najlepsze rozwiązanie.

W takich okolicznościach nie mogłam zmuszać córki do powrotu do Hollywood. Jeżeli chciałam dać teraz dowód swojej miłości, musiałam przystać na jej prośbę. Mimo to próbowałam jeszcze stawiać opór.

– Miałaby mieszkać z tobą w Paryżu? – zapytałam. – Przecież też pracujesz do późna. I co z Tami, co z jej chorobą? Czy to naprawdę lepsze rozwiązanie dla Heidede?

Ostatecznie postanowiliśmy zapisać córkę do prestiżowej szwajcarskiej szkoły z internatem. Znajdowała się na tyle blisko, żeby Rudi mógł odwiedzać Heidede podczas świąt i ferii, a jednocześnie liczyliśmy na to, że dzięki obowiązującej tam dyscyplinie nasza córka zdoła nieco schudnąć. Przed wyjazdem Rudi przekonał mnie, żebym część swojej najbardziej wartościowej biżuterii ulokowała w szwajcarskim banku. Wydawałam pieniądze na prawo i lewo – kupowałam absurdalne ilości ubrań, wybierałam bilety w pierwszej klasie i wynajmowałam najlepsze apartamenty w hotelach – i nigdy nie oszczędzałam. Zachowywałam się tak, jakby pomijanie jakichkolwiek ograniczeń miało stanowić dowód na to, że mnie one nie obowiązują.

– Musisz zacząć myśleć o przyszłości – zauważył Rudi. – Jeżeli zdeponujesz biżuterię w bankowym skarbcu, zabezpieczysz się i będziesz mogła skorzystać z tego zabezpieczenia, gdyby pojawiła się taka konieczność. – Martwił się o mnie i zdawał sobie sprawę, że moja pozycja w Hollywood staje się coraz bardziej niepewna. – Paryski Paramount wypłaca honorarium i pokrywa część mojego czynszu – dodał. – Na razie nie potrzebuję twojego wsparcia.

Skorzystałam z jego rady. Heidede była tak zachwycona perspektywą nauki w szwajcarskiej szkole, że zapomniała pocałować mnie na pożegnanie.

Wróciłam do Ameryki z Douglasem, poirytowana i zaniepokojona nieobecnością córki – a także faktem, że

próba zbudowania nowego życia za granicą zakończyła się porażką. Dopiero po latach zrozumiałam, że obsesyjne dążenie do realizacji pierwszego z tych celów nie pozwoliło mi nawet się zbliżyć do drugiego.

Kilka tygodni po moim powrocie Paramount zaproponował mi pracę przy nowym filmie – mało znaczącej produkcji zatytułowanej *Eskapada*. Miałam zagrać żonę dyplomaty, która wdaje się w płomienny romans. Nie chciałam przyjmować tej roli. Intryga wydawała mi się równie cienka co moje prześwitujące suknie, a krytycy niechętnie odnotowali, że „smętna opowieść staje w miejscu, ilekroć Dietrich unosi swoje opadające powieki”.

Kilka tygodni po premierze mój agent Eddie, uprzejmy, życzliwy człowiek, który pracował też dla wielu innych aktorów, zaprosił mnie na lunch do Brown Derby, zlokalizowanej przy Wilshire Boulevard dziwacznej restauracji w kształcie kapelusza. Uznawano ją za miejsce, w którym warto się pokazywać.

Wybór lokalu był oczywiście nieprzypadkowy: chodziło o miejsce publiczne, a zarazem oferujące intymną atmosferę, lokal chętnie odwiedzany przez gwiazdy, a jednocześnie przestrzeń, w której nikt nie podnosił głosu. Zamówiliśmy dwie sałatki Cobb, a Eddie otworzył ostatni numer „Hollywood Reportera”, magazynu, który zaledwie rok wcześniej uznał mnie za najlepiej zarabiającą aktorkę na świecie.

– Nie denerwuj się. Zaraz się przekonasz, że znalazłaś się w doskonałym towarzystwie.

Spojrzałam na artykuł, który Eddie zakreślił na czerwono. Czcionka rzuciła się na mnie jak wilk szczerzący kły. Przeczytałam, że Amerykańskie Stowarzyszenie Niezależnych Właścicieli Kin opublikowało wyniki dorocznego głosowania widzów. Największą popularnością cieszyli się teraz Bette Davis, Rosalind Russell i Jean Arthur. Natomiast Mae West, Joan Crawford, Kate Hepburn, Gretę Garbo i mnie uznano za „aktorów, którym najlepiej wychodzi dewastacja wyników oglądalności”.

Podniosłam głowę i z przerażeniem spojrzałam na swojego agenta.

– Zachęcają wytwórnie do tego, żeby przestały z nami współpracować.

Eddie pokiwał głową.

– Obawiam się, że tak.

– Obawiasz się? Rozmawiałeś o tym z Paramountem?

Rozejrzał się po sali. Natychmiast zrozumiałam, że sprawdzał, czy nikt nas nie podsłuchuje: Louella Parsons zatrudniała szpiegów, którzy mieli przekazywać jej najświeższe plotki z Brown Derby. Po chwili Eddie szepnął:

– Rozmawiałem. Bardzo przepraszali, ale tłumaczyli, że w tej sytuacji nie mogą przedłużyć twojego kontraktu. Tak jak mówiłem, znalazłaś się w doborowym towarzystwie. Obok Garbo. To się zdarza nawet największym talentom.

Siedziałam nieruchomo, całkowicie oszołomiona. Kompletnie mnie nie obchodziło, że Garbo znalazła się w podobnej sytuacji. Musiałam w jakiś sposób opłacić drogą szwajcarską szkołę z internatem, dom w Hollywood,

wystawny tryb życia. Jeżeli wytwórnia zamierzała mnie zwolnić, to skąd miałam wziąć na to wszystko pieniądze?

Kelner przyniósł nam sałatki i zapytał, czy podać dodatkowy tarty ser. Kiedy nie odpowiedziałam, pociągnął nosem i się wycofał.

– Ludzie z Paramountu bardzo cię cenią – mówił dalej Eddie. – Jesteś jedną z ich faworytek. Ale w obecnej sytuacji panującej w branży filmowej po prostu ich na ciebie nie stać. Życzą ci powodzenia.

– Powodzenia – powtórzyłam. – To wszystko? Po tym, co dla nich zrobiłam? – zapytałam piskliwie.

Zaalarmowany kelner znowu zjawił się przy naszym stoliku.

– Czy wszystko pani odpowiada, pani Dietrich? – zapytał.

– Nie. – Posłałam mu spojrzenie pełne złości. – Zdecydowanie nie.

Eddie dał mu napiwek, a następnie spojrzał na mnie z wyraźnym niepokojem.

– Nie jest tak źle, jak mogłoby się wydawać. Pomyśl o tym w ten sposób: masz teraz pełną swobodę i możesz wybierać role, których sama pragniesz, a nie te, które przydziela ci wytwórnia. Przygotuję trochę propozycji i...

Podniosłam rękę.

– Nie – wyszeptałam. – Proszę. Przestań.

Spuścił wzrok.

– Przykro mi, Marleno. Zdaję sobie sprawę, że ta wiadomość to dla ciebie szok, ale jako agent muszę dbać o twoje interesy...

Nie mogłam tego znieść. Gwałtownie wstałam, poprosiłam szatniarza o płaszcz i wyszłam na oślepiające słońce Los Angeles, prosząc o podstawienie mojego samochodu. Dotarłam do domu, zalewając się łzami. Byłam zrozpaczona.

Wpadłam w otchłań, którą sama wykreowałam.

Wytwórnia przekazała mi ostatnie honorarium za *Eskapadę*. Rozwścieczona tym, że Paramount zakończył ze mną współpracę, podkreślałam swój status gwiazdy na każdym kroku: kupiłam nowego cadillaca oraz romansowałam jednocześnie z Douglasem, Garym i Mercedes. Moja lekkomyślność i brawura sprawiły, że znalazłam się w dość kłopotliwej sytuacji. Douglas zjawił się pod moimi drzwiami, wołając, żebym się pospieszyła, bo mamy przecież rezerwację w Cocoanut Grove, tymczasem półnagi Gary zbiegał tylnymi schodami, a wściekła Mercedes wydzwaniała do mnie i dopytywała, co się ze mną dzieje i dlaczego nie przyszłam na organizowany przez nią wieczorek.

Kiedy zadzwoniłam do niej nazajutrz z przeprosinami, natychmiast mnie zgromiła.

– Naprawdę, Marleno. Dwóch mężczyzn? I jeszcze tak marnych aktorów? Nie wiem, czy powinnam się czuć urażona twoim zamiłowaniem do tych powikłań, czy raczej ohydnym pociągiem do kutasów. – Rzuciła słuchawką.

Gary podszedł do tego zdecydowanie spokojniej i zauważył, że powinnam wynająć sekretarkę, która dbałaby o to, żebym nie wylądowała w łóżku z całą ich trójką.

Douglas zaczął z kolei łkać. Kiedy zażądał, żebym rozstała się z Garym i z Mercedes, a następnie usłyszał moją łatwą do przewidzenia odpowiedź, zakończył nasz związek. Ja z kolei porzuciłam swoją willę – wytwórnia przestała za nią płacić – i wynajęłam niewielki domek w Beverly Hills Hotel, gdzie spotkałam w barze Cary'ego Granta i Randolpha Scotta. Aktorzy zaprosili mnie na kawę do swojego domu w Santa Monica, potem zaś wybrałam się z nimi i ich terierem na spacer po plaży.

Wzruszona życzliwością, którą mi okazali, zwierzyłam się ze swoich problemów i zmartwień. Cary potrząsnął smutno głową.

– Jesteśmy własnością wytwórni. Kontrolują wszystko, co robimy, wybierają nam scenariusze i role, a potem oskarżają nas, kiedy te role okazują się nietrafione.

Randolph wziął mnie za rękę i pogłaskał tak, jakby próbował uspokoić zdenerwowane dziecko.

– Ale my uważamy, że jesteś wspaniała. Chętnie zagram z tobą w dowolnym filmie. Wystarczy, że powiesz słowo.

Okazywali mi taką serdeczność i byli sobie tak oddani, że zaczęłam się o nich martwić. Skoro wytwórnia zwolniła mnie po jednym nieudanym filmie, to co by ich spotkało, gdyby prasa odkryła, że dwóch najbardziej pożądanych hollywoodzkich kawalerów dzieli nie tylko dach nad głową? Mieszkające razem kobiety – o ile zachowywały dyskrecję – postrzegano raczej jako nieszkodliwą i zabawną ciekawostkę. Zupełnie inaczej traktowano mężczyzn.

Obawiałam się, że Cary’ego i Randolpha czeka niemiła niespodzianka.

Po ośmiu latach na szczycie znalazłam się nagle na rozstaju dróg. Nie miałam nowych propozycji i czułam się kompletnie zagubiona. W 1938 roku, chcąc uczcić święta Bożego Narodzenia oraz moje trzydzieste siódme urodziny, zaprosiłam wszystkich znajomych i przyjaciół na pieczoną szynkę. Po posiłku śpiewaliśmy kolędy i pływaliśmy nago, a na koniec oddaliśmy się z Garym igraszkom w najdalszej części basenu, na oczach innych gości hotelowych, którzy gapili się na nas z balkonów.

Po świętach dotarło do mnie, że nie mogę dłużej prowadzić takiego trybu życia i wydawać pieniędzy, których nie mam. Zadzwoniłam do Eddiego i poinformowałam go, że jestem gotowa przyjąć nowe zlecenia. Wiedziałam, że nie zniosę dłużej bezczynności. Bez pracy czułam się jak parias.

– Oczywiście – zapewnił. – Ale to może trochę potrwać. Muszę wynegocjować odpowiednie warunki i poszukać projektów, których nie przedstawiono jeszcze innym gwiazdom. Zrobię to, ale czy wytrzymasz do tego czasu?

Rozejrzałam się po wnętrzu wypełnionym przedmiotami, z którymi nie mogłam się rozstać – niemieckimi zegarami i obrazami, książkami i porcelaną drezdeńską. Nie czułam się tu jak w domu. Miejsce niepokonanej Dietrich, hollywoodzkiej bogini pożądania, zajęła nagle bezrobotna kobieta uwięziona w ciasnym wynajętym domku.

– Myślę, że wrócę na jakiś czas do Europy – powiedziałam. – Odezwę się stamtąd do ciebie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wróciłam do Paryża na początku 1939 roku.

Jako oficjalny powód tej decyzji podałam pogłoski o zbliżającej się wojnie. Uznałam, że nadszedł czas, by zabrać Heidede do Stanów. Żeby wszystko przygotować, przed wyjazdem wystąpiłam o amerykańskie obywatelstwo. Gazeta „Der Stürmer” natychmiast oskarżyła mnie o kolejną zdradę Trzeciej Rzeszy, ogłaszając, że „lata spędzone pośród hollywoodzkich Żydów” rozbudziły we mnie „skrajnie antyniemiecką postawę”. Wyśmiałam te zarzuty, bo musiałam się zmierzyć z dużo poważniejszym problemem: brakiem zainteresowania ze strony wytwórni filmowych. Mimo ofert składanych przez Eddiego i gotowości obniżenia honorarium nikt nie chciał mnie zatrudnić.

Paryż na nowo mnie oczarował. Wybrałam się na kolację z powieściopisarzem Erichem Marią Remarkiem, którego opublikowana w 1929 roku książka *Na Zachodzie bez zmian*, a także jej adaptacja filmowa, odniosły ogromny sukces. Zostały zakazane w Niemczech, a Remarque musiał opuścić kraj. Poznałam go na statku podczas podróży przez Atlantyk i natychmiast przemówiła do mnie jego fatalistyczna wizja losu naszej ojczyzny. Był ponury i borykał się z problemami zdrowotnymi, nie mógł też zakończyć pracy nad nową książką. Zwrócił mi uwagę, że

Hitler nie tylko zmusił nas do opuszczenia Niemiec, ale też uczynił z nas bezdomne dzieci skazane na wieczną tułaczkę.

Zostaliśmy z Remarkiem kochankami, choć prawdę mówiąc, pisarz niezbyt dobrze radził sobie w łóżku. Twierdził, że podczas wojny doznał obrażeń, na skutek których został impotentem. Nie był całkowicie bezużyteczny, ale miał skłonności do fatalizmu i potrzebował dużej dozy perswazji – zarówno w sypialni, jak poza nią. Odpowiadało mi jednak pokazywanie się z nim: urodzona w Niemczech gwiazda u boku słynnego niemieckiego powieściopisarza. Uznałam, że taka reklama mi nie zaszkodzi... nie miałam zresztą nic lepszego do roboty.

Pewnego wieczoru, kiedy wróciłam do swojego apartamentu w Ritzu – na który absolutnie nie było mnie stać – zastałam przed drzwiami Rudiego.

– Znowu o tobie piszą. Paradujesz z Remarkiem po Paryżu. Dlaczego? Po co tu przyjechałaś?

– Przyjechałam, bo chcę zabrać Heidede do Ameryki – powiedziałam, zdejmując płaszcz. – A paraduję z Remarkiem głównie po to, żeby wzbudzić zainteresowanie prasy. Paramount zerwał ze mną kontrakt. Jeżeli udowodnię, że nadal warto o mnie pisać, może ktoś mnie w końcu zatrudni. A poza tym – dodałam, czując lekkie wyrzuty sumienia związane z tym, że tłumaczę się Rudiemu – myślałam, że mamy już ten etap za sobą. Nadal jesteśmy małżeństwem. Czego jeszcze chcesz?

– Przestań. Przestań mnie okłamywać. Przyjechałaś tu tylko dlatego, że nie wiesz, gdzie się podziać.

Nie powiedział tego złośliwie, ale jego słowa mnie zabolały. Zapaliłam papierosa, podeszłam do okna i wyjrzałam na plac Vendôme.

– Dlaczego tak nisko mnie oceniasz? – zapytałam.

– Nie oceniam cię nisko. Ale mogę oczekiwać więcej. Pracowałaś i sprzątałaś dla innych. Wszyscy o tym wiedzą: bogini kina, która podaje gulasz kochankom. Dlaczego nie miałabyś robić tego dla mnie? Nie musisz już niczego udowadniać. Hollywood cię nie chce, ale ja nadal cię pragnę. Zostań i zamieszkaj ze mną.

Prychnęłam.

– A co z Tami? Pytałeś, co ona na to?

– Jesteś moją żoną. Zawsze to rozumiała.

Nie byłam w stanie na niego spojrzeć. Jak miałam przyznać się do czegoś, czego do tej pory nie zdołał pojąć? Zależało mi na nim, bardziej niż mógł przypuszczać, ale jednocześnie wydawał mi się męczący i przewidywalny. Był porządnym człowiekiem, który starał się, jak tylko mógł, i zapewne rzeczywiście mnie kochał, skoro tolerował moje wybory. Nie wyobrażałam sobie jednak – nigdy sobie tego nie wyobrażałam – życia pełnego kompromisów i *Bratwurstu*, którego tak kurczowo trzymał się Rudi. Tej iluzji, że nasze małżeństwo znaczyło więcej niż w rzeczywistości.

– Wiesz, że nie jestem stworzona do monogamicznych związków.

Westchnął, a dźwięk ten kojarzył mi się ze skrobaniem tępego skalpela o moje plecy. Kiedy wreszcie się odwróciłam, Rudi powiedział:

– Dlaczego w takim razie się ze mną nie rozwiedziesz? Po co ciągniesz tę błazenadę? Kocham cię, Marleno. Zawsze będę cię kochał. Ale ty nic do mnie nie czujesz. Nie potrzebujesz mnie.

– Ja... – Czułam się tak, jakby pod moimi nogami otworzyła się otchłań. – Kocham cię. I potrzebuję. Na swój sposób. Po prostu nie tak, jak tego pragniesz.

Postanowiłam mu nie przypominać, że kiedy się poznaliśmy, patrzyłam na niego inaczej. Marzyłam o bezpieczeństwie i spokojnej przystani, które mi oferował. Nasze drogi się jednak rozeszły. Moja kariera znalazła się na pierwszym miejscu. Wydawało mi się, że nie powinien robić mi wymówek właśnie teraz, kiedy znalazłam się na dnie. Uważałam to za poniżające.

Rudi potrząsnął głową. Przez chwilę zobaczyłam w nim tamtego mężczyznę, którego poznałam w Das Silhouette. Nie mógł oderwać ode mnie wzroku, jakbym była jedyną kobietą na ziemi. Miał włosy zaczesane do tyłu, a na czoło opadał mu jeden swawolny kosmyk.

– Nie chcesz rozwodu, bo jestem... Jak to określają Amerykanie? – Na jego twarzy pojawił się gorzki uśmiech. – Twoim wentylem bezpieczeństwa. Na wypadek gdyby wszystko inne zawiodło.

Zamarłam. Papieros parzył mi palce.

– Jak możesz tak mówić? To okropne.

Uśmiech zniknął z twarzy Rudiego.

– Owszem. Ale to przede wszystkim smutne. To najsmutniejsza rzecz, jaką można powiedzieć o drugiej osobie. Kto wie, czy wytrwam przy tobie aż do samego końca? Kto wie, czy cię nie opuszczę?

– Nie zrobisz tego – odpowiedziałam pod wpływem impulsu. – Kto by wtedy opłacał rachunki? Ciebie na pewno na to nie stać. Ledwo się utrzymujesz. A Heidede? Jeśli się ze mną rozstaniesz, rozstaniesz się i z nią. Jestem jej matką. Nie pozwolę na to. Zatrudnię najlepszych prawników i zadbam, by to mnie przyznano pełną opiekę nad dzieckiem.

Chciałam być okrutna. Chciałam go zranić. Okaleczyć. W tamtej strasznej chwili Rudi stanowił ucieleśnienie wszystkich, którzy mnie porzucili. Był von Sternbergiem i wytwórnią, moją matką i całą moją przeszłością. Reprezentował wszystkie przeszkody, które z takim wysiłkiem starałam się pokonać.

– Nie. – Zgarbił się. – Masz rację. Nie opuszczę cię. – Po chwili dodał: – Ale nie dlatego, że boję się stracić córkę. Nie opuszczę cię, bo rozumiem, co przeżywasz. Samotne starzenie się to kara, której nikomu bym nie życzył. Zwłaszcza tobie.

Odwrócił się i wyszedł, a ja zostałam z popiołem między palcami.

Na ironię zakrawał fakt, że mężczyzna, którego najbardziej lekceważyłam, którego nie dotykałam od lat,

potrafił w tak przenikliwy sposób odgadnąć moje najgłębsze lęki. Te, których sama sobie nawet nie uświadamiałam.

Samotność. Zapomnienie.

W którym miejscu się to wszystko zaczęło? W którym momencie zaczęłam wierzyć, że jedynym życiem wartym przeżycia jest takie, które się wysławia, fotografuje i filmuje? Mogłabym długo szukać odpowiedzi, przekopywać się przez wspomnienia tamtej dziewczynki, która zbyt wcześnie straciła ojca, inteligentnej uczennicy, która nie znosiła szkoły, ale zadurzyła się w nauczycielce, pilnej skrzypaczki o zbyt małym talencie albo walczącej o uznanie piosenkarki kabaretowej. Nie miałam pojęcia. Nie wiedziałam już, kim jestem. Nie potrafiłam pogodzić wypolerowanej repliki w dziesięciokrotnym powiększeniu na kinowym ekranie i nieznajomej, którą się stałam.

Kim byłam? Czego jeszcze chciałam?

Rzuciłam papierosa na podłogę, wgniotłam go w dywan obcasem i zamieniłam w brudną plamę nikotyny i popiołu.

Uznałam, że może nigdy nie poznam odpowiedzi na te pytania, miałam jednak pewność co do jednego: jeszcze nie skończyłam. Nie zamierzałam się poddać. Śmierć to śmierć – i nic się na nią nie poradzi. Ale dopóki żyłam, musiałam znaleźć sposób, by zatriumfować.

Nagłówki paryskich gazet dotarły także do Hollywood. Eddie zadzwonił do mnie i poinformował, że zainteresował się mną Universal, który oferował drugoplanową rolę kobiecą w komediowym westernie napisanym z myślą o jednym z gwiazdorów wytwórni, Jamesie Stewarcie.

Poprosiłam o scenariusz, a Eddie ostrzegł, że honorarium wynosi mniej niż jedną szóstą tego, co zwykle dostaję.

– Ale to dobry projekt – dodał. – I myślę, że jeśli tylko się zgodzisz, mogę doprowadzić do podpisania kontraktu.

– W takim razie wyślij mi scenariusz.

Byłam zachwycona. W filmie *Destry znowu w siodle* miałam zagrać pewną siebie piosenkarkę pracującą w saloonie, Frenchy, która zakochuje się w granym przez Stewarta praworządnym bohaterze. Ta typowo amerykańska opowieść mogła uratować moją karierę. Miałam okazję popisać się umiejętnościami wokalnymi i dać próbkę sprośnego humoru. Z pewnością nie do takich ról się przyzwyczaiłam. Moja bohaterka, Frenchy, stanowiła parodię wszystkich postaci, które dotąd grałam: nieokrzesana kobieta, którą prześladuje pech i która musi bawić motłoch w zakurzonej mieścinie. Honorarium rzeczywiście okazało się potwornie niskie, przesłałam więc Eddiemu telegram z prośbą o wynegocjowanie nieco lepszej stawki. W oczekiwaniu na rozpoczęcie zdjęć wyruszyłam na wakacje na południe Francji. Chciałam pogodzić się z Rudim. Nie lubiłam naszych kłótni, a on chętnie przystał na wspólny wyjazd – bo również nie znosił konfliktów. Tamara też potrzebowała odrobiny wytchnienia: cierpiała z powodu coraz częstszych zmian nastrojów. Po drodze pojechaliśmy po Heidede do Szwajcarii. Od lat nie widziałam naszej córki tak szczęśliwej i szczupłej. Razem z rodziną, górą bagaży i Remarkiem, którego w przeciwieństwie do Douglasa nie obchodził fakt, że byłam

mężatką, wyruszyłam do Antibes, gdzie wynajęłam willę na klifach, jak zwykle kompletnie pomijając fakt, że moje dochody znacznie się uszczupliły. Napisałam też do Mutti, proponując, żeby dołączyła do nas razem z Liesel. Matka poinformowała w telegramie, że „zastanowi się nad tym", sugerując tym samym, że nadal ma żal o to, co wydarzyło się między nami podczas ostatniego spotkania.

Tamto lato mnie odmieniło. Brytyjski dramatopisarz Noël Coward, który spędzał wakacje w okolicy, zaproponował, żebyśmy złożyli mu wizytę. Ogromne wrażenie zrobiły na mnie jego intelekt, ekstrawagancja i niezwykły talent. Coward zaprosił nas na drinki w Hôtel Cap du Roc, a ja dotrzymywałam mu towarzystwa przy fortepianie: jego zwinne palce poruszały się po klawiaturze, podczas gdy ja śpiewałam przydymionym głosem jego utwory – zwłaszcza moje ulubione *I'll See You Again*.

– Kochanie, nie miałem pojęcia, że tak dobrze znasz moje piosenki – powiedział. Jego piękne, pełne wyrazu oczy i lekko odstające uszy upodobniały go do elfa.

Wzbudził we mnie ogromną sympatię. Wiedziałam, że jest homoseksualistą, choć podobnie jak wujek Willi nie przyznawał się do tego otwarcie. Jasno dał to jednak do zrozumienia, kiedy pochylił się nade mną i wyszeptał:

– Jest tu ktoś, kogo koniecznie musisz poznać. Oszałamiający Francuz i, z tego co wiem, twój wielbiciel: aktor Jean Gabin.

Rudi, Tami i Heidede wrócili już do domu, zmęczeni po wielu godzinach spędzonych na słońcu, a Remarque gdzieś

przepadł – zapewne wybrał się na jeden ze swoich samotnych spacerów, by konwersować z cieniami w swojej głowie.

– Gabin? – zapytałam szeptem.

Znałam to nazwisko. Film gangsterski, w którym ostatnio zagrał, *Pépé le Moko*, odniósł we Francji olbrzymi sukces. W Ameryce nakręcono jego nową wersję zatytułowaną *Algier*, a wystąpił w niej nie kto inny, tylko mój przyjaciel Charles Boyer. Surowa męska uroda Gabina, jego lekko rozczochrane jasne włosy i przenikliwe niebieskie oczy zwróciły uwagę hollywoodzkich wytwórni, on jednak konsekwentnie odrzucał ich propozycje i współpracował z wybitnymi francuskimi reżyserami, takimi jak syn słynnego malarza Jean Renoir.

– Widzę, że ty też go podziwiasz. – Coward wydął wargi. – Ale jesteś przecież... mocno zapracowana – dodał, dowcipnie odnosząc się do mojego romansu z Remarkiem. – Jak zdołasz nad tym wszystkim zapanować?

– Poradzę sobie – zapewniłam.

Coward radośnie klasnął w dłonie i zaaranżował spotkanie w swoim domu. Po podaniu drinków i wspaniałego śródziemnomorskiego posiłku dyskretnie się ulotnił.

Nawet jeśli Gabin rzeczywiście mnie podziwiał, to z początku nic nie dawał po sobie poznać. Spomiędzy jego wąskich warg wystawał własnoręcznie skręcony papieros. Gabin miał duży nos i mocno zbudowany, pękaty tors pod marynarską koszulą. Był ogorzały i kojarzył mi się

z paryskimi robotnikami. Przez chwilę mi się przyglądał, siedząc ze skrzyżowanymi nogami przy basenie, po czym oznajmił z powagą:

– Powinnaś grać tu w filmach. Doskonale mówisz po francusku, a Amerykanie produkują tylko drogie *merde*. Nie jesteś kobietą, na jaką wyglądasz na ekranie.

Odwzajemniłam jego spojrzenie. Przypomniałam sobie, jak von Sternberg powiedział mi, że fatalnie wypadłam w swoich berlińskich filmach i że zrobi ze mnie gwiazdę. Byli jednak zupełnie różni. Mój dawny reżyser przypominał przekornego kota o ostrych pazurach. Gabin kojarzył mi się natomiast z dzikim, gwałtownym lwem.

– To znaczy, że na żywo jestem lepsza? Czy gorsza? – zapytałam.

– Nie kokietuj – mruknął. – Jak sądzisz?

Uznałam to za komplement.

– Myślę, że masz rację. Nie jestem kobietą, którą stara się ze mnie zrobić Hollywood. Gram w złych filmach. Dla pieniędzy.

– Ach – wymamrotał. – Pieniądze. Przekleństwo tego świata.

Nie dotykał mnie do czasu, aż zaczęłam się zbierać do wyjścia, świadoma, że powinnam już wracać do swojej willi i do rodziny. Mutti przysłała telegram i zapowiedziała, że przyjedzie z Liesel w przyszłym tygodniu. Musiałam przygotować im pokoje i przenieść Remarque’a do hotelu. Zbyt dużo pił i miał obsesję na punkcie swojej powieści, a ja wolałam uniknąć pełnego dezaprobaty spojrzenia Mutti,

gdyby dowiedziała się, że mieszkam pod jednym dachem z kochankiem, córką, mężem i jego kochanką.

Kiedy podeszłam do drzwi – przekonana, że Noël czai się gdzieś w pobliżu i nas podgląda – Gabin objął mnie w pasie. Choć bardzo na to liczyłam, nie przyciągnął mnie jednak do siebie.

– *Vous êtes grande,* Marleno – powiedział, kładąc nacisk na „r” w moim imieniu.

– Ty też – odpowiedziałam. Mówiłam szczerze: był wspaniały pod każdym względem i tak typowo francuski, że wyobrażałam sobie smak Paryża na jego opalonej skórze. – Spotkamy się jeszcze?

Zbliżył się do mnie i wyszeptał:

– Wydaje mi się, że nie mamy wyboru.

Tak też się stało. Popołudniami wymykałam się z domu i ruszałam z nim w dławiącym upale na długie przejażdżki wzdłuż wybrzeża. Po drodze zatrzymywaliśmy się na klifach i jedliśmy pasztet z wątróbek albo kanapki z wędzonym łososiem, które przygotowywałam. Gabin opowiedział mi o swoim dzieciństwie spędzonym w miasteczku na północ od Paryża. Jego rodzice występowali w kabarecie, a notorycznie upijający się ojciec go bił. Chodził do *lycée*, ale porzucił naukę przed ukończeniem szkoły i pracował w polu, aż wreszcie w wieku dziewiętnastu lat trafił do branży rozrywkowej i dostał epizodyczną rolę w Folies-Bergère.

– W końcu rzuciłem to i wstąpiłem do wojska – powiedział. – Nie znosiłem Folies. Ale po zakończeniu

służby potrzebowałem pieniędzy i wróciłem. Przyjmowałem wszystkie propozycje, występowałem w teatrach rewiowych i operetkach, starałem się naśladować Chevaliera. Tyle że w przeciwieństwie do ciebie – dodał, szczerząc zęby w uśmiechu – nie mam za grosz talentu muzycznego. W końcu trafiłem do branży filmowej. – Wzruszył ramionami. – Stawałem się stopniowo rozpoznawalny. Później przyszły *Maria Chapdelaine, Towarzysze broni* i *Pépé le Moko*. I proszę! Pan nikt stał się nagle panem kimś. Czysty absurd, prawda?

Podobnie wyglądała moja droga w Berlinie. Byliśmy zresztą w tym samym wieku – ale Gabin mówił o branży filmowej z najwyższą pogardą. „To nie jest prawdziwa praca, prawda?" – powtarzał.

Bardzo niepokoił się sytuacją w Europie.

– Powiedz matce i siostrze – oznajmił w pewnej chwili – żeby natychmiast uciekały z Niemiec. Hitler to prawdziwy potwór.

– Nie znasz mojej matki – westchnęłam. Nie zdążył jej poznać: wrócił do Paryża na kilka dni przed ich przyjazdem. Nie spędziliśmy ze sobą nocy, choć bardzo tego pragnęłam.

– Jesteś mężatką. Uważam przysięgę małżeńską za świętość – powiedział, wzruszając ramionami. – W przeciwnym razie...

Zapewniałam go, że zupełnie inaczej patrzę na instytucję małżeństwa, ale Gabin pozostał niewzruszony.

Dużo o nim myślałam. Nie wydawał się przekonany co do tego, czy chce być aktorem, a ja doskonale go rozumiałam.

Radził mi jednak przyjąć rolę w westernie.

– Ryzykuj, Grande – powiedział, używając przezwiska, które mi nadał. – Dlaczego nie? Świat może jutro eksplodować.

Świat jako taki nie eksplodował – ale mój świat się załamał. Mutti przyjechała z Liesel, i choć z radością powitałam siostrę, wydała mi się przybita i małomówna. Jej tęgi, zadowolony z siebie i rumiany mąż, Georg Wills, oświadczył natomiast z satysfakcją, że powierzono mu zarządzanie siecią podporządkowanych władzy kin. Miały zastąpić Theater des Westens i wiele innych siedlisk zgnilizny i dekadencji.

Ku mojemu przerażeniu mąż Liesel przekazał mi też drugie zaproszenie od Goebbelsa.

– Uważa, że musiałaś się wcześniej pomylić – oznajmił. – Podkreśla, że jesteś mile widziana w Niemczech.

Siedzieliśmy właśnie przy stole. Heidede, zachwycona wizytą Liesel i Omy, rozmawiała z nimi po niemiecku, Rudi posłał mi ostrzegawcze spojrzenie, a Mutti udawała, że ogłuchła.

Spojrzałam na Georga i poinformowałam go chłodno:

– To on się pomylił. Podczas pobytu w Londynie przekazałam jego ostatniej wysłanniczce, że nie jestem zainteresowana tą propozycją.

– Tak było wtedy – odparł Georg. – Ale teraz straciłaś kontrakt z wytwórnią.

– Dostałam już nową ofertę. – Próbowałam zachować spokój, ale zaczęłam drżeć. – Zresztą nawet gdyby tak się

nie stało, wolałabym zmywać podłogi w Ameryce, niż w jakikolwiek sposób przysłużyć się Hitlerowi.

Przy stole zapadła cisza. Po chwili Liesel powiedziała:

– Leno, doprawdy. Georg robi tylko...

– To, co nakazał mu Goebbels – przerwałam jej, nie kryjąc wściekłości. – Owszem. Powinniście stamtąd jak najszybciej wyjechać, skoro każą wam przekazywać mi takie propozycje. To niebezpieczne. Mogę załatwić wam wizy i...

– Dość – rozległ się nagle głos Mutti. – Georg, proszę, uszanuj wolę mojej córki – oznajmiła, patrząc na niego z powagą. – Nie chce wracać do Niemiec i ma do tego pełne prawo. – Zanim zdołałam podziękować jej za to niespodziewane wsparcie, dodała: – Ale my też mamy prawo zostać tam, gdzie mieszkamy. Przestań nas namawiać na wyjazd, Marleno. – Przeniosła na mnie wzrok. – Jesteśmy Niemcami i nasze miejsce jest w Niemczech.

Reszta wizyty przebiegła w podobnej atmosferze. Poszliśmy wszyscy na plażę i do kasyna, a Rudi zabrał swoją przenośną kamerę, żeby rejestrować radosne chwile spędzane w rodzinnym gronie. Ja jednak prawie nie odzywałam się do Georga, a Liesel była tak zdominowana przez męża, że unikała spędzania ze mną czasu. Mutti ignorowała nas wszystkich i skupiała się wyłącznie na Heidede. Wreszcie wyjechała w towarzystwie Liesel i jej męża, jak zwykle nieugięta.

Wróciłam z Tamarą i Rudim do Paryża i zadzwoniłam do Gabina, który kręcił właśnie film i miał tylko jeden wolny wieczór. Poszliśmy na kolację, a kiedy na pożegnanie

pocałował mnie w policzek i życzył *bonne chance* z nowym filmem, zaprosiłam go do swojego hotelowego apartamentu. Po raz kolejny spotkałam się z odmową – Gabin oznajmił, że jest zbyt zmęczony. Dziwił mnie mój upór. Z niepokojem odnotowałam, że po raz pierwszy, odkąd poznałam Rudiego, pragnęłam jakiegoś mężczyzny bardziej, niż on pragnął mnie.

Heidede nie chciała wracać do Ameryki i podczas podróży przez Atlantyk na pokładzie *Queen Mary* całkowicie straciła humor. Zapisałam ją do szkoły średniej, a Remarque'a, który nam towarzyszył, umieściłam w sąsiednim domku, gdzie miał pracować nad nową powieścią. Nasz romans – o ile w ogóle można było tak nazwać łączącą nas znajomość – właściwie dobiegł końca. Wierzyłam jednak w talent Remarque'a i chciałam mu pomóc, bo nie miał gdzie się podziać. Podpisałam też kontrakt z wytwórnią Universal.

Zaledwie kilka dni przed rozpoczęciem zdjęć do filmu *Destry znowu w siodle* nadeszła wiadomość, że Hitler zaatakował Polskę. Rudi zadzwonił do mnie w panice. Bał się, że wojna dotrze wkrótce do Francji, i chciał jak najszybciej wyjechać. Wysłałam pilną wiadomość do ambasady amerykańskiej w Paryżu, kupiłam bilety. Rudi i Tamara zostali oficjalnie uznani za krewnych na moim utrzymaniu i dostali wizy. Wsiedli na statek z Calais do Londynu, stamtąd zaś popłynęli do Nowego Jorku, gdzie wynajęłam im mieszkanie. Próbowałam wysyłać telegramy do Berlina, nikt mi jednak nie odpowiadał. Wreszcie udało mi się dodzwonić do sklepu wujka Williego, który

powiedział, że Mutti nadal pracuje jako gospodyni – choć w obecnej sytuacji wydawało się to wręcz nieprawdopodobne. Zapewnił też, że wszyscy są bezpieczni, ale w jego głosie wychwyciłam dziwną rezerwę.

– Pozwólcie sobie pomóc – poprosiłam. – Mówiłam już Mutti, że mogę wystąpić o wizy i zadeklarować, że będziecie na moim utrzymaniu. Rudi i Tamara dotarli już do Nowego Jorku. Wy też powinniście uciekać.

– Nie. – Zmienił ton i dodał tak cicho, że ledwo go usłyszałam: – Proszę, Leno. Nie dzwoń więcej.

Rozłączył się. Nie mogłam go winić, w końcu już dwukrotnie odrzuciłam propozycję Goebbelsa. Byłam jednak zdenerwowana. Wiedziałam, że zadbanie o bezpieczeństwo moich krewnych – nawet gdyby rzeczywiście tego chcieli – może w związku z wybuchem wojny okazać się niezwykle trudne.

Film *Destry znowu w siodle* odniósł ogromny sukces, choć musiał konkurować z takimi produkcjami jak *Grona gniewu* i *Przeminęło z wiatrem*. Miałam okazję zaśpiewać w nim wspaniałe piosenki, takie jak *See What the Boys in the Back Room Will Have*. Krytycy zachwycali się moją rolą, dostałam podwyżkę i podpisałam z Universalem kontrakt na kolejny film: *Siedmiu grzeszników*. Akcja toczyła się na południowym Pacyfiku, a ja grałam u boku Johna Wayne’a, który podobał mi się prawie tak bardzo jak Gary. Był niezwykle przystojny, wysoki i atletycznie zbudowany, choć w przeciwieństwie do Gary’ego całkowicie pozbawiony poczucia humoru. Cechowała go jednak ogromna ambicja,

a choć na planie towarzyszyła mu nadąsana żona, wydawał się prawdziwym kobieciarzem.

Zaprosiłam Wayne’a do swojej garderoby po pierwszym tygodniu zdjęć i powitałam go w przezroczystym czarnym peniuarze. Kiedy zapytałam o godzinę, a on wyjąkał, że nie ma pojęcia, uniosłam lekko materiał i odsłoniłam zegarek wiszący na mojej podwiązce. Położyłam na jego szerokich ramionach dłonie z pomalowanymi na czerwono paznokciami i powiedziałam:

– Jest wcześnie. Mamy mnóstwo czasu.

Uśmiechnął się i zaczął zrzucać z siebie ubrania.

Czas był jednak jedyną rzeczą, której temu światu brakowało.

SCENA SIÓDMA

ZŁOTA PANTERA

1942-1946

„CHCĘ TROCHĘ POŻYĆ PRZED ŚMIERCIĄ”

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Francja ogłosiła kapitulację w czerwcu 1940 roku. Upadek Paryża wstrząsnął nie tylko Europą, ale też Ameryką, gdzie napływały kolejne fale uchodźców, którzy uciekali przed Niemcami maszerującymi przez Pola Elizejskie. Wynajęłam dom w Brentwood, gdzie po pracy gotowałam i gościłam emigrantów. Wkrótce wszystkie pomieszczenia wypełniły się francuskimi artystami, wstrząśniętymi tym, co wydarzyło się w ich ojczyźnie. Kiedy niespodziewanie zjawili się u mnie reżyser Jean Renoir w towarzystwie Gabina – obaj wyglądali tak, jakby nie zmrużyli oka od wielu tygodni – niemal upuściłam tacę z pieczenią i ziemniakami.

Tamtej nocy, kiedy już wszyscy najedli się do syta, odśpiewali porywający refren *Marsylianki* i położyli się w łóżkach, na kanapach i na podłodze, Gabin zaczął łkać. Wylewał pełne wściekłości, gorzkie łzy, a ja zaoferowałam mu gościnną sypialnię, mówiąc, że Heidede może przenieść się do mnie. Wynajmował wspólnie z Renoirem pokoik w tanim hotelu i prowadził negocjacje z amerykańskimi wytwórniami, ale ponieważ źle mówił po angielsku i był strasznie przygnębiony, praca nad filmem wydawała się ostatnią rzeczą, o której myślał.

– Tchórze – powiedział, paląc własnoręcznie skręconego papierosa i wpatrując się w pustkę. – Skapitulowali. Ulegli Hitlerowi i pozwolili tym potworom maszerować przez

Paryż. Powstał rząd tymczasowy w Vichy, który wypełnia wszystkie rozkazy Niemców. Dzielą nas jak pieprzony *quiche*. – Popiół z jego papierosa opadł na dywan. – Chciałem zostać i walczyć, ale Renoir powiedział, że musimy uciekać, bo w przeciwnym razie zmuszą nas do robienia filmów propagandowych albo aresztują. Uprzedziłem go, że przyjeżdżam tutaj tylko po to, żeby zarobić trochę pieniędzy. Kiedy już zrealizuję swój cel, wracam zabijać Niemców.

– Tak mi przykro. – Dotknęłam jego przygarbionych pleców. Bardzo go żałowałam. – Znam to uczucie. Wiem, jak to jest, kiedy traci się własny kraj...

Parsknął.

– Nie straciłaś Niemiec. Wyjechałaś, żeby zostać amerykańską gwiazdą filmową. A Niemiec nikt nie zaatakował. To one napadają na inne kraje.

Gwałtownie się cofnęłam.

– Nie bądź okrutny. Owszem, straciłam Niemcy. Tracę je każdego dnia.

Zmarszczył brwi, a gniew stłumiły wyrzuty sumienia.

– Przepraszam, *ma Grande*. Okropnie się zachowałem. Nie zwracaj uwagi na to, co mówię. Nie jestem sobą.

Miał rację, ale wzbudził we mnie jeszcze większą sympatię: jawił mi się jako rozbitek wyrzucony na nieznany brzeg, samotny i zdesperowany, potrzebujący pociechy i wsparcia.

– Mogłabym ci pomóc – oznajmiłam. – Przejrzeć twój kontrakt, skontaktować cię z moim agentem i przedstawić

ludziom z branży. Nauczę cię angielskiego.

– Z twoim niemieckim akcentem? – zapytał, ale na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Przez chwilę mi się przyglądał. – Byłabyś naprawdę gotowa to zrobić, prawda? – Mówił tak, jakby życzliwość wydawała mu się czymś niewiarygodnym. – Zrobiłabyś dla mnie wszystko, o co bym poprosił.

Pokiwałam głową.

– Oczywiście. Dlaczego nie? Wiem, jak to jest, przybyć z Europy do Ameryki i nie mieć pojęcia o...

Nie pozwolił mi skończyć. Chwycił mnie i wreszcie zrobił to, na co liczyłam. Kiedy zbliżał usta do moich ust, wyszeptał:

– Niemcy i Francja w łóżku. À propos.

Okazał się gwałtownym, pełnym pasji kochankiem, którego nie interesowały subtelności. Miał siłę tura i pożądał mnie tak bardzo, że wyobrażałam sobie, jak rozrywa moją skórę zębami. Chciałam zachować kontrolę, ale nie pozwolił mi na to – przygwoździł mnie do łóżka w taki sposób, że widziałam tylko jego twarz.

– Pokaż mi, kim jesteś – wyszeptał. – Nie chodzi mi o Dietrich. Chcę ciebie.

Otworzył mnie jak sejf. Rozrywał językiem pory mojej skóry, gwałtownie się we mnie wbijał z dzikim, surowym pożądaniem. Po wszystkim, kiedy leżeliśmy spoceni w skłębionej pościeli, zapalił papierosa i szeroko się uśmiechnął.

– Właśnie tak podbijają francuscy mężczyźni – oznajmił.

Lekko się roześmiałam, czując wytatuowany na mojej skórze ciepły dotyk.

W tamtej chwili zrozumiałam, że otworzył we mnie jakieś nieznane, sekretne miejsce, do którego nie dotarł jeszcze żaden mężczyzna, nawet Rudi: miejsce, gdzie tak wiele lat temu zamknęłam swoją wrażliwość i bezbronność po romansie z Reitzem w Weimarze. Gabin zdołał w jakiś sposób, bez większego wysiłku, przebić się przez moje mechanizmy obronne i pokazać mi, jak obezwładnia miłość.

Poprosiłam, żeby został. Sprowadził swoje rzeczy, a pośród wysłużonych walizek zauważyłam skórzany cylindryczny futerał.

– Otwórz go – powiedział.

Znajdowały się w nim wyrwane z ram obrazy: Vlaminck, Sisley, Renoir i Matisse. Ich pastelowe piękno, opalizujące jak promienie słońca na wodach Sekwany, lśniło pod moimi palcami.

– Nie dotykaj ich – poprosił. – Uszkodzisz werniks. Po prostu je tu przechowaj. Nie mogłem pozwolić, by Niemcy je spalili albo ukradli.

Kazałam je na nowo oprawić i powiesić w naszej sypialni. Gabin zaczął uczyć się angielskiego z nauczycielem, którego dla niego wynajęłam. Opanował język na tyle dobrze, by móc zagrać w filmie *Nocny przypływ*. Chcąc to uczcić, zabrałam go do modnego lokalu Mocambo: wiedziałam, że jeżeli pokażemy się publicznie, o Gabinie zrobi się głośno. Nie podobało mu się pretensjonalne hollywoodzkie nocne życie. Wolał obskurne bary, kluby

z czarnym jazzem oraz inne pozbawione blichtru miejsca, gdzie nie pojawiali się znani ludzie. Gabin nie czuł się dobrze w roli gwiazdy. Najchętniej grał na akordeonie na brzegu basenu, w którym często kąpał się nago, albo jeździł na rowerze po Brentwood, przyglądając się ze zdziwieniem *„la putain”*, tej dziwnej Ameryce, gdzie ludzie produkowali niewiarygodne ilości śmieci i gdzie nikt nie wydawał się przejęty wojną siejącą spustoszenie w Europie.

Ja tymczasem pracowałam na planie *Siedmiu grzeszników* u boku Johna Wayne’a, do którego Gabin poczuł natychmiastową niechęć. Kiedy John przyjechał po mnie do studia moim cadillakiem, Jean zaczął mamrotać pod nosem:

– Czy ten muł dobiera ci się do majtek?

– Nie, chwilowo nie – odparłam.

Mimo to zakończyłam flirt z Wayne’em, bo Gabin miał w oczach coś, co kazało mi przypuszczać, że mógłby wdać się z moim filmowym partnerem w awanturę. Nie przeszkadzał mu natomiast Remarque, nadal pracujący nad swoją powieścią w domku, który dla niego wynajęłam. Może wynikało to z faktu, że podobnie jak on, Remarque był emigrantem. Bardziej prawdopodobne wydawało mi się jednak to, że ponieważ opowiedziałam Gabinowi o problemach Remarque’a w łóżku, nie widział w niemieckim pisarzu rywala.

Pewnego dnia wróciłam ze studia filmowego wcześniej niż zwykle. Gabin chodził szybkim krokiem po ogrodzie. Miał na sobie kąpielówki i co chwila zerkał w stronę krzewów

i niskiego ceglanego murku, który oddzielał mój dom od sąsiedniego.

– *Elle est folle* – wyszeptał, kiedy się zbliżyłam. – Twoja sąsiadka jest szalona. Podgląda mnie. Każdego popołudnia, koło czwartej, widzę ją między krzakami. Zakłada kapelusz, okulary przeciwsłoneczne i się na mnie gapi.

– Dziwi cię to? – Roześmiałam się. – Siedzisz tu nago i grasz na akordeonie.

Chwycił mnie za ramię.

– Mówię ci, ona coś wie. A jeśli jest niemieckim szpiegiem?

Nie zadałam sobie trudu, by dowiedzieć się, kim są moi sąsiedzi – w okolicy mieszkało mnóstwo hollywoodzkich gwiazd – więc zadzwoniłam do swojego agenta i o to zapytałam. Po kilku dniach Eddie oddzwonił i oznajmił z zakłopotaniem:

– Ta szalona kobieta, twoja sąsiadka... to Garbo. To jeden z jej domów.

– Niemożliwe! – zawołałam.

Jeszcze tego samego weekendu, o właściwej porze, wskoczyłam z Gabinem do basenu i cierpliwie czekałam. Ku mojemu rozczarowaniu nasza podglądaczka, królowa MGM, której nie udało mi się do tej pory poznać, nie wyjrzała tym razem zza krzaków. Tydzień później na podjeździe pojawiły się samochody do przeprowadzek, a dom został wynajęty komuś innemu.

Oczarowanie Gabinem zaczynało mi się dawać we znaki. Krążyły plotki, że jesteśmy kochankami. Martwił się nimi

zwłaszcza Eddie, który nieustannie mi przypominał, że wszyscy wiedzą o Rudim. Mnie tymczasem niepokoiła przede wszystkim własna obojętność na to, co pomyślą o nas ludzie: w przeszłości starałam się zachowywać dyskrecję, ukrywać swoje związki. Tym razem mi na tym nie zależało. Zadurzałam się już przecież w innych mężczyznach – w Rudim, zanim wzięliśmy ślub, i w von Sternbergu, w okresie, kiedy prowadził mnie ku sławie. Ale Gabin rozbudzał we mnie innego rodzaju uczucia. Miałam wrażenie, że wlał we mnie jakąś niezwykłą siłę, której nie potrafiłam poskromić i która rozsadzała mi wnętrzności. Wierzyłam, że jest moją bratnią duszą, drugą połówką, tym niewiarygodnym fantazmatem, tak często pojawiającym się w filmach. Towarzyszem, którego nie mogłam zdominować, równie silnym i upartym jak ja, a zarazem bezbronnym jak sierota. Rozbudzał we mnie nieznane dotąd pragnienia. Wyobrażałam sobie nawet wspólną starość – choć przecież tylko w przypadku Rudiego brałam pod uwagę trwały, długi związek. Nie mogłam jednak zaproponować Gabinowi założenia rodziny. Byłoby to naiwne posunięcie, najstarsza na świecie sztuczka służąca do zatrzymania mężczyzny przy sobie – zresztą w moim wieku zapewne nie miałam już szans na zostanie matką. Powtarzałam sobie, że to nie dla mnie, że jedno dziecko w zupełności wystarczy, zwłaszcza w obliczu błędów, jakie popełniłam w przypadku Heidede.

Kiedy Rudi zadzwonił do mnie z Nowego Jorku, wyznałam, że mieszkam z Gabinem. W słuchawce zapadła cisza, a po dłuższej chwili mój mąż zapytał:

– Kochasz go?

– Ja... nie wiem – odpowiedziałam niepewnie. Nie chciałam zwierzać się ze wszystkich swoich rozterek. – Chyba tak. A przynajmniej mogłabym się w nim zakochać, gdybym dała sobie na to szansę.

Rudi westchnął.

– Uprzedzisz mnie, kiedy już dasz sobie na to szansę? – Wydawał się tak zrezygnowany, że postanowiłam go rozbawić.

– Żartujesz? Miałabym zrezygnować ze swojego wentylu bezpieczeństwa? – zażartowałam. – Poza tym Gabin chce wracać do Francji i walczyć. Kto wie, ile to wszystko potrwa?

Nie powiedziałam tego głośno, ale bardzo zależało mi na tym, żeby nasz związek trwał jak najdłużej. W ciągu dnia mój kochanek był jak chmura gradowa i ruszał z wściekłością na plan zdjęciowy. Brał udział w filmie, którego nie znosił. Nocami wczepiał się we mnie z taką siłą, jakby chciał w ten sposób o wszystkim zapomnieć. Przygotowywałam mu tatar i zupę cebulową. Rozstawiałam w domu bukiety świeżo ściętych mieczyków i śpiewałam francuskie piosenki, chcąc, żeby poczuł się jak w Paryżu. Próbowałam odtworzyć w Ameryce maleńką część jego ojczyzny. Zapraszałam na kolacje innych Francuzów: Charlesa Boyera, reżysera René Claira i łagodnego Renoira. Graliśmy w karty, opowiadaliśmy sprośne dowcipy, tańczyliśmy i piliśmy anyżówkę. Któregoś dnia Boyer przyniósł z planu filmowego zniszczone skrzypce –

nastroiłam je, a następnie wykonałam utwór Bacha. Na twarzy Gabina pojawił się rzadko goszczący tam uśmiech.

Choć starałam się ochronić go przed bólem i cierpieniem, kipiał z wściekłości. Nienawidził Niemców i nieustannie wyrzucał sobie własne tchórzostwo. Nie mógł pogodzić się z tym, że porzucił kraj w takiej sytuacji. Nie potrafił sobie tego wybaczyć. Zadręczał się upokorzeniami, których doznała Francja, i upokorzeniami, których sam doświadczał w Hollywood. Przyjął rolę, która mu się nie podobała, i żył w kraju, którego nie znosił. Jego film przeszedł bez echa, podczas gdy moich *Siedmiu grzeszników* odniosło sukces – co prawda nie tak duży jak *Destry znowu w siodle*, ale wystarczający, by zagwarantować mi rolę w filmie gangsterskim zatytułowanym *Wysokie napięcie*.

– Co my wyprawiamy? – zapytał Gabin po wyjściu naszych gości. Tego wieczoru zdecydowanie za dużo wypił. – Gramy w idiotyczne gry i kręcimy idiotyczne filmy, a tymczasem w Europie giną ludzie. Jesteśmy tchórzami. Wszyscy. Powinniśmy walczyć, zamiast pozwalać, by zarabiali na nas tłuści Amerykanie.

To był jego stale powtarzający się refren. Skarżył się i narzekał, ale po skończeniu pracy nad pierwszym filmem podpisał kontrakt na kolejny, ponieważ – jak twierdził – musiał odłożyć pieniądze, by zrealizować swój cel. Próbowałam sobie wmówić, że nigdy nie porzuci bogactwa i dostatku Ameryki dla terroru i wojny siejących spustoszenie w Europie, ale coraz częściej o tym wspominał. Choć żyliśmy razem, rzadko za cokolwiek płacił

i zaczęłam podejrzewać, że poważnie podchodził do tych planów. Może rzeczywiście nie dbał o swoje bezpieczeństwo i wygodę.

– A cóż innego mielibyśmy robić? – zapytałam. – Nie jesteśmy żołnierzami. Nie umiem strzelać.

– Ludzie, którzy dołączają do ruchu oporu, najczęściej nie umieją strzelać – odparł. – Nie musisz być żołnierzem, żeby nauczyć się posługiwać bronią i walczyć w obronie tego, w co wierzysz.

– Ty możesz sobie na to pozwolić, ale ja utrzymuję córkę i męża, mam też krewnych w Niemczech...

– Ba! – przerwał mi, krzywiąc się z obrzydzeniem. – Twoi niemieccy krewni na pewno krzyczą: „Heil Hitler!” i patrzą bezczynnie na deportacje Żydów. – Dopił whiskey. W ostatnim czasie nieustannie sączył Johnniego Walkera – zaglądał do kieliszka zdecydowanie za często. – Myślałem, że jesteś Amerykanką – dodał złośliwie. – A mimo to, ilekroć wspominam o wojnie, zachowujesz się tak, jakbyś wyjechała z Niemiec nie dalej jak wczoraj.

– Jestem Amerykanką – odparłam. Byłam zbyt zmęczona pracą i gotowaniem dla naszych przyjaciół, żeby się z nim kłócić. Zdawał się nie rozumieć, że uważałam się jednocześnie za Amerykankę i Niemkę. Nie musiałam wybierać tylko jednej narodowości. Przypuszczałam, że celowo to ignorował. – Ameryka obecnie nie prowadzi wojny.

– Jeszcze nie. – Gwałtownie odstawił szklankę na stół. – Ale to się wkrótce zmieni. Dobrze, rób, co chcesz.

Sprzedawaj się dalej w Hollywood. Ale mnie nic nie powstrzyma. – Rzucił się na kanapę.

Wiedziałam, że spędzi na niej noc, upijając się do nieprzytomności. Poczułam ulgę. W takich chwilach nie mogłam go znieść, a ponieważ Heidede słyszała ze swojego pokoju każde nasze słowo, nie chciałam się z nim kłócić i pospiesznie wycofałam się do sypialni. Leżałam w łóżku, słuchałam jego chrapania i zastanawiałam się, dlaczego trwam w tym związku. Gabin był uparty i buńczuczny, nienawidził wszystkiego i wszystkich. Wywrócił moje życie do góry nogami. Wiedziałam, że w końcu i mnie znienawidzi.

Albo ja znienawidzę jego.

Sama ta perspektywa mnie przerażała. Rano, przed wyjściem do studia, zrobiłam mu śniadanie i złożyłam jego ubrania, które jak zwykle rozrzucał, gdzie popadło. Był pogrążony we śnie i cuchnął whiskey. Wypił całą butelkę Johnniego Walkera. Postanowiłam nie kupować kolejnej – bałam się, że jeżeli dalej będzie pił w tym tempie, nigdy nie zrealizuje swoich celów. Musiałam go obudzić. Zaczął coś mamrotać, ignorując moje czułe słówka, po czym ruszył chwiejnym krokiem do łazienki.

Tamtego wieczoru wróciłam do domu później niż zwykle, bo odwiedziłam Remarque’a, który znowu wpadł w szpony depresji. Gabin powitał mnie napadem szału.

– *Putain*! – wrzasnął, wylewając na mnie zawartość swojej szklanki. – Czekam na ciebie cały wieczór. Gdzieś ty się podziewała? Pewnie spotkałaś się z tym żałosnym

niemieckim pisarzem. Albo z tym amerykańskim mułem Wayne’em. A może z kimś innym? *Assez*! Mam tego dość. Albo oni, albo ja. Decyduj.

Alkohol spływał po moim kaszmirowym płaszczu. Kompletnie zaskoczył mnie ten wybuch i dopiero po pewnym czasie zrozumiałam, że nie miał on nic wspólnego ani z Wayne’em, ani z Remarkiem. Ordynarne, prostackie zachowanie Gabina tak mnie rozwścieczyło, że wykrzyknęłam pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy:

– To mój dom i moje życie! Będę się spotykała, z kim tylko zechcę.

Jego dłoń wystrzeliła w górę. Nie zdążyłam się uchylić: spoliczkował mnie. Zamarłam. Przez chwilę nie docierało do mnie, co się właśnie wydarzyło. Ale nagle zacisnęłam pięść i uderzyłam Gabina w twarz. Mocno. Zatoczył się, a potem z wściekłością rzucił się w moją stronę. Nagle rozległ się krzyk: Heidede stała w drzwiach swojego pokoju.

– Nie! Przestańcie!

Gabin znieruchomiał, a ja podbiegłam do swojej siedemnastoletniej córki i mocno ją przytuliłam.

Spojrzał na nas z przerażeniem. Był rozczochrany, zgarbiony i wyglądał jak zagubione dziecko. Po chwili wyjąkał:

– Dość. Nie mogę... nie mogę tak dłużej. Ja... muszę wracać do Francji.

Piekł mnie policzek. Czułam pod skórą pulsujący ból. Wiedziałam, że powinnam przyłożyć do twarzy lód, bo

z samego rana miałam zaplanowaną charakteryzację.

– Wracaj – rzuciłam. – Wracaj do Francji. Natychmiast.

Zaprowadziłam Heidede do łóżka i próbowałam ją uspokoić. Zapewniałam, że nic się nie stało i że to zwykła, nic nieznacząca kłótnia. Córka płakała, ja też ledwo powstrzymywałam łzy i czułam narastającą pustkę w sercu. Dotąd zdarzyło mi się tylko uderzyć von Sternberga, który nigdy nie śmiałby odpowiedzieć tym samym. Zrozumiałam nagle, że związek z Gabinem nie miał już przyszłości. Musiał się zakończyć – dla dobra nas obojga. Mimo tego, co się stało, nadal nie potrafiłam go za to winić. Winiłam wojnę, narodowych socjalistów i potworną frustrację, z którą zmagał się Gabin. Kiedy usłyszałam, jak wyszedł bez słowa, nawet nie próbując mnie przeprosić, zaczęłam łkać.

Następnego ranka zatelefonowałam do wytwórni i uprzedziłam, że w związku z chorobą nie pojawię się w pracy. Następnie obdzwoniłam Jeana Renoira i wszystkich pozostałych znajomych Gabina, który – jak się dowiedziałam – nie przyszedł na plan zdjęciowy, ale zjawił się później w mieszkaniu Renoira. Zdążył wytrzeźwieć i uświadomił sobie, co zrobił. Przez telefon błagał mnie o wybaczenie, ale jednocześnie oznajmił, że nie może do mnie wrócić. Prosił, żebym przesłała mu jego rzeczy. Obiecałam, że spełnię prośbę, ale nie chciałam rozstać się z obrazami i akordeonem. Gabin zaśmiał się cicho i powiedział:

– *Ma Grande*. Musisz je zatrzymać. Oddasz mi je, kiedy spotkamy się w wolnym Paryżu.

Ku swojemu przerażeniu wyszeptałam:

– Proszę, nie zostawiaj mnie.

– Nie. Wcale tak nie myślisz. Wydaje ci się, że tego właśnie pragniesz, ale to nieprawda. Tylko się ranimy. Zachowuję się jak mój ojciec. Jak pijane zwierzę. Nigdy nie byłem zazdrosny. Nie lubię człowieka, którym się przy tobie stałem.

Łkałam. Błagałam. Zapomniałam o dumie, o godności. On jednak był silniejszy ode mnie, a pośród przerażającej pustki, którą zostawił w moim sercu, zrozumiałam wreszcie, dlaczego tak bardzo go pragnęłam.

Był jednym z niewielu mężczyzn, którzy mogli ode mnie odejść.

Pod koniec 1941 roku załamał się mój świat. Straciłam Gabina. Tęskniłam za nim tak bardzo, że nie zwróciłam nawet uwagi na słabe wyniki *Wysokiego napięcia*. Zaniepokojony Eddie ostrzegł, że powinnam ostrożniej dobierać kolejne propozycje, żeby nie zmarnować potencjału zbudowanego na nowo rolą w *Destry znowu w siodle*. Potrzebowałam jednak pieniędzy. Zbyt wiele wydałam na Gabina, musiałam nadal utrzymywać Remarque’a, Rudiego i Tamarę, a Heidede, kiedy zapytałam ją o plany, oznajmiła, że chce pójść w moje ślady i zostać aktorką.

Kiedy to usłyszałam, niemal straciłam nad sobą panowanie. Miałam ochotę jej przypomnieć, jak wygląda życie aktorki. Czy nie wychowywała się właściwie bez matki? Czy nie widziała na własne oczy, jak spędzam długie

godziny na planie filmowym i poświęcam życie prywatne po to, by moje nazwisko znalazło się na afiszach? Aktorstwo było ostatnią rzeczą, jakiej bym jej życzyła, postanowiłam jednak trzymać język za zębami. Pamiętałam własną determinację, pamiętałam, że gwałtowne protesty Mutti tylko nas od siebie oddaliły. Uznałam, że skoro Heidede wybrała tę drogę, powinna doświadczyć na własnej skórze wszystkich wyzwań i wyrzeczeń, jakie się z nią wiązały. Wiedziałam, że wkrótce się przekona, jak trudnym zawodem jest aktorstwo. Nakłoniłam ją, by zapisała się na warsztaty Jacka Gellera, i wynajęłam jej kawalerkę w pobliżu szkoły. Byłam przekonana, że zajęcia ostatecznie ją zniechęcą i uzmysłowią jej, jak trudna jest ta branża. Oznaczało to jednak, że musiałam na razie pokrywać wszystkie związane z tą decyzją wydatki.

Przyjęłam rolę w komedii *The Lady Is Willing*: miałam grać aktorkę teatralną, która znajduje porzucone dziecko. Na planie potknęłam się o stertę kabli i złamałam kostkę, więc do końca zdjęć musiałam nosić gips i leżeć na kanapie w przezroczystej białej sukni. Wieści o moim wypadku trafiły na pierwsze strony gazet – poświęcono mu dużo więcej miejsca niż samemu filmowi, który przeszedł kompletnie bez echa.

Siódmego grudnia Japończycy dokonali ataku na Pearl Harbor, a ten akt bezprecedensowego okrucieństwa położył kres amerykańskiej apatii. Przypomniało mi się dzieciństwo, rozgrywająca się na naszych oczach tragedia wielkiej wojny i poczucie straty. Ilekroć czytałam gazety,

miałam ochotę krzyczeć z rozpaczy. Wiedziałam, że Gabin nie zdoła dłużej pozostawać bezczynny i grać w filmach, które nic dla niego nie znaczyły. Doskonale go rozumiałam.

Chcąc oszczędzić trochę pieniędzy i porzucić wspomnienia, wyprowadziłam się z domu w Brentwood i wróciłam do swojego dawnego hotelowego domku. Remarque pojawił się wkrótce przed moimi drzwiami i z zadowoleniem przyjął wieści o rozstaniu z Gabinem. Doradzał mi w kwestii scenariuszy, które dostawałam, i próbował wskrzesić nasz romans – ja jednak nie byłam tym zainteresowana. Ostatecznie zniknął, skończył powieść i ożenił się z aktorką Paulette Goddard.

Miałam wkrótce skończyć czterdzieści lat. Dietrich, zmysłowa i pewna siebie kusicielka, prześladowała mnie jak negatyw na stole montażowym. Postać, którą wykreowałam, nie mogła mnie uratować przed realiami życia w Hollywood. Starzałam się, żyjąc w świecie, który karmił się młodością. Nie potrafiłam uciec od marnych filmów, nijakich recenzji i obojętności widzów. Po raz kolejny znalazłam się na krawędzi. Nie wiedziałam, co robić i do kogo się zwrócić.

Przypomniałam sobie słowa Rudiego: „Samotne starzenie się to kara, której nikomu bym nie życzył. Zwłaszcza tobie”. Jeszcze nigdy nie czułam takiej rozpaczy.

W sylwestra zadzwoniłam do mojego męża do Nowego Jorku i długo łkałam w słuchawkę. Rudi wielokrotnie zapewniał mnie o swojej miłości, ale ja nosiłam w sobie

pustkę. Nie potrafiłam spojrzeć za siebie i nie śmiałam wybiegać myślami w przyszłość.

Nigdy nie przypuszczałam, że doświadczę takiej samotności.

ROZDZIAŁ DRUGI

Miała lekko wytrzeszczone niebieskoszare oczy, oddech pachnący nikotyną i wybuchowy temperament. Wiele o niej słyszałam, ale poznałyśmy się dopiero teraz. Wyciągnęła rękę i powiedziała swoim słynnym szorstkim głosem:

– Jestem Bette Davis. Słyszałam, że też z całego serca nienawidzisz szkopów. To prawda?

Był 1942 rok, a ja pracowałam na planie *Pittsburgha*, trzeciego filmu, w którym występowałam u boku Johna Wayne'a, kreując postać kobiety romansującej z dwoma górnikami. Jednego z nich grał kochanek Cary'ego Granta, mój przyjaciel Randolph Scott. Przyjęłam tę propozycję, żeby pojawić się u boku Johna, którego sława i pozycja rozwijały się w szaleńczym tempie. Obraz ten miał też patriotyczny wydźwięk: akcja koncentrowała się na wątku produkcji stali w Pittsburghu, mieście stanowiącym ważne ogniwo amerykańskich działań wojennych.

Nie opuszczały mnie smutek i żal. Gabin wyjechał wreszcie do Francji – zamierzał dostać się tam przez Maroko – i planował dołączyć do ruchu oporu. Zabrał ze sobą wszystkie pieniądze, które zarobił w Hollywood. Kiedy zadzwonił, żeby mi o tym powiedzieć, poprosiłam, żeby pozwolił mi sobie towarzyszyć do Nowego Jorku. Spędziliśmy tam tydzień, zwiedzając miasto i dzieląc pokój hotelowy, później zaś odprowadziłam go na statek. Po jego wyjeździe poszłam się wypłakać Rudiemu. Nadal nie

potrafiłam przyznać, że się zakochałam, ale zachowanie mojego męża wskazywało na to, że podobnie jak Remarque poczuł ulgę. Nie zadawał żadnych pytań, ale moja rozpacz stanowiła zapewne wystarczający dowód na to, że to uczucie mogłoby zagrażać naszemu małżeństwu – nawet jeśli w głębi serca wiedziałam, że nie jesteśmy z Gabinem dla siebie stworzeni. Tamara starała się nam nie przeszkadzać, ale postanowiłam skrócić pobyt. Choroba postępowała, a ja nie chciałam pogarszać jej stanu, skupiając na sobie uwagę Rudiego.

Kiedy wróciłam do Los Angeles, Hollywood opłakiwało właśnie aktorkę Carole Lombard, żonę Clarka Gable'a. Zginęła w katastrofie lotniczej, kiedy podróżowała po kraju, sprzedając bony wojenne. Spotykałam Carole podczas różnego rodzaju imprez organizowanych przez wytwórnię i doceniałam jej krzykliwą urodę. Przystawiałam się nawet do niej, na co zareagowała z rozbawieniem. „Gdybym szukała kobiety – zapewniła – byłabyś moim pierwszym wyborem". Gable pogrążył się w rozpaczy, a śmierć Carole, naszej pierwszej ofiary wojennej, pokazała, że nawet hollywoodzkie gwiazdy nie są wolne od skutków tego kataklizmu.

A teraz stała przede mną słynna Bette Davis, pierwsza kobieta, której powierzono stanowisko przewodniczącej Amerykańskiej Akademii Filmowej. Choć przegrała głośną batalię z Warner Bros. i nie zdołała zerwać kontraktu z wytwórnią, stała się promykiem nadziei dla aktorek na całym świecie. Jej radykalne poglądy dotyczące kwestii

równouprawnienia w branży filmowej sprawiały, że dyrektorom wielkich firm żołądki podchodziły do gardeł.

– Sama jestem szkopką – odparłam. – I nie czuję nienawiści do wszystkich moich rodaków. Nie każdy Niemiec popiera narodowych socjalistów.

Bette rozważała przez chwilę moje słowa. Siedziałyśmy w chmurze dymu: w ciągu tych kilku minut zdążyła już wypalić sześć papierosów. Patrząc, jak się zaciąga, przypomniałam sobie, że kiedy podpisała swój pierwszy kontrakt, wytwórnia założyła, że nigdy nie zagra roli pierwszoplanowej. Miała zbyt ostre rysy, kościstą sylwetkę i bez przerwy paliła – czułam się przy niej jak uosobienie wstrzemięźliwości – co wysuszało jej skórę. Stanowiła zaprzeczenie ideału kobiecego piękna i wdzięku. Te cechy wydawały się w jej przypadku nieistotne, bo miała coś, o czym wielu marzyło: nieodparty magnetyzm. Choć była o sześć lat młodsza ode mnie, zdążyła już zdobyć dwa Oscary. Nie dała się zaszufladkować i szukała ciekawych, ambitnych ról, których ja nigdy nie odważyłabym się przyjąć.

– Ale ty ich nienawidzisz – powiedziała, lekko do mnie mrugając. Nagle nonszalancko wypluła odrobinę tytoniu. Zdecydowanie nie była damą. Podziwiałam ją za to. – Słyszałam, że *mein Führer* próbował skłonić cię do powrotu do Niemiec, oferując ogromne honorarium i współpracę z dowolnym reżyserem, którego wybierzesz. A ty odmówiłaś.

– To nie on złożył mi tę propozycję – wyjaśniłam. Ja również postanowiłam zapalić, ale zanim zdążyłam sięgnąć po sprezentowaną mi przez Johna zapalniczkę Cartiera z monogramem, Bette mnie wyręczyła. – Zrobił to jego minister propagandy. Poza tym wskazałam reżysera. Nie byli zachwyceni tym wyborem.

Zarechotała. Miała ostry śmiech, gwałtowny jak uderzenie gongu.

– Zakładam, że chodziło o von Sternberga?

Uśmiechnęłam się.

– A o kogóż by innego?

– Co za sukinsyny. Z jednej strony oni, z drugiej Japońce. Jeśli niedługo czegoś nie zrobimy, będziemy nosili kimona i całowali Hitlera w dupę. Roosevelt ma pełne ręce roboty, ale nie może dłużej ignorować wojny w Europie. Straciliśmy już Francję, Polskę, Czechosłowację, Belgię, Norwegię, Grecję i Holandię. Niemcy przeprowadzają naloty na Londyn, a faszyści we Włoszech i w Hiszpanii weszli z nimi w sojusz. Słyszałaś, co się dzieje z Żydami? – zapytała niespodziewanie.

Przełknęłam ślinę.

– Podobno są deportowani do gett.

– Nie chodzi tylko o getta. – Bette zgasiła papierosa i natychmiast zapaliła kolejnego. – Mówi się też o obozach. Ale nie takich, w których internowaliśmy Amerykanów japońskiego pochodzenia, co już i tak było przecież koszmarem. To obozy pracy, w których Niemcy wykorzystują Żydów jako darmową siłę roboczą. Wolna

Francja przekazuje informacje na ten temat, ale nikt nie zwraca na nie uwagi. A tymczasem znikają tysiące ludzi. To oburzające.

Przygryzłam dolną wargę.

– To prawda.

– Musisz coś zrobić. – Uderzyła drobną pięścią w toaletkę, a moje kosmetyki podskoczyły i zagrzechotały. Krzątająca się w kącie pokoju Betsy stłumiła śmiech. Zawsze bawiły ją gwiazdy, które odwiedzały moją garderobę. – Jesteś teraz Amerykanką niemieckiego pochodzenia. Gdybyśmy mieli cię po swojej stronie, to byłby bardzo mocny przekaz. Świat dowiedziałby się, że Hollywood obchodzi to, co dzieje się w Europie.

– A obchodzi? – zapytałam.

– Oczywiście, że nie. Żadna z wytwórni nie kiwnie nawet palcem, żeby uratować paru Żydów. Zatrudniają tych, którym udaje się tu dotrzeć: tworzą muzykę do filmów, montują, piszą scenariusze albo reżyserują. Ale prowadzą też własny obóz: „Zatrudnij Tanio Żyda”.

Zachichotałam.

– A co miałabym dokładnie robić w waszym zespole?

– Wspomóc nasze działania. Uzgodniłam z Hollywood Canteen, filią United Service Organizations, że będziemy zapewniali rozrywkę żołnierzom wyruszającym na front. Mogłabyś nas wesprzeć. Biorą w tym udział Dorothy Lamour i Norma Shearer, a nawet ta nadęta Claudette Colbert. Dlaczego i ty nie miałabyś z nami współpracować? – Zamilkła na chwilę, przyglądając się mojej zapalniczce. –

Chyba że jesteś zbyt zajęta kręceniem marnych filmów z tym idiotą.

– John wcale nie...

Machnęła ręką, rozrzucając wokół siebie popiół.

– Daj spokój. Ledwo udaje mu się przeczytać scenariusze, które dostaje. Wszyscy wiedzą, że jest głupi jak but. Chociaż słyszałam, że jest całkiem nieźle zbudowany. – Spojrzała na mnie znacząco.

– Nie mam zielonego pojęcia – oznajmiłam. – Zapytamy go?

– Lubię cię. Hemingway mówił, że fajna z ciebie babka. Nie obchodzi mnie, z kim się pieprzysz, sama powinnam pewnie częściej się pieprzyć ze swoimi partnerami filmowymi. Ale chcę cię mieć w swoim zespole. Jak mogę cię przekonać? – Nagle jej dłoń znalazła się na moim kolanie. – Zrobię wszystko – szepnęła.

Zerknęłam na jej palce, a potem powoli przeniosłam wzrok na twarz.

– Nie wydaje mi się, żeby to było konieczne. Powiedz tylko, gdzie i kiedy mam się zjawić.

Uśmiechnęła się.

– No tak. Żadna ze mnie Garbo. Ale i tak bym się z tobą przespała.

Nie wątpiłam w to. Wiedziałam też, że gdyby była w moim typie, okazałaby się najlepszą kochanką, z jaką kiedykolwiek przyszło mi się spotkać.

Uznałam, że propozycje Bette nie mogą mi zaszkodzić. Na takie działania decydowało się wiele gwiazd – część z nich

robiła to z potrzeby serca, inne pod wpływem wytwórni, zabiegających o dodatkową reklamę. Zastanawiałam się, czy nie powinnam zadzwonić do Rudiego, by się w tej sprawie skonsultować, ale ostatecznie zdecydowałam, że nie potrzebuję jego pozwolenia, by postąpić, jak należy.

Włożyłam spodnie i prostą białą koszulę, ukryłam włosy pod chustą, a następnie wyruszyłam w drogę z torbami pełnymi szynek i świeżo upieczonego przeze mnie strudla. Wkrótce dotarłam do siedziby Hollywood Canteen przy Cahuenga Boulevard 1451.

Bette zachichotała na mój widok.

– Zamierzasz żonglować?

– Nie – odparłam. – Ale umiem grać na pile. Czy to wystarczy?

– Spróbuj, śmiało – odpowiedziała, a ja dołączyłam do reszty osób, które przygotowywały w kuchni posiłki.

Chłopcy w mundurach – bo rzeczywiście byli to chłopcy, tak młodzi i rumiani, że nie wyobrażałam sobie, by mogli robić cokolwiek poza uganianiem się za dziewczętami – i służące w wojsku kobiety z niekłamanym zachwytem powitali mnie, Bette, Dorothy, Normę, Claudette, Mae West i inne podające jedzenie aktorki. Bardzo mnie to wzruszyło. Dołączyli do nas też John, Gary, Randolph i Cary oraz wielu innych hollywoodzkich gwiazdorów. Bette zwerbowała do pomocy najbardziej znane postaci branży filmowej, zarażając je niesłabnącym entuzjazmem i optymizmem: „Do roboty, dzieciaki!”. Jej zaangażowanie w sprawę budziło mój najgłębszy podziw. To była rola życia, a ona poświęcała

długie godziny na to, by nasi chłopcy nacieszyli się hollywoodzkim blichtrem. Podpisywaliśmy też zdjęcia, które Bette wręczała każdemu żołnierzowi przekraczającemu próg kantyny.

Pewnego wieczoru, po występie Rosalind Russell, wojskowi zaczęli uderzać sztućcami w stoły i skandować:

– Marlena! Marlena!

Byłam właśnie na zapleczu i szorowałam garnki w towarzystwie oszałamiająco pięknej aktorki Avy Gardner, której wspaniała uroda i zielone oczy żywo kontrastowały z ostrym językiem: klęła jak szewc. Śmiałyśmy się właśnie z pierwszej roli, jaką zaproponowało jej MGM: miała zagrać elegancką bywalczynię salonów.

– Chcą mnie obsadzić w pieprzonym musicalu jak jakąś Judy Garland. Nie umiem śpiewać tak jak wy, dziewczyny – oznajmiła z rozbawieniem. – Będą chyba musieli mnie zdubbingować. Każdy sobie jakoś radzi, co? – Zamilkła na chwilę. – Hej, chyba cię wołają.

Zaczęłam nasłuchiwać, a w tej samej chwili do kuchni wpadła Bette.

– Zdejmuj tę siatkę z włosów i rusz tyłek. Chcą, żebyś zaśpiewała *Falling in Love Again*.

Ava przewróciła oczami i posłała mi znaczące spojrzenie.

– Nie możesz uciec przed tym kawałkiem, co?

Szturchnęłam ją, a ona się roześmiała. Pospiesznie zdjęłam siatkę z włosów i ruszyłam za Bette. Gwałtownie się zatrzymałam, słysząc krzyki i oklaski. Stojąca na scenie

Rosalind, ubrana w srebrną suknię odsłaniającą wspaniałe nogi, skinęła na mnie i zawołała do mikrofonu:

– Panie i panowie, oto państwa kucharka, Marlena Dietrich!

Kiedy wyszłam na scenę, ogłuszona wrzaskami i wiwatami, Rosalind szepnęła mi do ucha:

– Uprzedziłam orkiestrę.

Zeszła ze sceny, zostawiając mnie samą, z podciągniętymi do łokci rękawami i rozwichrzonymi lokami.

– Marlena! Marlena!

– Ciii, *Liebchens* – zamruczałam do mikrofonu. – Dziewczyna może się przy was poczuć naprawdę onieśmielona. – Kiedy rozległy się pierwsze akordy, poprosiłam o krzesło, a jeden z chłopców zajmujących miejsce w pierwszym rzędzie zerwał się na równe nogi i do mnie podbiegł. Usiadłam okrakiem i podciągnęłam spodnie, odsłaniając łydki. Zapadła cisza, ich twarze zlały się ze sobą, a ja, ledwo powstrzymując łzy, śpiewałam dla nich tak, jak mogłam najlepiej: wykonałam swój popisowy numer z *Błękitnego anioła*, piosenki z *Maroka*, *Blond Venus, Siedmiu grzeszników, Destry znowu w siodle* i *Diabeł jest kobietą*. Jedynym rekwizytem, z którego korzystałam, była moja chusta, którą machałam wokół głowy i przeciągałam po ramionach tak, jakbym kąpała się w brokacie. Kiedy skończyłam, zdyszana i spocona, spojrzałam na publiczność i wyrecytowałam swoją ulubioną kwestię z *Siedmiu grzeszników*: „O, proszę. Marynarka wojenna. Czy ktoś mógłby mnie poczęstować amerykańskim... papierosem?”.

Chłopcy oszaleli. W moją stronę posypały się dziesiątki papierosów.

Kiedy sięgnęłam po jednego z nich, wszyscy mężczyźni siedzący przy najbliższych dwunastu stołach doskoczyli do mnie z zapalniczką. Na ich twarzach malowała się ekstaza. W pewnej chwili usłyszałam szept:

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Marleno Dietrich.

Tamtej nocy, po zamknięciu kantyny, Bette przytuliła mnie, a ja zaczęłam łkać. Nie wiedziałam dlaczego. Owszem, poruszył mnie widok tych młodych, pełnych życia mężczyzn, którzy mieli wkrótce wyruszyć na front, walczyć i ginąć – tak samo jak niemieccy chłopcy. Płakałam też z innego powodu. Czułam nieokreślony żal, którego nie potrafiłam nazwać. Nagle zalała mnie potężna fala: wszystkie lata nadziei i rozczarowań, wzlotów i upadków, Gabin i cała ta absurdalna huśtawka, jak to nazwał von Sternberg.

– No już, już. – Bette delikatnie mnie kołysała. – Nie wiedziałam, że masz taki naturalny talent. Filmy to nic. Twoje miejsce jest na scenie.

– Tak sądzisz? – Podniosłam wzrok i spojrzałam na nią. Od dawna nie występowałam na żywo, bez kostiumów i akompaniamentu, bez kamer i sztuczek z oświetleniem. Zastanawiałam się, czy brzmiałam jak Dietrich, czy raczej jak szwabka w średnim wieku.

– Nie kokietuj. Słyszałaś te oklaski. Nie mogli oderwać od ciebie oczu. – Zachichotała. – Nawet Rosalind wychwalała cię pod niebiosa, a wierz mi, niełatwo zrobić na niej

wrażenie. Dlaczego nie wystąpisz o przepustkę od USO? Powinnaś dać tym chłopcom to, czego potrzebują. Gdybym miała taki dar jak ty, sama bym to zrobiła – dodała, unosząc spódnicę. – Ale kto chciałby oglądać takie kurze nóżki?

Nagle doznałam objawienia. Choć miałam zagrać w produkowanej przez MGM ekstrawaganckiej produkcji osadzonej w świecie arabskim, w tamtej chwili miałam tylko jedną ambicję:

Chciałam wspierać swoją przybraną ojczyznę najlepiej, jak potrafiłam.

ROZDZIAŁ TRZECI

Choć Amerykanie w pełni zaangażowali się w wojnę dopiero po tym, co wydarzyło się w Pearl Harbor, Stany Zjednoczone zapewniały europejskim krajom wsparcie militarne już od 1941 roku, kiedy Niemcy wypowiedziały nam wojnę.

Rozważając możliwość występów dla amerykańskich oddziałów, martwiłam się głównie o ewentualne skutki, jakie taka decyzja spowodowałaby w Berlinie. Była to otwarta deklaracja, której nie zdołałabym już cofnąć. Powtarzałam sobie, że nikogo z moich krewnych do tej pory nie aresztowano, choć prowokowałam na rozmaite sposoby. Nie mogłam się dłużej ukrywać – nie w sytuacji, w której Hitler siał spustoszenie w Europie. Choć bałam się, że takie działania mogą zaszkodzić moim bliskim, musiałam zająć oficjalne stanowisko, jako osoba publiczna i jako Niemka. Przez wiele lat starałam się chronić swoją rodzinę i karierę, zachowując milczenie. Nie potrafiłam tak dłużej żyć. Wiedziałam, że trzymając się z boku, akceptuję to, czego całym sercem nienawidzę: uczestniczyłam w tej rzezi jako bierny obserwator, bojący się jakichkolwiek działań.

Na początku 1944 roku pojechałam do Nowego Jorku i złożyłam odpowiednie podanie w United States Entertainment Organization. W efekcie wystąpiłam przed tysiącem dwustu żołnierzami w Fort Meade. Skończyłam właśnie zdjęcia do wyprodukowanego przez MGM *Kismet*,

gdzie wykonałam niewiarygodny taniec – mój pierwszy i ostatni taniec zarejestrowany przez kamerę filmową – owinięta arabskimi chustami i pokryta taką ilością złotej farby do ciała, że moje nogi stały się niemal zielone. Pracowałam w kantynie w swoim kostiumie z planu, a Bette mnie zrugała, bo żołnierze wpadli w kompletny amok, przyjechała policja i oskarżyła nas o prowokowanie zamieszek. Wzięłam też udział w niezwykłej produkcji Orsona Wellesa stworzonej dla Universalu: filmie muzycznym *Za wami, chłopcy*, w którym wystąpiło wiele hollywoodzkich gwiazd, a ja w jednym z numerów pozwoliłam się Orsonowi przeciąć piłą. Na koniec wytwórnia zgarnęła wszystkie zyski z pokazów.

Bette wpadła w szał.

– Chciwe sukinsyny. Historia zapamięta ich jako kolaborantów. Wykorzystaliby samego Hitlera, gdyby zgodził się podpisać z nimi kontrakt.

Obawiałam się, że nikogo nie będzie obchodziła skandaliczna postawa amerykańskich wytwórni filmowych, ale mnie też zbulwersowało to na tyle, że podjęłam ostateczną decyzję i postanowiłam wyruszyć w trasę samodzielnie. Bette dodawała mi otuchy, a Orson udzielił błogosławieństwa i pozwolił wykorzystywać ten wspaniały numer. Spakowałam trzy suknie w cielistym kolorze, zarazem śmiałe i praktyczne (nie wymagały prasowania), po czym wyruszyłam w drogę, by olśniewać żołnierzy. Ich radosne okrzyki i wiwaty poniosły mnie aż na Manhattan.

Moja córka postanowiła tymczasem wyjechać i zamieszkać z Rudim. Heidede nadal nie porzuciła marzeń o karierze aktorskiej. Mimo całej mojej determinacji, uwagi, którą jej poświęcałam, i nadziei, że nauka rzemiosła ostudzi jej entuzjazm, długie godziny spędzane na planie filmowym i wieczory w kantynie uśpiły moją czujność. Przeoczyłam romans, w który wdała się z jednym z kolegów z zajęć. Dowiedziałam się o wszystkim dopiero wtedy, gdy poinformowała mnie o zaręczynach. Nie słuchała moich argumentów, zresztą to, co mówiłam, nie miało żadnego znaczenia: nie zważała na moje protesty. Chłopak, z którym się związała, wydawał mi się kompletnie nieciekawy, mało utalentowany i pozbawiony przyszłości, wątpiłam zresztą, czy Heidede rzeczywiście go kocha. Wydawała się zagubiona i zdezorientowana. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, ale Heidede była nie mniej uparta ode mnie. Nie zjawiliśmy się z Rudim na ślubie, ale odwiedziłam ich mieszkanie, kiedy wyjechali w podróż poślubną. Kazałam tam przewieźć część mebli, które przechowywałam w magazynie, i wyszorowałam każdy kąt, od parapetów aż po podłogi. Kiedy zjawiłam się tam nieumalowana, w fartuchu i chuście, dozorca wziął mnie za służącą i wręczył mi dwa dolary, sugerując, żebym poszukała pracy u pozostałych lokatorów. Pomyślałam, że Mutti byłaby ze mnie dumna: najwyraźniej nie zapomniałam, jak się woskuje podłogi.

Sześć miesięcy później Heidede – a raczej Maria, bo tak teraz kazała się nazywać – przyznała, że popełniła błąd,

wychodząc za mąż. Wniosła sprawę o rozwód. Kiedy ją o to zapytałam, odpowiedziała krótko: „Nie chcę na ten temat rozmawiać. Zapomnijmy, że to się kiedykolwiek zdarzyło”.

Zachęcaliśmy ją z Rudim, żeby kontynuowała naukę w Nowym Jorku. Tłumaczyliśmy, że w Hollywood zawsze będzie żyła w moim cieniu i że powinna opanować rzemiosło aktorskie. Tak naprawdę oboje mało wierzyliśmy w jej szanse na zrobienie kariery w czasie wojny.

Rozumiałam milczenie Heidede, bo sama nie miałam ochoty rozmawiać o przyczynach, dla których zrezygnowałam z występów na Broadwayu. Propozycja zagrania w sztuce *Dotknięcie Wenus* powinna przecież sprawić mi wielką radość. Producenci spektaklu zabiegali o mnie. Muzykę skomponował Kurt Weill, który miał już za sobą trudny okres spędzony w Paryżu i odnosił teraz sukcesy w Ameryce. Rola wydawała się wprost stworzona dla mnie: posąg Wenus nagle ożywa, tylko po to, by przekonać się, że życie śmiertelników nie wygląda tak, jak się spodziewała. Weill złożył mi wizytę i z ogromnym entuzjazmem próbował przekonać mnie do udziału w tym przedsięwzięciu. Wszystko zostało zaplanowane z myślą o mnie. „Nie nagrałaś piosenek, które napisałem dla ciebie w Paryżu – zauważył. – Ale teraz miałabyś wiele nowych utworów i święciłabyś triumfy na Broadwayu”.

Wkrótce jednak przekonałam się, że to właśnie ta mnogość stanowiła problem. Nie występowałam na scenie od piętnastu lat, a proponowana rola wymagała umiejętności muzycznych i skali, której po prostu nie

posiadałam. Postać, którą miałam grać, okazała się też zbyt uwodzicielska – nawet jak na moje standardy. Choć niechętnie to sama przed sobą przyznawałam, nie byłam już Lolą Lolą. Weill wpadł w szał, kiedy odmówiłam i wytłumaczyłam, że muszę się wywiązać ze swoich patriotycznych obowiązków. Na moje miejsce zatrudniono Mary Martin, która oczarowała widownię.

Nie żałowałam. Czekając, aż FBI mnie prześwietli i udzieli zgody na moją misję dla USO, odebrałam telegram od Gabina. Dotarł do Algierii, a ponieważ nie mógł przedostać się do Francji, dołączył do pułku pancernego Wolnej Francji. Niemieckie czołgi były dla aliantów cennymi łupami. „*Ma Grande* – napisał. – Jestem naprawdę szczęśliwy”. Jego telegram dotarł do mnie po wielu tygodniach, a ja nie zdążyłam mu odpisać, ale fakt, że o mnie myślał, bardzo mnie ucieszył.

Wprowadziłam się do Rudiego i Tamary, pomogłam Marii przenieść się do nowej akademii i niesiona wiadomością od Gabina, zaczęłam przygotowywać się do trasy. Odbywałam próby z moim akompaniatorem, komikiem Dannym Thomasem. Nauczył mnie nawiązywać kontakt z kapryśną publicznością, tworzyć wrażenie, że występ ma charakter spontaniczny, a przede wszystkim funkcjonować bez obecności kamer i oświetlenia. Broadway okazał się zbyt dużym wyzwaniem, ale Dietrich grałam przez całe życie. Jeśli zaś chodziło o wykonywanie na scenie moich największych hitów, wystarczyło sobie przypomnieć tamten niezwykły dzień w kantynie Bette.

Drugiego kwietnia 1944 roku wsiadłam na pokład C-54 wraz z plutonem nowych żołnierzy. Sama zostałam przed wyjazdem mianowana majorem, na wypadek gdybyśmy zostali schwytani albo gdybym wymagała opieki. Leciałam samolotem po raz pierwszy w życiu, a cel podróży ujawniono dopiero wtedy, gdy znaleźliśmy się już w powietrzu.

Zmierzaliśmy do Maroka, do Casablanki.

Uznałam, że to dobry znak.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Szarpiące samolotem burze z piorunami sprawiły, że członkowie mojej trupy kulili się ze strachu, a żołnierze wyglądali tak, jakby żałowali, że postanowili zaciągnąć się do wojska. Ponieważ ostrzegano mnie, że w samolocie może być zimno, spakowałam na drogę butelkę koniaku. Danny zwymiotował wszystko, co zdążył wypić, ale ja przyjemnie się upiłam i zabawiałam żołnierzy piosenkami i opowieściami o Berlinie sprzed wojny. Samolot gwałtownie podrywał się i opadał, a wszystkie nieprzymocowane do ścian przedmioty sunęły po podłodze. Dwadzieścia cztery godziny później, po dwóch przystankach, podczas których nabieraliśmy paliwa na Grenlandii i na Azorach, wylądowaliśmy na ciemnej płycie lotniska w pogrążonej w ciemności Casablance, gdzie siły aliantów odpierały naloty Niemców.

Kiedy dowódcy dowiedzieli się o naszym przyjeździe, zapanował lekki chaos: w związku z błędem w harmonogramie USO nie przygotowano dla nas miejsc noclegowych. Po krótkich konsultacjach, podczas których nerwowo zerkaliśmy z Dannym w kierunku zwiastujących naloty błysków, odeskortowano nas do pobliskich koszar. Mieliśmy zamieszkać zdecydowanie bliżej żołnierzy, niż dopuszczały to oficjalne regulacje.

Miejsce, w którym nocowaliśmy, okazało się niezbyt przyjazne – brudne i cuchnące, pozbawione latryn oraz

wyposażone w twarde piętrowe łóżka. Członkowie mojej trupy – Danny oraz akordeonista i pianista – byli przygnębieni i zmęczeni podróżą. Wszyscy zadawali sobie pytanie, co skłoniło ich do przyjazdu w to koszmarne miejsce. Ja tymczasem posprzątałam i zajęłam jedno z łóżek, a torbę z sukienkami i kosmetykami podłożyłam sobie pod głowę.

Nie mogłam spać z podekscytowania. Wreszcie robiłam coś wartościowego.

Nazajutrz ruszyliśmy wyboistymi, pokrytymi pyłem drogami w konwoju Czerwonego Krzyża. Odwiedziliśmy Rabat i Tanger, gdzie wystąpiliśmy dwukrotnie przed licznymi grupami wyczerpanych mężczyzn. Przyjmowano nas z zachwytem: żołnierze nie widzieli jeszcze kogoś takiego jak ja i z entuzjazmem reagowali na moje suknie z cekinami i żarty, które miałam w repertuarze. Danny ostrzegł mnie jednak, że nie powinniśmy wyciągać z tego sukcesu zbyt daleko idących wniosków.

– To tylko rezerwiści. Są tak znudzeni, że oklaskiwaliby King Konga. Zaczekaj na Algier. Mamy wystąpić w operze przed tysiącem alianckich żołnierzy, a to podobno trudna publiczność. Obrzucili Josephine Baker frankfurterkami.

Wkrótce odkryłam, że frankfurterki i kiszona kapusta to obok niezidentyfikowanego mięsa w puszce najpopularniejsze dania. Oprócz nich jadaliśmy tylko kleik i krakersy.

Opera w Algierze, mieście w dużej części obróconym w gruzy, była wypełniona po brzegi przedstawicielami

wszystkich państw alianckich – żołnierzami, którzy walczyli, ryzykowali życie i potrzebowali rozrywki, by zapomnieć na chwilę o codziennych niebezpieczeństwach.

Nieco zmodyfikowaliśmy nasz występ, tak by znalazło się miejsce na element zaskoczenia. Ale kiedy Danny wyszedł na scenę w wymiętym smokingu, dwa tysiące rozwścieczonych głosów zaczęło z niego szydzić, bo nie włożył munduru.

– Mundur? – zażartował. – Oszaleliście? Nie słyszeliście, że trwa wojna?

Udało mu się rozładować napięcie. Publiczność wybuchnęła śmiechem, a on mówił dalej:

– Miała się tu zjawić Marlena Dietrich, ale pewien amerykański oficer zajął dziś jej miejsce.

Zapadła cisza, która dowodziła, że zgromadzeni na sali mężczyźni nie wiedzieli, kto tego wieczoru wystąpi. Kiedy rozległo się buczenie, zawołałam:

– Zaraz! Chwileczkę! Jestem tu!

Pomknęłam między rzędami. Włożyłam na tę okazję mundur, podbitą futrem czapkę, a w ręku trzymałam walizkę. Dotarłam na scenę, wyjęłam z walizki jedną ze swoich sukni i zaczęłam się rozbierać.

Chłopcy ryknęli z zachwytu. Danny wepchnął mnie za obdrapany parawan i przez chwilę posyłał widzom znaczące spojrzenia. Po kilku minutach wyłoniłam się zza parawanu ubrana w suknię.

Ich wrzaski i wiwaty musiały dotrzeć nawet do Berlina.

Zaintonowałam *See What the Boys in the Back Room Will Have*. Śpiewając, czułam, jak wszyscy ci mężczyźni pochylali się łakomie w moją stronę. Ta potężna fala ciepła i rozszalałego zachwytu była kompletnie odurzająca. Nigdy czegoś podobnego nie doświadczyłam. Po czterech piosenkach, grze na pile i kolejnej zmianie kostiumu żołnierze zaczęli gwizdać i wiwatować. Dwukrotnie rozlegały się syreny alarmowe ostrzegające przed nalotami, wszyscy rzucali się na ziemię. Danny osłaniał mnie własnym ciałem i przyciskał do podłogi tak mocno, że w końcu syknęłam: „Przestań. Powybijasz mi zęby”.

Zapanował chaos. Chłopcy nieustannie domagali się kolejnych numerów. W końcu zeszłam do nich ze sceny, nie zważając na pełne niepokoju ostrzeżenia Danny’ego. Krążąc między rzędami i przystając od czasu do czasu, zaśpiewałam *Falling in Love Again*. Pod wpływem emocji co pewien czas łamał mi się głos, a po policzkach płynęły łzy.

Znowu się zakochałam. To była czwarta, najtrwalsza miłość mojego życia.

Zakochałam się w legionach, których nigdy nie poznałam, w żołnierzach rozrzuconych po okopach i plądrowanych miastach Europy. Zakochałam się w ich odwadze i mocy, w ich nieugiętej sile ducha i determinacji, z którą usiłowali ochronić nas przed niebezpieczeństwem.

A oni musieli zakochać się we mnie.

Wiele godzin później, kiedy już rozdałam niezliczone autografy i pocałunki, wróciłam do koszar, wyczerpana

i zwiotczała jak wyżęta pospiesznie ścierka. Każdy nerw mojego ciała pulsował od emocji.

– Poszło lepiej, niż się spodziewałem – podsumował nasz występ Danny.

Następnego ranka jeden z generałów zabrał mnie do pobliskiego szpitala polowego. Zobaczyłam niekończące się rzędy prycz, ciała pozbawione rąk i nóg, wyłupione oczy, rany i gnijące kończyny. Był to widok tak przerażający, że prawie zwymiotowałam, ale wdzięczność i radość malujące się na tych wykrzywionych z bólu twarzach napełniły moje serce smutkiem i determinacją. Niektórzy żołnierze ściskali moją rękę, kiedy się nad nimi pochylałam, i szeptali: „Naprawdę jesteś Marleną Dietrich?”. Ci chłopcy oddawali za nas życie. Byli naszymi wybawicielami. To wszystko, co przeszłam, co wydawało mi się trudne i bolesne – okazało się niczym w obliczu ich poświęceń i cierpienia.

Nagle jeden z nich, pozbawiony ręki Brytyjczyk o urodzie cherubina, dał mi znak i wyszeptał:

– Proszę pójść tam, do sali na tyłach szpitala. Są tam Niemcy, a pani mówi po niemiecku. Na pewno ucieszą się na pani widok.

Znieruchomiałam. Spojrzałam na generała, który powiedział:

– To prawda, w tamtej części przebywają jeńcy wojenni. Nie musi pani tego robić. Konwój rusza za godzinę...

– Nie – przerwałam mu, zaskakując samą siebie. – Ja... chcę się z nimi spotkać.

Czego się spodziewałam? Potworów z symbolami trupich czaszek? Kiedy przeszłam do drugiej sali, strzeżonej przez uzbrojonych żołnierzy, zobaczyłam takich samych chłopców. Bladych, wyczerpanych. Bandaże pokrywały ich okaleczone nogi i ramiona, poparzone twarze i pokryte bliznami ręce.

Przystanęłam przy jednym z łóżek. Ranny, który podniósł wzrok, musiał mieć nie więcej niż dziewiętnaście lat.

– Jak ci na imię? – zapytałam. Usłyszałam, jak chłopcy z sąsiednich łóżek zaczęli się podnosić, żeby na nas spojrzeć.

– Hans – powiedział słabym głosem. Prawa strona jego twarzy została zmiażdżona. Morfina powoli skapywała do jego żyły, ale był przytomny, świadomy mojej obecności. Wyczuwałam jego strach – strach, który musiał odczuwać każdy wzięty do niewoli niemiecki żołnierz – ale też zdumienie i oszołomienie młodego mężczyzny, któremu kazano walczyć za ojczyznę i honor, i który nie rozumiał, co ta walka oznacza.

– Witaj, Hans. – Dotknęłam jego ręki. – *Ich bin Marlene*.

– Ta aktorka? – rozległ się jakiś głos.

Odwróciłam się w stronę pobliskiego łóżka i zobaczyłam ciemnowłosego chłopca z piegami na policzkach, smutnymi zielonymi oczami i obiema nogami amputowanymi nad kolanem. Długa rura, którą krew skapywała do jego ramienia, wydawała się jaskrawoczerwona w zestawieniu z jego bladą skórą.

Pokiwałam głową.

Chłopak zaczął nagle nucić. Natychmiast rozpoznałam tę melodię z czasów pierwszej wojny: była to piosenka o żołnierzu tęskniącym za utraconą miłością.

Przy latarni na rogu, pod koszarami,
Będę czekać na ciebie latami.
Zatęsknimy za własnymi światami
Będę czekać na ciebie nocami.
Lili Marleen. Na ciebie, Lili Marleen...

Głos chłopca ucichł, a jego słowa rozbrzmiały we mnie echem. Utkwił we mnie udręczone zielone oczy i powiedział:

– Mówili, że nie możemy już tego śpiewać. Po Stalingradzie Goebbels uznał tę piosenkę za niepatriotyczną. – Uśmiechnął się smutno. – Ale zawsze ją lubiłem. A alianci... Myślę, że im też by się spodobała, *Fräulein*.

– Tak, myślę, że by im się spodobała – wyszeptałam łamiącym się głosem.

Podczas kolejnego przystanku, w Tunisie, zaśpiewałam *Lili Marleen* po raz pierwszy.

I śpiewałam tę piosenkę aż do wyzwolenia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Czekający na przeprawę do Włoch oddział pancerny Wolnej Francji wjechał z łoskotem na nabrzeże. Usłyszałam mówiących po francusku ludzi i natychmiast wyskoczyłam z jeepa, rozglądając się pośród potężnych żelaznych bestii.

– Gabin? – pytałam każdego mijanego człowieka. – Czy jest tu gdzieś ten aktor, Jean Gabin?

W końcu jeden z nich zawołał:

– Tam, Mademoiselle! – Nagle go zobaczyłam. Wyskakiwał właśnie z czołgu, a ja puściłam się biegiem w jego stronę.

– Co ty tu robisz?! – krzyknął, kiedy mnie zauważył.

– Idę na wojnę, tak jak ty – odpowiedziałam. – Chcę cię pocałować!

Roześmiał się, a ja rzuciłam mu się w ramiona.

– *Ma Grande* – wyszeptał, głaszcząc moje potargane włosy. – Jesteś szalona. Gdzie moje obrazy i akordeon?

– W magazynie. – Cofnęłam się i spojrzałam mu w oczy. Wyglądał na wyczerpanego i strudzonego walką, ale nie ulegało wątpliwości, że znowu stał się sobą. – Jeśli chcesz je jeszcze zobaczyć, musisz mnie najpierw pocałować.

Zawahał się, ale otaczający nas mężczyźni zaczęli wiwatować.

– Wygląda na to, że nie mamy wyboru – oznajmił.

– Owszem, nie mamy – potwierdziłam, gładząc go po twarzy.

Spędziliśmy ze sobą godzinę – tylko tyle czasu zostało mu do odjazdu. Trzymał mnie za rękę i siedzieliśmy w milczeniu przy jego czołgu, a zaintrygowani towarzysze Gabina, widząc nasze splecione dłonie, zostawili nas w spokoju. Kiedy się żegnaliśmy, objął mnie i pocałował, nie mówiąc ani słowa. Wkrótce patrzyłam, jak potężny okręt desantowy połyka kolejne czołgi niczym wieloryb i wypływa w morze. Wyszeptałam cicho modlitwę, prosząc Boga, by miał Gabina w swojej opiece.

Nie wiedziałam, czy kiedykolwiek się jeszcze zobaczymy. Ale z jakiegoś powodu przestało to mieć znaczenie.

Oboje znaleźliśmy sobie cele ważniejsze od nas samych.

Było błoto i deszcze oraz susza, był przenikliwy chłód i nieznośny skwar. Była krew, zmęczenie, ból i okrucieństwo. Żadnych limuzyn, czerwonych dywanów ani wiwatujących wielbicieli. Czegoś takiego nie powinien doświadczać żaden człowiek ani żadne zwierzę. Zdecydowałam, że nikt nie usłyszy z moich ust słowa skargi.

Musiałam porzucić większość bagażu, bo podróż przez Włochy wymagała przesiadania się w coraz mniejsze ciężarówki. Jedną z sukni, rozdartą podczas występu, powiesiłam niczym flagę na mijanym jesionie. Zachorowałam na dyzenterię i znalazłam wszy pełzające po moich włosach łonowych. Jeden z żołnierzy dał mi szczypiący płyn antyseptyczny i radził jak najczęściej się golić.

W Neapolu zaznaliśmy chwili wytchnienia. Wynajęto dla mnie dom, a ja postanowiłam skorzystać z okazji i poopalać się nago na balkonie. Dowiedziałam się później, że żołnierze rzucili się biegiem na okoliczne dachy, ryzykując, że zestrzeli ich snajper, tylko po to, żeby mnie zobaczyć. Gdybym o tym wiedziała, podniosłabym się, żeby ułatwić im zadanie.

W pobliżu średniowiecznego miasta Cassino zostaliśmy oddzieleni od konwoju. Jechaliśmy przez długie godziny, zagubieni pośród wypalonych, poprzecinanych drogami krajobrazów. Od czasu do czasu mijaliśmy martwe bydło. Zapadł zmierzch, a niebo rozświetliły wybuchy: alianci atakowali Niemców, którzy schronili się w lokalnym klasztorze. Zatrzymaliśmy się na noc, zbiliśmy się w ciasną gromadkę, żeby się ogrzać i zjeść resztki prowiantu, później zaś chodziliśmy parami w krzaki, żeby opróżnić jelita. W oddali słyszeliśmy huk 240-milimetrowej haubicy rozbijającej w pył klasztor i większą część przylegającego do niego miasta.

– To najskuteczniejsza dieta, jaką kiedykolwiek stosowałam – zwróciłam się do Danny’ego, który jęknął i przykucnął obok mnie. – W następnym filmie będę wyglądała jak bogini.

– Boże, Marleno. – Skrzywił się. – Jak możesz żartować w takiej chwili?

– A co innego mam robić? Jeśli zacznę płakać, to pewnie nigdy nie skończę.

Następnego ranka znalazł nas oddział francuskich żołnierzy. Kiedy podjechali rozklekotaną ciężarówką i otoczyli nas, trzymając broń w pogotowiu, zawołałam:

– *Je suis Marlene Dietrich!*

Jeden z nich zarechotał:

– Jeśli to Marlena Dietrich, to ja jestem generał Eisenhower.

Podeszłam do niego, przyłożyłam sobie latarkę pod brodę, wciągnęłam policzki i wygięłam brwi. Musiałam przypominać szkielet, ale żołnierz zbladł i wykrzyknął:

– *Mon Dieu, c'est vrai!*

– Oczywiście, że to prawda – odparłam. – A ty cuchniesz.

– *Ah. Excusez-moi*. – Niezdarnie się ukłonił. – Spałem obok ciała senegalskiego żołnierza. Wolałbym spędzić tę noc w Ritzu, w pani towarzystwie.

Wybuchnęłam śmiechem.

Pomogli nam odnaleźć amerykański konwój. Dowodzący nim major zrugał nas i udzielił nam reprymendy za to, że się odłączyliśmy. Tego wieczoru, nie mając ani sukni, ani mikrofonu, oświetlana jedynie latarkami trzymanymi przez żołnierzy i ubrana w brudny mundur polowy, śpiewałam, podczas gdy alianci wkraczali do Cassino. W pewnej chwili pomyślałam, że jeżeli nie spodoba im się mój występ, mogą go przerwać, wyłączając latarki.

Oni jednak domagali się bisów.

Zmierzaliśmy powoli w kierunku Rzymu, a żołnierze, używając węgla z rozpalanych naprędce ognisk, rysowali moje podobizny na poboczach i pniach drzew, wskazując

drogę tym, którzy byli za nami. Po pewnym czasie dostałam silnej gorączki i poczułam dziwne bulgotanie w klatce piersiowej. W ciągu kilku godzin zaczęłam majaczyć. Pięć dni później obudziłam się kompletnie zdezorientowana w szpitalu polowym. Przy moim łóżku siedział Danny, który przez cały ten czas nie odstępował mnie na krok. Okazało się, że dostałam zapalenia płuc i odwodniłam się. Lekarz zrobił mi kilka zastrzyków nowego, niezwykle cennego i zarezerwowanego dla żołnierzy leku nazywanego penicyliną.

W przeciwnym wypadku zapewne bym umarła.

– Czy chłopcy za mną tęsknili? – zapytałam ochrypłym głosem.

Danny roześmiał się.

– Tęsknili. A ty masz przed sobą jeszcze wiele występów, moja złota pantero. Oddziały, które są przed nami, wkroczyły już do Rzymu. Przed chwilą dotarły do nas wieści, że siły alianckie w liczbie ponad stu tysięcy żołnierzy lądują właśnie w Normandii.

Rozpłakałam się. Płakałam tak długo, aż zabrakło mi łez.

Wspomagani przez włoskich sympatyków Niemcy nadal walczyli w Rzymie. Doszło do brutalnych starć w pobliżu Forum Romanum i kolumny Trajana. Nad naszymi głowami trwała kanonada i wybuchały bomby, a my pomagaliśmy transportować rannych do opustoszałego *palazzo*. Krążyłam między łóżkami polowymi, pośród łuszczących się fresków i splądrowanych gobelinów, i śpiewałam dla tych, którzy nie zginęli i nie przechodzili właśnie operacji.

W końcu Danny musiał interweniować.

– Dziesięć tygodni już minęło. Musimy wracać do domu.

– Nie. – Ponieważ znowu dostałam gorączki, leżałam w łóżku z kompresem na gardle, a w moich żyłach płynęła kolejna dawka penicyliny. – Chcę zostać. Oni nas potrzebują. A ja...

– Wiem. – Danny ścisnął moje ramię. – Ty też ich potrzebujesz. Ale umrzesz, jeśli nie zrobisz sobie przerwy. Musisz odpocząć i dojść do siebie. Wracamy do Nowego Jorku. Nawet nie próbuj protestować. Jeżeli będę musiał, osobiście wniosę cię na pokład samolotu.

I rzeczywiście musiał mnie wnieść: byłam zbyt słaba, żeby wsiąść o własnych siłach.

Kiedy dotarliśmy do Ameryki, czekał już na mnie tłum dziennikarzy i fotografów. Miałam za sobą więcej występów na obszarach objętych wojną niż którykolwiek z wysłanników USO. Udzieliłam kilku wywiadów, wspierając się na ramieniu Danny'ego, po czym położyłam się do łóżka w mieszkaniu Rudiego, pozwalając, by Tamara się mną zaopiekowała. Kiedy lepiej się poczułam, zadzwoniłam do swojego agenta.

Hollywood mnie ignorowało. Ostatni film, w którym wystąpiłam, *Kismet*, został chłodno przyjęty podczas pokazów przedpremierowych w całym kraju. Choć MGM nalegało, bym wzięła udział w oficjalnej premierze, wytwórnia nie planowała obsadzać mnie w kolejnych produkcjach.

– Tak czy inaczej, powinnaś przyjechać – powiedział Eddie. – W prasie głośno jest o twojej trasie z USO. Na pewno pojawią się nowe propozycje, kiedy wytwórnie dowiedzą się, że wróciłaś.

– Pozwól mi się nad tym zastanowić – odpowiedziałam, a kiedy tylko odłożyłam słuchawkę, zadzwoniłam do Danny'ego, który westchnął i oznajmił:

– Uwielbiam cię, Marleno. Ale nie mogę wrócić do Europy. Mam rodzinę na utrzymaniu.

Ja też miałam, ale moja rodzina radziła sobie beze mnie. Ignorując wprowadzone po śmierci Carole Lombard zarządzenie wytwórni, zgodnie z którym aktorzy związani kontraktem nie mogli podróżować samolotem – poleciałam do Hollywood. Pojawiłam się na premierze i spędziłam kilka wieczorów w kantynie w towarzystwie Bette, która obsypała mnie pocałunkami. Porwałam publiczność serenadą *Lili Marleen*, a Eddie chciał mnie zaprezentować wytwórni i twierdził, że wyglądam wspaniale.

– Niejedzenie niczego oprócz frankfurterek czyni cuda – odparłam, po czym uprzedziłam, że nie mogę zostać, bo muszę wracać do Nowego Jorku i spędzić trochę czasu z córką. Obiecałam jednak, że niedługo zadzwonię.

Gdy tylko wylądowałam i dotarłam na Manhattan, złożyłam kolejne podanie do USO.

Pod koniec sierpnia, niedługo po wyzwoleniu Paryża, wyruszyłam w kolejną trasę. Tym razem występowałam przed oddziałami w Labradorze, na Grenlandii i na Islandii. Później zaś odwiedziłam Anglię i Francję.

Nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, że najgorsze dopiero przede mną.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

„Kości i bebechy” – tak nazywali go żołnierze, ja jednak uważałam, że określenie to nie oddawało mu sprawiedliwości. Och, rzeczywiście robił wrażenie: miał ostre rysy, nosił perfekcyjnie wypolerowane buty do jazdy konnej i staroświeckie rewolwery u pasa. Lubił się też jednak śmiać, słynął z niepohamowanego apetytu i cechował się zadziwiającą delikatnością.

Przedstawiono mnie generałowi George’owi S. Pattonowi podczas przyjęcia przy Grosvenor Square 50. Organizowało je dowództwo sił alianckich w Europie Północno-Zachodniej, Allied Expeditionary Forces, którego jeden z oddziałów wydawał przepustki artystom estradowym wyruszającym w trasę. Intensywnie zabiegałam o zgodę na występy na froncie. Ku mojemu niezadowoleniu USO nie chciała dalej ryzykować i wysyłać aktorów oraz innych artystów do stref, w których toczyły się działania wojenne. Niemcy zostały przyparte do muru, ale nadal zacięcie się broniły, a próby pojmania Hitlera i zrównania z ziemią ostatnich bastionów jego władzy przekształciły front w kostnicę. Zdobycie Paryża przez aliantów stanowiło dla Trzeciej Rzeszy śmiertelny cios. Rozwścieczony Führer kazał rozmieścić i zdetonować ładunki wybuchowe pod wszystkimi mostami otaczającymi miasto, ale dowódca jego oddziałów zawahał się w ostatniej chwili, co dało Amerykanom dość czasu, by pozwolić generałowi de Gaulle

na wyzwolenie miasta. Niemcy poprzysięgli teraz walkę na śmierć i życie, a USO ostrzegła mnie za pośrednictwem biura w Londynie, że zostałam uznana za wroga Rzeszy i że za moją głowę wyznaczono wysoką nagrodę. „Ile płacą za moją głowę?” – zapytałam. Biuro w Londynie nie chciało odbierać kolejnych telefonów ani ponosić odpowiedzialności za moje bezpieczeństwo.

Mimo odmowy nie zamierzałam się poddać. W Londynie spotkałam się z Douglasem Fairbanksem Jr., który miał wkrótce rozpocząć zdjęcia do nowego filmu. Nie wskrzesiliśmy naszego romansu – nie zamierzałam znowu znosić jego pełnych zazdrości tyrad – okazał się jednak doskonałą przepustką do środowiska wysokich rangą oficerów sił alianckich. Opracowywano właśnie strategię wyzwolenia tych części Europy, do których chciałam trafić: zależało mi na tym, by w trudnych chwilach towarzyszyć naszym chłopcom. Usiłowałam też jak najwięcej dowiedzieć się na temat planów dotyczących Niemiec. Próbowałam kontaktować się z rodziną, ale linie telefoniczne zostały wyłączone, a na moje telegramy nikt nie odpisywał. Wydawało się, że moją ojczyznę otoczył wysoki mur.

– Słyszałem, że lubi się pani opalać nago – oznajmił Patton tuż po tym, jak nas sobie przedstawiono. W Londynie wyły syreny, a zabitych i rannych wydobywano spod gruzów, ale w salonie lał się szampan i wszyscy wydawali się pełni optymizmu.

– Trwa wojna, generale. Nie powinien pan wierzyć we wszystko, co pan słyszy.

– Och, wydaje mi się, że ta plotka musi być prawdziwa. – Utkwił we mnie małe niebieskoszare oczy. – Żołnierze nigdy nie kłamią.

– Majorzy też nie – odparłam. Wyglądał na sporo starszego ode mnie. Zwykle pociągał mnie inny typ mężczyzn. Patton miał w sobie coś z surowego wuja: rodzaj despotycznego autorytetu, który skłaniał służących mu ludzi do bezgranicznego zaufania. Spojrzenie, które mi posłał, nie wydawało się jednak w żadnej mierze spojrzeniem członka rodziny. – Ale czy gdybym rzeczywiście zamierzała opalać się nago – dodałam – byłaby to wystarczająca rekomendacja, by posłać mnie na front?

Milczał przez dłuższą chwilę.

– Musiałbym sam zobaczyć.

– Front?

– Nie. – Dolał mi szampana. – Opalanie.

Okazał się mało wyrafinowanym kochankiem. Nie przeszkadzało mi to, bo sama sytuacja też była mało wyrafinowana. Już po wszystkim, kiedy paliłam papierosa, a on gładził swoje cenne, wysadzane macicą perłową Colty .45, repliki broni należącej do jakiegoś nieżyjącego od dawna generała, zapytał:

– A więc naprawdę zależy ci na dotarciu na front?

– Tak – odpowiedziałam, z nadzieją odwracając się w jego stronę.

Skrzywił się. Wyraźnie irytowało go, że palę w łóżku.

– Da się to załatwić. Możesz pojechać z moją jednostką do Paryża, a stamtąd dotrzeć do wschodniej Francji albo do

Belgii, ale... – zaśmiał się, odpierając moje pocałunki – tylko wtedy, jeśli mi powiesz, dlaczego tak naprawdę chcesz tam dotrzeć.

– Dlaczego? – zapytałam ze zdziwieniem. – To przecież oczywiste. Jestem aktorką, to mój zawód. Przyjechałam właśnie po to. Twoi chłopcy z pewnością zasłużyli, by oglądać Marlenę Dietrich, zwłaszcza po tym, czego dokonali.

– I czego nadal dokonują. – Spochmurniał. – To bardziej niebezpieczne, niż przypuszczasz. Nie chodzi o premierę hollywoodzkiego filmu. Nikt nie może zagwarantować ci bezpieczeństwa.

– Przetrwałam wojnę we Włoszech. Jestem przekonana, że przeżyję kilka występów na froncie. I nie oczekuję żadnych gwarancji. Wiem, na co się decyduję.

– Czyżby? – Zamilkł na chwilę i przygryzł wargę, a następnie złamał swoje zasady i sięgnął po wypalone do połowy cygaro leżące w popielniczce przy łóżku. Włożył je sobie do ust, ale kiedy zamierzałam sięgnąć po zapalniczkę, potrząsnął głową i zaczął żuć tytoń. – Sądzę, że kieruje tobą coś więcej. Patriotyzm to nie jedyny powód, dla którego zamierzasz pokazywać nam swoje nogi. Nie żeby to przeszkadzało moim chłopcom. Mnie z pewnością nie przeszkadza. Ale na wojnie błędy popełniają często ludzie znajdujący się po tej samej stronie barykady. Nie mogę pozwolić, byś stała się moim błędem.

Milczałam. Czy powinnam mu się zwierzyć? Wahałam się tylko ze względu na to, kim byłam: owszem, miałam

amerykańskie obywatelstwo i znalazłam nową ojczyznę, w moich żyłach płynęła jednak krew wroga – niezależnie od tego, jak bardzo podkreślałam swoją nienawiść do Hitlera.

– Chodzi o Niemcy, prawda? – zapytał, wykazując się zadziwiającą przenikliwością. Nie powinnam czuć się zaskoczona: w końcu generał Patton słynął ze zmysłu taktycznego. – Chcesz się tam dostać. Właśnie dlatego zgodziłaś się na współpracę z American Broadcast System, gdzie śpiewasz *Lili Marleen* i wygłaszasz porywające przemówienia, nadawane w radio na okupowanych terytoriach. O czym wspominałaś w ostatnim przemówieniu?

– Oczywiście o tym, że wszystkie moje piosenki są dedykowane alianckim żołnierzom.

– Którzy wkrótce się z wami spotkają i zniszczą waszą tysiącletnią Rzeszę – dodał cierpko. – Hitlerowi na pewno ciężko słucha się takich słów. Zapewne domyślasz się, jak bardzo cię nienawidzi: niemiecka gwiazda, która stała się maskotką aliantów. Gdybyś została pojmana, wykorzystaliby cię w swojej machinie propagandowej. Kazałby cię rozstrzelać przed Bramą Brandenburską.

– Goebbels też – odparłam. – Nie zapominaj, że nienawidzi mnie jeszcze bardziej.

– Nie żartuję, Marleno. Jeśli zostaniesz pojmana, nie zdołamy ci pomóc. Nie możemy ryzykować całej operacji dla jednej osoby, nawet tak godnej podziwu jak ty.

– A więc planowana jest jakaś operacja.

– To tajna informacja. Ale właśnie odpowiedziałaś na moje pytanie.

Paliłam, przyglądając mu się w milczeniu. Po chwili powiedziałam:

– Mieszka tam moja rodzina. Matka, siostra i wuj... oni nie są faszystami.

– Tego nie wiesz. Niczego nie wiesz na pewno. O to mi chodzi.

– Ale muszę sprawdzić, czy oni... – Nie zdołałam wypowiedzieć na głos tych słów.

Czy moja rodzina nadal żyje? Czy może ta potworna wojna pochłonęła ich, tak jak tyle niewinnych istnień? Mutti zapewniała, że są bezpieczni, że nic im nie grozi, dopóki nie podnoszą głów. Wszystko się jednak zmieniło. Rzesza powoli się rozpadała. Upokorzyłam Goebbelsa, odrzucając jego kolejne propozycje, przyjmując amerykańskie obywatelstwo i otwarcie okazując mu pogardę. Doskonale wiedzieli, co robiłam we Włoszech. A teraz zapewne słyszeli, jak śpiewam w radio. Nie liczyłam na to, że mojej rodzinie udało się uciec. Ale musiałam przekonać się o tym na własne oczy. Musiałam ustalić, co się z nimi stało.

Patton podał mi jeden z rewolwerów.

– Nauczę cię strzelać. A kiedy już to opanujesz, podaruję ci tę broń. Masz się z nią nie rozstawać. Gdyby nadeszła pora, musisz jej użyć. Obiecasz mi to?

Dotknęłam rewolweru. Wiedziałam, co sugerował: żebym w ostateczności popełniła samobójstwo.

– Tak – wyszeptałam. – Obiecuję.

– To dobrze. Gdybyś zaprzeczyła, prezentowałabyś nogi co najwyżej na Piccadilly Circus.

Paryż.

Cóż mogę powiedzieć o swoim powrocie do miasta, które tak pokochałam, do tej alabastrowej muzy, na której poddaszach tłoczyli się najwspanialsi artyści naszych czasów? Paryż się zmienił. Choć wyglądał tak samo i nosił jedynie lekkie ślady okupacji, panowała w nim inna atmosfera. Wyczuwało się napięcie. Miasto przypominało teraz zaszczute zwierzę, złapane w sidła i czekające, aż Wolna Francja zaciągnie je przed pozbawione litości trybunały.

Rozpoczęły się brutalne czystki. Ludzi podejrzewanych o kolaborację, włącznie z kobietami, które musiały radzić sobie same, oskarżano i sądzono. Golono im głowy, a następnie prowadzono ich ulicami miasta. Byli obrzucani kamieniami i błotem, dochodziło też do niejednej spontanicznej egzekucji. Na latarniach wisiały ciała w poszarpanych ubraniach.

Chanel zniknęła, a jej butik został zamknięty na cztery spusty. Uciekło też wiele innych osób – każdy, kto miał powód, by obawiać się odwetu ze strony wyzwolicieli. Ku swojemu zaskoczeniu w barze hotelu Ritz spotkałam jednak przyjaciela: Papę Hemingwaya, w otoczeniu dziennikarzy i reporterów, którzy zjechali do miasta razem z alianckimi wojskami, by dokumentować wyzwolenie Paryża. Papa uczestniczył też w D-Day, w misjach RAF – uczestnictwo w boju było jego ulubionym afrodyzjakiem.

– Szwabka! – ryknął, obejmując mnie niczym niedźwiedź. – Powinienem był się domyślić, że spośród wszystkich kobiet świata to właśnie ty wkroczysz tu w tym momencie. I to z pistoletami u pasa.

Miał rację w kwestii pistoletów, ale nie byłam jedyną kobietą w barze. Obok Hemingwaya siedziała drobna, wyraźnie niezadowolona brunetka. Zapewniłabym ją, że nie musi się z mojej strony niczego obawiać, bo nie jestem jej rywalką, ale krótkie kiwnięcie głową, którym mnie powitała, kiedy jej towarzysz nas sobie przedstawił – „Szwabko, poznaj Mary Welsh. Pisze do «Daily Express»" – sprawiło, że zmieniłam zdanie.

Z jej pełnego niechęci spojrzenia natychmiast wywnioskowałam, że cokolwiek powiem, nie wzbudzę jej sympatii. Papa nie rozstał się nadal ze swoją drugą żoną, dziennikarką Marthą Gellhorn, ale z jego listów wynikało, że to małżeństwo dobiegło końca. Najwyraźniej Mary Welsh tylko na to czekała. Ja jednak często powtarzałam, że zamiłowanie Hemingwaya do małżeństwa jest niezdrowe, zwłaszcza w obliczu faktu, że nie potrafił go utrzymać.

Po niełatwej przeprawie przez kanał La Manche i równie trudnej drodze do Paryża przez zbombardowaną francuską prowincję potrzebowałam jakiejś rozrywki. Uśmiechnęłam się do Mary Welsh, wzięłam Papę pod rękę i zapytałam:

– A gdzie Martha? Przyjechała tu z tobą?

– Tak. – Uszczypnął mnie w ramię. – Ale musiała złożyć raport w Londynie. Niedługo wróci.

– Rozumiem. – Nie odrywałam wzroku od Mary, która siedziała wyprostowana na krześle. Zbladła, kiedy wspomniałam o żonie Papy. Wydawała się tak sztywna, jakby miała kręgosłup z mosiądzu. – No cóż, wspaniale jest widzieć przyjazne twarze.

– Kochanie, rozpaczliwie potrzebuję pewnej informacji – zwróciłam się do Mary, zajmując miejsce Hemingwaya.

– Informacji? – Zmarszczyła brwi. – Nie mogę ujawniać swoich źródeł.

– Nawet w kwestii tego, gdzie w tym mieście znaleźć rozjaśniacz do włosów i żyletki? – Nachyliłam się nad nią, ale tylko na tyle, by Papa mógł nas usłyszeć. – Przypłynęłam z generałem Pattonem na pokładzie najbrudniejszego, najobrzydliwszego statku, jaki można sobie wyobrazić. Popełniłam błąd i odwiedziłam tamtejsze latryny, w związku z czym zaraziłam się pewnym... jak by to ująć? Drobnym problemem? Och, to tylko maleńkie robactwo, nie ma powodu do obaw – zapewniłam. – W każdym razie nie chodzi o nic, na co nie pomogłoby golenie i odwszawienie. Tyle tylko, że zapomniałam spakować żyletkę, a co gorsza, pojawiły się odrosty. Widzisz? – Pochyliłam głowę, a towarzyszka Hemingwaya gwałtownie się odsunęła, tak jakby mój „drobny problem” miał na nią lada chwila przeskoczyć. – Byłabym bardzo wdzięczna za radę. Zapewne da się tu gdzieś kupić towary z przemytu?

Stojący za mną Papa ryknął ze śmiechu i zawołał do barmana:

– Proszę o drinka dla pani Dietrich! Najlepszą whisky, jaką macie.

Mary Welsh posłała mi pełne wściekłości spojrzenie.

Co mogła zrobić? Ostatecznie znalazła mi żyletkę i rozjaśniacz na czarnym rynku. Nie odstępowałam jej i Hemingwaya na krok. Towarzyszyłam Papie nawet podczas golenia: stał wtedy oparty o umywalkę i przekazywał mi wszystkie informacje, które zebrał od swoich źródeł. Nalegał też, bym chodziła z nimi na organizowane przez wojska alianckie przyjęcia: twierdził, że ilekroć pojawiam się w stroju khaki, ze spódnicą podciągniętą kilka centymetrów wyżej, niż pozwalały przepisy, „w jakiś sposób, jak przy cudownym rozmnożeniu chleba i ryb, na stołach pojawiał się kawior, a alkohol zaczynał płynąć wartkim strumieniem”.

W końcu Mary – kolejna kobieta funkcjonująca w świecie zdominowanym przez mężczyzn – postanowiła dać mi sygnał ostrzegawczy. Pewnego wieczoru, kiedy malowałyśmy usta, roześmiała się nagle i oznajmiła:

– Oświadczył mi się. Pobierzemy się, gdy tylko pozbędzie się tej suki Gellhorn. – Spojrzała na moje odbicie w lustrze. – Ona się dla niego nie nadaje. Jest zbyt ambitna. Nieustannie z nim rywalizuje i uważa się za lepszą pisarkę.

– Może to prawda. – Odwzajemniłam jej spojrzenie. – Kobiety często robią różne rzeczy lepiej niż mężczyźni, ale muszą się dużo bardziej starać, żeby tego dowieść.

Zanim wyjechałam, by występować przed kolejnymi oddziałami sił alianckich, odstąpiłam jej i Papie swoje

szerokie łóżko. Ponieważ spali do tej pory w łóżkach pojedynczych, Mary była zachwycona i uznała ten gest za dowód na to, że zaakceptowałam ich zaręczyny. Mimo protestów kierownika Ritza pomogła mi przenieść cały stelaż do ich pokoju. Papa nie miał jednak okazji w nim spać, bo poprzedniej nocy wyruszył złożyć raport dotyczący wschodniego frontu.

Nazajutrz, wyjeżdżając na spotkanie z Pattonem, nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Zastanawiałam się, jak Mary Welsh przyjmie niespodziankę, którą zostawiłam dla niej w łóżku.

Może problem z drobnymi żyjątkami nauczy ją, że o ile pieprzenie się z mężem innej kobiety jest do przyjęcia, to knucie i próby celowego rozbicia małżeństwa – trudniej już obronić.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jeżeli Włochy wydawały mi się dotąd czyśćcem, to Belgia okazała się prawdziwym piekłem.

To była jedna z najmroźniejszych zim w historii, a lodowaty wiatr miotał deszczem i śniegiem, przenikając przez kolejne warstwy wełnianych ubrań i kalesonów. Nadal nie mogłam pozbyć się wszy, cierpiałam na dyzenterię i nabawiłam się odmrożeń. Występowałam przed chłopcami w skrzących się od cekinów sukniach, a schodziłam ze sceny z sinymi z zimna stopami, szczękając zębami tak mocno, że nie mogłam mówić. Patton kazał zamontować w moim namiocie piec na węgiel. Taki sam piec miał również w swoim namiocie, który zresztą najchętniej z nim dzieliłam. Wszyscy wiedzieli, że jesteśmy kochankami, a chłopcy lubili mnie dzięki temu jeszcze bardziej. „Nogi” – tak mnie nazywali. Ten sam oficjalny pseudonim nadał mi Patton: stałam się Marleną Nogi. Radość, z jaką przyjmowali moje występy każdego wieczoru, przed wyruszeniem na front i ryzykowaniem własnego życia, sprawiała, że wszystkie niedogodności stawały się lżejsze.

Niewiele brakowało, by odmrożenie kosztowało mnie utratę jednego z palców u stóp. Wkrótce dostałam też infekcji w szczęce i musiałam wracać do Paryża na leczenie. Kiedy już doszłam do siebie, zagrałam w spektaklu muzycznym razem z Noëlem Cowardem i Maurice’em

Chevalierem, ale przy pierwszej sposobności, na początku lutego, wróciłam na front. Było to niedługo po ofensywie w Ardenach. Patton dotarł do Akwizgranu, pierwszego niemieckiego miasta odbitego Niemcom w drodze do Berlina. W Akwizgranie dałam kolejny występ, tyle że tym razem siedziałam ściśnięta między dwoma ochroniarzami, miałam rewolwery przypięte na biodrach i jechałam jeepem Pattona na czele Trzeciej Armii. Niemcy, którzy przeżyli bombardowanie przeprowadzone przez aliantów, gromadzili się mimo mrozu wzdłuż drogi, a ja wykrzykiwałam do megafonu swoje imię i nazwisko, prosząc o natychmiastową ewakuację, tak by mogły przejechać nasze czołgi.

Nikt nie próbował do mnie strzelać. Choć USO ostrzegała, że wyznaczono nagrodę za moją głowę, choć Patton tłumaczył, że Niemcy oficjalnie piętnują moją postawę, spotykałam się wyłącznie z akceptacją ze strony tych, z którymi rozmawiałam. Na ich twarzach, naznaczonych głodem i strachem, pojawiał się niekłamany podziw, kiedy dowiadywali się, kim jestem.

– Lola Lola – wyszeptała pewna kobieta. – Jesteś „błękitnym aniołem”.

Nikt mnie o nic nie oskarżał. Nikt nie groził pięścią ani nie odwracał się do mnie plecami. Niezależnie od jadu, jakim pluł Goebbels, najwyraźniej nie wszyscy uwierzyli, że jestem wrogiem publicznym. Kiedy jednak dziennikarz International News Service zapytał, co sądzę o spustoszeniach, jakie wojna poczyniła w Niemczech, i jak

porównałabym to, co widzę, z moim życiem w Hollywood, ledwo powstrzymałam się od łez.

– Nie myślę teraz o filmach – odpowiedziałam. – Być może już nigdy do nich nie wrócę. A co do tego wszystkiego... – Spojrzałam na gruzy, niszczejące budynki, pełne odłamków ulice, spalone parki i nędzarzy szukających jedzenia i picia. – To straszliwy widok, ale uważam, że Niemcy zasługują na wszystko, co je spotyka.

Moja deklaracja pojawiła się w gazetach na całym świecie.

– Na szczęście skupiają się chwilowo na ucieczce, w przeciwnym razie po tych słowach na pewno zaczęliby na ciebie polować – oznajmił Patton, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Niech to zrobią – odparłam.

Nie przestałam występować dla żołnierzy w rozpadających się teatrach, na prowizorycznych scenach i skutych lodem łąkach. Kiedy nie zabawiałam naszych chłopców, starałam się pozbyć wszy z włosów łonowych i pełniłam funkcję tłumaczki oraz ambasadorki dobrej woli. Ludzie, których mijaliśmy, przyjmowali nas spokojnie. Wiedzieli, że naszym celem jest ostateczne obalenie Rzeszy.

W rozmowach z Pattonem narzekałam:

– Są jak owce! Gdyby mieli choć trochę charakteru, walczyliby z nami. Tym właśnie są: Niemcy z krwi i kości, ludzie, którzy okazali posłuszeństwo szaleńcowi.

– Ten szaleniec nadal żyje – oznajmił ponuro Patton. – Nadal jest ich Führerem.

Ale trzydziestego kwietnia 1945 roku przestał nim być. Zmusiwszy złożoną z dzieci armię do obrony Berlina przed Sowietami, którzy zasypywali miasto rakietami i granatami, Adolf Hitler wycofał się do podziemnego bunkra, gdzie zażył śmiertelną dawkę cyjanku, którą wypróbował wcześniej na swoim starym psie. Zabrał też ze sobą żonę, Evę Braun. Goebbels poszedł w ich ślady. Ósmego maja Niemcy ogłosiły kapitulację. Droga do Berlina stała teraz otworem, miasto było morzem ruin po ataku sił alianckich.

Mój kraj poniósł klęskę. Trzecia Rzesza upadła.

Nie miałam pojęcia, czy ktokolwiek z mojej rodziny zdołał przeżyć.

W Monachium próbowałam dojść do siebie. Byłam wyczerpana, odwodniona i zmagałam się z wszawicą. Ostatecznie musiałam wejść pod gorący prysznic i zgolić każdy włos na ciele. Nie zamierzałam poświęcać tylko włosów na głowie. Zamiast tego użyłam piekącego roztworu, który sprawił, że moja skóra zrobiła się szkarłatna, a krótkie loki przybrały lekko zielonkawy odcień.

Monachium znajdowało się w opłakanym stanie. To piękne miasto, cytadela bawarskich książąt, miejsce, w którym Hitler po raz pierwszy usiłował przejąć władzę, stało się celem siedemdziesięciu jeden nalotów i zostało rozdarte i obrócone w gruzy. Szerzyły się tam choroby i nawet szczury umierały z głodu. W powietrzu unosił się nieznośny smród. Nie mogłam wyjść ze swojego namiotu w kwaterze głównej armii amerykańskiej tuż pod miastem,

nie wdychając przy tym toksycznych chemicznych oparów i odoru tysięcy ciał gnijących pod dymiącymi gruzami.

Od wielu tygodni, w miarę jak wojska alianckie kroczyły na wschód, docierały do nas przerażające informacje. Dowiedzieliśmy się o ostatecznym rozwiązaniu, które dokonało się w straszliwych *Konzentrationslager*, obozach koncentracyjnych. Himmler – prawa ręka Hitlera – zbudował tam ogromne kompleksy z komorami gazowymi oraz krematoriami, w których mordowano miliony Żydów.

Z początku nie mogłam w to wszystko uwierzyć. Hitler był szaleńcem, zionącym nienawiścią do Żydów. Ale zagłada całego narodu? Wydawało się to niewyobrażalne. Raporty, które stopniowo napływały, wskazywały na to, że wiele takich obozów istniało również w Niemczech. Nie chciało mi się wierzyć, żeby moi rodacy, niezależnie od morderczego uścisku faszystów, popierali takie okrucieństwo. Ktoś na pewno próbował temu zapobiec. Jednak kiedy wyzwolono Dachau, Buchenwald, Flossenbürg, Ravensbrück i inne obozy, zaczęłam sobie przypominać słowa Bette: „Znikają tysiące ludzi”. Musiałam przyznać sama przed sobą, że to, co wydarzyło się w Niemczech, wykraczało poza wszystko, co mogłam sobie wyobrazić.

Kiedy dotarły do mnie wieści, że w niedawno wyzwolonym przez Brytyjczyków obozie Bergen-Belsen pod Hanowerem znaleziono kobietę podającą się za moją siostrę, wolałam w to nie wierzyć.

– To niemożliwe – powiedziałam Pattonowi.

Patton zjawił się w towarzystwie generała Omara Bradleya, niezłomnego mężczyzny, który dokonał cudów podczas bitwy o Ardeny, trwającej miesiąc ofensywy wojsk niemieckich, które na rozkaz Hitlera usiłowały odbić Antwerpię. Podobnie jak Patton, Bradley stracił podczas bitwy tysiące ludzi. Mimo to dowódcy okazali się raczej rywalami niż przyjaciółmi (jak się wkrótce przekonałam, generałowie walczyli o uznanie i rozgłos jak gwiazdy filmowe). Ponieważ Patton musiał wyjechać, poinformował Bradleya, że należy się mną zaopiekować.

Bradley podał mi telegram.

– Twierdzi, że nazywa się Elisabeth Felsing Wills. Właśnie to nazwisko nam pani podała, prosząc, żebyśmy odnaleźli pani siostrę oraz matkę, Josephine Felsing Dietrich.

– Może twierdzić, co jej się żywnie podoba – powiedziałam, nie zwracając uwagi na telegram. – Ale to na pewno nie jest moja siostra. Liesel mieszka w Berlinie. Jej mąż kierował tam siecią kin. Sam o tym wspominał ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy. Nie zostałby wysłany do obozu, chyba że... – Zamilkłam, bo przypomniałam sobie, jak odrzuciłam przekazane mi przez Georga drugie zaproszenie Goebbelsa. Nie miałam pojęcia, gdzie ostatnio pracował mój szwagier. Zakładałam, że zostali z Liesel w Berlinie, nagle jednak ogarnął mnie strach. A jeśli aresztowano moją rodzinę? A jeśli krewni trafili z mojej winy do obozu? Nie dało się wykluczyć takiej możliwości. W przypadku Hitlera niczego nie dało się wykluczyć.

– Myślisz, że to prawda, Marleno? – zapytał cicho Patton.

Pokiwałam głową i przełknęłam ślinę.

– Tak, to możliwe. – Spojrzałam na generałów. – Co powinnam zrobić? – zapytałam.

Patton zerknął na Bradleya, ten zaś powiedział:

– Uważamy, że powinna pani spotkać się z tą kobietą. To pierwszy ślad pani rodziny, na jaki trafiliśmy. Możemy zorganizować transport drogą powietrzną.

W pierwszej chwili zamierzałam odmówić. Nie chciałam tam jechać. Ale generał miał rację. To był pierwszy ślad mojej rodziny, choć nadal w to nie wierzyłam. Bałam się, że to wielkie nieporozumienie, biurokratyczna pomyłka. Odkąd Hitler sprowadził na Niemcy nieszczęście, zapanował kompletny chaos. Przejmowano cudze tożsamości, podrabiano dokumenty i paszporty. A jeśli ta kobieta używała nazwiska Liesel? Może wiedziała, co stało się z moją siostrą. Tak czy inaczej, tylko ja byłam w stanie zweryfikować jej słowa.

– Dobrze. – Rzuciłam telegram na biurko. – Ale nie przestawajcie ich szukać w Berlinie. Dobrze?

Patton pokiwał głową.

– Robimy, co możemy, ale w Berlinie zapanował chaos. Odnaleźliśmy tysiące ofiar. Nie liczyłbym na wiele. Miasto jest w ruinie.

Wstałam i oparłam się o krawędź biurka.

– Moja matka jest silniejsza, niż sądzicie. Przetrwała pierwszą wojnę. Jeżeli przeżyła i tę, na pewno tam gdzieś jest. To pewne.

Bradley milczał, a Patton przypomniał:

– Ostrzegałem cię. Mówiłem, że to nie film. Nie ma tu scenariusza. Nie ma happy endu.

– Pamiętam o tym. Jak mogłabym zapomnieć? Żaden film nie jest tak potworny jak rzeczywistość.

Zanim wyjechałam z Monachium, generał Bradley przekazał mi najświeższe informacje. Bergen-Belsen było jednym z ostatnich obozów porzuconych przez Niemców. Bogaci Żydzi z Francji i Holandii czekali tam na transport do Polski. Do Bergen-Belsen trafiali też sowieccy jeńcy wojenni, których wymieniano na Niemców wziętych do niewoli przez aliantów. Kiedy wojska brytyjsko-kanadyjskie zbliżały się do obozu, wybuchła epidemia tyfusu. Wiele lat później dowiedziałam się, że pośród ludzi, którzy zmarli podczas tej epidemii, znalazła się żydowska dziewczynka, Anna Frank.

– Wszędzie porzucili ciała – powiedział Bradley. – Zostaniesz zaprowadzona do byłej siedziby Wehrmachtu, w której Brytyjczycy ulokowali swoje stanowisko dowodzenia. Przyjmie cię tam kapitan Arnold Horwell. Nie odwiedzaj samego obozu, po prostu spotkaj się z tą kobietą i sprawdź, czy to rzeczywiście twoja siostra. Musimy jak najszybciej odzyskać samolot. Masz jeden dzień, Marleno. Tylko tyle możemy ci dać.

Zgodziłam się, ale kiedy wylądowałam na maleńkim lotnisku w Fassberg, a wojskowa eskorta zabrała mnie do Bergen-Belsen, poczułam nieodpartą potrzebę zobaczenia obozu. Wiedziałam, że tego chcę, że powinnam to widzieć. Zdążyłam usłyszeć już tyle, by wiedzieć, że potworności,

jakich dokonali Niemcy, będą mnie dręczyły do końca życia, pozbawiając resztek złudzeń dotyczących własnego narodu. Spoczywał na mnie jednak obowiązek: musiałam przekazać świadectwo zbrodni popełnionych w naszym imieniu, choćby po to, by udowodnić światu i samej sobie, że nie każdy Niemiec odwraca wzrok.

Nagle to poczułam: nie był to smród, choć i on unosił się w powietrzu. Większość zmarłych zakopano już w dołach, a najgorsze części obozu odizolowano, by uniemożliwić rozprzestrzenianie choroby. Ocaleni trafili do prowizorycznych szpitali polowych, gdzie nadal umierali. Wyczuwałam jednak coś jeszcze: nieokreśloną gęstość powietrza, wyziewy, które utrudniały oddychanie i sprawiały, że włosy jeżyły mi się na głowie. Zbliżyliśmy się do zaskakująco zwyczajnych ceglanych budynków oraz drewnianych baraków i po chwili zobaczyłam kilometry ogrodzenia pod napięciem.

Rozpacz. Zdałam sobie nagle sprawę, że właśnie to czułam przez cały ten czas. Całe miejsce cuchnęło ludzką rozpaczą.

Kapral, który przywiózł mnie do obozu, pomógł mi wysiąść z jeepa. Ugięły się pode mną kolana. Skupiłam się na stawianiu kolejnych kroków i starałam się patrzeć przed siebie, podczas gdy prowadził mnie w kierunku dawnej kwatery głównej Wehrmachtu; nad jej drzwiami nadal wisiała swastyka. W pewnej chwili zerknęłam w lewo: moją uwagę przykuł odgłos silnika ciężarówki i głosy mężczyzn rozmawiających z brytyjskim akcentem:

– Uwaga. To ciężkie.

Żołnierze. Nieśli coś, co wyglądało jak podpałka.

– Major Dietrich. – Kapral, wyraźnie wyczerpany Kanadyjczyk, dotknął mojego rękawa. – Proszę tędy.

Nagle znieruchomiałam. To nie była podpałka. Ani drewno. Z ciężarówki wyładowywano ręce, nogi i chude jak szkielet ciała. Zobaczyłam piramidę kości.

– Dobry Boże – wyszeptałam. – Co my zrobiliśmy...?

– Bardzo proszę. – Kapral prowadził mnie do środka, ale ja nieustannie odwracałam się i zerkałam przez ramię. Ciężarówka ruszyła wolno w stronę pobliskiej łąki, a ja słyszałam z oddali dźwięki maszyn – traktorów oraz innego rodzaju sprzętu – tak głośne, że ledwo oparłam się pokusie, by zatkać nos i uszy. Dusiłam się pyłem cuchnącym zgnilizną.

W pobliżu pola zobaczyłam bramę, nad którą wisiał przekrzywiony znak: PRZEDSZKOLE.

Nagle zapragnęłam głośno krzyczeć. Czy Liesel trafiła do tego miejsca? Czy naprawdę została uwięziona w tym piekle na ziemi?

– Czy... czy ma pan papierosa? – zapytałam. Rozpaczliwie przeszukiwałam kieszenie, ale zdrętwiały mi palce. Kręciło mi się w głowie i czułam się tak, jakbym miała zaraz zemdleć.

Żołnierz wyjął papierosa i sięgnął po zapalniczkę. Kiedy zaciągnęłam się ostrym dymem, a nikotyna przeniknęła do mojej krwi i wprawiła ją w ruch, powiedział:

– Proszę tu chwilę zaczekać. Muszę powiadomić kapitana Horwella o pani przybyciu. – Zamilkł na chwilę i posłał mi łagodne, pełne zrozumienia spojrzenie. Odpowiedziałam tym samym, nie kryjąc rozpaczy i pełnego bezradności niedowierzania. – Proszę tu zaczekać. Zraz wrócę.

Ruszył przed siebie korytarzem, a ja stanęłam pod wiszącym na ścianie oprawionym w ramę portretem Hitlera. Führer miał na sobie mundur, wybałuszał oczy i wydymał wargi, a całości dopełniał groteskowy wąsik. Zastanawiałam się, dlaczego ten obraz nadal tu wisi. Dlaczego go jeszcze nie zdjęli? Nie potrafiłam tego wszystkiego zrozumieć. Nie pojmowałam, jak ktokolwiek mógł traktować tego śmiesznego człowieczka na tyle poważnie, by uczestniczyć w masowym mordzie. Czułam się jak w filmie, tyle że Patton uprzedzał już, że to nie jest film. Żadna wytwórnia nie wymyśliłaby czegoś równie nieludzkiego i nie zrealizowałaby tego tak skutecznie. Czułam, że nie wolno nam zapomnieć o tym, co się wydarzyło, że musimy nosić tę hańbę na oczach świata.

W tych ciągnących się w nieskończoność sekundach, kiedy czekałam, aż zostanę wezwana, straciłam resztki nadziei. Odrzuciłam ją. Wiedziałam, że już nigdy nie spojrzę na swój kraj inaczej niż z pogardą. Już nigdy nie będę czuła się dumna z tego, że jestem Niemką.

Nie mogłam tego robić. Nie chciałam.

Kapral pojawił się w drzwiach i dał mi znak. Zgasiłam papierosa obcasem, sięgnęłam po niedopałek i cisnęłam nim w portret.

– Potwór – wyszeptałam.

Ruszyłam przed siebie korytarzem, by stawić czoło własnym demonom.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Mówił po niemiecku. To była pierwsza rzecz, o jakiej mnie poinformował po tym, jak zasalutowałam. Przyjął mnie w pomieszczeniu, w którym mieściło się do niedawna dowództwo SS. Na biurku leżały stosy teczek i kartek, a na niektórych z nich dostrzegłam pieczęć Rzeszy przedstawiającą czerwonego orła. Widząc, że się jej przypatruję, Horwell oznajmił:

– Zanim uciekli, zniszczyli wiele dokumentów. Ale to, co mamy, absolutnie wystarczy.

– Wiem. – Wyprostowałam się. – Widziałam to, co jest na zewnątrz. Chcę wszystko zobaczyć.

– Major Dietrich. – Westchnął. Był drobnym, lekko łysiejącym mężczyzną o zmęczonej twarzy. Gdybyśmy znajdowali się w innych okolicznościach, wzięłabym go za księgowego w wytwórni. – Nie wydaje mi się, żeby to było wskazane. – Zapalił i poczęstował mnie papierosem. Odmówiłam. Przez wąskie okienko widziałam obozowe budynki, a nad polem, na które wywieziono kości ofiar, unosił się dym. Czyżby palili ciała?

– Znaleźliśmy dowody kanibalizmu – dodał, zmuszając mnie, bym znów na niego spojrzała. – I wiele innych potworności. Niemcy odcięli dostęp do wody i zapasów żywności. Uciekając, zabarykadowali bramy i porzucili więźniów. Kobiety i dzieci. Całe rodziny. Całe pokolenia. Oni

wszyscy zginęli. Nie chce pani tego widzieć. Proszę mi wierzyć, nikt nie powinien tego oglądać.

Choć był wyższy rangą, złamałam protokół i bez jego zgody opadłam na krzesło stojące naprzeciw biurka. Nie mogłam oddychać. Ukryłam twarz w dłoniach, dusząc skowyt bólu, a po chwili poczułam na ramieniu dotyk. Horwell niezdarnie mnie poklepał i powiedział:

– Głowa do góry, majorze. Dobrze?

Spojrzałam na niego.

Po raz kolejny poczęstował mnie papierosem i tym razem go przyjęłam. Zaczęłam palić, a on zerknął na leżące na biurku dokumenty.

– Czy Elisabeth Felsing Wills to pani siostra?

Zawahałam się.

– Tak się nazywa. Ale muszę... muszę ją najpierw zobaczyć.

– No cóż, jest tutaj. Do niedawna przebywała w izbie chorych.

– Choruje? – zapytałam z niepokojem.

– To tylko łagodny przypadek grypy. Nic poważnego. Według jej męża, Herr... – zajrzał do teczki, którą trzymał w ręku... – Herr Willsa, robili tylko to, co im kazano. To niestety stale powtarzający się refren. Wszyscy to mówią: wypełniali tylko rozkazy.

Miałam wrażenie, że pomieszczenie gwałtownie maleje.

– Rozkazy? – powtórzyłam. Nie poznawałam swojego głosu. – Nie byli więźniami?

Horwell spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Nie. A w każdym razie nie byli nimi, dopóki obóz znajdował się w rękach Niemców. A teraz... no cóż, teraz to już nie takie proste.

– Co pan ma na myśli? – wyszeptałam.

Odłożył teczkę na biurko.

– Powinna pani wiedzieć, że straciłem podczas tej wojny wielu bliskich. Moje prawdziwe nazwisko brzmi Horowitz. Jestem Żydem. Uciekłem z Berlina w 1938 roku i udało mi się zaciągnąć do armii brytyjskiej, choć musiałem przy okazji pozbyć się końcówki „witz”. – Uśmiechnął się. – Mam doktorat z ekonomii i mówię płynnie po niemiecku, a ludzie tacy jak ja są obecnie bardzo potrzebni. Losy wielu członków mojej rodziny potoczyły się zupełnie inaczej. Moi rodzice zginęli w Czechosłowacji, w Theresienstadt. A część naszych krewnych zagazowano w Treblince.

Chciałam złożyć mu kondolencje, ale wszelkie słowa wydawały się w tej sytuacji zbyt błahe, nieprzystające do ogromu poniesionej przez niego straty. Zamiast tego wymamrotałam:

– Nie rozumiem.

– Oczywiście. Proszę mi wybaczyć.

Siedziałam nieruchomo.

– O czym mi pan jeszcze nie powiedział? Skoro kobieta, która podaje się za moją siostrę, oraz jej mąż nie byli więźniami, to co tutaj robią?

Milczał przez chwilę. Wreszcie spojrzał mi w oczy i powiedział:

– Przydzielono ich tu. Georg Wills był oficerem wyznaczonym do prowadzenia kantyny SS. Kierował też pobliskim kinem w Fallingbostel. Odwiedzali je niemieccy żołnierze. Wills i jego żona otrzymywali wynagrodzenie, mieli do dyspozycji prywatne kwatery, solidne racje żywnościowe, ciepłą wodę i osobny pokój dla syna...

– Syna? – Zerwałam się na równe nogi. – W takim razie to nie może być Liesel.

– Nie? – Horwell zmarszczył brwi i zajrzał do akt.

– Nie słyszałam, żeby urodziła dziecko. Rozmawiałam z wujkiem mieszkającym w Berlinie i nigdy o tym nie wspominał.

– Ostatnio? – zapytał, a ponieważ milczałam, dodał: – Jeżeli rozmawiała z nim pani ponad sześć lat temu, mogła się pani o tym nie dowiedzieć. Chłopiec ma według moich dokumentów pięć lat.

– To na pewno nie ona. Przykro mi, że tracił pan czas. – Zamierzałam odwrócić się i ruszyć do drzwi, marząc o ucieczce z tego miejsca, ale oficer powiedział:

– Mimo wszystko musi się pani z nią spotkać. Nalegam. Ukrywali się, a kiedy ich znaleźliśmy, Herr Wills oznajmił, że bliska krewna jego żony mieszka w Ameryce i ma ogromną wartość propagandową. Twierdził, że ta osoba może potwierdzić ich tożsamość i za nich poświadczyć. Z początku nie wiedzieliśmy, o kim mówił, dopiero podczas przesłuchania Frau Wills ustaliliśmy, że chodzi o panią. Właśnie dlatego wysłałem telegram do Monachium. Ci, którzy uczestniczyli w tej machinie, są teraz gotowi

powiedzieć absolutnie wszystko, byle tylko uniknąć konsekwencji. Musimy potwierdzać ich tożsamość, zanim przygotujemy odpowiednie dokumenty. – Zamilkł na chwilę. – Ich losy zależą od naczelnika wojskowego. Nie przyjechałem tu po to, by szukać zemsty. Rozumiem, że zwykli ludzie w niezwykłych okolicznościach zrobią wszystko, by przetrwać.

– Nigdy. – Spojrzałam mu w oczy. – Nigdy nie poświadczę za faszystę.

Wskazał mi krzesło.

– Pani major, bardzo proszę, niech pani poświęci nam jeszcze chwilę. Frau Wills dowiedziała się już o pani przyjeździe i powinna się tu zaraz zjawić.

Podeszłam do krzesła, ale nie usiadłam. Zgasiłam papierosa w popielniczce i czekałam w milczeniu. Po pewnym czasie usłyszałam na korytarzu odgłos kroków.

Zebrałam się w sobie i odwróciłam w stronę drzwi.

Kiedy weszła do środka, z wrażenia zaparło mi dech w piersiach.

Miała na sobie spłowiały płaszcz, lekko pomięte wełniane pończochy, a na głowie słomkowy kapelusz, który teraz pospiesznie zdjęła, odsłaniając bladą twarz. Nie wyglądała na wychudzoną i choć wydawała się szczuplejsza niż podczas naszego ostatniego spotkania – które zdawało się teraz tak odległe – była nadal Liesel, moją siostrą. Na mój widok wydała stłumiony okrzyk i mocno mnie przytuliła. Stałam nieruchomo, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Leno. – Uścisnęła mnie. – Wiedziałam, że przyjedziesz. Och, to było straszne. Przerażające. Ci mili ludzie... – lekko się cofnęła i posłała wymuszony uśmiech Horwellowi – chyba sądzą, że jesteśmy w jakiś sposób odpowiedzialni za to wszystko. Ale to nieprawda. Powiedz im, Leno. Powiedz im, kim jestem.

Mówiąc, zerkała nerwowo w stronę drzwi, jakby się kogoś spodziewała. Horwell zauważył to i oznajmił:

– Pani mąż, Herr Wills, nie weźmie udziału w tym spotkaniu. To prywatna rozmowa. Nie chciałem przytłaczać major Dietrich. Bardzo martwiła się o pani zdrowie...

– Major! – Liesel odwróciła się i spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Rzeczywiście chorowała, dopiero teraz to zauważyłam. Nadal miała lekką gorączkę i była rozpalona. Ale nie przeszła tyfusu ani nie głodowała. Nie doświadczyła tego, czego doświadczyli ludzie cierpiący wokół niej. – Zostałaś majorem? – Wydęła wargi. – Nikt mi o tym nie powiedział.

– Tak, wygląda na to, że nie wiemy o sobie wielu ważnych rzeczy. – Zmrużyła oczy, a ja dodałam: – Słyszałam, że masz syna.

Pokiwała głową.

– Och, Leno, on się strasznie boi. Mój Hans nie rozumie, co tu robimy. Dlaczego przetrzymują nas tu siłą i nie pozwalają wyjechać? Rozdzielili nas z Georgiem i mój synek tęskni za ojcem. To jakieś koszmarne nieporozumienie. Czy nie możesz po prostu powiedzieć temu czarującemu

dżentelmenowi, kim jesteśmy, tak żebyśmy mogli wreszcie wrócić do domu?

– Do domu? Myślałam, że tu właśnie jest... a raczej był wasz dom.

– Wydajesz się rozgniewana. – Skrzywiła się z niezadowoleniem. – Naprawdę, Leno, jeżeli przemierzyłaś taką drogę tylko po to, żeby robić nam wyrzuty...

– Zapali pani, Frau Wills? – przerwał Horwell.

Liesel uśmiechnęła się i przyjęła papierosa, ale kiedy oficer wyciągnął w jej stronę zapalniczkę, potrząsnęła głową.

– Dziękuję, ale nie palę.

– Dlaczego w takim razie wzięłaś papierosa? – warknęłam.

Spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

– Bo nie można nie przyjąć papierosa oferowanego przez brytyjskiego oficera. To byłoby niegrzeczne.

Niegrzeczne? Tłumaczyła mi zasady dobrego wychowania po tym, co zrobiła? Zacisnęłam pięści. Miałam ogromną ochotę uderzyć ją w twarz i zetrzeć z warg ten nobliwy, protekcjonalny uśmiech. Zdołałam wydusić przez zęby:

– Gdzie jest Mutti?

– W Berlinie. – Schowała papierosa do kieszeni. – Kiedy widziałam ją po raz ostatni, miała się całkiem dobrze. Oczywiście brakowało jedzenia i pracy, ale wujek Willi się nią opiekował. Próbowaliśmy dzwonić do sklepu, ale nie udało się z nimi połączyć – oznajmiła, wzruszając

ramionami. – To chyba jakieś problemy z liniami telefonicznymi. Zdarzały się awarie prądu i...

– Berlin jest w gruzach. – Ogarniała mnie coraz większa wściekłość. Musiałam się cofnąć, bo w przeciwnym razie zacisnęłabym palce na gardle siostry. – Alianci zdobyli miasto. Hitler nie żyje. Rzesza nie żyje. Podobnie jak wszyscy ludzie, których Niemcy wysyłali do tego obozu, gdzie ty i Georg... gdzie wy... – Nagle zaczęłam łkać.

Liesel przechyliła głowę, a z jej twarzy wyczytałam, że doskonale zdaje sobie sprawę nie tylko z własnej sytuacji, ale też z tego, co dzieje się wokół niej. Udawała, że o niczym nie ma pojęcia, bojąc się o siebie oraz swojego męża i syna. Uczestniczyli w tej zbrodni. Wyświetlali dla faszystów filmy i wracali do domu, korzystali z ciepłej wody i solidnych racji żywnościowych, podczas gdy za ogrodzeniem obozu ginęły tysiące ludzi. A ja zamartwiałam się i walczyłam z wyrzutami sumienia, zdecydowanie zbyt długo zachowując milczenie ze strachu, że narażę rodzinę na niebezpieczeństwo.

Horwell odchrząknął.

– Major Dietrich. Czy oświadcza pani, że ta kobieta, przedstawiająca się jako Elisabeth Felsing Wills, jest pani siostrą?

Liesel patrzyła na mnie z niepokojem.

– Nie – odparłam. – Nie jest.

– Leno! Jak możesz tak mówić? Jestem jej siostrą. Jestem...

– Nie! – Gwałtownie się do niej odwróciłam, a furia w moim głosie sprawiła, że Liesel jeszcze bardziej zbladła. – Nie mam siostry. Nie znam tej kobiety.

– Ona kłamie. – Liesel złożyła dłonie i zwróciła się do Horwella: – Nazywam się Elisabeth Felsing Wills, jestem córką Wilhelminy Josephine Felsing i oficera Louisa Otto Dietricha. Ja i mój mąż, Georg Wills, pokazaliśmy wam przecież nasze dokumenty. Nie zrobiliśmy nic złego. Wypełnialiśmy rozkazy, ale nikogo nie skrzywdziliśmy. Georg uratował żydowskiego aktora, niejakiego Karela Stepanka. Ukrył go w berlińskim teatrze, którym kierował, a potem pomógł mu uciec do Londynu. Herr Stepanek przebywa na terenie waszego kraju. Proszę go zapytać, jeśli mi pan nie wierzy.

– Z pewnością to zrobię. – Horwell zapisał coś w teczce.

Liesel uniosła z satysfakcją podbródek i mówiła dalej:

– A ona jest moją siostrą. To Marlena Dietrich, hollywoodzka gwiazda. Jeżeli skrzywdzicie mnie albo mojego męża, świat się o tym dowie.

Horwell spojrzał na nią w zamyśleniu.

– O tym również będę pamiętał. Majorze Dietrich, czy to wszystko?

Pokiwałam głową, nie odrywając wzroku od twarzy siostry. Horwell kazał kapralowi czekającemu pod drzwiami odeskortować Liesel.

– Świat się o tym dowie – powtórzyła, tym razem kierując te słowa do mnie. – Nie zrobiliśmy nic złego. Wykonywaliśmy rozkazy. Nie mieliśmy wyboru. Nikt z nas

nie miał wyboru. Nie jesteśmy tobą. Nie jesteśmy na tyle sławni i bogaci, by zagrać ojczyźnie na nosie i uniknąć kary.

Nie odpowiedziałam. W momencie, w którym zamknęły się za nią drzwi, powietrze w gabinecie stało się gęstsze, tak jakby potworności z zewnątrz zdołały przeniknąć przez ściany i zainfekować tę sterylną przestrzeń.

Horwell dał mi chwilę na ochłonięcie, po czym powiedział:

– Ona ma rację. Zdaje sobie pani z tego sprawę? Nikogo nie skrzywdzili.

– Nie – odparłam. – Po prostu wyświetlali filmy, kiedy wszyscy wokół ginęli.

Zapalił kolejnego papierosa i w zamyśleniu wypuścił dym.

– Rozumiem, że to bardzo trudne, ale moja praca też nie należy do łatwych. Naczelnik wojskowy chce, żebym ustalił tożsamość wszystkich osób, które przeżyły w obozie. Muszę pomóc im wrócić do krajów, z których pochodzą. Oprócz Holendrów, mamy tu Austriaków, Węgrów, Francuzów, Czechów, Rosjan i Polaków. Nieustannie pojawia się ten sam dylemat: odkryliśmy na razie ponad dwieście takich obozów. Liczba ofiar jest niewyobrażalna, ale przeżyło też wiele osób, z którymi nie wiadomo, co zrobić. Rozumie pani? – Kiedy pokiwałam niepewnie głową, wyjaśnił: – Pochodzą z krajów, których rządy, dobrowolnie lub pod przymusem, pozwoliły na ich deportację. Niczego już dla nich nie ma w Europie, a jednocześnie żadne państwo alianckie nie chce ich przyjąć. Staram się uzyskać odwołanie rozkazu o repatriacji, tak by ci ludzie mogli sami

decydować, gdzie się osiedlą, skoro już wcześniej podjęto za nich tę decyzję. Nie obchodzi mnie, co zrobili Frau Wills i jej mąż. Nie zostaną za to postawieni przed sądem. Rzeczywiście wykonywali tylko rozkazy – tak jak wiele innych osób. Kara, którą poniosą, nie przywróci życia ofiarom ani nie pomoże tym, którzy przeżyli.

– Ale ona... ona o tym wiedziała – szepnęłam. – Wiedziała. Wiedziała i nic nie zrobiła.

– Może nie mogła nic zrobić. Frau Wills się nie myliła: nie każdy jest panią. Na płaszczyźnie moralnej nie zgadzam się z tym, co zrobiła, ale nie wydaje się pod żadnym względem wyjątkowa ani nadzwyczajna. Postąpiła jak każdy, kto robił, co musiał, by przeżyć wojnę i wyjść z tego wszystkiego cało.

– Sugeruje pan, że powinnam jej wybaczyć? – zapytałam z niedowierzaniem.

– To nie moja rola. Sugeruję jednak, że powinna pani wziąć pod uwagę, jakie konsekwencje będzie miało upublicznienie roli, jaką odegrał tu pani szwagier. Natychmiast zwietrzą to dziennikarze. Pojawią się trudne, nieprzyjemne pytania. Czy chce się pani z tym zmierzyć?

– Nie boję się trudnych pytań. Nie po tym, co się wydarzyło.

– Podziwiam pani odwagę. – Podał mi papierośnicę i obserwował, jak sięgam drżącą dłonią po zapalniczkę. – Uważam jednak, że powinna się pani nad tym zastanowić. Tak jak mówiłem, prawdopodobieństwo, że zostaną przeciw nim wniesione zarzuty, jest bardzo niewielkie. Nasze sądy i trybunały są zasypane sprawami. Musimy skupić się na

wysokich rangą oficerach i innych przedstawicielach Trzeciej Rzeszy. Próbują uciekać i przyjmować fałszywą tożsamość, a aresztowanie ich stanowi dla nas obecnie priorytet. Twórcy tej machiny, inżynierowie i planiści, ręce, które wprowadziły to wszystko w ruch: właśnie na nich nam zależy, a nie na nic nieznaczących pionkach, ludziach, którzy wykonywali rozkazy. W przeciwnym wypadku musielibyśmy niestety aresztować prawie każdego obywatela Niemiec.

– Tak powinniście zrobić. – Nie mogłam zapalić papierosa. Nawet nie miałam na to ochoty. Odłożyłam go na biurko i zapytałam: – Czego pan ode mnie oczekuje, kapitanie?

– Proszę potwierdzić jej tożsamość i pozwolić mi działać. Herr Wills zostanie ponownie przesłuchany, ale powiedział nam już wszystko, co wie. Podał nazwiska swoich przełożonych. Przypuszczam, że on i Frau Wills zostaną ostatecznie uwolnieni i wysłani wraz z synem do Berlina.

Przyglądałam mu się przez chwilę, po czym pokiwałam głową.

– Dobrze. Tak, to moja siostra.

– Dziękuję, majorze.

– Jest pan zadziwiająco uprzejmym człowiekiem – wyszeptałam.

– Jak na Żyda – zażartował, a kiedy się skrzywiłam, dodał łagodniej: – Tak jak mówiłem, nie chodzi mi o zemstę. Ale proszę mi wierzyć, wielu osobom na niej zależy. Zadbają o to, by ludzie odpowiedzialni za te zbrodnie zostali postawieni przed sądem. Świat pozna prawdę.

Wyciągnęłam rękę, a on ją uścisnął.

– Czy mogę mieć do pani jeszcze jedną prośbę?

– Oczywiście. – Czekałam, co powie, a on spojrzał na nasze splecione dłonie.

– Głupio mi o tym mówić po wszystkim, co pani przeszła... – zaczął – ale czy zechciałaby pani dać autograf dla mojej żony? Uwielbia panią i oglądała wszystkie filmy z pani udziałem. Byłaby zachwycona.

Zaśmiałam się drżącym głosem.

– Czy ma pan coś, co mogłabym podpisać?

Wyjął z kieszeni oprawiony w skórę notes i srebrne pióro. Pomyślałam, że przywiózł rekwizyty cywilizacji nawet do tego potwornego miejsca, niczym talizmany – może chciał, żeby przypominały mu o tym, że poza murami Bergen-Belsen, poza mrokiem, istniał nadal lepszy, radośniejszy świat.

Pod wpływem impulsu napisałam obok autografu krótkie zdanie i odcisnęłam ślad umalowanych ust. Horwell wziął ode mnie notatnik i przeczytał na głos:

– „Poznałam w czasie tej wojny wielu dzielnych ludzi, ale żaden z nich nie był tak uprzejmy i pełen galanterii jak pani mąż”. – Skinął głową i wyszeptał: – Przecenia mnie pani. Jestem zwykłym żołnierzem i próbuję po prostu odnaleźć jakikolwiek sens w tej niezrozumiałej tragedii. Niczym się nie wyróżniam.

– Może jest pan żołnierzem – powiedziałam cicho – ale na pewno się pan wyróżnia.

Odprowadził mnie na lotnisko, gdzie czekał samolot generała Bradleya. Zadbał o to, bym nie zetknęła się po drodze z żadnymi innymi potwornościami: ruszyliśmy do jeepa inną drogą, rozmawiając o błahostkach – aż wreszcie pożegnaliśmy się i wsiadłam do samolotu.

Dopiero w drodze do Monachium uświadomiłam sobie, że kapitan Horwell ani razu nie użył określenia „faszysta”. To była niezwykła ironia: prawdziwy niemiecki dżentelmen, przedstawiciel narodu, który narodowi socjaliści usiłowali wymordować, miał teraz po nich sprzątać.

Wiedziałam, że nigdy nie wybaczę Liesel. Nie potrafiłabym jej wybaczyć. Podczas dwugodzinnej podróży samolotem stanęły mi przed oczami wspomnienia z dzieciństwa: jej ciągłe zapalenia oskrzeli i inne schorzenia, orszak guwernantek i wiecznie cmokająca nad nią Mutti. I tamten wieczór w Schönebergu, kiedy grałyśmy z matką na instrumentach, a ona odpoczywała na kanapie, jawiąc mi się jako blade ucieleśnienie pełnego oddania posłuszeństwa.

Zawsze wypełniała swoje obowiązki. Mutti ją tego nauczyła. Obowiązek ponad wszystko.

Mówiłam jednak szczerze.

Z mojego punktu widzenia – nie miałam już siostry.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wojska sowieckie zaatakowały Berlin – a raczej to, co z niego zostało – walcząc z Amerykanami jak psy wyrywające sobie przypalone kości. Nie miałam żadnych wieści od matki ani wujka Willego. Musiałam liczyć się z tym, że oboje zginęli, podobnie jak tylu innych ludzi. Nie wróciłam do mojego wyniszczonego wojną miasta i zamiast tego ruszyłam w dalszą trasę, podróżując po wyzwolonych częściach kraju i bawiąc oddziały.

Odwiedziłam Monachium, Frankfurt, Drezno i Kolonię, śpiewałam pośród gruzów, w zbombardowanych kinach, na rozpadających się scenach pośród kurzu i pyłu. Grałam na pile – nauczyłam się tego jeszcze w Wiedniu – siedząc na stołku, trzymając ją między nogami i nucąc stare melodie rodem z radosnych piwiarni i innych reliktów naszej przeszłości. Zawsze kończyłam występy utworem *Lili Marleen*, prosząc chłopców, by śpiewali razem ze mną. Starałam się dodać im sił podczas wędrówki przez zrównany z ziemią kraj, gdzie nagła śmierć pod gruzami walącego się budynku, na ukrytej minie przeciwlotniczej albo z ręki samotnego snajpera – stała się nagle przerażająco realna. Równie realna, co zagłada milionów ludzi, zmiecionych w jednej chwili z powierzchni ziemi.

W końcu straciłam siły. Na nowo pogłębiła się niedoleczona infekcja w szczęce. Potworny ból nie dawał mi spokoju, więc pospiesznie poddałam się interwencji

medycznej w Paryżu, a następnie wsiadłam na pokład samolotu do Nowego Jorku. Spędziłam w Europie trzy miesiące więcej, niż ustaliłam z USO. Wyjechałam ze Stanów jako gwiazda, chcąc wykonać patriotyczny gest, ale jednocześnie zadowolona z uwagi, jaką to na mnie skupi. Wróciłam jako zupełnie inna osoba: zostałam wykuta w ogniu, ukształtowana przez to, co widziałam, przez krew poległych i widmo wyniszczonego narodu, którego postanowiłam wyrzec się raz na zawsze.

Fotografowie i reporterzy tłumnie przybyli, by mnie powitać, ale tym razem nie udzielałam żadnych wywiadów. Celnicy skonfiskowali mi rewolwery, choć protestowałam i tłumaczyłam, że otrzymałam je w prezencie od generała Pattona. Rudi, przygarbiony i ponury, odebrał mnie z lotniska i natychmiast zawiózł do szpitala, gdzie spędziłam dwa tygodnie, w czasie których moją szczękę drążono i leczono.

Dochodziłam do zdrowia w jego mieszkaniu. Nie miałam okazji zobaczyć się z Marią: ruszyła w moje ślady i sama pojechała w trasę USO, choć na prośbę Rudiego trzymała się z dala od Niemiec. Nasza córka była zbyt oczywistym celem i znajdowała się w niebezpieczeństwie – nawet po upadku Rzeszy.

Kiedy lepiej się poczułam, a opuchlizna zeszła z mojej twarzy na tyle, że mogłam znowu mówić, zadzwoniłam do swojego agenta. Nie zamierzałam mieszkać u męża dłużej, niż to było konieczne. Potrzebowałam pieniędzy na wynajęcie apartamentu hotelowego, musiałam też znaleźć

sobie pracę. Możliwie szybko. Paryski Ritz opłacił mój rachunek, odrzucając zapewnienia o późniejszym rozliczeniu, ale mimo to chciałam oddać te pieniądze. Miałam też ogromny rachunek ze szpitala, a nie lubiłam się zadłużać.

Eddie nie przebierał w słowach.

– Czynsz za mieszkanie Rudiego, czesne Marii, opłaty za magazyn, w którym przechowujesz swoje rzeczy, nie wspominając o zaległych podatkach – to wszystko pochłonęło resztki twoich oszczędności. Nadal nie dostałem prowizji za dwa ostatnie filmy, w których wystąpiłaś. Przykro mi, ale wytwórnie przyzwyczaiły się do twojej nieobecności. Poszukam czegoś, ale nie mogę zagwarantować, że dostaniemy jakieś propozycje.

– Ale przecież MGM było zainteresowane dalszą współpracą – odparłam ze zdziwieniem. – Ostatnim razem mówiłeś, że wyglądam wspaniale, i zapewniałeś, że zaangażują mnie do kolejnego filmu.

– To już nieaktualne. I rzeczywiście wyglądałaś wspaniale. Nadal wyglądasz wspaniale? Bo brzmisz koszmarnie.

Przycisnęłam słuchawkę do ucha i zerknęłam w lustro w sypialni. Wyglądałam... staro. Na mojej wymizerowanej twarzy malowało się zmęczenie, byłam zaniedbana, miałam opuchniętą i posiniaczoną szczękę. Wyglądałam jak czterdziestotrzyletnia była gwiazda filmowa, która przeszła przez piekło. Nie wątpiłam, że zdołam doprowadzić się do ładu i o siebie zadbać, ale to wymagało czasu. A pieniędzy potrzebowałam natychmiast.

– Zostawiłam trochę biżuterii w banku w Szwajcarii – powiedziałam. – Szmaragdy i diamenty. Mogę kazać je wycenić i sprzedać.

– Oczywiście, ale poczekaj ze szmaragdami, dobrze? Postaram się coś znaleźć. Dużo się tu zmieniło. Po wojnie pojawiły się nowe możliwości, niezależni producenci i reżyserzy. Gwiazdy zaczynają walczyć z obowiązującym do tej pory systemem. A ty dostajesz setki listów od wielbicieli. Zgromadziłem całą górę korespondencji od żon i dziewczyn żołnierzy, którzy widzieli twoje występy na froncie. Dziękują ci za to, że pomogłaś ich mężczyznom. Ameryka cię kocha, Marleno. Muszę to tylko udowodnić wytwórniom.

Nie podobał mi się ten pomysł: Eddie zamierzał machać listami od fanów po to, żeby otworzyć mi na nowo drzwi do świata, który porzuciłam. W przeciwieństwie do innych gwiazd, które starały się wypełniać patriotyczne obowiązki, ale nigdy nie ryzykowały swojej pozycji w Hollywood, wyjechałam i poświęciłam się jedynej rzeczy, która się dla mnie liczyła. I choć niewiele jeszcze zdążyłam zobaczyć, odkąd wróciłam, nie wydawało mi się, by przez ten czas Ameryka szczególnie się zmieniła. Pośród drapaczy chmur i codziennej bieganiny wojna wydawała się niezwykle odległa, a jej potworności sprowadzały się do nagłówków w gazetach. Żołnierze wracali do domów w workach na zwłoki albo bez kończyn, oślepieni gazem łzawiącym albo ogłuszeni bombardowaniami. Nikogo to jednak nie obchodziło. W barach i restauracjach panował jak zwykle tłok. Na Broadwayu nadal wystawiano sztuki. Wciąż

robiono też filmy – nawet wtedy, gdy Europa uginała się pod gruzami, a Japonia mierzyła się ze straszliwymi skutkami ataku atomowego na Hiroszimę.

Piętnastego sierpnia 1945 roku Japonia ogłosiła kapitulację, a druga wojna światowa dobiegła końca. Nowy Jork wypełniły chorągiewki, lał się szampan, a na ulicach zapanowała radość. Obserwowałam to wszystko, stojąc w szlafroku na tarasie mieszkania Rudiego. Wyglądało to jak scena z jednego z filmów nakręconych przez von Sternberga: szał na ulicach i wielkie, radosne święto, którego uczestnicy nie zdawali sobie nawet sprawy z obfitego żniwa zebranego przez straszliwą wojnę.

W tamtej chwili zrozumiałam, że rozpoczęła się moja własna, osobista wojna.

Podobnie jak tamtego dnia w Paryżu, podczas konfrontacji z Rudim, nie wiedziałam już, kim jestem.

– Powinnaś na jakiś czas wrócić do Ameryki – poradził Rudi.

Odwiedzałam salony kosmetyczne, posługując się swoim nazwiskiem zamiast pieniędzy. Eddie nie przesadzał: nadal otwierało ono wiele drzwi. Cała rzesza ekspertów była gotowa o mnie zadbać i pomóc mi na nowo przekształcić się w Dietrich. Przytyłam kilka kilogramów, czego akurat potrzebowałam, i zostałam poddana rygorystycznym kuracjom oczyszczającym. Robiono mi niezliczone maseczki, a ja stopniowo zaczynałam przypominać dawną Marlenę, mimo kurzych łapek przy oczach i nowych zmarszczek na czole. Makijaż mógł te mankamenty ukryć.

Lifting twarzy mógł je natomiast całkowicie wyeliminować. Chirurg plastyczny z Nowego Jorku, polecony mi przez lekarza, który opiekował się moją szczęką, zaoferował, że przeprowadzi zabieg za darmo, jeśli polecę go innym hollywoodzkim aktorkom. Postanowiłam jednak wstrzymać się z tą decyzją, bo widziałam w ostatnim czasie zbyt wiele noży chirurgicznych i szpitali.

– Eddie nie dał mi jeszcze znać, że ktokolwiek chciałby się ze mną spotkać – powiedziałam. Tamara opróżniła popielniczkę i posłała mi karcące spojrzenie. Rzuciła palenie, zresztą i tak nigdy nie paliła tyle co ja czy Rudi. Mnie natomiast chirurg radził zrezygnować z papierosów, które jego zdaniem wpłynęły na rozwój infekcji. – Nie wiem, po co miałabym się poniżać i jechać gdzieś, gdzie mnie nie chcą.

Rudi westchnął.

– Nie możesz siedzieć tu do końca życia. Rozumiem, że się boisz, ale...

– Nie boję się – przerwałam mu ostro. – Po prostu nie jestem jeszcze na to gotowa. Hollywood nigdy nie wiedziało, co ze mną zrobić. Każde ryzyko podejmowałam na własną rękę. Nie zapominaj też, że Amerykanie widzą we mnie Niemkę. Nikt nie chce teraz oglądać filmów z Niemką w roli femme fatale.

– Tłumaczysz to im czy samej sobie? – zapytał Rudi. Irytowało mnie, że po tylu latach nadal potrafił przejrzeć mnie na wylot. – Zrobiłaś dla morale alianckich żołnierzy więcej niż jakakolwiek inna gwiazda. Jesteś bohaterką

wojenną. To musi mieć znaczenie. Mogłabyś zatrzymać się u Orsona Wellesa: wysłał ci osobiste zaproszenie, oferując swój dom na tak długo, jak będziesz potrzebowała. Kręci teraz filmy, a jego żona, Rita Hayworth, stała się jedną z największych gwiazd Columbia Pictures. Przedstawią cię wszystkim liczącym się w branży osobom. To idealny początek nowej kariery. Takiej, nad którą wreszcie byś panowała.

Roześmiałam się i zapaliłam kolejnego papierosa, nie zważając na pełne dezaprobaty prychnięcie Tamary.

Jego słowa dały mi jednak do myślenia. Rudi miał rację. Nie mogłam się wiecznie ukrywać i liczyć na to, że wytwórnie same do mnie przyjdą. Wiedziałam, że tego nie zrobią. Jak mówił Eddie, wiele się zmieniło. A może nie tak wiele? W Hollywood każdy liczył się w takim stopniu, w jakim umiał stwarzać pozory. Zniknęłam na tak długo, że nie powinnam liczyć na niespodziewane pojawienie się wspaniałej roli na życzenie. Musiałam sama do nich jechać. Musiałam pojawić się tam i wszystkich oszołomić. Musiałam się uśmiechać, pozować i kokietować, dowieść swojej wartości, pokazać, że moje nazwisko nadal przyciąga widzów.

Straciłam jednak determinację. Myślałam tylko o Paryżu, gdzie ludzie tacy jak Gabin starali się teraz ożywić nadszarpnięty przez wojnę przemysł filmowy i oferowali swoje usługi oraz talent pozbawionym środków europejskim wytwórniom. Powstawały w ten sposób filmy ukazujące współczesną rzeczywistość: ponure, naturalistyczne

opowieści bez szampana i cekinów, odzwierciedlające teraźniejszość. Wiedziałam, że znajdę tam pracę. Właśnie w Paryżu było moje miejsce. Czułam się tam jak w domu.

Kiedy już postanowiłam kupić bilet i wrócić do Europy, niespodziewanie nadeszła wiadomość od wysłannika generała Bradleya, który nie zapomniał o złożonej mi obietnicy.

Moja matka została odnaleziona w Berlinie. Cała i zdrowa.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Poleciałam do Paryża, żeby stamtąd ubiegać się o przepustkę niezbędną do przekroczenia niemieckiej granicy. Czekając na zakończenie formalności, odnowiłam swoją relację z Gabinem, który wrócił do ukochanego miasta po wielu strasznych bitwach. Miał teraz srebrne włosy, ogorzałą, pooraną troskami twarz i bardzo się postarzał, ale nie stracił dawnego magnetyzmu. Poszliśmy ze sobą do łóżka. Dopytywał o swoje ukochane obrazy, które dla niego przechowałam, później zaś zaproponował mi współpracę. Miał scenariusz filmu, do którego jego zdaniem idealnie pasowałam i w którym grał pierwszoplanową rolę męską. Francja musiała odbudować, ożywić swoją kulturę, a ja zawsze czułam, że powinnam występować w filmach francuskich reżyserów. Nadarzyła się doskonała okazja.

Poprosiłam o trochę czasu. Czekałam, aż wojsko rozpatrzy moje podanie i wyda przepustkę na wjazd do Niemiec. Alianci starali się przejąć kontrolę nad krajem, a Sowieci okupowali jego wschodnią część, w związku z czym każdy był dokładnie prześwietlany i weryfikowany przed wpuszczeniem na terytorium wroga. Kwitł przemyt, wymuszanie okupów i ucieczki faszystów. Nikt nie mógł czuć się bezpieczny – a ja musiałam cierpliwie czekać na wyjazd do Berlina.

Wreszcie zdecydowałam się wysłać do Bradleya telegram i przypomnieć mu, że jestem majorem – dzięki temu

otrzymałam decyzję pozytywną, choć generał zastrzegł, że mam zdawać raporty, gdyby mnie o to poproszono. Przyznano mi nawet oficjalny samolot, a ja stosownie do okazji ubrałam się w wojskowy mundur: kurtkę khaki, spódnicę z klinów, krawat i kaszkiet.

Kiedy wylądowałam na lotnisku Tempelhof, otoczyli mnie dziennikarze i fotoreporterzy z całego świata. Nie wiedziałam, w jaki sposób rozeszła się wieść o moim przyjeździe, ale chciałam, żeby to akurat wydarzenie zostało zarejestrowane. Chciałam, żeby w prasie pokazano, jak po długiej rozłące spotykam się wreszcie z kobietą, która mnie urodziła i przeżyła dwie wojny.

Mutti czekała na lotnisku w towarzystwie przydzielonego przez wojsko szofera. Okrążając śmigła samolotu, spojrzałam na jej drobną, kruchą sylwetkę – była teraz maleńka i stara, choć dawniej wydawała się odporna oraz niezniszczalna niczym Brama Brandenburska – i mocno ją przytuliłam. Natychmiast zesztywniała. W chwili, w której szłyśmy do samochodu, obrzuciła niechętnym spojrzeniem dziennikarzy i powiedziała:

– Jesteś za chuda. Wyglądasz jak łodyżka fasoli.

Kiedy wsiadłyśmy do auta, miałam ochotę uścisnąć jej żylastą dłoń, ale Mutti położyła ręce na kolanach, a kiedy ruszyliśmy, uprzedziła:

– Zobaczysz, że wszystko się zmieniło.

Powiedziała to w taki sposób, jakby ulice zostały ponownie wybrukowane, ja jednak patrzyłam przez okno z przerażeniem i niedowierzaniem. Moje miasto stało się

pustkowiem. Niczego nie poznawałam. Niczego już zresztą nie było. Berlin przekształcił się w wypaloną skorupę. Stał się widmem, utraconym wspomnieniem.

– Chwileczkę – zwróciłam się do szofera. – To nie może być droga na Kaiserallee...

Mutti pociągnęła nosem.

– Moje mieszkanie zbombardowano razem z całą okolicą. Pozostały same gruzy. Dobrze, że mnie tam nie było. Uratowała mi życie jedna z tych niekończących się kolejek po jedzenie, na które ludzie tak narzekają.

– Myślałam, że zginęłaś. – Próbowałam opanować emocje, bo wiedziałam, że Mutti nie spodoba się histeria. Uderzyło mnie, że w ciągu kilku minut weszłam na nowo w rolę posłusznej córki, chcącej za wszelką cenę ją zadowolić, napełnić dumą i uniknąć krytyki.

– W takim razie obie tak myślałyśmy. – Spojrzała mi w oczy. – Słyszałam w radio twoje piosenki. I przemówienia. – Z jej głosu nie potrafiłam wyczytać, czy wyraża aprobatę, czy raczej uznaje moje działania za karygodne i sprzeczne z zasadami dobrego wychowania. – A później ogłosili, że Londyn został zdobyty, i zapukali do moich drzwi, żeby poinformować, że zginęłaś podczas bombardowania. Oznajmili, że jako wróg Rzeszy musiałaś zapłacić cenę za zdradę ojczyzny. *Heil Hitler*.

– Byłam w tym czasie z Amerykanami! – zawołałam. – Kazałam cię szukać.

– Naprawdę? W takim razie Amerykanie nie spisali się zbyt dobrze. Nigdzie się nie ruszałam.

Miałam ochotę się roześmiać. Nie mówiła tego, żeby zdyskredytować żołnierzy, którzy ostatecznie ją odnaleźli. Stwierdziła po prostu fakt. Mało kto tak bardzo nie znosił niekompetencji jak Josephine Felsing.

Kiedy dotarłyśmy do jej nowego domu przy Fregestrasse, na przedmieściach znajdujących się pomiędzy strefami okupowanymi przez Sowietów i Amerykanów, zauważyłam, że Mutti jest zmęczona. Z trudem wspięła się po schodach, a kiedy weszłyśmy do ciemnego mieszkania, składającego się ze skromnie umeblowanego salonu, przylegającej do niego wnęki kuchennej i maleńkiej sypialni, westchnęła.

– Gdybyś chciała skorzystać z toalety, jest na korytarzu. Używa jej całe piętro.

Zaparzyłam jej filiżankę herbaty i zauważyłam, że otrzymuje wojskowe racje żywnościowe. Podziękowałam w myślach generałowi Bradleyowi. Kiedy Mutti usiadła na nierównej kanapie, podwinęłam rękawy i wzięłam się do pracy. Starałam się sprzątnąć, co tylko się dało, i doprowadzić mieszkanie do ładu. W końcu matka oznajmiła z irytacją:

– Nie musisz udowadniać, że nadal potrafisz zadbać o dom. Sprzątnęłam, kiedy powiadomili mnie o twoim przyjeździe. Usiądź.

Zajęłam miejsce obok niej. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Zobaczyłam wreszcie piętno, jakie odcisnęła na niej wojna. Była wychudzona, ale w dziwny sposób się skurczyła, a jej niespożyte dotąd siły wyraźnie osłabły.

– Mutti, jesteś chora? Nie wyglądasz zbyt dobrze.

Odstawiła filiżankę na stół.

– Mieszkam w Berlinie. Nikt tu nie wygląda dobrze. Przegraliśmy kolejną wojnę. Tyle że tym razem zapłacimy dużo wyższą cenę. Jesteśmy uwięzieni między Amerykanami a Sowietami, jak zwierzęta w pułapce. – Zamilkła na chwilę i rozejrzała się po mieszkaniu. Cały swój cenny dobytek straciła podczas bombardowania. – Czuję się obco we własnym mieście. Nie rozumiem, jak mogło do tego wszystkiego dojść.

Po raz pierwszy odniosła się do katastrofy, która spotkała nasz kraj, po raz pierwszy odsłoniła swą bezbronność i wrażliwość i zakwestionowała dotychczasową wiarę w określony porządek.

– Doszło do tego, bo na to pozwoliliśmy – odpowiedziałam cicho.

Westchnęła po raz kolejny.

– Sądzę, że to rozsądne wytłumaczenie. – Splotła dłonie. Nadal nosiła obrączkę, która wisiała teraz na jej palcu. – Wujek Willi nie żyje.

Wydałam stłumiony okrzyk.

– Nie! Jak do tego doszło? Kiedy to się stało?

– Trochę ponad rok temu. Biedak zmarł na zawał serca. Tak jak twój ojciec. W jednej chwili krzątał się po sklepie, starając się go utrzymać... a w kolejnej już nie żył. W sumie miał szczęście. Nie odnajdywał się w tej sytuacji. Pod koniec sprzedawał pierścionki zaręczynowe ze zniżką oficerom Wehrmachtu, którzy chcieli poślubić swoje dziewczyny przed wyjazdem na front. Pochowałam go

w kaplicy w Wilmersdorf. Sądzę, że spodobałoby mu się nabożeństwo, choć nie zjawili się żadni krewni. Ty wyjechałaś, a Liesel... – Spojrzała na mnie z ukosa, po czym mówiła dalej: – Zapisał mi wszystko w testamencie. Nie ma tego wiele. Sklep został zniszczony podczas bombardowań. Ale wszystko, co zostało, odziedziczycie po mojej śmierci ty i twoja siostra. O ile nie przejmą tego wcześniej Rosjanie.

– Mutti, nie rozmawiajmy o tym teraz. – Wyciągnęłam rękę w jej stronę. Nie mogłam pogodzić się z tym, że mój ukochany, elegancki wujek już nie żył. – To nie ma sensu. Jesteś zmęczona, a...

– Nie. – Chwyciła mnie za rękę. – Posłuchaj. Jestem starą kobietą, zbyt wiele w życiu widziałam. Nie chcę żyć w świecie, w którym nie istnieję, w którym mój ukochany kraj, moja ojczyzna, już nie istnieje. To nie tragedia. To wola Boża. Żyjemy, jak się da, i jeśli nam się poszczęści, umieramy we własnym łóżku. Tak wielu z nas nie miało tyle szczęścia. Ale nie możesz pozwolić, by przepadło nasze nazwisko. Walcz o to, co pozostało. Jesteś naszą dziedziczką. Tylko ty możesz uratować to, co budowaliśmy przez tak długi czas.

– Mutti – powiedziałam drżącym głosem. – Jestem tylko aktorką.

– Jesteś kimś dużo ważniejszym. Moją córką. Moim dzieckiem. Różnisz się od Liesel, to akurat udowodniłaś. Obiecaj, że cokolwiek się stanie, zrobisz wszystko, żeby przywrócić dawny blask naszemu nazwisku. My... my tego nie zrobiliśmy – wyszeptała. – Nie odpowiadamy za to.

Jesteśmy porządnymi Niemcami. Niektórzy z nas zawsze byli porządnymi Niemcami.

Lśniły jej oczy, mówiła pełnym pasji głosem. To potworne poczucie winy nie dawało jej spokoju, wysysało z niej siły. Bała się, że obwini się nas o zbrodnie popełnione przez szaleńca. Chciałam opowiedzieć jej o tym, co widziałam w Bergen-Belsen i co oglądał teraz świat. Chciałam wspomnieć o dowodach na to, że choć sami nie sporządzaliśmy list ani nie upychaliśmy ludzi w bydlęcych wagonach, to mimo wszystko ponosiliśmy winę, bo nie zrobiliśmy nic, by temu zapobiec. Patrzyliśmy w inną stronę, odwracaliśmy wzrok.

Powstrzymałam się jednak. Mutti była już staruszką, nie zaś silną kobietą, przeciw której się buntowałam. Przeżyła dwie wojny i miała prawo napisać własne epitafium.

Pokiwałam głową.

– Obiecuję. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Dobrze. – Puściła moją dłoń. – Muszę teraz odpocząć. Jak długo zostaniesz?

– Tak długo, jak będziesz mnie potrzebowała – odparłam. – Albo na tyle, na ile pozwoli mi armia.

Uśmiechnęła się i wskazała zniszczony kredens.

– Jest tam kilka biletów wizytowych. Zostawili je twoi znajomi z akademii i przyjaciele, którzy nie wyjechali z Niemiec. Przychodzili tutaj, żeby dowiedzieć się, czy naprawdę żyjesz.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem.

– Ale... przecież mówiono ci, że nie żyję.

– Owszem. – Prychnęła. – Ale kto wierzyłby tym zbrodniarzom? Podejrzewałam, że możesz żyć. Zawsze byłaś uparta. Wolałam myśleć, że nie żyjesz, dopóki się nie zjawisz. Nie miałam pewności, czy tak się stanie. Ostatnimi czasy bezpieczniej jest wyzbyć się nadziei.

Wycofała się do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Zostałam sama na kanapie. Po moich policzkach zaczęły spływać łzy. Straciłyśmy tak wiele czasu. Mogłyśmy ze sobą dzielić tyle wspaniałych chwil – gdybyśmy tylko znalazły wspólną płaszczyznę. Wojna wszystko jej odebrała.

Ale ta wojna zbliżyła nas też do siebie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przyjechali na rozklekotanych rowerach albo przyszli pieszo. Byli wymizerowani, zaniedbani i mieli na sobie postrzępione szaliki, zjedzone przez mole kapelusze i kaszkiety oraz źle dobrane płaszcze, które ledwo chroniły przed zimnem. Listopad uderzył w Berlin jak zaciśnięta pięść. Miasto czekała kolejna długa zima, a niewielu mieszkańców było na nią przygotowanych. Brakowało absolutnie wszystkiego: jedzenia, paliwa, nafty, węgla i ubrań. Podczas gdy alianci decydowali o losach kraju, ci, którzy przetrwali rządy Hitlera i wojnę, musieli borykać się z głodem i niedostatkiem.

Z radością ich powitałam – wszystkich tych ludzi, których twarzy nie pamiętałam, znajomych z dawnych lat, z okresu pełnego szampana i opium, kiedy Berlin kwitł w powojennym upojeniu, a przyszłość pozostawała zagadką rozbudzającą nadzieje. Wypełnili mieszkanie Mutti, która spędzała noc u swojego owdowiałego sąsiada, wyjęli z kieszeni przemyconą rosyjską wódkę i brytyjski dżin, a następnie rozsiedli się na kanapie, na krzesłach i na podłodze. Witając się z nimi i wspominając przeszłość, myślałam o naszej dawnej, utraconej na zawsze niewinności. Wierzyliśmy, że jesteśmy niepokonani. Piliśmy, paliliśmy i sypialiśmy ze sobą jak barbarzyńcy. Teraz jednak, patrząc na nasze podarte ubrania, wymizerowane twarze i podkrążone oczy, zdałam sobie sprawę, że

doświadczyliśmy czegoś, co już nigdy nie wróci: wspaniałego okresu buntu i perwersji, zdeptanego przez nietolerancję i długie zwoje drutu kolczastego.

Nagle w drzwiach pojawiła się Camilla Horn, moja dawna rywalka i przyjaciółka z internatu.

Straciłam nad sobą panowanie.

Otoczyła mnie ramionami i mocno przytuliła. Prawie się nie zmieniła. Wciąż miała na głowie elegancki beret, spod którego wysypywały się tlenione loki okalające wąską, wciąż piękną twarz. Wyglądała jak zjawa z przeszłości.

– Nie jestem już taka młoda – szepnęła, całując mnie w policzek.

– Ale masz jaśniejsze włosy – odpowiedziałam, ocierając łzy. – Nie byłaś kiedyś ruda?

– Poszłam w twoje ślady. – Rozejrzała się po pokoju i skinęła głową, witając się z tymi, których znała. – Muszę się czegoś napić.

Jeden z mężczyzn, aktor, którego ledwo pamiętałam z czasów Reinhardta, szybko ruszył po wódkę, którą nalał jej do jednego z wojskowych cynowych kubków.

– *Danke*. – Mężczyzna zarumienił się i pospiesznie wycofał, a Camilla zwróciła się do mnie: – Słyszałam, że przyjechałaś, więc zrobiłam sobie specjalną wycieczkę z Wiednia. Jak długo się nie widziałyśmy?

– Zbyt długo. – Wzięłam ją pod ramię i zaciągnęłam do kąta. – Jak zdołałaś...?

– Przeżyć? – Dopiła wódkę. – Nie było łatwo. Na pewno nie tak łatwo jak Leni. – Skrzywiła się. – Słyszałaś, że robiła

dla Hitlera filmy propagandowe?

Pokiwałam głową.

– Jeden z nich nawet widziałam. *Triumf woli*. Taki chyba miał tytuł.

– Koszmar, prawda? Jak słaba fabuła DeMille'a. Leni zawsze miała zły gust. – Prychnęła z irytacją. – Wykorzystała w filmie więźniów, a potem patrzyła, jak wpychano ich do bydlęcych wagonów i wywożono do Polski. Uciekła z Berlina, ale Amerykanie zatrzymali ją podczas próby przedostania się za granicę przez Alpy. Jest teraz przesłuchiwana, wykorzystują jej materiały propagandowe, żeby identyfikować wysokiej rangi urzędników i oficerów. Mam nadzieję, że ją powieszą. Żałosna, niedoszła aktorka, która pieprzyła się z Goebbelsem, niedoszłym powieściopisarzem. Banda nieudaczników. Kto by pomyślał?

Musiałam się z nią zgodzić. Leni Riefenstahl zasługiwała na to, co ją czekało. Nie była niewinnym cywilem przypadkowo porwanym przez zawieruchę wojenną. Aktywnie uczestniczyła w machinie śmierci stworzonej przez faszystów i pomogła rozbudzić mordercze nastroje, tworząc peany na cześć Rzeszy.

– Wiesz, co się stało z Gerdą? – zapytałam, przygotowując się na najgorsze. Nie rozmawiałam z dawną przyjaciółką, odkąd pokłóciłyśmy się w Ameryce po tym, jak otrzymałam anonimową groźbę. Zabrała wtedy czek z ostatnią wypłatą i zniknęła. Zakładałam, że wróciła do Europy. Dokąd mogła pojechać?

– Nie, nie miałam od niej żadnych wieści – odparła Camilla. – Ostatnio mieszkała w Austrii i pracowała w wiedeńskiej gazecie, oczywiście akceptowanej przez faszystów. Widocznie musiała jakoś zarobić na życie. A później, ponieważ cię znała, Goebbels zatrudnił ją do napisania serii artykułów na temat twojego życia w Hollywood. Nie były szczególnie pochlebne, ale prawdopodobnie ją uratowały.

– Żyje? – zapytałam. – Nie została zatrzymana ani nie zaginęła?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Kiedy zatrzymywano ludzi, wieści o tym szybko się rozchodziły, więc sądzę, że bym coś słyszała. Przypuszczam, że wasza znajomość uratowała Gerdzie życie. Oficjalnie uznano cię za zdrajczynię, ale jednocześnie ich fascynowałaś. Leni mówiła, że Goebbels wpadł w szał, kiedy odrzuciłaś jego propozycję. Hitler był twoim fanem. Widział wszystkie filmy, w których zagrałaś, nawet te, których zakazali. Chciał, żebyś została jego kochanką. Pomyśl tylko – dodała cierpko. – Pomogłabyś nam wygrać wojnę, gdybyś tylko zgodziła się tu przyjechać i pieprzyć się z Führerem.

Zamknęłam na chwilę oczy, z ulgą przyjmując wieści o tym, że Gerda najprawdopodobniej przeżyła. Przeniosłam wzrok na Camillę.

– Gdybyś ją spotkała, przekażesz, że o nią pytałam?

– Oczywiście. Ale jak wiesz, Gerda nigdy nie przepadała za naszym środowiskiem. Wątpię, żebym ją w najbliższym

czasie zobaczyła. – Zamilkła. – Chcesz wiedzieć, jak udało mi się przeżyć?

Skinęłam głową, przygotowując się na najgorsze. Ci, którzy zdołali przetrwać, musieli mieć coś na sumieniu. Każdy ponosił jakąś winę, choćby dlatego, że zachowywał milczenie. A Camilla zawsze postępowała oportunistycznie.

– No cóż, jeśli się nad tym zastanawiasz, to nigdy się z żadnym z nich nie pieprzyłam. A powinnam, to by mi choć trochę ułatwiło życie. Dwa razy mnie aresztowano: najpierw dlatego, że nie chciałam zasalutować jakiejś SS-mańskiej świni, a potem podejrzewano mnie o udział w ruchu oporu. Ponieważ nie byłam szpiegiem, oskarżyli mnie o podróżowanie bez przepustki. Spędziłam trzy miesiące w więzieniu dla kobiet w Vechta. – Wzruszyła ramionami. – Mogło się to potoczyć zdecydowanie gorzej. Mogłam stać się drugą Leni. Wiedziałam, że mnie obserwują, więc kiedy mnie wypuścili, wyjechałam do Włoch i zrobiłam tam kilka filmów. A teraz wróciłam i szukam pracy, chociaż zapewne jej nie znajdę. W Wiedniu jest nie lepiej niż w Berlinie czy w Rzymie. Świat stanął w płomieniach, ale nadal nie brakuje bezrobotnych aktorek.

Poczułam ulgę.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś – powiedziałam, kiedy Camilla wyciągnęła kubek i dała swojemu wielbicielowi znak, prosząc, by jej dolał. – Minęło tyle czasu i myślałam...

Roześmiała się.

– Nie myślałaś o mnie ani przez chwilę. Byłaś zbyt zajęta sławą. Rozumiem to. Życie toczy się dalej. Niektórych ludzi

po prostu zostawiamy za sobą. Rudi nadal jest twoim mężem?

– Tak. Mieszka w Nowym Jorku z naszą córką.

Szeroko się uśmiechnęła.

– Był świetną partią. Nienawidziłam cię za to.

Postanowiłam nie mówić jej o tym, że Rudi nie okazał się gorszą partią, niż sądziłam. Długo wspominałyśmy dawne czasy, a Camilla opowiedziała mi o innych naszych znajomych, którzy zaginęli albo stracili życie.

– Trude dostała udaru i zmarła, zanim nadeszło najgorsze – powiedziała. – Za to Karl Huszár-Puffy... Pamiętasz go? Grał właściciela knajpy w *Błękitnym aniele*. I Gerron, który wcielał się w magika: obaj trafili do obozów. Dziewczęta z Das Silhouette wysłano do Dachau, tak jak wszystkich innych zwyrodnialców. Straciliśmy tyle talentów. – Zamyśliła się. – Nigdy nie będziemy już tacy jak dawniej.

Ogarnęła mnie wściekłość. Znajomi i przyjaciele, najśmielsi i najbardziej utalentowani, ci, którzy tchnęli w Berlin życie – zniknęli na zawsze. Mogło mnie spotkać to samo, gdybym nie wyjechała do Ameryki. Albo gdybym zdecydowała się na powrót do Berlina. Podziw Hitlera nie dawał żadnych gwarancji: Führer robił przecież czystki również we własnych szeregach.

Tłumiąc płacz, odwróciłam się i spojrzałam na naszych towarzyszy, upojonych tanim alkoholem i prowadzących żarliwą debatę.

– Staniemy się inni – odpowiedziałam niepewnie, tak jakbym próbowała przekonać samą siebie. – Nic nie

powstrzyma artystów przed tworzeniem.

– Cóż robić, kiedy nie ma się wyboru? – Camilla sięgnęła po wódkę. – Ja w każdym razie zamierzam dalej grać. Sięgnęliśmy dna, więc musimy zacząć od nowa. Niemcy są jak feniks. Powstaną z popiołów.

Spojrzałam na nią w zamyśleniu.

– Tak sądzisz?

– Nie wolno nam tracić nadziei. – Stuknęła w mój kieliszek. – Za przyjaciół, których już z nami nie ma.

Zaczęłam się stopniowo upijać. W pewnej chwili ktoś wspomniał o producencie, którego poznałam w teatrze Nelsona i który wystawiał właśnie zatwierdzoną przez aliantów wersję *Opery za trzy grosze* Weilla. Zerwałam się na równe nogi, oblewając się dżinem, i zawołałam:

– Kupię teatr! Wyremontuję go, a potem wystąpimy z Camillą w nowej wersji *Dwóch muszek*. Wszyscy będziecie mieli zajęcie!

Nasi znajomi zaczęli szaleńczo klaskać. Dopiero kiedy podeszłam chwiejnym krokiem do Camilli, ta spojrzała na mnie znacząco i zapytała:

– Czy nie jesteśmy trochę za stare na to, żeby grać tancerki rewiowe?

Choć wypiła zdecydowanie więcej ode mnie, pozostała trzeźwa. Kiedy odprowadziłam ją do drzwi, gwałtownie przycisnęła pachnące dżinem usta do moich warg. Cofnęła się, posyłając mi szelmowskie spojrzenie, i powiedziała:

– Nigdy nie miałyśmy okazji wspólnie zaszaleć. Za to też cię nienawidziłam.

– W takim razie zostań. – Dotknęłam jej nadgarstka. – Mutti śpi u sąsiada. Spędź dziś ze mną noc.

– Och, nie. Na to też jesteśmy już trochę za stare. Niech to pozostanie czymś, czego ty nigdy nie pragnęłaś i o czym ja zawsze będę mogła marzyć. Straciłyśmy zbyt wiele, by poświęcać jeszcze własne żale.

Nigdy więcej jej nie zobaczyłam.

Ale kiedy postawiła kołnierz i ruszyła w noc, ogarnęła mnie pewność, że przetrwa. Kobiety takiej jak ona nie sposób pokonać.

Była przedstawicielką tych dobrych Niemców.

W kolejnym tygodniu, kiedy wyruszyłam w krótką trasę wokół Berlina, zmarła Mutti. Stało się to 6 listopada, kilka dni przed jej sześćdziesiątymi dziewiątymi urodzinami. Podobnie jak w przypadku wujka Willego i mojego ojca, jej serce po prostu przestało bić. Nagle. Bezboleśnie. Powiedziałaby, że to wola Boża.

Cmentarz Wilmersdorf, gdzie pochowała wujka, został zniszczony, więc na sąsiedniej działce pokrytej pyłem i popiołem kazałam wykopać dół i pochowałam Mutti w prowizorycznej trumnie zrobionej z porzuconych szkolnych ławek. Do pomocy zgłosiło się kilku żołnierzy. Kiedy spuszczali ją do grobu, przypomniały mi się słowa Camilli.

Rzeczywiście straciłyśmy zbyt wiele, by poświęcać własne żale.

Sama żałowałam tego, że nie spędziłam z matką więcej czasu. Była ostatnim ogniwem łączącym mnie z ojczyzną,

ostatnią osobą, która przypominała mi, kim jestem. Straciliśmy też nasz sklep: mimo złożonej obietnicy nie mogłam go uratować. Rosjanie dali mi prosty wybór: albo wyremontuję budynek, albo pójdzie do rozbiórki. Wyburzali połowę miasta, wywożąc gruzy i odłamki jego trudnej przeszłości, żeby zrobić miejsce przyszłości ze stali i betonu. Nie było mnie stać na spełnienie ich żądań – zresztą nawet gdybym mogła sobie na to pozwolić, nie miałoby to sensu. To, czego najbardziej obawiała się Mutti, już się wydarzyło. Nasze nazwisko zostało zapomniane. Jedyne, co mi pozostało, to zadbać o to, by go jeszcze bardziej nie zhańbić.

Nie zważając na śnieg z deszczem, rzuciłam na jej trumnę garść ziemi i wyrecytowałam wiersz, który wyhaftowała kiedyś nad kominkiem:

Och, kochaj, póki możesz jeszcze kochać!
Och, kochaj, póki na miłość możesz liczyć!
Nadejdzie godzina, nadejdzie godzina,
Gdy staniesz nad grobami i zapłaczesz.

Musiałam się pożegnać. W Niemczech nie było już dla mnie miejsca. Opuściłam swój kraj dawno temu.

Żołnierze zaczęli zakopywać dół, a ja odwróciłam się i zamierzałam ruszyć przed siebie. Nagle usłyszałam głos matki, tak wyraźny, jakby stała tuż obok mnie:

– *Tu etwas*, Leno. Zrób coś.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rozważałam różne możliwości. Mogłam sprzedać suknie i pończochy, oddać w zastaw resztę biżuterii ze schowka w szwajcarskim banku i porzucić Hollywood. Mogłam zamieszkać w Paryżu. Niemcy nie były już moim krajem, z pewnością nie chciałam też umrzeć w Ameryce. Nie pozostało mi nawet łóżko, w którym miałabym umrzeć.

Musiałam jednak pomagać mężowi. Kiedy wróciłam do Nowego Jorku, przekonałam się, że Rudi borykał się z problemami zdrowotnymi. Podobnie jak mnie, lekarze zabronili mu palić. Podobnie jak ja, nie chciał o tym słyszeć.

– Niedługo wracam do Hollywood – zwróciłam się do Tamary. – Muszę znaleźć pracę, żeby móc opłacać rachunki.

Pomagała mi się rozpakować w sypialni dla gości.

– A chcesz tego? – zapytała.

Usiadłam na brzegu łóżka i westchnęłam.

– Najchętniej nie robiłabym nic poza spaniem. Więc na razie tym się właśnie zajmę. Zobaczymy, co przyniesie jutro.

– To słowa w stylu Scarlett O'Hary. Może powstanie nowa wersja *Przeminęło z wiatrem*? Zagrałabyś kobietę, która musi odbudować zbombardowany kabaret. Bardzo na czasie, prawda?

Roześmiałam się. Byłam tak wyczerpana podróżami i śmiercią matki, że spałam dwanaście godzin. Kiedy obudziłam się z zesztywniałym karkiem, Tamara stała przy moim łóżku z kawą i telegramem.

– To od Orsona Wellesa. W przyszłym miesiącu organizuje w swoim domu przyjęcie. Zjawią się wszyscy ważni ludzie z branży, dyrektorzy wytwórni. Zaprasza cię.

– Przyjęcie w Hollywood? – jęknęłam, biorąc od niej kubek. – Nie mam na to ochoty.

– Nie? – Skrzyżowała ręce na piersi. – W takim razie nie zainteresuje cię informacja, że sama królowa ogłosiła przejście na emeryturę i ma się po raz ostatni pojawić właśnie na tym przyjęciu.

Oparzyłam usta kawą.

– Będzie tam Garbo?

Tamara pokiwała głową.

– We własnej osobie. Mam zacząć pakować twoją walizkę?

Wydawało mi się to kompletnie surrealistyczne.

Chińskie lampiony rozświetlały basen i taras wyłożony polnymi kamieniami. Długie stoły przykryte nieskazitelnie czystym lnem uginały się pod półmiskami pełnymi przystawek. Niewielka orkiestra grała najmodniejsze piosenki, przystojni kelnerzy w krótkich białych marynarkach i szeleszczących, świeżo wyprasowanych spodniach krążyli między gośćmi z tacami ze zmrożonym szampanem. Wojna wydawała się tu jeszcze odleglejsza niż w Nowym Jorku, a co gorsza, widziałam tylko kilka znajomych twarzy. Dostrzegłam Bette, ubraną w ohydną suknię z tafty i umalowaną mocną szminką; Gary’ego, z lekko posiwiałymi skroniami i pełnym zadowolenia uśmiechem (zdobył Oscara za rolę w *Sierżancie Yorku*);

Johna Wayne’a, który dyskretnie obmacywał kobiety; i Mercedes, która wyszeptała:

– Marzą o tym, żeby cię zobaczyć. Nikt nie przypuszczał, że przyjdziesz. Ale ja wiedziałam, że się zjawisz. Wenus z Berlina nie unika walki. Śmiało wita wrogów, ukrywając między udami wiedeńską piłę.

– To moi wrogowie? – Wzięłam od kelnera kieliszek szampana, żałując, że nie ma czegoś mocniejszego. – Myślałam, że jesteśmy tu w gronie przyjaciół.

Mercedes cmoknęła językiem.

– To Los Angeles. Nawet przyjaciele są tu wrogami.

Rzadko słyszałam prawdziwsze słowa.

Dotarłam tu tydzień wcześniej, a Orson i jego żona wzięli mnie pod swoje skrzydła. Rita Hayworth stała się międzynarodową sensacją, uwielbianą przez widzów i atakowaną przez cenzorów za rolę kusicielki Gildy – mnie samej zależało na tej roli na tyle, że poddałam się dwóm liftingom twarzy w nadziei, że ją dostanę. W głębi serca Rita była jednak dobrą, prostą dziewczyną, która uwielbiała tańczyć i chciała założyć rodzinę. Hiszpańskie korzenie rozbudziły w niej marzenia o spokojnym życiu rodzinnym, które kłóciło się z charakterem Orsona. Wyznała mi któregoś wieczoru, że wie o jego zdradach. Kiedy odparłam, że niewierność nie musi oznaczać, że mąż jej nie kocha, Rita oznajmiła:

– Ale to, że odmówił mi kupna domu, już o tym świadczy. Widzisz, to wszystko jest wynajęte. Nawet meble. Orson mówi, że nie chce mieć na głowie takiej odpowiedzialności,

bo ogranicza to jego wolność. – Wydęła wargi. – Po co się w ogóle żenić, jeśli chce się uniknąć odpowiedzialności?

Nie odpowiedziałam na to pytanie. Moje małżeństwo trudno był uznać za godne naśladowania, choć Rita zdawała się w swojej naiwności wierzyć, że jesteśmy z Rudim idealną parą.

– Tyle wspólnie spędzonych lat – westchnęła, pomagając mi się umalować na przyjęcie. Zrobiła białą kredką obwódkę wokół dolnej krawędzi moich oczu, „żeby dodać im w ten sposób blasku”. Dokleiła mi nawet sztuczne rzęsy i pożyczyła swoją szkarłatną szminkę do ust.

Kiedy skończyła, a ja zaprezentowałam jej się w błękitnej satynowej sukni z ramiączkami zdobionymi dżetami, klasnęła z satysfakcją.

– Wyglądasz oszałamiająco. Wszyscy zzielenieją z zazdrości, kiedy zobaczą, jaka jesteś piękna.

– Czy będą na tyle zazdrośni, żeby zaproponować mi pracę? – Spojrzałam w lustro, upewniając się, że nie mam na zębach plam od szminki. – W Hollywood uchodzę już chyba raczej za staruszkę.

– Nie jesteś stara – odparła z oburzeniem. – Kobiety takie jak ty się nie starzeją. Dojrzewają jak wino.

Objęłam ją.

– To ty jesteś winem, *Liebchen*. Ja jestem tylko aperitifem.

Wzięła mnie pod rękę i sprowadziła na dół.

– Pamiętaj, co mówią – wyszeptała, kiedy przystanęłam przy drzwiach tarasu, walcząc z tremą.

Nie czułam strachu, wychodząc na skrzypiące sceny, które mogły się pode mną w każdej chwili zawalić, nie bałam się śpiewać pośród huku szrapneli i wystrzałów. Ale drapieżne spojrzenia, zwracające się w tej chwili w moją stronę, pospieszne ruchy głowy i dyskretne szepty sprawiły, że miałam ochotę jak najszybciej uciekać.

Popełniłam błąd. Nie powinnam wracać.

– Co... co takiego mówią? – zapytałam drżącym głosem.

– Nie pozwalajmy, żeby ktokolwiek widział, jak się pocimy. – Rita uśmiechnęła się, widząc zaskoczenie malujące się na mojej twarzy. – Papa kiedyś się u nas zatrzymał. Uwielbia cię i nazywa „swoją szwabką”. Nie mógł dziś przyjść, ale kazał ci o tym przypomnieć, gdybyś się zjawiła.

– Naprawdę? – Odrzuciłam do tyłu niedawno rozjaśnione włosy i wyszłam na arenę. Niezależnie od tego, czy rzeczywiście popełniłam błąd, nie zamierzałam niczego po sobie pokazać.

Stałam teraz obok Mercedes, otoczona ludźmi, którzy mnie znali, którzy widzieli filmy z moim udziałem i słyszeli o moich występach na froncie – i nigdy nie czułam się bardziej samotna. Bette na mój widok zawołała, że musimy się spotkać, „gdy tylko skończy się ten konkurs lizusostwa”, ale poza nią nikt nie witał mnie szczególnie wylewnie. Kilka młodszych aktorek, których nazwisk nawet nie znałam, obrzuciło mnie niechętnym spojrzeniem, tak jakbym miała zgarnąć im sprzed zadartych nosów wymarzone role. Rzeczywiście wiele się zmieniło, a jednak wszystko pozostało takie samo jak dawniej. Uznałam, że jako

czterdziestoczteroletnia kobieta powinnam czerpać pociechę z faktu, że nadal widziano we mnie potencjalną rywalkę.

– Jest tutaj? – zapytałam wreszcie Mercedes, która oczywiście wiedziała, kogo mam na myśli.

– Jeszcze nie. W przeciwieństwie do ciebie naprawdę woli się ukrywać. A co? Chcesz ją poznać?

Wzruszyłam ramionami.

– Jeżeli się pojawi, to czemu nie?

Mercedes uniosła brew.

– Wydaje mi się, że jesteś jej równie ciekawa jak ona ciebie.

– Naprawdę jest mnie ciekawa? – zapytałam, zapominając na chwilę o nonszalanckim tonie. – Mówiła coś o mnie?

– Marleno. – Westchnęła. – Po co o to pytasz?

Dwie godziny później postanowiłam wracać do domu. Rita przedstawiła mnie Harry'emu Cohnowi, kierownikowi produkcji z Columbia Pictures, któremu zawdzięczała swoją karierę. Okazał się zaskakująco młody i elegancki, pocałował mnie w policzek i był zachwycony, że może mnie poznać – nie miałam jednak wrażenia, by jego entuzjazm mógł przełożyć się na jakąkolwiek propozycję współpracy. Orson ostrzegł mnie, że Cohna nie interesowało promowanie własnych gwiazd. Należał do nowego gatunku producentów, którzy woleli wypożyczać aktorów z innych wytwórni, przyciągając w ten sposób wiernych widzów. Nie miałam podpisanego kontraktu, nie miałam publiczności, która by za mną poszła. Nie zagrałam w żadnym filmie od

ponad dwóch lat, a moja ostatnia produkcja, *Kismet*, popadła – zresztą zupełnie słusznie – w zapomnienie.

Zanim Harry Cohn ruszył w kierunku grupy mizdrzących się gwiazdek, wręczył mi wizytówkę.

– Niech pani poprosi swojego agenta, żeby do mnie zadzwonił – powiedział. – Powinniśmy porozmawiać.

Rita przyjęła tę nowinę z podekscytowaniem, choć jednocześnie wymamrotała:

– To diabeł wcielony. Będzie chciał kupić twoją duszę. I stać go na to. Jest Żydem.

Cofnęłam się i posłałam jej karcące spojrzenie.

– Nie żeby mi to przeszkadzało – dodała pospiesznie. – Lubię Żydów. Po prostu po wojnie, w obliczu tego, że jesteś Niemką... Ale mimo to byłby idiotą, gdyby nie podpisał z tobą kontraktu.

Wcale tak nie uważałam. Wróciłam do Mercedes, wypaliłam dwa ostatnie papierosy i wtedy, w chwili, w której postanowiłam wycofać się na górę i zdjąć sztuczne rzęsy, które trzepotały w kącikach moich oczu jak umierające motyle, w pomieszczeniu rozległ się pełen podekscytowania pomruk.

Mercedes natychmiast się wyprostowała, a w jej oczach pojawił się dziwny błysk. Nie musiałam nawet podążać za jej wzrokiem, by wiedzieć, kogo zaraz zobaczę.

Przybyła Garbo.

Nigdy nie zapomniałam tamtego wieczoru, kiedy poszłyśmy z Anną May i Leni na seans *Zatraconej ulicy*. Płakałam, oszołomiona jej niezwykłą urodą i magnetyzmem.

Nie spodziewałam się, że zobaczę teraz tę samą kobietę. Podobnie jak ja, Garbo najlepsze lata miała już za sobą. Podobnie jak ja, przeszła w życiu zawodowym wiele wzlotów i upadków. Choć była trzykrotnie nominowana do Oscara i budziła zachwyt krytyków, jej wiek i coraz słabsze wyniki filmów z jej udziałem przyspieszyły decyzję o zakończeniu kariery, zniknięciu z życia publicznego i rozkoszowaniu się upragnioną samotnością.

A jednak stałam teraz na palcach, starając się zobaczyć coś nad głowami gości. Wszystko wokół mnie nagle wyblakło: widziałam tylko, jak Orson, ubrany w elegancki smoking, prowadził ją na taras. Hollywoodzkie gwiazdy rozpierzchały się przed nią w popłochu. Kiedy się zbliżyła, a jej blade oczy dostrzegły Mercedes, wyczytałam z jej twarzy, że mnie rozpoznała.

„Piękna” – to słowo nie oddawało jej sprawiedliwości.

Była jak na kobietę wysoka, ale paradoksalnie niższa, niż ją sobie wyobrażałam. Miała idealne rysy, rzeźbione policzki i królewski nos, oszałamiające usta i wyraz twarzy tak dostojny, tak tajemniczy, że śniły o niej rzesze widzów. Przypominała rysunek na delikatnym białym piasku.

Zalała mnie fala emocji: zachwyt łączył się z niedowierzaniem, podziw mieszał się z niepewnością. Oto wreszcie znalazłyśmy się w jednym pomieszczeniu, choć do tej pory mknęłyśmy obok siebie jak siostrzane komety, których tory nigdy się nie przecięły. Spuściłam wzrok i spojrzałam na jej stopy.

Garbo była chodzącą perfekcją – ale miała stopy chłopki.

Orson pstryknął palcami, przywołując do porządku gapiącego się na nas kelnera. Podniosłam wzrok. Poczęstowano ją szampanem, ale Garbo potrząsnęła głową. Miała na sobie prostą czarną sukienkę podkreślającą jej aurę tajemniczości. Szepnęła coś do Orsona, który pokiwał głową, po czym odwróciła się do...

Do mnie.

Mercedes powiedziała z rozbawieniem:

– Widzisz? Budzisz jej zainteresowanie. Idź.

Ruszyłam przed siebie. Czas się zatrzymał. Przemierzając kilka kroków dzielących mnie od miejsca, w którym stała Garbo, spojrzałam na siebie z góry i pomyślałam o wielkiej metamorfozie, jaką przeszłam. Byłam zadurzoną uczennicą z kokardą we włosach i rozpuszczonym marcepanem w dłoni; buntowniczą nastolatką poświęcającą się grze na skrzypcach i rozkładającą nogi w oczekiwaniu na nowe przygody; piosenkarką kabaretową z monoklem w oku, kroczącą w kierunku planu filmowego, gdzie jej majtki z falbanką stały się nagle obiektem kultu. Zobaczyłam nadopiekuńczą matkę, śmiałą uwodzicielkę i zaniedbującą swoje obowiązki żonę. Zobaczyłam gwiazdę, wielbioną i pożądaną. I wreszcie, kiedy już stanęłam przed Garbo i wyciągnęłam rękę w jej stronę, zobaczyłam majora trzymającego dłoń niemieckiego żołnierza umierającego w szpitalu polowym.

Chciałam ją zapytać, czy to ona podglądała Gabina, kiedy pływał nago w moim basenie. Zamiast tego powiedziałam jednak drżącym głosem:

– Marlena Dietrich.
Poczułam na skórze jej dotyk, chłodny i suchy.
– Wiem – odpowiedziała Garbo.

POSŁOWIE

W 1946 roku Marlena wróciła do Francji, żeby nakręcić *Martina Roumagnaca* razem z Jeanem Gabinem. Film ten nie odniósł sukcesu, a ich związek zakończył się konfliktem. Dystrybuowana w Stanach Zjednoczonych, mocno ocenzurowana wersja tej produkcji zdawała się dowodzić, że to ostateczny koniec hollywoodzkiej gwiazdy.

Niezrażona tym faktem Marlena zagrała jeszcze w czternastu filmach, w tym w *Tremie* Hitchcocka (1950) i *Świadku oskarżenia* Billy'ego Wildera (1957). Wystąpiła też w epizodycznych rolach w *Dotyku zła* Orsona Wellesa (1958) i w *Wyroku w Norymberdze* Stanleya Kramera (1961). W tej ostatniej produkcji wcieliła się w postać niemieckiej wdowy, której mąż, hitlerowski oficer, został stracony za zbrodnie wojenne. Te role udowodniły, że Marlena miała do zaoferowania zdecydowanie więcej niż tylko ładne nogi oraz elegancję. Nie została jednak nigdy więcej nominowana do Oscara.

W 1950 roku rząd francuski nadał jej Komandorię Legii Honorowej, nagradzając ją za odwagę wykazaną podczas wojny. W późniejszym okresie Dietrich otrzymała awans na oficera. Belgia, Izrael i Stany Zjednoczone uhonorowały ją Medalami Wolności. Niewiele później Marlena zaczęła nowy etap kariery: powróciła do kabaretowych korzeni i zaczęła występować jako solistka w Hotelu Sahara w Las Vegas.

Odniosła taki sukces, że wyruszyła w trasę, a bilety w Paryżu, Londynie, Moskwie i innych miastach na całym świecie rozchodziły się w ekspresowym tempie. Stale wykonywała piosenki *Falling in Love Again*, *Allein* oraz *Lili Marleen*.

Marlena wróciła do Berlina w 1960 roku. Przed teatrem, gdzie występowała, gromadzili się protestujący, którzy negatywnie postrzegali jej postawę podczas wojny. Mimo to zjednała sobie publiczność i krytyków. Przez całe życie konsekwentnie gardziła faszyzmem i ubolewała nad rolą, jaką Niemcy odegrały w czasie wojny – podkreślała jednak, że w głębi serca zawsze pozostanie Niemką. Nie wspominała też publicznie o swojej siostrze Liesel, która pracowała jako nauczycielka i mieszkała w Berlinie razem z mężem. Choć tej relacji nigdy nie udało im się do końca naprawić, siostry Dietrich utrzymywały rzadkie kontakty aż do śmierci Liesel w 1973 roku.

Marlena przyznała kiedyś, że najlepiej czuje się na scenie. „Znam i kontroluję każdą nutę i każdy takt, każdy promień światła padający na moją twarz – powiedziała. – Na planie filmowym jest zbyt wiele niewiadomych”. Jako artystka występująca na żywo przed publicznością zdobyła ogromną popularność, oszałamiając wspaniałymi sukniami z cekinami, eleganckimi białymi futrami oraz chropowatym głosem. Nagrania, które się zachowały, stanowią dowód jej ogromnego talentu, choć w przypadku Marleny głos był zaledwie niewielką częścią powabu, jaki wokół siebie roztaczała.

W 1963 roku wystąpiła z Beatlesami w London Palladium. Jej kariera dobiegała końca, ale kwartet, który zrewolucjonizował rynek muzyczny, określił ją mianem „najbardziej eleganckiej kobiety na świecie”. W latach 1967-1968 występowała na Broadwayu, a za swoje role otrzymała honorową Tony Award.

Josef von Sternberg pracował w Hollywood aż do 1953 roku. Często pełnił funkcję asystenta reżysera i nie był nawet wymieniany w napisach końcowych. W późniejszych latach wykładał estetykę filmową na UCLA, a podczas zajęć chętnie przywoływał efekty swojej współpracy z Marleną Dietrich. Napisał też autobiografię. Zmarł w 1969 roku w wieku siedemdziesięciu pięciu lat. Choć von Sternberg, zapytany kiedyś przez studenta, czy aktorka się z nim czasem kontaktuje, odpowiedział w typowy dla siebie kąśliwy sposób: „Tylko kiedy czegoś potrzebuje” – Marlena bardzo przeżyła jego śmierć.

Dietrich słynęła z perfekcjonizmu i dbała o każdy detal podczas swoich występów. Mimo napiętego grafiku prowadziła intensywne życie towarzyskie, znajdując też czas dla rodziny. Była kochającą babcią, która troskliwie opiekowała się dwoma synami swojej córki. Pozostała żoną Rudiego Siebera aż do jego śmierci: zmarł na raka w 1976 roku. Jego kochanka, Tamara Matul, odeszła wiele lat wcześniej w domu opieki w Kalifornii, po długiej i trudnej walce z chorobą psychiczną. Tak jak podczas całego ich małżeństwa, Marlena wzięła na siebie koszty opieki nad Tamarą i Rudim, który obok ich córki pozostawał jedynym

stałym punktem w jej życiu: mężczyzną, do którego zawsze mogła się zwrócić w trudnych chwilach. Jej przyjaciele twierdzili, że nigdy do końca nie pogodziła się z jego śmiercią.

Nie wyszła ponownie za mąż.

Marlena Dietrich zakończyła karierę w 1975 roku. Podczas występu w Wiesbaden upadła i złamała obojczyk, później zaś doznała poważnego urazu biodra w Sydney – po tym wypadku lekarze orzekli, że ma wyjątkowo kruche kości. Powodem tego były zapewne głód i niedostatek, których doświadczyła w dzieciństwie. Ostrzeżono ją, że prędzej czy później zostanie przykuta do wózka inwalidzkiego. Po udanej radioterapii raka szyjki macicy niezwykła odporność Marleny zaczęła stopniowo słabnąć. Aktorka postanowiła ostatecznie wycofać się z życia publicznego.

Opuściła Nowy Jork i zamieszkała w Paryżu przy ekskluzywnej Avenue Montaigne. W 1984 roku aktor i reżyser Maximilian Schell nakręcił poświęcony życiu Marleny Dietrich dokument, który został nominowany do Oscara. Marlena uczestniczyła w jego powstaniu, ale nie pozwoliła się filmować. Po raz ostatni pojawiła się przed kamerą u boku Davida Bowiego, w małej, choć głośnej roli w *Zwyczajnym żigolo* z 1978 roku. Skłoniła ją do tego wysokość proponowanego wynagrodzenia oraz fakt, że w scenariuszu pojawiał się wątek dekadenckiego Berlina z okresu przedwojennego.

W ostatnich latach życia, całkowicie uzależniona od środków przeciwbólowych, Marlena pozostawała samotna. Kontakt ze światem zewnętrznym pozwalały jej utrzymać jedynie długie listy i rozmowy telefoniczne. Była aktywna politycznie i pozostawała w przyjaznych stosunkach z takimi światowymi przywódcami jak Reagan i Gorbaczow. Choć unikała publicznych wystąpień, zgodziła się na poświęconą upadkowi muru berlińskiego rozmowę telefoniczną we francuskiej telewizji. Upadek muru był w jej oczach wydarzeniem przełomowym.

Marlena Dietrich zmarła z powodu niewydolności nerek 7 maja 1992 roku. Miała dziewięćdziesiąt lat. Jej pogrzeb odbył się na cmentarzu La Madeleine w Paryżu, uczestniczyło w nim ponad tysiąc osób, w tym ambasadorowie Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Rosji i Izraela. Zamkniętą trumnę przykryto francuską flagą i ozdobiono białymi kwiatami polnymi i różami od prezydenta Mitterranda. Trzy medale, które otrzymała, wyeksponowano wojskowym zwyczajem przy trumnie. Podczas mowy pogrzebowej duchowny powiedział: „Żyła jak żołnierz i chciałaby zostać pochowana jak żołnierz”.

Choć według „New York Timesa” Marlena podkreśliła w testamencie, że chce zostać pochowana razem ze swoją rodziną, w jej ostatniej woli nie znalazły się żadne informacje na ten temat. Mimo to 16 maja jej ciało zostało sprowadzone samolotem do Niemiec i pochowane na cmentarzu Städtischer Friedhof III w dzielnicy Berlin-

Schöneberg, obok grobu matki. W 1992 roku, w miejscu narodzin Marleny Dietrich, pod adresem Leberstrasse 65, odsłonięto pamiątkową tablicę. Mimo kontrowersji, jakie budziła w Niemczech postawa aktorki podczas drugiej wojny światowej, w 1997 roku w Berlinie utworzono Marlene Dietrich-Platz, a poczta niemiecka wydała pamiątkowy znaczek z jej podobizną. Honorowe obywatelstwo nadano jej w 2002 roku. Duża część dobytku Dietrich została wystawiona w berlińskim Filmmuseum – w tym kostiumy filmowe i teatralne, ponad tysiąc strojów z jej prywatnej garderoby, fotografie, plakaty oraz część listów z obszernej korespondencji, która zgodnie z jej wolą nigdy nie została opublikowana.

American Film Institute umieścił Marlenę Dietrich na dziewiątym miejscu na liście największych gwiazd wszech czasów.

Podobnie jak w przypadku wszystkich pozostałych książek, które napisałem, moja fascynacja tematem musiała zderzyć się z ograniczeniami natury praktycznej. Stałem się miłośnikiem Marleny, kiedy skończyłem kilkanaście lat (pierwszym filmem, w którym ją zobaczyłem, było *Maroko*), i doskonale zdawałem sobie sprawę, że nie zdołam zamknąć całego jej życia w jednej powieści. Postanowiłem skupić się na młodości Dietrich i karierze w Hollywood, wybrać te wydarzenia, które według mnie pozwolą najpełniej oddać jej charakter. Mam jednak świadomość, że musiałem wiele pominąć. Liczę na to, że mój podziw dla Marleny będzie

przebijał z kart tej książki – i że w miarę swoich skromnych możliwości złożyłem jej hołd.

Tym, którzy nie znają dobrze tego tematu, chciałbym zwrócić uwagę, że choć chwilami porzucałem porządek chronologiczny, by fabuła stała się bardziej czytelna, to wszystkie przedstawione w książce postaci są autentyczne. Starałem się ukazać bohaterów możliwie wiernie, w oparciu o dostępne źródła. Wszystkie opisywane tu wydarzenia rzeczywiście miały miejsce, choć zostały przefiltrowane przez moją wyobraźnię, stworzone przeze mnie dialogi oraz refleksje bohaterki. Marlena napisała co prawda wspomnienia, ale o niektórych kwestiach mówiła niechętnie, a wiele całkowicie przemilczała. Zbeletryzowanie jej życia wymagało odrobiny dedukcji, szczypty instynktu, dużej dawki odwagi i solidnej porcji badań źródłowych.

Marlena Dietrich stanowi ucieleśnienie mojej fascynacji sławą, walką o jej zdobycie i utrzymanie. Pozornie szybka droga na szczyt była tak naprawdę rezultatem wieloletniej wytrwałej pracy, wyrzeczeń i kompromisów w życiu prywatnym. Mityczny status, który Dietrich ma do dziś, dowodzi, że niezwykle skutecznie sterowała własnym wizerunkiem – nawet jeśli w pewnych momentach zdobywała sławę wbrew sobie, a jej niekonwencjonalne wybory wykraczały poza ramy, które narzucały studia filmowe, lub pozostawały w sprzeczności z moralnością czasów, w jakich żyła.

Jestem zaszczycony, że mogłem przyjąć jej perspektywę, spojrzeć na życie jej oczami. Ze wszystkich postaci, o których pisałem, to właśnie przygoda z Marleną okazała się jedną z najbardziej radosnych.

PODZIĘKOWANIA

To wspaniałe doświadczenie zawdzięczam wielu osobom. W pierwszej kolejności chciałbym wymienić moją redaktorkę Rachel Kahan, która przywołała pewnego dnia postać Marleny, pojawiającą się przelotnie w mojej powieści *Mademoiselle Chanel*. Rozbudziła we mnie zainteresowanie tą wielką gwiazdą i dała początek kolejnym działaniom. Zespół z wydawnictwa William Morrow skutecznie dodawał mi sił i zarażał entuzjazmem. Jestem im wszystkim wdzięczny za wysiłek, jaki włożyli w powstanie tej książki. Pracownice Jean V. Naggar Literary Agency, Inc., a przede wszystkim moja agentka Jennifer Weltz – to prawdziwe bohaterki. Nie każdy pisarz ma u swego boku tak nieustraszone orędowniczki.

Mój mąż wspiera mnie i podtrzymuje na duchu podczas wszystkich projektów literackich. Pomaga mi, kiedy muszę spędzać długie godziny przy biurku i gdy mierzę się ze wszystkimi wzlotami i upadkami nieodłącznie towarzyszącymi życiu pisarza. Przypomina mi o jedzeniu i odpoczynku, zabiera na wycieczki nad ciepłe morza i dba o ład w naszym życiu. Bez niego nie dałbym sobie rady, bo trudno mi się skupić, kiedy zawładnie mną jakaś postać. Nasze koty, Boy i Mommy, zapewniają mi wiele miłości i ciepła, a ja odwzajemniam im się drapaniem po brzuchu. Moje przyjaciółki – Sarah Johnson, Linda Dolan, Michelle

Moran, Robin Maxwell, Margaret George, M. J. Rose, Kris Waldherr, Tasha Alexander, Heather Webb oraz Donna Russo-Morin – zawsze chętnie towarzyszą mi w radosnych chwilach i wtedy, gdy mam ochotę ponarzekać. Bardzo doceniam też użytkowników Facebooka, którym dziękuję za mądrość, humor i wsparcie. Media społecznościowe są dla mnie wentylem bezpieczeństwa, pozwalającym uczestniczyć w rozmowach o czymś innym niż projekty, nad którymi w danym momencie pracuję.

A przede wszystkim dziękuję Tobie, mój czytelniku.

Jako powieściopisarz, człowiek, który żyje z opowiadania – nie mógłbym bez ciebie istnieć.

ŹRÓDŁA

Korzystałem ze zbyt wielu źródeł, by móc je tu wszystkie wymienić – od archiwów i kronik filmowych, przez wycinki prasowe i sterty książek, aż po blogi i strony internetowe. Marlena ma tak ogromne rzesze fanów, że gdziekolwiek teraz jest, śpiewa zapewne *Falling in Love Again*. Poniżej przedstawiam prace, z których korzystałem najczęściej, pragnę jednak podkreślić, że ta lista nie stanowi pełnej bibliografii:

Bach Steven, *Marlene Dietrich: Life and Legend*, William Morrow, Nowy Jork 1992.

Bruno Michael, *Venus in Hollywood*, Lyle Stuart, Nowy Jork 1970.

Chandler Charlotte, *Marlene: A Personal Biography*, Simon & Schuster, Nowy Jork 2011.

Dickens Homer, *The Films of Marlene Dietrich*, Citadel Press, New Jersey 1973.

Dietrich Marlene, *Marlene*, Grove Press, Nowy Jork 1989.

Frewin Leslie, *Dietrich,* Stein and Day, Nowy Jork 1967.

Friedric Otto, *Before the Deluge: A Portrait of Berlin in the 1920s*, Harper & Row, Nowy Jork 1972.

Higham Charles, *Marlene*, Norton, Nowy Jork 1977.

Sarris Andrew, *The Films of Josef von Sternberg*, Museum of Modern Art/Doubleday, Nowy Jork 1966.

Spoto Donald, *Blue Angel: The Life of Marlene Dietrich*, Doubleday, Nowy Jork 1992.

Swindell Larry, *The Last Hero: A Biography of Gary Cooper*, Doubleday, Nowy Jork 1980.

Walker Alexander, *Marlene Dietrich*, Applause Books, Nowy Jork 1999.

Wood Ean, *Dietrich: A Biography*, Sanctuary Publishing, Londyn 2002.

Tytuł oryginału: *Marlene*
Pierwsze wydanie: William Morrow, an imprint of HarperCollins Publishers, 2016
Opracowanie graficzne okładki: *Madgrafik*
Zdjęcie autora: *Stephanie Mohan*
Redaktor prowadzący: *Małgorzata Pogoda*
Opracowanie redakcyjne: *Jolanta Nowak*
Korekta: *Sylwia Sandowska-Dobija*

© 2016 by C.W. Gortner
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o.Warszawa, 2017

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.
Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.
HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.
Ilustracja na okładce: Everett collection Inc.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 978-83-276-26114-1

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.